

**GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI**

**DZIENNIK PISANY  
NOCĄ 1993-1996**



Pisma zebrane pod redakcją Zdzisława Kudelskiego

1. Inny Świat. Zapiski sowieckie
  2. Skrzydła ołtarza. Opowiadania
  3. Dziennik pisany nocą 1971 -1972
  4. Dziennik pisany nocą 1973-1979
  5. Dziennik pisany nocą 1980-1983
  6. Dziennik pisany nocą 1984-1988
  7. Dziennik pisany nocą 1989-1992
  8. Godzina cieni. Eseje
  9. Wyjścia z milczenia. Szkice
  0. Dziennik pisany nocą 1993-1996
- Czytelnik Warszawa 1998

Gustaw Herling-Grudziski ze Zdzisławem Kudelskim, Neapol, październik 1996

Od autora.

Oddając do rąk czytelnika ostatni, tom Pism zebranych (dziennik z lat 1993-1996), poprzedzę krótkim słowem pożegnalnym.

Najpierw podziękowania. Dziękuję przede wszystkim wiernym czytelnikom, którzy śledzili moje Pisma zebrane, z tomu na tom, uważnie i z zainteresowaniem (a było ich, sądząc z raportów wydawniczych, wielu). Dziękuję wydawnictwu „Czytelnik”, w osobach Henryka Chłystowskiego i Marii Mireckiej, za pilne i życzliwe wobec autora dogłądanie przedsięwzięcia w ciągu dość długiego czasu. Dziękuję wreszcie mojemu przyjacielowi, poloniście lubelskiemu Zdzisławowi Kudelskiemu, za sumienne i pełne oddania redagowanie kolejnych tomów.

W moich poprzednich „słowach wstępnych” naszkicowałem już w miarę dokładnie zasady pisarskie mojego dziennika i przyświecające mu cele. Nie chcę się więc powtarzać, ale zależy mi na przypomnieniu dwóch rzeczy. Ambicją moją - z pewnością wykonalną tylko w nieznacznym stopniu - było dać w ciągu ćwierćwiecza obraz epoki, w której żyjemy. Opowiadania wyrastają w moim dzienniku w sposób naturalny i niejako organiczny, a nie przypadkowy i mechaniczny. Jeżeli w przekładach na obce języki wydawcy gromadzą na ogół moje opowiadania w osobnych tomach, to ze względów czysto wydawniczych. Nie mnie orzekać o takich czy innych regułach edytorskich, podkreślam jedynie w imię ścisłości (i mojej „pisarskiej prawdy”), że wyłącznie układ stosowany we wszystkich dotychczasowych wydaniach polskich, łącznie z Pismami zebranymi, odpowiada moim intencjom (w przekładach zastosowano mój układ tylko w pierwszej edycji włoskiej i francuskiej oraz częściowo w wydaniu angloamerykańskim).

Czy urwę pisanie dziennika i zrośniętych z nim opowiadań w końcu roku 1996? Jeśli los nie wytrąci mi pióra z ręki, to oczywiście mój dziennik, typowa work in progress, będzie miał ciąg dalszy. Ale impreza taka jak Pisma zebrane musi się w pewnej chwili skończyć, aby zachować dostatecznie wyraźnie swój kształt kompozycyjny.

**G. H.-G.**

Neapol, 10 stycznia 1997

1993

Gorący oddech pustyni ^ i W kilka dni po zawale, w skrzydle kardiologicznym szpitala San Paolo, zacząłem się interesować współtowarzyszami choroby w pokoju liczącym około tuzina łóżek. Po mojej prawej stronie leżał ksiądz, którego reakcją na zawał był nieustanny sen: spał dniem i nocą, budził się tylko, by sięgnąć po szklanę wody na nocnym stoliku i w porze porannego posiłku (po śniadaniu robiono mu jak wszystkim kar-diogram), siostra szpitalna nie niepokoila go w godzinach obiadu i kolacji, przepisane pastylki wtykała mu sama do ust, bez przerywania snu czy głębokiej drzemki. Podczas południowego obchodu chorych lekarz przeskakiwał jego łóżko, zaglądając tylko szybko do kardiogramu i wykresu ciśnienia. Znaczyło to zapewne, że sen był jego głównym lekarstwem; tak zmęczonej, obrzękłej ze zmęczenia twarzy nie widywało się często, chyba jedynie wśród kloszardów (po włosku barbonów); i wyglądem przypominał świątobliwego barbona, z metalowym krzyżem zaciśniętym w splecionych dłoniach. Zawał dosięgnął go podobno w konfesjonale; alarm podniosła stara kobieta, zaniepokojona milczeniem za siatką i cichymi odgłosami jakby jęku.

Naprzeciw mnie, w rzędzie łóżek pod przeciwległą ścianą, przykuwał uwagę młody, może dwudziestopięcioletni chory, nieruchomy, do pasa oparty na wzniesionym wezglowiu, ze wzrokiem utkwionym w suficie. Czasem opuszczał oczy i wtedy krzyżowały się na chwilę nasze spojrzenia. Jakie było smutne jego spojrzenie, jak pełne lęku i (chciałoby się powiedzieć) zaskoczenia! Odgadłem dzięki srebrnemu pucharowi na stoliku, że był sportowcem, któremu zawał podciął naraz skrzydła w locie. Godzina wizyt wyznaczona była o zmroku, przed wczesną kolacją. Przychodziła do niego codziennie śliczna dziewczyna; nie zważając na pozostałych chorych, kładła się niemal obok niego na łóżku i obcało-wywała jego twarz, szyję, rękę. Po wizycie, za szklanymi drzwiami obrotowymi sali, przystawała na krótko, żeby się wypłakać w chusteczkę. Czego nie mógł widzieć jej ukochany, ale dobrze widziałem ja.

Czemu to opisuję, skoro w mojej opowieści istotną rolę odgrywa ktoś inny, mój sąsiad z lewej strony? Dlatego, podejrzewam, że od początku chciałbym stworzyć atmosferę choroby. Wszystko, co dalej nastąpi, będzie w znacznej, jeśli nie przeważającej mierze poruszaniem się w tej sferze ludzkiego życia, którą chorzy odczuwają resztkami swego instynktu (albo przeżywają bezwiednie) jako nagłe, gwałtowne zaciemnienie przed powolnym bądź szybkim schodzeniem w dół. Choroba, ciężka choroba oczywiście, ma różne oblicza, ale zawsze błąka się na nich grymas zwiastujący odejście.

Mój sąsiad z lewej strony nie był ani milczący, ani szczególnie rozmowny. Kiedy jednak nawiązywała się między nami krótka choćby rozmowa, mogłem podziwiać dar błyskawicznej inteligencji południowców; umiejętność odpowiadania na pytania, które jeszcze nie zostały postawione, lecz wiszą już w powietrzu; jak gdyby cały czas ich umysł koncentrował się na „prawdziwej” podszewce

poruszanych kwestii. Nazwę go Ludovico. Był przez wiele lat sędzią śledczym w Vallo delia Lucania, stolicy rejonu Cilento, jego jurysdykcja obejmowała także Paestum i pobliskie Agro-poli. Owdowiał dość dawno, miał jedyne syna, architekta w Neapolu. U schyłku życia ojca syn, zdaje się, że przysięgły stary kawaler, sprowadził go do Neapolu, do swego mieszkania na Santa Luda. Od paru już lat sędziego przeniesiono w stan spoczynku, a samotne życie w Vallo delia Lucania nie należy do przyjemności. Syn był bardzo wziętym architektem, tak wiecznie zajęty, że rzadko korzystał z godziny wizyt w szpitalu; codziennie za to przysyłał jednego ze swoich kreślarzy z torbą owoców. Sędzia Ludovico był po drugim zawale, pierwszy, stosunkowo łagodny, poraził go w trakcie ostatniej rozprawy sądowej w Vallo, do której przygotowywał materiały śledcze i protokoły przesłuchań. Drugi, neapolitański zawał określono (tak samo jak mój) acuto, na szczęście syn był akurat w domu i zawiózł go „na syrenie” do San Paolo, gdzie miał przyjaciela kardiologa.

Przyszedł nareszcie dzień pełnego i trwałego przebudzenia księdza. Nie przestając ścisnąć krzyża w zaciśniętych dłoniach, poruszał wciąż wargami w szeptanej modlitwie. Nie próbowałem nawet zagadać do niego, tak był pogrążony w modlitwie i tak z przymkniętymi powiekami przypominał ledwie żywego topielca, wyciągniętego właśnie na brzeg. Podczas południowego obchodu odpowiadał krótko niedosłyszalnym prawie głosem na pytania lekarza. Ale przynajmniej jego szarą, obrzękłą twarz rozjaśniał dobry uśmiech.

Dość tłumne sale szpitalne sprzyjają komitywom opartym na sąsiedztwie. Kiedy więc pozwolono nam na półgodzinne spacery po korytarzu, bez uprzedniego porozumienia stworzyliśmy trójkę: sędzia śledczy Ludovico, ksiądz (nazwę go Zeno) i ja. Chodziliśmy wolno, niosąc ostrożnie nasze serca jak kule z kruchego szkła, od dyżurki lekarza do dużego okna, które po przeciwnej stronie zamykało korytarz widokiem brudnego i zachwaszczonego pola oraz chłopców grających w piłkę nożną. Ksiądz Zeno dotrzymywał nam kroku, stawał, gdy i my stawaliśmy dla odetchnięcia, ale bez słowa przysłuchiwał się naszej rozmowie. Nie byłem nawet pewien, czy słyszy, co mówimy, czy też zajęty jest całkowicie własnymi myślami. Słyszał, wbrew pozorom. Kiedy pewnego popołudnia zastanawialiśmy się z sędzią, jakie są najcięższe choroby starości - oczywiście chorobie serca towarzyszył rak - ksiądz Zeno szepnął nagle cicho: amnezja; i jeszcze ciszej dorzucił: gorący oddech pustyni, un respiro caldo del deserto. Sędzia spojrzał na niego z nie ukrywanym zdumieniem.

II Nocą po jednym z tych spacerów, który wydawał się zadatkami wypisania ze szpitala, około drugiej (nie mogłem owej nocy zasnąć po ostatniej porcji pastylek) usłyszałem po prawej stronie rżenie. Bardzo ciche, tłumione, jakby ksiądz Zeno, mimo zapewne bólu, starał się nie budzić śpiących. W słabym świetle nocnej żarówki widać jednak było, że jest to więcej niż (jak w pierwszej chwili sądziłem) przelotny ból. Jego twarz była pokryta potem, duże krople spływały z czoła do oczu i niżej. I ból musiał być straszny, skoro zauważyłem, że ksiądz Zeno wypuścił z rąk swój krzyż i zacisnął je kurczowo na żelaznej ramie łóżka. Nie miałem wątpliwości, tak

wyglądał mój zawal. Nacisnąłem guzik dzwonka. Zaspany pielęgniarz ocknął się natychmiast, gdy rzucił okiem na chorego. W dwie minuty później cała ekipa otoczyła łóżko księdza i odgrodziła je parawanem od reszty sali. Słyszałem cichą rozmowę, włączono kroplówkę, jedynym dobiegającym do moich uszu słowem było *tardi*. Raz głos lekarki podniósł się dramatycznie, powiedziała wyraźnie i prawie głośno *troppo tardi*, za późno. Leżałem bez ruchu z otwartymi oczami, pozostali pacjenci spali. O trzeciej opustoszało za parawanem. Odsunąłem go lekko ręką wyciągniętą na całą długość, wychyliwszy się z łóżka. Ale udało mi się odsunąć parawan nieznacznie, na tyle jedynie, by zobaczyć nakrytą prześcieradłem głowę umarłego. Najwidoczniej w obawie przed nocnym zamieszanem nie tknięto zwłok. Ich wywiezienie odłożono do świtu.

Tuż przed świtem zasnąłem mocno. Nie śniłem żadnych scen czy obrazów, śniłem słowo. Tym słowem była „amnezja”. Rozlegało się z taką siłą, jak gdyby powtarzał je rozkołysany dzwon. Kiedy obudziła mnie pielęgniarka na śniadanie poprzedzone pierwszymi lekami, z prawej strony ujrzałem zasłane czysto łóżko. Mój sąsiad z lewej powiedział: „Chore serce jest podobne do nocnego złodzieja. Śmierć skrada się na palcach”.

Nasza lekarka była siostrą mojego neapolitańskiego znajomego, toteż mogłem uchodzić za „rekomendowanego” (we Włoszech żelazny glejt). Niekiedy, przeważnie po południu, siadała na moim łóżku na pogaduszki. Od niej dowiedziałem się, że ksiądz Zeno był proboszczem w biednej, proletariackiej, ze znaczną domieszką przestępców i prostytutek, parafii na peryferiach miasta. Porównała go do zdartego doszczętnie buta i dodała: „Cud, że dotrwał do swoich siedemdziesięciu lat”. Tym większy cud, że od kilku lat co jakiś czas przepadał gdzieś na długo, odwoziła go do domu policja nie tylko zabłąkanego, lecz zagubionego, ledwie pamiętającego, jak się nazywa i jaką pełni funkcję, rozpoznającego z trudem swoich parafian. Powinni go byli odesłać do przytułku dla starych i chorych duchownych, ale kto zgodziłby się przyjść na jego miejsce w tej przeklętej dzielnicy nadmorskiej, czarnej aż od dymu z pobliskiej stalowni? Niewykluczone, że czwarty zawal (który zazwyczaj zapala czerwone światło alarmowe) dosięgnął go w konfesjonale zaplątanego w swoich słabych, coraz słabszych, przeblyskach pamięci. Nie, nie było dla niego ratunku, szpital mógł tylko przedłużyć trochę okres przed piątym, fatalnym zawalem. Pozwolono mu na spacer po korytarzu, żeby przed śmiercią miał chociaż złudzenie stanięcia na nogach. Nie wiadomo zresztą, czy tego pragnął, możliwe, że pociągał go jedynie długi, przedśmiertny sen, zakończony uśnięciem na zawsze.

Wywód lekarki był dość mętny, robił chwilami wrażenie, że usiłowała się z czegoś wytłumaczyć. Ale prawdziwie brzmiały jego realia. Przypominałem sobie wygląd bezgranicznie zmęczonego księdza na sąsiednim łóżku.

Wypisano mnie ze szpitala na krótko przed Bożym Narodzeniem. Sędzia Ludovico nie ukrywał, że mi zazdrości. Na pożegnanie dał mi swój adres na Santa Luda.

III Sądzi się na ogół, że szpital, wojsko, więzienie wiążą ludzi, wytwarzając wspólnotę, która trwa długo jeszcze „na zewnątrz”, po wyjściu z przymusowej izolacji. Utarty sąd, może w wielu wypadkach uzasadniony, w moim wypadku błędny. Nie lubię spotykać byłych towarzyszy broni i więzienia, a świeża choroba przekonała mnie, że również towarzyszy z sali szpitalnej. Rzecz jest przypuszczalnie fobią (może swoistą klaustrofobią) czysto osobistą, związaną z jedną z postaci wybujałego, przesadnego indywidualizmu. Znamienne, że mam skłonność do szybkiego zapominania nazwisk ludzi, z którymi los połączył mnie na długo w miejscach bytowania stadnego.

Nie skorzystałem więc z adresu podanego mi przez sędziego Ludovico. Gdybym był skorzystał i zatelefonował do mieszkania na Santa Luda, dowiedziałbym się, że po nagłym trzecim zawale w szpitalu Ludovico został wywieziony do domu wypoczynkowego w Szwajcarii. Spędził tam okrągły rok. Spotkaliśmy się nieoczekiwanie w pogodny dzień na bulwarze nadmorskim na wysokości Piazza Yittoria. Ja od tego punktu rozpoczynałem zlecony mi przez kardiologa spacer zdrowotny na płaskiej trasie aż do portu rybackiego Mergellina, on wybrał tę samą trasę, posłuszny takim samym wskazaniom lekarza, schodząc na plac Zwycięstwa z położonej obok Świętej Łucji.

Stanowiliśmy dość osobliwą parę. Koło nas śmigali na rowerach (na chodniku przeznaczonym niby dla pieszych) młodzi chłopcy, na murku odgradzającym chodnik od ogromnych głazów falochronu przesiadywali zakochani wyłączeni całkowicie ze świata pocałunkami i pieścizotami, w zalewach czy wyrwach między głazami podskakiwały spławiki opartych o murek wędkarzy, a my szliśmy powoli, zatrzymując się co jakiś czas z ustalonych jakby z góry i raz na zawsze powodów; żeby ogarnąć wzrokiem zatokę; żeby w słoneczny dzień o czystym powietrzu wpatrzeć się chwilę w Capri na horyzoncie; żeby powitać przybrzeżne wysepki pokryte białymi kołdrami mew; żeby w połowie trasy nacieszyć się widokiem ryb i ośmiornic wystawionych w wanienkach na trotuarowym targu; żeby blisko już celu zabawić się na przystaniach w „kontrolę” ślizgowców i jachtów.

Nie ma co ukrywać, były to spacery nudne i monotonne, chociaż w opisie mogą robić wrażenie bardzo atrakcyjnych. Nudnawy też i monotony, jakkolwiek miły, inteligentny i zacny, był mój towarzysz. Zdawało się, że długa rekonwalescencja w Szwajcarii przytępiła jakby bystrość jego umysłu. Cieszył się życiem, spacer (jak mi wyznał) był jedyną formą tej radości, w domu wiódł żywot emeryta omotanego swoimi drobnymi przyzwyczajeniami, układał pasjanse i czasem (rzadko) bywał czwartym do brydża, stracił zupełnie dawny smak lektury książek, czytał jedynie od deski do deski lokalną gazetę, wieczorami drzemał przed telewizorem. Przy pewnych drobnych podobieństwach byłem jednak w lepszym od niego położeniu, dla mnie spacer poranny nad morzem był tylko przepisany mi przez mojego doktora lekarstwem. Ale po dwóch miesiącach zżyłem się z Ludovico. Gdy zdarzyło się, że nie przyszedł na spotkanie, maszerowałem w kierunku Mergelliny szybkim krokiem, nigdzie po drodze nie przystając, z uczuciem



dotkliwego braku. Przypuszczam, że i on czuł to samo w dniach mojej przymusowej nieobecności.

IV Któregoś dnia posunęliśmy się dalej, aż na molo za portem rybackim. Po drodze przeszliśmy obok oszklonej kaplicy, którą rybacy wystawili na cześć swego świętego patrona. O ile wiem, nie odbywały się tam nigdy żadne nabożeństwa czy modlitwy, składano co najwyżej przed małym ołtarzem wiązki kwiatów. Ale teraz przykuł nasz wzrok przyklejony do szklanej tafli, od strony bulwaru, arkusz papieru z niezgrabnym, ręcznym napisem: „Padre Zeno, ksiądz Zeno, opiekun ubogich, w pierwszą rocznicę śmierci, od wdzięcznych rybaków z Mergelliny”. Dotarł tutaj w swojej służbie kapłańskiej, z odległego czarnego Bagnoli do skąpanej w zielonkawobłękitnym morzu przystani? W jaki sposób? Dlaczego? Stary rybak, który po tamtej stronie murku, na piaszczystej łasze, cerował sieć, był szczodry w informacjach: tak, przyjeżdżał tu lub przychodził pieszo, raz na miesiąc, co wywołało nawet niechęć proboszcza z miejscowych kościołów Matki Boskiej Śnieżnej i Matki Boskiej Położnej. Przychodził do pewnego czasu, mówiono potem, że zachorował, że Bóg pomieszał mu w głowie. Dopóki jednak przychodził, nie było lepszego od niego człowieka, tak gotowego zawsze do pomocy. Trudno powiedzieć, dlaczego przychodził, skoro Mergellina ma swojego własnego księdza, a z Bagnoli taki kawał drogi. Miał dobre serce, ale wiedzieliśmy, że chce się tu odświeżyć, często w pogodę schodził do morza, mył długo twarz i ręce po zakasaniu rękawów. Dostawał też od nas trochę ryb i muli. Podobno oddawał je innym zaraz po powrocie do Bagnoli.

Spojrzeliliśmy po sobie w milczeniu. Pewnie stanęła nam przed oczami sala szpitalna w San Paolo, puste łóżko, na którym spał zachłannie ksiądz Zeno, zanim zabił go piąty zawał. „Czy pan pamięta naszą przechadzkę w trójkę na korytarzu?” - zapytał Ludovico. „Pamiętam. Pamiętam też, jak zdumiała pana uwaga księdza Zeno o amnezji”. „Nie bez powodu. Moja ostatnia, przed chorobą, sprawa w Vallo delia Lucania dotyczyła wypadku ciężkiej amnezji”.

Odtąd nasze wspólne spacerory nabrały innego charakteru. Sędzia opowiadał, ja słuchałem, rzadko przerywając pytaniami. Wyraźnie sprawiała mu ulgę, albo może nawet ukrywaną przyjemność, okazja do zrzucenia z siebie „ciężaru” (sam to raz określił w ten sposób). Moje zainteresowanie rosnęło z dnia na dzień, byłem podwójnie rozdrażniony, ilekroć musiałem pozostać w domu w złą pogodę. Z radością śledziłem powrót sędziego Ludovico do dawnej formy: był bystry, przenikliwy, cieszył się odzyskaną sprawnością umysłową.

Zastanawiam się, jak przekazać jego opowieść w odcinkach (zajęła nam dwa tygodnie). Jakkolwiek po każdym spacerze robiłem dość dokładne notatki, które leżą teraz na moim stole, zrezygnowałem w końcu z odtwarzania opowieści w pierwszej osobie i posiekanej na rozdziały, odpowiadające naszym spacerom. Postanowiłem wprowadzić do niej własny porządek, skondensować ją maksymalnie, kazać narratorowi wystąpić w trzeciej osobie, rozdziały wyodrębniając na zasadzie logiki i chronologii wypadków.

Pół roku dzieliło sędziego Ludovico od emerytury, gdy wybuchła w Agropoli sprawa małżeństwa Porter. Powierzono mu ją natychmiast, chciał nią zamknąć swoją karierę.

Derek i Violet (nazywana przez włoskich przyjaciół Vio-letta) Porter byli z wykształcenia archeologami. W latach dwudziestych, wkrótce po ukończeniu studiów na Oxfor-dzie, przyjechali do Paestum jako ochotnicy w pracach wykopaliskowych. Pracowali ochotniczo, bez wynagrodzenia, mogli sobie na to pozwolić, pochodząc z zamożnych rodzin. Kupili i odnowili domek w Agropoli, blisko ruin sławnego Zamku, na niskim obrywie nad morzem. Mieli wtedy dokładnie tyle lat co dwudziesty wiek, stanowili pa-re> o której często mówiono: „coraz rzadziej spotyka się tak zakochanych”. Przyjechali do Włoch z dobrą znajomością włoskiego, wyuczonego na studiach, toteż w Agropoli uznano ich szybko za „swoich”. Nawet antyangielskie skłonno.:.

- er\*?;

2 - Dziennik... (1993-1996) 17 r t » 1 ' i»

ści faszyzmu nie wpłynęły na zmianę tego stosunku, a władze lokalne w Agropoli i okręgowe w Vallo delia Lucania nie zakłócały ich spokoju.

Nie układała się natomiast ich praca archeologiczna w Paestum, grupa wykopaliskowa odnosiła się do nich z niechęcią. Po kilku miesiącach dano im do zrozumienia, że włoska grupa woli nie zatrudniać, choćby bezpłatnie, cudzoziemców. Porterowie znieśli ten afront z dobrą miną, tym więcej że byli w trakcie rozstawania się z archeologią. Violet zaczęła malować, a Derek rzeźbić. Z wielką pasją (wyjaśnił sędzia Ludovico), wystarczy powiedzieć, że przyłgnęli kurczowo do Agropoli i jego okolic, bardzo rzadko wyjeżdżając tam, gdzie mogli nasycić oczy arcydziełami sztuki włoskiej. „To wszystko zostało sprawdzone podczas śledztwa”, dodał sędzia Ludovico nie bez odcienia dumy. „Po co? - wyrwało mi się. - Miało jakiś związek ze sprawą?” „Nie, ale postanowiliśmy odtworzyć dokładnie cały długi pobyt Porterów we Włoszech. Często dochodzenie sądowe podobne jest do setek prześwietleń rentgenowskich. Z nadzieją, że odsłoni się nagle jakaś ukryta plamka. Niech pan pamięta, że chodziło o trudne do zrozumienia, niepojęte zabójstwo. Przynajmniej w pierwszych stadiach śledztwa”.

Malując i rzeźbiąc, Porterowie nie aspirowali do wystaw. Sprzedawali za grosze (nie dla zarobku, nie potrzebowali go) swoje obrazki i miniaturowe rzeźby w dzień targowy na rynku Vallo delia Lucania. Sędzia Ludovico widział ich niejedyn raz (przed tragedią), otoczonych przez bogatych chłopów z rejonu Cilento, na tym cotygodniowym targu, zatrzesieniu wszelkiego dobra, od artykułów spożywczych do odzieży i mebli, jak ze śmiechem, rozbawieni, wykłócali się dla zachowania pozorów o ceny swoich „arcydzieł” (tak je sami nazywali: i nostri capolavori). Chłopi-nabywcy lubili ich i nie żalowali pieniędzy, a czasem płacili w naturze, osetką masła, jajkami, kurą, królikiem. Ludovico widywał więc, przechodząc między straganami do swojego urzędu, ich „arcydzieła”. Yiolet wyspecjalizowała się w pejzażach, stopniowo nadawała im charakter ilustracji do bajek. Derek rzeźbił lub

lepił z gliny drobne, dziwaczne figurki mężczyzn, kobiet i dzieci, wyraźnie wzorowane na eksponatach z gablot muzealnych w Paestum.

Tak płynęły lata, Porterowie stali się częścią krajobrazu Agropoli i Vallo. Mieszkańcy obu miasteczek przywiązali się do pary „sympatycznych Anglików”, z rozrzewnieniem i aprobatą przyglądali się ich ciągłym czułościom w miejscach publicznych, mieli im za złe jedną tylko rzecz: brak dzieci. Na południu Włoch dziecko jest koronnym dowodem Bożego błogosławieństwa i wzajemnej miłości rodziców. Małżeństwa bezdzietne budzą tzw. „mieszane uczucia”. Ale nawet to nie wpłynęło na zmianę stosunku do „naszych Porterów”, i nostri Porter (tak ich w końcu zaczęto nazywać).

W maju 1939, gdy nad Europą zawisły ciemne i groźne chmury, Porterowie wyjechali do Anglii. W Londynie spędzili całą wojnę, on jako urzędnik biura wojskowego (był słabego zdrowia, fizycznie kruchy), ona jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym.

VI Nazajutrz po wojnie dwukrotnie pisali do sąsiadów w Agropoli: że wkrótce wrócą. „Pisali” jest określeniem nieściśłym. Autorem obu listów był w całości Derek, podpis Violet zdawał się dziwnie niezgrabny, chwiejny, jakby nabazgrany kurzem pazurem. W jednym zdaniu Derek napomknął, że „doświadczenia wojenne nadwątlily siłę ducha mojej żony”.

To zdanie, po staroświecku zatroskane, sędzia Ludovico przytoczył dosłownie, uważał je bowiem za pierwszy zapis „chorobowych zaburzeń” Violet.

Zapowiedź rychłego powrotu do Agropoli okazała się przedwczesna. Wrócili dopiero w połowie lat pięćdziesiątych. W pierwszej chwili mieszkańców Agropoli uderzył tylko wygląd Violet. Była blada, wychudzona (niektórym nasunęło się określenie „wycieńczona”), prawie przezroczysta. Na pierwszej powitalnej przechadzce co kilka kroków szukała oparcia lub miejsca, na którym można było boczkiem choćby przysiąść. Pozdrowiała po drodze wszystkich napotkanych, ale w sposób tak bezbarwny, konwencjonalny, że mieli prawo wątpić, czy ich sobie naprawdę przypomina. Derek szedł za nią, rozdając na lewo i na prawo uśmiechy i uprzejmości, nikt jednak, kto bystry, nie mógł nie dojrzeć ciemnych odblasków w jego oczach.

W dalszych zeznaniach i świadectwach, zebranych przez sędziego Ludovico, za wyglądem Violet poszło jej zachowanie. Z każdym dniem jaśniejsze, nawet jaskrawsze, było, że rozpoznawała za mglistą zasłoną wieloletnich przecież znajomych. Aptekarz z Agropoli tak to ujął: *Eassente, immersa nel suo sogno di cui non riesce a svegliarsi, jest nieobecna, pogrążona w swoim śnie, z którego nie potrafi się obudzić. Ale to było jeszcze do zniesienia, zachowanie Violet przypisywano jej „rojeniom artystycznym”.* Gdyż po dawnemu codziennie rano, w pogodne dni, malowała. I w jej pejzażach nic nie przypominało tego, na co patrzyła; poruszała się rzeczywiście wśród zagadkowych rojeń czy widzeń, gdzie morze i niebo stawały się stopem rozległej, żółtawoczer-wonawej przestrzeni pustynnej. Któregoś dnia nie wyszła w ogóle z domu. Sędzia Ludovico pamiętał dobrze tę datę, 14 września 1958:

oznaczała całkowite wycofanie się Violet z życia w Agropoli i początek jej „choroby”, jak to zamknięcie się w domu nazwał Derek.

Jego twarz była odtąd, dla mieszkańców Agropoli, odbiciem jej stanu. Jeśli wolno mówić o stopniowym, niepowstrzymanym wzroście wyrazu troski, z rosnącymi również odcieniami popłochu, a może nawet paniki, to tak właśnie ukazywał się Derek Porter mieszkańcom Agropoli. Coraz częściej wyprawiał się do Vallo i do Neapolu, zamykając na klucz drzwi domku obok Zamku. Coraz częściej przyjeżdżali do Agropoli „goście z dużych miast” (włoskich i zagranicznych). I coraz wyraźniej, coraz szerzej rozpinająca swoje czarne skrzydła Nadaremność. Zadawano sobie pytania, dlaczego Derek Porter nie nakłania żony do leżakowania na ganku, dlaczego nie wyprowadza jej od czasu do czasu na spacer. Nie znajdowano na nie odpowiedzi (on sam unikał w rozmowach tematu Violet), bo nie wiadomo, na czym jej „choroba” polega. A czy wiedział Derek, który wymawiał słowo „choroba”, akcentując w głosie cudzysłów? Czy wiedzieli „goście z dużych miast”, w których domyślano się lekarzy?

Zbliżyliśmy się do kapliczki rybaków na Mergellinie. Do jej ściany, grubej tafli szkła, wciąż przyklejony był arkusz papieru z wypłowiałym od słońca napisem o rocznicy śmierci księdza Zeno. Sędzia Ludovico stał przed nim zamyślony.

VII Jak wynikało z późniejszych zeznań Portera w śledztwie, „choroba” Violet stała się dla niego w końcu chorobą. Nie można się było dłużej łudzić: amnezja w ostrej, piorunującej formie, tak szybko postępująca, jakby z każdym dniem choroba pożerała lub niszczyła doszczętnie kolejny płat pamięci. Lekarze nie mieli już wątpliwości co do diagnozy, lecz bezradnie rozkładali ręce, gdy chodziło o próby powstrzymania procesu. „Właściwie rzecz jest nieuleczalna, wolno wierzyć (ale tylko wierzyć), że czułość, wrażliwość i inteligencja otoczenia mogą rozniecić - na dłużej czy krócej - niektóre gasnące iskry pamięci. Naprawdę jednak pozostaje tylko opieka i ciągły nadzór, osoby dotknięte amnezją nie zdają sobie sprawy z tego, co robią. Nie są znane przyczyny choroby ani okoliczności, w jakich się narodziła”.

Porter usiłował przecież wytropić przyczyny i okoliczności. Podczas wojny Violet była energiczna, sprawna i zawsze uśmiechnięta jako sanitariuszka w szpitalu wojskowym koło Guildford. Lubiano ją i ceniono. On, pracując w jednym z londyńskich urzędów wojskowych, mógł mieszkać w ich dawnym mieszkaniu na Chelsea. Widywali się co tydzień albo co dziesięć dni. Nie, nie, nic początkowo nie wskazywało na to, że sprawcą były „doświadczenia wojenne”, jak pisał w pierwszym liście do Agropoli. Dopiero w rok po wojnie pierwsze objawy skłoniły go do odłożenia powrotu do Włoch. Objawy niewinne jeszcze, które brał za roztargnienie. Gdyby natężył był dostatecznie wzrok, dostrzegłby pewnie, że staje się inna: w życiu domowym, przed sztalugami, w rozmowach, w miłości. A przede wszystkim w lekturach. Pochłaniała z dziwnym nienasyconym literaturę o okrucieństwach wojennych, o które nie otarła się prawie w szpitalu na prowincji, które znała głównie z bombowych nalotów na Londyn. Nie chciała o tym mówić, czytanie stało się jakby jej czysto prywatnym, ekskluzywnym obrzędem. Zamykała co wieczór książkę z twarzą, zdawało się, osmaloną płomieniem. W łóżku była

sztywna, napięta, nie pozwalała się zbliżyć do siebie. Zrezygnował z wyjazdów do Ox-fordu, gdzie zachęcano go do podjęcia studiów archeologicznych. Bał się po prostu zostawić ją samą w mieszkaniu, jednym ze znaków zachodzącej w niej zmiany był lęk przed wychodzeniem z domu. W sumie jednak, choć niepokojąca, zmiana nie zapowiadała głębszych zaburzeń. Na krótko przed powrotem do Agropoli, w którym podświadomie pokładał wielkie nadzieje, nastąpiło pogorszenie. Rano przesiadywała godzinami przed płótnem rozpiętym na sztalugach, dotykając go pędzlem w drżących rękach, paliła papierosa za papierosem, co jakiś czas odkładała pędzle i paletę, nakręcała lok na brudny palec i trwała tak długo w zupełnym odrętwieniu somnambulicznym. Nie miał odwagi wytrącić jej z tego odrętwienia, pamiętał z dzieciństwa przekonanie, że somnambulik przebudzony dotknięciem ręki spada lub upada jak ciężka kłoda i może się dotkliwie poranić. Więc siedział przy biurku bez ruchu, lepił z plasteliny swoje figurki i nie odrywał od niej wzroku. Zaczął też wtedy pisać coś w rodzaju dziennika, ale dziennika bardziej transformacji Violet i swojego czuwania nad nią niż własnych przeżyć i myśli.

Przyjęła obojętnie projekt powrotu do Agropoli, ona, która podczas wojny śniła często o ścieżce wiodącej do domku na zamkowym wzgórzu, o morzu kołyszącym przytroczone do brzegu łodzie rybaków. Ale nie stawiała oporu, miała nawet chwile skupienia i zaradności w trakcie pakowania walizek i kufrów. Mimo to Porter nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że wiezie do Włoch bezwolny przedmiot, a nie żywą istotę.

VIII Dwa dni niepogody zablokowały mnie w domu. Jak często bywa w Neapolu, natura wzięła odwet za długi okres słoneczny: lało bez przerwy, niebo przygniotło miasto ołowianymi chmurami, autobusy i samochody poruszały się wolno w potokach wody. Przez chwilę błysnęła mi w głowie myśl zatelefonowania do sędziego, ostatecznie opowiadać można i kuckoprzez telefon. Błysnęła i natychmiast zgasła; Ludo-vico-narrator zrósł się dla mnie ze spacerami na bulwarze nadmorskim.

Pauzę postanowiłem wykorzystać dla przetrawienia historii Porterów, odgadując już mgliście, dzięki rozsianym tu i ówdzie tropom sędziego, ku czemu zmierza. Porzuciłem szybko ten zamiar. Do moich myśli wtargnął niespodzianie i niepodzielnie ksiądz Zeno. Co oznaczały słowa naszej lekarki, że co jakiś czas przepadał gdzieś na długo, że przywoziła go do Bagnoli policja „zagubionego”, zaatakowanego przez nagły przyływ amnezji, którą nazwał krótko przed śmiercią, na korytarzu szpitala, „gorącym oddechem pustyni”? Skąd do niego to określenie? Ile w nim prawdziwego wyrazu własnych uczuć, a ile retoryki zasłyszanej lub świadomie zapożyczanej u nauczycieli sztuki kaznodziejskiej?

Urzekło mnie to określenie, ale urzekło instynktownie, jak zdarza się nieraz z poetyckim zwrotem, który przemożną sugestywnością obrazu wyprzedza wnikięcie w jego sens. Nie wiedziałem jeszcze, jak bliski rzeczywistości był ów sens. Tymczasem wszystko jak gdyby się pomieszało. Wspomnienie ostatniego, śmiertelnego zawału księdza Ze-no i podsunęta mi przez wyobraźnię wizja jego kołowania na bezdrzewnej równinie, na spalonym świeżo polu: szedł przed siebie,

wracał, stawał i dłońmi zasłaniał czerwoną twarz, znów szedł naprzód krokiem pijanego i znów wracał zataczając się, człowiek jedyny, człowiek odepchnięty przez świat, człowiek nieświadomy swego istnienia.

IX Na podstawie zeznań Portera sędzia Ludovico ustalił w chorobie Violet punkt krytyczny, od którego zaczął się zjazd w dół po równi pochyłej, bez żadnych już widoków na opóźniające działanie hamulców. Było to letnią nocą, gdy Violet obudziła się nagle z przejmującym okrzykiem: „Gdzie jestem?!” Porter wziął ją w ramiona, drżała jak mały ptak ze zwichniętym skrzydełkiem w złożonych łukowato dłoniach. Był wstrząśnięty. Powtarzał machinalnie i bezradnie: „Derek, Agropoli”, obsypywał pocałunkami jej rozgrzaną twarz. Nie reagowała na te czułości, chociaż przytuliła się do niego. Po czym zerwała się z łóżka, usiadła w kącie pod sztalugami i powtarzała cicho „gdzie jestem?”, nie zważając na jego obecność, błagalnym tonem modlitwy. O świcie usnęła na siedząco, przeniósł ją ostrożnie do łóżka.

Ludovico zatrzymał się i oparł o murek, był wyraźnie zmęczony, a może i przejęty. Bez słowa patrzyliśmy na zalew w wyrwie między głazami falochronu, gdzie w słońcu bawiło się stado mew; ocierały się zwinnie brzuskami o powierzchnię morza i wypryskiwały w powietrze jak białe pociski.

„Tak - powiedział odetchnąwszy sędzia - tak, trudno w tym nie widzieć punktu krytycznego. Nie wiedzieć, gdzie się jest! Jakaż tortura! Ale czy odczuwała ją w jakiś sposób Violet? Moim zdaniem nie. Przechodziła już na tamtą stronę. Derek Porter był innego zdania”.

Wierzył, że istnieje jeszcze szansa powstrzymania Violet, chwycenia jej za rękę, zmuszenia jej do ocknięcia się, jak się to kiedyś robiło z somnambulikami. Sędzia uważał tę wiarę czy nadzieję za dowód, że mimo wszystkich wywodów i diagnoz lekarskich, mimo własnych obserwacji postępów choroby, Porter nie chciał albo nie był w stanie poddać się oczywistości. Ostatecznie czym jest nadzieja? Bezsilnym buntem przeciw rozpacz. Kto twierdzi, że nie można żyć bez nadziei, twierdzi po prostu, że nie można żyć bez nieustannego buntu.

Łatwo powiedzieć: bunt, sprzeciw. Codzienne fakty powiązane łańcuchem stałego i wciąż szybszego pogorszenia wznosiły między Porterem i żoną gładką, matową ścianę, nie do zburzenia, nie do przebiccia nawet. Kiedy na niego patrzyła, miała to nieruchome oczy ślepej, to pytające spojrzenie: kim jesteś? Rozbierał ją i ubierał, mył ją w wannie, rozczesywał jej włosy, karmił ją, wciskając jej do ust małe kęsy - zgadzała się na wszystko bez oporu, ale gdyby tego nie robił, nie miałyby żadnego odruchu własnej woli, poza jednym: wiecznym, nienasyconym pragnieniem. Potrafiła wypijać litry wody i soków, jak wyprazona na nasłonecznionym piasku. Nie wpływało to jednak (przykro o tym mówić) na samodzielną potrzebę używania łazienki; jeśli na czas nie interweniował, brudziła się przy zupełnym zaniku zmysłu powonienia. Próbował wytrącić ją z odrętwienia wspomnieniami, każdy epizod z przeszłości poprzedzał sakramentalnym „pamiętasz?” Nie, nie pamiętała, i nie było nawet pewne, czy go w ogóle słuchała, zamknięta (zdawało się) pod szklanym kloszem. Czasem wpadał na pomysł posadzenia jej przed białym płótnem rozpiętym na sztalugach i wetknięcia jej w rękę

pędzla i palety z farbami. Długo siedziała nieporuszona, potem w pośpiechu, gwałtownie, z zaciekłością jakby, pokrywała płótno kreskami, plamami, bohomazami, jakie widuje się u małych dzieci, zachęcanych przez rodziców do malowania.

Płynął czas, w Agropoli przywykano stopniowo do widoku tylko Portera, gdy zamknąwszy dom na klucz (po schowaniu zapalek i zagwoźdzeniu kurka od butli z gazem), wychodził do lokalnych sklepów lub wyjeżdżał do Vallo na zakupy.

Że dotknęła dna i pogrążyła się nieodwracalnie w amnezji, zrozumiał z jej pytania, kim jest i jak się nazywa. Nie umiałaby sama odpowiedzieć na podobne pytanie, zwrócone do niej. „Zatrzymali się oboje w czasie - szepnął sędzia Ludovico - ona z łagodnością dotkniętej paraliżem, on usiłując coraz słabiej, z coraz większą rezygnacją wyszarpać domek w Agropoli z martwej, beczasowej mielizny”.

X Nadszedł dzień, którego Derek Porter nie oczekiwał. Był już po jakimś pogodzonym z nieuleczalnością choroby, poddał się, czuł, że z płomienia buntu ocalały tylko tłące się węgielki, wiedział, że jedyne, co może jeszcze dla Violet zrobić, to opiekować się nią z nieustającą czułością aż do jej śmierci. Wierzył i liczył na to, modląc się w duchu, by tak się stało, że przeżyje ją i nie zostawi jej samej. Myśl o tym, że mógłby umrzeć wcześniej, gdy ona w samotności żyłaby dalej nie wiedząc, kim jest i gdzie się znajduje, ta myśl była źródłem jego męki.

Natomiast najczarniejsze jego myśli nie brały w rachubę zjawiska zupełnie niespodzianego, więcej - niewyobrażalnego. Czy mógł być przewidywać, że amnezja jest zaraźliwa? W tym strasznym dniu, na początku jesieni, w dniu przesłoniętym zakopconą szybą między nim i brzegiem morza, w dniu upartej depresji, siedział na leżaku obok okna, od czasu do czasu zerkając do kąta, gdzie w łóżku leżała śpiąca jeszcze Violet. Naraz uświadomił sobie, że materia jego pamięci staje się podobna do postrzępionego i zetlałego sukna, które wkrótce zacznie rozłazić się całkowicie. „Zdawał sobie dobrze sprawę - pospieszył wyjaśnić sędzia Ludovico - że w nim ten proces ma inny charakter, jest nie odbiciem, lecz skutkiem choroby żony”. Byli ze sobą tak głęboko związani od chwili spotkania na studiach, tak stronili zawsze od otoczenia, tak się we dwójkę odizolowali od świata (w pewien sposób nawet podczas wojny, nie mówiąc już o pobycie we Włoszech), że przeszłość Portera przeglądała się w przeszłości żony i na odwrót. Choroba Violet uczyniła bezużytecznym dla niej lustro Dereka. Ale dla niego stłukła, rozbiła na drobne odpryski lustro Violet. Został skazany na utratę pamięci, gdyż utracił uczestnika i świadka swej przeszłości. Dziwnie brzmi „zaraził się amnezją”. A jednak w śledztwie, w zeznaniach Portera, to wyrażenie powtarzało się niejednokrotnie. Od owego jesiennego dnia coraz częściej uprzytamniał sobie, że jego przeszłość skurczyła się do okresu choroby Violet. Ludzie rażeni amnezją tracą świadomość zaniku pamięci, życie usycha dla nich do drobnych materialnych faktów, które zaszły przed chwilą i też szybko usychają. Porter nie utracił tej świadomości, wiedział, że ekskluzywność jego związku z Violet skazała go na towarzyszenie jej w chorobie. „Niech pan posłucha (przystanął nagle sędzia Ludovico), jaką posługiwał się metaforą. Mówił: jeżeli postępującą amnezję

wolno porównać do wycinania kolejnych płatów pamięci, to operacja Violet odbywała się ze znieczuleniem, w uśpieniu, a moja na żywo, na jawie”.

Dość wyraźnym, choć powolnym zmianom ulegał jego stosunek do Violet. Nie zapominał nigdy o swoich obowiązkach opiekuna i pielęgniarza, z dawną pilnością zajmował się doglądaniem żony, ale ze wszystkich jego czynności wyciekła kropla po kropli czułość. Dostrzegał zmianę, a mimo to, ku własnemu zaskoczeniu, nie odczuwał wyrzutów sumienia.

Upłynęła jesień, nastąpiła zima. W tych stronach nie tyle chłodna, co przesiąknięta wilgocią. Dużą część dnia zajmowało mu rąbanie drzewa i ogrzewanie domu. Gdy na południu Włoch przychodzi „dobra” albo „czysta” wiosna, przyroda wybucha z niepohamowaną gwałtownością i szczodrością, następuje jakby wyścig między zielenią roślinności, błękitem nieba i wesołymi, zielonkawoniebieskimi refleksami morza. Porter, żeby przerwać monotonię swego życia, wychodził wcześniej rano na ryby. Siadał na skale w małej zatoczce, mógł stamtąd obejmować wzrokiem domek, w którym spała jeszcze Yiolet.

XI Sędzia Ludovico: „Był w zeznaniach łatwy (nie stawiał oporów), wnikliwy, prawdomówny i prostolinijny. Aż do głównego węzła, do którego przecież śledztwo miało krok po kroku prowadzić. Spiał się wtedy w sobie, naprężył, jeśli nie oniemiał zupełnie, to niewiele do tego brakowało. Nie, nie próbował zaprzeczać czy kłamać, ale z trudem, z bólem w oczach wyrывał z gardła słowa okaleczone lub monosylaby. Zabrała mi dużo czasu i wysiłku rekonstrukcja ostatniego przesłuchania. Podpisał je bez czytania”.

W nocy z 22 na 23 kwietnia obudził się na krótko przed świtem z uczuciem lęku, jakie wywołuje koszmar senny. Nie pamiętał, co mu się śniło. Usiadł w fotelu z bijącym sercem, wpatrywał się w Violet. Spała spokojnie, równomiernie oddychała. Było zapewne z jego strony urojeniem, przywidzeniem, że na jej ustach pojawił się uśmiech. Może sprawił to skurcz wymizerowanej twarzy, ostatnio przestała niemal jeść. Pamiętał, że ten prawdziwy czy rzekomy uśmiech rozniecił w nim coś w rodzaju gniewu, jakby był absurdalnym dowodem, że Violet umyślnie go zaraziła. Wstał w transie, wziął z łóżka swoją poduszkę, położył ją na twarzy śpiącej i nacisnął z całej siły. Nie potrzeba było tej siły, Violet nie drgnęła nawet, posiniały jej tylko obnażone ręce. Po pewnym czasie odchylił poduszkę. Violet była martwa. Usiadł znowu w fotelu, błysnęła mu w głowie szalona myśl, że tak mógłby z nią długo jeszcze żyć, że mógłby kochać umarłą Violet. Wyszedł z domu, przykrywszy przedtem poduszką jej twarz. Wciąż w transie zszedł wolno po skalnych stopniach do morza, spojrzał na zaróżowiony horyzont i uzmysłowił sobie, że świtało już na dobre. Nie rozbierając się, wszedł do morza, nie poczuł zimna, przeciwnie - był ostro smagany gorącym wiatrem, zanurzał się głębiej i głębiej, uciekło mu spod nóg kamieniste dno, woda zalała mu oczy i usta, do dziś wspominał serce przepełnione radością tonięcia.

Uratowali go rybacy, wracający z nocnego połowu. Jak się później okazało, w milczeniu, nie wiedząc, co zamierza zrobić (ekstrawagancje cudzoziemców!), śledzili go z za skalnego występu.



XII Rozprawa sądowa w Vallo delia Lucania trwała jeden dzień. Porter potwierdził na wstępie wszystkie swoje zeznania, odpowiedział cichym głosem *colpevole*, winny, na pytanie przewodniczącego trybunału, zdawał się nie interesować biegiem przewodu sądowego, siedział na ławie oskarżonych z opuszczoną głową. Wzruszał ramionami i milczał, ilekroć nachylał się do jego ucha obrońca z urzędu, podniósł głowę i z wyrazem aprobaty na twarzy słuchał mowy oskarżycielskiej. Przysięgli orzekli: „winny”, przewodniczący trybunału odczytał wyrok: cztery lata z zaliczeniem półrocznego więzienia śledczego. „Zasłużyłem na dożywocie, wymierzę je sobie sam”, powiedział Porter donośnym głosem.

Tegoż dnia wieczorem sędzia Ludovico odwiedził go w celi więziennej. Za tę rozmowę, o której „wolał zamilczeć”, zapłacił w nocy pierwszym zawałem.

Porter odsiedział tylko rok w Ascoli Piceno, resztę darowano mu za dobre sprawowanie i odstawiono go do Anglii. Podobno zaszył się w jakimś małym miasteczku prowincjonalnym w Szkocji. Żył jeszcze? Odsiadywał swoje dożywocie? Domek w Agropoli podarował po powrocie do Anglii londyńskiemu Towarzystwu Archeologicznemu. Przyjeżdżali tam niekiedy profesorowie i studenci z Londynu. Ostatni taki pobyt skończył się tragicznie, nocą po wyjeździe grupy do Anglii domek w Agropoli spłonął doszczętnie w pożarze, spowodowanym prawdopodobnie niedbałością odjeżdżających. Teren, zaklepane czarne zgliszcza, skrawek czarnej pustyni, pozostał własnością Towarzystwa Archeologicznego.

Po raz pierwszy w czasie naszych spacerów wziąłem sędziego Ludovico pod rękę, widząc, że sięgnął do kieszeni po pastylkę nitrogliceryny i wsunął ją szybko pod język.

Przypiekało słońce, poszliśmy na sam koniec mola z latarnią morską, gdzie można było u jej stóp usiąść na szerokim schodku i spokojnie odetchnąć ciepłym powietrzem zatoki.

Luty 1993

Neapol, 18 marca W moim opowiadaniu *Książę Niezłomny (1956)\** przytoczony jest następujący epizod: „Kiedy admirał Cagni wrócił z Bieguna Północnego, urządzono na jego cześć w Turynie uroczysty bankiet i pośrodku stołu ustawiono trofeum z lodu. - Jeżeli tego natychmiast nie zabierzecie - powiedział po przybyciu Cagni - nie tknę ani jednej potrawy. Przez cały okrągły rok nie robiłem nic innego, tylko patrzyłem na lód i walczyłem z lodem. Dosyc”.

Ostatnio miewam nieraz pokusę sparafrazowania admirała w taki mniej więcej sposób: „Jeśli nie przestaniecie wciągać mnie w rozmowy i dyskusje o komunizmie, ucieknę natychmiast i zatrzasnę za sobą drzwi. Przez pół przeszło wieku patrzyłem na komunizm i walczyłem z nim, jak umiałem. Dosyc”.

Potem przychodzi chwila refleksji, a raczej opamiętania. Został pokonany, leży w gruzach, ale czy pora na „uroczysty bankiet” (triumfalny), czy wolno wypalić go gorącym żelazem z pamięci i myśli? Wiem dobrze, że nie. Skonał niby, a przecież daje znaki życia, jak Stalin z ponurej anegdoty, którego chciano już ubrać w paradny mundur do trumny, gdy nagle otworzył jedno oko i groźnie nim łypnął. Komunizm jest czymś więcej niż ustrojem-smokiem, przebitym nareszcie włócznią świętego

Jerzego. Jest po jakimś nieśmiertelny, jest smokiem (żeby pozostać przy tym porównaniu), któremu wciąż odrasta odrąbany ogon.

Zob. przedruk w 2 tomie Pism zebranych.

Redaktor krakowskiego „Znaku”, Jarosław Gowin, zaprosił mnie do udziału w ankiecie, tak formułując jej przedmiot: „Chcielibyśmy powrócić do problemu komunizmu, ale nie z perspektywy historycznej, politologicznej czy socjologicznej; chcemy spojrzeć na komunizm jako na doświadczenie rzucające (to ze znakiem zapytania) światło na fenomen człowieka; innymi słowy, chodzi nam o refleksję na temat tego, co komunizm wnosi do wiedzy o człowieku”.

Ten „znak zapytania” przy „komunizmie jako doświadczeniu rzucającym światło na fenomen człowieka” jest w pełni uzasadniony. Komunizm (i w ogóle totalitaryzm) wydobył tylko na powierzchnię z sekretnych, głęboko ukrytych zakamarków człowieka to wszystko, co w szczególnych okolicznościach może go uczynić podłym i okrutnym; „wnosi więc do naszej wiedzy o człowieku” tylko świadomość, że taka sfera istnieje i że zdruzgotanie wszelkich hamulców moralnych jest wyobrażalne, gdy zaczajone w duszy ludzkiej siły zła dochodzą do głosu w „ideologicznej” aureoli nowych „praw”. Znamienne, że o „innym człowieku” najwięcej nas uczą kataklizmy. Defoe opisał zdegradowane społeczeństwo dżumy londyńskiej z 1665 roku; Camus posłużył się dżumą jako metaforą ludzkiego upadku, z którym usiłują walczyć dwie świętości: chrześcijańska i laicka; ja, pisząc opowiadanie Dżuma w Neapolu\*, miałem przed oczami nie odległy rok 1656, lecz stan wojenny w Polsce. Komunizm jest owocem i wyrazem społecznej, politycznej i duchowej dżumy.

W roku 1920 Bertrand Russell pojechał do Rosji na miesiąc za ledwie, a jego mała książeczka, napisana zaraz po powrocie, *The Practice and Theory of Bolshevism*, wznawiana jest do dzisiaj bez skreślenia czy dodania choćby jednego słowa. Co w ciągu miesiąca zauważył, w przeciwieństwie do rosnącej wciąż sfery „entuzjastów”, którzy na wyścigi pielgrzymowali do „ojczyzny rewolucji i proletariatu Zob. przedruk w 7 tomie Pism zebranych.

światowego”? Zauważył wcześniej i szybko istotę rzeczy. „Zło bolszewizmu polega na tym, że jego źródła tkwią w nieszczęściu ludzkim”. Tylu mamy od roku 1917 przemądrzałych „so-wietologów”, ale żaden z nich nie zdobyłby się na wykrztuszenie tego „banalnego zdania” aż do momentu, w którym opisany przez nich „naukowo” system (także imperialny) zaczął się nagle rozpadać zgodnie z prorocstwem Russella o nieuchronnej „klęsce eksperymentu komunistycznego”. Co jeszcze „komunizm wnosi do naszej wiedzy o człowieku”? Smutną, bardzo smutną, choć nie odkrywczą bynajmniej prawdę, że nikogo nie można być pewnym; że nieodgadniona jest zarówno dzielność, jak nikczemność człowieka; co więcej, że niekiedy towarzyszą sobie jak nierozłączna para.

Postkomunistyczna „lewica” chełpi się zazwyczaj dwoma komunistycznymi przywódcami na dowód, że komunizm bywa czasem „reformowalny” i „otwarty”. Ci przywódcy to Aleksander Dubczek i Imre Nagy. Dubczeka nigdy nie lubiłem, wydawał mi się skrzyżowaniem chytrej poczciwości i tchórzostwa. Moim bohaterem

tragicznym był Nagy, z tą swoją zacną twarzą, z miłymi oczami za staroświeckimi binoklami, z pogodnym uśmiechem, z wąsatą dobrocią. Wyszły ostatnio na jaw dokumenty straszne (ich prawdziwość potwierdził Gorbaczow). W roku 1930 Nagy podpisał w Moskwie zobowiązanie współpracy z policją sowiecką. W roku 1933 otrzymał od swoich zwierzchników pochwałę za wzorową i wydajną służbę. Był agentem i donosicielem przez jedenaście lat, spowodował „likwidację” wielu osób, komunistycznych emigrantów węgierskich i obywateli sowieckich. Kriuczkow z KGB nazywa go dziś „zatwardziałym stalinistą”. Nikt nie uwierzyłby w ujawnione świeżo dokumenty w roku 1956, zresztą określenie „stalinistą” nie mogło wtedy być oskarżeniem w ustach najeźdźców sowieckich. Obecni postkomuniści węgierscy (Grosz 1 towarzysze) znali przeszłość bohatera rewolty z 1956 roku; milczeli, obawiając się „zburzenia narodowego pomnika w sercach Węgrów”.

3 - Dziennik... (1993-1996) 3§

22 marca Największą zbrodnią komunizmu wobec człowieka jest pozbawienie go godności. Ściślej, zmuszenie go, by sam wyzbył się godności w drodze podwójnej operacji: pseudo-religijnego zaczadzenia i przebiegłego poniżenia.

Z rogu obfitości archiwów sowieckich wypadł ostatni list Bucharina do Stalina, napisany 10 grudnia 1937, tuż przed procesem. Zaczyna się od jedynej prawdziwej konstatacji: „Znajdując się na skraju przepaści, bez możliwości odwrotu, daję ci przed śmiercią słowo honoru: nie popełniłem ani jednego z przestępstw potwierdzonych przeze mnie podpisem w śledztwie”. Następuje pseudoreligijne zaczadzenie, zbliżające trochę Bucharina do postaci Rubaszowa z powieści Koestlera. Przyszło mi do głowy, drogi Koba, że jesteś wykonawcą „gigantycznej i odważnej idei czystki powszechnej”. Ta czystka uderzy w winnych, podejrzanych i potencjalnych winowajców. Uprzytomniłem sobie, że należę do potencjalnych winowajców. A jeśli tak, to byłoby rzeczą małostkową stawiać własną osobę i własny los ponad „globalnymi zadaniami historycznymi”. Boję się jednak, drogi Koba, że ty uwierzysz naprawdę w moje rzekome zbrodnie. A popełniłem tylko jedną: w roku 1928, zapewniwszy cię słowem honoru (charakterystyczne, jak często Bucharin odwołuje się do „słowa honoru”), że jestem niezdolny do intryg, w kilka dni później pobiegłem do Kamie-niewa. „Nie jestem chrześcijaninem... lecz ten fakt mógłby być moim judejskim grzechem pierworodnym”. Ach, Koba! „Gdybyś posiadał instrument pozwalający zajrzeć do mojej duszy, umęczonej i broczącej krwią, ujrzałbyś wówczas, jak bardzo cię kocham. No, ale to jest psychologia, wybac. Nie ma anioła, który potrafiłby powstrzymać wiszący nad moją głową miecz Abrahama”.

A teraz do rzeczy, nie wstydzisz się poniżenia, prosić, błagać, byle w sposób przebiegły. Błagam cię, Koba, jeżeli mam być skazany na śmierć, niech otrucie zastąpi rozstrzelanie; najlepiej dajcie mi kielich morfiny. Pozwólcie mi zobaczyć przed procesem moich bliskich. Zależy mi na widzeniu przed, bo po procesie mogliby uwierzyć w moje zeznania i odebrać sobie życie; muszę ich więc przygotować. A jeśli, jakimś cudem, zostanie mi darowane życie, chciałbym pojechać do Ameryki: tam będę twoim wiernym sługą, Koba, zajmę się z entuzjazmem zwalczaniem trockizmu; jestem nawet zdolny „rozbić Trockiemu mordę”. Dla

pewności przydzielcie mi czekistę, a żonę z dzieckiem zatrzymajcie na jakiś czas w ZSSR. Jeśli zaś skażecie mnie na dwadzieścia pięć lat Peczory lub Kołomy, obiecuję założyć w tych łagrach kurs uniwersytecki, muzeum, galerię sztuki, dziennik lub czasopismo. Jednym słowem, obiecuję żyć tam z rodziną i pracować owocnie do końca moich dni.

Leninowski „ulubieniec partii” w roli żalosnej szmaty. Nie otrzymał naturalnie żadnej odpowiedzi na ten list (dopisał w nagłówku: „Bez zezwolenia J. W. Stalina nikomu nie wolno czytać”). Zawiedziony, spróbował podczas procesu w 1938 roku podnieść odrobinę bodaj głowę do góry.

23 marca Po tym, co się stało, pouczająca może być ponowna lektura *The God That Failed - Six Studies in Communism*, książki, która ukazała się w roku 1950 i wywołała (jak pamiętam z Londynu) ogromne zainteresowanie. Spowiedź sześciu „eksów” - Koestlera, Silonego, Gide’a, Wrighta, Fischera i Spendera - miała być dla czytelnika lekcją pogładową, dlaczego luminarze literatury (dobrani w konfesjonale przez labourzystowskiego posła Crossmana) wstępowali w szeregi komunistów i dlaczego je porzucali. Przeszło czterdzieści lat temu czytałem *Fałszywego Boga* jako antologię „zdrady klerków”, kładąc większy nacisk na wspólny mianownik sześciu „eksów” niż na dzielące ich różnice. Z perspektywy niemal półwiecza różnice stają się jaskraw-sze. Jeśli pobudki akcesu do komunizmu trudno w pełni zindywidualizować, to w każdym razie szóstka da się od biedy podzielić na trzy-cztery kategorie.

Do pierwszej należą Koestler i Fischer. Koestler nazwał kiedyś (imitując Picassa) swój akces do komunizmu przytknięciem spieczonych warg do źródła świeżej i czystej wody. Ten poetycki obraz jest wyjaśnieniem na wyrost. Koestler i Fischer zbliżyli się do partii z dwóch bardziej prozaicznych przyczyn: logiczny i zwarty wydał im się marksizm; nie wierzyli w zdolność i chęć oporu „burżuazyjnych demokracji” wobec rosnącego niebezpieczeństwa faszyzmu i hitleryzmu. Koestler odnosił się z obojętnością i nieuważą do doli „prostych ludzi”, łatwo to dostrzec w jego późniejszych pamiętnikach, gdzie opisuje swój roczny pobyt w ZSSR. Pociągała go przede wszystkim, podobnie jak Fischera, „żelazna doktryna antyfaszystowska”. Obaj zerwali z partią na wiadomość o pakcie Mołotow-Ribbentrop.

Sądziłem niegdyś, że Silonego i Gide’a łączył w akcesie do komunizmu impuls religijny. Silone był na pewno komunistą chrześcijańskim. „Warunki życia ludzkiego w moich rodzinnych Abruzzach były zawsze bardzo ciężkie; cierpienie przyjmowano tam jako jedno z głównych praw natury, czcząc i witając w nim radośnie symbol Krzyża. Fran-ciszkanizm i anarchizm były jedynymi formami buntu. Popiół sceptycyzmu nie zasypał nigdy w sercach tych, którzy cierpieli najwięcej, prastarej nadziei Królestwa Bożego na ziemi i oczekiwania, że miłosierdzie zajmie w końcu miejsce prawa”. Chłopięca edukacja w abruzyjskiej rodzinie chłopskiej doprowadziła Silonego do partii. Po zerwaniu, opisanym pięknie w *Wyborze towarzyszy*, pozostała mu słynna formuła, którą tak lubię: „Jestem chrześcijaninem bez Kościoła i socjalistą bez partii”. A Gide? Mogło się wydawać, że i on, nie rozstając się od dzieciństwa z *Pismem Świętym*, wypominający

Claudelowi, że katolicy nie znają Ewangelii, odkrył nową religię świecką i kto wie, czy nie zapragnął zostać jej arcykapłanem na Zachodzie (za zgodą Moskwy). Po Powrocie z ZSSR rozstał się z myślą o komunistycznym kapłaństwie do tego stopnia, że inwazję hitlerowską w czerwcu 1941 pokwitował w dzienniku zapisem o „uroku kwiatów, drzew i młodych ciał”.

Silonemu był raczej bliski pisarz murzyński Wright, wychowanek slumsów w Chicago, szukający ucieczki od dyskryminacji rasowej w cieniu „komunistycznego Boga wszystkich ludzi, niezależnie od koloru ich skóry”. A przecież właśnie Wright, przyjąwszy komunizm jak dziecko pierwszą komunię - w sposób naturalny i naiwnie szczerzy - wypluł go natychmiast z obrzydzeniem, gdy poczuł na języku gorzki smak duchowej niewoli.

Ostatniego z szóstki „eksów”, Spendera, zaliczyłbym do tej specyficznej pepiniery Oxfordu i Cambridge, która intelektualny snobizm „ludowy”, liberalny przesyt połączyła z kultem „wschodzącej siły i potęgi sowieckiej”; i która, między innymi, obdarzyła świat angielską galerią agentów sowieckich w osobach Kima Philby, Macleana i Burgessa, Sir Anthony Blunta.

Wydana właśnie książka amerykańskiego profesora Tony Judta French Intellectuals 1944-1956 odsłania francuską gnojówkę „intelektualną” na lewicy. Dla po-gidowskiej formacji Sartre i Spółka komunistyczny Bóg okazał się nie tyle fałszywy, co po prostu nudny. Porzucili go bez potrzeby jakichkolwiek wyjaśnień.

24 marca Dzięki uprzejmości wydawcy włoskiego czytam polski maszynopis nowej książki Ryszarda Kapuścińskiego Imperium. Dojechałem do połowy, już widać, że długie włóczęgi sowieckie Kapuścińskiego obrodziły książką świetną. Jak głębinowy nurek, opuścił się w pobliże dna Imperium, tego dna, na którym (jak powiada) „zaczyna ożywać wulkan”. Podoba mi się porównanie Imperium do jeziora: „Na spokojnej, gładkiej powierzchni pojawiają się bąble. Z czasem jest ich coraz więcej. Tu i tam woda zaczyna wrzeć. W głębi słychać stłumione pomruki.

Kapuściński cytuje książkę historyka Ejdelmana Odgórna rewolucja w Rosji. Zdaniem Ejdelmana wszystko - zwroty, rewolucje, wstrząsy, przełomy - było w dziejach Rosji odgórne; energia narodu rosyjskiego wyładowywała się zawsze nie w oddolnych, samodzielnych inicjatywach, lecz w wypełnianiu woli rządzących. Nigdzie jak w Imperium nie jest tak ostry - i tak zdawałoby się nieodwracalny - podział społeczeństwa na rządzących i rządzonych.

Gazety w tych dniach pełne są depesz i artykułów o „wyzwaniu Jelcyna”. Postawi na swoim, czy rozpęta wojnę domową? Jest to pytanie powierzchowne. Należy zapytać (i tu czuję zgodność moich poglądów z wielkim reportażem analitycznym Kapuścińskiego), czy powolny proces dojrzewania, dorastania rządzonych nie zostanie gwałtownie przerwany przez rządzących w imię powrotu do dawnego, „bezpiecznego” podziału. Jeśli Jelcyn to rozumie, jeżeli, popełniając nawet takie czy inne błędy, potrafi obronić proces dojrzewania rządzonych, to będzie po jego stronie, jak jest po jego stronie, choćby z licznymi zastrzeżeniami, Sołżenicyn. Dziś Rosja jest zagrożona przez aparatczyków o zakutych łbach, zwykłych żulików z dawnej nomenklatury i efekciarskich linoskoczków „leninowskich” w

rodzaju Gorba-czowa. Jelcyn zdaje się być ulepiony z innej gliny. I wyczuwam w nim (może błędnie) tak dziś ważne - nie tylko zresztą w Rosji, także w byłych „demoludach” - docenianie czynnika cierpliwości i stopniowości w otrząsaniu się rządzonych z niewolniczej akceptacji odgórnego zawsze trybu funkcjonowania społeczeństwa.

25 marca;:

Jerzy Pomianowski przysłał mi wiersz Leonida Marty-nowa Łańcuch. Przełożył go po mitrzowsku. Warto było potrudzić się, Martynow napisał najpiękniejszy i najmądrzejszy chyba wiersz epoki pieriestrojki. Napisał go w roku 1986, krótko przed śmiercią. Był wieloletnim więźniem Gu-łagu, wrócił do Moskwy na fali „odwilży” Chruszczowa.

Z kłamstw, niedomówień i wykrętów niełatwo będzie się wyleczyć. Tęgie spleliśmy sobie pęta, łańcuch za nami wciąż się wlecze. Na rękach człowiek go nie czuje i nie ma go na podorędziu. Języków ludzkich nie krępuje, ale w języku dźwięczy wszędzie. Na nogach znikły ślady oków i myśli człowiek, że to przeszłość, lecz zgrzyta coś na każdym kroku i skrzypi, chrzęści pod podeszwą. Pono to rzecz nieważka zgoła, a jednak twarde te ogniwa w pył zapomnienia zetrzeć zdoła rdza sama jedna, rdza cierpliwa.

Łańcuch jest dokładną ilustracją tego, co zapisałem w dzienniku wczoraj. Mógłby się nazywać Rdza, bo to ona właśnie, ta „rdza cierpliwa”, jest synonimem prawdziwej przemiany w pokomunistycznym Imperium, rdza, która latami, jeśli nie pokoleniami, przeżerać będzie łańcuchy, oplatające w stronie gospod, w stronie rabów państwo, społeczeństwo i człowieka; łączące rządzących i rządzonych w jednym układzie poddaństwa, a nie swobodnego życia zrzeszonego. A gdy, przeżarte rdzą, pękną wreszcie te łańcuchy? Odzywają się ostrzegawcze pogroźki: ślepe wybuchy rewolucyjne, morze krwi, kolejny „wilczy wiek” mandelsztamowski. Nie wierzę w te pogroźki. Upiory rewolucji zostały wyegzorcyzmowane, jest trochę tak jak w Hiszpanii, gdzie wojna domowa z milionem ofiar powstrzymywała niebezpieczeństwo repetycji. Wierzę raczej w okres bezkrwawej lub stosunkowo mało krwawej smu-ty, która dzieło „cierplivej rdzy” naznaczy drgawkami anarchii.

Słyszę w wierszu Martynowa poważny, głęboki głos w duchu Norwida. Dlaczego nie usłyszałem go w żadnym współczesnym wierszu polskim? Nie mówię, rzecz jasna, o dalekiej już „sorealistycznej” epoce poezji lokajskiej i „konstruktywnej”.

28 marca Tak, książka Kapuścińskiego Imperium jest świetna. Powinna być włączona do obowiązkowych lektur szkolnych, bo zapatrzeni jak sroka w kość w Zachód, skłonni jesteśmy wciąż zapominać, że nasza przyszłość związana jest z rosyjskimi resztkami Imperium, z Ukrainą, z Białorusią, z krajami bałtyckimi (bardziej nawet niż z „trójkątem wyszehradz-kim”). Jest w Polsce kilku autorów piszących ze znanostwem przedmiotu o „domenie wschodniej” (Przebinda, Zajączkowski, Kowalczyk, Romanowski, Drawicz, Podgórzec), za mało jednak, by powstała konieczna orientacja kulturalna i polityczna, która zastąpi dawne urzędowe „towarzystwa przyjaźni” autentycznymi, żywymi stosunkami. Imperium

Kapuścińskiego mogłoby tu odegrać dużą rolę. Mam nadzieję, że zostanie szybko przełożone na rosyjski.

Nie zawiera, na szczęście, żadnych „rewelacji”, tak modnych wśród reporterów zachodnich, zaczytujących się w komunałach Gorbaczowa, ogłaszanych regularnie (lukratywny kontrakt!) w turyńskiej „Stampie” i przedrukowywanych na całym świecie. Na większą skalę jest w tonie Sachalinem Czechowa, spokojną, rzeczową, mądrą relacją, której uczciwość polega (jak u Czechowa właśnie) na bezustannym ilustrowaniu ryzykownych zawsze uogólnień i „syntez” konkretnymi przypadkami „z dołu” (niektóre są załączkami nowel). Podobnie jak w Sachalinie, przewijają się nieustannie w Imperium ludzkie losy i ludzkie twarze. Kapuściński posiada też czechowowski dar melancholijnej mądrości, przyzwoitości i prostolinijności, który we współczesnej Rosji był jedną z głównych zalet Sacharowa. Sołżenicyn to inna parafia; potrafi zachłystywać się Rosją carską jako „bogatym i kwitującym” krajem, czego nigdy nie zrobił Czechów (ileż było goryczy w jego sztukach, nowelach i listach!) i czego nie zrobiłby nigdy Sacharow.

Kapuściński pisze słusznie o walce sił integracji i dezintegracji, o konflikcie chrześcijaństwa i islamu, o postępującym w społeczeństwie sowieckim zróżnicowaniu materialnych warunków życia (bogaci coraz bogatsi, biedni coraz biedniejsi, jak w Polsce, gdzie kapitalizm żarłoczny, bezwzględny, agresywny jest głównym atrybutem „wścieklizny prawicy”), o trzech plagach: nacjonalizmu, rasizmu i religijnego fundamentalizmu, o zawrotnym rozwoju mafii kryminalnych (tu brak mi analizy mafijności sowieckiego życia politycznego, zarówno wczoraj, jak dzisiaj), o powrocie „przeklętych” problemów i dylematów na gruzach socjalizmu. Książka, obok akcentu optymistycznego („wielkie społeczeństwa mają wielką siłę wewnętrzną”), kończy się tołstojowską odmianą gogolowskiej trójki: „jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie, co się z nami dzieje!” Mam ochotę powiedzieć: kończy się, oczywiście. Gdyż nikt, poza zawodowymi „sowietologami”, nie odważy się zgodnie z sumieniem i z wielokształtną rzeczywistością nakreślić w zarysach choćby „postimperialne jutro” siedemdziesięcioletnich rządów „utopii u władzy”.

kwietnia Jan Józef Szczepański: „Dla mnie prawdziwym skandalem i kpina z sprawiedliwości jest to, że prokuratorzy i sędziowie, którzy skazywali zasłużonych, bohaterskich ludzi na śmierć, a także oprawcy, którzy ich torturowali, żyją sobie spokojnie i pobierają specjalne podwyższone emerytury. Ta sprawa musi wreszcie zostać załatwiona”.

Podpisuję się pod każdym słowem wypowiedzi Szczepańskiego z końca marca. Jak solidaryzowałem się z każdym słowem listu dwudziestu dziewięciu O sprawiedliwość i prawdę z końca stycznia. Na ten list odpowiedział Stefan Bratkowski dwoma artykułami: O mądrość narodową Polaków i Zemsta jest rozkoszą bogów, a nie mądrością narodów. Tytuł pierwszego artykułu zmieniłbym na O głupotę narodową Polaków, bo jest nawoływaniem do głupoty stawianie „miłosierdzia”, „przebaczenia” ponad działaniem prawa i wymiaru sprawiedliwości. Jest próbą wpędzenia Polaków w ślepią uliczkę bezprawia, dezynwoltury wobec elementarnych zasad normalnego życia społecznego i narodowego. Po co oklepanym

frazesem piętnować „zemstę jako (nie)ludzką rozkosz bogów”, gdy chodzi nie o zemstę, a o przekonanie Polalców, że żyją nareszcie pod rządami prawa? Skąd się wzięła ta moda na „miłosierdzie” i „przebaczenie” w cudzym imieniu ofiar przemocy i prześladowań (jak kiedyś istniała moda na bicie się za własne grzechy w cudze piersi)?

W jednym z poprzednich zapisów przytoczyłem wspomnienie Silonego o tym, jak w jego stronach rodzinnych za dawnych czasów „popiół sceptycyzmu nie zasypał nigdy w sercach tych, którzy cierpieli najwięcej, prastarej nadziei Królestwa Bożego na ziemi i oczekiwania, że miłosierdzie zajmie w końcu miejsce prawa”. Piękna to nadzieja, lecz dopóki nie zapanuje Królestwo Boże na ziemi, lepiej i mądrzej jest ufać prawu i bronić jego miejsca w naszym życiu. Anielscy orędownicy „mądrości narodowej Polaków” powinni o tym pamiętać.

8 kwietnia &o:?'-''??,-.-.',vi | ii;(

Co jakiś czas oczekuję, że przetrzāsane gorliwie archiwa sowieckie potwierdzą moją czysto hipotetyczną opowieść kryminalną Siedem śmierci Maksyma Gorkiego. Nie zanosi się na to, przynajmniej chwilowo. „Litieraturnaja Gazieta” ogłosiła rozmowę z kierownikiem archiwum Gorkiego przy Instytucie Literatury Światowej. Rozmowę o tyle wymijającą, a nawet lekko komiczną, że otwierają ją spekulacje na temat „tajemniczej walizki” baronowej Mury Budberg. W czym rzecz? Mura była sekretarką i kochanką pisarza. Książka o niej, Żelazna kobieta, napisana przez Ninę Bier-bierową, ustala „skrupulatnie”, że wiosną 1934 roku w Sor-rento, w przeddzień powrotu Gorkiego na stałe do ZSSR, powstał problem losów jego bogatego archiwum. Część została już wysłana do Moskwy, część bardziej poufna, a nawet „niebezpieczna” powinna była, zdaniem pisarza i jego dworu, pozostać za granicą. Baronowa Budberg, zamieszkała wtedy w Londynie, zaproponowała, że zabierze wyłączoną część w dużej walizie do Anglii. Górki zgodził się na to, ale (jak pisze Bierbierowa) postawił warunek: jeżeli ktoś z Moskwy, nawet on sam, poprosi o przesłanie jakichś dokumentów lub listów z walizy, Mura ma kategorycznie odmówić. Ale po dwóch latach pobytu w Moskwie pisarz poczuł zbliżającą się śmierć i zapragnął raz jeszcze uściskać swoją Murę. Stalin zgodził się na wydanie jej wizy, jeśli przywiezie drogocenną walizę. Rozumiem z książki Bierbierowej, że życzenie dyktatora zostało spełnione. Trudno się powstrzymać od uśmiechu.

W dość mętnej, plotkarskiej i literacko nieudanej książce Bierbierowej jeden akapit jest wiarygodnym i skromnym kluczykiem do zagadkowej postaci baronowej Budberg. „W Moskwie uważano Murę za tajnego agenta angielskiego, w Estonii za szpiega sowieckiego. We Francji emigranci rosyjscy sądzili, że jest na usługach Niemiec. W Anglii uchodziła za agenta sowieckiego. Peters mówił o niej, że jest szpiegiem niemieckim w Czeka. Nie wiadomo, jak oceniała Murę policja Mussoliniego”. Prawdopodobnie baronowa była wszechstronna w obu dziedzinach: szpiegowskiej i erotycznej. W każdym razie trzeba mieć w głowie nie wszystkie klepki w porządku, aby uciekać desperacko przed prawdą o Gorkim, aby przypuszczać, że baronowa Budberg przywiozła „tajną walizę” do Moskwy dopiero podczas swojej wizyty pożegnalnej u Gorkiego. Jestem pewien, że oddalają komu



należy natychmiast po przyjeździe do Londynu w roku 1934. Stalin miał więc dostatecznie dużo czasu na przeczytanie niezbyt pochlebnych o sobie wypowiedzi Gorkiego, wyłączonych do „tajemniczej walizy” z archiwum pisarza. Co prawda w ciągu ostatnich dwóch lat życia Gorkiego w Moskwie oswoił go i wytresował odpowiednio, zrobił pieska pokojowego z wilczura, utyłł go w błocie wizyty na Sołówkach i pisarskiej „inspekcji Biełomorka-nału”, ale nagle powarkiwanie Gorkiego w roku 1936 skłoniło zapewne Wodza do zaaranżowania „siódmej śmierci” ulubieńca narodu sowieckiego, świętego barda postępowej inteligencji sowieckiej, „ukochanego przez nas wszystkich Aleksieja Maksimowicza”.

75 kwietnia Przeglądam wspaniały katalog wystawy Brunona Schulza w Muzeum Literatury im. Mickiewicza, przysłany mi przez dyrektora Janusza Odrowąż-Pieniążka. I czytam, co o Schulzu napisał Francesco Cataluccio, prelegent na wieczorze schulzowskim w rzymskim Instytucie Kultury Polskiej (nie mogłem na ten wieczór pojechać, poprosiłem więc mojego włoskiego przyjaciela o tekst jego odczytu). Szkic Cataluccia jest bardzo dobry, sugestywnie zatytułowany Niema samotność w lustrze, mit i metamorfoza w twórczości Schulza. Mam mglistą potrzebę posunięcia się o krok dalej, poza „mit i metamorfozę”. Uderza mnie motto do serii autoportretów w katalogu, zdanie z Samotności Schulza o „naszych spojrzeniach, które przestają się spotykać”, o spojrzeniach Schulza przed lustrem i Schulza odbitego w lustrze. To właśnie owa „niema samotność w lustrze” z tytułu szkicu Francesca. I czuję, że moja mglista potrzeba posunięcia się o krok dalej w spojrzeniu na drohobyckiego artystę staje się trochę mniej mglista.

W wielkiej i genialnej literaturze zdarzają się wielkie i genialne porażki; pragnienia tak ambitne, że muszą pozostać w sferze nienasycenia. To był wypadek Leśmiana. Pisałem o nim przed wielu laty (1948): „Świat rozbity na czyste kryształy barw, kształtów i uczuć zaczyna się rozchwiewać i zacierać w swych zarysach, zaludnia się cieniami i zjawami. Leśmian traci stopniowo poczucie realności i materialności, porusza się wśród swych widm niepewnie i po omacku. Miejsce bujności i zachłanności Łąki zajmuje w Napoju cienisty znikliwość i nijakość. Poza «krawędziami bytu» rozpościera się bezludna i wymarła pustynia. Kwiaty, którym odebrano «zielen samą w sobie», więdną. Jakież tragiczne widowisko! Jakież smutny koniec wielkiej podróży poetyckiej! Nasycony i napojony życiem ponad miarę, leży oto «topielec zieleni», «widemko niemrawe», uczeń czarnoksiężski, który wyzwolił urodę świata i przekonał się, że poza granicami czasu i przestrzeni to ona, ona właśnie, jest martwością i śmiercią”.

Schulz uwielbiał Leśmiana, Łąkę znał na pamięć. Myślę, że w tych dwóch poetach, w dwóch duszach bliźniaczych rozgrywał się pokrewny dramat sztuki sięgającej za wysoko, tam gdzie artysta przestaje być tylko artystą, przeobraża się na mgnienie oka w Demiurga, pragnie zobaczyć „rzeczy same w sobie”, proces „stawania się”, sekret kreacji przyrody, ludzi, ich metamorfoz i mitów, realności i nie-ziemskości w nieustannym statu nascendi. I ponosi porażkę. Ale zanim do tej porażki dochodzi, udaje mu się w sposób olśniewający stworzyć i utrwalić tajemniczą sferę „pomiędzy”, sferę, w której przestaną w końcu spotykać się

spojrzenia twórcy i jego odbicia w dziele sztuki. W której miejsce widzialnych lub wyobrażonych zjawisk zajmą widma.

20 kwietnia Wers poety greckiego Archilocha: „Lis wie wiele rzeczy, /ale jeź jedną niemałą”. Isaiah Berlin w eseju Jeź i lis (przekład polski zawdzięczamy wydawnictwu Pavo) posługuje się wersem Archilocha, aby pisarzy i myślicieli podzielić na? dwie kategorie: istnieje ogromna przepaść między przedstawicielami jednej centralnej wizji, jednego spójnego systemu, jednej powszechnej zasady (Jeże) i rzecznikami błędzenia na wielu poziomach, chwywania istoty rozmaitych doświadczeń i rzeczy (lisy). Dante jest jeżem, Szekspir lisem. Jeżami są Dostojewski, Hegel, Proust, lisami Montaigne, Balzac, Joyce. A Tołstoj? Esej Berlina analizuje jego poglądy na historię i dochodzi do wniosku, że z natury był lisem, uważał się jednak za jeża. Nicola Chiaromonte, który swój szkic Tołstoj i paradoks historii oparł w dużym stopniu na książeczce Berlina, stawia kropkę nad i. Kiedy Tołstoj odwiedził w roku 1861 Proudhona w Brukseli, myśliciel francuski pracował nad książką *La guerre et la paix*. Tołstoj zapożyczył od niego tytuł swego arcydzieła i (prawdopodobnie) „je-żowata” formę „boskości” jako siły inspirującej historię. Ale był lisem w spojrzeniu na rzeczywistość. Berlin: „Tołstoj postrzegał rzeczywistość w całej jej różnorodności jako zbiór oddzielnych, realnie istniejących rzeczy i widział wszystko, co jest wokół i wewnątrz nich, tak jasno i z taką wnikliwością, jak chyba nikomu i nigdy to się nie udało - lecz wierzył w jedną wielką jednolitą całość”. Była to „jednolita całość” w sensie niewidzialnej siły czuwającej z wysoka nad wypadkami, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć inaczej niż jako wypadki chaotyczne i niezależne od „przyczyn sprawczych”. „Boskość” Proudhona nie miała posmaku religijnego, była może tym, co lis nad lisami Szekspir widział jako ukryty mechanizm suwerennych z pozoru działań ludzkich.

W roku 1901, w rozmowie z Paulem Boyer, Tołstoj wyznał, że wszystkiego, co wie o wojnie, nauczył się z opisu bitwy pod Waterloo w Pustelni parmeńskiej, kiedy to Fab-rycy del Dongo wędruje po polu bitwy „nic nie rozumiejąc”. Tę koncepcję - wojny „bez panache” i „upiększeń” - zweryfikował później na własny rachunek w wojnie krymskiej. Wtrącę tu weryfikację osobistą: od Stendhalowskiego opisu zacząłem wspomnienie bitwy pod Monte Cassino, w jej ćwierćwiecze; do dziś, a więc po półwieczu, trzymam się mądrości Pustelni parmeńskiej, kładę nacisk w urwkowych i beładnych reminiscencjach na słowa Fabrycego „nic nie rozumiem” (nie dotyczy to tylko prostych żołnierzy, jak ja - w nocy przed zwycięstwem Anders nie wiedział, czy bitwa została wygrana, czy przegrana).

Ale dzisiaj pytanie jest inne. Miałem - podobnie jak Stendhal i Tołstoj - poczucie nadrzędnej całości, swoistej, niedostrzegalnej w tle „boskości” wśród płątaniny zdarzeń i ludzi? Tak, miałem je. Miał je francuski bonapartysta Stendhal, miał je denigrator Napoleona i gloryfikator Kutu-zowa, wielki Tołstoj. Otóż, według mnie, to się w naszej bieżącej epoce kończy. Jeź zdycha, lis kołuje oszalały z pia-. na na pysku. „Boskość” historii, nawet w areligijnym znaczeniu Proudhona i Tołstoja, staje się szyderym, wydrażonym z jakiegokolwiek treści, upiorem.

3 maja Mój zmarły przyjaciel K., programowy ateista, uważał zbieg okoliczności, koincydencję, za niższą formę cudu; czyli za jedyny namacalny dowód istnienia Boga. Z pobłażliwym uśmiechem słuchałem zawsze jego wywodów, zapalczywych, znaczonych błyskami w oczach, jakby z przewrotnym zadowoleniem odsłaniał szczelinę w swoim ateistycznym pancerzu. Lubił, podniecony, perorować: „Tego rozumem nie obejmuję, więc muszę uczciwie przyznać, że istnieje coś nieuchwytnego. Nazywaj to, jeśli chcesz, ręką Boga. Mnie wystarczy powiedzieć: tajemnicza, niedocieczona, a zatem cudowna koincydencja”.

O „cudownej koincydencji” miałem nieco inne wyobrażenie, mniej uduchowione, bardziej za to plastyczne. Wyobrażałem sobie, dowodów na istnienie Boga szukając gdzie indziej, że wszechświat jest ogromną tkaniną z bardzo skomplikowanym, nieustannie uzupełnianym, lecz dla bystrego spojrzenia czytelnym (po części przynajmniej) deseniem. Owa tkanina pruje się niekiedy i wówczas zbiega-j ą s i ę dość odległe okoliczności (nasze i cudze losy), tworząc koincydencję właśnie, spotkanie, do którego inaczej nie mogłoby w ogóle dojść. Zagadką, może boską zagadką, jest okresowe prucie się deseniu.

Moim zbiegiem okoliczności, cudownym zaiste, było dzisiejsze wtargnięcie Birmy po tyłu, tyłu latach. Rano przyszedł list z Rangun, preadresowany z „New York Times Book Review”. Nadawca przeczytał w tygodniu artykuł o mojej książce wydanej w Stanach i postanowił zapytać, czy go pamiętam. Bo on pamięta mnie doskonale, w roku 1952 był moim przewodnikiem w Rangun. Pamiętałem 1 ja, zwłaszcza że do listu dołączył swoją młodzieńczą fotografię. U jego boku oglądałem, słuchając objaśnień, Złotą Pagodę w Rangun i Kamiennego Buddę za miastem. Zadziałał mechanizm reminiscencji, obrazy zepchnięte do najgłębszych piwnic pamięci wypełzły i odżyły z nadzwyczajną wyrazistością. Autor listu chciał się dowiedzieć, czy opisałem także kiedykolwiek moją podróż do Birmy; jeśli tak, czy mógłbym mu podać tytuł i wydawcę książki. Rzecz prosta, dla mieszkańca Rangun, znającego poza swoim językiem ojczystym jedynie angielski, nie posiadałaby żadnej wartości informacja o mojej polskiej książeczce Podróż do Burmy. Napisałem więc tylko zdawkowy, serdeczny liścik. Gdy po południu wyszedłem z domu, aby go wrzucić do skrzynki pocztowej, stanąłem naraz jak wryty przed świeżym plakatem na rogu ulicy: kino w górnym Neapolu wyświetla „tylko dziś” film Harfa birmańska. Widziałem ten stary film dwukrotnie, z niezmiennym zachwytem, wkrótce po powrocie z Birmy. Wieczorem, przejęty zbiegiem okoliczności, wyprawilem się do górnego Neapolu. A teraz, późną nocą, usiłuję zrozumieć sens „cudownej koincydencji”.

Aby koincydencję nazwać (jak K.) „niższą formą cudu”, trzeba z niej wyłączyć czynnik zwykłego przypadku i zaufać wyłącznie intuicji, skoro nie działają tu sprawdziany „racjonalne”. Intuicja zaś jest płomykiem, który zapala się i natychmiast gaśnie. Byłem tego płomyka pewien. Musiałem odkryć, co łączyło moje zwiedzanie Rangun i okolic z japońskim żołnierzem-harfistą z filmu.

Nie wchodziła w grę Złota Pagoda, jednostajna w swoim architektonicznym i dewocyjnym przepychu. Należało całą uwagę skupić na Kamiennym Buddzie.

Słynął ze swoich rozmiarów, z nich przede wszystkim byli dumni Birmańczycy. Sześciopiętrowy posąg, szepnął mój przewodnik. I jak wyuczoną formułę (wszyscy na świecie przewodnicy posługują się takimi gotowymi formułami) zaliczył go, z przechwałą w głosie powołując się na Normana Douglasa, do Upstairs Gods przeciwstawionych grecko-rzymskim Downstairs Gods\*. Zacytowałem to rozróżnienie w mojej książeczce.

Kamienny Budda wykuty został w pozycji pólężącej na szczycie płaskowyżu, z głową opartą o prawą rękę. Sześć pięt liczy od pasa do czoła. Lewa ręka przyłożona wzdłuż ciała jest gigantyczną maczugą, z potężnej głowy zrywa się Bogowie wyższej rangi... Bogowie niższej rangi. (Tłumaczenia wybranych cytatów i zwrotów obcojęzycznych zostały dodane przez autora opracowania - Z.K.).

#### *4 - Dziennik... (1993-1996) 49*

i wciąż wraca na dawne miejsce stadko ptaków, jak z samotnej skały morskiej. Nie do wyrzeźbienia jest uśmiech Nirwany w takim ogromie.

U stóp posągu klęczała gromadka drobnych mężczyzn i kobiet, uderzając rytmicznie głowami o złożone na ziemi ręce. Trudno Kamiennego Buddę widzieć inaczej, a może po to właśnie legł na wzgórzu, ponad mnichami w celach-ziemiankach na zboczu, ponad klęczącymi, ponad Ran-gunem na horyzoncie: symbol boskiej grozy i przekleństwa losu ludzkiego.

Harfa birmańska rozgrywa się w ostatnich tygodniach wojny. Żołnierz japoński, zamiłowany harfista, odmawia powrotu do kraju ze swoimi towarzyszami broni. Złota Ziemia (tak nazywana jest Birma) usiana jest trupami poległych żołnierzy, harfista zostaje, by je pogrzebać. Przemierza pobojuwisko z torbą jałmużniczą i harfą na ramieniu, grabarz z miłości do bliźnich. Pewnego dnia, kopiąc gołymi rękami z pomocą mieszkańców pobliskiej wsi grób w przybrzeżnym mule Irawadi, znajduje błyszczący świetlnym krzyżykiem kamień, rubin birmański. - To dusza jednego z nich - odzywa się któryś z chłopów. Harfista chowa skarb do szkatułki i puszcza się w dalszą wędrówkę. Jego oddział odpływa do Japonii, dowódca czyta na statku żołnierzom ostatni list od ich towarzysza, który stał się mnichem-har-fistą: „Nie możemy pokonać ani opanować losu; możemy go tylko złagodzić błaganiem i osłaniać iskrę nadziei”. Dopiero teraz staje się jasne, że harfa birmańska ma struny zrobione z cierpliwości i cierpienia, a harfista wygrywał na nich zawsze tę samą pieśń żałobną żywych nad duszami umarłych.

Mimo że głęboko pesymistyczny, film nie pozostawia przecież uczucia absolutnej beznadziejności. Jego ukryta nadzieja ma jednak niewiele wspólnego z chrześcijańskimi pojęciami o życiu i śmierci: jest to nadzieja wiecznej wędrówki buddyjskiej, w której jedyny Cel tkwi w samej Drodze. Zgodnie z naukami mahajana (północnej, japońskiej i chińskiej szkoły buddyzmu), litość jest nie mniej ważna od mądrości. Ale litość swoista, gdyż obie odmiany buddyzmu nie dramatyzują jak chrześcijańska pięta cierpienie ciała i odrzucają nieśmiertelność duszy. Dusze umarłych wędrują tak samo jak ciała żywych i śmierć jest tylko przejściem do innej formy ustawicznej pielgrzymki. Dlatego historię znalezienia rubinu w mule Irawadi należy brać prawie dosłownie: w nagrodę za swoje trudy żołnierz-mnich-harfista

otrzymał znak, że drogocenne jak klejnot i połyskujące iskrą nadziei ogniwo w urwanej Drodze zostało przywrócone.

Moja dzisiejsza „cudowna koincydencja” jest więc darem równoczesnego spojrzenia na dwa oblicza religii: jedno zniewala potęgą przekleństwa, drugie obiecuje litość i łaskę (bez pewności, że dotrzyma słowa). Jak w całej twórczości Kafki.

4 maja Odnoszę się dość niechętnie do autorskich Zeszytów, publikowanych po śmierci wybitnych pisarzy i myślicieli. Zdaje się, że raz już wyśmiałem w dzienniku Zeszyty doktora Czechowa, w których wielki pisarz, gromadząc zapasy w swojej literackiej spiżarni, zapisywał jednym lub dwoma słowami a to „krowę”, a to „krajobraz za rzeką”. Takie, nic nie mówiące czytelnikowi zarodki pomysłów pisarskich, powinny trafiać do rąk zamiłowanych dębaczy uniwersyteckich, a nie do księgarń w luksusowo wydanych i pękatych tomach. Jestem też pewien, że znakomici zainteresowani przyglądają się zza grobu temu procederowi co najmniej z niesmakiem, jeżeli nie z irytacją.

Miałem niegdyś takie uczucie, przeglądając Zeszyt Paula Valery. Mam je znowu, wertując w prawie daremnym pościgu czwarty tom Zeszytów Simone Weil. Prawie. Niekiedy bowiem, rzadko niestety, trafiają się wśród niejasnych (dla czytelnika) notatek, refleksji urwanych w pół zdania, wypisów, warsztatowych uwag, stronice o uderzającej piękności i głębi. Jak ta: „Bóg oczekuje cierpliwie, abym zgodziła się w końcu pokochać Go. Bóg oczekuje jak żebrak, który stoi bez ruchu i w milczeniu przed kimś, kto być może da mu kromkę chleba. Czas jest tym oczekiwaniem. Czas jest oczekiwaniem Boga, wyzebującego naszą miłość. Gwiazdy, góry, morze, wszystko, co mówi nam o czasie, jest supliką Boga skierowaną do nas. Pokora w oczekiwaniu sprawia, że stajemy się podobni do Boga... Sztuka jest oczekiwaniem. Natchnienie jest oczekiwaniem”.

Ogarnia mnie lęk na samą myśl, że mógłbym ulec pokusie dopisania komentarza do stroniczki Simone Weil o oczekiwaniu. W niewielu słowach zamknęła wszystko, co jest jej i moją wiarą, wiarą birmańskiego harfisty i pozorną niewiarą bohaterów Becketta czekających na Godota.

7 maja Kot Jeleński, nazajutrz po Nagrodzie Nobla dla Miłosza, zatytułował swój francuski artykuł celebracyjny Miłosz: le poète a toujours raison. Przypomniałem żartobliwie Koto-wi, że w okresie faszyzmu mury miasta i wsi włoskich ozdobione były napisami: Mussolini ha sempre ragione. Wybuch-nęliśmy śmiechem, Kot zacytował powiastkę Vincenza o mądrym cadyku, który przestrzegał przed ludźmi mającymi zawsze rację. Oczywiście poeta ma rację rzadko, ale kiedy ją ma, jest to racja zniewalająca i oślepiająca. Poza tym mówi lub pisze często mało „anielskie” głupstwa, jak każdy pospolity „zjadacz chleba”.

We Włoszech wyszedł tom wierszy wybranych Zbigniewa Herberta *Rapporto dalia citta assediata*. Przedmowę, w formie „listu do drogiego czytelnika włoskiego”, napisał Josif Brodski. Pełna banałów, utrzymana jest w pierwszej części w tonie bakalarsko-mentorskich pouczeń dla dość zapóźnionych w rozwoju studentów. (Zapanowała ostatnio moda na „przystępne” wyjaśnianie poezji, w stylu „ksiąg

użytecznych"). W drugiej części Brodski schodzi z katedry, przechadza się między ławkami i mówi rzeczy nieco poważniejsze, jakkolwiek poronione. Przedstawia mianowicie „geometryczną” wizję poezji Herberta: trójkąty, romby, kwadraty. Tłumaczy też imbecylnym czytelnikom włoskim, co to jest totalitaryzm, czym jest Polska, kim są egzotyczni Polacy „z północy”. Wszystko to razem jest prawie nie do wiary w roku pańskim 1993.

W myślach i w lekturze kojarzę Herberta z Kawafisem. Kubiak, tłumacz poety aleksandryjskiego, nazywa trafnie jego twórczość „poetycką historiografią”. Coś podobnego wyczuwa się u Herberta: ironiczne i podszyte desperacją śledzenie brutalnych i oszalałych skoków historii. Pod spodem rozpościera się, jak u Kawafisa, ogromna miłość do miasta, do polis, idealnego obrazu życia zrzeszonego. Raz rm&io-polis „pójdzie wszędzie za tobą” (Kawafis o Aleksandrii), kiedy indziej jest oblężone (Herbert), to znowu trzeba je ocalić przed spiskiem (Wenecja u Simone Weil). Poczucie historii wydaje się u Herberta tak organiczne, sięga tak głęboko, że wróżę mu najdłuższe trwanie w sercach i umysłach czytelników polskich. W tomiku Rovigo zachwylił mnie wiersz Wilki. Kto wie, czy nie bardziej tragiczny i czystszy w wyrazie od pięknego wiersza Miłosza W Warszawie.

10 maja W opinii historyków sztuki święty Sebastian z arcydzieła Antonella da Messina (ozdoby galerii drezdeńskiej) stoi przebity strzałami na placu zmyślnym, który jest po prostu owocem wyobraźni czy kreacji syntetycznej mistrza sycylijskiego przeszczepionego do Wenecji. Zgadza się z tym Leonardo Sciascia, sugerując jednak, że w syntetycznym wizerunku najwięcej cech zaczerpnął Antonello z rodzinnej Mesyny. Cała atmosfera obrazu zdaje się świadczyć, że mamy do czynienia z placem sycylijskim w upalne popołudnie, gdy od morza wieje scirocco, gdy ostre światło słońca zamazuje kędzierzawe chmurki na niebie, gdy w powietrzu wisi leniwa obojętność.

Obojętność jest w obrazie wrażeniem kluczowym. Anto-nello, w imię narzucenia aury obojętności widzowi, zharmonizował pierwszy plan z tłem. On, który w swoich Ecce homo podkreślał grymas bólu i nawet łzy w twarzy Chrystusa, tutaj namalował Sebastiana nieczułego na rany, łagodnego, z oczami wzniesionymi lekko do góry; jak gdyby święty nie czuł zupełnie strzał w nagim ciele. Tło jest w pełni dostosowane do Sebastiana na pierwszym planie: kobiece rozmówki na balkonach, matka z niemowlęciem w cieniu portyków, śpiący obok schodów mężczyzna, trzy pary na głównej osi - rycerzy lub strażników, kupców i dam. Wszyscy obojętni, łącznie z centralną (i największą) na placu postacią męczennika. Osoby z tła zdają się jej w ogóle nie dostrzegać.

Jestem przekonany, że „sycylijskość” placu Antonella rozpoznał Sciascia w obojętnych, którzy nic na pozór nie widzą i nic, również na pozór, nie wiedzą i nie czują. I w tym sensie arcydzieło z galerii drezdeńskiej można potraktować jako metaforę Włoch, która dziś rozpada się, pod codziennymi ciosami, w proch i pył. Obojętni Włosi obudzili się naraz, wszystko chcą widzieć i wiedzieć, mają dosyć kraju, w którym wszystko odbywało się po kryjomu (głównie złodziejstwo i korupcja), a na „sycylijskim placu” oglądano co pewien czas trupa w kałuży krwi,

dzieło mafii powiązanej tysiącami nici z polityką i nie tylko polityką. (To ja - niech mi wolno będzie się pochwalić - w opowiadaniu *Oko Opatrzności\** ubiegłem wyobraźnię fakty: związki mafii z masonerią i diecezją w Trapani opisałem na długo przed wykryciem ich przez organa śledcze). Czy otrzeźwienie Zob. przedruk w 6 tomie Pism zebranych.

potrwa długo? Nie jestem pewien. We Włoszech silne jest to, co nazywam syndromem placu Loreto (mediolański plac, na który przywleczono zwłoki rozstrzelanej pary: Mus-soliniego, tak niegdyś wielbionego przez tłumy, i jego kochanki). Andreottiego oskarża się obecnie bez pardonu o rzeczy budzące jeszcze niedawno powszechny podziw: że przez dziesięciolecia potrafił działać nie zanadto czystymi rękami (eufemizm), nie pozostawiając nigdy i nigdzie odcisków palców.

17 maja Odkąd zostałem „odkryty” we Włoszech, zwłaszcza w Neapolu, po czterdziestu blisko latach internowania w „reakcyjnym” leprozorium z woli czy wyroku „obozu postępu”, największy dziennik południa Włoch, neapolitański „Mattino”, przysłała do mnie dwa razy w miesiącu inteligentną dziennikarkę na konwersacje, których tematy wybieram sam. Wczoraj wybrałem Orwella. W tym roku skończyłby dziewięćdziesiąt lat.

W roku 1984 (o czym w swoim czasie wspomniałem w dzienniku) organ komunistyczny „Unita” postanowił zrobić „liberalny” gest, pokazać, że komuniści nie gęsi, i kulturalny dodatek tygodniowy poświęcił książce wyklętej dotąd w ZSSR z przyległościami oraz w zachodnich enklawach panowania Wielkiego Brata, czyli Orwellowskiej wizji Roku 1984 napisanej w roku 1948. Chór zaproszonych (Berlinguer, Roy Miedwiediew, jakiś angielski odkrywca Wielkiego Brata w osobie Winstona Churchilla, jakiś teolog na lewo od zdrowego rozsądku) uznał jednogłośnie, za przykładem nieboszczyka Deutschera, że „w gruncie rzeczy” Orwell opisał nadchodzącą Amerykę. Dziś takie żarciki z dawnych lat komunistycznego urodzaju nie wywołują już nawet ani odruchu irytacji, ani rozbawionego uśmiechu. Dziś może interesować raczej pytanie, czym jest Rok 1984

po krachu komunizmu i rozpadzie ZSSR. Będzie dalej czytany z uczuciem, że zostaliśmy ostrzeżeni (pamiętam całonocną lekturę książki w Londynie), czy uznamy, że Orwellowska Apokalipsa wypaliła się w ogniu wydarzeń w sposób naturalny i bezpowrotny?

Wpadł mi do rąk szkic Bronisława Baczkę i Solżenicyn: stawić czoło totalitaryzmowi, włączony do włoskiego tomu *Per una definizione deWUtopia*. Baczkę stawia obok siebie Rok 1984 i Archipelag Gulag i pisze, że obie książki zaczynają teraz nowe życie, wchodzi w nową epokę i będą inaczej czytane w świetle upadku komunizmu. Paradoksalnie Rok 1984, antyutopia rozgrywająca się w imaginacyjnej przyszłości, stanie się powieścią o przeszłości, o nie istniejącym już systemie. Podobnie Archipelag. Ale istotne jest, w jakim stopniu Orwell i Solżenicyn spełniać będą nadal swoje podwójne zadanie: „zachowania pamięci zbiorowej i wyzwolenia wyobraźni społecznej”.

Orwell posiadał wyobraźnię społeczną i polityczną w najwyższym stopniu: pierwszą świadomie kształcił w latach wólczegowania i nędzy w Paryżu i w

Londynie („nim stał się ekspertem od totalitaryzmu - powiada celnie Skalmowski - był ekspertem od nędzy”); drugą rozwinął w trybie przyspieszonym na polach bitew wojny domowej w Hiszpanii, gdzie nabawił się wstrętu do polityki, i do końca krótkiego życia traktował ją jak przedmiot wyteżonej uwagi, a nie osobistego zaangażowania, mimo że nie zdradził nigdy „demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem”.

Ale źródłem inspiracji Roku 1984, fundamentem totalitaryzmu, była przede wszystkim wyobraźnia moralna, a dopiero na dalszym planie społeczna i polityczna. Podkreśla to z wielkim i słusznym naciskiem Skalmowski w swoim znakomitym eseju o Orwellu. Wizja totalitaryzmu w Roku 1984 powstała z poczucia szerzącej się dezorientacji etycznej, podszytej (to ważne) strachem. Wytworzyła się próżnia moralna, załamała się tradycyjna skala wartości, oparta na chrześcijańskiej koncepcji dobra i zła. Orwell nie był człowiekiem wierzącym, nie tęsknił za powrotem religii, zdawał sobie jednak dobrze sprawę, co oznacza przekonanie o nieśmiertelności duszy ludzkiej (łączyło go to z Sołżenicynem, Szalamowem i innymi pisarzami rosyjskimi, dla których „dusza” stała się jedynym punktem oporu pod rządami totalitaryzmu). Jeśli więc zastanawiamy się, czy Rok 1984 jest rzeczywiście powieścią o bezpowrotnej przeszłości po upadku komunizmu, powinniśmy ocenić, w jakiej mierze znikły zjawiska dezorientacji etycznej (podszytej strachem) i próżni moralnej. W żadnej, powiedziałbym nawet, że zaostrzyły się, choć nie widać ich tak jaskrawo jak za panowania komunizmu, bo przesłania je poprawa warunków życia codziennego w atmosferze wolności. A dopóki człowiek budować będzie na moralnej próżni, na dezorientacji etycznej (podszytej strachem), na wyszydzeniu lub w najlepszym razie ignorowaniu pojęcia nieśmiertelnej duszy, totalitaryzm pozostanie jednym z wariantów przeszłości: uśpionym, lecz gotowym do ocknięcia się w stosownej chwili. Czy nie jest totalitarną wojną, totalitarnym przebudzeniem infamia jugosłowiańska, której z każdym dniem bardziej lęka się demokratyczny i postkomunistyczny świat?

20 maja Paolo Morawski (syn Stanisława Augusta), utalentowany młody historyk, którego brak perspektyw uniwersyteckich pchnął do pracy w trzecim programie radia włoskiego, przygotowuje serię programów o cudzoziemcach we Włoszech. Podstawił mi na pół godziny mikrofon, prosząc o relację na temat pierwszej, wojskowej fali Polaków, którzy z tych czy innych powodów postanowili się tu osiedlić. W trakcie opowiadania przypomniał mi się zamierzchły epizod „falconarski”.

Anglicy zachowywali się po wojnie we Włoszech nieprzyzwoicie (bardzo delikatnie mówiąc), szczątkowe odruchy „fasonu imperialnego” kazały im uznać Włochów za *na-tives*, za niższą rasę. Skutek na naszym odcinku był taki, że w momencie wyjazdu Drugiego Korpusu z Włoch do Anglii polscy żołnierze ożenieni z Włoszkami zostali z tego „dobrodziejstwa sojuszniczego” wyłączeni. Oczywiście Anders powinien był protestować i zagrozić, że cały Korpus nie ruszy się z Włoch bez swoich kolegów ożenionych z *filthy Italian women*, ale Andersowi spieszyło się bardzo, bo według jego planów wybuchu trzeciej wojny światowej Czerwona Armia



miała lada dzień uderzyć z Jugosławii przez Adriatyk. Urządzono więc obóz w miejscowości Falconara na wybrzeżu adriatyckim, gdzie żołnierze polscy ożenieni z Włoszkami mieli czekać na emigrację do innych, mniej wyczulonych rasowo krajów albo pogodzić się stopniowo z koniecznością pozostania we Włoszech (co się w końcu stało). Pojechałem do tej Falconary na prośbę Jerzego Giedroycia, spędziłem tam dwa smutne dni, opisałem rzecz w gorzkim reportażu, przytaczając m.in. fakt, że z ramienia Francuzów pułkownik Emeryk Czapski (którego Józio nie trawił) zaczął w obozie cichy werbunek do zagłębia węglowego w Nordzie (coś w rodzaju handlu żywym towarem). Nie wymieniłem co prawda nazwiska, ale zaczepony rozpoznał się natychmiast w reportażu, i pewnego pięknego dnia do naszego mieszkania za Tybrem zapukał znany mi wówczas słabo Pawełek Zdziechowski w roli sekundanta. Wyjaśniłem Pawełkowi, że niska ranga wojskowa i nędzna pozycja społeczna nie pozwalają mi pojedynkować się z pułkownikiem hrabią, pożartowaliśmy nad herbatą i nawiązaliśmy przyjaźń, która przetrwała wiele lat, aż do jego śmierci w Paryżu.

25 maja Kartkując z obowiązku ogromną powieść Susan Sontag *The Volcano Lover* (tak, z obowiązku: ofiarodawca, mój amerykański przyjaciel, przysłał mi ją jako „lekturę obowiązkową dla mieszkańca miasta u stóp Wezuwiusza”), myślałem nie tyle o jej temacie, o romansie Lady Hamilton, żony ambasadora brytyjskiego w Królestwie Obojga Sycylii, z admirałem Nelsonem, i o Neapolu z końca XVIII wieku, ile o niepisanym kodeksie międzynarodowej gildii literatów, których z dawien dawna upieram się nie utożsamiać z pisarzami. Dla literata tylko powieść oznacza prawdziwą nobilitację, opowiadanie czy esej właściwie się nie liczą, są zapowiedzią, a nie spełnieniem. Literat marzy więc o powieści, możliwie „grubej”, choćby podświadomie czuł, że to nie jego rodzaj pisarski. Powieść, powieść! - brzmi jak okrzyk trzech sióstr Czechowa - Moskwa, Moskwa! Zwłaszcza wśród Rosjan. Kiedyś Maksimów opowiadał mi w Paryżu o pierwszych rękopisach przemycanych z Rosji do „Kontynentu”. Powieści? - zapytałem. Wydał pogardliwie wargi: „Jakie tam powieści, dwieście, najwyżej trzysta stron”. Autentyczna powieść zaczynała się dla niego od czterystu, jakkolwiek mógłbym się założyć, że kiedyś Zagroda Matriony przewyższy, w oczach znawców literatury, Czerwone koło. No, ale na to nie ma rady, Rosja nie jest jedynym przykładem działania kodeksu literatów. Przed wojną kodeks dotyczył również poetów, skoro Tuwim wykrzyknął raz zdesperowany (przypuszczalnie w odpowiedzi wzywającym go do „większych form”): „Gdzie mi do poematu, ledwie wiersz wykrztuszę”. I zapewne dopiero po napisaniu Kwiatów polskich poczuł się w posiadaniu poetyckiego klejnotu szlacheckiego.

Nigdy nie czytałem ani słowa pisarki amerykańskiej Susan Sontag, ale od wytrawnych czytelników za oceanem wiem, że jest autorką kilku dobrych opowiadań i inteligentnych esejów. Bożeż ty mój, jak tu „naprawdę wejść do literatury” z takim skromnym wianem? A zatem koniecznie powieść, i to „gruba”. Tak pewnie powstał *The Volcano Lover*, którego nie trzeba nawet dokładnie czytać, żeby dojrzeć szybko dwie rzeczy: że jako tzw. „obraz epoki”

mógłby co najwyżej być scenariuszem do „monumentalnego” filmu w technikolorze; a jako dzieło sztuki opowiadania jest po prostu martwym płodem, napisanym drewnianą, konwencjonalną prozą, nieudolnym kompozycyjnie, miejscami tak płaskim pisarsko, że przestaje się ufać chwalcom opowiadań i esejów amerykańskiej autorki. Mała próbka. Pierwsza żona Hamiltona i jej młody platoniczny lowelas William jadą na wycieczką w okolice Neapolu. „Wchodząc do grotty Sybilli Kumańskiej, poczuli współbrzmienie z całym starożytnym światem. Nad jeziorem Averno stali obok ciemnych wód zatopionego krateru, który w starożytnych czasach uważano za wejście do piekła, gdzie Wergiliusz sprowadził Eneasza pod ziemię. Pamiętasz ostrzeżenie Sybilli skierowane do Eneasza? Facilis descensus Averno\*, powiedział William swoim wysokim nerwowym głosem, rzucając czułe spojrzenie na towarzyszkę. Sed revocare... hoc opus, hic labor est\*\*. Tak, drogi chłopcze, tak. Nie wolno ci być próżniakiem”. Przeszło czterysta stronic na taką nutę.

Literaci, piszcie tylko to, co potraficie, staniecie się może po latach wybitnymi pisarzami, a nie nadętymi śmiesznie fuszerami!

1 czerwca Mała, jednodniowa zaledwie podróż umbryjsko-toskańska. Przeminięły z wiatrem, i ze zdrowym sercem, moje dawne skłonności i zdolności podróżnicze. A zatem skromna trasa Orvieto, Montepulciano, Pienza.

Orvieto jest moją namiętnością od momentu osiedlenia się we Włoszech. Ile lat upłynęło od mojej pierwszej tam wizyty! Stałem przed frontonem Katedry oszołomiony. Ochłonałem nieco na urwisku obok Pałacu Papieskiego, Łatwe jest zejście do Awernu (do piekieł). (Tłum. Cz. Jędraszko). \*\* Ale odwrócić to dzieło jest pracą.

patrząc to na Papieską Wieżę po przeciwnej stronie placu Katedralnego, to na złotawo-zieloną Umbrię u stóp wzgórza i dalej, dalej, aż do horyzontu. Przyjechałem z Bolseny, gdzie zakiełkował pomysł Drugiego Przyjścia; dojrzał w Orvieto wraz z wizją stojącego już nad grobem Urbana IV. I stało się to, zanim połknęło mnie wnętrze o wiele późniejszej Katedry, zanim odurzili mnie swoimi freskami Luca Signorelli i Beato Angelico w kaplicy San Brizio. Kiedy w samo południe, po zamknięciu Katedry, odrętwiałem na długo przed jej frontonem, ogarnęła mnie słodycz duchowego uwięzienia w Orvieto po kres moich dni.

Nie, nie byłem wierny mojej miłości, jak miała prawo oczekiwać. Owszem, przyjeżdżałem co dwa lub trzy lata, ale nie tak postępują, nie tak cedzą swoje odwiedziny prawdziwi zakochani. I nagle, pod koniec kwietnia tego roku, gdy rozchwiały się niespodzianie projekt wyjazdu do Polski, poczęło mnie dławić, przyzywać Orvieto. Może zobaczę je ostatni raz? Było w tym coś z paniki „odejścia bez pożegnania”.

Upały drugiej połowy maja zrobiły swoje. Prócz soczystej zieleni drzew, umbryjskie pola były, jak na wczesną porę roku, płowe i popielate, prawie spalone. Czekałem w samochodzie z napięciem na pojawienie się Duomo. Pojawił się późno, już blisko szczytu wzgórza. Wiedziałem oczywiście, że Katedra jest restaurowana od blisko dziesięciu lat, poprzedniego dnia musiałem telefonicznie wyzebrywać

pozwolenie na wejście w asyście jednego z restauratorów do zablokowanej kaplicy San Brizio. Ale wiedzieć i widzieć to dwie różne rzeczy. Cudowna Katedra, nie tracąc co prawda swej cudowności, była w dole chora, zabandażowana żelaznymi rusztowaniami. Główna brama, która niegdyś zdawała się być szeroko otwartą bramą raj, służyła wyłącznie robotnikom. Wchodziło się do środka boczną furtką, jakby chyłkiem.

Jest nonsensem porównywać piękno z pięknem dla ułożenia gradacyjnej tabeli. Od pewnego punktu piękno nie zna gradacji, wymyka się hierarchiom, przemawia we wszystkich wypadkach tym samym językiem. Istotne są tylko odcienie, drobne różnice leksykalne. One zaś zależą od wrażliwości zakochanego. Amiens? Chartres? Kolonia? Burgos? Siena? Orvieto? Dla mnie Orvieto. Od roku 1290 do pierwszej połowy XVI stulecia rósł wolno, pokolenie po pokoleniu, Geniusz Chrześcijaństwa, który prawdziwy wyraz znajduje w sztuce, w modlitwie rąk ludzkich i ludzkiej wyobraźni. Gdy zamilknie całkowicie sztuka, gdy na przykład zniszczą wielkie katedry przeszłości, a ich miejsce zajmą brzydkie i bezduszne kościoły współczesne, modlitwa z chóralnej przemieni się w czysto prywatną. Co sprawiło, że Duomo w Orvieto, tak masywny i ciężki na oko, staje się po jakimś czasie dziełem natchnionej lekkości?

Od dziesięciu lat kaplica San Brizio jest dla przybysza przedsionkiem do piekła, a nie jak dawniej wejściem na Sąd Ostateczny. Gęsta sieć żelaznych dźwągów, belek, desek pokładowych, rozchybotanej dykty na przejściach; zaiste było naiwnością sądzić, że w tym kłębowisku - schylając się, odginając, przepychając, wspinając na wyższe trochę poziomy rusztowania - uda się zobaczyć więcej niż fragmenty, wyrwane i w dużej części zasłonięte fragmenty. Oprowadzający wskazuje sklepienie sufitu z uciętą głową Cristo Giudice pędzla Beato Angelico. Ale gdzie jego Chór prorokowi Zgięty w pół, z kolanami blisko ziemi, dobijam jednak do Zdjęcia z krzyża, tego arcydzieła, w którym chłopskiego Chrystusa namalował postawny, zwalisty Si-gnorelli o wielkich i muskularnych rękach. Beato i Luca podzielili rolę, jeden malował ulotną nieziemskość, drugi wko-rzenioną ziemskość. Zerkając w bok kątem oczu, dosięga się przecież Potępionych. Wśród nich niektórzy z odsłoniętymi genitaliami, co oznacza, że artysta z Cortony nie padł ofiarą tej cenzury potrydenckiej i papieskiej, która w Kaplicy Sykstyńskiej dotknęła Michała Anioła: w dwadzieścia lat po namalowaniu „łaźni publicznej, a nie świętego przybytku” (wyrażenie zgorzzonego Pawła III) „poprawił” twórcę Sykstyńską pośledni malarz Daniele da Volterra, głośny „majt-karz”, gorliwie ukrywający pod bogobojną maską domalowanych majtek zuchwałe golizny Mistrza. Michał Anioł ukarał co prawda później Pawła III straceniem do piekieł, dziś jednak nie można już majtek usunąć, skoro domalowu-jąc je, Daniele da Volterra musiał w znacznym stopniu wyskrobać „rozkrocza boskiej obrazu”.

Znowu południe, jak za pierwszym razem. I znowu nieme znieruchomienie, nabrzmiałe zachwytem, przed muzyczną kompozycją frontonu, jak gdyby za chwilę miała w czystym, rozpłomienionym powietrzu zabrzmieć uwertura symfonii. Rozeta Orcagni, mozaikowe obrazy, płaskorzeźby na szerokich kolumnach wejściowych -

Katedra boskiej laudacji i ludzkiego wzlotu. Potem drugie na nią spojrzenie z belwederu, który otwiera Umbrię w dole, subtelną w kolorach, przyprószoną światłem słonecznym, odgradzoną od świata spokojem i ciszą. Umbrię, która w tej dolinie odbija niby w jeziorze Koronę orwiateńskiego wzgórza.

Przeskok z Umbrii do Toskanii jest z początku niezauważalny. Bystre oko dostrzeże jedynie różnicę w drzewostanie, więcej cyprysów w Toskanii niż w Umbrii. Dopiero wjazd głębiej daje odczuć różnicę w atmosferze. Umbria wydaje się, w przeciwieństwie do nasyconej historią Toskanii, mitopłodna czy legendopłodna, w jej aurze unoszą się marzenia, urojenia, widzenia. Pewnie dlatego tak do niej przylgnałem, wybrałem ją sercem, pochodząc z mitopłodnego Kraju Świętokrzyskiego.

Plan podróży przewidywał postój w dwóch miastach położonych tuż obok siebie na wysokich wzgórzach i przesiąkniętych właśnie po tokańsku historią. Schemat obu jest podobny, tyle że pusty w obiadowej porze plac Mon-tepulciano uderza surowością w swoim tradycyjnym sprzężeniu dwuwładzy, Katedry o szerokiej i nagiej fasadzie z taranem Pałacu Komunalnego. W mieście Pienza to samo sprzężenie dwuwładzy wzbogacone jest elegancją kilku innych pałaców, przede wszystkim Pałacu Piccolominich, konstrukcji o wielkiej architektonicznej gracji. Plac w Pien-zy robi wrażenie renesansowego salonu. Tkwi w tym coś naturalnego i zrozumiałego, zważywszy, że miasto powstało z inicjatywy i woli, a także według szkicowego projektu kardynała Enea Silvio Piccolominiego, człowieka o wybornym smaku, erudyty, dyplomaty i... pisarza. W ciągu trzech lat, od 1459 do 1462, sienieńczyk Piccolomini stworzył Miasto Autorskie, Miasto Idealne, Miasto Utopijne. Jak miniaturowy pałac, pełen wdzięku, zbudowane jest też jego opowiadanie Historia dwojga kochanków, odrobinę nieprzy-stojne, delikatne w fakturze, dowcipne i poważne zarazem - mały majstersztyk sztuki narracyjnej. Nie jestem pewien, czy napisał je jako kardynał jeszcze, czy już jako papież Pius II. W każdym razie papieństwo może się poszczycić dwoma pisarzami (nie licząc Jana Pawła I, autora bajek dla dzieci). Niech mi nie będzie poczytane za narodową aposta-zję, jeśli Historię dwojga kochanków postawię wyżej od Sklepu jubilera.

6 czerwca Lubię listy Włodzimierza Boleckiego, inteligentnego i wrażliwego ostrowidza, który w dodatku posiada cechę zanikającą w szybkim tempie wśród piszących o literaturze w Polsce: poczucie troski obywatelskiej. Na tle wzmagającego się wciąż „estetyzmu” naszych postsocrealistycznych pięknoduchów i rafinatów Bolecki wysuwa się na czoło poważnych krytyków literackich. Uprawia też, z dużym powodzeniem, publicystykę.

W jego liście z 20 maja czytam: „w tym, co wtedy (w dziesięcioleciu powojennym) pisałeś, widzę klucz do wielu spraw, które dziś są nadal aktualne, np. brutalnego rozerwania więzi pomiędzy inteligencją a innymi warstwami społecznymi. Zmieniło się to na chwilę w czasie KOR-u i wczesnej «Solidarności», ale dziś wszystko wróciło do... komunistycznej normy. Po jednej stronie «wyjąca tłuszcza», a po drugiej «europejskie elity». Mówiła mi Lidia Ciołkoszowa, że dla niej

to największy szok, bo tu została zerwana tradycja społecznej wrażliwości przedwojennej inteligencji symbolizowanej przez Żeromskiego, Struga etc."

*Może warto w paru słowach podsumować, co się stało, jak doszło do groźnego, samobójczego rozłamu społeczeństwa polskiego na samodzielne „elity” (skłonne nawet założyć własną partię) i całą resztą. Kiedy i jak zaczął się ten podział, coraz podobniejszy do przepaści, w którym ogromny i apatyczny korpus społeczny „zwieńczony” jest maleńką, przemądrzałą, zarozumiałą, żarłoczną, oszalałą główką, raczej przyśrubowaną sztucznie niż przyrośniętą naturalnie do tułowia. Trzeba się cofnąć do Okrągłego Stołu. Pomieszano w nim politykę z moralnością. Był w istocie rzeczy, i powinien być, układem czysto politycznym między słabnącym obłączytelem i rosnącym w siłę obłączonym. Ale aspekt polityczny wydał się niebawem wodzirejom zanadto skromny i ograniczony, zatem sknili do wymiaru moralnego. Tak powstał specyficzny „język Okrągłego Stołu”, zwalczający zaciekle rzekomą „retorykę dekomunizacji”. „Język” ów doprowadził rychło do ogólnego „kochajmy się”, do braterskich obłapek byłych prześladowanych z byłymi prześladowcami, do gwałtownego zamazywania czy rozmazywania przeszłości, do retuszowania historii w imię „mądrości narodu”, do przeciwstawiania wallenrodycznego Generała sprzedajnemu Pułkownikowi, do wyłudzenia od Oberpolicmajstra patentu ex post na „patriotyzm” i miano „dobrego (prawdziwego?) Polaka”. Głupi, krótkowzroczny „manewr postkomunistyczny”, który część społeczeństwa po prostu wykołował i otumaniał, a część nauczył zobojętniałego wzruszenia ramionami, stopniowego ignorowania nowych „onych”. A „europejskie elity”? Nie potrafią opanować chciwości, ciągle do czegoś „aspirują”, żrą się nawzajem, skaczą sobie do gardeł, podstawiają jedna drugiej nogi, uważają „centra spraw” („byłem w centrum 5 - Dziennik... (1993-1996) 65*

spraw”, pisał przed wojną Sławoj-Składkowski w Strzępach meldunków) za oderwany nareszcie od „tłuszczy” folwark arywizmu zasłużonych i manipulacyjnych umiejętności spryciarzy-pieriekińczyków. W sytuacji pewnej poprawy gospodarczej Polacy dotknięci są bzikiem politycznym i społecznym, z każdym dniem bardziej chronicznym i nieuleczalnym.

W innym fragmencie swego długiego listu Bolecki dziwi się, że moje Upiory rewolucji (wydane w Lublinie w wersji znacznie rozszerzonej przez Zdzisława Kudelskiego) „nie są dostatecznie zauważane, a przecież o kilka długości były przed wszystkimi prorocत्वami na temat obudzenia się innej Rosji. Moja diagnoza jest smętna i nieoryginalna: nie ceni się u nas ani intelektu, ani mądrości. I to nie jest wina czytelników, lecz tych, którzy pośredniczą między czytelnikami a autorem”.

Moja interpretacja przeoczenia Upiorów rewolucji jest szersza. Ceni się w Polsce opisy rosyjskiej czy sowieckiej opresji (mój Inny Świat przekroczył ćwierć miliona egzemplarzy, gdy Upiory rewolucji rozchodzą się kapaniną w niewielkim nakładzie), natomiast nie chce się słyszeć o istnieniu „innej Rosji”. Jakież to umysłowe marnotrawstwo w naszym położeniu! Lekcję komunizmu i sowytyzmu musimy solidnie przerobić, we wszystkich jej składnikach, bo należy do naszego doświadczenia narodowego, bo w jakiś sposób staniemy się dzięki niej dojrzalsi w

spojrzeniu na współczesny świat. Niech nikt mi nie mówi, że przerobiliśmy ją na własnej skórze. To nie dosyć, musimy ją p r z e-myśleć. Pisał o tym kiedyś Gombrowicz, w podobnym duchu odezwał się ostatnio Błoński. Moje Upiory rewolucji są koniecznym uzupełnieniem Innego Świata.

Ale nam wystarczy widocznie (jak świadczą zachwyty o. Jana Andrzeja Kłoczowskiego) ewokowany przez Wata w Moim wieku obraz diabła postukującego kopytkami (sic!) na dachu więzienia sowieckiego...

Portret wenecki Przeczytałem wczoraj w dziale nekrologów „Corriere”: „W Wenecji, w swoim domu na Calle San Barnaba, zmarła 87-letnia Contessa Giuditta Terzan. Usnęła na wieki, pogodzona z Bogiem. O czym zawiadamia jej siostra Giovanna Olindo w Rzymie. Uprasza się o niezakłócanie cichego odejścia zmarłej kondolencjami”.

Zauważyłem przypadkowo nekrolog wieczorem, szukając programu telewizji. I nie ruszyłem się już z fotela. Jak przyplływają naraz dalekie wspomnienia? U każdego chyba inaczej, u mnie w formie bezładnej, gwałtownej nawałnicy. Dopiero nazajutrz, po przespanej niespokojnie nocy bez snów, zdarzenia, twarze ludzkie, daty wskakują na swoje miejsca jak płytki podczas stopniowego układania wzoru w rozsypanej łamigłówce.

Wiosną 1946 roku, na przełomie kwietnia i maja, wybrałem się do Wenecji w ważnych dla mnie (i dla moich przełożonych w rzymskim urzędzie wojskowym) sprawach. Spodziewałem się, że podróż potrwa najwyżej dwa tygodnie, i taki termin powrotu podałem mojej żonie. Po drodze, w tych samych sprawach, miałem się zatrzymać na krótko we Florencji.

Można już było wtedy swobodnie podróżować pociągami i dalekobieżnymi autobusami, ale my umundurowani ufaliśmy tylko transportom wojskowym. Ich wadą w razie pośpiechu, a zaletą w razie pokus turystycznych, były częste i długie postoje. Moja wyprawa była pilna, ale nie aż tak pilna, bym nie mógł jej dowolnie przedłużyć pod byle jakim pretekstem. Pierwszy jeep (amerykański) zabrał mnie do Orvieto i tam spędziłem popołudnie i noc, załatwiwszy uprzednio z angielskim kamionem osobowym (wycieczka wojskowa) następny etap do Florencji.

Żałuję, że nie da się we wspomnieniach, po tylu latach! odtworzyć klimatu pierwszych spotkań z włoskimi urokami architektury, malarstwa i pejzażu, owych odkryć dziewiczego wzroku zacieranych potem lub zmienianych przez kolejne spotkania w przyszłości. To jedynie pamiętam, że w stanie odrętwienia i wewnętrznego drżenia, które nie miało nic wspólnego z przeżyciem estetycznym, wiele godzin to siedziałem, to klęczałem w Duomo, zwłaszcza w kaplicy Sądu Ostatecznego. Było w tym coś z oczyszczenia z wojny i wszystkich doświadczeń minionych sześciu lat, coś z bezgłośnej modlitwy o łaskę. Dziwne, że Rzym nie popychał mnie do takich aktów.

Wieczorem upiłem się orwiettańskim winem w tawernie obok Duomo, po czym, nie zważając na wiosenny chłód, przespałem noc na kamiennych ławach po przeciwnej stronie placu Katedralnego, a każde przebudzenie nasycalo mnie i znowu

usypiało zamazanym nieco konturem frontonu Duomo, fasady podobnej w wiosennych ciemnościach do ogromnych kamiennych organów.

We Florencji załatwiłem szybko własne i poruczone mi sprawy, obszedłem zabytki w centrum i zniechęcony tłumem wojskowych i turystów, uciekłem nad Arno. Tam, u bukini-sty w małym i zakurzonym sklepiku, kupiłem za grosze wielkie tomisko Album di ritratti. I z tym Albumem portretów w chlebaku stanąłem o świcie, po nocy przespanej u adresatów rzymskiego polecenia, na rogatkach miasta, czekając na samochód do Wenecji lub w okolicy. Nadarzyła się okazja tylko do Padwy.

W Padwie natknąłem się na znajomych oficerów polskich i z nimi dotarłem około południa do Wenecji. Wojskowa komenda miasta w uliczce obok placu Świętego Marka była już zamknięta, otwierano ją znowu wczesnym wieczorem. Przez chwilę, rezygnując z należnego mi przydziału kwatery, byłem gotów zapukać do któregoś z nielicznych nie zarekwirowanych hoteli. Wszystkie były rzekomo przepełnione; rzekomo, bo prawda malowała się w niezycziwych spojrzeniach recepcjonistów.

Wróciłem więc na plac, gdzie szczęśliwym trafem udało mi się zająć jedyny wolny jeszcze stolik w kawiarni naprzeciw Bazyliki. I z chlebaka wyciągnąłem moje tomis-ko.

Album portretów był wyraźnym przedsięwzięciem handlowym z lat trzydziestych, którego nie musnęła nawet ręka fachowego kuratora, historyka sztuki. Ale wybór był bogaty, reprodukcje dobre, a noty o portrecistach zapożyczone z poważnych biografii i monografii.

W antologicznych wydawnictwach tego rodzaju usiłuje się przede wszystkim uchwycić istotę ich głównego tematu. W wypadku Albumu chodziło o zaprezentowanie możliwie szerokiej gamy odcieni w sztuce portretowej. Ogromnie cienka jest nić dzieląca dobry portret konwencjonalny od portretu, który w intencjach malarza ma być odczytaniem: charakteru, psychiki, umysłowości, bagażu życiowego modelu (lub samego siebie w autoportrecie). Z grubsza rozróżniłbym trzy kategorie portretów, naturalnie z pominięciem konwencjonalnych, w których główną rolę odgrywa czynnik podobieństwa i ubioru. 1. Celne od pierwszego spojrzenia portrecisty, trafiające natychmiast w esencję wyrazu twarzy (dla przykładu Holbein i Rembrandt), skoro dla mnie przynajmniej jest pewne, że każda znacząca i należycie zobaczona twarz przemawia pełnym głosem od pierwszego wejrzenia. 2. Poetycko-emocjonalne, tak odkrywcze i intensywne jak dobry wiersz (powiedzmy, van Gogh). 3. Indagacyjno-psychologiczne, bardzo personalne '„u w ujęciu portretowanej twarzy (Lorenzo Lotto), w przeciwieństwie do typowości Tycjana.

Lorenzo Lotto! Padło nazwisko wielkiego i długo zapoznanego malarza - głównie portrecisty - weneckiego. Piszę je z pewnym zażenowaniem. Czy czytelnik uwierzy - a zależy mi, by uwierzył - że zaraz na początku mojej podróży (i mojego opowiadania) natrafiłem na trop tak ważny w Portrecie weneckim. Jeśli czytając dalej, przymruży sceptycznie oko, proszę go tylko o pamiętanie, że nie autor jest

panem kapryśnych, przecinających się nieoczekiwanie i rozchodzących się ni stąd, ni zowąd linii losów; autor bywa sam zaskakiwany Ręką, która prowadzi jego rękę.

Nota o malarzu w Albumie portretów, upleciona z szacownych bardzo cytatów, odsłaniała życie wiecznego pechowca. Lotto urodził się pod koniec XV stulecia w Wenecji. Nasze stulecie i schyłek poprzedniego dojrzały w nim nareszcie twórcę przewyższającego niekiedy swoich współczesnych - Tycjana, Michała Anioła, Rafaela, Durera - choć podczas długiego dosyć życia ledwie zauważanego i wciąż nie docenianego przez mecenasów i znawców sztuki. Malował dużo, ale bez powodzenia; był włóczęgą, nieustannie poszukującym skromnych bodaj zamówień. Płacono mu grosze w kościołach i za portrety. O jego charakterze najlepiej świadczy okrzyk jadowitego Aretina: „Lotto, jak dobroć dobry, jak cnota cnotliwy!” W świadectwach epoki mowa o jego „ciemni duchowej”, o „religijnym niepokoju”, co budziło podejrzenie, że sprzyjał potajemnie luteranizmowi. Uchodził za ucznia Belliniego (dziś wiadomo, że jego mistrzem był Alvisè Vivarini). We freskach o tematyce religijnej zdawał się krewniakiem Correggia, w portretach przewyższał ulubieńca Stendhala. Nigdy się nie ożenił, włóczęgow-ski tryb życia pogłębił w nim pociąg do samotności. Mówiono, że jest „bez korzeni”. Chciał być pochowany w rodzinnej Wenecji, był jednak zbyt biedny, by zamieszkać w niej przed śmiercią. Ostatnie lata życia spędził jako oblat w klasztorze w Loreto, mając zapewniony codziennie talerz zupy. I tam umarł w osiemdziesiątym (w przybliżeniu) roku życia. W dwadzieścia lat po wydaniu Albumu portretów wielką monografię napisał o nim Bernard Berenson. Przepisuję z niej dzisiaj zdanie: „Nigdy, ani przed Lorenzo Lotto, ani po nim, nie zdarzyło się artyście odmalować na twarzy modela tak wielkiej części jego życia wewnętrznego”.

Poszarżało, mogłem już iść do wojskowej komendy miasta.

Mój urzędowy papierek został natychmiast, bez zastrzeżeń, zaakceptowany. Angielski sierżant z wydziału mieszkaniowego zapytał, czy wolę pokój w hotelu, czy w domu prywatnym obłożonym częściową rekwizycją. Wybrałem to drugie. Przeglądał spisy, miał minę zafrasowaną, wreszcie powiedział z ulgą, stuknąwszy palcem w jeden z adresów na liście, że mogę dostać cały parter w domku na Calle San Barnaba. „Ale uprzedzam lojalnie (dorzucił), domek jest na wpół zrujnowany, zapuszczony, należy do weneckiej hrabiny, która zajmuje całe piętro. She is a bitch and a witch\*”.

Znalazłem wieczorem domek bez większego trudu, jakkolwiek położony był w tyle, za rzędem kamienic, i połączony z ulicą wąskim, brudnym przełazem. Contessa (tak ją wszyscy w okolicy nazywali, nie używając ani imienia, ani nazwiska) wzięła z moich rąk skierowanie, obejrzała mnie od stóp do głów z ledwie hamowaną odrazą i iskrą gniewu w czarnych oczach, rozpogodziła się nieco na wiadomość, że jestem Polakiem, dała mi klucz do drzwi wejściowych i z góry zapowiedziała, że „nie zajmuje się domem”. Z komody wyrzuciła na łóżko prześcieradła i ręczniki, ostrzegła, że kuchnia jest nieczynna, podobnie zresztą jak łazienka, w której mogę brać tylko zimny prysznic. Kawę pije się w barze na Campo San Barnaba, obok kościoła. PoinforOna jest suką i czarownicą.



mowała mnie, że jest restauratorką i kopistką obrazów, pracuje często po nocach, ceni zatem ciszę i spokój. „Byłoby najlepiej, gdybyśmy nawzajem nie wiedzieli o naszym istnieniu. Proszę też nie uprawiać tu życia towarzyskiego” (co było eufemizmem na temat żołnierskiego zwyczaju przyprowadzania prostytutek).

Sierżant angielski miał rację: zapuszczenie dwupokojowe-go parteru, kuchni i łazienki było rewoltujące; na szczęście, prócz szerokiego łóża, można było liczyć na fotel przystawiony do szafki bibliotecznej, pełnej książek i albumów malarskich. Reszta - stół, krzesła, komoda - była zarośnięta brudem, chwiejna i wywrotna za byle poruszeniem. Także dom był prawie ruiną, z dziurami po odpadniętym tynku, z zewnętrznymi schodami żelaznymi, które przylegały do muru i prowadziły na piętro (wewnętrzne, nieczęsto chyba używane, trzeszczały niepokojąco, gdy Contessa zeszła, aby mi otworzyć drzwi). Ale było widoczne, że w drugim pokoju ktoś stosunkowo niedawno mieszkał, jego ściany były obwieszane reprodukcjami malarskimi i fotografiami, a blisko oszklonych drzwi, wychodzących na zewnętrzne schody i teraz zablokowanych, stała duża, stylowa, zamknięta (bez klucza w zamku) szafa na ubrania. Na zewnętrznych schodach żelaznych, jak się nazajutrz rano okazało, drzemały w dzień trzy puszyste koty, odstraszające szczury, dla których przełaz od ulicy był drogą w stronę kanału.

Po latach, kiedy stałem się admiratorem The Aspern Papers, podczas każdorazowej lektury noweli Henry Jamesa wspominałem domek na Calle San Barnaba. Był co prawda nędzny w porównaniu z domem dwóch bohaterów Aspern Papers, ale panowała w nim podobna atmosfera, jak ją określić? zapewne ukrytego, pełzającego rozkładu. Mimo że moja Contessa była dorodną, na oko czterdziestoletnią kobietą, a stara Miss Bordereaux, za młodu kochanka sławnego poety Asperna, warowała zazdrośnie na jego drogocennych listach miłosnych o włos już od grobu.

Upadłem ze zmęczenia na łóżko, kiedy się obudziłem, zegarek wskazywał dziesiątą. Czułem głód. Ciemnym przełazem wyszedłem na ulicę, blisko było Campo. Bar obok kościoła był jeszcze otwarty, lecz pusty (w Wenecji przed sezonem letnim dziesiąta jest bardzo późną godziną). Wszedłem do pokoiku w głębi, gdzie dawano coś zimnego do zjedzenia i butelkę wina. Gospodarz opuścił serrandę w drzwiach wejściowych, zgasił światło w barze i przysiadł się do mnie. Wiedział już, że zamieszkałem u Contessy.

Nie trzeba było zachęcać go do mówienia, wieczorna gadanina „na luzie” przy szklance wina jest rozkoszą każdego barysty (od barista). Contessa nie była hrabiną z urodzenia. Młodziutką studentkę Akademii Sztuk Pięknych uwiódł grubo od niej starszy hrabia Terzan. Zaszła w ciążę. Terzan zgodził się dać jej i dziecku swoje nazwisko wraz z tytułem, ale pod warunkiem, że po ślubie nigdy więcej nie spróbuje go zobaczyć. Kupił jej domek na Calle San Barnaba, który był wtedy jeszcze solidny, i wyjechał do swojego majątku pod Sondrio, w Valtellinie. Nigdy go tu więcej nie widziano, nie przyjechał nawet na pierwszą komunię chłopca. Chłopiec skończył gimnazjum, zapisał się na architekturę. Alvise, nazywano go zdrobniałym imieniem Alvi. Matka zarabiała na życie obojga odnawianiem starych obrazów i

kopiowaniem arcydzieł w Akademii na zamówienie bogatych klientów. Była w Alvim zakochana (z wzajemnością), nie widziała poza nim świata, tak, tak, ładny i dobry chłopiec. Sama - choć pan widział, że młoda jeszcze i piękna - żyje jak zakonnica. Zanedbała dom, zanedbała siebie. Dziś ledwie wiąże koniec z końcem - komu teraz w głowie odnawiać stare obrazy i zamawiać drogie kopie w Akademii - tak się zadłużyła, że w sklepach spożywczych przestano jej dawać na kredyt. Ja daję jej rano capuccino e cornetto, robię dobrą minę do złej gry, gdy każe mi to zapisywać w zeszycie dłużników. Contessa! Jest córką nieślubną woźnej w szkole (ta woźna potem wyszła za męża i urodziła drugą córkę, dziś bogatą kobietę w Rzymie), a nosi się jak prawdziwa hrabina. Od trzech lat żyje tylko jednym: syna powołano na początku 1943 do wojska, po roku służby przestał się odzywać. Zobacz pan, jak matka zbiega rano i po południu do skrzynki pocztowej przed domem. I nic, od dwóch lat ani słowa, wszyscy o tym wiemy, a przecież wojna skończyła się równo rok temu, tyłu weneckich żołnierzy wróciło już do rodzin. Zobacz pan, sam pan zobaczy: rano do skrzynki, potem do Akademii, po południu do skrzynki, wieczorem i czasem całą noc ostre światło w jej pokoju. Na światło wydaje pewnie większość tego, co zarabia. Rzadko wychodzi z domu. Mówią, że tylko do antykwariatów i sklepów z płótnami i farbami. Ten jej domek któregoś dnia się zawali. Zawali się, przysięgam, i pogrzebie Contessę z jej obrazami. No, trzeba zamykać, już północ. Napłotłem, ile mogłem, ale lepiej wiedzieć, u kogo się mieszka. Podejrzewam, że te parę groszy od wojska za pokój to obecnie ważna pozycja w jej budżecie. Sęk w tym, że mało kto potrafi tam wytrzymać dłużej niż trzy-cztery dni.

Sprawy mojego urzędu i własne załatwiłem w ciągu dwóch dni, tak że właściwie mogłem już szukać samochodu do Rzymu. Ale nie przyjeżdża się po raz pierwszy w życiu do Wenecji, aby pożegnać ją natychmiast po powitaniu. Więc z uczuciem lekkości i rosnącego wciąż olśnienia przemieniłem się w turystę. Zresztą daleko jeszcze było nawet do spodziewanego przeze mnie początkowo dnia powrotu.

Wenecja była dla mnie trzecim dużym miastem włoskim, oglądanym zaraz po wojnie, po Neapolu i Rzymie; pomijam Florencję, w której mój postój był błyskawiczną wizytą w mieście-muzeum, bez możliwości zajrzenia głębiej.

Każde z tych trzech miast inaczej wynurzyło się z wojny. Neapol z obolałym uśmiechem (jednak uśmiechem) i oszukańczym błyskiem w oku, jak przystało miastu, które niejednego już w swojej historii najeźdźcę i niejedno obce panowanie potrafiło znieść i pokonać niewidzialną bronią przebiegłej i szyderczej uległości. Rzym z grymasem desperackiej paniki, z nieprzytomnym i pokornym wzrokiem nędzarza, który nagle stracił prawie wszystko, co posiadał, i wszystko, co mu jeszcze zostało, gotów jest oddać za szansę zwykłego przeżycia. Wenecja (może dlatego, że minął już rok od końca wojny) z niezrównaną elegancją, godnością i tajemną wyniosłością istoty nietykalnej, miasta tak dumnego, że nie ma śmiałka zdolnego podnieść na nie rękę.

Najtrudniej ominąć pułapkę banalnej repetycji, usiłując dać wyraz zachwytowi. Ale podobnie jest w wyznaniach i zakłęciach miłosnych. Następuje coś

w rodzaju samoroz-grzeszenia banału, przestaje się zwracać nań uwagę, bo wytarte i oklepane, zdawałoby się, słowa zaczynają świecić nowym światłem, zaczynają same z siebie wykraczać poza własne, potoczne znaczenia.

Takie było moje wtajemniczenie miłosne w Wenecję. Zakochiwałem się z każdym dniem mocniej w mieście, o którym poeta mówi, że jest zbudowane z widzeń sennych, a które ja podziwiałem za szczególnie związki, chciałoby się powiedzieć: za zaślubiny, snu z jawą. Ten krótki moment przebudzenia, gdy ulatujący sen jeszcze trwa i już rozwiewa się w świetle dziennym. Taki był, dla mnie, budulec Wenecji. Rzeczywisty jeszcze? Już nierealny? Na mostach nad kanałami przystawałem długo, bardzo długo, jakbym w ciemnej wodzie chciał ujrzeć lustro, które zachowało to, co przeminęło, odbity upływ czasu. Na ulicach i placach wsłuchiwałem się w kroki, odchodzące czy dopiero nadchodzące? Nie używałem statków, zależało mi, by wszędzie dotrzeć pieszo. Zjawą wydawała mi się gondola. Wiedziałem, i pogodziłem się z tym szybko, że nigdy, choćbym tu zamieszkał lub często przyjeżdżał w ciągu wielu lat, nie przebiję się do jądra Wenecji, jak bywa w innych miastach. Bo go nie ma. Nie ma jądra czy serca Wenecji, zbyt płynnej i ulotnej, nieuchwytniej i umykającej. Nie lubiłem placu Świętego Marka 1 przepysanej Bazyliki, nie lubiłem Pałacu Dożów, nie lubiłem miasta zanadto konkretnego, wspartego na skrawku twardego gruntu. Wolałem Wenecję balansującą na pograniczu, gdyż była dowodem realności snu. Nawet na Canal Grandę, w tym węźle (tak go przecież nazywa większość podróżników) utkanych Bóg wie z czego pałaców, kruchych jak przywidzenie, Wenecja była i nie była, władała samą ideą Europy i zarazem groziła zniknięciem, chyliła się do upadku. To właśnie w niej z goryczą i równocześnie zachwytem kochałem się, przemierzając ją od świtu do nocy wszystkimi dostępnymi szlakami. Lecz prawdą, której nie wolno mi zamilczeć, było i to, że od pierwszej chwili Wenecją mojej miłości była również kobieta, u której zamieszkałem.

Ordynarne sołdackie określenie bitch stosowali żołnierze angielscy i amerykańscy do kobiet w ogóle, najczęściej do kobiet, których nie znali albo które znali tylko z widzenia; było więc formą obelgi i splunięcia pod nogi. Natomiast określając Contessę słowem witch, sierżant angielski z komendy miasta utrafił przypadkowo, bądź na podstawie kilku przelotnych zetknięć urzędowych, w to, co w niej tkwiło naprawdę. Wydobywała się z niej także czarownica, gdy w jej czarnych płonących oczach, kontrastujących z długimi i bardzo jasnymi włosami, pojawiała się furia. Wyglądała wtedy groźnie, nie tracąc nic ze swej urody, ba - rzadkiej piękności. W chwilę później jej twarz powlekała się ciemnym, łagodnym aksamitem, czarne oczy nie tyle gasły, co uciekały gdzieś daleko, w rejony nieosiągalne dla nikogo poza nią samą. Wysoka, szczupła, zgrabna, nie wyglądająca nawet na swoje przypuszczalne czterdzieści lat, miała dar błyskawicznych transformacji, jakby zależało jej na tym, by ciągle mutacje w zmieszanie wprawiały patrzącego. Zdawała sobie sprawę ze swej piękności, ale bez cienia próżności. Jeśli pominąć dochodzące w niej czasem do głosu gniewne wybuchy, była po anielsku łagodna, rozmarzona i skupiona, adorując dwie rzeczy: syna i malarstwo weneckie (syn był tematem tabu,

malarstwo weneckie terenem zawsze otwartym do rozmów). Nie zadawała pytań i najostrożniejsze próby indagacji zbywała zmarszczeniem brwi i zaciśnięciem ust. Zdawała się świadomie, celowo strzec swojej zagadkowości. Ten profil szkicuję ex post, z okresu, gdy na jej zaproszenie wdrapywałem się wieczorami na górę. Rychło powstała mi w głowie szalona myśl: była po jakimś uosobioną Wenecją, nie, nie w tym sensie, że była (jak to się mówi) nieodrodną córką miasta na lagunie, odtwarzającą niektóre jego cechy, ale w tym sensie, że była sama Wenecją, przedmiotem podziwu włączonym integralnie do cudownego miasta, jak świat uwięziony na zawsze w zwierciadle kanałów. Była dzieckiem plebejskim, w którym nabyta arystokratyczna patyna stworzyła czysty, dźwięczny stop z niskim pochodzeniem.

Po kilku dniach pieszej eksploracji, „wzdłuż” i „wszerz”, zapuszczania się w najwęższe calle, brodzenia nad kanałami, przesiadywania w słońcu na małych campo, zwisania na poręczach i murkach mostów, musiała przyjść kolej na malarstwo. Wracalem późno do domu skonany, przed snem wpatrywałem się w fotografie syna Contessy. Były cztery, oprawione za szkłem, powieszzone na ścianie w formie schodków: od wieku dziecięcego, poprzez chłopięcy, do dwóch młodzieńczych, uniwersyteckich. Pasowało do nich jedno tylko słowo: cherubin. Dziecięce skręty i sploty loków ustąpiły miejsca bujnym czuprynom, wciąż jednak w oczach, w całej pulchnej, a potem pociągłej twarzy, malowała się dobroć i niewysłowna słodycz. W najpóźniejszej fotografii wzrok nieco stwardniał, nie na tyle jednak, by zabić cherubinowy wyraz. Do matki był trochę podobny dziewczęcnością rysów dokoła warg.

Wiedziałem, wchodząc do Akademii, czego w niej przede wszystkim szukam. Rzucałem roztargnione spojrzenia na obrazy w pierwszych salach, zaglądałem do bocznych, myślałem już, że spotka mnie zawód, gdy w kącie kolekcji mistrzów weneckich spostrzegłem moją gospodynię. Kontynuowała kopiowanie portretu Lorenzo Lotto *Giovane nel suo studio*. Była tak pochłonięta pracą, że nie zauważyła, iż ktoś z tyłu na skos obserwuje pilnie jej drobiazgowy haft na płótnie tych samych rozmiarów co oryginał. Ach, Lotto! Lewa ręka przewracająca kartki księgi, stanowiąca piękny kontrast do dość ascetycznej, gładko zaczesanej głowy, która nie upoważniała do nadania portretowi nazwy *Giova-ne*. Młodzieniec wychodził, a raczej wyszedł już z młodzieńczości. Zbliżyłem się trochę i przez jej ramię zajrzałem, jak sobie radzi z tą wspianą ręką na zagiętych foliach. Dopiero wtedy, odwróciwszy się, odpowiedziała na moje powitanie. Oparta o ścianę, stała gotowa już na sprzedaż kopia *Burzy Giorgiona*, zdumiewająca w precyzji i starym niuansie kolorów, prawie lepsza od oryginału w postaci nagiej kobiety z niemowlęciem na kolanach.

Wyszliśmy przed Akademię, nad kanał. Było dla niej zaskoczeniem, że sporo wiem o malarstwie, zwłaszcza o sztuce portretu. Dla niej nikt nie dorównywał portrecistom weneckim, najwyżej cenila Lotto. Mógłbym lekko zaoponować, ale nie miałem ochoty, wpatrzony w nią, jakby sama była żywym portretem. Przytakiwałem więc machinalnie, aż dostrzegła tę moją półobecność w rozmowie, roześmiała się nie

bez odcienia ledwie dostrzegalnej zalotności i powiedziała: „Niech pan przyjdzie wieczorem na górę, muszę teraz wracać do sztalug”.

Odtąd zaczęły się moje wizyty na górze, wracałem wieczorem z wędrówek po mieście podniecony i zniecierpliwiony, w gruncie rzeczy cały dzień czekałem tylko na ten wieczór, coraz bardziej mieszając, a może i utożsamiając Wenecję z wenejanką. Taszczyłem się na górę trzeszczącymi schodami z butelką whisky i konserwami z weneckiego sklepu wojskowego. Cóż to była za przyjemność rozmawiać z nią o malarstwie po kolacji, trzymając szklanekę whisky w ręce! Zapomniałem o Rzymie, o mojej żonie, o moich obowiązkach służbowych. Upływały „nadprogramowe” tygodnie mojego pobytu w Wenecji, trzeci, czwarty. W skrzynce pocztowej, do której rzeczywiście Contessa zbiegała dwa razy dziennie po przejściu listonosza, pojawiły się listy do mnie, monity, wezwania, wymówki. Odpowiadałem euforycznymi widokówkami, bez słowa wyjaśnienia, jak pijany, który nie słyszy, co się do niego mówi.

Górne piętro było tej samej wielkości, tyle że wyburzono w nim przegrodę między pracownią i sypialnią, a na obu skrzydłach poszerzono kuchnię i łazienkę. Całe piętro było w gruncie rzeczy jedną wielką pracownią, wszędzie dominowały płótna, szkicowniki, albumy, luźne reprodukcje, zginął pod nimi nawet szeroki tapczan, nie lada zaś zręczności wymagało przedarcie się do któregoś ze skrzydeł. Właściwą pracownię, która była także salonikiem z dwoma fotelami, odróżniała od sypialni dekoracja ścian. Ściany sypialni obwieszane były fotografiami syna, na głównej ścianie pracowni wisały dwie bardzo duże, doskonałe i porządnie oprawione reprodukcje Lotto: Giovanetto z mediolańskiego Zamku Sforzów i *Ritratto d'uomo visto per tre lati* z galerii wiedeńskiej. Obok okna wychodzącego na przełaz, z widokiem także na Calle i na kanał, stały sztalugi; średnich rozmiarów płótno na nich zasłonięte było wzorzystą chustą wenecką. Mediolański Młodzieńczyk w berecie (z ozdobami) i pasiastym kaftanie, z książką na kolanach, podtrzymywaną rękami, sportretowany został przez Mistrza w pozycji pośredniej między profilem i *en face*; siedział bokiem do widza, odwróciwszy do niego częściowo twarz efeba, nadzwyczaj regularną w swoich rysach, o urodzie zaakcentowanej przez wielkie, przepaściste oko (drugie było ledwie widoczne). Wiedeński Trójportret robił wrażenie igraszki Lotto. Mężczyzna, może trzydziestopięcioletni, z rzadką brodą, z ręką na piersi, ciężkawy w swojej powadze i doświadczeniu życiowym, a po obu stronach jego dwa profile, ostrzejszy prawy i niezbyt wyraźny lewy. Uderzające było zestawienie na ścianie portretu mediolańskiego i trójportretu wiedeńskiego: mogło się wydawać, że ten sam model pozuje we wczesnej młodości i w wieku dojrzałym.

Byłem w niej zakochany? Może ta fascynacja była chorobą, piękną chorobą? O ile pamiętam traktat Stendhala *De l'amour* (nie mam go tutaj pod ręką), wielki znawca serc ludzkich wskazywał i opisywał uczucia poboczne wobec miłości głównej, nie wypartej i nie zagrożonej przez urzeczenie, zauroczenie, to, co Włosi (a Stendhal władał świetnie włoskim językiem miłosnym), mówiąc o zadurzonym w ten sposób, wyrażają słowami *e stato stregato*, został zaczarowany. Rzecz jasna,

również w takim miłosnym odgałęzieniu na pniu uczucia do innej, naprawdę kochanej kobiety, może po jakimś czasie dojść do stendhalowskiej „krystalizacji”. W moim wypadku nie doszło. A raczej zostało zatrzymane o krok od dojścia.

Było to chyba w miesiąc od inauguracji moich wieczornych wizyt na górnym piętrze. (Tego dnia rano dostałem oficjalny list z mojego rzymskiego biura wojskowego z ostrzeżeniem, że dalszy pobyt w Wenecji może być poczytany za dezercję; mój biurowy kolega dopisał, że zaczyna się „poważnie niepokoić” moja żona). Około jedenastej, w trakcie rozmowy i wspólnego opróżniania butelki, Contessa położyła mi dłoń na kolanie. Na jej dłoni położyłem moją. Nie cofnęła jej, przymknęła natomiast oczy. Następny ruch należał do mnie, poczułem suchość w gardle, wiedziałem, że nasz stosunek zmienia jakość; to zapewne była owa „krystalizacja”, gwałtowna i wydłużająca czas. Nagle ktoś krzyknął na nią koło furtki, głosem wyraźnie zirytowanym. Zerwała się i podeszła do okna: „Dziękuję, idę, proszę wybaczyć”. A do mnie: „Zaraz wrócę, telefon do mnie u sąsiadów”. (Nie chciała założyć u siebie telefonu „z zasady” albo z obawy przed kosztami). Zbiegła trzeszczącymi schodami, z góry widziałem, że zostawiła drzwi od dolnego piętra otwarte.

Kiedy trochę ochłonałem, opanowała mnie pokusa odsłonięcia płótna na sztalugach. Nie było tylko płótnem. Było obrazem w starych, złoconych ramach, nadjezonych i podziurawionych przez korniki. Oto mediolański młodzień-czyk, wyraźnie już naszkicowany z półprofilu, z twarzą cherubina; tak, to był Alvi, napatrzyłem się na jego fotografie. Na prawo Alvi en face, podobizna jeszcze bardziej uderzająca. Kompozycja pomyślana była jako dwójportret.

Na czas zarzuciłem chustę na obraz, słychać już było zatrzęsienie furtki. Contessa drżała ze zdenerwowania, zdawało się, że nie potrafi wymówić poprawnie kilku słów. Powiedziała jednak, zacinając się lekko: „Błagam, niech pan się jutro wyprowadzi, potrzebne mi jest mieszkanie na dole, błagam, błagam”.

Rano wyszedłem wcześniej z chlebakiem, ale zamiast popędzić na plac obok dworca, zanurzyłem się ostatni raz w Wenecji. Cudowna Wenecja, cudowna wenejanka, czy jeszcze was kiedyś zobaczę? O zmierzchu uprzytomniłem sobie, że mam w kieszeni klucze od domu, a w chlebaku brak mi Albumu portretów. Wieczorem zakradłem się na Calle San Barnaba jak złodziej, otworzyłem bezszelestnie drzwi, nie zapaliłem w pokoju światła, po omacku i na palcach podszedłem do stolika przy łóżku, gdzie leżał Album. W tej chwili rozległy się na żwirze kroki, na żelazne schody wszedł wysoki mężczyzna w kurtce wojskowej i w furazerce, z góry zbiegła Contessa i zawisła mu na szyi, cicho łkając. Widziałem ich, nie będąc widzianym. Jego twarz była zarośnięta, gdy zajrzał naraz przez szybę do pokoju, w którym stałem wrośnięty niemal w ścianę, ujrzałem na mgnienie oka twarz twardą, okrutną, z dwoma rozżarzonymi węgielkami zamiast oczu. Takie zachowałem wspomnienie o powrocie „cherubina” z wojny.

Miałem szczęście. Na placu obok dworca szykowałą się do nocnej jazdy do Rzymu nowozelandzka ciężarówka z ładunkiem skrzyń pokrytych brezentową

plandeką. W szerokiej kabinie znalazło się dość miejsca dla trzeciego pasażera, wciśniętego między szofera i jego zastępcę.

W Rzymie - co nie uszło uwagi moich kolegów w biurze 6 - Dziennik... (1993-1996) 8 1

ani mojej żony w domu - zawładnął mną dziwny nastrój, skrzyżowanie euforii z niepokojem. Stosunkowo łatwo było za jedno i drugie obciążyć Wenecję. Zakochałem się w Wenecji, stąd euforia miłości; a niepokój budziła wątpliwość, czy ją jeszcze kiedykolwiek zobaczę, skoro nasze wojsko weszło już w stadium przygotowań do wyjazdu z Włoch do Anglii.

Latem wybrałem się z żoną na tydzień urlopu na Capri. Tam, na plaży, znalazłem porzucony przez jakiegoś amerykańskiego wojskowego numer „Stars and Stripes”, codziennej gazety dla żołnierzy angielskojęzycznych, do której prawie nigdy nie zaglądałem, mając do dyspozycji gazetę 2 Korpusu i gazety włoskie, szczególnie dla mnie ważne jako narzędzie ćwiczeń językowych. W „Stars and Stripes” cała „rozkładówka” poświęcona była weneckiemu reportażowi z fotografiami; rozpoznałem natychmiast kiepsko odbite podobizny Contessy i jej syna. O wypadkach opisanych przez amerykańskiego reportera milczały gazety włoskie (nie mówiąc o naszej skromnej polskiej gazetce) z powodów, których do dziś nie rozumiem. Czyżby włoscy dziennikarze, rozmiłowani przecież w cronaca nera, czuli się tą historią zażenowani w atmosferze powojennych Włoch?

W największym skrócie historia wyglądała tak. Hrabia Alvise Terzan, syn hrabiny Giuditty, w ostatniej fazie wojny zaciągnął się do oddziału specjalnego w Republice Salo, do oddziału wsławionego szybko okrucieństwami, nazwanego przez reportera „oddziałem oprawców”, także przez Włochów napiętnowanego słowami la squadra fascista degli aguzzini e dei boia\*. Po klęsce wrócił do rodzinnej Wenecji, był przez matkę ukrywany w jej domu na Calle San Barnaba. Mieli zwyczaj bardzo późno, grubo po północy, wychodzić na spacer w opustoszałym już całkowicie mieście. Przedwczoraj, 27 lipca (donosił wenecki korespondent i reporter), z bramy domu na Campo San Barnaba wysoko Drużyna faszystowskich prześladowców i katów.

czył zamaskowany mężczyzna, podbiegł do idącej pary i bez słowa oddał trzy strzały do młodego hrabiego. Po czym zbiegł w kierunku Canal Grande, gdzie prawdopodobnie czekała na niego motorówka. Zamykająca reportaż scena nie musiała być owocem wyobraźni autora. Po pierwsze, ktoś z okna na Campo mógł ją widzieć. Po drugie, zgadza się z moją wyobraźnią. Zanim zjawiała się zaalarmowana policja, czyli w ciągu dwudziestu minut od zabójstwa, hrabina Giuditta najpierw klęczała w milczeniu nad zwłokami syna, potem położyła się na nich, „jakby był jej kochankiem, a nie synem” (słowa reportera). Tak trwała do przyjazdu policji, i dwóch silnych mężczyzn długo nie potrafiło jej oderwać od zastrzelonego.

Osobliwe, że nie chciałem tego numeru „Stars and Stripes” dać do przeczytania leżącej obok na plaży mojej żonie, lecz pozorując roztargnienie, skoczyłem z nim do morza i ostrymi ruchami odbiłem się daleko od brzegu.

Rozmokła gazeta zaczęła stopniowo tonąć; utrzymywałem się na powierzchni blisko niej bez ruchu, wpatrzony w dwie rozmywane fotografie.

„Drużyna oprawców i katów”, według określenia Włochów. Było za wcześnie jeszcze, by zebrać o niej jakieś relacje czy choćby informacje. Ale strzępy, chaotyczne strzępy, tak. Napływali do Rzymu uczestnicy czy świadkowie walk na Północy. Nie byli zanadto rozmowni, to prawda, końcowa faza wojny sprzyjała okrucieństwu obu stron, zarówno faszystów jak partyzantów; najczęściej używanym słowem była wówczas „eskalacja”. Mimo to, przy winie, przy butelce alkoholu rozwiązywały się czasem języki. Dwukrotnie w moich ostrożnych indagacjach natknąłem się na nazwisko młodego hrabiego Terzana. Za każdym razem mówiono o nim beha, co jest połączeniem „bestii” i „okrutnika”. Jeden z opowiadających posunął się nawet dalej: beha umana brzmi ostrzej.

To o nim, o „cherubinie” imieniem Alvi myślałem wtedy bezustannie; o nim, a nie o jego matce. Wojna nie poskąpiła nam przykładów ludzkiego zezwierżenia i niewyobrażalnego dawniej okrucieństwa. Zwłaszcza w moim kraju. Słuchając wieści z Europy podbitej przez armie Hitlera, a także zajętej (najpierw częściowo, potem szerzej i szerzej) przez wojska sowieckie, ulegaliśmy niekiedy odruchowej, głupiej i egoistycznej reakcji: „Człowiek przyzwyczajają się do wszystkiego”. W tym zdaniu krył się załączek totalitarnej „reedukacji”. Było kłamstwem, wsączanym nam jak trucizna do dusz kłamstwem. Chodziłem po Rzymie z tą świadomością, wiedząc jednak dobrze, że koniec wojny, który zapowiadał odzyskanie elementarnych uczuć ludzkich, nie pozwoli mi wytrwać w niej bez przeszkód. Wreszcie skupiła się w twarzy Alwise Terzana. Pamiętałem chłopięcą, miękką, prawie dziewczęcą twarz z fotografii; i twarz za szybą, gdy zajrzał do swego pokoju w ów wieczór powrotu do domu, twardą i pełną zastygłej, stężałej nienawiści. Co się stało pomiędzy? Jak odbyła się ta zdumiewająca przemiana?

Rzecz jasna, zbieranie okruchów informacji nie mogło dać odpowiedzi na te pytania. Mignął tylko dwukrotnie coraz zacieklejszy w torturowaniu „podejrzanych”, w strzelaniu do starców i dzieci, w gwałceniu kobiet, w puszczaniu z dymem domów uważanych za „wrogi”. Jego imię budziło strach. Tam, gdzie przechodziła jego drużyna, niewielu pozostawało zdolnych jeszcze do płaczu.

W fetującym tłumie na ulicach Rzymu, w samotnych (lub w towarzystwie żony) spacerach nocnych nad Tybrem, szła za mną wiernie Twarz Zła. Zrodzonego z potrzeby, nieodpartej potrzeby zadawania Bólu.

Nasze wojsko zostało już przewiezione z Włoch do Anglii, nie licząc żołnierzy, którzy postanowili wrócić do Polski lub z rodzinnych względów zostali we Włoszech. Znalazłem się w niewielkim gronie osób, zmuszonych do przedłużenia jeszcze na pewien czas pobytu w Rzymie. Należało jednak poddać się w końcu aktowi demobilizacji, a przeprowadzano ją w Anglii. Zawiadomiono mnie, że nie mogę przekroczyć okresu późnej jesieni 1947. Załatwiłem przejazd do Londynu, dla mnie i dla mojej żony, na początek listopada. We wrześniu, spełniając daną żonie obietnicę, pojechałem z nią do Wenecji. Miało to być (dla mnie) przypuszczalne pożegnanie Wenecji.



Pojechaliśmy pociągiem, życie w powojennych Włoszech wracało szybko do normy. Ale skasowano już przywileje dla byłych liberatori, musieliśmy więc na własną rękę szukać noclegu. Pamiętałem z poprzedniej podróży, że na skromny hotel zamieniono dawny Dom Ruskina na Zat-tere. Był w dość opłakanym stanie po wojskowej rekwizycji, natomiast gospodyni czy właścicielka, lekko postrzelona stara Angielka, zapałała do nas sympatią od pierwszego wejrzenia i urządziła nam znośny pokój z ładnym widokiem na wyspę Giudecca.

Nie ukrywałem przed moją żoną historii pierwszej podróży do Wenecji, zatając tylko, że byłem bliski zadurzenia się w Contessie. Podobnie jak teraz ja, skoncentrowała się na tragedii z synem, dość znamiennej dla burzliwych lat po upadku faszyzmu. Towarzyszyła mi, nazajutrz po przyjeździe późnym wieczorem, w wizycie u barysty na Cam-po San Barnaba. Pamiętał mnie, o dziwo! zaprosiliśmy go o północy w pustym barze do naszego stolika. Nadmienię tu, że w dniu przyjazdu pobiegłem sam do domku na Calle San Barnaba, kilkakrotnie i bez skutku nacisnąłem guzik dzwonka u wejścia, po czym wrzuciłem napisaną na kolanie kartkę do skrzynki pocztowej, zdając sobie sprawę, że obecnie, według wszelkiego prawdopodobieństwa, Con-tessa przestała do niej zaglądać. Była chyba godzina pierwsza, a może i druga, gdy barysta przywołał nas na migi do pokoju wejściowego, ciemnego już, i kazał nam stanąć obok szyby wystawowej, wychodzącej na Campo. Contessa szła równym, energicznym krokiem, straciliśmy ją z oczu na kwadrans; miała widocznie ustaloną trasę nocnego spaceru, bo takim samym krokiem wracała przez Campo do domu. Nie mogłem się powstrzymać, wyskoczyłem na plac i zabiegłem jej drogę. Spojrzała na mnie bezbarwnym, zmęczonym wzrokiem (gdzie podziały się jej płonące oczy?) i powiedziała cicho: „To nieporozumienie, nie znam pana, proszę nie molestować samotnej kobiety”. Oniemiałem i usunąłem się na bok.

Była (według opowiadań barysty) zupełnie sama, wychodziła z domu rano do Akademii i nocą na krótki spacer, nie zachodziła już do baru na poranną kawę, kopiowała dalej w Akademii i malowała w domu (całą noc paliło się światło w jej pokoju), sprzedawała częściej swoje reprodukcje, nie tyle jako dobra kopistka, co jako głośna bohaterka zeszłorocznego dramatu. Podobno w niedziele, bardzo wcześnie i niezależnie od pogody, jeździła na grób syna.

W trakcie szlifowania i poprawiania tego, co dotąd napisałem, wyłonił się z całą jaskrawością wątek autobiograficzny mojego opowiadania. Dobrze to czy źle? W zasadzie lubię narrację w pierwszej osobie, na ogół jednak w grę wchodzi pierwsza osoba narratora, który niekiedy tylko i oględnie może być utożsamiany z autorem. A tutaj auto-biograficzność jest zuchwałą, bez hamulców i wędzideł dyskrecji. Czemu? Czuję instynktem pisarza, że inaczej być nie mogło, ale czuję też wyraźnie, z siłą nakazu, że rzecz powinna być wyjaśniona.

Istnieją różne rodzaje zdarzeń w naszym życiu. Bywają zdarzenia, które przepływają obok nas, przyciągając naszą uwagę, lecz nie wciągając nas bezpośrednio w mechanizm swego „dziania się”, jakby nie posiadały dostatecznego styku z głębszymi pokładami naszej wrażliwości. To najprostsze, pisarz może lub nie

„wejść” wyobraźnią w bieg wypadków. Bywają zaangażowania pośrednie, takie, w których dystans zewnętrzny waha się ciągle i co jakiś czas przestaje być dystansem, aby przybrać formę większego lub mniejszego uczestnictwa (mowa wówczas o „wczuwaniu się”). I wreszcie przytrafia się, choć rzadko, poczucie silnej przynależności do zdarzenia, które w rzeczywistości dotyczy nas dość naskórkowo; osobliwe, a nawet niedorzeczne poczucie, że nasz udział w nim znaczy o wiele więcej, niż mogłoby się na oko wydawać. Wtedy dochodzi do głosu, i to coraz donośniej, nuta autobiograficzna. Taki jest przypadek Portretu weneckiego.

W listopadzie 1947 przyjechaliśmy do Anglii. Pominę demobilizacyjne preliminaria oraz administracyjną procedurę osiedlenia w obcym kraju, przejdę od razu do naszego ciemnego pokoju w kamienicy położonej blisko stacji metra Gloucester Road. Z perspektywy tylu minionych lat nasz pokój kojarzy mi się z głęboką studnią. I wówczas właśnie - a nie w późniejszym mieszkaniu obok starego, pięknego parku - patrząc w dni wolne od pracy na ścianę zamkniętego i mrocznego podwórza, padałem ofiarą weneckiego majaczenia i bredzenia. Jak to możliwe? Jak mogłem dostrzegać czy raczej ewokować obrazy Wenecji na skrawku obdrapanego i brudnego muru? Nie wiem, to pewne jednak, że w miarę jak nasze życie w ciemnym pokoju nabierało cech sennego koszmaru, mnożyły się przed moimi oczami krótkotrwałe przywidzenia euforyczne. Później zjawisko wyszło poza naszą kamienicę i zdarzało mi się ulegać podobnym rojeniom na brzydkich i nędznych uliczkach, powleczonej żółtym światłem latarni. Niepojęte było, jak udało mi się przewieźć i przechować w żywej (powiedziałbym nawet: z dnia na dzień żywszej) pamięci odpryski weneckiego krajobrazu i dwie twarze: wenejanki oraz jej syna.

Aż do końca prawie mojego pięcioletniego pobytu (z długimi, co prawda, przerwami w nowym mieszkaniu) działał ten mechanizm przelotnych ucieczek do Wenecji z londyńskiej studni. Słowo „prawie” obejmuje półroczny okres stopniowego, lecz niepowstrzymanego zapadania się na coraz niższe piętra czy dna studni (ileż ich było?) naszej londyńskiej egzystencji. Odplynęły nagle widzenia weneckie, Londyn był tylko Londynem. Myśleliśmy oboje, że nigdy już nie będzie nam dane wydobyć się z gęstniejącego mroku na światło dzienne. Po śmierci mojej żony spędziłem trzy lata w Monachium. Ożeniszy się powtórnie, osiadłem we Włoszech.

W rok po moim osiedleniu się w Neapolu wszystkie gazety doniosły, przy wtórze fachowych artykułów i reprodukcji, o wielkiej wystawie Lorenzo Lotto w weneckim Pałacu Dożów. Uroczyste otwarcie, w obecności Prezydenta Republiki i członków rządu, wyznaczono na drugi dzień Bożego Narodzenia 1956. Miała trwać do 1 maja następnego roku. W księgarniach pojawiło się ciężkie tomisko Berensona Lotto. Zastanawiano się w prasie nad sekretem dość dziwnych dat. Zimą, z różnych względów, Wenecja omijana jest przez turystów zagranicznych, co organizatorów skłoniło zapewne do przedstawienia wystawy najpierw publiczności włoskiej, a dopiero pod koniec przybyszom z innych krajów. Jeden z dziennikarzy, na skrzydłach „licencji poetyckiej”, zabawił się w oryginalne wyjaśnienie: oto „tajemniczy”, „nie doceniany za życia”, „przygarnięty z biedy przez klasztor w

Loreto", „ignorowany przez rodzinną Wenecję" Lotto ma po pięciu stuleciach stanąć na ojczystej ziemi „w kłębach zimowej weneckiej mgły". O niedostrzeganiu przez współczesnych wielkości malarza („wybornego portrecisty!"), o jego peregrynacjach w poszukiwaniu zarobku, o częstym przymieraniu głodem, o samotności, pisano najwięcej. „Wenecja bije się w piersi i chyli głowę, świat odkrywa Mistrza", brzmiał tytuł jednego z artykułów.

Wszystkie artykuły zawierały paruzdaniową, tajemniczą informację: ozdobą wystawy będzie nieznany obraz Lotto, odnaleziony ostatnio na strychu loretańskiego domu, w którym niegdyś, przed wiekami, mieszkał najbogatszy w mieście kupiec, collezionista degli oggetti preziosi, zbieracz cennych przedmiotów, dobrodziej malarza; w roku 1954 obraz został przypadkowo odgrzebany i zakupiony przez antyk-wariusza weneckiego Mariniego, rozpoznany jako dzieło Lotto przez znawczynię jego malarstwa, hrabinę Terzan, i przez nią odrestaurowany.

Przyjechałem do Wenecji 20 grudnia, sam, bo moja druga żona musiała się zająć naszym maleńkim dzieckiem. Wcześniejszy przyjazd - z zaproszeniem na wieczór wigilijny u mojego wojennego przyjaciela w Padwie, Polaka ożenionego z Włoszką - nie złagodził trudności w znalezieniu pokoju w hotelach weneckich. Wszystkie były pełne, zarezerwowane co najmniej od miesiąca, Lotto dzięki prasowej wrzawie stał się „ewenementem kulturalnym roku". W ostateczności mogłem na kilka dni skorzystać z gościnności w Padwie, ale zależało mi na tym, by nie opuszczać ani na chwilę Wenecji (z wyjątkiem padewskiej willei). Nie bardzo licząc na powodzenie, poszedłem do Ruskin House. Stara Angielka pamiętała mnie, pamiętała też moją pierwszą żonę, i tak się przejęła spotkaniem po latach, że natychmiast wpakowała mnie do zagraconego pokoju, naszego pokoju z powojennej podróży weneckiej, który był zamówiony przez małżeństwo z Bolonii dopiero od dnia inauguracji wystawy. Obiecałem jej, że po zobaczeniu wystawy wrócę do Neapolu wieczornym pociągiem, a walizkę wstawię od rana do recepcji.

Spędziłem noc nie zmrużywszy oka, owinięty kocem (Ruskin House był hotelem bez ogrzewania) siedziałem przy oknie, wpatrując się uporczywie w kopułę kościoła na Giu-decca, jak gdybym wierzył, że usiądzie obok mnie duch osoby, z którą dokładnie ten sam wycinek nocnego pejzażu weneckiego oglądałem przed laty; jak gdybym był święcie przekonany, że umarli niematerialnie ożywają, gdy trwa bez ruchu obraz, w którym niegdyś utonął na długo ich wzrok.

Noc była czysta, chłodna i bezwietrzna, niebo migotało «\*J.

bladymi gwiazdami, ciemny kanał marszczył się delikat-i nie jak postaw aksamitu. Blisko świtu na miasto spadła! niespodzianie pokrywa mgły, gęsta i zaborcza, wystarczył! kwadrans, by znikła w niej Wenecja, niewidzialna do tego I stopnia, że można było zwątpić, czy przed chwilą jeszcze! istniała. Odezwały się syreny statków, na przystaniach obr- l rwaną białą chmurę poczęły przebijać ostrza błyskawicznie skądś dobytych latarni i żagwi. Mgła, z rzadkimi i krótkimi przejaśnieniami, trwała przez cały czas mojego pobytu. Ale jakież to były przejaśnienia! Wenecja stawała się serią przemy tych i szybkich obrazów. Oczom odsłaniały się, by natychmiast zniknąć, portrety przechodniów, tak, portrety, dopiero

wtedy - niby w przygotowaniu do wyjścia stawy Lotto - nauczyliśmy się dostrzegać w ludzkich twarzach ich przyrodzoną, lustrzaną zdolność „pozowania do portretów”. Każdy z nas jest żywym portretem, zwłaszcza gdy wyłania się na minutę z mgły; takie minuty są substancją wielkich portrecistów.

Długi ogonek wchodził się wolno do Pałacu Dożów, ciągnąc za sobą strzępy mgły do zagrodzonego hallu, w którym mieściły się kasy i kioski wystawowe. Za linią kontrolnych przejść obstawionych bileterami otwierały się sale wystawowe. Szedłem żwawym krokiem, rzucałem powierzchowne spojrzenia na znane mi z reprodukcji obrazy Lotto, spiesząc się do „ozdoby wystawy”, do jej (według gazet z poprzedniego dnia) „sensacji”.

Wreszcie, dość daleko, w ostatniej chyba sali, ujrzałem oświetloną niszę, otoczoną tłumnym półkolem. Tam należało dotrzeć, jeśli oglądanie wystawy miało się zacząć od nowego nabytku, od nieznanego dotąd i cudownie odnalezionego portretu Lotto.

Nisza - to widziałem - obita była ciemnoczerwonym czy fioletowym sukniem, może brokatem, z obu boków, z góry i z dołu nacelowane na nią były podłużne lampy stylizowane w kształcie świec, nad górną lampą wisiała tablica z obszernymi wyjaśnieniami, nieczytelnymi jednak na dystans. Mam alergiczną niechęć do dużych ludzkich zbiorowisk, więc nie pozostawało mi nic innego jak czekać. Moje rachuby okazały się próżne: ilekroć topniało trochę półkole dokoła niszy, nowo przybyli zastępowali natychmiast odchodzących. Chcąc nie chcąc, musiałem zapomnieć o mojej alergii i stanąć blisko tłumu, czujny na nagłe w nim luzy. Przyszedł w końcu moment ogarnięcia wzrokiem niszy, choćby między głowami czy ponad ramionami osób z pierwszych rzędów.

Najpierw zobaczyłem Contesę. Siedziała na wózku inwalidzkim, nogi aż do stóp miała otulone pledem, od pasa w górę zachowała w pełni dawną urodę, tylko twarz nie tyle zestarzała się po latach, ile omroczona była cieniem jakby szaleństwa. Oczy płonęły jak niegdyś, może nawet żywszym i trochę zatrwającym ogniem. „Jest spralizowana - powiedział stojący przede mną mężczyzna do swojej towarzyszkii - w cztery lata po zastrzeleniu syna straciła władzę w nogach”. Odpowiadała na pytania tych, którzy zdołali się do niej precyzyjnie. Słyszałem jej odpowiedzi - ten sam głęboki i miękki głos! - były rzeczowe, wyczerpujące, zauważyłem w nich (może tylko ja) domieszkę dumy. Kiedy udało mi się stanąć tak blisko niej, że nie mogła mnie nie widzieć, przyglęła na bardzo krótko wzrokiem do mojej twarzy, po czym, bez drgnienia w jej szlachetnych rysach, wróciła do swoich odpowiedzi na zadawane jej pytania. Miałem absolutną pewność, że rozpoznała mnie, lecz nie chce się do tego przyznać. Więcej - że oczekuje ode mnie tego samego.

Nie bez pewnego wysiłku, torując sobie drogę łokciami, przesunąłem się ku portretowi. Zależy mi na uniknięciu tanich efektów dramatycznych, ale nie mogę przecież, w imię maksymalnej ścisłości opisu, pominąć składników pierwszego wrażenia: silny cios między oczy, drżące nagle, wacia-ne nogi, rumieniec, który zdawał się być efektem gorącego i gwałtownego podmuchu z otwartego pieca, utrata tchu. Kompozycję obrazu, nazwanego *Ritratto d'uomo visto per due lati*, czyli

Dwójportretu spokrewnionego z wiedeńskim Trójportretem, znałem z płótna na sztalugach Contessy, które samowolnie odsłoniłem w jej pracowni. Tylko kompozycję. Wtedy, zdjąwszy z płótna jedwabną chustę wenecką, stanąłem przed zaczęty ledwie, lecz wyraźnym już portretem z profilu i enface młodego syna malarki w postaci uroczego cherubina. Teraz stałem przed Dwójportretem Alviego po powrocie z wojny; takiego Alviego, jakiego na okamgnienie zobaczyłem (prawdopodobnie tylko ja) przez szybę oddzielającą jego pokój od schodów. Był męski, twardy, wzrok miał zuchwały i nieustraszony, nie dostrzegało się jednak wyrazu zaciekłości i okrucieństwa w jego twarzy młodego kondotiera. Był piękny (przypominał właśnie świeżo zwerbowanego kondotiera), jak piękny był jego podwójny portret.

Tablica nad górną lampą informowała dokładnie o oko - \*? licznosciach odnalezienia obrazu, podawała (ze znakiem zapytania) 1555 jako przypuszczalną datę powstania portretu, stwierdzała, że niemożliwy do ustalenia okazał się jego model, wyjaśniała, „że zupełnie już dojrzały, a nawet odrobinę przejrzały, styl sztuki portretowej Lotto” (pienamente maturo e forse anche un po stagionato) każe myśleć o roku lub najwyżej dwóch przed śmiercią artysty. Jak zgłębiła tę sztukę, w odcieniach kolorów, w układzie głowy i ramion, Contessa! Jak bezbrzeżna miłość do prawdziwego modelu uskrzydliła jej sztukę!

Raz jeszcze, ochłonawszy nieco przed cofnięciem się do pozostałych sal wystawy, przeszedłem blisko jej wózka. Ale choć poczułem na sobie dotknięcie jej oczu, nie spojrzałem w jej stronę.

Upłynęło kilka lat. Kupowałem regularnie pisma poświęcone malarstwu, nieraz zdarzało mi się podziwiać w nich barwne reprodukcje Dwójportretu Lotto, z uczonymi komentarzami historyków sztuki, z pochlebnymi opiniami en pas-sant o restauratorskim wysiłku Giuditty Terzan. W związku z nabyciem obrazu przez wenecką Akademię, prestiżowy kwartalnik „II Mondo dell'Arte” ogłosił obszerny wywiad z Contessą, ozdobiony fotografiami restauratorki, jej domu i jej pracowni. Podziwiałem ten wywiad, nienasycony czytałem po wielekroć zręczną i inteligentną ekwilibrys-tykę Contessy, jej fachowe rozważania o malarstwie wenecko-koloretańskiego Mistrza, przede wszystkim zaś jej zimną krew. Ja, który znałem prawdę i chowałem głęboko w sercu sekret, jako jedyny może na świecie człowiek obok weneckiego antykwariusza Mariniego, zachodziłem w głowę, skąd ta sparaliżowana kobieta czerpała siły na igranie z ogniem. Nie wątpiłem bowiem, że fałszerstwo, choć wyborne i graniczące z wielkim, ukrytym dotąd i ujawnionym naraz talentem malarskim, długo nie potrwa. Miałem słuszość, nie przypuszczając jednak, że potrwa a ż tak długo, do roku 1975. A co do źródła sił i zdumiewającego opanowania Contessy w tym jej szalonym wyzwaniu, coś niecoś miał przelotnie odsłonić proces.

Pierwszą błyskawicą nadchodzącej burzy był w październiku 1975 artykuł znawcy malarstwa Lotto w dużej gazecie codziennej pod perfidnym tytułem La Contessa van Mee-geren? Nie wskazując palcem Dwójportretu weneckiego, nie wymieniając nazwiska Contessy, lecz podrzucając jej nazwisko genialnego fałszerza

obrazów Vermeera (jakkolwiek ze znakiem zapytania), autor pisał ogólnikowo o niebezpieczeństwie, w jakim znajduje się szczególnie Lotto, pechowiec i nędzarz, „rozsiewający swoje arcydzieła gdzie popadło, daleki od elementarnego bodaj obwarowania swoich praw malarskich - łatwy żer dla naśladowców (co nie jest przestępstwem) i fałszerzy (co jest zbrodnią)”. Artykuł otwierał sprawę i wzywał „szanownych kolegów” do dyskusji.

Nie wiem, czy był błędem, czy też śmiałym i rozumnym posunięciem list Giuditty Terzan do gazety. Mogła przecież nie reagować, skoro użyty został tylko jej tytuł bez nazwiska i ani razu nie wymieniony w tekście *Ritratto d'uomo visto per due lati*. Widocznie sądziła, że opłaci jej się taktyka natychmiastowego postawienia kropki nad i. „Domyślałam się - pisała w liście - że profesor Salimbeni, rzeczywiście wybitny znawca malarstwa Lotto, miał w swoim artykule na myśli, wybierając z jakichś względów formę niedopowiedzenia, *Dwójportret z głośnej wystawy weneckiej*, którego byłam restauratorką. Sam cień, a raczej cień cienia insynuacji jest dla mnie dostatecznym powodem, by domagać się orzeczenia komisji ekspertów, naturalnie z udziałem profesora Salimbeni”.

Salimbeni zareplikował rzeczowo i sucho. Tak, z różnych względów (tu delikatna aluzja do osobistej tragedii Contes-sy) wolał kluczenie wokół tematu od chwycenia go za rogi. List hrabiny Terzan rozwiązuje mu ręce. Uważa istotnie *Dwójportret* Lotto za bardzo udany, w pewnym sensie nawet podziwu godny fałszyfikat. Bez chwili wahania zgadza się na powołanie komisji ekspertów, proponuje sześćoosobowy skład i swoje uczestnictwo w komisji. Jego zdaniem, komisja powinna powstać i działać z ramienia Trybunału. Akademia, jako właściciel portretu, ma przecież prawo wystosować pozew sądowy przeciw hrabinie Terzan i antykwariuszowi Mariniemu.

Tak się też stało. Zanim jeszcze doszło do rozprawy przed weneckim Trybunałem, sześćoosobowa komisja podzieliła się na dwie połowy: trzech rzeczoznawców uznało portret za autentyczne, odnalezione dzieło Lotto; trzech za niezmiernie umiejętnie fałszerstwo. Podczas całej, tygodniowej rozprawy ten stosunek nie uległ zmianie. Nie zapadłby żaden wyrok, czyli w praktyce Contessa i Marini wyszliby z sali sądowej z podniesionymi (do połowy) głowami, a portret wróciłby z sali sądowej do sal lub piwnic Akademii, gdyby nie oświadczenie Giuditty Terzan. Zastanawiano się po procesie w prasie, dlaczego je złożyła; dla mnie, wyznaję, nie był niespodzianką. Przyznała się do fałszerstwa i dokładnie odtworzyła jego przebieg i okoliczności, nie odmawiając sobie drobnej satysfakcji podkreślenia połowicznego sukcesu. Zapytana, co ją do tego skłoniło, odpowiedziała, że pokusa znacznego zarobku. „Ale nie tylko - dorzuciła i załamała się wtedy lekko jej spokojny i równy głos - chciałam także zostawić światu na wieki portret mojego utraczonego i ukochanego (amatissimo) syna”.

Antykwariusza weneckiego skazano na pięć lat więzienia, bez zawieszenia. Ją także, lecz z zastrzeżeniem, że jako kaleka ma wyrok odbyć w karnym zakładzie inwalidów w pobliżu jeziora Como. Portret, *corpus delicti*, został obłożony sekwestrem przez sąd.

Siedzieliśmy przy otwartym oknie na czwartym piętrze kamienicy nad Tybrem. Przejrzyste, ażurowe powietrze pozwalało obejmować za mostem, po tamtej stronie rzeki, pomnik wielkorządcy sonetów w dialekcie romanesco, Gio-acchino Belli; szyderycy z nadmiaru miłości, którego próbował przekładać zakochany w nim Gogol. Kamienica znajdowała się poza terenem starego getta, w niewielkiej odległości od synagogi, i była siedzibą ludzi zamożnych. Siedząca naprzeciw mnie Giovanna Olindo, przyrodnia i młodsza siostra Contessy, wdowa od wielu lat po wyjątkowo bogatym przedsiębiorcy budowlanym, podobna była do starej, oskubanej indyczki: przymykała wciąż oczy, wydobywała co jakiś czas z zasuszonej figurki skrzekliwe czy zgrzytliwe, również oskubane zdania.

Nie było łatwo wy błagać tę wizytę. Pozwoliłem sobie na kłamstewko („z Pani siostrą łączyło mnie coś więcej niż przelotna wojenna znajomość”), z którego się tu spowiadam i równocześnie rozgrzeszam: nie widziałem innego sposobu dotarcia do jedynej osoby, która mogła mi opowiedzieć o losach Contessy od wyroku do śmierci.

Giudi (nazwała ją rodzinnym zdrobnieniem) odsiedziała cały wyrok w zakładzie karnym dla inwalidów, apatyczna, jakby nieobecna duchem, nieskora do żadnych zajęć, nawet do skorzystania z przywiezionych jej przez siostrę przyborów do malowania. Od siostry oczekiwała jednej tylko rzeczy: opłacania adwokatów za ponawiane bezustannie próby odzyskania obrazu obłożonego sekwestrem przez sąd. Wszystkie wysiłki okazywały się daremne, najwidoczniej sąd obawiał się recydywy w eksploatacji falsyfikatu. Ciągłe odmowy doprowadziły Giudi do głębokiego rozstroju nerwowego. Po wygaśnięciu wyroku przewieziono ją, na koszt siostry, do zakładu dla nerwowo chorych w Dolinie Aosty. Tam spędziła osiem lat, „umarła za życia” (według określenia pani Olindo). Z zupełnej prostracji wytracił ją dopiero orzeczony przez sąd zwrot obrazu. Odżyła. Pojechała natychmiast do Wenecji, do swojego zamkniętego i zapuszczonego przez lata domku. Siostra łożyła na jej utrzymanie i znalazła dla niej stałą guwernantkę, daleką krewną ich matki, żelazną starą pannę. Przez kilka lat, aż do śmierci na atak serca, Contessa żyła podejrzliwa i wiecznie najeżona na straży swojego skarbu.

Nie zawiodła mnie więc intuicja. Cała ta historia była w pewnej przynajmniej mierze nowoczesną wersją *The Aspern Papers*, opowieści weneckiej Henry Jamesa. Aż do drobnego szczegółu krewniaczki Contessy, odpowiednika staropanińskiej Tity, siostrzenicy Miss Bordereaux.

Przeszliśmy na herbatę do sąsiedniego pokoju. Na ścianie nie dosięganej przez słońce wisiał, pod małym krucyfiksem, Dwójportret Giuditte van Meegeren. Wpatrywałem się weń tak długo, że pani Olindo musiała mi przypomnieć o podanej herbacie z nutką rozdrażnienia w głosie. Portret wenecki był doprawdy arcydziełem, kto wie, czy Lotto potrafiłby był namalować coś podobnego. Autorce falsyfikatu powiodło się namalowanie dwóch szlachetnych, nieugiętych, zniewalająco urodziwych twarzy Zła.

Czerwiec 1993

Rosyjski Niedźwiedź *Divertimento* narracyjne Igora Gogolewa poznałem w latach odwilży Chruszczowa po Dwudziestym Zjeździe. Był świeżym absolwentem

romanistyki leningradzkiej i do Neapolu przyjechał na trzymiesięczne stypendium. Skierowali go do mnie włoscy znajomi z Istituto Orientale, nie ukrywając przed nim ryzyka tej wizyty. Toteż przyszedł blady, zdenerwowany, często zerkał przez okno na ulicę, po półgodzinie siedział na krześle jak na rozżarzonych węglach. Ale silniejszy od tych lęków okazał się cel wizyty: Igor dowiedział się mianowicie, że jeśli spodoba się gospodarzowi, zostanie być może wydane w Ameryce wielotomowe edycje rosyjskie Paster-naka i Mandelsztama. Spodobał się, miałem zresztą kilka dubletów. Dotknięcie otrzymanych tomów poprawiło mu humor, dodało odwagi i zapaliło w jego inteligentnych oczach iskierkę rozbawionej ironii. Był z natury wesołym i dowcipnym prześmiewcą, szkoda, że nosząc rdzeń tak świetnego nazwiska, był organicznie pozbawiony daru opowiadania. Choć kochał literaturę w ogóle i poezję w szczególności, jego język był wyłącznie narzędziem zwięzłej i bezbarwnej komunikacji. Wspominam o tym od razu na początku, aby ze strony czytelników uniknąć zarzutów albo co najmniej wymówek, że opowieść o Rosyjskim Niedźwiedziu nie zdoła wyjść poza oschłą i skąpo podlaną sosem humoru relację. Ach, gdyby Gogolew był potomkiem Go-gola! Gdyby umiał wskrzesić cienie Cziczikowa, Rewizora, Baszmaczkina, snujące się niepostrzeżenie w tle współczesnej Rosji, bujnie rozkrzewionej na nawozie-padlinie Związku Sowieckiego!

#### *7 - Dziennik... (1993-1996) 97*

Nasze pierwsze zetknięcie skończyło się, z mojej winy, katastrofą. Wybierał się na trzy dni do Rzymu, uznałem więc za naturalne zaopatrzenie go w listy polecające do moich rzymskich przyjaciół, też podejrzanych w oczach sowieckich „organów”. Zapomniałem jednak, że o ile nea-politańscy towarzysze z wrodzonego lenинства nie kwapili się do pisania donosów dla ambasady sowieckiej, to rzymscy komuniści pałali wiecznie żywą żądzą przysłużenia się Dziełu Rewolucji. Rzymskie spotkania Igora zostały zauważone i gdzie trzeba odnotowane, co natychmiast skróciło jego pobyt we Włoszech. Nie pożegnał się nawet ze mną, przysłał mi tylko z Leningradu widokówkę z trzema znaczącymi słowami Proszczaj lubimyj Zapad i bez podpisu.

Jak kamień w wodę (po tej widokówce), ani znaku życia, prawie wykreśliłem Igora z pamięci. Nagle kartka z podpisem i adresem, wysłana z Moskwy w epoce „dojrzałego” Gorbaczowa. Dwa zdania, jedno po rosyjsku, drugie po włosku (jako zamilowany romanista znał dobrze francuski i włoski): Ja budu tiepier', sława Bogu, GŁASNYM. Ne sentirai ancora molto di me. Świadczyło chwalebnie o jego inteligencji, że uhonorował dużymi literami głasnost', a zamilczał o pieriestrojce. Zdanie włoskie („Usłyszysz jeszcze wiele o mnie”), mogło dowodzić, że zabrał się nareszcie do realizacji swojego projektu, czyli do napisania książki Proust i Svevo (podczas naszej rozmowy w Neapolu nie chwytalem istoty tego zestawienia, ale uśmiechał się tajemniczo jak posiadacz nie opatentowanego jeszcze wynalazku). Usłyszałem o nim szybciej, niż mogłem się spodziewać, i to z jego własnych ust. Wpadł do Włoch na pięć dni. Zatelefonował z Mediolanu. Czy Brescia jest daleko od Neapolu? Czy chciałbym być jego gościem w hotelu „Atlantic”?



Nie poznałem go w pierwszej chwili. Zapуścił bródkę, ubrany był dziwacznie: różowe spodnie, zielona marynarka, niebieska koszula, pomarańczowy krawat z wizerunkiem nagiej dziewczyny. Znikła piękna kiedyś czupryna. Zaśmiał się, widząc osłupienie w moich oczach. „Pstrokaczna jest w naszej świeżej modzie odpowiednikiem pluralizmu w naszej raczkującej demokracji. Za długo wszystko było szare albo czarne, żeby nie wywołać głodu kolorów (z wyjątkiem czerwonego). Przyzwyczaisz się, jak po pierwszym szoku przyzwyczaili się Włosi z fabryki «Santina»„. Z fabryki „San-tina”? Nie przesłyszałem się? Chodziło o najpopularniejszą we Włoszech wytwórnę prezerwatyw, z centralą w Brescii. „Tak, tak - zaśmiał się znowu - rzuciłem romanistykę, przestałem się zajmować Proustem i Svevo, jestem szybkobiegaczem businessu, zakładamy w Kałudze fabrykę prezerwatyw «Inessa»„.

Teraz ja się zaśmiałem, a on spoważniał. „Rzecz w tym, że za panowania tych komunistycznych żulików mieliśmy prezerwatywy okropne, zniechęcające każdego normalnego mężczyznę, budzące przerażenie każdej normalnej kobiety. Za szczyt w tej dziedzinie uchodził czeski «Leopard», robiony z obrzynków dętek samochodowych, motocyklowych i rowerowych. Powiedziała mi kiedyś śliczna i dowcipna dziewczyna leningradzka, że ilekroć jej partner zakładał prezerwatywę z naszych ludowych stron, miała takie uczucie, jakby wjeżdżał w nią na hondzie”.

- I chcecie na pierwszy ogień kupować w Brescii „San-tinę”, prawdziwie święty produkt kraju papieży i demokracji chrześcijańskiej?

- Ależ skąd! Chcemy zaraz produkować w Kałudze własne „Inesse”, potrzebne nam są ich maszyny i przyzwoity surowiec. Ale widzę po wczorajszej wizycie, że trzeba popędzić do Ameryki, Włosi są naturalnie lepsi od naszych dętek, trudno ich jednak uważać za ostatni krzyk perfekcji na tym polu. Sekretem jest cienkość produktu i elastyczność, która nie powoduje pęknięcia. A propos nazw: „Santina” jest dobra we Włoszech, ale nie wiesz pewnie, skąd u nas „Inessa”.

Domyślałam się, że jakiś antykomunistyczny wesołek przypomniał sobie ukochaną Lenina...

Dokładnie tak. Inessa Armand (widzę, że o tym wiesz), sfrancuziała Rosjanka albo zruszczona Francuzka, wielbiła umysł i talenty Iljicza, a on się w niej beznadziejnie kochał. Dlaczego beznadziejnie? Była zamężna, miała czworo dzieci, dotarły do niej przypuszczalnie pogłoski o jego syfilisie. Gdyby „Inessa” istniała już za czasów Inesy, nie byłoby problemu. W każdym razie przyznasz, że w postkomunistycznej Rosji nazwa jest pikantna. Wymyślił ją twój uniżony sługa.

Uniżony sługa popędził rzeczywiście do Ameryki. I zamilkł. Przysłał mi tylko za pośrednictwem „Santiny” wspaniały album Petersburg wczoraj i dzisiaj, wydany w Mediolanie, do którego firma dołączyła od siebie, jako omaggio, karton dwunastu sztuk swego produktu. Ubawił mnie stylizowany krzyżyk na każdej torebce.

Gogolew spędził w Ameryce, głównie w Cleveland, przeszło kwartał. Tam upewnił się, że Amerykanie bezapelacyjnie prowadzą i w tym dziale lekkiego (bardzo lekkiego) przemysłu, i z właścicielem fabryki „Glamour”, Patem Macphersonem, podpisał umowę joint venture. Amerykanie mieli dostarczyć do

Kaługi specjalne maszyny oraz wtajemniczyć Rosjan w sekret wydobywania subtelnej i „ogniotrwałej” (dość obsceniczne wyrażenie reklamy: fireproof) gumy z najprymitywniejszych nawet surowców. Tanią robocizną ofiarowała, rzecz jasna, Kaługa. Prezesem spółki został Pat Macpherson, jego zastępcą Gogolew. Umowa przewidywała, że w razie zgonu Macphersona jego prezydencki stolec zajmie Gogolew, a w razie śmierci Gogolewa rada administracyjna w Kałudze wybierze jego rosyjskiego następcę. Dochody ze sprzedaży „Inesy” (na całym świecie) miano dzielić po połowie, natomiast „Glamour” ograniczył swoją sprzedaż i swój wyłączny dochód do Ameryki. Wkrótce po podpisaniu joint wnture przyłączyła się do transakcji „Santina”, która początkowo zamierzała zmienić swą nazwę na „In Essa” (w niej), ale szybko wycofała się ze swego zamiaru, stwierdziwszy, że Kościół, pod wpływem rosnącej groźby AIDS i nadmiernego urodzaju rozplodowego w Trzecim Świecie, rozważał po cichu możliwość złagodzenia swego stosunku do sztucznych środków antyinfekcyjnych i antykoncepcyjnych. AIDS zresztą, niezależnie od rachuby na zmianę stanowiska Kościoła, spowodował prawdziwy, powszechny boom w branży, o której mowa.

Dla przypiecztowania zaślubin „Glamour” i „Inesy” Gogolew zaprosił Macphersona do Rosji, co miało być formą rewizyty. Także amerykański producent spędził w Rosji, głównie w Petersburgu i w Moskwie, przeszło trzy miesiące. Jego pobyt zrelacjonował mi (niestety, trudno to określić „opowiedział mi”) Gogolew w Trieście. W Trieście? Tak, niedoszły autor książki Proust i Svevo zapragnął naraz, w roli przyszłego milionera, poznać miasto rodzinne pisarza włoskiego. Byłem ponownie jego gościem, tym razem w „trzygwiazdkowym” hotelu „Ulisses”, nazwanym tak dla złożenia hołdu wielkiemu Irlandczykowi, niegdyś wykładowcy w triesteńskiej szkole języków Berlitz.

Relacja Gogolewa, po tak drugim wstępnym wystawieniu uwagi czytelnika na próbę cierpliwości, wprowadzi wreszcie na scenę postać tytułową.

Nie obędzie się jednak bez dygresji na temat Triestu. Po raz drugi byłem w tym mieście, po raz drugi wzruszyła mnie jego środkowoeuropejska atmosfera przetykana z rzadka włoskimi pasmami. Włączyliśmy się z Igiorem bez celu, zaglądaliśmy do małych i brudnawych knajpek, gdzie (jak wskazywał napis na szybie „Dziś flaki”, zupełnie jak w moich rodzinnych stronach) można było zjeść porcję flaków bądź wypić kieliszek wódki z kawałkiem śledzia na zagryzkę. Siadywaliśmy w tzw. wytwornych kawiarniach, mało podobnych do kawiarni rzymskich czy mediolańskich, nasyconych w tonacji rozmów i śmiechów, w aparycji kobiet i gestykulacji mężczyzn - powietrzem Wiednia, Krakowa, Lwowa. Wyczuwał to również Igor, w sposób czysto literacki: był wybornym znawcą wszystkiego, co napisał Svevo. I co prawda dopytywał się przy byle okazji o triesteńskiego pisarza, ale bez większego zapału. Tkwił już po uszy w „by-znesie”. Fascynowały go tylko łańcuchy rozwieszane między słupkami wzdłuż ulic na wypadek nadejścia porywistego wiatru bora; należało się wtedy tych łańcuchów chwycić bez zwłoki, dla uniknięcia lotu na skrzydłach bory w zaświaty albo co najmniej w nieznanie. Igorowi pozostało ze szkół pojęcie „wiatru historii”, wierzył, że od niedawna wieje

na serio, lecz chwilowo z ograniczoną siłą. „Zerwie się kiedyś taka bora, że świat się nie pozbiera, pękną wszędzie łańcuchy. Tymczasem trzeba robić pieniądze, w nich jedyny ratunek”. W końcu historia, którą cały czas szykował się wyrzucić z siebie na mój benefis, przyparła go w kącie salonu „Ulis-sesa” przy butelce koniaku.

- Mówiono mi, że to wy, Polacy, wymyśliliście dla Rosji nazwę Niedźwiedzia, którego trzeba szarpać, póki jest słaby, a nie należy drażnić, gdy jest w pełni swoich niedźwiedzych sił. Nie obrażaj się: głupi to pomysłupek. Niedźwiedź przejściowo słaby jest groźniejszy od mocnego. Ale wcale nie jestem pewien, czy nazwa pochodzi rzeczywiście od Polaków. Ostatecznie istnieje Russian Bear, Orso Russo, Ours Russe. Tak czy owak, przylgnęła do nas niedźwiedzio-watość narodowa (i imperialna), co mojej prawdziwej w każdym calu historii nadaje szczególny posmak metafory lub symbolicznego skrótu obecnej epoki w naszych dziejach.

- Macphersona zawieźliśmy najpierw do Kaługi, żeby mu pokazać ogromny gmach Okręgowego Komitetu Partii, którego grube i solidne mury miały za miesiąc powitać i gościć amerykańskie maszyny wraz z amerykańskimi instruktorami. Przedstawiliśmy mu też zaangażowany przez nas personel: stu pięćdziesięciu robotników i pięćdziesięciu urzędników administracji fabrycznej. Zdumiała go co prawda taka proporcja, uspokoiło go jednak zapewnienie, że z biegiem czasu maszyny uszczuplą złączną liczbę robotników. „A biurokracja fabryczna?” „Tej długo nie ruszymy z uwagi na konieczność utrzymania dobrych stosunków z możliwymi wciąż eks-funkcjonariuszami partyjnymi”. Wątpię, czy zrozumiał naszą specyfikę postkomunistyczną, istotne wszakże było to, że skinął potakująco głową na znak zgody. Z Kaługi zawieźliśmy go najpierw do Petersburga (jako mojego miasta rodzinnego), a potem do Moskwy. Przyszła kolej na rosyjską dolce vita, w rewanżu za amerykańskie rozkosze i atrakcje.

- Nie wierzył własnym oczom, wprowadzany przez nas na szlaki Rosji bogatej i rozbestwionej używaniem życia, Russia Milionaria, jak by powiedział wasz neapolitański dramaturg De Filippo, kraju, który o krok od biedy, a nawet nędzy, obzerał się do otkaza wyszukanymi potrawami, chlał jak wodę wyborowe trunki, płał w rozpuście bez umiaru i wstydu. Macpherson szybko zasmakował w tych urokach joint venture. Podejrzywałem niekiedy, że w Ameryce kazał sobie za grube pieniądze wstawić drugi żołądek i drugi pęcherz. Zrobił się nienasycony i wulgarny. Od świtu do nocy był jeśli nie pijany, to mocno wstawiony. Nie uznawał godzin posiłków, jadł prawie bez przerwy. Po dwóch miesiącach stał się amerykańskim Gargantuą. Dobierał się natychmiast do wszystkich dziewcząt (zresztą ładnych), jakie podstawialiśmy mu do wyboru. „Żadnej nie przepuszczę, nie mam zwyczaju przebierać”, pokrzykiwał z głupawym rechem, tłumacząc nam z takim rechem, że wypróbował jakość swego produktu „Glamour”. „W gruncie rzeczy ciężko pracuję”, usprawiedliwiał się po chwili z poważną miną. No i w końcu podcięły to zachłanne cielsko właśnie ekscesy erotyczne. Odwieźliśmy go do moskiewskiej kliniki z lekkim zawałem. W trzy dni później gotów już był, rześki, do opuszczenia kliniki. Przyszedłem do niego wieczorem z butelczyną wytrawnej wódki. Wypiwszy

parę kieliszków, stał się naraz sentymentalny i odsłonił przede mną największe marzenie swojego życia.

- Miał mianowicie wrodzoną żyłkę myśliwego, a nigdy nie zdołał jej zaspokoić on a high social level\*. Polował na Wyższy poziom społeczny.

drobnicę, wyprawa do Afryki na safari przekraczała jego dochody (skarga szkockiej proveniencji). To muke a long story short\*, chciałby polowaniem na niedźwiedzia w Rosji uczynić zadość swemu wieloletniemu pragnieniu, a skórą niedźwiedzia w swoim domu w Cleveland podnieść swój social status. Bo rodzaj jego działalności przemysłowej nie stawia go zbyt wysoko w opinii ludzi z jego sfery. A słyszał przecież i czytał, że niedźwiedzi jest w Rosji w bród, że białe niedźwiedzie przybiegają czasem z głodu do Petersburga, że cała Rosja jest jednym wielkim Niedźwiedziem. Co powiedziawszy, spojrzał pytająco i błagalnie w moje oczy. Pat, odrzekłem bez namysłu, zrobię dla ciebie wszystko. Nasza joint venture jest czymś więcej niż przedsięwzięciem gospodarczym; jest kuźnicą przyjaźni. Był zachwycony słowem „kuźnica”. Do czegoś więc przydały się moje studia literackie.

- Odrzekłem bez namysłu, a powinienem był namyślić się, i to długo. Polowanie na niedźwiedzie z nagonką w lasach centralnej Rosji nie było rzeczą prostą. Łatwiej byłoby na Syberii, ale nie mieliśmy ani ochoty, ani odwagi taszczyć opasłego i rozlazłego Amerykanina na Syberię, nie posiadał fizycznej kondycji do zaryzykowania takiej wyprawy. Dowiedziałem się o istnieniu gospodarstwa zoologicznego pod Tuła, w niewielkiej odległości od Kaługi. Podskoczyłem z radości, otworzyła się szansa złapania Pana Boga za nogi, a raczej Niedźwiedzia Rosyjskiego za łapy. Niestety, spóźniłem się o miesiąc: w ramach głoszonej samowystarczalności gospodarczej zawchoz sprzedał przed miesiącem do kilkunastu cyrków zagranicznych (choć gospodarstwo zoologiczne miało w założeniu obsługiwać tylko cyrki rodzime) wszystkie posiadane okazy króla rosyjskich borów i gór po siedem tysięcy dolarów za niedźwiedzia. Byłem bliski desperacji. W pewnej mierze przyszłość (pomyślna) naszej joint \enture zależała od niedźwiedzia. Kłamię go w myślBy skrócić długie opowiadanie.

lach, targalem za kłaki, biłem po pysku szpicrutą, szukając na próżno ujścia dla napięcia nerwowego. W Rosji jednak, jak wiesz, bież wódki nie razbieriosz; zajrzałem więc któregoś wieczoru do starego wódkopaju, gdzie zbierali się codziennie moi przyjaciele i koledzy. Nazwaliśmy go, na cześć Wieniczki Jerofiejewa, „Moskwa-Pietuszki”. Był to właściwie zamknięty klub ekskluzywny (na wzór angielskich), przyjmowaliśmy doń jedynie osoby zdolne wykazać się znajomością na pamięć, od pierwszej do ostatniej stronicy, arcydzieła naszej ojczystej literatury. Podczas egzaminu wstępnego egzaminator i egzaminowany rozpijali obowiązkowo litr wódki.

- I rzeczywiście. Gdy opowiadałem o moich zmartwieniach, wychylając szklaneczkę za szklaneczką, przyglądał mi się z uśmiechem Pietia, leningradzki kolega z czasów uniwersyteckich; spec od pokątnych brudnawych interesów, miał famę człowieka, któremu nie umykało nic, co na marginesie społecznym działo się w Moskwie i okolicach. Famę przesadną, naturalnie, nie pozbawioną jednak jakiejś

doży prawdy. Wyszliśmy z szynku Wieniczki po północy, Pietia odprowadził mnie do stacji metra, objął mnie na pożegnanie i szepnął mi na ucho: „Soncewo. Tam znajdziemy lekarstwo na twoje żaboty”. Więcej nie chciał powiedzieć. Mieliśmy w południe pojechać do Soncewa, dość ponurej dzielnicy na przedmieściach Moskwy.

- Na skraju Soncewa, gdzie kończyły się już nędzne uliczki zabudowane jednopiętrowymi kamieniczkami, którym niewiele brakowało do zapadnięcia się pod ziemię, bardzo wąska ścieżka wiodła przez usiane odpadkami pole, wśród poszczekiwania chudych bezpańskich psów, do widocznej w odległości około kilometra małej szopy. Była to raczej spora komórka, zbita z pokrzyżowanych desek, połatana tu i ówdzie zardzewiałą blachą, kryta papą. Pietia zapukał do krzywych drzwi. Odpowiedziało mu przesiąknięte wódką rugatielstwo z towarzyszeniem cichego zwierzęcego pomruku. „Igor Nikołajewicz, musimy trochę poczekać, aż Trofim ochłonie na tyle z oparów samogonu, by nam otworzyć drzwi, a Misza zwlecze się ze swego legowiska, by na wsiakij pożarny słuczaj stanąć groźnie obok swego pana”. Trofim był starym, zapijaczonym cyrkowcem, Misza wiekowym niedźwiedziem, emerytowanym protago-nistą wszystkich numerów popisowych sławnego ponoć kiedyś „niedźwiedziego bliźniaka”. Chudożestwieńnoje zwa-nije „niedźwiedzi bliźniak” pasowało jak ulał do Trofima. Otworzyły się wreszcie pchnięte od wewnątrz drzwi, stanął przed nami ogromny kudłacz o przekrwionych oczach, prześmierdły, z kępkami słomy w siwych kudłach, uderzająco podobny do swego wychowanka, wychudłego, pokrytego białozółtą sierścią, przebierającego niepewnie łapami, też ze śladami barłżenia się w słomie, niezdolnego do porządnego ryknięcia. Pertraktacje zajęły nam dwie godziny. Trofim wychwalał swego cyrkowego partnera, zaczął go naraz uroczyście nazywać Michaił Siergiejewicz, przy każdym zawarciu w targach o cenę wymieniał albo wymyślał nowe umiejętności wytresowanego niedźwiedzia: tańczy tre-paka na tylnych łapach, jeździ na rowerze, skacze przez płonącą obręcz, niańczy dziecko w przednich łapach. Stanęło na stu dolarach i trzech skrzynkach „Moskowskiej”. Pieniądze dostał natychmiast, wódkę mieliśmy przywieźć nazajutrz rano i tym samym samochodem zabrać Michaiła Siergiejewicza.

- Zawiozłem go do Pieriediełkina, na daczę mojego przyjaciela, profesora hispanistyki na Uniwersytecie Moskiewskim. Mój bezdzietny profesor był z żoną na gościnnych występach w Madrycie, mogłem więc swobodnie rozgościć się w domku, a Misze ulokować w przestronnym składzie narzędzi ogrodniczych. Należało go przede wszystkim przemaalować, żółtawa siwizna mówiła za dużo o podeszłym wieku. Co zrobiłem z pomocą przysłanego mi przez Pietię bezrobotnego fryzjera. Wybraliśmy kolor ciemnobrunatny, zastosowaliśmy przy farbowaniu najlepszy zagraniczny utrwalacz. Wraz ze zmianą koloru Misza odzyskał jakby resztki sił, zwłaszcza że karmiłem go bardzo obficie (u Trofima zapewne głodował). Zabłysnął do tego stopnia daleki odbłask jego dawnego niedźwiedziego splendoru, że odruchowo zwracałem się do niego wciąż per Michaił Siergiejewicz głębokim basem nomenklatur owym.

- Wypadalo teraz przekonac Pata Macphersona, ze laski koło Pieriedielkina są prastarą rosyjską puszcza, bogatą w zwierzynę. Zadanie okazało się nieoczekiwanie łatwe, gdy opowiadając o Pieriedielkinie, wspomniałem daczę autora Doktora Żiwago. Ach, widział trzy razy ten wspaniały film, książki nie czytał, nazwiska Pasternaka nie znał, film kojarzył mu się przede wszystkim z Julie Christie w „prawdziwej, zasypanej śniegiem Rosji”, ale był absolutnie przekonany, że takie dzieło jak Doktor Żiwago mógł stworzyć tylko a man of genius. Do marzenia o zmierzeniu się z rosyjskim niedźwiedziem przyłączyło się zatem marzenie o stanowisku myśliwskim obok daczki autora Doktora Żiwago. Za płotem daczki Pasternaka rósł ogromny rozłożysty dąb, tam miał czatować na zwierzynę mój Pat. Rzekoma nagonka planowana była z boczem zalesionego wzgórza, z którego zbiegała zakosami piaszczysta, dobrze ubita dróżka. Polowanie było znakomicie zaaranżowane, Misza zawieszony na szczycie wzgórza bez żadnych oporów dał się namówić na swój ostatni bieg dróżką w kierunku dębu, za którym czekał na niego Macpherson z pięknym, nowiutkim sztuce-rem. Na skraju pobliskiego zagajnika rozłożyła się ekipa fotograficzna, wezwana dla uwiecznienia tej historycznej sceny. Jednego nie przewidziałem. Że na dróżkę wyskoczy nagle boczną ścieżką leśną dziewczyna rozwożąca w okolicy pocztę na masywnym rowerze. Gdy zobaczyła toczącego się z góry niedźwiedzia, krzyknęła przestraszona, zeskoczyła z roweru i zostawiła go na dróżce, a sama z torbą pocztową rzuciła się w bok między sosny i wysokie krzewy.

- Trofim wytresował wybornie swojego Misze, który na sam widok leżącego na dróżce roweru odgadł natychmiast, czego od niego ludzie oczekują. Mnogo uważamy ysm Michaił Siergiejewicz ukazał się zdumionym i przerażonym oczom Mister Macphersona na siodełku roweru, pędząc w dół na ostatnim spadzistym odcinku dróżki, prosto na dąb. Nie będę wchodził w szczegóły, dość, że mój biedny Pat przypłacił ten obraz śmiertelnym zawałem, ja zaś widziałem z daleka, jak niedźwiedź, a raczej Rosyjski Niedźwiedź, obwąchuje go i trąca pyskiem, po czym wali się obok niego, zmęczony, pod dębem.

- Tak oto zostałem prezydentem joint venture, rada amerykańsko-rosyjsko-włoska powinna mnie zatwierdzić w przyszłym miesiącu. Czysta formalność. Do Triestu przyjechałem na krótką odsapkę przed przyszłymi trudami. I dla uczczenia mojego triumfu w mieście Italo Svevo.

Wielki Boże Prawosławnych, któryś przez wieki ochraniał carów, a potem, krócej na szczęście, carobójców, dzięki Ci, żeś w swojej niezmierzonej dobroci i bezgranicznej cierpliwości raczył wysłuchać Słowa o triumfie Igora.

Dragonea, lipiec 1993

Neapol, 18 sierpnia Uważnie obserwuję, co się dzieje, po krachu komunizmu i „ojczyzny proletariatu światowego”, z komunistami na Zachodzie. Na zdrowy rozsądek zdawałoby się, że powinni pójść na dno w bajorku zachodniej „hańby domowej”. W rzeczywistości nie tylko nie idą, ale utrzymują się wciąż na powierzchni: we Francji z pewnym trudem, zachłystując się co pewien czas brudną wodą; we Włoszech wybornie, bijąc wszelkie rekordy pływackie.

We Francji, jak widzę z drobiazgowej analizy w „Le Monde”, odbywa się na całego flirt skrajnej lewicy ze skrajną prawicą. „Ideologicznie” więc wracamy do czasów, gdy Stalin (po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow) zalecał w tajnym okólniku partyjnym studiowanie narodowego socjalizmu, gałęzi bliskiej komunizmowi na wspólnym pniu wojny z kosmopolityczną plutokracją. W dzisiejszej Francji, wobec groźby stopniowego wiotczenia komunistycznych mas rewolucyjnych, w gasnącą iskrę rewolucji dmuchają razem „intelektualiści” spod sztandarów Le Pena (Alain de Benoist) i Marchais. Wspomina się życzliwie „nacionalbol-szewizm” w rasistowskim sosie braci Strasser, faworytów (na krótko) Hitlera. Czynny udział w tym mariażu bierze sowiecki družba: pisarz Limonow, niegdyś pornograficzny dysydent, obecnie przedstawiciel Żyrinowskiego w Paryżu.

Sytuacja włoska jest inna, podobna trochę do polskiej. Komuniści włoscy ciągną zyski z tła. Przez tło rozumiem złodziejsko-korupcyjną degrengoladę chadecko-socjalistyczną. Skompromitowane są „wartości chrześcijańskie” - w polityce, partia Craxiego leży na ziemi kopana i opluwana. Nie znaczy to oczywiście, że eks-partia komunistyczna, przemianowana na Partię Lewicy Demokratycznej (znikło nawet słowo „socjalizm”), jest czysta jak łąza. Ma swoją złodziejską „dole”, mniejszą, co prawda, w aferach korupcyjnych, nie mówiąc o solidnym niegdyś poparciu finansowym Moskwy (w pamiętniku byłego komunistycznego bossa Cervettiego czytamy, jak to Ponomariow podsunął mu kartkę z pytaniem „Pięć wystarczy?”; chodziło o pięć milionów dolarów). Ale na tle bagna chadecko-socjalistycz-nego komuniści wypadają lepiej na tyle, na ile złodziej kieszonkowy ryzykuje mniejszy wyrok (sądu i opinii publicznej) od kasiarza. Eks-partia komunistyczna, dzięki zręcznej polityce z zakresu kosmetyki czy wręcz chirurgii twarzy, znalazła się teraz na pierwszym miejscu gradacyjnej listy popularności. Do kosmetyki czy chirurgii twarzy należy prawie całkowita amputacja przeszłości. Gramsci? Nnnno tak, ale... Togliatti? Lepiej za dużo nie mówić. Longo? Jedyna jasna plama: protest przeciw inwazji Czechosłowacji. Berlinguer? Główna zasługa: refleksja o wyczerpującym się „impulsie rewolucyjnym” w ZSSR. I chirurgia twarzy, i przywrócenie błony dziewiczej. W miejscowości Bu-towo pod Moskwą odnaleziono ostatnio w mogile zbiorowej trupy komunistów włoskich, emigrantów w okresie faszyzmu. Partia Lewicy Demokratycznej udała, że ich nie widzi.

Podobieństwo do Socjaldemokracji RP jest uderzające, łącznie z nazwą Sojusz Lewicy Demokratycznej. I znowu rosnąca popularność SLD jest głównie dziełem tła: okropnej prawicy (bardziej czy mniej chadeckiej), prócz Partii Konserwatywnej Halla. Nasi eks-komuniści też są sierotkami, których przodkowie zaginęli bez śladu w mroku dziejów. Bierut? Berman? Gomułka? Moczar? Gierek? Kogo to obchodzi, kto ich pamięta? Współcześni spadkobiercy wołają występować w roli NN, podrzutek historii. Operację ułatwia bzik „wartości chrześcijańskich”, które tyle samo znaczą, gdy się o nich za często i zbyt uroczyście mówi, co „wartości ludzkie” lub „wartości polskie”. Takich mając „anielskich” i pomylnych przeciwników politycznych, eks-komuniści polscy, na wzór swoich eks-towarzy-szy włoskich, dają gwarancję konkretności, roztropności i - co najważniejsze - przyziemności.

20 sierpnia „Znak” przedrukował z „Kultury” fragment mojego dziennika, związany z ankietą miesięcznika krakowskiego na temat komunizmu („co wnosi do wiedzy o człowieku?”). W obszernym dziale „Znaku” pod tytułem Lekcja komunizmu ukazało się kilka tekstów, z których zainteresowały mnie szczególnie dwa: Mały traktat o przystosowaniu Jerzego Jedlickiego oraz dwugłos Miłosza i księdza Tischnera o „dziedzictwie diabła”.

W Traktacie Jedlickiego nie wszystko trafia mi do przekonania, natomiast jestem jak on przekonany o zasadniczej roli „przystosowania” w systemie sowieckim. Owo „przystosowanie” (które na własny użytek nazywałem „zachowaniem” czy „niepisanym kodeksem zachowania nieodzownym do przeżycia”) stanowiło fundament sowytyzmu, tak trudny dzisiaj do zburzenia, trudniejszy w każdym razie do zburzenia od granitowych cokołów, na których stawiano pomniki Wielkich Nauczycieli. Jedlicki ma również rację, zauważając, że w Polsce (a prawdopodobnie do pewnego stopnia i w innych kadeelach) „przystosowanie” było wzajemne: rządzący narzucali „przystosowanie” rządzone, ale i sami musieli się po jakimś „przystosować” do rządzone. Taki proces nie istniał prawie w Metropolii.

Jedlicki słusznie zaprzecza, jakoby „rozgościł się u nas homo sovieticus, ten słomiany chochoł, który dziś, w Krakowie zwłaszcza, i straszy, i śmieszy”. Wyraźny adresat tej aluzji, ku mojemu zdumieniu, zapomina o swoim „homo-sosie” w dialogu z Miłoszem, onieśmielony jakby majestatem i poglądami noblisty. „Słomianego chochoła” zastępuje diabeł, zapewne mielkij bies Wata, postukujący „kopytkami” na dachu więzienia moskiewskiego.

U Miłosza niebywały jest jego upór. Zdawało się, po przeczytaniu książki Ewy Czarneckiej (Renaty Gorkczyń-skiej) Podróżny świata, że herold „zniewolonego umysłu” stracił w końcu stuprocentową niegdyś wiarę w swój wynalazek. Gdzie tam. Znowu oskarża „moralistów”, że nie dojrzeli „umysłowego i duchowego wymiaru komunizmu”. Wygodne i nadużywane słówko „moralista” zmiata z pola widzenia zwykłą, elementarną wrażliwość moralną, zdolność odróżniania dobra od zła, wprowadzając intelektualne wygibasy wszędzie, gdzie mogą zaciemnić i zamącić prosty stosunkowo obraz.

Ksiądz Tischner w paru słowach streszcza sens Głównych nurtów marksizmu Kołakowskiego: „Wygląda na to, że komunizm był jedną wielką pomyłką, rodzajem farsy odtańczonej na cmentarzu”. Miłosz protestuje: „Nie wiem, czy Kołakowski ma rację. Wydaje mi się, że wszystkie «izmy», których jesteśmy dzisiaj świadkami na Zachodzie, powstały w umysłach ludzi wy-trenowanych na marksizmie. Śledziłem na Zachodzie stopniowe mody. Najpierw była moda na marksizm, potem na strukturalizm, teraz panuje moda na dekonstrukcjonizm (co to za nowe zwierzę filozoficzne? żyrafa, która ma «wyłącznie» szyję? - przyp. mój) - i wszystkie one posiadają wspólne korzenie. Może się okazać, że wszystkie te pochodne są tak samo jak marksizm farsą”. Nie tylko może się okazać, ale okazuje się. Dziedzictwo „izmów” przygniotło filozofię kamieniem grobowym, uczciwy filozof (nie szalbierz) zajmuje się dziś tylko historią filozofii.



(A propos Kołakowskiego. Dziesięć dni temu w „Corriere” ukazała się rozmowa z nim, zatytułowana Tylko Stalin mógł ocalić komunizm. Na benefis admiratora i ucznia honoris causa Kołakowskiego w Warszawie, jako też adwokata generała Jaruzelskiego, wypisuję z tej rozmowy zdanie: „Nie wierzę, że doszłoby do interwencji sowieckiej, nawet gdyby Jaruzelski wybrał czekanie zamiast puczu”. Jerzy Giedroyc i ja twierdziłiśmy zawsze to samo, wyszydzani przez naszych domorosłych „realistów”).

27 sierpnia Zapomniano całkowicie o Amalriku, z ogromną szkodą dla obrazu ruchu demokratycznego w ZSSR. Przyjechał z Moskwy do Holandii w roku 1976, w praktyce wyrzucony przez KGB jako tuniejadec, „darmozjad”, godny kontynuator „zbrodni” Brodskiego. W roku 1970 w Amsterdamie, w Fundacji Hercena, wyszły dwie jego książki: niewielki esej Czy Związek Sowiecki przetrwa do roku 1984? i opis zesłania Niechciana podróż na Syberię, najprawdziwszy chyba od rewolucji opis wsi rosyjskiej. Z wykształcenia historyk, zapowiadał się jako gwiazda pierwszej wielkości wśród rosyjskich emigrantów. Niestety, wkrótce po osiedleniu się w Holandii zginął w wypadku samochodowym. Był prekursorem diagnozy bankructwa systemu sowieckiego (w eseju) i wyborynym znawcą rzeczywistości sowieckiej (w książce i w wywiadach dla prasy zachodniej). Gdyby śmierć nie przecięła tak tragicznie i tak przedwcześnie jego życia, stawiano by go obok Sacharowa i Sołżenicyna; bliżej pierwszego niż drugiego.

Z Sacharowem łączyła go próba racjonalistycznego spojrzenia na świat i na swoją ojczyznę. Nie zdradzał natomiast skłonności Sołżenicyna do apokaliptycznych tonów w ocenie Zachodu. Nie wiem, czy Sołżenicyn zdaje sobie sprawę, jak niebezpieczna (choć w wielu punktach słuszna) jest ta jego Apokalipsa Zachodu. Sołżenicynowską mowę w Harvard (i jej liczne pochodne) wolno zestawzić ze świeżym wystąpieniem Jana Pawła II w Denver. Mają obaj bardzo 8 - Dziennik... (1993-1996)

dużo racji, a przecież... A przecież zdają się nie widzieć, że odmalowana przez nich w czarnych barwach ciężka choroba duchowa Zachodu, pławiącego się dość bezmyślnie w materialnym dobrobycie, może z winy jej lekarzy doprowadzić u nas do dwóch fatalnych zjawisk. Po pierwsze, w naszej wschodniej części Europy może wywołać wrażenie, że jesteśmy mimo wszystko lepsi; co jest po prostu bałamuctwem, a nawet fałszem, jeśli się bierze pod uwagę jedną tylko różnicę, a mianowicie fakt, że środki naszej duchowej dezorientacji i degradacji, naszego kryzysu wartości, są chwilowo o wiele uboższe od bogatych środków materialnych na Zachodzie. Czego doprawdy nie powinniśmy sobie życzyć, w morzu problemów i kłopotów, to rozhuśtanej megalomanii narodowej: Apokalipsa rosyjskiego proroka i polskiego papieża musi się z tym liczyć. Po drugie, nie stać nas (i nie stać, tym więcej, rodaków Sołżenicyna) na ciągoty misjonarskie. Daleki był od nich Sacharow, zresztą admirujący bardzo Jana Pawła II i Sołżenicyna. Podobną mentalność wyczuwa się w tym, co zdołał napisać i powiedzieć młody historyk rosyjski, Andriej Amalrik. Poznałem go w Paryżu, niebawem po jego przyjeździe do Amsterdamu. Godzinna rozmowa pozostawiła mi w pamięci wrażenie splotu - jakże naturalnego! -

trzeźwości i wyobraźni. Tak, wyobraźni, której nie uświadczysz na lekarstwo u spadkobierców komunistycznej „dyktatury ciemniaków”.

1 września Głośny wybuch Gombrowicza Przeciw poetom można uznać albo za jeszcze jeden dowód jego upodobania do prowokacji, albo za wypowiedź zupełnie szczerą, tyle tylko że dla niepoznaki lekko zawoalowaną wyzywającym dyszkantem. Wybieram drugą ewentualność, niewątpliwie gorszą dla Gombrowicza, bo na drogę nonsensów wiedzie pisarza mądrego i inteligentnego. Poeci są „bezsilni wobec rzeczywistości”, „tracą związek z jednostką ludzką”, nie potrafią „wypowiadać i wyrażać siebie”, uprawiają „sztukę świecąca się w próżni”, nasyconą „fikcją i ceremoniałem, a nie prawdziwym obcowaniem człowieka z człowiekiem”, lekceważą „autentyczność i wagę naszego istnienia”. Jakby tych głupstw było za mało, w bukiet wpleciony jest kwiatek o niewiele lepszej od poezji „prozie poetyckiej”. Gombrowicz zalicza do niej, z grymasem niesmaku na ustach, Bro-cha, Joyce’a i Kafkę...

Po poetach kolej na malarzy, a raczej miłośników malarstwa. Dowiaduję się o tym z bardzo ładnej książeczki Herberta Martwa natura z wędzidłem (o malarstwie holenderskim). Po co pan się zajmuje malarstwem? - pyta Herberta zgorszony Gombrowicz. Herbert: „Gombrowicza drażniła, jak się zdaje, przyrodzona «głupota» sztuk plastycznych. Istotnie, nie ma obrazu, który by w sposób popularny wykladał filozofię Kanta ani także Husserla i Sartre’a, dwu ulubionych myślicieli pisarza, służących mu do intelektualnego unicestwiania rozmówców, poddanych uprzednio starannym zabiegom upupienia. Ale mnie właśnie owa «głupota» - lub, delikatniej mówiąc, naiwność - wprawiała zawsze w stan szczęścia. Za sprawą obrazów doznawałem łaski spotkania z jońskimi filozofami przyrody. Pojęcia kiełkowały dopiero z rzeczy. Mówiliśmy prostym językiem żywołów. Woda była wodą, skała skałą, ogień ogniem. Jak to dobrze, że zabójcze abstrakcje nie wypłyły do końca całej krwi rzeczywistości”.

Zastanawiam się, czy Gombrowicz, wybrzydający się na poetów i miłośników malarstwa, zakochany w filozofach i muzyce, był (jako pisarz) krwio pijcą rzeczywistości. Chyba był. Jego proza ma wiele uroków, ale nie należy do nich z pewnością fascynacja wielokształtną Naturą, „pojęciami kiełkującymi z rzeczy”. Rozgrywał jak wielki szachista swoją partię z życiem, z otaczającym go światem, z dorobkiem myśli ludzkiej, nie podnosząc najczęściej głowy znad szachownicy. Z trójki „wariatów” był bardziej opancerzony emocjonalnie od Witkacego i Schulza.

4 września Raito koło Salerno, urocze miasteczko na wzgórzu, z widokiem na Zatokę Salernitańską i na stolicę regionu. Góruje nad nim trochę z boku wyniosły Palazzo Raffaele Guariglii, niegdyś letnia rezydencja ambasadora włoskiego w Madrycie (za czasów faszyzmu) i ministra spraw zagranicznych w rządzie Badoglio, obecnie dar dyplomaty - syna Raito - zapisany w testamencie władzom municypalnym i regionalnym. Na piętrze Muzeum Ceramiczne, na dole sala konferencyjna Ośrodka Studiów Salernitańskich. Byłem tam dziś, historycy omawiali pięćdziesięciolecie lądowania Sprzymierzonych w Salerno. Chociaż Polacy nie brali

w nim udziału (zaczęliśmy dobijać do włoskich brzegów z Egiptu dopiero pod koniec 1943 roku), zaproszono mnie do wygłoszenia „świadczenia osobistego” o „Polakach w włoskiej kampanii wojennej 1943-1944”.

Opowiedziałem o tym, czym był 2 Korpus, i o naszych wielkich bitwach (Monte Cassino, Ankona, Bolonia), po czym przeszedłem do gorzkawej epoki powojennej. Chciałem słuchaczom włoskim, odrobinę zakłopotanym, lecz serdecznym i „owacyjnie” usposobionym, uprzytomnić naszą sytuację w atmosferze niechęci i pragnienia, aby jak najszybciej „polscy oswobodziciele oswobodzili nas od swojej obecności”. Znikły nazwy dwóch „polskich” ulic: Ułanów Karpackich w Ankonie, generała Klemensa Rudnickiego w Bolonii. Rosnąca w siłę partia komunistyczna szerzyła, zgodnie z logiką komunistyczną, wieść, że jesteśmy wojskiem faszystowskim, skoro byliśmy sowieckimi więźniami. Rzecz jasna, praktycznie nie miało to większego znaczenia, 2 Korpus liczył przeszło sto tysięcy żołnierzy, mógł więc gwizdać na bandy Togliattiego. Ale atmosfera gęstniała. Nie można było liczyć w razie potrzeby na nikogo, nawet na przedstawicieli „wartości chrześcijańskich”, którzy robili jak inni w portki ze strachu, mając do czynienia z potężnymi komunistami i z ich potężnym sowieckim protektorem. Jeden był tylko człowiek, gotowy zawsze do interwencji, Randolfo Pacciardi, minister obrony w pierwszym koalicyjnym rządzie rzymskim, republikanin (centrolewica), pułkownik w wojnie domowej w Hiszpanii, wsławiony swoją osobistą odwagą i polityczną prostolinijnością. Po raz pierwszy poszedłem do niego z Czapskim, potem zachodziłem już sam do jego gabinetu ministerialnego. Komunistom przyjrzał się w Hiszpanii, miał dla nich formułę Mascalcioni, anzi banditi, „dranie, więcej - bandyci”. Wspominam go ze wzruszeniem, umarł niedawno po dzie-więćdziesiątce.

Opowiedziałem też słuchaczom w Raito o problemach, jakie stanęły przed polskimi żołnierzami po zwycięstwie, z którego nas wyłączono. Wracać, nie wracać? Dowódca pierwszego transportu repatriacyjnego, pułkownik Janusz Gaładyk, wybitny i mężny oficer, nie ukrywał zanedo swoich lęków przed wyjazdem. Mianowano go co prawda po powrocie generałem, dano mu niezłą posadę, ale wkrótce znikł bez śladu w dość zagadkowych okolicznościach. Żołnierze 2 Korpusu byli w „wyczekującej ich z miłością Ojczyźnie” do tego stopnia szykanowani, że jeszcze w roku 1991, podczas mojej podróży do Polski, spotkałem bliskiego mi towarzysza broni spod Monte Cassino, który odruchowo oglądał się z popłochem w oczach na wszystkie strony, ściskany przeze mnie publicznie po kilku dziesiątkach lat rozłąki.

Nikczemny, łotrowski ustrój. Dostaję gęsiej skórki na myśl, że w razie sukcesu we wrześniowych wyborach po-grobowcy PZPR staną się co najmniej główną podporą koalicji rządowej, albo nawet pupilkami prezydenta Wałęsy w jego nieudolnej grze politycznej. „Nie ma zwycięzców i zwyciężonych”, powiedział dziś w Wilnie papież do Brazauskasa. Lekkomysłne słowa, za które kiedyś słono zapłacimy.

8 września Zygmunt Kubiak przytacza fragment listu Keatsa do brata: „Kaźde w jakimkolwiek stopniu wartościowe życie ludzkie jest nieustanną alegorią”. I dalej: „Szekspir wiódł życie alegoryczne; jego utwory są komentarzami do takiego życia”.

Rzecz w tym, żeby z alegorią nie przesadzać, żeby (jak Keats) nie doszukiwać się jej nawet tam, gdzie jej istnienie jest naciągane, spycha rzeczywistość do roli pretekstu jedynie, na podobieństwo wszechwładzy metafory. Giorgione, na przykład. Wspaniały malarz, który uchodzi za „alegorys-tę” par excellence. Jego *Burza* jest przez „alegorycznych” komentatorów objęta jak kość do nagiej białości. Od wielu lat jej doskonała reprodukcja wisi na ścianie nad moją malarską niszą, więc podczas moich nałogowych „podróży dokoła własnego pokoju” (na wzór Francois-Xavier de Maistre’a) wpatruję się w nią często, mrużąc pod nosem: „Jakaż to alegoria!” Kto widział *Burzę*, w reprodukcji czy w weneckiej Akademii, pamięta scenę namalowaną przez Giorgione: po lewej stronie stoi żołnierz oparty o wysoką tyczkę czy dzidę, po prawej siedzi naga Cyganka z niemowlęciem przyssanym do jej piersi; żołnierz stoi na tle złamanej kolumny, Cyganka siedzi pod drzewem; w powietrzu wisi burza (z błyskawicą między chmurami), za mostem na rzece lub strumieniu widać zabudowania - wieżyczki i kopułę. To wszystko, oczywiście w skrócie. Giorgione świetnie uchwycił ciemnozieloną tonację kolorów przed burzą.

Wybitny historyk sztuki, Edgar Wind, poświęcił *Burzy* esej-analizę alegorii. Podkreśliwszy (słusznie) „tajemniczą harmonię między pejzażem i figurami”, roztoczył małą galerię symboli, jakimi posługiwano się w okresie Renesansu.

Złamana kolumna oznacza Moc (słabo reprezentowaną przez chuderlawego żołnierza o drobnej twarzy), burzę uważano za Fortunę (także burzę niszczycielską), figury przedstawiają Virtus i Amor. Szkic Winda kończy się jednak melancholijnym zdaniem: „Giorgione, ukazując nam burzę, Cyganke i żołnierza, tworzy nie tyle opowieść, co szaradę”.

A może nie jest to żadna „alegoryczna szarada”, ale właśnie opowieść? Może ma rację inny wybitny historyk sztuki, Kenneth Clark, który *Burzę* Giorgione uważa za „czystą fantazję” i przypomina, że za życia malarza nazywano jego obraz po prostu *Żołnierz i Cyganka*? Ostrożnie z nadużywaniem „alegorii”. Wyprostowany żołnierz dumny jest ze swojej kochanki (naprawdę pięknej) i ze swego dziecka, oboje czekają na nadciągającą burzę, jak zawsze czekało się i czeka nadal na obmycie szczęścia strugami wody.

13 września Gdybym był „watykanistą” jak Dominik Morawski, poświęciłbym sporo czasu na napisanie książki pasjonującej i pouczającej (przy tym w stylu „dreszczowca”) na temat Jana Pawła I: jego wyboru, jego 33-dniowego pontyfikatu, jego naszkicowanego pobieżnie i dość wyjątkowego wizerunku Ojca Świętego, jego nieoczekiwanej i zagadkowej raczej śmierci. Albino Luciani, patriarcha Wenecji (jak przed nim Roncalli, czyli Jan XXIII), był na watykańskim nieboskłonie meteorem, zgasł, ledwie zdążył zabłysnąć. Pełno tu sprzeczności, niejasności, ciemnych plam, dziur, jak przystało na „dreszczowiec” właśnie. W piętnastą rocznicę wyboru (26 sierpnia 1978), intronizacji i błyskawicznego pontyfikatu znajduję sporo ciekawego materiału w żywym tygodniku katolickim

„Sabato”. Rozszerza, potwierdza, wikła wszystko, co było już częściowo wiadome: w wyobraźni ludu rzymskiego od pierwszej chwili powstały podejrzenia śmierci nienaturalnej (ogłędnie rzecz określając), czarna arystokracja wznosiła obłudnie i znacząco oczy ku niebu, w kurii rzymskiej każde niezbyt delikatne pytanie zbywano gniewnym ofuknięciem.

Wkrótce po śmierci Jana Pawła I poznałem cenionego lekarza, profesora De B., którego przed wyborem wezwano raz na konsylium do Wenecji. Oczywiście (i słusznie) nie chciał w pogawędce wnikać w szczegóły, ale jedno zdanie wycedził: „Nie widziałem nigdy tak chorego człowieka, dziwiłem się, że żyje”. Natomiast w „Sabato” brat zmarłego papieża, Eduardo Luciani, wystawia mu świadectwo „żelaznego zdrowia”, jakkolwiek dodaje, że Albino przeczuwał bliską śmierć po rozmowie z jedną „jasnowidzącą z Fatimy”, siostrą Łucją (lipiec 1977). Na conclave jego kandydatura zdobyła szybko i bez trudu większość, lecz należy pamiętać, że przewodził jej kardynał Benelli, były watykański minister spraw wewnętrznych, którego przed rokiem wygryziono z kurii rzymskiej. W samej rzeczy Jan Paweł I nie cieszył się w kurii szczególną sympatią. Brano mu za złe „przesadną (czyli autentyczną) pokorę”, predy-lekcję do wyłącznej roli pasterza, społeczny radykalizm (był synem robotnika-socjalisty), a już wyjątkowo drażnił kurialnych dygnitarzy jego uporczywy zwyczaj zwracania się do wiernych: „Módlcie się za tego biednego Chrystusa”. W dniu swojej śmierci przyjął kardynała afrykańskiego Gantina, który natychmiast po audiencji powtórzył pożegnalne słowa papieża: „Winniśmy światu ciągle pokazywać Jezusa Chrystusa, poza Nim niewiele mamy argumentów na podporządku”.

Jest prawie pewne, że jeszcze przed elekcją doszło kilkakrotnie do zatargów patriarchy Wenecji z Marcinkusem. Dużo wskazuje na to, że nie był przeciwnikiem dopuszczalności środków antykoncepcyjnych (zwłaszcza pigułek), mimo że nie ośmielił się krytykować encykliki *Humanae vitae*.

Śmierć. Leży w łóżku i przy nocnej lampce czyta. Co?

W komunikacie radia watykańskiego podano, że Naśladowanie Chrystusa. Ale w wywiadzie udzielonym „Sabato” przez ówczesnego dyrektora radia, jezuitę Farusi, ta podniosła wersja została skwitowana słowem „bzdura”. „Dostałem tę informację od sekretarza papieża, nadałem ją, nazajutrz musiałem ją zdementować. Miał w rękach jakieś papiery, proszę mnie jednak nie pytać, jakie. Dla mnie pozostało to do dziś tajemnicą”.

75 września Przeglądając w poszukiwaniu starego zapisu mój dziennik, natknąłem się w pierwszym tomie, pod datą 12 sierpnia 1972, na dragonejski fragment: „Katastrofalne letnie pożary lasów tłumaczy się bądź działalnością piromanów, bądź nieostrożnością piknikowych komityw, bądź zawieruszonym szkiełkiem, które w wyrębach między drzewami ogniskuje żar słońca w jednym punkcie suchego poszycia. Przyznaję, że podoba mi się szkiełko. Jest trochę jak powieszony wróbel w Kosmosie”.

Zamierzchłe, idylliczne czasy! W sierpniu 1972 można było pisać o mieszanice piromanów, pikników i szkiełek. W sierpniu 1993 trzeba było skreślić pikniki i

szkiełka. I mówić wyłącznie o piromanach, a raczej podpalaczach, których udział w fali letnich pożarów oblicza się na 95 procent. W sierpniu tego roku Włochy płonęły od północy do południa. Na południu do tego stopnia, że płomienie docierały na przedmieścia Neapolu, obracały w popiół ogromne płaty lasów kalabryjskich, wybuchały na Capri i na Ischii, zagrażały szosom i torom kolejowym. Nie chodzi już o dawnych piromanów dwojakiego rodzaju: igrających z ogniem dla zabawy lub liczących na zatrudnienie przy zalesianiu spalonych obszarów. Nie widzę większej przesady w używanym ostatnio zwrocie „pożarowy terroryzm”. Jakby szerzyła się zaraza („czerwony kur”!) niszczycielskich zamachów na własny kraj. Na własne kraje, dla ścisłości, gdyż może się poszczycić znacznymi postępami pożarowe zjednoczenie Europy...

17 września Wciąż większym i większym podziwem (i zdumieniem) napętnia mnie bogactwo archiwów sowieckich. Nauczony przez Silonego (a on przez Togliattiego), że ważne i „delikatne” sprawy nie zostawiają u władców Kremla śladów na piśmie, przez lata żyłem w głębokim przeświadczeniu, że w epokowym dniu rozpadu ZSSR powieje od archiwów nudną pustką. A tymczasem są pełne i zadziwiająco drobiazgowo.

W roku 1974 wierchuszka sowiecka w komplecie dyskutuje godzinami problem pierwszorzędnej wagi państwowej: aresztować Sołżenicyna za Archipelag Gułag czy wygnać z ojczyzny (Brandt gotów jest go przyjąć)? Breżniew, Andropow, Susłow, Kosygin, Gromyko, Podgórny, Kiri-lenko, dostojne gremium senilnych durniów, rajców miejskich z Głupowa Sałtykowa-Szczedriny, rozważa wszystkie niuanse, plusy i minusy decyzji, która będzie miała historyczne znaczenie. Aresztować i wtrącić do więzienia? Wykopać w ręce zachodnich zgniłków? Wykopać, wykopać, po krótkim okresie sensacji zapomną o nim na Zachodzie, zdechnie pod płótnem na emigracyjnej pustyni. Co postanowiwszy, całe okazałe dossier głupowskich obrad trzeba odesłać do archiwum, wraz z trzema fotografiami Sołżenicyna (zrobionymi z ukrycia przez agenta KGB) na pogrzebie Twardowskiego.

Sołżenicyn opisał swoje utarczki z władzą sowiecką w książce *Bodło cielę dąb*. Dąb? Przecież to jest już spróchniały pień, który rozsypuje się po trochu nawet od ciosów znarowionego cielaka. Jaruzelski nie mógł nie wiedzieć, że ma do czynienia z próchnem, jeździł często do Moskwy, wisiał na kremlofskim telefonie, wpijał się namiętnie w starcze usteczka sowieckich wodzów, więc czemu tak trząśł generalskimi bryczesami w momencie swojej „historycznej próby”? Papiery Susłowa, przywiezione ostatnio w prezencie przez Jelcyna do Warszawy, są dobrą ilustracją rozgadanego, bezzębego próchna, niezdolnego już do powtórzenia geroicznych podwигow na Węgrzech i w Czechosłowacji.

19 września Do rozlicznych polskich „linii podziału”, liczniejszych niż kiedykolwiek na świecie, przybywa obecnie nowa. Prezentuje ją zrównoważony zazwyczaj i rozumny „Tygodnik Powszechny”, nieoczekiwanie teraz „tracony psychicznie” (jak mawiał nieboszczyk Gałczyński). Rzecz ma posmak swoistego szantażu patriotycznego, chodzi mianowicie o linię podziału między tymi, co używają słowa „naród” (lepszymi), i tymi, którzy posługują się słowem

„społeczeństwo” (gorszymi, z lekka podejrzanymi). Czwórka pracowników „Tygodnika” bierze w obroty Michnika pod koniec długiego wywiadu. Dlaczego przestawiłeś się ostatnio z terminu „społeczeństwo” na termin „naród”? Dlaczego w latach siedemdziesiątych ty i twoi przyjaciele w KOR-ze mówiliście „społeczeństwo, społeczeństwo”, a Macierewicz trzymał się „narodu”?

Pewnie, „naród” jest słowem odświętnym, z wysokiego diapazonu, „naród” określa się na ogół jako „szlachetny, dzielny, niezłomny, bohaterski, nieśmiertelny”. Naród polski odzyskał niepodległość w roku 1918, pobił bolszewików w roku 1920, w latach rozbiorów trwał i dawał o sobie znać powstaniem. A co ze „społeczeństwem”? Niestety, członkowie pewnych warstw „społeczeństwa” (chłopi) wyłapywali w roku 1863 powstańców i oddawali ich w ręce Rosjan {Wierna rzeka}. Niestety, członkowie innych warstw „społeczeństwa” (głównie drobne mieszczaństwo) witali śmiechem pierwsze kadrowe drużyny strzeleckie, nie wierzyli w Piłsudskiego i jego towarzyszy. Łatwo tę listę wydłużyć. Więc co, nie należeli do „narodu”? Bywali do niego włączani lub włączali się sami od wielkiego dzwonu, gdy skruszeni dawali dowód swych narodowych uczuć, gdy (jak Michnik, Kuroń i inni korowcy) porzucali termin „społeczeństwo”.

Te niedorzeczności nie zasługiwałyby na szczególną uwagę (temat raczej dla pisarzy w rodzaju Witkacego i Gombrowicza niż dla mnie), gdyby indagowany i przypierany do muru wykpił soczyście całą czwórkę indagatorów. Ale nie. Michnik wije się jak piskorz, jest wyraźnie zbity z tropu, tłumaczy się, zapewnia: „mówiliśmy również naród”. I to jest upokarzające, to świadczy, że nawet w „Tygodniku Powszechnym” sięga się po płaskie i niemądre metody wytykania grzechów „dewiacji narodowej”, a „dewianci” rumienią się ze wstydu, usiłując wyplątać się z sieci, kto wie, czy nie cięższych jeszcze pomówień.

A ja przeszło rok temu ogłosiłem bezkarnie w „Tygodniku Powszechnym” list do Jerzego Turowicza zatytułowany Społeczeństwo, w ramach serii Ojczyzna\*. Ciarki przechodzą po skórze. Czas najwyższy prosić w modlitwie o zmiłowanie nad moją zabląkaną i grzeszną duszyczką.

20 września Wyniki wyborów w Polsce.

Jeżeli ma rację Jan Paweł II, że po upadku komunizmu „nie ma zwycięzców ani zwyciężonych”, to trudno się dziwić, że byli zwyciężeni zaczynają się przesiadać na miejsca byłych zwycięzców. Trudno się dziwić, ale nie można powstrzymać ogromnego niepokoju. Wybory dowiodły, że w cztery zaledwie lata po odzyskaniu niepodległości zaciera Zob. przedruk w 9 tomie Pism zebranych.

się nieodzowna cezura między PRL i Trzecią Rzeczpospolitą. Ja osobiście uważam to za ciężką i bolesną porażkę. Istnieje coś takiego jak psychiczna i moralna świadomość społeczeństwa, dla której konieczne jest poczucie przedziału między ustrojem, który upadł po dokonaniu wszystkich swoich niegodziwości, i ustrojem, który dźwignął się na jego gruzach. Tak było we Włoszech po upadku faszyzmu, gdzie ta cezura trwała kilka dziesięcioleci. Przywódca SLD Kwaśniewski ma jednak czelność twierdzić, że „PRL to było całe społeczeństwo”.

Powstaje naturalnie pytanie, jak wyglądać będzie polska tzw. „scena polityczna” po wyborach, jak potoczy się proces przygotowań byłych zwyciężonych do zastąpienia byłych zwycięzców. Można jeszcze w teorii liczyć na jedyną sensowną koalicję centrolewą PSL, UD i UP. Można dla pocieszenia wymienić dość licznych ludzi zasłużonych i zasługujących wciąż na szacunek i zaufanie. Ale czytając przedwyborczą rozmowę dziennikarza „Rzeczypospolitej” z Andrzejem Olechowskim, szefem BBWR, który zapewnia, że prezydent Wałęsa jest najwybitniejszym Polakiem od kilku stuleci, a jego nazwisko zaćmi kiedyś na świecie nazwiska Kopernika i Chopina, wolno niestety zastanawiać się, czy aby nasza „scena polityczna” nie zmierza wielkimi krokami do przeistoczenia się w ośrodek psychopatologii politycznej.

6 października „Druga Rewolucja Październikowa”: karykaturalna, szydercza powtórka z historii. Jelcynowski Pałac Zimowy Reform szturmowały bojówki stalinowskie, kryptohitlerowskie, nacjonalistyczne (z podszewką „etniczną” i antysemicką), monarchistyczne, „czysto prawosławne” i Bóg wie jakie jeszcze, w każdym razie postkomunistyczne formacje zakwitłe bujnie na gruzach Pierwszej Rewolucji Październikowej. Pałacu Zimowego bronili demokraci i reformatorzy pod wodzą człowieka, który nie wyfrunie co prawda przez otwarte okno (popęłnił od razu dwa karygodne błędy: prawie ogołocił z wojska gmach TV i beztrąsko wyjechał w niedzielę na świeże powietrze), ale chyba jedyny budzi pewne zaufanie po autentycznym zerwaniu z komunizmem; zwłaszcza w porównaniu z „leninistą o ludzkiej twarzy”, politycznym komiwojażerem czy cyrkowcem wędrownym na użytek i ku delectacji zachodniej publiczki, autorem niezliczonych artykułów w prasie zachodniej, nadętych i mentorskich, zaćmiewających jego prawdziwą zasługę proklamowania głośności (natomiast ani o jeden milimetr nie ruszył z miejsca pieriestrojki); jako fundator głośności, to pewnie, będzie miał poczesne miejsce w gabinecie figur woskowych pani Tussaud (z pomnikami i mumiami teraz ostrożnie).

W Białym (wkrótce Czarnym) Domu wypinali dzielnie piersi obwieszone orderami przedstawiciele sowieckich gospod, nomenklaturowa śmietanka wybrana na mocy lekko podretuszowanej konstytucji Breżniewa. Jej dwaj przywódcy zapowiadali: walka do ostatniej kropli krwi, raczej samobójstwo niż kapitulacja. Szczególnie wymowny i nieugięty był bohater wojny w Afganistanie. Na krótko przed kapitulacją, w twierdzy zasłanej trupami, obaj towarzysze wystosowali płaczący apel do Zachodu: ratujcie nasze życie, nie pozwólcie, by nas rozstrzelano! Bohater wojny w Afganistanie dwukrotnie złożył ten apel na ręce dziennikarzy włoskich, którzy znaleźli się w Białym (już Czarnym) Domu. Spełnili natychmiast prośbę, Zachód więc, złakniony zawsze hasła humanitarnych po najniższej możliwej cenie, bębnił bez przerwy w ostatnim dniu „Drugiej Rewolucji Październikowej”: oto test dla Jelcyna, tu go sprawdzimy, każe rozstrzelać czy nie swoich pokonanych przeciwników?

Nie, Jelcyn nie miał innego wyjścia poza reakcją manu militari, wbrew dobremu i obfitym radom „pokojoywym”



Gorbaczowa. Ale sytuacja w Rosji jest dalej równie dramatyczna, jak była przedtem. Może jedynym owocem „Drugiej Rewolucji Październikowej” było nagłe uprzytomnienie sobie przez Zachód, że postkomunistyczna część świata jest bardziej podobna do czynnego wciąż, mimo pozorów chwilowego uspienia, wulkanu niż do bezpiecznej i nieodwołalnej już transformacji demokratycznej.

Od czasu do czasu obiektyw w telewizyjnym świadectwie chwycił fragment ulicy poza bezpośrednim zasięgiem walk. Widziało się wówczas przechodniów o tak obojętnych twarzach, jakby „Druga Rewolucja Październikowa” toczyła się na innej planecie. Ważna była jedynie trzymana kurczowo w rękach siatka, pusta lub ze skromną zdobyczą w środku. Co powiedzieć o tej niewiarygodnej obojętności? Uchodzi za bliźniaczą siostrę „bezgranicznej rosyjskiej cierpliwości”. Jestem przekonany, że istnieją jednak jej granice, takie twarze widziałem na początku 1942 roku, gdy wojska sowieckie cofały się pod naporem ofensywy niemieckiej. I wtedy właśnie widziałem, jak pęka granica „bezgranicznej rosyjskiej cierpliwości”.

Uderzyła mnie również w telewizyjnych zdjęciach furia, dzika furia, z jaką bandy podjudzane przez buntowników atakowały milicję. Ileż nagromadziło się nienawiści, wszystko jedno jakiej, byle nienawiści. Rzekoma obojętność i nienawiść bez żadnych hamulców. Zapalny materiał do „Trzeciej Rewolucji Październikowej” (bądź też nazwanej stosownie od innego miesiąca).

10 października Można teksty Karola Modzelewskiego zebrane w tomie Dokąd od komunizmu? sprowadzić do twierdzenia (i ostrzeżenia), które w tej czy w innej postaci, z tej czy innej okazji przewija się w nich ustawicznie: pełna zgoda na gospodarkę rynkową, ale przejście do niej wymaga tak gruntownych przekształceń, że myśl o szybkim skoku z dawnego ustroju do nowego jest złudzeniem, i to bardzo kosztownym; mowa o kosztach społecznych, trudnych do zniesienia w społeczeństwie podzielonym na bogacących się bogatych i biedniejących biednych; jeżeli się tego procesu nie rozłoży na raty, zachowując w jakimś stopniu główne elementy państwa opiekuńczego i główne zręby państwowego przemysłu (jako rzeczywistości, z którą po 45 latach nie wolno się nie liczyć), nastąpi reakcja zaskakująca dla władzy postkomunistycznej. Książka Modzelewskiego ukazała się przed wrześniowymi wyborami, większość tekstów pochodzi z lat 1989-1992. Tą zaskakującą reakcją były wyniki wrześniowych wyborów. Nie ma sensu pocieszać się (jak Dahrendorf i Brzeziński), że po dokładnym obliczeniu, z uwzględnieniem absencji wyborczej i rozproszenia głosów prawicy, na eks-komunistów głosowało zaledwie około dziesięciu procent wyborców. Istotne jest pierwsze miejsce SLD na liście, w cztery lata po obaleniu komunizmu. Psychologiczne i moralne znaczenie tej wygranej w wyborach położy się długim cieniem na całym życiu polskim, nawet w wypadku politycznego niewypału obu zwycięskich partii.

Modzelewski, według mnie, rozumuje uczciwie, trzeźwo, daleko w tyle pozostawiając większość polskich publicystów, mędrków z „politycznych elit” i „technokratów” nieczułych na „drobne i nieuchronne produkty uboczne” Wielkiego i Wszechmogącego Planu. Na takim rozumowaniu opiera się Unia Pracy, takiemu rozumowaniu zawdzięcza dobrą lokatę wyborczą. Ma szansę stworzenia solidnej

partii socjaldemokratycznej (przeciwstawionej łącznie socjaldemokracji SLD z błyskotkami łącznie PPS), zaczątków obozu niezależnej lewicy, obozu, który jest i będzie nam potrzebny w budowaniu Trzeciej Rzeczypospolitej.

Sposób myślenia Modzelewskiego przyswajają sobie, po „Drugiej Rewolucji Październikowej” w Rosji, co inteligentniejsi politycy na Zachodzie. Senator amerykański Robert Dole: „Nie powinniśmy teraz, gdy zwyciężył Jelcyń, zmuszać za wszelką cenę Rosjan do bardziej radykalnych reform. Powinniśmy raczej zadawać sobie pytanie, czy my sami nie ponosimy częściowej odpowiedzialności za rosyjski chaos. Nie popychaliśmy może Rosjan do marszu zbyt szybkim dla nich krokiem reformatorskim?”

13 października Któregoś dnia zimowego, chyba na początku roku 1957, wybrałem się do Rzymu i jak zwykle odwiedziłem Silonego. Zastałem go w „czarnym humorze”, trudno było odgadnąć dlaczego, z natury małomówny nie lubił się zwierzać; więcej, odnosił się do zwierzeń z mieszaniną pogardy i odrazy. W końcu wymruczał, wpatrując się w ścianę ponad moją głową, że poprzedniego dnia wczesnym wieczorem postanowił urządzić sobie obchód siedzib różnych partii w różnych dzielnicach miasta. Był przerażony ich wyglądem, wszędzie takim samym, niezależnie od politycznych tendencji. „Lokale rozrywkowe, dość luksusowe, ze stołami bilardowymi, grajszafami, barami, stolikami do konsumpcji i gry w karty, parkietami do tańca. Zebrani nie rozmawiali w ogóle o polityce, jej formalną obecność wyrażały tylko portrety przywódców na ścianach”. Przerwał i dorzucił z nie ukrywanym rozdrażnieniem: „To wszystko źle się kiedyś skończy”.

Co mianowicie, jakie „wszystko”? Wspominam dzisiaj tę wizytę u Silonego, bo jego dalszy wywód miał w sobie coś proroczego, zapowiadającego głęboki (według niektórych: śmiertelny) kryzys demokratycznych partii politycznych. „Za mojej młodości - ciągnął Silone - partie żyły ze składek członkowskich, prowadziły skrupulatną rachunkowość, w lokalach partyjnych omawiało się najpilniejsze sprawy, czasem tylko zapijając dyskusje szklanką wina. We wspólnym - Dziennik... (1993-1996)

wczesnych społeczeństwach masowych partie stały się gigantami, często zatrudniają setki, jeśli nie tysiące, płatnych funkcjonariuszy, mają rosnące wciąż potrzeby finansowe, których nie mogą zaspokoić dotacje państwowe, sumy śmieszne w porównaniu z wydatkami na kupowanie (bo jak to inaczej nazwać?) członków, szczególnie elektoratu w okresach kampanii przedwyborczych. W przyszłości nie pozostanie nic innego jak kraść, przeważnie brać okup od przedsiębiorstw gospodarczych i koncernów przemysłowych w zamian za polityczne fawory i ułatwienia w tzw. interesach. Zawsze istniała korupcja, ale przyszła będzie zjawiskiem masowym, jak społeczeństwa, w których rozwinię swoją działalność. Tak, to wszystko źle się kiedyś skończy”.

Skończyło się właśnie źle w ciągu ostatnich dwóch-trzech lat, budząc we Włoszech na przykład (ale nie tylko) więcej niż niechęć do demokratycznego systemu wielopartyjnego. A co ma go zastąpić? Rozmaite ligi, bloki, konwencje, stowarzyszenia, czyli dokładnie to samo pod inną nazwą. Jedno widzę lekarstwo na

ciężką chorobę: walkę z partyjnymi „aparataczkami”, której oznaki można już dostrzec we Włoszech.

16 października Istnieje w Neapolu zdekonsekwrowany kościół (biwakowali w nim niegdyś żołnierze Garibaldiego) Santa Maria Donna Regina, pomijany na ogół albo ledwie zauważany w przewodnikach. Flamandzki gotyk, odrestaurowany i wzmocniony w latach faszystów, kryje w pustej nawie bez ławek i ołtarza kilka skarbów godnych większej uwagi. Malowidło Cavalliniego, fragmenty fresku ze szkoły Giot-ta, grobowiec Marii Węgierskiej dłuta sieneńskiego mistrza Tino di Camaino. Wpatrując się przed laty w postać królowej na marmurowym łożu, w jej piękną owalną twarz, szepnąłem do mojej towarzyszk: „Mogłaby to być głowa wyrzeźbiona lub namalowana przez Modiglianiego”. Stojący obok nas odźwierny kościoła usłyszał moje słowa i wykrzyknął z radością: „Zauważył pan, zauważył pan! Modigliani oglądał wielokrotnie grobowiec jako młody chłopiec”. Odźwierny, zakochany w kościele, miał zwyczaj zawiadamiać zaraz na wstępie rzadkich turystów: „Jestem faszystą, gdyż faszyci odnowili ten kościół”. Bywają więc i takie motywy politycznych opcji.

Ale jego informacji nie wzięłem na serio, węszyłem w niej częstą u muzealnych dozorców, zapożyczoną gdzieś „przyprawę”, która ma zwiedzających skłonić do pieniężnego wyrazu uznania. Byłem w błędzie. Z obfitych w tym roku publikacji o Modiglianinie wynika bezspornie, że młodzieniec z Livorno zakochał się w twarzy Marii Węgierskiej, przesiadywał godzinami przed grobowcem, uważał swoje „odkrycie” za klucz wycieczki do Neapolu. Jeden z mono-grafistów powiada: „Nazywał to swoją rewelacją. Wśród młodzieńczych rzeźb paryskich, które widywałem w jego pracowni, wzorem był Tino di Camaino, a nie anonimowy rzeźbiarz murzyński z Afryki”.

Przeniósł swoje „odkrycie” z rzeźby do malarstwa. Niezliczone twarze kobiece i męskie, dziewczęce figury rodem z Egiptu, były bardziej znakami niż podobiznami. Modigliani chwycił twarze, zanim długa obserwacja powoduje, że obrastają w bogatą ekspresję. Znakami też były jego wspaniałe akty. Cała jego sztuka tkwiła w przed: przed zamknięciem przedmiotu, twarzy, figury w niewoli formy.

Nie malował w ogóle martwych natur, i wcale się temu nie dziwił. Martwa natura wymaga, jak u Morandiego na przykład, kontemplacji - im dłuższej, tym bliższej innego, niewidzialnego wymiaru, przeważnie metafizycznego. Modigliani widział natomiast całość, jakby możliwe było zobaczenie i utrwalenie ulotnej chwili, w której zakwita kwiat. Namalował w całym swoim życiu tylko trzy pejzaże. Jeden, tokański w godzinie zimowego zmierzchu, widziałem. Sądząc po nim, także w pejzażach wyczuwał ich język błyskawicznej i enigmatycznej iluminacji.

18 października W piętnastą rocznicę pontyfikatu radiostacja rzymska Telepace („bardzo bliska Watykanowi”, informują gazety) poprosiła kilku sławnych Włochów, żeby w ciągu kwadransa opowiedzieli o swoich zetknięciach z Janem Pawłem II. Najczęściej spotykał się z papieżem adwokat Gianni Agnelli, magnat automobilowy, prezydent Fiata, który po powrocie z każdej podróży do Polski stawiał się obowiązkowo w Watykanie. Po wprowadzeniu stanu wojennego usłyszał

od swojego dostojnego rozmówcy, że generał Jaruzelski jest „polskim patriotą, który zawsze działał w interesie swego kraju w tych szczególnych okolicznościach”. Po wyborach prezydenckich Jan Paweł II powiedział o Wałęsie: „uczy się”; powiedział to takim tonem (dodaje Agnelli), jakim „mówi się o osobie otoczonej czułą opieką, bardzo kochanej”.

Czas skończyć nasze małosłowne spory o generała i prezydenta, skoro rozstrzygający głos rozlega się *ex cathedra*, korzystając (mimo że nie chodzi o sprawy wiary) z papieskiego atrybutu nieomyślności. Nieomyślności...

Ten, który przyczynił się walcie do powalenia komunizmu, który mieczem ducha zranił śmiertelnie Smoka, powinien być może okazywać większą wstrzeźliwość i rozważę w sądach.

20 października Moje opowiadanie *Książę Mediolanu\** otwierał fragment *Księcia Machiavellego*, w którym segretario Jioentino zaZob. przedruk w 6 tomie *Pism zebranych*.

dawał pytanie, czy lepiej (dla władcy) budzić miłość niż strach, czy też strach niż miłość. I odpowiadał na nie, że chciałoby się obu rzeczy, skoro jednak trudno je połączyć, o wiele jest bezpieczniej budzić strach niż miłość.

I strach budził opisany przeze mnie Filippo Maria Visconti. Był despotą wymyślnym, pełnym kompleksów, perfidnym, na swój sposób subtelnym, lecz w sumie dość umiarkowanym. Czyli budził strach, który nie paraliżował jego księstwa, przeciwnie - wzmocnił je i rozszerzył. Po jego śmierci proklamowano Świętą Republikę Ambroziańską, przy odblasku ognia, w który rzucano papiery z książęcego gabinetu, narzędzie despotyzmu i niewoli. Po trzech latach rządów republikańskich na książęcym tronie zasiadł Francesco Sforza. W dylemacie Machiavela stawiał miłość przed strachem. Podwładni odplacali mu taką samą monetą miłości, która nie okazała się jednak mocną podporą tronu. Pamiętał o tym jego „niegodny syn”, Galeazzo Maria Sforza, i wahał się historii pchnął znowu w stronę strachu. „Niegodnym” nazwali go i podwładni, i później historycy. Był despotą z upodobania do wzbudzanego strachu, a nie jak Visconti, w imię potęgi państwa (i własnych fobii bądź lęków). Został zasztyletowany w wyniku spisku pod koniec XV wieku, co jest przedmiotem książki historyka Bortolo Belotti *Storia di una congiura*. Książka ukazała się za życia autora, w roku 1929, i została natychmiast wykupiona w księgarniach przez policję faszystowską. Spisek przeciw despotce? Nie mówi się o sznurze w domu powieszzonego albo kandydata na wisielca. Mówi czy nie mówi, współczesny despot włoski padł ofiarą spisku na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej 25 lipca 1943. Spisek jest naturalną konkluzją despotyzmu. Despota pada ofiarą spisku lub wojny. Najczęściej i spisku, i wojny. Wiedział o tym Stalin 1 dlatego mordował zawczasu wszystkich potencjalnych spiskowców (a raczej uważanych przez niego za takich); wygrał wojnę, wiele jednak wskazuje na to, że nie umarł śmiercią naturalną. Hitler cudem wywinął się ze spisku, zdążył jeszcze na hakach rzeźnickich powiesić większość spiskowców, dobiła go dopiero klęska wojenna; w XV wieku spiskowcy nie mieli żadnych zahamowań religijnych, za naszych czasów gorliwy katolik i dzielny oficer von Stauffenberg wahał się długo,

czy z żołnierza zabijającego na froncie legalnie „wrogów naturalnych” ma prawo przedzierzgnąć się w nielegalnego zabójcę wroga ludzkości.

Belotti opisuje dokładnie mediolańskiego despotę. Niektórzy współcześni nazywali go „bestią”. Potrafił na śmierć zagłodzić księdza, który mu wywróżył krótkie panowanie. Kazał obciąć obie ręce człowiekowi podejrzanemu o zwykłą rozmowę z jego kochanką. Nienawistnym mu skazańcom groziło przybicie żywcem do dna trumny. Odbierał bez pardonu ojcom i mężom córki i żony, które mu wpadły w oko; „odsprzedawał” je innym po „użyciu”. Był rozwiązłym sadystą, niepomowanym okrutnikiem, nie uznawał zakazów moralnych, łamał wszelkie bariery prawa. Pędził buntując się przeciw szekspirowskiemu modelowi, w końcu wygasa chęć pokazania, do czego jest zdolny człowiek. Dostyc zatem, idea spisku i księciobójstwa nasuwała się coraz liczniejszym.

Zrealizowali ją trzech młodzi Mediolańczycy. Jeden był literatem, zakochanym w postaciach spiskowców starożytnych; jego sztyletem było pióro nienasycone. Dwaj pozostali mieli konkretne powody, związane z aktami bezprawia i niesprawiedliwości ze strony piątego Księcia Mediolanu. Zasztyletowali go w kościele, zadając mu czternaście ciosów (o dziesięć co najmniej za dużo, wystarczyły cztery, żeby go wyprawić na tamten świat; ale rozjuszonych spiskowców opanowała zjadłość bez miary). Trupa „niegodnego syna” włożono do trumny ukochanego niegdyś ojca: kto wpadł na ten pomysł, chciał prawdopodobnie uniknąć włóczenia zwłok po ulicach i rozszarpywania ich przez przechodniów.

Zdaje się, że to Orwell wymienił potrzebę sprawiedliwości i rządów prawa na pierwszym miejscu ludzkich uczuć, nawet przed aspiracjami do równości i wolności. Piękna nowela Heinricha von Kleista Michał Kohlhaas jest pomnikiem tego niepowstrzymanego, wiecznego dążenia. Myślę o tym, że w cztery lata po odzyskaniu niepodległości żyją jeszcze w Polsce rodziny ofiar komunistycznego despotyzmu, 1 żyją oprawcy, którym nie spadł włos z głowy, którzy dożywają swych dni pewni już, że nikt nie postawi ich przed sądem. Brak jakichkolwiek prób rozliczenia po upadku komunizmu zakrawa na celowe podeptanie potrzeby sprawiedliwości i rządów prawa. Są eks-partyjni głupcy i renomowani dziennikarze, uważający to za dowód „mądrości narodu”. Są także „pragmatycy”, którzy dowodzą, że wszystko w końcu samo „zaschnie”, skoro wyrasta pokolenie nieświadome cierpień i krzywd swoich dziadków. I jedni, i drudzy przekonują się kiedyś (jeśli dożyją), że byli w błędzie, umyślnym czy nie. Mnie przeraża rosnąca wciąż hipoteka omyłek, niedopatrzeń, zaniedbań, jakby rządzący (w towarzystwie „elit”) nie bardzo w głębi ducha wierzyli w trwałość Trzeciej Rzeczypospolitej, jakby to był chwilowy „ubaw” ministerialno-urzędniczo-poselsko-senatorski, pęd do użycia należy Pierwszej Brygadzie rozrośniętej do kilkunastu dywizji. A teraz zmiana warty, niech i dawni Oni rozsiada się na fotelach zagrzanych przez Onych świeżej daty.

Ale coraz dalsza przeszłość da o sobie znać w dalekiej nawet przyszłości, którą ludzie wyczuci z poczucia sprawiedliwości i prawa chcieliby zamienić w gąbkę do zamazywania tablic z ludzkimi normami współzycia.

22 października Wczoraj w turyńskim dzienniku „La Stampa” Irina Iłowajskaja Alberti, redaktorka „Russkoj Myśli” w Paryżu, przyjaciółka i była sekretarka Sołżenicyna w Vermont, ulubienica Jana Pawła II, opisała spotkanie papieża z pisarzem rosyjskim. Asystowała przy nim wraz z żoną Sołżenicyna. Opis sympatyczny i wzruszający, pamiętam przecież z dawnych paryskich lat, że Irina Aleksiejewna ma dar ewokowania we wszystkim, co opowiada, atmosfery ciepła i ludzkiej bliskości. Na fotografii ilustrującej tekst widać ją między dwoma wielkimi rozmówcami, widać w jej spojrzeniu, że o tym spotkaniu myślała i marzyła od dawna.

W pewnej chwili przerywa swój opis komentarzem: „Wielu uderzyło w ciągu lat fundamentalne podobieństwo między wypowiedziami Jana Pawła II i Sołżenicyna o losach świata (co zresztą było głównym tematem ich spotkania). Ktoś zauważył ostatnio: ich wypowiedzi są zbieżne, ale Sołżenicyn mówi jako pesymista, papież jako optymista”.

Nie wydaje mi się, żeby tak właśnie było. Kilka dni temu kolejną rozmowę z wysłanniczką neapolitańskiego dziennika „Il Mattino”, poświęconą całkowicie Sołżenicynowi, rozpocząłem od refleksji na marginesie watykańskiego spotkania: „Jan Paweł II i Sołżenicyn są już od pewnego czasu łączeni jak duet, który rzuca NIE «egoistycznemu kapitalizmowi» i wyraża głębokie wątpliwości, czy Zachód zmierzający ku Apokalipsie, toczony przez chorobę ciągle dotkliwszego braku wartości duchowych, czy taki Zachód zdoła ocaleć i przetrwać. Ich zgodność zaznaczyła się już wcześniej, przed niedzielnym spotkaniem w Watykanie: Sołżenicyn przed laty wychłostał nowoczesną cywilizację zachodnią w Harvard, Jan Paweł II zrobił coś analogicznego w Denver. Wypada tu podkreślić, że chociaż obaj mają bardzo dużo racji, równocześnie przesadzają w sposób dość niebezpieczny dla tej części świata, z której pochodzą. Pomińmy proste i nieodparte fakty, że sławny i tak surowo piętnowany «konsumizm» jest na Wschodzie po epoce komunizmu różnym snem, a nie czarnym koszmarem sennym. Pomińmy świeże twierdzenie kardynała Ratzingera, że «wolny rynek nie czyni człowieka wolnym», twierdzenie zaiste osobliwe w obliczu jedynie rozumnej walki wolnorynkowej przeciw szaleństwu gospodarki komunistycznej. Chciałbym natomiast, by Ojciec Święty i rosyjski Prorok zastanowili się, czy ich apokaliptyczna wizja Zachodu nie grozi stworzeniem na Wschodzie wrażenia fałszywego i niebezpiecznego. Czy nie może przyczynić się do narodzin megalomanii narodowej, opartej na wierze w wyższość duchową Wschodu nad dekadentem Zachodem; do obudzenia ducha misjonarskiego, który zachodniemu światu miałby przynieść Ex Oriente Lux”.

Relację Iriny Alberti, i wizytę w Watykanie, zamyka okrzyk milczącej dotąd Natalii Sołżenicyn: „Jaką słowiańską twarz ma papież, jest naprawdę Słowianinem!” Ileż złudzeń i urojeń w tym słowianofilskim westchnieniu!

25 października W inteligentnym i wrażliwym szkicu Renaty Gorczyńskiej o Kocie Jeleńskim (Traf w „Pulsie”) najbardziej podobało mi się to, że położyła nacisk na stosunek Kota do dzieciństwa, przytaczając jego komentarz do wiersza dedykacyjnego z Wyspy Artura Elsy Morante (Kot był powieścią „urzeczoną”).

Wiersz (a raczej końcowy fragment wiersza) brzmi tak: „I ty nie dowiesz się o prawie / którego ja się, tak jak inni, uczę / a mnie zdruzgotało serce / fuori del limbo non v'è eliso”. Komentarz Kota: „Nie mogłem się oprzeć zacytowaniu w oryginale ostatniej linii tego wiersza, który lapidarnie wyraża myśl (bliską Gombrowiczowi) o niemożności życia poza limbem dzieciństwa”. Limbo jest przedpiekłem, Eliso rajem. Znaczy to, że rajskich rozkoszy zaznaje się tylko w przedsionku do piekła. Dla Kota tym przedsionkiem było dzieciństwo.

Choć okraszane wybuchami śmiechu, przetykane zatrutymi szpileczkami (głównie pod adresem dorosłych) dzieciństwo modulowało w opowiadaniach głos Kota tak, że można było niekiedy oczekiwać cichego płaczu albo co najmniej zwilżenia oczu. Ale Kot nie posiadał „daru łez”, wszystkie uczucia powierzał bogatym rejestrom głosu. Albo „prywatnemu pióru”, gdy nagle nachodziła go pokusa „bardziej osobistego czernienia papieru”.

Gorczyńska niezupełnie ściśle wspomina mój zapis w dzienniku o „kilkustronicowym wirtuozowskim utworze Kota o dzieciństwie”. I dodaje, że nie znalazła jego rękopisu wśród papierów Kota zdeponowanych w Yale. Nie mogła znaleźć. Trzydziestostronicowy szkic autobiograficzny, napisany brawurową włoszczyzną, istnieje w dwóch egzemplarzach. Jeden Kot posłał emerytowanemu dyplomacie włoskiemu, współpracownikowi i biografowi Sforzy. Drugi - mnie z dopiskiem „tylko dla ciebie”. Jakkolwiek szkic kończy się wyprawą podporucznika Jeleńskiego w „wyjściowym” mundurze do powojennego Rzymu i jego spotkaniem ze Sforzą, gros stanowią wspomnienia z dzieciństwa. Czarujące, opowiedziane ze smakiem, z euforią szczęśliwego chłopca, mimo że miewał także doświadczenia przykre i gorzkie.

Polska była dla niego synonimem dzieciństwa, chłopięctwa, wczesnej młodości czy wieku dojrzewania. Powiedział mi raz, że nie wróciłby do Polski, nawet gdyby to było możliwe, bo „jego” Polski już nie ma. Zasepił się, milczał chwilę i wyjaśnił: „No nie ma choćby żydowskich miasteczek; dla mnie sztetl był częścią obrazu Polski”.

Nie rozumie się często lub nie docenia, czym jest dla człowieka zniknięcie krajobrazu jego dzieciństwa. Podczas podróży do Polski w roku 1991 zatrzymałem się na szosie obok rodzinnego Suchedniowa, nie mogąc się przemóc do zjechania w głąb, tam, gdzie znikło wszystko, co było niegdyś moim dzieciństwem. W zeszłym roku planowałem drugą podróż do Polski, z zamiarem wyskoczenia z Kielc do Puszczy Jodłowej. Miała mnie tam zawieźć Irena Furnal, miła i świetna polonistka kielecka. Gdy nic z tej podróży nie wyszło, pani Irena „zdradziła mi rzecz dotychczas przemilczaną”, a mianowicie, że Puszcza Jodłowa w szybkim tempie umiera; i że zobaczyłbym tylko jej agonię. Myślałem, że postanowiła mnie w ten sposób „pocieszyć” wobec nagłego odwołania podróży z woli lekarza. Ale w kilka miesięcy później przeczytałem w jednym z pism dokładnie to samo: Puszcza Jodłowa umiera; „rozdzierający widok”, pisał reporter wcale nie ze świętokrzyskich okolic. A czym ten widok byłby dla mnie?

Elsa Morante spędziła dzieciństwo na wysepce Procida koło Neapolu, na „wyspie Artura”. Napisała powieść, która „urzekła” Kota (także mnie), lecz o ile wiem, nigdy tam więcej nie pojechała. Późniejsza Procida stała się czymś całkowicie odmiennym od wyspy z limbu dzieciństwa.

Łuk Sprawiedliwości Rynki, targi, moja stara fascynacja. Od wczesnej młodości, a nawet chłopięctwa, widziałem i czułem w nich (rzecz jasna, nie umiejąc tego dobrze wysławić) cały wielki świat pomniejszony i zredukowany do rozmiarów dostępnych dla ludzkiego spojrzenia. Być może, pozostało mi to z okresu, gdy jako kilkunastoletni uczeń mieszkałem krótko w moim rodzinnym mieście na stacji, której okno wychodziło na rynek, duży i codziennie od rana do obiadu zastawiony gęsto straganami i chłopskimi furmankami, a o świcie i po południu używany do ćwiczeń przez wojsko zakwaterowane w koszarach po przeciwnej stronie placu. Sąsiedztwo komend wojskowych i plątaniny targowych głosów i krzyków, jednokolorowych kolumn żołnierskich i chaotycznej, barwnej pstrokacizny targowego tłumu musiało w mojej młodocianej wyobraźni złożyć się na obraz czegoś ograniczonego i zarazem bardzo rozległego. Ten obraz, synonim świata odbitego w odprysku wielkiego lustra, nie zatarł się nigdy w mojej pamięci i towarzyszył mi nieraz w moim późniejszym, dojrzałym życiu.

Wiele potem widziałem rynków, targów - w Anglii, w Niemczech, we Francji, we Włoszech, w Persji, w Palestynie, w Indiach, w Birmie. Nie były tym, co sobie w młodości uroiłem; spełniały gorzej czy lepiej swoje funkcje lokalne, lecz brak im było owego posmaku uniwersalnego, jakim otoczyła je niegdyś moja fantazja. Dopiero tu, w Neapolu, ujrzałem pełniej jeszcze i bogaciej niż za młodu, czym może być Mercato.

Piazza del Mercato znajduje się między ulicą portową i główną, antyczną arterią miasta, którą lud - łącząc w jedną całość równy rząd dawnych zaułków cechowych - nazywa Spaccanapoli, linią rozłupującą Neapol. Jest to jakby kręgosłup miasta, z odgiętymi żebrami bocznych zaułków po obu swoich stronach. Jednym z takich bocznych zaułków można dojść na Rynek, jeśli się jest akurat w centrum starego miasta, a nie w okolicach portu.

Zanim na mocy dekretu Karola I Andegaweńskiego puste pole na peryferiach średniowiecznego grodu zostało w roku 1270 wytyczone i otoczone jako obszar przyszłego Rynku, odegrało dwa lata wcześniej, w roku 1268, rolę miejsca kaźni. Taki był początek: tutaj ścięto ostatniego z Hohenstaufów, młodziutkiego księcia Konrada, zwanego Corradino. I nic kaźni nie zanikła, wśród ciągłego przyrostu sklepów i straganów, aż do końca XVIII wieku, dokładnie do roku 1799, gdy na Piazza del Mercato powieszono grupę animatorów i przywódców nieudanej (jakobińskiej) Rewolucji Neapolitańskiej. Szubienica zastąpiła więc katowski topór, na jej stopnie wchodzili skazani na śmierć złoczyńcy i mordercy, dla mieszkańców miasta i przyjezdnych wrosła w wygląd Rynku. W epoce topora Masaniello głową przypłacił krótką rewoltę plebejską: mieszkał i był sprzedawcą ryb na Rynku, stąd kierował rewoltą, na Rynku też, w kościele Del Carmine, pojmano go, zabito i martwemu odcięto głowę. Kościół Del Carmine ufundowała przybyła z Niemiec matka księcia Corradino, której Karol I nie pozwolił zabrać zwłok syna do dalekiego



grobowca rodowego. Nie jest to jedyny kościół na Rynku. Francuscy mnisi wzniesli drugi, SanfEligio. I dokoła niego krążyć będzie to opowiadanie.

Z biegiem czasu pęczniał targ, przekraczał swoje pierwotne granice, stawał się osobnym światem, takim właśnie, jaki oglądałem z okna stacji w moim mieście rodzinnym. Dziwne to, niezbyt może rozumiałe, ale nie mogę uwolnić się od głównej cechy owej „osobności”, cechy świata wyłączanego i równocześnie zamkniętego w ramach swego odbicia, swego refleksu uniwersalnego. Mój rynek z lat młodości był placem targu i broni; neapolitański Mercato - placem targu i sprawiedliwości. Wszystko jedno jakiej, od małej czy dużej litery, pohańbionej czy wywyższonej, prawdziwej czy opartej na kłamstwie i przemocy, ale sprawiedliwości, bez której człowiek czuje się zagubiony; jak czuje się uspokojony, patrząc na ćwiczenia swoich potencjalnych zbrojnych obrońców. Innymi słowy, spłot elementów stanowi o głębszej istocie Rynku.

Zbudowany przez francuskich zakonników, kościół andegaweński Świętego Eligiusza rzuca się na Rynku od razu w oczy z dwóch przyczyn: po pierwsze, choć skromny, jest dość ładny; po drugie, połączony jest łukiem z budynkiem naprzeciwko, w którym kiedyś mieścił się szpital. Duży łuk z oknem w górze służył zapewne kiedyś jako pilne przejście z kościoła do szpitala. Pod oknem pół ściany zajmuje grosse horloge, nadając łukowi nadzwyczajną lekkość i elegancję. Pod zegarem, po obu stronach, dwa niewielkie medaliony tuż nad wygięciem łuku, w których turysta lub przypadkowy przechodzień mógłby dojrzeć dwie osobliwe ozdoby architektoniczne, gdyby miał dość czasu i ochoty na dłuższą chwilę uwagi, a nie tylko na przelotne przemknięcie wzroku. Jeden medalion obejmuje dwie małe główki z marmuru, wyraźnie męskie. Drugi również dwie główki tych samych rozmiarów, męską i kobiecą. Nikt nie zdołał odcyfrować znaczenia medalionów, a niewątpliwie starają się coś powiedzieć, bo jako zwykłe ornamenty byłyby chyba identyczne - ot, naturalny i częsty motyw dekoracyjny.

Łuk nazywany jest po prostu L'arco di Sant'Eligio przez tych, którzy odnoszą się nieufnie do wszelkich legend i wierzą jedynie zapisom historycznym. Kto zaś ufa legendom, albo nawet uważa je za ustną historię, ważniejszą w pewnym sensie od historii pisanej i zarejestrowanej w kronikach, ten mówi o „łuku sprawiedliwości wzorowej”, L'arco della giustizia esemplare. I w marmurowych główkach dostrzega coś więcej niż drobiazg zdobniczy budowniczego.

A zatem dla czystych historyków chodzi wyłącznie o le-gesendę. Można ją zapisać, jak zrobił Summonte w Historia di Napoli, zaznaczając jednak wyraźnie, że jest legendą, a nie faktem historycznym, a tego Summonte nie zrobił, przeciwnie, zwykłą formułę legend: „starzy ludzie opowiadają”, podniósł do roli źródła historycznego. Zgadza się z nim, choć naturalnie moja opinia jest dla zawodowych dziejopisów bez znaczenia. Zgadza się z nim jako pisarz, gdyż wierzę, że formuła „starzy ludzie opowiadają” odtwarza to pasmo przeszłości, które miniony czas czyni wciąż żywym, zwłaszcza jeśli opowiadania starych ludzi przekazywane są z pokolenia na pokolenie. A tak było, w opisywanym tu wypadku legendy o „sprawiedliwości wzorowej”, od początków XVI wieku do

końca zeszłego stulecia. Czy legenda przygasła stopniowo, bo powoli umierała również „sprawiedliwość wzorowa”? Tego nie wiem, to jest typ doociekających wymagających specjalnego przygotowania. Dla manie ważne jest tylko długie, czyli znaczące, trwanie legendy.

Na użytek czytelnika należy jeszcze wspomnieć, przed narracyjną przechadzką pod Łukiem Sprawiedliwości, o moim słynnym poprzedniku, Aleksandrze Dumas. W Corriccylo, książce o Neapolu, w rozdziale zatytułowanym Ślub na szafocie porusza ten sam co ja temat. Ale gęsie pióro Dumasa zanadto jest rozpedzone w pogoni za łatwymi efektami literackimi w porównaniu z moim długopisem, który chce tylko oddać sprawiedliwość legendzie i podsyć jej gasnące płomienie.

Starzy ludzie opowiadali w ciągu trzech i pół stuleci, że około roku 1500 młody i dorodny hrabia neapolitański Adriano Caracciolo, właściciel licznych pałaców w mieście i bogaty latyfundysta kalabryjski, odkrył pewnego dnia w swoich włościach dziewczynę (i dziewicę) niezwyklej urody, skromną i pobożną jak jej rodzice, wasale hrabiego, zamieszkali w zagrodzie daleko od magnackiego zamku.

Nazywała się Patrizia Burrone, wpadła w oko swemu panu podczas polowania w okolicach zagrody. Starzy ludzie opowiadali, że zakochał się w niej od pierwszego wejrzenia, bardziej powściągliwi dorzucali z przymrużeniem oka, że o władnęła nim tylko przelotna pasja, jakich wiele w osobach jego stanu, wieku i feudalnej wszechwładzy. Rodzina Burrone nie była chłopska, stała trochę wyżej na drabinie społecznej, niełatwo więc było zaspokoić nagłą zachciankę w drodze gwałtu, może nawet w obecności bezsilnych rodziców. Hrabia pragnął spędzić noc z dziewczyną za jej zgodą, choćby wymuszoną. I zabrał się energicznie do dzieła. Oplatał ojca fałszywym oskarżeniem o zabójstwo, domagając się jego córki za uniewinnienie i zwolnienie z więzienia. Warunek został spełniony, starzy ludzie wyrażali to jednym zdaniem: „Patrizia poddała się jego żądom”. Incydent byłby zamknięty, gdyby rodzina przeżuwała tragedię w milczeniu, pogodziwszy się z hańbą jagnięcia ofiarnego. Ale ręce opuszczone na chwilę w geście rezygnacji podniosły się niebawem w gwałtownym żądaniu sprawiedliwości. Cała rodzina - ojciec, matka, córka - wyruszyła do Neapolu. Nie jest w legendzie jasne, jak zdołała dotrzeć przed oblicze regentki Izabelli Aragońskiej. Oburzona Izabella upewniła się o prawdziwości skargi, po czym wysłała oddział zbrojnych do Kalabrii z nakazem dostawienia winnego do Neapolu. Udało mu się zbiec i ukryć. Dano mu osiem dni na wyjście z ukrycia. Gdy wyznaczony okres minął, Izabella poleciła burzyć pałace hrabiego w Neapolu. To poskutkowało, winny stawiał się na królewskim dworze przed ukoronowanym sędzią. Na mocy wyroku Izabelli, określanego przez starych ludzi mianem sprawiedliwości wzorowej, hrabia Adriano Caracciolo poślubił w kościele Świętego Eligiusza piękną Patrizię, a prosto od ołtarza przeszedł na szafot ustawiony pod łukiem; małżeństwo było zmyciem hańby wobec ludzi, ścięcie karą za zbrodnię w obliczu Boga i Prawa. Summonte twierdzi, że marmurowe główki nad

łukiem „miały upamiętnić akt sprawiedliwości wzorowej”, ale zdaje się temu przeczyć ich dziwny dobór. Oznaczały coś innego; można tylko snuć domysły co.

Zastanawiające, że schemat sprawiedliwości wzorowej (ślub jako rekompensata za obrazę czystości i dziewictwa, egzekucja winnego za zbrodnię gwałtu) powtarzał się kilkakrotnie w następnych stuleciach, i to w formie historycznej bardziej wiarygodnej od legendy wysnutej z ustnych opowiadań. Na dodatek w różnych miejscowościach, odległych od Łuku Sprawiedliwości na Piazza del Mercato w Neapolu: w mieście flamandzkim, nad jeziorem Como, w Padwie (z woli księcia Ferrary), w Hiszpanii (z woli Filipa IV). Wdzięczny temat do rozważań: czy przeniknął przykład neapolitański, czy też bez żadnych wpływów zewnętrznych rozpowszechniła się w Europie „sprawiedliwość wzorowa”? Zainteresowanie pisarzy (Szekspir, Lope de Vega) zdawałoby się przemawiać za tym drugim.

Górze jednak bierze wśród badaczy przekonanie, że w grę wchodziła od początku do końca „konstrukcja idealna rygorystycznej sprawiedliwości”, w której kara małżeństwa „reparacyjnego” i kara śmierci za gwałt musiały iść razem, jak w owym harmonijnym łuku opartym na dwóch podstawach.

*A jeśli uwierzyć wersji, która raz jeden tylko pojawiła się nieśmiało w opowiadaniach starych ludzi, w legendzie o sprawiedliwości wzorowej, by szybko zniknąć po krótkim życiu? Opowiadano, że w momencie wprowadzenia winnego na szafot jego nowo poślubiona żona upadła na kolana przed nadzorcą kaźni z okrzykiem „Nie!” i zemdląca. I że hrabia spojrzawszy na nią wtedy z szafotu wzrokiem pełnym miłości. Ta wersja kazała młodej wdowie wstąpić natychmiast po śmierci męża do klasztoru, pozwalając więc podejrzewać, że jedyna noc gwałtu zamieniła się w noc nieklamanej miłości, o czym nie wiedzieli ani rodzice dziewczyny, ani Izabella Aragońska. A gdyby nawet wiedzieli, nie zmieniliby posta10 - Dziennik... (1993-1996) 145*

nowienia, skoro sprawiedliwość wzorowa nie może być połowiczna. Myślę, że ta wersja, choć naprędce odrzucona przez twórców i kontynuatorów legendy, była prawdopodobna. Więcej - mogłaby najlepiej uzasadnić dwa medaliony na łuku: podwójna marmurowa podobizna zbrodniarza i świętego skazańca; także podobizna rozłączonych toporem katowskim kochanków.

Ale nie powinienem rozpędzać się dla efektu (innego zresztą), jak to w Corricolo uczynił Dumas. Gdy zachodzę czasem na Piazza del Mercato i obserwuję kupców, kramarzy, nabywców, rozgadanych i krzykliwych w przejściu pod Łukiem Sprawiedliwości, nieświadomych wiekowej już i umarłej pewnie na zawsze legendy, zadaję sobie pytanie, czy pragnienie sprawiedliwości nie jest w człowieku silniejsze od pragnienia wolności, równości i braterstwa.

Listopad 1993

Neapol, 5 grudnia Śliczna Cortona, miasteczko dokładnie na granicy Um-brii i Toskanii, do którego dawniej jeździłem często na krócej czy dłużej, było dla mnie z początku tylko małym skarbcem. Luca da Cortona (Signorelli) opłakujący martwego Chrystusa, Beato Angelico, Brat Anielski, najczystszy poeta Zwiastowania, ryneczek z średniowiecznym Pałacem Komunalnym i renesansowym Palazzo del

Cristofanello, oprawa krajobrazu tak piękna, jakby to ona, a nie położenie obronne, natchnęła budowniczych do wzniesienia tu miasta. Z biegiem czasu zauważałem w Cortonie coraz więcej, czego dowodem jest zapis w dzienniku o mojej ostatniej wizycie w roku 1989; targ sobotni, cmentarz tuż obok muru okalającego miasteczko, zaślubiny dwóch religijności, cudownie niebiańskiej Brata Anielskiego i posepnie ziemskiej Łukasza z Cortony. Ale nawet wtedy dostrzegałem mgliście jeszcze sumę składników Cortony, jej charakter zamkniętego universum, mikrokosmosu rzuconego, a może zgubionego po drodze przez Stwórcę wśród harmonijnie zrosniętych pól i wzgórz. Właśnie, harmonia jest właściwym słowem w pochwałę miasteczka umbro-toskańskiego. Zewnętrzna harmonia okolicy i wewnętrzna miasta, a także wzmacniana od wieków harmonia murów miejskich z ich zawartością oraz tła aż po linię horyzontu.

Zdażyłem nauczyć się tego, co było istotą życia mieszkańców Cortony od ujrzenia światła dziennego do jego stopniowego wyciemniania u kresu wędrówki ziemskiej. Wędrówki? Raczej krótkiego przejścia, które sznur dni, miesiący, lat czynił powolnym i długim pochodem. Od uklepanego, kolistego miejsca przeznaczonego na sobotni targ, przez plac i wąskie uliczki do małej galerii z wizerunkami przyszłej Matki i zamężonego Syna; a dalej, już na końcu, do niedzielnego szczególnie spojrzenia z góry na cmentarz, wyrastający wśród drzew u stóp kamiennej obręczy miejskiej.

Moja ostatnia wizyta, w kwietniu 1989, związana była z międzynarodowym kolokwium, na które mnie zaproszono w roli słuchacza. Na jaki temat? Tego już nie pamiętam, wszelkie międzynarodowe kolokwia są sieczkarniami, natychmiast po ich zakończeniu wiatr porywa sieczkę i rozwiewa ją w pustym polu. Zważywszy datę, okres ostatnich podrygów komunizmu (los ultimos podrygos, jak mawiał Witkacy), „dyżurne” tematy marksizmu i demokracji, marksizmu i kultury etc. mogły już być zastępowane, przy udziale tych samych na ogół prelegentów, przez chrześcijaństwo i demokrację, chrześcijaństwo i kulturę etc. W każdym razie, jeśli zdarza mi się bardzo rzadko uczestniczyć w międzynarodowych kolokwiach, mam uczucie, że mówcy nie wygłaszają słyszalnych zdań, lecz poruszają bezgłośnie wargami i machają rękami, jak gdyby z ogromną wprawą cięli miarowo słomę. Często przy tym sięgają po szklankę wody, co zdaje się świadczyć o potrzebie ciągłego gaszenia niewidzialnych dla słuchaczy płomieni.

Była sobota, pamiętałem o cotygodniowym targu w Cortonie. Po krótkim i nieodzownym (jakoś przecież należało się odpłacić za hotel i wikt) „akcie obecności” zbiegłem po schodach Pałacu Komunalnego i szybko znalazłem się między straganami i kramikami. W Umbrii i w Toskanii targ jest synonimem obfitości, wesołości i rozmowności. Z próżni kolokwium do pełni targu, trudno o większą satysfakcję. Wiedziałem, że około południa, kiedy pustoszeją worki i beczki, kurczą się szynki i sery, znikają prawie wieńce kiełbas, targ żegna odchodzących na obiad jakimś spektaklem. Przeważnie popisem gimnastycznym, kapelą ludową albo sztuczkami małp czy innych wytresowanych zwierzaków. Tym razem, nakrywszy skrawek ziemi derką i postawiwszy na niej drewniany kuferek, wystąpił połykacz

ognia. Obnażony do pasa, przystojny i zwinny, wyciągnął z kufierka żelazny pręt owinięty na czubku zwilżoną szmatką. Zapalił ją i z nieopisaną zręcznością połykał ognie, jeden za drugim, wypluwając je ku wierzchołkom drzew i transparentom wyborczym (zbliżały się wybory). Ognie były naturalnie zimne, gasił je dotyk przedmiotu. Ale coraz większe i efektowniej sze, aż osiągnęły kształt i wymiary ognistych obłoczków. Oklaskiwaliśmy długo połykacza ognia, na derkę posypały się datki pieniężne, chłopiec z kiosku, w którym królowała porchetta, przyniósł mu nadziany płatami prosięcia bochenek chleba.

Dałbym dużo za to, by sztukmistrz targowy (skończyła się epoka cyrkowych głodomorów, opisanych przez Kafkę) stanął na podium dla mówców w sali Pałacu Komunalnego i pokazał szanownemu gremium, prelegentom i słuchaczom, jak połyka się i wypluwa ku niebu rosące wciąż zimne płomienie.

8 grudnia Lew Szestow w znakomitym, zdumiewająco głębokim szkicu o Dostojewskim (w tomie Na wadze Hioba) nazywa „człowieka iz podpolja” delikatnie „kaczątkiem”. Dodaje co prawda „brzydkiem”, ale czułe „kaczątko” pozostaje, gdy czytelnikowi nasuwałby się raczej obraz szczura kanałowego lub ogromnego (i złośliwego) karalucha z Przemiany Kafki, zwłaszcza że sam bohater opowiadania Dostojewskiego mówi o sobie: „jestem robakiem”.

U Szestowa nic nie jest kwestią przypadku czy przejęzyczenia, wszystko podlega rygorom solidnego przemyślenia. Zapiski iz podpolja są krótką i genialną uwerturą do całej, bogoisławielskiej twórczości pisarza. Kto w szczurze kanałowym, w ludzkim insekcie rezonującym w „podziemiu”, pokazującym nienawistnie światu, język i figę”, ulepionym z irracjonalnej przekory, pogardzanym i upokarzonym przez otoczenie, odrzucającym „rzekomą prawdę, że dwa razy dwa równa się cztery”, widzi tylko wspaniałe przedstawionego pokurcza i wyrzutka ludzkiej społeczności, ten przechodzi obok zbeletryzowanego traktatu religijnego, nie podejrzewając, co się w błazeńsko-tragicznym monologu kryje. Szestow powiada w pewnej chwili z niezwykłą przenikliwością, że postacie Dostojewskiego nie są żywymi ludźmi, lecz maskami, a za wszystkimi maskami (z wyjątkiem „żywego” Starca Zosimy i „żywego” Aloszy Karama-zowa, „żywymi” właśnie w cudzysłowie) chowa się ta sama twarz o różnych wyrazach i wciąż tym samym napięciu poszukiwacza religijnego sensu życia i śmierci, twarz pisarza w „walce przeciw oczywistościom” (tytuł szkicu Szestowa). Także człowiek z podziemia jest maską Dostojewskiego. Łzony, opluwany, chorobliwie przewrażliwiony, ten szczur szydzący z tego, do czego po kryjomu wzdycha, zagrzebany w swoim brudnym pokoiku pod powierzchnią społecznych praw i konwenansów, samozatruwający się własną żółcią, niezdolny do odwzajemnienia czystej miłości, otwiera nowy rozdział w literaturze światowej („w powieści trzeba bohatera, tutaj zaś rozmyślnie skupiono wszystkie cechy charakteryzujące antybohatera”, powiada narrator-mono-logista iz podpolja). Rozdział, w którym „antybohater” pod powłoką ugniatającej go rzeczywistości tęskni w skrytości ducha do „drugiego wzroku”, do „drugiego wymiaru czasu”. I „drugim wzrokiem”, w „drugim wymiarze czasu”, zobaczy, że „nie można kochać ludzkości, nie wierząc w nieśmiertelną duszę”; i że „cierpienie

jest jedynym źródłem świadomości". Świadomości, która to odpycha i przeraża, to przyciąga jak światło w mroku.

Szestow wprowadza naraz, porzuciwszy na chwilę analizę powieści Dostojewskiego z Zapiskami iz podpolja na czele, sławnego historyka chrześcijaństwa, profesora von Harnacka. Von Harnack dysponuje tylko jednym wzrokiem i jako historyk jest przekonany, że istnieje jeden tylko wymiar czasu. W Historii dogmatów dochodzi do wniosku: „Nie było nigdy wiary religijnej, choćby najsilniejszej, która w decydującym momencie czerpałaby swą moc wyłącznie z własnych rezerw, która nie musiałaby się oprzeć na władzy zewnętrznej”. I w odsyłaczu wyznaje: „Konstatuję fakt, nie mam nadziei znalezienia jego ostatecznego wytłumaczenia”.

„Boga nie da się pokazać. Nie można szukać Boga w historii”. Takie było, według Szestowa, najgłębsze przesłanie Dostojewskiego. Zdradził je w Dzienniku pisarza, potwierdzając jakby myśl von Harnacka o „władzy zewnętrznej”, bez której nie potrafi przetrwać żadna wiara religijna. Z żalonymi wynikami. Dostojewski „prorok”, posłuszny tradycji prawosławia, nazywał po słowianofilsku Rosję najswobodniejszym krajem na świecie; krajem, który wkrótce zdobędzie Konstantynopol, który nigdy nie utworuje drogi walce klas, gdy tymczasem zachodnia Europa utonie w krwawym morzu konfliktów społecznych, wzywając rozpaczliwie na pomoc swego potężnego sąsiada na Wschodzie. Szestow, admirator Dostojewskiego, cytuje ze smutkiem, wyraźnie zażenowany, te bałamuctwa w latach dwudziestych naszego stulecia, wyrzeka się jednak konkluzji. A brzmiałaby ona tak: wielki pisarz, autor Biesów i Braci Karamazow, posiadacz „drugiego wzroku” w uporczywym krążeniu wokół Boga, przykleka oto i z opuszczonymi pokornie oczami całuje pierścień Wielkiego Inkwizytora.

11 grudnia Pasjonująca, dobrze udokumentowana i inteligentna jest książka Michała Komara Prośba o dobrą śmierć. Kontynuuje do definitywnej już chyba kropki poprzednią książkę tegoż autora, Czarownice i inni. Komar stał się doktorem (anielskim?) demonologii i stregonologii (od włoskiej czarownicy strega i czarownika stregone), swoją historyczną znajomość przedmiotu przeciąga do naszej epoki, podsuwając czytelnikowi ważne pytanie: wyzionęły nareszcie plugawego ducha stare czarownice, zgasły płonące stosy, diabeł-emeryt z odrąbanym ogonem, spiłowanymi rogami, z kopytkami po porannym seansie u pedikiurzysty i z cygarem w zębach, uperfumowany i łysy, buja się w fotelu zagłębiony z ironicznym uśmiechem w lekturze Goethego, Dostojewskiego, Tomasza Manna, Bułhakowa? Ja odpowiedziałbym na to pytanie tak: literacki, symboliczny diabeł żyje i żyć będzie wiecznie, bo jest synonimem wiecznego Zła, niech wam więc nie zamydla oczu swoim emerytalnym wyglądem, co więcej - wzmógł swoją działalność w innych postaciach, bardziej dostosowanych do współczesności bez tradycyjnych rekwizytów w rodzaju kopytek i rogów; natomiast historyczny diabeł Komara, w otoczeniu czarownic i na tle płonących stosów, podlega modernizacji zależnie od okoliczności historycznych. Komar doskonale pokazuje jego przenikanie z zamierzchłej zdawałoby się przeszłości do naszych czasów.

We wstępie Kołakowskiego do polskiego wydania Czarownicy Micheleta istotne jest zwięzłe sformułowanie głównej intencji historyka francuskiego: „Nie diabeł jest sprawcą ludzkich nieszczęść, ale ludzkie nieszczęścia są źródłem diabła”. Kołakowski powiada: „Stwierdzenie skromne i nie-pretensjonalne, nieoryginalne już w czasach Micheleta, na pozór przynajmniej”.

Z pewnością myśl Micheleta jest bliska Komarowi. Trzeba tylko bardzo rozszerzyć „ludzkie nieszczęścia”, aby za Micheletem znaleźć klucz do erudycyjnych dociekań Komara. „Ludzkimi nieszczęściami” są nie tylko zaburzenia psychiczne jednostek, seksualne udreki zakonnic i księży, epidemie, plagi, wojny religijne, ale także różne formy despotyzmu. I właśnie dlatego Komar bez trudu, z absolutną dezynwolturą, przeskakuje od starych dokumentów na temat sabatów czarownic do ich imitacji (a czasem wprost kopii) hitlerowskich i sowieckich.

Trudno niekiedy uwierzyć, jak demonologiczne epizody z dawnych wieków powtarzały się za naszego życia. W swoim czasie przeglądałem książkę Jacoba Marcusa *The Jew in the Medieval World* i wypisałem z niej w moim dzienniku historię Agimeta i historię Elviry del Campo. Agimet, genewski Żyd, w okresie dżumy z roku 1348 torturowany był jako diabeł wysypujący do napotykanych w podróży studni woreczki trucizny (czy zarazków dżumy). Chodziło, rzecz jasna, o ówczesną stonkę ziemniaczaną (żeby się posłużyć demonologiczną wyobraźnią polskich komunistów). W roku 1568 Elvira del Campo z Toledo, która pochodziła od strony matki z rodziny marranos, lecz od strony ojca była „czystą” chrześcijanką i miała męża „czystego” chrześcijanina, została rzekomo przyłapana na uprawianiu po kryjomu „praktyk żydowskich”. Torturowano ją i skazano na trzy lata więzienia w żółtym sambenito i na konfiskatę mienia. Sądono ją za „dwulicowość czarownicy”. U schyłku rządów komunistycznych w Polsce nasz domorośli Inkwizytor, ksiądz (dziś biskup) Alojzy Orszulik, zarzucił „diabelską dwulicowość” przywódcom KOR, którzy byli według niego w rzeczywistości trockistami podającymi się za polskich patriotów. I domagał się wyrzucenia Kuronia i Mich-nika z Polski (nie mieli, niestety, żadnego mienia do konfiskaty).

14 grudnia Z listu Jerzego Stempowskiego do mnie: „W mojej młodości był zwyczaj, że gdy młody człowiek dostał od pięknej damy choroby wenerycznej, szedł do niej z wielkim bukietem, aby jej to delikatnie dać do zrozumienia, ale dziś nie ma więcej takich chorób ani takich dam, ani takich młodzieńców, ani takich zwyczajów”. Galanteria posunięta stanowczo za daleko. A w mojej młodości, w latach poprzedzających wybuch drugiej wojny światowej? W moich rodzinnych Kielcach wydano książkę zbiorową o moim pisarstwie, pod redakcją Ireny Furnal i Jana Paławskiego. Serię bardzo interesujących szkiców zamyka wspomnienie mojego kolegi szkolnego, Franciszka Zyguły. Znalazłem w nim drobiazg, o którym zupełnie zapomniałem: „Przypominam sobie, jak starsi koledzy szkolni poznali G. z dwiema «we-sołymi pannami», bardzo życzliwymi dla młodych uczniów. Były to siostry, nazywano je «Alinkami». Starsi koledzy nigdy im się nie kłaniali na ulicy, przechodzili obok, udając, że ich nie znają. G. był jedynym, który przy każdym spotkaniu z nimi zdejmował z głowy uczniowską czapkę i kłaniał się szarmancko.

Pewnego dnia koledzy namówili «Alinki», aby w niedzielę po nabożeństwie, kiedy główna promenada Kielc, ulica Sienkiewicza, pełna była spacerujących, «przypadkowo» spotkały się z G. koło jego domu. «Alinki» wyszły naprzeciw G. i ku zdziwieniu wszystkich obserwujących tę scenę kolegów G. - jak zawsze - zdjął uczniowską czapkę z głowy i elegancko uklonił się mijającym go siostrom". W mojej więc młodości akt zwykłej grzeczności uchodził już za dowód nadzwyczajnej, wyzywającej śmiałości. Najpierw stopniowo, a potem coraz szybciej (po wojnie z szybkością błyskawiczną) stosunek do kobiet nasiąkał brutalizacją, często chamstwem. Historycy obyczajów postąpią słusznie, biorąc to pod uwagę jako jeden ze składników agresywnego, niekiedy wręcz napastliwego i opętanego feminizmu. Wczoraj przystanąłem w parku miejskim obok wiecu neapo-litańskich feministek. Ich przywódczyni wygłosiła płomienną mowę, okraszoną obficie gestykulacją; wynikało z niej m.in., że ślubny mąż powinien każdorazowo opłacać spełnianie przez ślubną żonę „rzekomych obowiązków małżeńskich" (jej słowa). „Jesteśmy wolne - wrzeszczała przystojna zresztą kobieta o wyglądzie urzędniczki pocztowej lub ekspedientki sklepowej - zarabiamy na życie jak nasi mężowie. Więc wszystko co ekstra..." Zamyśliła się i dodała uspokajająco: „Chyba że chodzi o pierwsze dziecko". Dobrze i to, skoro nie zanosi się na powrót do stęchłych, staroświeckich czasów.

17 grudnia Chętnie godzę się z twierdzeniem Milana Kundery, że dwa powieściowe arcydzieła, Tristram Shandy Sterne'a (kongenialny przekład polski Krystyny Tarnowskiej) i Kubuś Fata-lista i jego pan Diderota, odśłoniły ogromne możliwości ludyczne gatunku, dowiodły, że powieść może być grą, zabawą, z nieograniczoną swobodą wynalazków formalnych. Tristram i Kubuś okazali się jednak niepowtarzalni, bez potomstwa czy choćby naśladownictwa (co prawda sam Diderot zawdzięczał sporo Sterne'owi), jakkolwiek Kundera ustala ogólnikowy „ciąg" od Don Kichota do Toma Jonesa, od Ulissesa do Ferdydurke. (Nie od rzeczy będzie zaznaczyć tu, że jedna z pierwszych przedwojennych recenzji z powieści Gombrowicza, moja, nazywała się Zabawa w „Ferdydurke", a współczesna książka Jerzego Jarzębskiego o naszym klasyku nazywa się Gra w Gombrowicza). Szkoda tylko, że mądrym uwagom Kundery o jego ukochanym Kubusiu towarzyszą jego głupie uwagi o literaturze rosyjskiej, zwłaszcza o Dostojewskim. Na szczęście można je w lekturze przeskoczyć, jak na to w pełni zasługują, traktując je co najwyżej jako jeszcze jeden przykład częstej jednostronności świetnych inteligencji.

Kundera trafnie podkreśla, że to, co Anglosasi nazywają rewriting, a co w różnych okolicznościach przybiera postać „przeróbek", „adaptacji", „redukcji", „nowych transkrypcji", odznacza się absolutną niemożnością w stosunku do arcydzieł literatury. Więcej nawet - dałaby się ukuć reguła, że im większe arcydzieło, tym większy stawia opór wszelkim zabiegom „redukcyjnym" czy „adaptacyjnym", a rzadkie udane zabiegi tego rodzaju świadczą niezbitnie o mierności tekstu oryginalnego. Natomiast Kundera robi wyjątek dla „wariacji", przypominając, że nie pogardzał nimi czasem sam Szekspir. Po tym wielkim przykładzie łatwiej przedstawić czytelnikowi lub widzowi „wariację" Kundery na temat Kubusia, która jest równocześnie jego trzyaktowym „hołdem" złożonym Diderotowi. Okropnym,



zenującym, rodem z teatrzyku bulwarowego. Kundera przytacza okrzyk Pana z powieści Diderota, w cichej zapewne nadziei, że nie stosuje się do niego: „Niech do diabła idą wszyscy, którzy pozwalają sobie na nowo przepisywać to, co zostało już napisane! Trzeba im wyciąć jaja i obciąć uszy!” Obawiam się, że ta podwójna operacja grozi czeskiemu autorowi Kubusia i jego pana.]

20 grudnia Czternastostronicowy list od pana Wojciecha Cabaja, który deklaruje się jako mój uważny czytelnik. Co nie przeszkadza (i jest to zupełnie naturalne), że moja polemiczna odpowiedź musiałaby być równie długa, jeśli nie dłuższa, nie zgadzam się bowiem z większością tego, co autor listu pisze. Nie mam jednak na odpowiedź ani czasu, ani (szczerze mówiąc) ochoty. Jeden tylko punkt zasługuje na wyłowienie - sprawa i aktualna wciąż (lub jeszcze?), i bardzo dla nas istotna. Sprawa „Solidarności”.

„Można odnieść wrażenie (czytam w liście), że naród polski zwariował i wypiera się wszystkiego, o co czterdzieści pięć lat walczył z komunizmem. Najsmutniejszym przykładem tej aberracji psychicznej jest zaprzaństwo wobec «Solidarności»... Dziedzictwo duchowe i znaczenie polityczne «Solidarności» nie tylko nie zostało wykorzystane, ale jest niszczone z taką zajadłością, jakby było największą hańbą w naszych dziejach”.

Z listu zatem wynika, że „zaprzaństwo wobec «Solidarności»„zamieniło się stopniowo w operację jej „zajadłego niszczenia”, w której brały i nadal biorą udział przeróżne wrogie siły, rodzime i zagraniczne. „Zaprzaństwo” łatwo uzasadnić na przykładzie Bujaka, z jego tyleż głośnym, co głupim „przepraszam za «Solidarność»„, oraz sławetną i lekko błazeńską sprzedażą legitymacji członkowskiej na licytacji publicznej, którą zorganizowała... pani generałowa Kiszczakowa (oba wyskoki Bujaka zasuflowali mu prawdopodobnie jego mentorzy z saloników warszawskich). Ale „zajadłe niszczenie” należy zastąpić słowem ha-rakiri. „Solidarność” została zmuszona do popelnienia ha-rakiri. Było do przewidzenia, że ten wspianały, milionowy ruch współdziałania całego społeczeństwa, solidarności właśnie, nie przetrwa długo w pierwotnej formie po osiągnięciu postawionych sobie celów. Ale nie było do przewidzenia, że zostanie błyskawicznie podeptana i doprowadzona do absurdu jego zasada, ta zasada, która choćby w formie legendy, mitu, miała się stać fundamentem wolnej, niepodległej, demokratycznej Polski. Bo cóż rozegrało się na naszych oczach? „Elity” „Solidarności” oderwały się od swojego społecznego zaplecza w balonie stratosferycznym i zabrały się żwawo do rządu, pojętego jako nie kończąca się seria gier, podkopów, wyrwania sobie stołków, podstawiania nóg, wazeliniańskich umizgów w duchu „grubej kreski”, „machiawelicznych” manewrów, „partyjnego” skakania sobie do oczu i gardeł. To było harakiń „Solidarności”: wielki ruch społeczny zaczął znikać z pola widzenia, niewiele brakowało, by jego „elitarna” korona wskrzesiła z przeszłości takie określenia jak „tępy robot”, „durny kmiotek”. Aż doszło, w prostej linii od prezydentury RP Jaruzelskiego, do 19 września. Włodzimierz Bolecki pisze (w liście do mnie): „Ugrupowania wywodzące się z «Solidarności» przyczyniły się do zwycięstwa postkomunistów arogancją i lekceważeniem ludzi”. Kuroń powiada: „W

wyborach wrześniowych społeczeństwo przypiętowało ostateczną klęskę «Solidarności»... Trzeba to sformułować trochę inaczej i ściślej: „W wyborach wrześniowych obóz «Solidarności» poniósł klęskę z rąk lekceważonego społeczeństwa”.

Przeczytałam klasyczną pod tym względem książkę Zdzisława Najdera Jaka Polska. Jej podtytuł brzmi Co i komu doradzałem, są to więc wspomnienia zawodowego „doradcy” (który jednak przyznaje się niekiedy otwarcie do tęsknego zerkania na fotel premiera, albo przynajmniej ministra spraw zagranicznych). Na blisko czterystu stronicach Naj-der zdaje skrupulatnie i drobiazgowo sprawę ze swoich politycznych zagrywek, niezliczonych spotkań i konwentykli, „sugestii”, komitetów i klubów, brulionów przemówień dla zwierzchników, niezbyt fortunego kręcenia się koło Wałęsy, „błyskotliwych” pomysłów, sporów czy kłótni - słowem gorączkowej i niestrudzonej działalności w balonie stratosferycznym, który oderwał się od społecznego zaplecza „Solidarności” i poszybował wysoko, wysoko, zwykły obywatel już go gołym okiem nie dojrzy. Dopiero pod koniec wspomnień natknąłem się na zdanie: „Mówię Janowi (Olszewskiemu) o niewykorzystaniu przez nas możliwości - i niespełnieniu obietnicy (sic!) - nawiązywania kontaktów ze społeczeństwem”. Wszechstronny i wszędobylski „doradca”, twórca PPN, maniak społecznej „służebności”, zauważył nareszcie (parafrazując rosyjskie powiedzonko) Słonia. Dzięki mu i za to. Ale od książki zatytułowanej ambitnie Jaka Polska wolno było oczekiwać więcej. Tymczasem wieje od niej pustką rozpędzonej, niepohamowanej i jałowej „operatywności” za kulisami tzw. „sceny politycznej”.

Czytając książkę Najdera, przypomniałem sobie wywiad Teresy Torańskiej z Janem Krzysztofem Bieleckim, na który Jerzy Giedroyc oddał (rzecz u niego rzadka) aż pięćdziesiąt stronic „Kultury”. Ten sam „operatywny” żargon, łącznie z opisem bezustannych politycznych rozgrywek, choć Bielecki był dość długo premierem i mógłby powiedzieć coś ciekawszego i ważniejszego o rządzonym przez siebie kraju. Napisałem to na łamach „Rzeczpospolitej”. Bielecki zatelefonował do mnie (był już wtedy tylko ministrem) z pretensją, że mu „dokopałem”, jemu - pilnemu przecież czytelnikowi moich książek. Starłem się w rozmowie telefonicznej wyjaśnić, o co mi chodziło. Nie był głuchy na moje argumenty. Może po prostu wyobrażał sobie „politykę” tak jak Najder - wyższą szkołę jazdy figurowej na lodzie w społecznej próżni...

22 grudnia Spór dwóch duchownych w Krakowie. Dylemat jest z grubsza taki: czy prawdziwy katolik może być kapitalistą? Dylemat o wielkim w Polsce znaczeniu, zaprzętnął również strapioną uwagę kardynała Ratzingera, toteż niezbyt ładna i odrobinę niegrzeczna jest może moja odruchowa asocjacja. Odżyła mianowicie w mojej pamięci anegdota, też krakowska, którą bardzo lubił Boy-Żeleński.

Przyjeżdża do Krakowa po północy Żyd w średnim wieku, w kapocie i z pejsami. Dowiaduje się, że na następny pociąg do celu podróży musi poczekać kilka godzin. Siada w poczekalni dworcowej, próbuje się zdrzemnąć, ale czuje nagle przypływ męskich pragnień. Wyprawia się więc na Planty. Pusto tam o tak późnej godzinie, chodzi i chodzi, wreszcie spotyka samotną prostytutkę. Zwraca się do niej

z niedwuznaczną propozycją. Kobieta w krzyk: „Ach, ty parszywy Żydzie, jak śmiesz zaczepiać dobrą katoliczkę!” Wysłuchuje pokornie i odpowiada pytaniem: „A gdzie ja o tej porze znajdę protestantkę?”

Gdzie polski kapitalizm znajdzie, zgodnie z Etyką protestancką i duchem kapitalizmu Maxa Webera, polskich protestantów?

25 grudnia Hercen, jeden z największych pisarzy rosyjskich. Isaiah Berlin stawia Byloje i dumy (po polsku chyba Minione i myśli\*) obok Wojny i pokoju Tołstoja, Dostojewski uważał Hercena przede wszystkim za poetę. Na ogół publicystyka, dzieło „Kołokoła”, przesłania wspaniałe pisarstwo Hercena. W jednym przewyższał współczesnych mu mistrzów prozy: był pisarzem bardzo mądrym (nie tyle myślicielem, co mądrym pisarzem); Berlin nie waha się mówić o jego „geniuszu filozoficznym”, choć nie był przecież filozofem, a sławne księgi filozoficzne traktował z rezerwą i z lekkim odcieniem ironii. Jak bardzo byłby dziś potrzebny Rosji nowy Hercen! Sołżenicyn to za mało. Potrzebny jest Rosji pisarz dalekowzroczny, wybiegający poza granice coraz bardziej obłąkanych harców politycznych na postkomunistycznym „cmentarzysku idei” (słowa Broniewskiego przed Słowem o Stalinie).

Właśnie dalekowzroczność uderza w twórczości Hercena. Jego refleksje na innym „cmentarzysku idei”, po roku 1848, w tomie Z tamtego brzegu, książce, którą w dedykacji dla syna nazwał swoim najwyższym osiągnięciem, przekreślają wszystkie „izmy”, współczesne mu, późniejsze i przyszłe. Czytając Hercena, rozumie się lepiej, jak mądry pisarz, wolny od pokus doktrynerstwa i abstrakcji, czuje i widzi nadchodzące epoki, jak wydobywa ich zarodki z otaczającej go rzeczywistości, którą umie zobaczyć i osądzić z nadzwyczajną przenikliwością. Poganiany prozatorską swadą ostro-, a nawet jasnowidza, nie odmawiając sobie bogatej ekspresji obrazowej i metaforycznej, pędzi przed siebie w nasze już czasy, jakby udało mu się rozerwać pęta historii.

Blisko półtora wieku temu Hercen, otrząsnąwszy się z nikłych zresztą naleciałości romantyzmu, uderzył gwałtownie w dogmat lewicy (i prawicy) europejskiej, nakazujący złożyć ofiarę na ołtarzu ideałów kolektywnych - Narodu, Demokracji, Równości, Ludzkości, Postępu - kosztem Na polski przetłumaczono ten tytuł jako Rzeczy minione i rozmyślenia (Warszawa 1951-1954).

„przesądów” jednostkowych. Nie ma abstrakcyjnej Wolności (zapewniał), jest człowiek wolny; popełniają ciężki błąd ci, co przedstawiają go jako bezsilną igraszkę sił natury lub drobinową cząstkę wielkich procesów historycznych - heglowskiego „szlachtuza historii” - poświęcaną w imię Przyszłości, w imię mglistych celów jutra, które dopuszczają rzeź tysięcy dla uszczęśliwienia przyszłych milionów. Człowiek („monada”) może być wolny, odpowiedzialny za swoje wybory, twórczy, przywiązany do swojej moralności, jeśli zachowa indywidualność w obliczu zachłannych i dzikich „mas”, odrzuci groźne złudzenie „dalekich celów”, bronić będzie do upadłego własnej godności. Hercen, który nie ukrywał swych sympatii do socjalizmu, wzywał rosyjskich przyjaciół, by pamiętali, że „czapka frygijska” czy czerwony sztandar jest tym samym, co „splamiony krwią” miecz klasy panującej. W

romantycznym pesymizmie dostrzegając zaczął nihilizmu (i dodajmy: przyszłego faszyzmu); wiedział też, że komunistyczna rewolta mas przerodzi się w straszną krwawą łaźnię. Nie kochał „uciemnionych mas”, myślał o nich z lękiem, ale jednocześnie oburzenie moralne dyktowało mu żądanie sprawiedliwości. Przestrzegał przed oślepiającym działaniem „rozwiązań generalnych” („Ideały, konstrukcje teoretyczne, nie urzeczywistniają się nigdy tak, jak zostały poczęte w naszym umyśle”), twierdząc, że sens mają wyłącznie rozwiązania specyficzne i partykularne. Nie znosił pytań w rodzaju „jaki jest cel życia?” I tu mądry Hercen, którego więcej niż podziwiam, wydaje mi się przesadnie i programowo wręcz zamknięty na wszelkie problemy metafizyczne, jak gdyby nieprzenikalny dla szczątkowych choćby uczuć religijnych.

W rozdziale zatytułowanym Epilog 1849 trafiłem na myśl o niezwyklej aktualności w Europie uwolnionej od komunizmu w roku 1989: „Śmierć obecnych form życia społecznego powinna cieszyć raczej, niż skłaniać do niespokojnej zadumy. Rzeczą straszną jest jednak to, że świat, który odchodzi, nie zostawia spadkobiercy, lecz ciężarną wdowę. Między 1! - Dziennik... (1993-1996)

śmiercią jednego i narodzinami drugiego upłynie dużo wody, upłynie długa noc chaosu i pustyni”. O czym wiemy równie dobrze w kończącym się roku 1993, jak on wiedział w roku 1849.

30 grudnia Pociąg wjechał na stację z czterdziestopięciogodzinnym opóźnieniem, sapiąc ciężko i wlokąc za sobą pod kołami dwie żółte wstęgi dymu. Dzień był mroźny, ale nareszcie słoneczny, po tygodniach wilgotnej szarżyzny. Drzwi wagonów były zablokowane, należało opróżnić najpierw wagon zamieniony podczas podróży na szpital. Wyniesiono z niego zwłoki czworga starych ludzi do kaplicy dworcowej; oraz sporą liczbę chorych kobiet i dzieci do ambulatorium dworcowego. Pasażerowie tłoczyli się na korytarzach wagonów, obok drzwi wyjściowych i unieruchomionych okien. Podniecał ich widok wody w małych fontannach na peronie i wózków z gorącymi napojami; pragnienie i ziało w nie ogrzewanych na skutek awarii wagonach dochodziły do szczytu. Matki szybko przebierały opatulone dzieci, mężczyźni zdejmowali dodatkowe swetry i skarpety. Naraz popłynął głos z głośnika przymocowanego do okna kabiny nad torami i peronami: „Mówi zawiadowca stacji. PRZEPRASZAMY wszystkich pasażerów, którzy doświadczyli niewygód w podróży. Z tajnych, niemożliwych do ujawnienia przyczyn zmuszeni byliśmy zatrzymać pociąg w szczerym polu, a nie na stacjach na trasie przejazdu. PRZEPRASZAMY więc za ogromne spóźnienie, które spowodowało wyczerpanie się żywności i napojów w bufetach pociągu oraz uszkodzenie przewodów ciepłych. Prosimy pasażerów, by nie zgłaszali zażaleń i nie domagali się zwrotu pieniędzy wydanych na bilety, nie mówiąc już o odszkodowaniach i innych formach zadośćuczynienia. Jeśli spotkały ich krzywdy i mimowolne niegodziwości ze strony Kolei Państwowych, niech uważają je za ofiarę złożoną na ołtarzu naszej wiecznie zagrożonej Ojczyzny. Jednym z podróżnych jest znany wszystkim publicysta i byłby poseł do parlamentu. Proszę go do siebie na chwilę rozmowy”.

Istotnie z salonki wyszedł Pan Poseł i żwawym krokiem poszedł w stronę windy, która miała go zawieźć do kabiny zawiadowcy. Od progu kabiny krzyknął: „Brawo, panie zawiadowco, pięknie i wzruszająco przeprosił pan pasażerów”, po czym wyczałował go siarczyście z dubeltówki. Zjechali obaj na peron po krótkiej rozmowie, zespoleni w przyjacielskim uścisku. Przyjął ich burzą oklasków tłum pasażerów, wypuszczonych wreszcie z wagonów.

Zawiadowca stacji przyglądał się tej scenie uśmiechnięty, lecz nie był to uśmiech tylko zadowolenia, raczej uśmiech, w którym ironia przeplatała się z cynizmem. Znał niezłe niemiecki, przypomniał sobie nagle określenie *Narrenschiff* - okręt szaleńców. Mruknął pod nosem: „Istnieje, jak widać, także *Narrenzug* - pociąg wariatów”.

as as Głęboki Cień Jestem głębokim cieniem; przestańcie mnie męczyć.

v Giordano Bruno do Trybunatu t' < Inkwizycji (przed wyrokiem)

Może odczuwaliście większy lęk ogłaszając wasz wyrok, niż ja czułem słuchając go.

?; Giordano Bruno do Trybunału 4 Inkwizycji (po wyroku)

Urodził się w małym mieście Nola w pobliżu Neapolu, toteż jego nazwisko zastępowano często przydomkiem *No-lano*, *Nolańczyk*. Urodził się w roku 1548 jako syn żołnierza najemnego i wieśniaczki. Według tradycji tytuł do wiekopomnej sławy zdobyła najpierw Nola dzięki wynalazkowi dzwonów przez miejscowego biskupa Paolino (kanonizowanego po śmierci) na przełomie IV i V wieku. W przeszło dziesięć stuleci później umocniła jeszcze tę sławę, gdy w jej murach przyszedł na świat Filippo Bruno; który, zmieniawszy imię Filippo na Giordano w chwili wstąpienia do zakonu dominikanów w Neapolu, w roku 1600 wyzionął grzesznego ducha na stosie, z wyroku Trybunału Świętej Inkwizycji, na rzymskim Campo de' Fiori. Spłonął przy żałobnych dźwiękach dzwonów w okolicznych kościołach. W ten sposób Nola połączyła oba swoje tytuły do sławy: wynalazca dzwonów w aureoli świętości uleciał ku rajskim błogościom, apostatę i heretyka strącono przy wtórze dzwonów na wieczne męki piekielne (w które zresztą nie wierzył).

I Aresztowano go w maju 1592 w Wenecji i zamknięto w więziennej celi San Domenico di Castello.

W aktach procesu opisany jest jako „niski i chudy człowieczek z rzadką brodą”. Jego najwybitniejszy biograf pisze: „Trudno orzec, kim był naprawdę. Nikt przy zdrowych zmysłach nie ośmielił się zaprzeczyć, że wielkim filozofem i znakomitym pisarzem. Chodzi jednak nie tylko o jego bezsporne przymioty umysłu i równie bezsporne talenty. Kusi jego zagadkowa sylwetka ludzka. To agresywny, wybuchowy, pewny siebie gwałtownik i zuchwały ironista, to milczący samotnik, izolowany z własnej woli, drażliwy i gotów zawsze wycofać się na długo w krąg cienia. Osiem lat trwał jego proces. Sędziowie Trybunału Inkwizycji nie spieszyli się zbyt, przeciwnie - chcieli jakby złamać go torturą upływającego czasu, w nim zaś wyczerpywała się cierpliwość wystawiona na ciężką próbę. Gdy wychodził w celi ze swego cienia, sywał przekleństwami, obelgami i przechwałkami. Posiadał jakoby więcej kobiet niż Salomon, któremu Biblia przypisuje tysiąc. Znieważał bluźnierczo

Chrystusa i Matkę Boską w sposób niemożliwy do powtórzenia. Lecz była to zewnętrzna kora ludzka - owoc wielu lat nędzy, upokorzeń, niepowodzeń, włóczęgostwa, ucieczek. W ostatniej fazie procesu potrafił wznieść się na szczyty swej wiedzy i filozoficznej przenikliwości”.

Kiedy przestąpił próg celi więziennej w majowy poranek 1592, miotał się i ciskał, bódł rękami ścianę, wypluwał setki skłębionych słów, w których najczęściej przewijało się nazwisko weneckiego patrycjusza Mocenigo. Nie zauważył nawet, że nie jest w celi sam. Na drugim barłogu leżał mnich w habicie kapucyna, blady, z pałającymi oczami, wsłuchany chciwie w potok tryskający z ust nowego więźnia. Dopiero o zmierzchu, po posiłku, Giordano Bruno stanął przed nim, utopił ostre spojrzenie w jego twarzy i podniósł bezwiednie rękę. „Jestem brat Celestyn z Werony, nie bij mnie, nie warto, i tak nie uniknę wkrótce śmierci”. Bruno opuścił rękę, ale w oczach wlepionych wciąż w Celestyna wyklął się i ogromniał strach. Do więzienia wtrącono go z donosu weneckiego patrycjusza, wiedział jednak dobrze, że Inkwizycja trzyma się zasady „jeden świadek to żaden świadek”. Celestyn mógłby być, obok Mocenigo, drugim świadkiem. I był. Proces wkroczył od razu na właściwą (dla Trybunału Inkwizycji) drogę. Bruno nie umiał opanować swej wyzywającej elokwencji do końca pobytu w weneckiej celi z Celestynem z Werony. A Celestyn, przeniesiony po kilku miesiącach do Rzymu, zaczął od donosu najpierw na swojego towarzysza celi, potem zaś na siebie. Jego donos na siebie był formą samobójstwa, dokonanego w przystępie obłędu. Obciążał się tak strasznie w ponawianych bezustannie spowiedziach („Chrystus Nasz Pan nie zbawił rodzaju ludzkiego”, odnotowano w jednej z nich), że papież Klemens VIII kazał, nie zwlekając dłużej, oddać go w ręce władzy świeckiej, by pieczęć śmierci zatkała mu usta na zawsze. Władza świecka, nie wiadomo dlaczego, zwlekała jednak aż sześć lat. We wrześniu 1599 przywiązano go nocą do słupa w środku stosu na Campo de Tiori; i natychmiast stos podpalamo. Nocą, gdyż ambasador francuski w swoim pałacu na tym właśnie placu chciał się grubymi kotarami w oknach odgradzić od „ponurego widowiska”. Bruno poszedł w ślady Celestyna z Werony w lutym 1600. Wybiegamy zanadto do przodu.

II Panuje przekonanie, że tuż przed śmiercią całe życie przesuwają się przed oczami konającego z zawrotną szybkością. Czy to przekonanie jest uzasadnione, trudno powiedzieć. Z absolutną natomiast pewnością, poświadczoną wieloma przykładami, wolno wskazać nieodparty ewokacyjny impuls więzienia. Po pierwszym wstrząsie utraty wolności nadchodzi prędzej czy później moment powolnego zanurzania się w przeszłości. Każdy niemal więzień milknie nagle, przestaje mówić do współwięźniów lub do samego siebie (jeśli prócz niego nie ma w celi nikogo), odrywa się od terażniejszości i z głową przytkniętą mocno do wezgłowia barłogu, z zamkniętymi oczami, zmusza pamięć do rozbudzania i ożywiania obrazów minionego czasu. U niektórych więźniów ten okres staje się źródłem nadziei, że smak wolności doświadczany we wspomnieniach przybliży jej rychły powrót. Więźniów należy podzielić na dwie kategorie: tych którzy wspominają chaotycznie, skacząc od wypadku do wypadku z pominięciem, a nawet

celowym zburzeniem, ich kolejności; i tych którzy od pewnego wybranego punktu swego życia odtwarzają po porządku jego bieg, jakby w myślach pisali autobiografię. Giordano Bruno, mistrz i nauczyciel mnemotechniki, należał do drugiej kategorii.

Punktem startu w zwojach pamięci było dla niego wstąpienie do zakonu dominikanów. Nie czuł powołania, zakon był dla niego, syna ubogich rodziców, jedyną szansą przeciw-nięcia się na upragnione studia. Miał do nich pociąg od lat chłopięcych, już wtedy namiętny, choć bezładny czytelnik. U progu nowicjatu pokazano mu na placu Świętego Dominika zewnętrzny balkon klasztorny, miejsce kazań i nauk Tomasza z Akwinu. Z całą młodzieńczą zapalczywością i gorliwością wpatrywał się w ten balkon często jak urzeczony. Był przedmiotem jego tęsknot i aspiracji.

W roku 1572 wyświęcono go na księdza, w trzy lata później został doktorem teologii. I zaraz, ledwie dyplom doktorancki napętnił go pewnością siebie (lecz nie pychą), wytoczono mu na podstawie paru wystąpień publicznych proces o herezję. Zbiegł do Rzymu, gdzie (przyrodzony upór?) dał się wpłatać w drugi proces o herezję i, co gorsza, w podejrzenia o udział w zabójstwie współbrata zakonnego. Nie dowiedziano mu nigdy winy. Musiał jednak salwować się ucieczką także z Rzymu. Odtąd wszedł na ciernisty szlak podejrzanego i ściganego włóczęgi. Zrzucił habit zakonny, przez jakiś czas krążył, zmieniając ciągle miasta, po północnych Włoszech: Turyn, Padwa, Brescia, Bergamo, Mediolan. Wymykał się zręcznie ścigającym, nie mógł jednak nie rozumieć, że nie zdoła utrzymać się długo w ojczyźnie. Z jakąż goryczą i wściekłością przemknął się do Genewy! We wspomnieniach nawet, po latach, chwytął go za gardło skurcz, jakby niewidzialna ręka chciała go udusić przed zejściem z gór ku zarysowanym na widnokręgu konturom królestwa Kalwina. Nie, nie! Nie był jeszcze wyrodnym synem macierzystego Kościoła!

Kto wie, może właśnie ten gniew zaszczutego, łącznie z porywczością charakteru, skłonił go w Genewie do porzucenia katolicyzmu i przejścia na kalwinizm. Miodowy miesiąc (tak go nazywał) zamknęła gwałtownie ostra polemika z czołowym teologiem kalwińskim. Skazany naprędce, musiał dalej uciekać. Zatrzymał się w Tuluzie, zdążył tam napisać i obronić doktorat z filozofii o De anima Arystotelesa, dano mu katedrę, niebawem jednak jego krytyczny stosunek do filozofii Arystotelesa wzburzył słuchaczy. Powiedział sobie: będę bezpieczniejszy w Paryżu. Istotnie w Paryżu zagrzał miejsca dłużej. Zdobył względy ambasadora De Castelnau i samego Henryka III, któremu zadedykował rozprawę mnemoniczną (czy mnemotechniczną) De umbris idearum, O cieniach idei. De Castelnau, mianowany ambasadorem na dworze Elżbiety, zabrał go ze sobą do Londynu. Dwuletni pobyt w Anglii (1583-1585) był bez wątpienia najszczęśliwszy i najbardziej twórczy w jego życiu. W kulturalnym środowisku londyńskim, żywo wtedy zainteresowanym włoskim Renesansem, noszono go na rękach. Ogłosił w Londynie wszystkie swoje włoskie dialogi, przez jakiś czas wykładał w Oxfordzie. Potknął się na Cena delie Ceneri, Wieczery Popielcowej, zwłaszcza na satyrycznych partiach o społeczeństwie angielskim i na wypadach przeciw tradycyjnej filozofii. Wrócił do Francji. Drugi pobyt w Paryżu skończył się katastrofą po dyskusji publicznej z francuskimi

admiratorami Arystotelesa. Ktoś przyjazny doradził mu Niemcy. Łańcuch książęcych dworów i uniwersytetów: Moguncja, Marburg, Wittenberg, Praga, Helmstadt (nawrócenie na luteranizm i szybkie wyrzeczenie się nowego wyznania), Frankfurt. Na każdym postoju oddawał się z lubością „fornikacji”, która w jego oczach nie była grzechem; widział w niej Boże dzieło.

Ogarnęła go nostalgia, był zmęczony, coraz dotkliwsza stawała się potrzeba odpoczynku, zawinięcia do spokojnej przystani. Patrycjusz wenecki, bardzo majątny Giovanni Mocenigo, początkujący i gorliwy adept magii i mnemo-techniki (a w obu dziedzinach Giordano Bruno cieszył się zasłużoną sławą) zaprosił go do siebie. Jakież był szalony, przyjmując to zaproszenie! Wypocząwszy trochę, więcej uwagi poświęcał swoim planom rychłego wyjazdu z Wenecji niż obiecany naukom. Mocenigo, nie zdradzając się z tym, poprzysiął zemstę. To on, swoim donosem do weneckiego Trybunału Inkwizycji, otworzył heretykowi i apostacie ośmioletnią drogę na Campo de' Fiori.

III Oba donosy, weneckiego patrycjusza Mocenigo i Celesty-na z Werony, były jednobrzmiące w trzech punktach, rzecz dla Trybunału Inkwizycji istotna z uwagi na ową niepodważalną zasadę co najmniej dwóch świadków. Heretyk i apostata, zatem, twierdził (po pierwsze), że Chrystus nie został ukrzyżowany, lecz powieszony na szubienicy ociosanej z rozwidlonych gałęzi drzewa; że (po drugie) istnieje wiele światów, wszystkie gwiazdy są wiecznymi światami, mówić zaś o istnieniu tylko naszego świata jest dowodem ignorancji; że (po trzecie) po śmierci ciało dusze rozpoczynają wędrówkę od świata do świata, od martwego ciała do innego żywego.

Trzy powtórzone w obu donosach oskarżenia stanowiły jedynie uprawomocnienie wszczęcia procesu, pozwalając na wysunięcie dalszych oskarżeń. Sommario Trybunału zamieniło się w długą listę heretyckich opinii. Chrystus zgrzeszył prośbą do Boga o uchylenie kielicha goryczy - jego boska rzekomo natura winna była klócić się z taką prośbą; brak podstaw do wiary w Piekło; nie jest pewna wyższość Abła nad Kainem; Mojżesz był wyłącznie magiem, wielkim czarownikiem; wolno powątpiewać w dar prorocstwa; wolno także powątpiewać w dogmaty Kościoła; kult świętych jest błędem; brewiarz zasługuje na lekceważenie. Dwie ostatnie pozycje w Sommario zarzuciły apostacie skłonność do bluźnierstwa i niecne zamiary wobec macierzystego klasztoru, jeśli zostanie zmuszony do powrotu w jego mury.

Sommario jest swego rodzaju majstersztykiem jako owoc redukcjonizmu we wstępnej fazie dochodzeń Trybunału Inkwizycji w Wenecji. Najlepszym tego dowodem jest wzmianka o możliwości powrotu do macierzystego klasztoru, czyli przebaczenia po akcie przyznania się do grzechów i głębokiej skruchy. Toteż na przesłuchaniach weneckich Giordano Bruno stosował taktykę bicia się w piersi, kiedy nie było lepszego wyjścia; lub ostrożnego i zręcznego kwestionowania oskarżeń nie nazbyt ciężkich i groźnych.

Prawdą jest, że rozpamiętywanie przeszłości na barłogu w więziennej celi przenikało całą jego istotę rosnącym wciąż pragnieniem wolności; tak gwałtownym i



dojmującym, że niekiedy obijał się między ścianami jak ślepiec szukający szczeliny w murze. Często również leżał godzinami ze wzrokiem utkwionym w wystających kamieniach pułapu, pogrążony (zdawało się) w śnie kataleptycznym. Wyjść stąd, uciec, za każdą cenę! Włóczęstwo stało się jego drugą naturą, czy dopiero teraz odczuwał smak swoich wędrówek, swoich ucieczek przed pościgiem, szerokiego oddechu w piersiach, prężności ciała i jasności myśli? Teraz, gdy ciało w więzieniu wiotczało z dnia na dzień, a jasność myśli zamącała się stopniowo (szczęśliwie nie na tyle, by zatracał umiejętność stawiania czoła inkwizytorom weneckim)? W przystępach rozpaczył wpatrywał się w okienko, niewielkie i zakratowane, tuż pod linią sklepienia. W dzień widział tylko czysty bądź brudny skrawek nieba. Ale nocą, w okresach pogody, czuł ulgę na widok migotania gwiazd, które uważał przecież za nieskończone, wieczne światy.

Później, gdy rzymski Trybunał Inkwizycji zażądał jego ekstradycji, Bruno wspominał weneckie stadium procesu jak wakacje. Stał w Rzymie przed sędziami, którzy znali bez porównania lepiej od swych weneckich kolegów sztukę dochodzeń i przesłuchań; których długie doświadczenie i biegłość inkwizytorska były wyzwaniem dla doktora teologii i filozofii. Większy nacisk wywołał sprawniejszą reakcję. Niby wywabiony z jamy i podrażniony drapieźnik, Bruno sprężył się ciągle do skoku i walki.

IV W procesie rzymskim uderzała logika, zarówno dochodzeń jak przesłuchań i oskarżeń. Co w Wenecji wydawało się dreptaniem po omacku, z półprzewiązanymi oczami i wyciągniętymi rękami, dając obwinionemu częste okazje do uników i manewrów taktycznych, w Rzymie zmusiło obie strony do możliwie jasnego samookreślenia w długotrwałej, powolnej rozgrywce pozycyjnej. Trybunał przede wszystkim zadbał o postawienie kropek nad i. Jeśli Bruno wątpił o boskiej naturze Chrystusa, syna Bożego, jeśli widział w nim jedynie najpiękniejszego i najczystszeo człowieka w całych - przeszłych, obecnych i przyszłych - dziejach rodzaju ludzkiego; jeśli nie wierzył w Niepokalane Poczęcie; jeśli wreszcie zastępował Ducha Świętego pojęciem Duszy Świata, Anima Mundi, w której żyją jako nieodłączne części nasze indywidualne dusze - to nie mógł przecież akceptować dogmatu Trójcy Świętej. I tak było w istocie. Lecz broniąc swoich poglądów, zapewniał, że jego filozofia, widziana w swojej najgłębszej rzeczywistości, znajduje się w harmonii doskonałej z religią; i że nie zawiera żadnych składników herezji. Giordano Bruno i Trybunał Inkwizycji robili wrażenie siłujących się rękami wpartymi łokciami w stół. W zmaganiu splecionych dłoni to jedna, to druga strona naginała rękę przeciwnika lub odginała się pod jej presją.

Herezja! Żadna herezja, ja wierzę po prostu inaczej w Boga, moja wiara jest nie mniejsza od wiary członków Trybunału. A kto twierdzi, że Msza Święta jest zbytuczna? Kto kapłanów nazywa osłami? Ja, ale moja religia obywa się bez mszy i księży. A jakaż to „moja religia”? Religia nieskończoności tego świata i wszystkich gwiezdnych światów. Nieskończoności i wieczności. Kto więc stworzył świat? Biblia mówi, że Bóg, ale świat jest równie wieczny jak Bóg. Po czym następował wykład kopernikański, gdyż Bruno był zwolennikiem teorii kanonika z Torunia.

W celi, po każdym przesłuchaniu, oskarżony uprzytamniał sobie swoje nieustanne twardnienie, tak różne od wybiegów lub bicia się w piersi z okresu weneckiego, gdy żył jedną tylko myślą o jak najszybszym wyfrunięciu z więziennej klatki. Teraz, podświadomie najpierw, a później z rosnącą z dnia na dzień świadomością, zdawał sobie sprawę, że nigdy już nie wyrwie się żywy ze szponów Inkwizycji, non uscirb mai piu dalje grinfie dell'Inquisizione. I ta pewność sprawiała, że stawał się coraz twardszy i z coraz większą, chłodną determinacją porządkował swoje rozbiegane dawniej myśli. Spłonie na stosie moje ciało (powtarzał sobie), nie spłonie mój głęboki cień. Pamiętał, kiedy i jak narodziło mu się w głowie to zdanie: po pierwszym przesłuchaniu w obecności kardynała Bellarmino, który swym uczestnictwem i przewodnictwem nadał Trybunałowi Inkwizycji wyjątkowy splendor i szczególną wagę.

V W szkicu o kalwiniście neapolitańskim, księciu Galeazzo Caracciolo, który porzuciwszy wiarę katolicką, porzucił również rodzinę i z Neapolu przeprawił się do Genewy, Benedetto Croce pisze: „Galeazzo Caracciolo i Giordano Brano, dwaj neapolitańczycy, spotkali się w Genewie; pierwszy wymknął się Świątemu Oficjum, uniknął lochów więziennych i stosu, drugi zaś po wielu wędrówkach wrócił do Włoch jak urzeczony, zafascynowany nieuchronnym swym końcem na stosie”.

Niewątpliwie tak było, słowa „urzeczony, zafascynowany” nie są przywołane przez historyka i filozofa na darmo, dla efektu. Kto śledzi życie Nolańczyka (też w jakiś sposób urzeczony i zafascynowany), musi to w końcu dostrzec. W tym tkwi dramatyczność i (do jakiegoś przynajmniej stopnia) zagadkowość losów Głębokiego Cienia. W więzieniu weneckim marzył tylko o wolności. Nie przestał o niej dalej marzyć w więzieniu rzymskim, ale towarzyszyło temu uczuciu „twardnienie” (jak je nazwałem), impuls i potrzeba pojedynku ze Świętą Inkwizycją. Niby to ustępował, był bliski wyparcia się herezji i odwołania błędów, aby zaraz potem wypierać się wyparcia, odwoływać odwołane. Gdzieś głęboko szamotała się i dawała o sobie znać pewność własnej słuszności i nienawiść do Trybunału. Więcej, przekonanie, że posiada misję do spełnienia, że Bóg kazał mu tę misję spełnić, choćby nawet miał ją przypłacić życiem.

Pojawienie się kardynała Bellarmino u steru Trybunału zabarwiło jego doznania nowym kolorem. Przede wszystkim osłabła gwałtownie dawna nienawiść do sędziów. Nie znikła całkowicie, lecz osłabła na tyle, że patrzył z zaufaniem i respektem w oczy sławnemu kardynałowi. Nie chodziło o autorytet kardynalskiej purpury, ostatecznie na posiedzenia Trybunału przychodził czasem sam papież Klemens VIII, dla którego „apostata i heretyk Giordano Brano” stał się wręcz obsesyjnym „chwastem trującym w cudownym ogrodzie Kościoła”. W oczach kardynała Bruno zobaczył ledwie uchwytny ognek sympatii i zrozumienia.

Roberto Bellarmino miał usposobienie pogodne, życzliwe wobec ludzi, i w swoim ascetycznym życiu folgował jednej tylko szlachetnej namiętności: opiece nad ubogimi. Sam umarł w tak skrajnym ubóstwie (cały swój dobytek zapisał biednym), że wyprawiono mu pogrzeb nie licujący z jego wysokim urzędem. Kościół, ceniąc

bardzo jego umiejętności, rozległą wiedzę i świątobliwe życie, wyniósł go na ołtarze dopiero w naszym stuleciu, w roku 1930.

Jako teolog, „bicz na heretyków” i strażnik świeckiej władzy Kościoła łączył surowość z wyrozumiałością. Jego polemika z wrogami świeckiej władzy Kościoła nie zadowoliła w pełni papieża Sykstusa V, intronizowanego po zgonie Klemensa VIII. Jego stosunki z Galileuszem były serdeczne, nacechowane zainteresowaniem, a nawet admiracją, czyli nie zapowiadały w niczym przyszłego wyroku skazującego Trybunału Inkwizycji (którego nie wykonano z racji „odwołania” skazańca). Teorie Kopernika radził traktować jako hipotezy, które przyszłość winna sprawdzić i naukowo potwierdzić.

Bruno mógł zatem liczyć na dysputę na najwyższym poziomie, w której dostoyny adwersarz przemieni się, nie zważając na okoliczności i na pozostałych członków Trybunału, bardziej w rozmówcę spierającego się z podsądnym jak równy z równym niż w inkwizytorskiego tropiciela herezji.

*Nie pomylił się zaledwie, ale nie był to już Bruno „wenecki”, zajęty wybiegami taktycznymi, wpatrzony głównie w rozszerzającą się szparę w drzwiach więziennych. Bellarmino proponował mu podział: z filozofem gotów był dyskutować jak równy z równym; heretyka i apostatę spodziewał się przycisnąć do muru, zmusić do odwołania błędnych i grzesznych poglądów i ocalić od stosu względnie łagodnym wyrokiem więziennym. Gdybyż działo się to w Wenecji, wkrótce po aresztowaniu! Kto wie, Bruno ucałowałby nawet, ze łzami wdzięczności w oczach, pierścień kardynała 12 - Dziennik... (1993-1996) 177*

i Wielkiego Inkwizytora. Upłynęło już jednak tyle czasu, tak głębokie korzenie zapuściła w sercu Nolańczyka nieufność, tak zwątpił w możliwość ocalenia. I - co może najważniejsze - taką dumą, jeśli nie pychą, przeniknęła go perspektywa zmierzenia się - ostrze na ostrze, pogardzając niebezpieczeństwem śmierci - z godnym tego przeciwnikiem.

VI Jaki był świat w rozmyślaniach i wizjach heretyka z zakonu dominikanów? Nieskończony i wieczny tak samo jak Bóg (który więc, słyszeliśmy już o tym, nie mógł go stworzyć). W ruchu, zgodnie z twierdzeniami (a nie hipotezami) uczonego kanonika toruńskiego. Otoczony wiecznymi i nieskończonymi światami gwiazdnymi. A gasnące gwiazdy czyż nie są dowodem nietrwałości materii w owej strukturze? Nie. Rodząc się, umierając i zmartwychwstając, gwiazdne światy - zapewniał Bruno - są przelotnymi tworamii niezmienniej substancji kosmicznej. Niezmienniej i wieczystej. Kosmogonia Nolańczyka opierała się z niewzruszoną mocą na trzech podstawach - nieskończoności, wieczności, niezmienności. Wszystkie trzy składały się łącznie na duszę świata, anima mundi, zaś jej wyrazem i hipostazą był Bóg. Nie Bóg Ojciec i nie Syn Boży, lecz Bóg bezosobowy, który substancję kosmiczną ożywia i duszę świata rozdrabniał na dusze indywidualne; i to one w ciągłych wędrówkach i krążeniu opuszczały umarłych, by zamieszkać w żywych, niekoniecznie w ludziach, także w zwierzętach. Choć Bóg nie stworzył świata, napełnił go esencją, tchnieniem bytu, nas ludzi zamieniając w głębokie cienie duszy świata. Umbra profunda sumus.

Czy Giordano Bruno pamiętał tercynę Dantego z XIX pieśni Raju? Czy była bez ustanku, jak podziemne źródło, w jego myślach i wyobraźni?

Lume non e, se non viene dal sereno, Che non si turba mai; anzi e tenebra, Od ombra delia carne, o suo veleno.

„Nie jest światłem, gdy nie rodzi go pogoda, / nigdy nie zamacona; przeciwnie jest ciemnością, / albo cieniem ciała, albo jego trucizną”.

Albo cieniem ciała, albo jego trucizną... Wiedział, że rzadko świeci światło, owoc nie zamaconej pogody. A w ciemnościach trzeba wybierać: albo cień, głęboki cień, albo zatruta krew w żyłach, przyspieszony krok ku śmierci.

VII Bellarmino przyglądał mu się spod oka. Bruno miał prawo, aż do wyroku, nosić swój połatany habit dominikański z kapturem. Sala przesłuchań i procesu, w czteropiętrowym pałacu należącym do Stolicy Apostolskiej, była przestronna i jasna, jedno jej duże okno wychodziło na Piazza Navona, drugie, znacznie mniejsze i narożne, sączyło mrok zaułka. Długi stół Trybunału ustawiono na skos w widnym kącie sali, za plecami członków Trybunału stały oparte o obie ściany narzędzia „presji fizycznej”, jak nazywano instrumenty tortury. Z niekompletnych protokołów przesłuchań i procesu nie można wyrobić sobie absolutnej pewności, czy Bruno bywał niekiedy poddawany „presji fizycznej”. Jeżeli tak, to chyba bardzo rzadko, skoro członkowie Trybunału nie mieli powodu skarżyć się zanadto na spętanie jego języka.

Z dużego okna wpływała do sali szeroka fala światła, nawet gdy plac chłostały rzymskie ulewy. A w pogodne dni było w niej po prostu bardzo ciepło, czasem wręcz gorąco. Bruno jednak, z uporem, który drażnił początkowo kardynała, odmawiał obsunięcia na kark swojego kaptura. Aż w końcu Bellarmino nie tylko pogodził się z zakapturzonym oskarżonym, lecz zaczął pojmować jego upór. Ruchliwa jak żywe srebro twarz apostaty pozostawała ciągle w cieniu, nawiązując jak gdyby do jego obrazu człowieka-głębokie-go cienia. I Bellarmino w duchu przyznawał, że z każdym dniem silniej, mimo oporów, ulegał sugestywności tego obrazu. Może rzeczywiście w głębokim cieniu, zgodnie z obsesyjną repetycją Nolańczyka, krył się jedyny ludzki refleks boskiej, wiekuistej światłości? Kto wie, czy nie tak należało patrzeć na heretyka, jako na filozofa-poetę. Supozycja była kardynałowi na rękę; od pierwszej chwili, nie wypierając się przed sobą samym, że Bruno budzi w nim pewną sympatię, zamierzał licencję filozoficzną i poetycką oddzielić od herezji religijnej i przywieść stopniowo podsąd-nego do atto di abiura poprzez jego dobrowolną rezygnację z wkraczania na teren dogmatyki katolickiej. Bogiem a prawdą, ideałem Inkwizytora było ukarać oskarżonego za postęпки zaiste karygodne podczas jego europejskich peregrynacji, potem zaś, po kilku latach ciemnicy, odesłać go do zakonu w Neapolu z rekomendacją pobłażania w klasztorze wobec jego filozoficzno-poetyckich inklinacji. W epoce inkwizytorskiej surowości i bezwzględności trudno było o większą wspaniałomyślność.

W marcu 1598 nastąpiła przewlekła, ośmiomiesięczna przerwa w pracy Trybunału Inkwizycji. Dwa miesiące wcześniej Klemens VIII odzyskał Ferrarę na mocy układu w Fa-enzy. Świętowano w Rzymie ten sukces, obchodzono radośnie i

hałaśliwie triumf papieski, w powietrzu rozparła się atmosfera karnawałowa. 13 kwietnia Klemens VIII wyruszył do Ferrary z wielkim orszakiem, w którym nie brakowało kardynała Bellarmino i innych członków Trybunału. A ponieważ nierzadko przewodniczył procesowi, wstrzymano z konieczności jego bieg. Bruno otrzymał papier do pisania, zobowiązując się do utrwalenia czarno na białym swojej obrony. Oraz brewiarz zakonu dominikańskiego.

Klemens VIII wrócił do Rzymu w grudniu i zarządził wznowienie procesu. Ale ledwie Bellarmino wydał odpowiednie polecenia, gwałtowne i nieustanne deszcze spowodowały wylew Tybru i powódź, jakiej od dawna już nie pamiętano. Ulicami płynęła rwąca woda jak w górskich potokach, na placach potworzyły się jeziora. Rzymskie powodzie oznaczają masową ucieczkę szczurów z lochów i piwnic. Widywano je w ulicznych potokach i jeziorach placów. Część pozostała jednak pod ziemią. Zły to był czas, okrutny i desperacki, dla więźniów w piwnicznych celach. Mogę sobie wyobrazić, że Bruno spędzał dni i noce przywarty do muru, w torturze bezsenności. Jego okresowe „twardnienie”, przetykane pauzami odprężenia dzięki dialogom z kardynałem, zamieniało się dzień po dniu w niepohamowany gniew. Czuł wzbierającą nienawiść do Trybunału Inkwizycji i - co gorsza - jak źle zabliźnione rany odżyło naraz wszystko, co stanowiło przedmiot oskarżeń o herezję i apostazję. I to odżyło ze zdwojoną siłą. Gdy stał pod ścianą po kostki w wodzie, gdy co jakiś czas kopniakami przepędzał podpływające do jego nóg szczury, gdy wzrokiem zaczepiał się rozpaczliwie o widoczny w okienku gzyms kościoła, bluzgał przekleństwami i bluznierstwami, jak gdyby odtajało w nim zamrożone, zdawało się, wspomnienie europejskiego włóczęgowania. To drżało mu z zimna w palcach pióro, to ścisnął je mocno niby sztylet, nieraz dziurawiąc papier podczas pisania swojej obrony. Ani Bellarmino, ani sędziowie Trybunału nie pomylili się, widząc, że w trzy dni przed wilią Bożego Narodzenia stanął przed nimi w milczeniu inny Bruno.

Nieprzypadkowo wybrano tę datę z woli kardynała. Spodziewał się wciąż, że usłyszy atto di abiura, odsuwał widmo stosu, wierzył w ocalenie Nolańczyka, właściwie (choć się do tego przed sobą nie przyznawał) pragnął go. I miał nadzieję, że nadchodzące Boże Narodzenie, którego odgłosy i prawie zapach dochodziły przez uchylone okno z pogodnego, słonecznego Rzymu po powodzi, zmięczy serce heretyka. Inny Bruno, o zaciętej twarzy w ciemnej oprawie kaptura, podciął tę nadzieję prawie natychmiast, po godzinie przesłuchań.

Sommańo aktu oskarżenia, które początkowo składało się z kilkunastu punktów, zredukowano w końcowej fazie procesu do trzech wyraźnych „ogniw”. Pierwsze zawierało przewinienia mniejszej wagi, jakkolwiek poważne w oczach bardziej rygorystycznych inkwizytorów (nie należał do nich Bellarmino, ale cieszyli się względami Klemensa VIII). A więc libertynizm oskarżonego, brak respektu wobec Kościoła, naruszenia dyscypliny, zamiary „wywrotowe” w latach pobytu w klasztorze (planował nawet jego podpalenie), inwektywy przeciw dostojnikom kościelnym i braciom zakonnym (których nazywał „osłami”), ogólna niechęć do wszelkiego dogmatyzmu, drwiący stosunek do świętych, do relikwii i do obrazów

czczonych przez lud Boży, ostra krytyka brewiarza, uleganie słabościom ciała, pociąg do przekleństw i przesądów. Zarzuty nie pozbawione co prawda implikacji dogmatycznych, lecz w Świętym Oficjum traktowane jako suspicio herezji, a nie herezja fundamentalna, i podlegające karze stosunkowo łagodnej, zwłaszcza jeśli obwiniony ze skruchą zapewnia o nieobecności heretyckiej intentio, a sędziowie Trybunału dają jego zapewnieniom wiarę. To „ogniwo” Bruno miał już za sobą, nie bez walnej pomocy kardynała.

Kluczowe było drugie „ogniwo”, ściśle teologiczne, i tu mógł od stosu uratować heretyka tylko pełny ałto di abiura, nie pozostawiający najmniejszych wątpliwości, półcieni w wysłowieniu i zawieszeń głosu. Wierzył w dogmat Trójcy Przenajświętszej? Aby weń naprawdę wierzyć, musiał odżegnać się od anima mundi na rzecz Ducha Świętego, musiał odrzucić nadmiernie człowieczą naturę Chrystusa, którego uważał przecież (podobnie jak Mojżesza) za czarownika i dodatkowo grzesznika na chwilę przed skonaniem na krzyżu, musiał wreszcie skłonić głowę przed transsubstancją i dziewictwem Marii oraz jej Niepokalanym Poczęciem. Bez aktu całkowitego wyparcia się apostazji i ugięcia się przed Trybunałem, Bruno uchodziłby (zdaniem współczesnego historyka) za zwolennika Kościoła o strukturach analogicznych do rzymskiego, o rytuale godnym podziwu i nietkniętym układzie hierarchicznym, lecz równocześnie Kościoła uwolnionego od całości nauczania dogmatycznego; innymi słowy (konkluduje historyk), uchodziłby za rojącego o katolicyzmie wyzutym z chrześcijaństwa.

Do trzeciego ogniwa włączono spekulacje i doktryny filozoficzno-naukowe Nolańczyka, przez niego samego podawane za prawdy naturalne i racjonalne, przez Trybunał za twierdzenia wkraczające jaskrawo w zakres ustalonych prawd wiary. Chodziło o wszechświat nieskończony i wieczny, o ruch obrotowy ziemi, o wędrówki dusz, z dodatkiem negacji stałego istnienia Piekła. Anima mundi, w metafizyce „filozofii nolańskiej”, wyznaczała indywidualnej duszy ludzkiej rolę „sternika okrętu”. Dla większości członków Trybunału w trzecim „ogniwie” herezja panoszyła się bez ograniczeń i umiaru, Bellarmino liczył na rozbrojenie lub co najmniej złagodzenie tego „ogniwa” przeciwstawieniem zwykłych „hipotez” twierdzeniom wymagającym naukowej weryfikacji. Liczył zatem, że Bruno zostanie tu jedynie „ostrzeżony”, z zaleceniem (nawet surowym) większej powściągliwości. Dym stosu unosił się nad drugim „ogniwem”.

VIII Zapewne przedświąteczne głosy, okrzyki, śpiewy, dochodzące z placu do podziemnej celi, działały do pewnego stopnia tak, jak przewidywał kardynał. Bruno leżał na barłogu i daremnie zatykał uszy. Im mocniej je zatykał, im konwulsyjnie zaciskał rozbolące od półmroku oczy, tym bezbronniejszy czuł się wobec wspomnień, które wsączały się do jego samotni, niczym strużki wody w niedawnych dniach powodzi. Nie ma, być może, ewokacji żywszej i bardziej dotykanej od wspomnień dzieciństwa. Pod powiekami odżywał chłopczyk, odświętnie ubrany, prowadzony za rączki przez rodziców do katedry. Wraz z nim odżywała Nola, jasna od światła jak nigdy w ciągu roku. Płakał ze szczęścia? Matka pochylała się nad nim i

całowała go w mokre policzki? Ach, wyjść stąd, wyjść za wszelką cenę, odetchnąć zimowym powietrzem na rozjarzonym placu!

Nie dłużej niż godzinę wypełniało go to uczucie, kiedy kazano mu sięść na wąskim zydłu przed podium Trybunału. Był wtedy gotów na wiele, zachęcany do odpowiedzi przez uśmiechniętego niedostrzegalnie kardynała. Potem z pokornego oskarżonego wynurzył się groźnie ów inny Bruno.

Nie, nie ustąpi w niczym, niczego nie odwoła, niczego się nie zaprze! Powtarzając to po wielokroć na stojąco z nie znaną dotąd sędziom zawziętością, zgrubiałym naraz głosem, położył prawą dłoń na sercu gestem przysięgi czy ślubowania, wydłużył jakby i poszerzył swą niską i chudą figurę, przybrał groźny doprawdy wygląd. Lęki, pragnienia, ustawiczne wahania stopiły się w jedno: w euforię wewnętrznej suwerenności duchowej, choćby mylił się i błędził, w dziwne i radosne uniesienie wierności własnym ideom i wyobrażeniom. To jest wolność, tu posiadam ją bardziej, niż gdyby mi przebaczone, gdyby wypchnięto mnie z błogosławieństwem za próg więzienia. Tak myślał, tak szeptał do siebie w myślach tonem modlitwy. I przeplatał te słowa zdaniem: Jestem głębokim cieniem. Rozumiał teraz o ileż lepiej, co ono znaczy. Każdy człowiek jest głębokim cieniem, ma w życiu jedną tylko krótką chwilę wejścia w krąg światła. Nadeszła wreszcie jego chwila; i przeciągnie się aż do męczeńskiej śmierci.

Bellarmino, jak na dany znak, odmienił wzrok: dotąd życzliwy, stał się zimny, przeszywający, pogardliwy. Nachylił się do swego sąsiada i szepnął mu coś na ucho, ten zaś wstał i kazał strażnikom odprowadzić więźnia do celi. Postępowanie przeciw zatwardziałemu heretykowi, *reo confesso indurito*, wyznaczono na dzień 8 lutego. Trybunał zbierze się po raz ostatni.

Zebrał się istotnie po raz ostatni pod przewodnictwem Klemensa VIII. Oskarżonemu zadano jedynie pytanie, czy potwierdza swoją haniebną deklarację z 22 grudnia. Odparł dźwięcznym głosem: „Tak, lecz dla mnie nie jest haniebna”. Papież, lekko pobladły, uderzył prawą dłonią w stół i wykrzyknął: *Basta, in ginocchio*! Rytuał Trybunału Świętej Inkwizycji wymagał, aby oskarżony duchowny ukląkł z pochyloną głową w trakcie czytania wyroku; i aby nie ośmielił się podnieść z kolan, nawet gdyby lektura trwała długo. Giordano Bruno padł na kolana, opuścił na piersi zakap-turzoną głowę, nie złożył jednak pobożnie dłoni, jak zalecał (ale nie nakazywał) rytuał. Wyrok odczytany przez kardynała był najkrótszy chyba ze wszystkich ogłoszonych przez trybunały Inkwizycji. *Colpevole deWeresia grave, con-dannato al rogo*. Winny ciężkiej herezji, skazany na stos.

IX Wyrokowi towarzyszyła stała formuła: *Si consegna U condannato al braccio secolare*, przekazuje się skazanego władzy świeckiej. Władza świecka, w postaci czterech uzbrojonych strażników, przeprowadziła go nazajutrz z lochów na Piazza Navona do więzienia dla skazańców na bulwarze nadtybrzańskim *Tor di Nona*. Prowadzili go szybko wąskimi uliczkami, krótką trasą na przełaj, dla uniknięcia zbiorowisk gapiów i gawiedzi.

Przeznaczenie na stos usuwało obawy, że skazaniec spróbuje komunikować się ze światem zewnętrznym; i łągodziło znacznie środki ostrożności. Bruno

zawdzięczał temu celę na drugim piętrze z widokiem na Tybr. Przesiadywał godzinami przy zakratowanym oknie, spokojem przejmowała go płynąca wolno rzeka. Spokojem, lecz także rosnącą determinacją. Równomierny brzeg Tybru, wezbranego jeszcze po powodzi ponad zwykły poziom, zdawał się swoimi falami chłodzić i oczyszczać jego „nie” rzucone Klemensowi VIII i Trybunałowi.

Wieczorami zapalały się nikłe światełka na przystaniach, a na bulwarze pojawiały się, spiesząc w obie strony, ciemne postacie. Cienie raczej niż postacie, co działało kojąco na skazańca. Nie pragnął, jak to zwykle bywa u więźniów, zajrzeć im w twarz. Swoim cieniem za kratami, nieruchomym aż do późnej nocy, przyłączał się do idących, pilnując nawet w wyobraźni, by kaptur osłaniał mu głowę.

17 lutego wczesnym ranem pudło na dwóch wielkich kołach, zaprzężone w dwa woły, stanęło przed więzieniem. Bruno, popychany przez dozorców (ale nie wleczony), został z zawiązanymi rękami ustawiony w pudle obok wiązki chrustu na podpałkę (stos z ułożonych odpowiednio bierwion był już na Campo de 'Fiori gotów od zmierzchu poprzedniego dnia). Dość szeroki wózek, a zwłaszcza szeroka uprząż, zmuszały do rezygnacji z wąskich uliczek i do przejazdu tłumnymi już o tej porze ulicami, gdzie powstał zaraz orszak wygrażających pięściami, krzyczących, plujących w kierunku wiezionego skazańca. Ukrył głębiej jeszcze twarz w kapturze i przymknął oczy. On, w przeciwieństwie do pięknego, lecz słabego człowieka Chrystusa, nie poprosi Boga o odsunięcie kielicha goryczy. A może jest nowym Chrystusem? Może zapoczątkuje nową wiarę?

Na Campo de 'Fiori otaczały stos grupy ludzi nieskorych do obelg, przeciwnie - rażonych nagłą niemotą. Mżył drobny deszcz. Bruno, rozebrany do naga, zziębnięty i drżący, wszedł sam między bierwiona; otwór wejściowy natychmiast zamknięto. Rozległy się dzwony żałobne. Chrust zapalił się szybko, ale bezskutecznie lizał płomieniami mokre drzewo. Nie usłyszano ani słowa skargi, długo widziano jego nieruchomą, osmaloną twarz. Wreszcie zajęły się bierwiona i niebawem poczęły się obsuwać, rozżarzone, na niknące ciało apostaty.

W tawernie na rogu ulicy prowadzącej na plac Farnese pił kubek za kubkiem czerwone wino, jakby zależało mu, by się jak najprędzej odurzyć, Caravaggio. Zamglonym wzrokiem, może oczami, do których napływały łzy, mistrz światłocienia w malarstwie wpatrywał się w ogień pochłaniający resztki Głębokiego Cienia.

X Od samego rana można na Campo de 'Fiori patrzeć w dwojaki sposób. Wśród rozstawionych od świtu straganów, uginających się pod ciężarem wszelkiego jada, wśród piramid owoców, koszów z jarzynami, balii pełnych ryb, nabitych na haki połci mięsa, butli oliwy i wina, patronuje Kwietnemu Polu mistrz Rabelais. Blisko południa i aż do obiadu Campo de Tiori przypomina wielki ludzki ul, i wyglądem, i bezładnym bzykaniem. Po obiedzie przekupnie przystępują do rozbierania straganów, ładują swoje produkty na furgonetki, zostawiają po sobie góry odpadków, zgarnianych potem szuflami przez miejskich asenizatorów. Plac cichnie, odzyskuje swą naturalną perspektywę i przestrzeń, mistrz Rabelais wraca, skąd przyszedł. I wtedy wyłania się z pustki, utopiony dotąd w rozgardiaszu targowiska, kamienny posąg Nolańczyka w kapturze, postawiony tam, „gdzie płonął



stos". Wyrzeźbił go w roku 1889 Ettore Ferrari. Głównym akcentem pomnika był słusznie kaptur. Tak wyrzeźbiony, że nie widać twarzy schowanej w jego cieniu. Płaskorzeźby na cokole wydobywają z historii głośnie akty prześladowań innowierców i nietolerancji religijnej. Wiadomo, że rzymska rada miejska zaplanowała pomnik jako polemiczny akt wobec Stolicy Apostolskiej.

Przez cały dzień na kapturze heretyka przysiadają gołębie, zrywają się z furkotem, po czym wracają na dawne miejsca. Ale nie dostrzega się ich podczas targu, jak nie dostrzega się samego pomnika. Dopiero o zmierzchu i wczesnym wieczorem, na Kwietnym Polu, gotującym się do odpoczynku i snu, kamienny kaptur oblepiony gołębiami ożywa i króluje w mroku. Co jakiś czas jeden szczególnie gołąb, biało-czarny, wzbija się wysoko ku niebu jak wystrzelony pocisk, na długo znika, wreszcie spada i wczepia się pazurkami w czub kaptura. Jest to oczywiście dusza Nolańczyka, usiłująca codziennie wtopić się na zawsze w ciemną anima mundi.

Styczeń 1994

Neapol, 10 lutego Kongres Polonii Amerykańskiej wystosował list do przewodniczącego Komisji Spraw Zagranicznych Kongresu USA, zaniepokojony „brakiem jakichkolwiek oddźwięków ze strony Administracji wobec imperialistycznej retoryki Jelcyna, Kozyriewa i innych członków grupy rządzącej w Moskwie”. Do listu dołączone są: a) wybór cytatów z prasy i przemówień na temat „neoimperialistycznych ambicji Rosji”, b) lista pytań, które „pomogą wyjaśnić nasze (polskie) wątpliwości w procesie nadzoru Kongresu nad władzą wykonawczą”. Całość opracowana wzorowo, od razu widać wprawna rękę Jana Nowaka.

Wyobraźmy sobie, że dokumentacja robi piorunujące wrażenie i petenci ze środkowowschodniej Europy, ulokowani w poczekalni z napisem na drzwiach „Partnerstwo dla pokoju”, zostają bezzwłocznie na życzenie Ameryki zaproszeni do salonu NATO jako nowi pełnoprawni członkowie sojuszu. Wyobraźmy sobie dalej, że wkrótce potem umiera Jelcyn, a jego miejsce zajmuje Żyrinowski. Heller pyta w „Russkiej Myśli”, „czy Rosjanie chcą wojny?” I odpowiada: wybory zdają się wskazywać, że czwarta część wyborców, głosując na Żyrinowskiego, popiera jego wojenny program. Rosyjski polityk-chuligan ostrzył sobie co prawda przedtem (w swojej książce) zęby na dostęp do Oceanu Indyjskiego, ale po objęciu urzędu prezydenckiego uznaje rzecz za ryzykowną i przenosi chwilowo „neoimperialistyczne ambicje Rosji” na nowych członków NATO ze środkowowschodniej Europy. Nad nowymi członkami NATO powinien się automatycznie otworzyć potężny ochronny parasol. Trochę się otwiera, ale natychmiast się zacina. Przywódcy Zachodu, wypróbowanym od czasów monachijskich sposobem, apelują do nas i nam bliskich, byśmy zachowali „rozwagę w imię uratowania pokoju”. Tu zatrzymuje się moja wyobraźnia, której chore serce zaleca ostrożność.

Nie trzeba cofać się zanadto wstecz, aby uprawdopodobnić tego rodzaju scenariusz. Przyglądamy się dzień po dniu tragedii „Bośnia i Zachód”. Patrzymy na to, co się dzieje, zrozpaczeni, wściekli, gorzko nauczeni, że niczemu nie należy się dziwić (jedna tylko, poza Monachium i Jałtą naturalnie, analogia, a mianowicie

książka pastora amerykańskiego, Davida Wymana, *The Abandonment of the Jews*, czyli *America and the Holocaust*), bezsilni wobec nieuleczalnej już impotencji Zachodu, kolosa, który co jakiś czas wypina mężnie piersi trzęsąc równocześnie portkami, który potrafi dobrze rozróżnić swoje „żywotne interesy” (nakazujące stanowczość i walkę) od „interesów cudzych, uzasadnionych być może, lecz drugorzędnych”, który dziś błędnie na widok Miloszewicia i Karadźicia, który na jugosłowiańskiej szachownicy dysponuje typową dla siebie figurą, laufrem z tytułem Lorda, przypuszczalnie wnukiem lub prawnukiem Neville’a Chamberlaina.

Zapewne oburzą się na mnie rodacy, gdy powiem otwarcie: nie jest tak ważne krzeselko w NATO, nie warto się tak dwoić i troić dla jego zdobycia, ważniejsze od narodowego rozmiłowania w mackiewiczowskich „sojuszach egzotycznych” jest skierowanie wszystkich prawie wysiłków na związanie się z grupą wyszehradzką (już zagrożoną prymusow-skimi umizgami Klausea do tegoż legendarnego NATO), z krajami bałtyckimi, z Białorusią i - w pierwszym rządzie - z Ukrainą. Jeżeli Moskwa zdoła przywrócić swoje panowanie nad Kijowem, Warszawa znajdzie się w stanie zagrożenia realnego.

I 13 lutego Przeczytałem przyjacielowi z Krakowa zapis, który zamknął ubiegły rok w moim dzienniku. Była to aluzyjna przypowieść o spóźnionym pociągu i o zawiadowcy centralnej stacji, który „przeprasza” za spóźnienie pasażerów; rozwścieczonych początkowo, głodnych, spragnionych, zziębniętych, a po „przeprosinach” gromko oklaskujących zawiadowcę w towarzystwie byłego posła do parlamentu.

- Chodzi ci oczywiście o głośne „przepraszam” Kwaś-niewskiego - powiedział mój przyjaciel - ale jesteś niesprawiedliwy. Kwaśniewski był w latach komunizmu za młody, by unurzać sobie ręce po łokcie w brudnej i mokrej robocie ubecko-partyjnej.

Wtrąciłem uściślenie, na które mój przyjaciel skinął głową, mruknąwszy pod nosem „nie pamiętałem”. Kwaśniewski „przeprosił” z sejmowej trybuny nie we własnym imieniu, skoro jako młodzieniec czuwał nad względnie niewinnym „sektorem sportowym”. „Przeprosił” ofiary „krzywd i niegodziwości władzy i systemu przed 1989 rokiem”. A to zmienia postać rzeczy. Takie „przeproszenie” jest, dla mnie przynajmniej, niegodziwością. Przeprasza się za odwołanie przedstawienia w teatrze, za potrącenie w autobusie, za omyłkę w druku, za krzywdzące pomówienie, za nadeptanie na palce partnerce w tańcu, a nie za zbrodnię. Za zbrodnię ponosi się karę. Ale Kwaśniewski woli widocznie trzymać się swojej, równie bezczelnej i cynicznej, formułki powyborczej „PRL to było całe społeczeństwo”, co mu pozwala „przeprosić” rzadkie pokrzywdzone jednostki w monolitycznym społeczeństwie peerelowskim. I, co może najbardziej zaskakujące, jego „przeproszenie” powitano pochwałami i oklaskami, jak w mojej przypowieści. Ale, na dobrą sprawę, dziwić się temu? Przecież wyniki wyborów z 19 września zostały - z dwoma wyjątkami Jerzego Turowicza i Aleksandra Smolara w „Tygodniku Powszechnym” - przyjęte wzruszeniem ramion, jakby nic się nadzwyczajnego nie stało, ot, zwykła demokratyczna alter-nance.

Najczęściej dziś chyba używanym słowem w Polsce jest „tożsamość”. Zachowaliśmy „tożsamość”? Czy też gubimy ją, jak złoty róg „Solidarności”, w procesach zapoczątkowanych „okrągłym stołem” i stopniowym odzyskiwaniem suwerenności państwowej? Jeżeli takie pytania powstają, to wolno co najmniej mówić o kryzysie tożsamości. Doprowadziło do niego, według mnie, zamazywanie (począwszy od nieuchronnego „okrągłego stołu”, tyle że niezdarnie i bojaźliwie rozegranego) przejścia od PRL do Trzeciej Rzeczypospolitej (mostem Jaruzelskiego w roli prezydenta RP\*). Byłem i jestem nadal zdania, że po upadku komunizmu nieodzowna była wyraźna cezura, jak po upadku faszyzmu we Włoszech, połączona z jakąś formą epuracji, naturalnie w majestacie prawa, a nie w ramach awanturnictwa politycznego. Antyfaszyzm stanowił podstawę nowych Włoch po referendum instytucjonalnym, odrodzona pod inną nazwą partia neofaszystowska (MSI, prekursor naszego SLD) stała się w parlamencie martwą siłą, nie braną w rachubę w głosowaniach i przy tworzeniu koalicji rządowych. Mimo żałosnego epilogu Pierwszej Republiki, uważam włoską czurę postfaszystowską za słuszną i ważną. A u nas wyklęto z góry podobną czurę postkomunistyczną, co więcej - uznano za niemożliwą do naśladowania czeską ustawę nawet nie tyle dekomunizacyjną, co osądzającą i piętnującą okres panowania komunizmu (i tak we mgle i w chaosie li!

W Lublinie wychodzi kwartalnik „Ethos”, redagowany przez papieskiego doradcę, księdza Stycznia. Przysłało mi numer 2/3 z roku 1992 z racji przedruku w nim mojego tekstu List Norwida do emigracji polskiej z roku 1944. Znalazłem w tym numerze rozmowę z Andrzejem Gwiazdą. „Pierwszym aktem scenariusza, ustalonego w Magdalence (powiada Gwiazda), był spektakl telewizyjny pod nazwą «okrągły stół». Rozpoczął Kiszczak programowym referatem, na który Wałęsa odpowiedział: «Przyjmuję wszystko, co pan generał powiedział». Te historyczne słowa uznane zostały za obalenie komunizmu”.

doszliśmy do 19 września 1993). Aleksander Małachowski, człowiek zdawałoby się rozumny i inteligentny (poznałem go w Warszawie w roku 1991), załatwia sprawę formułką: „Ustawa czeska była u nas widocznie niemożliwa, skoro nie powstała”. Może to tak wygląda z wyżyn łaski wicemarszałkowskiej w Sejmie. Tenże Małachowski (w styczniowym numerze „Kultury”) dodaje: „Szukajmy tego, co nas łączy, a nie tego, co nas dzieli”. Złote to hasło obowiązywało również w Polsce międzywojennej i zaowocowało narodzinami BBWR (identyczną formację inspirował, w duchu analogicznej „filozofii”, Wałęsa). Teraz, imitując sanację, Małachowski powinien jeszcze pomyśleć o drugim złotym hasle Polski międzywojennej: „Dozwolona jest tylko krytyka konstruktywna”. Krótco przed wojną w „Gazecie Polskiej” zapomnieli ktoś o tym hasle i nazajutrz czytelnicy wpatrywali się z osłupieniem w wielką białą plamę na pierwszej stronie organu rządowego. A Lec pokwitował rzecz fraszką: „Tak długo gryzł cenzor, aż się w własny ugryzł jęzor”.

16 lutego Wyszedł tu u Feltrinellogo tom pośmiertnych opowiadań Kafki z moją przedmową. Z tego tytułu brałem dziś telefonicznie udział w rozmowie

radiowej o tomie, który był dla mnie rewelacją, dla mnie, wytrawnego niby „kafkisty”. Rzecz w tym, że list zapraszający do napisania przedmowy zawierał listę opowiadań pośmiertnych, oczywiście dobrze mi znanych. Nie wiedziałem natomiast - i to jest właśnie rewelacja wydanego tomu - że pośmiertne opowiadania Kafki wyłuskano z jego zeszytów, które germanistka wenecka przełożyła i filologicznie opracowała na podstawie świeżych zbiorowych edycji niemieckich.

*A więc Kafka prowadził, prócz właściwego dziennika, dziennikową „filie” w postaci zeszytów, w których uprawiał 13 - Dziennik... (1993-1996) 193*

albo swoistą grę, albo w naturalny i odruchowy sposób mieszał drobne zapiski z zarysami opowiadań. „Mieszał” nie jest określeniem ścisłym. Szkice opowiadań wyrastały z zapisków. To odkrycie podekscytowało mnie i (co tu ukrywać) uradowało: przecież ja coś bardzo zbliżonego robię od lat w moim dzienniku, nieświadomy, że podziwiany przeze mnie pisarz postępował tak samo.

17 lutego List od Zbigniewa Florczaka. Wydaje książkę, której jądrem będą „grypsy” przysyłane z Warszawy do „Kultury” od roku 1968, pod pseudonimem Pelikan; i prosi o wstęp. Przypomina początki naszego korespondencyjnego kontaktu: to ja wysłałem do niego z Rzymu w roku 1947 zaproszenie do współpracy z ledwie założoną „Kulturą” (podobne listy wysłałem do dwóch przedwojennych znajomych z Warszawy, Gombrowicza i Straszewicza; po latach Straszewicz opowiadał mi, jakim dla niego bolesnym przeżyciem było to zaproszenie - trafiło na okres jego absolutnej niemocy twórczej). Florczaka znałem wtedy z niezwykle stymulujących, nonkonformistycznych artykułów w „Wiadomościach”. Przyjął zaproszenie i w „Kulturze” zabłysnął kilkoma szkicami oraz niezbyt, według mnie, fortunnym pomysłem Klubu Trzeciego Miejsca, zresztą połkniętym natychmiast przez żarłocznego Wańkowicza. Potem wrócił z Brukseli do Warszawy. W roku 1968 Jerzy Giedroyc otrzymał pierwszy tekst Pelikana. Teksty (doprawdy grypsy) przemycane były różnymi drogami. Giedroyc był nimi słusznie zachwycony i zachodził w głowę, kto zacz. Jedyne to chyba wypadek, w stosunkach „Kultury” z pisarzami krajowymi, tak szczelnego i skutecznego zabezpieczenia pseudonimu. Na ogół pisarze współpracujący potajemnie z „Kulturą” i jej wydawnictwem książkowym nie wytrzymały ciężkiego brzemienia pseudonimów, prędzej czy później rozszyfrowywali je sami aluzjami czy półsłówkami. Aleksander Wat, po napisaniu pod pseudonimem długiej przedmowy do polskiego tomu Terca (umierając ze strachu), rozesłał masę listów do przyjaciół z zapytaniem, co sądzą o nowej gwiazdzie eseistyki polskiej nazwiskiem Stefan Bergholz. Stefan Kisielewski sypał niedwuznacznymi aluzjami na temat Tomasza Stalińskiego i uśmiechnął się kwaśno, kiedy mu opowiedziałem, że o napisanie powieści Widziane z góry podejrzewany jest (z mojego podszeptu) Putrament, któremu urządzono rewizję w domu podczas jego letniej wyprawy wędkarskiej nad Jeziora Mazurskie. Jerzy Pomianowski, przełożywszy doskonale Solżenicyna pod pseudonimem, „cierpiął niewymownie”, słuchając komplementów pod adresem nowego, nikomu nie znanego tłumacza Michała Kaniowskiego. „Strach nami rządzi”, mawiał Straszewicz. Należy dodać: i próżność.

Nie rządziła na pewno Pelikanem. Florczak pisze w liście do mnie: „Rozszyfrowałem mój pseudonim w liście do Giedroycia z roku 1984; był zaskoczony i zdumiony”. Nic dziwnego. W Maisons-Laffitte nie było końca domysłom, zgadywaniom, hipotezom po każdym przylocie Pelikana; i nigdy nie padło w nich nazwisko Florczaka.

Podobał mi się bardzo z jednego przede wszystkim względu. Przy moim alergicznym stosunku do konceptu „zniewolonego umysłu” bliski mi był pisarz organicznie „odket-maniony”, pogardzający cudownymi pigułkami „nowej wiary”, niezależny i rozumny. Czasami próbowałem go sobie wyobrazić. Najczęściej miał wygląd i sposób bycia Jerzego Stempowskiego, zamysłonego na spacerach niespiesznego przechodnia, brzydzącego się „zwycięskim pochodem Historii”, zbiegowiskami politycznymi, salonami i koteriami literackimi, wszelkimi postaciami kawiarnianej gadal-ni. Wychodził z domu wieczorem, szedł wolno ulicą pod ścianami domów, pogrążony w analizie tego, co za dnia zauważył, przeczytał i przemyślał. Nocą szykował się do lotu Wolnego Ptaka do Maisons-Laffitte, w przeciwieństwie do swoich kolegów po piórze, którzy marzyli o snobistycznych pielgrzymkach do Paryżewa, by swoje „zniewolone umysły” skąpać i wzmocnić w blasku przeróżnych sławnych sartroidów, „im mądrzejszych, tym głupszych”.

18 lutego Fotograf amerykańsko-włosko-francuski Arthur (Arturo) Patten, zamiłowany portrecista, zabrał mnie na swoją wystawę w Instytucie Francuskim w Neapolu pod zabawną i dość oryginalną nazwą Paristocrats. Przeszło trzydzieści portretów arystokratów paryskich (anonimowych), w różnych układach: sami mężczyźni, same kobiety, pary. Obszedłem najpierw wystawę szybkim krokiem, dziwnie poruszony. Następny obchód był powolny, z długimi pauzami przystawania, każdy portret zaostrzał ciekawość, niektóre zachwycały. Pomijam wyborną technikę fotograficzną Pat-tena (jak naszego Bohdana Paczowskiego). Miałem wielką ochotę dowiedzenia się czegoś bliższego o modelach (niestety, dyskrekcja autora zaprzysiężona), co mi się dotąd nie zdarzało na wystawach fotograficznych. W pewnej chwili powiedziałem wręcz do Pattena: „Ta seria prosi się o opowieść towarzyszącą, tyle rozdziałów, ile portretów”. Jednocześnie miałem pewność, że moje wrażenia nie były związane z „arystokratycznością” fotografowanych, z pięknym wykresem ich twarzy, wyrazistością oczu, szlachetnością rysów. Przed wizytą na wystawie Patten ofiarował mi swój rzymski album fotograficzny, w którym druga część pokazywała wyłącznie plebejskich mieszkańców Zatybrza, i wrażenia były identyczne, z tym że nie związany dyskrecją fotograf swobodnie opowiadał o modelach.

Wieczorem, przeglądając raz jeszcze zatybrzański album Pattena i wspominając wystawę Paristocrats, odkryłem w końcu sekret portrecisty: udało mu się stworzyć fotograficzny portret otwarty, tzn. taki, który patrzącemu otwiera drogę do osobowości modela, gdy tymczasem większość portretów fotograficznych nie umie wyjść poza „studium podobieństwa plus tło” (piękne i pomysłowe lub dość zdawkowe). A portrety malarskie? Są zamknięte, lecz nie w tym sensie, że zamykają

przed nami osobowość malowanej osoby; po prostu nadają jej autonomiczność innego rzędu i - czemu nie? - innego wymiaru.

Po południu odwiedził mnie Żiwago. Nie, nie duch doktora, żywy Żiwago.

Pytanie: „skąd Żiwago w Neapolu?“, zmusza w odpowiedzi do naszkicowania historii rodziny Dohrn. Anton Dohrn, niemiecki biolog, protoplasta neapolitańskiej gałęzi rodziny (książkę o nim napisał pierwszy prezydent RFN, Teodor Heuss), założyciel neapolitańskiego Akwarium, jednego z najbogatszych na świecie, ożenił się w zeszłym stuleciu ze spotkaną na Sycylii panną Baranowską. Panna Baranowska była córką Polaka z pochodzenia, prawie całkowicie zruszczonego, rzymskiego gubernatora, którego car pozbawił urzędu i skłonił do wyjazdu za granicę z winy jego siostry, nagle nawróconej (i to gorliwie) na polskość. Panna Baranowską zakochała się w młodym niemieckim uczonym, jej ojciec chcąc nie chcąc zgodził się na małżeństwo i pobłogosławił je wysokim posagiem dla córki. Anton za ten posag zbudował Akwarium w Neapolu. Pani Dohrn-Baranowska też w pewnej chwili zapaliła się do polskość, przełożyła dzieło Kalinki, co nawiasem mówiąc drażniło raczej jej niemieckiego męża. Ich syn Rinaldo (przyjaciół Stanisława Vincenza) przygotowywany był na następcę u steru Akwarium. Ojciec poznał w jednym z niemieckich kurortów młodą Rosjankę, którą w myślach przeznaczył na żonę dla syna. Nazywała się Tatiana Romanowna Żiwago. Doszło do ślubu, młodzi państwo Dohrnowie zamieszkali w Neapolu (chodziliśmy czasem do ich domu z wizytą, zdaje się, że raz opisałem w dzienniku kolację uświetnioną kwartetem uczonych noblistów, grających bardziej na nerwach słuchaczy niż na swoich instrumentach). Ale było to już po śmierci Tatiany Romanowny, a krótko przed śmiercią Rinalda. Ich córka mieszka dalej w Neapolu i zaprosiła teraz z Moskwy młodego człowieka z rodziny matki.

Nikołaj Aleksandrowicz Żiwago zbliża się do pięćdziesiątki, jest z wykształcenia italianistą i anglistą, tłumaczem włoskich książek i tłumaczem na włosko-rosyjskich sympozjach, a z zamiłowania skrzypkiem. Wykłada italianistykę w dwóch moskiewskich szkołach wyższych, należy (jako tłumacz) do moskiewskiego związku literatów, był „doradcą językowym” Lubimowa na Tagance. Towarzyszy na ogół rosyjskim orkiestrom i zespołom operowym w wyprawach do Włoch, a w Moskwie pilotuje zazwyczaj włoskich muzyków i śpiewaków. Jednym słowem, wielka dla mnie gratka: od dawna chciałem porozmawiać z młodym stosunkowo przedstawicielem inteligencji rosyjskiej.

Głównie o polityce. Okazało się, że mamy dość podobne poglądy. Zrobił na mnie spore wrażenie jego spokój, zawsze budzi to moje odruchowe zaufanie. Gorbaczow? Złoty medal za głośność, natomiast pieriestrojka nie wyszła poza stadium zamętu i improwizacji. Niewątpliwie maczał palce w sierpniowym puczu. Jelcyn? Niestety nie ma nikogo lepszego, każda alternatywa byłaby gorsza. Żyrinowski? Pajac, ale niebezpieczny w sytuacji ogromnego niezadowolenia materialnie poszkodowanych (jak w Polsce, biedni stają się coraz biedniejsi, bogaci coraz bogatsi), ale nie przywiązujących żadnej wagi do wojennych planów Wodza (nie zgodziłby się z tym zapewne Michał Heller). Za szybko rozwiązano Związek

Sowiecki, ale czy można to było zrobić w zwolnionym tempie, stopniowo? Podstawą wszystkiego jest kwestia cierpliwości, nie ma mowy o biegu na przelaj, o trójskoku z komunizmu do demokracji. Groźby wybuchu? Tylko w wypadku, gdyby zostały użyte środki przymusu w stosunku do robotników i kolchoźników, przywykłych do zasady (znanej także po rosyjsku): „udają, że płacą, udajemy, że pracujemy”. W sumie nieruchoma od dziesięcioleci sadzawka, w której podniesiono naraz upusty: wycieka czarna, brudna, zamulona woda, dopiero przyszłe pokolenia zobaczą czyste pasma.

Żiwago mówił też, nie wiem, na ile zasadnie, o dużym odłamie bardzo zdolnej i ofiarnej młodzieży, obok masy młodzieżowego chuligaństwa. I o pisarzach rosyjskich, którzy postanowili zostać za granicą, jeżdżąc co pewien czas na krótko do kraju. Ideałem jest dla niego Sołżenicyn: czekał na możliwość powrotu na stałe i wraca. Ostro o Siniaw-skich i (co mnie zmartwiło) o Maksimowie: łatwo z Paryża wieszać psy na wszystkim i wszystkich. Za to paryska „Russkaja Mysi” jest poczytna, a nawet popularna.

21 lutego Wczoraj turyńska „La Stampa” przedrukowała moją przedmowę do nowego włoskiego wydania Innego Świata (Feltrinelli). Dziś „Unita”, były organ byłej partii komunistycznej, poświęciła książce całą stronicę. Recenzję napisał, i rozmowę ze mną przeprowadził, Goffredo Fofi. O nim chcę parę słów powiedzieć, to najbliższy mi teraz włoski przyjaciel (naturalnie, obok Francesco Cataluccio). W tym pięknym, miłym i równocześnie okropnym (politycznie) kraju - superchadek Andreotti, niegdyś prawie pokojowy każdego papieża, był najpopularniejszym politykiem we Włoszech, podziwianym za to, że nikomu nigdy nie udało się złapać go na gorącym uczynku, chociaż o „uczynkach” dobrze wiadano; teraz, po wykryciu łapówkarstwa i korupcji, tangentopoli, w której głównymi protagonistami okazali się zachłanni, nienasyчени chadecy i socjaliści, oraz o wiele od nich chytrzejsi eks-komuniści, teraz odwróciło się o 180 stopni i plucie na Andreottiego stało się narodowym sportem - otóż w tym pięknym, miłym i równocześnie okropnym (politycznie) kraju miałem szczęście do przyjaciół mądrych, szlachetnych i czystych. Najpierw Chiaromonte i Silone. Po ich śmierci Cataluccio (od dość dawna), świetny polonista i eseista, przyszły autor najlepszej książki o Gombrowiczu; i Fofi (od niedawna stosunkowo), znawca literatury, teatru i filmu, niewiarygodny pożeracz książek, redaktor miesięcznika mediolańskiego „Linea d’ombra” (con-radowska „smuga cienia”) i neapolitańskiego „Zaza”, niestrudzony podróżnik, który większą część życia spędza w pociągach, przemierzając wzdłuż i wszerz Włochy, w pogoni za nie cierpiącymi zwłoki węzłami społecznymi i inicjatywami kulturalnymi, tak zawsze ofiarny i bezinteresowny, że trudno uwierzyć, iż jest Włochem (urodził się w cudownym umbryjskim Gubbio). Jako włoska rara avis przypomina niekiedy Jerzego Giedroycia; to samo upodobanie do słowa „trzeba”, ta sama ruchliwość, wielostronność spojrzenia, żyłka natychmiastowego działania bez myśli o oszczędzaniu sił. Jest grubo młodszy od Giedroycia, więc przychodzi mu to łatwiej.

Z jego wywiadu przytoczę moją ostatnią odpowiedź na pytanie o emigrację. Czy mogliśmy kiedyś oczekiwać, że coś takiego ukaże się na łamach „Unita”?

„Jeśli chodzi o emigrację polską w powojennej Europie, było to doświadczenie niezwykle i bardzo ciężkie, bo ciężkie jest życie emigranta, ale to, co zdołał zrobić nasz paryski miesięcznik «Kultura» i wydawnictwo książkowe «Kultu-ry», było rzeczą niewiarygodną, graniczącą z cudem. Wpływ «Kultury» na sprawy polskie był ogromny; kiedy wszystko się zmieniło, spotykało się młodszych od nas ludzi z Polski, którzy mówili: «Wychowaliśmy się na 'Kulturze'». Pismo wychodzi jeszcze w Paryżu, gdyż sytuacja w Polsce tak się pogmatwała, że ważne jest istnienie pisma poza tym zamętem. Tak więc, gdy ja mówię o wygnaniu, nie mogę powtórzyć za Miłoszem, który zjawiał się tutaj później, o cierpieniu emigranta. Ja wierzyłem w sens i konieczność emigracji. W jedną tylko rzecz absolutnie nie wierzyłem: że zobaczę na własne oczy upadek reżymu komunistycznego”.

22 lutego Telewizyjne reportaże z Bośni pchnęły mnie do oglądania wieczorem *Los Desastros de la Guerra* Goi. Wir okrucieństwa wojennego w Hiszpanii jest przez malarza pomyślany (czy rozkręcany) tak, by z ludzi wycisnąć człowieczeństwo do ostatniej kropli, zostawiając im same umęczone, sponiewierane, torturowane ciała, bez nikłych bodaj prześwitów duszy. W tym odczłowieczeniu, zezwierzęceniu Goya pokazał całe swoje mistrzostwo, jak gdyby rękami miesił bezkształtną już materię, gorącą wojenną lawę, która pochłania wszystko, co po drodze napotka.

Najsztywniejszy jest sztych przedstawiający trupa, który ze zgniłymi już nogami wywleka się z grobu i, odwróciwszy głowę, pisze na arkuszu papieru słowo nada, nic. W tle tłok przekrzywionych odrażająco twarzy, na lewo kobieta z wagą sprawiedliwości. Podpis malarza: Nic, mówi. Ponieważ wydawał się bezbożnym twierdzeniem, że po tamtej stronie życia rozpościera się „nic”, zmieniono go na: nic, powie, co miało być (ale czy było?) aluzją do okrutnej, bezużytecznej, bezpłodnej wojny. Pewna jest w sztychu waga sprawiedliwości, przysłonięta - wyjaśnia uczony autor komentarzy - „larwami obskurantyzmu i przemocy”. Śmiem wątpić, czy o to chodziło Goi. Dla mnie to nada jest strasznym krzykiem wojennego nihilizmu.

Cykl zamyka sztych nazwany przez malarza *Fiero mon-struo!*, okrutny potwór; bestia wojny wymiotuje swoje ofiary. Może jesteśmy w tym stadium jatki bośniackiej...

25 lutego W wystąpieniu na jednym z uniwersytetów amerykańskich Vaclav Havel podał przykład „koszmaru komunizmu”: gdy był inwigilowany przez policję polityczną albo po którymś z wyroków wychodził z więzienia, przyjaciele i znajomi omijali go na ulicy, odwracali głowy, unikali „kłopotliwego” czy „niewygodnego” spotkania z nim, obawiając się szykan policyjnych. „Koszmar postkomunizmu”, według Havla, polega na podobnej postawie państw demokratycznych wobec krajów środkowowschodniej Europy; są „kłopotliwe”, „niewygodne”, lepiej odwracać głowę i przechodzić na drugą stronę ulicy.

Brodski odpowiedział prezydentowi Republiki Czeskiej listem otwartym w „*The New York Review of Books*”. Odpowiedział, przeplatając naiwnościami wnikliwe i trafne refleksje. Po pierwsze, nie jest wcale pewne, że przyjaciele i znajomi Havla unikali go ze strachu o własną skórę; jest prawdopodobne, że widzieli



w nim raroga, człowieka chorego w zdrowym i stabilnym społeczeństwie. Lepiej dać wreszcie spokój „komunizmowi” i innym „izmom”, aby spojrzeć prawdzie w oczy. Prawdą zaś jest to, że „niezwykłe antropologiczne cofnięcie zaszło w naszym świecie w obecnym stuleciu, niezależnie od tego, kto je wywołał czy co je spowodowało”. W ludzkim sercu otworzyła się nagle przepaść, i to ona pochłonęła uczciwość, współczucie, poczucie obywatelskie, sprawiedliwość. Naszym oczom odstąpiła się powszechna prawie „wulgarność serca”. Być może, istnieje proporcjonalny związek dobroci człowieka i wadliwości jego instytucji. Jeśli go nie ma, wypada uznać, że człowiek nie jest tak dobry, jak sądzono w stuleciu Rousseau, Fouriera, Proudhona. Więcej mądrości tkwi w pamiętaniu o grzechu pierworodnym, w świadomości, że „człowiek jest niebezpieczny”, niż w uleganiu złudzeniom, że to komunizm i inne „izmy” zatruiły nasz wiek. A skoro człowiek jest raczej zły niż dobry, po jakie sięgnąć remedium? Można go uczynić lepszym z pomocą wielkiej literatury. Prezydent Havel powinien - czy to w drodze głosowania parlamentarnego, czy to w drodze dekretu specjalnego - zobowiązać gazety czeskie do drukowania codziennie w odcinkach Prousta, Kafki, Faulknera, Płatonowa, Camusa i Joyce’a. Coś pokrewnego pamiętamy z noblowskiej mowy Brodskiego. Poezja jako cudowna maść na diabelskie ciągoty dwunożnego stwora, który ośmiela się paradować w anielskiej aureoli homo sapiens.

Odpowiedź Havla na list Brodskiego jest wzorem przejrzystości i skromnego (na szczęście) zmysłu rozwagi intelektualnej. Jakkolwiek krótka, zyska na większej jeszcze kondensacji.

Doświadczenia osobiste obu korespondentów były bardzo podobne, ale różniły się znacznie ich kraje ojczyste. W Czechosłowacji, począwszy od 1968, ludzie zaangażowani, w rodzaju Havla, nie uchodzili za chorych w zdrowym i stabilnym społeczeństwie; większość społeczeństwa była co prawda zalękniona, lecz w „szarej żonie” społecznej (wyrażenie Havla) tęskniła w głębi serca do tych samych ideałów. Wrosła bowiem korzeniami kilku pokoleń w i n-stytucje demokratyczne monarchii austro-węgierskiej i Pierwszej Republiki Masaryka. Miała do czego tęsknić. W ojczyźnie Brodskiego natomiast brak takich tradycji czynił z działania garstki „dysydentów” trud pionierski w atmosferze ogólnej uległości czy obojętności. Jest zatem dość prawdopodobne, że powszechna „wulgarność serca” zaliczała rzadkich pionierów do rzędu chorych. Jeśli nie można czerpać, choćby nostalgicznie, z dorobku instytucji społecznych i rządów prawa, nie ma sensu szukać wytłumaczenia dla totalitaryzmu (wczoraj), a dla chaosu, dezorientacji, urodzaju na ekstremizmy (dzisiaj) w skażeniu ludzkiego serca grzechem pierworodnym. Długi proces społecznego „oswajania” (stosowne słowo) „złego i niebezpiecznego człowieka” jest czymś w rodzaju angielskiej pielęgnacji trawników, twardych i puszystych jak dywany po latach przycinania i podlewania.

3 marca Wielu zarzuca mi przecenianie czynnika strachu w komunistycznym władaniu. Zwłaszcza w wypadku ludzi wykształconych, inteligentnych, niekiedy tzw. intelektualistów, u których motywy wiary (nowej czy nie) lub zwodzenia tyrana (ketman) odgrywają większą rolę od topornego, prostackiego strachu. Właśnie

„prostackiego”, skoro wymówki pod moim adresem zawsze kończyły się zdaniem „upraszczasz ciężką ręką uczucia bardzo złożone, wymagające subtelności w analizie”.

Odpowiadałem i odpowiadam na te zarzuty, znajdując coraz więcej potwierdzeń dla moich odpowiedzi: rzecz w tym, że strach pod panowaniem komunizmu nie był zwykłym strachem, jaki wywołuje wyraźne zagrożenie; był strachem pełzającym, wszędobylskim, wciskającym się przez „szczeliny istnienia” (żeby posłużyć się określeniem Jolanty Brach-Czaina), często nieuchwytnym, a więc trudnym do opanowania, robiącym z igły widły, krócej - opartym na zasadzie „wszystko może się okazać podejrzanym, a co jest naprawdę podejrzanym, nie daje się bezspornie przygwoździć”. W zatrutej atmosferze niepewności, drobiazgów urastających nagle do ogromnych rozmiarów, słówek, które stają się SŁOWAMI, nie może nie następować stopniowo „permanentne drżenie osobowości” (moje określenie). Taka jest istota strachu wsączanego przez komunizm u władzy do duszy ludzkiej i do tkanki społecznej. Walka z nim wydaje się walką z cieniami czy duchami aż do chwili, gdy cień czy duch przybiera zniecka postać groźnego prześladowcy. Za co zostałeś skazany? - pytano nowo przybyłych do cel w więzieniach sowieckich. Odpowiedź typowa brzmiała: za słowo.

Z otwieranych coraz szerzej archiwów sowieckich wydobyto pamiętniczek moskiewskiej sekretarki Togliattiego (1941-1944). Nina Delnowa Boczenina, żona oficera Czerwonej Armii, była kobietą skromną, dość przystojną, bardzo sentymentalną. Przychodziła codziennie do swojego szefa, który mieszkał i pracował w słynnym hotelu Lux. Rzecz jasna, nie mogła nie współpracować z policją. Ale zakochała się w Togliattim, „ubóstwiała” go, a on odczuwał dotkliwie swoją męską samotność. I oto przez trzy lata, dzień w dzień, siedzą naprzeciw siebie w pokoju hotelowym sparaliżowani: pracują, naturalnie, ale wiedzą, że każdy kamyczek nieostrożnego słowa lub gestu może się zamienić w głąz oskarżenia. I Togliatti, i Nina muszą oczywiście wypowiadać się co jakiś czas przed kominternowskim NKWD, nie mówiąc o „rodzynkach” mikrofonów w ścianach pokoju. Drobnym, i stosunkowo łagodnym, przykładem komunizycznego strachu.

Wielkim przykładem jest cały Lux, wyburzony już pięciopiętrowy hotel dla zagranicznych działaczy komunistycznych w Moskwie. Wybitny dziennikarz i publicysta włoski, Enzo Bettiza, który w swojej karierze kilka lat przemieszkiwał w Moskwie jako wysłannik „Corriere” (w latach pięćdziesiątych, kiedy istniał jeszcze Lux), mój przyjaciel z czasów „Tempo Presente” (przysyłał nam regularnie z Moskwy bardzo ciekawe fragmenty „Diario di Mosca”, dziennika moskiewskiego), podarował mi ostatnio swoją pasjonującą powieść *Ifantasi di Mosca* („Moskiewskie duchy”). Dwa tysiące stron w jednym tomie. Bohaterem powieści jest Lux w roku 1936, po pierwszym procesie moskiewskim. Setki lokatorów wszystkich narodowości (wśród nich Dymitrow i Togliatti), dramatyczna pajęczka sieć, w którą od czasu do czasu wpadają upatrzone ofiary. Cały Lux to strach, strach w stanie stężonym. Opowiadano mi - w powieści Bettizy tego nie ma - że komunista niemiecki Wilhelm Pieck (późniejszy pierwszy prezydent NRD) nazywany był

„grabarzem”: jeśli przestawał się komuś odkłamać na korytarzu albo bez słowa odkładał słuchawkę po czyimś telefonie z pokoju hotelowego, oznaczało to bezbłędnie, że nie chce mieć do czynienia ze współmieszkańcem Luxu, przeznaczonym już na „rozwałkę”, do grobu.

Druga podróż do Polski i Neapol, 3 maja W ramach przygotowań do podróży fragment rozmowy z Kołakowskim w „Rzeczpospolitej”: „Kiedy w panoramicznym skrócie oglądam sobie ostatnie pięć lat, to mimo wszystko, co się tu dzieje - te nieprzyjemne kłótnie, korupcja i złodziejstwo, bieda i bezrobocie - raczej jestem zbudowany. Po pierwsze dlatego, że proces tego straszliwie trudnego przechodzenia do innego systemu obywają się bez skrajnych wstrząsów. Po drugie dlatego, że w końcu Polska nie dostała się pod władzę ciemnych chamów. Oczywiście, nie byłem szczęśliwy z powodu wyniku ostatnich wyborów. Niemniej, nie uważałem ich za katastrofę. Nie ma przecież szans ani woli na to, żeby komunizm przywrócić. Przecież ci ludzie, tzw. postkomunistyczna formacja, nie zamierzają nam zafundować komunizmu. Sami na pewno są zainteresowani w biznesie. Nie mają żadnej ideologii, która chociaż z daleka przypominałaby komunizm. Nie mogą wznowić leninowskiej ideologii, nie mogą i nie chcą jej odzyskać. Nie przypuszczam też, żeby byli szaleńcami. Ich margines swobody nie jest wielki. Nie uważałem ich dojścia do władzy za katastrofę, chociaż oczywiście zachwycony tym nie byłem”.

Beztraska diagnoza autora Obecności mitu nie powinna zanadto dziwić, jeśli się zważy, że najwybitniejsi nawet filozofowie lubią czasem, w przerwach między tytanicznymi zmaganiem z myślą, spojrzeć na „skrzeczącą” rzeczywistość z lotu ptaka, który łagodnymi zakolami szybuje nad światem. Co dziwi, i wystawia nieoczekiwanie Kołakowskiemu świadectwo powierzchowności, to fakt, że autor znakomitej Obecności mitu nie dostrzegł nagłej nieobecności mitu, jego zawalenia się wraz z krachem komunizmu. Pewnie, było wpisane w historię szybkie rozsypanie się „Solidarności” (żaden ruch społeczny o takich rozmiarach nie jest w stanie przetrwać długo jako organizacja), ale wolno było liczyć, że nie zginie natychmiast, nie zostanie wdeptany w ziemię mit „Solidarności”. Istnienie takich mitów (przez lata w Polsce pod podwójną okupacją mit AK, we Francji mit antyhitlerowskiej Resistance, we Włoszech mit antyfaszystowskiej Resistenza), o czym Kołakowski wie, a w każdym razie powinien wiedzieć, jest podstawą odbudowy najpierw zniewolonych, a potem wyzwolonych krajów. W Polsce „postkomunistycznej” dobroczynne działanie tego fundamentu skończyło się prawie natychmiast, po obraniu twórcy stanu wojennego pierwszym prezydentem RP. Czym jest „raczej zbudowany” Kołakowski, pozostanie jego słodką tajemnicą. Powstaniem, po upadku mitu „Solidarności”, dziury, w którą weszła PRL-owska koalicja? „Politycznymi” harcami i gierkami nad tą dziurą „biznesmenów” wszystkich maści, „lewicowych i prawicowych”? Praniem brudów (na wzór prania brudnych pieniędzy) poprzedniego systemu przez cudownie rozmnożone zastępy cudownie nawróconych Wallenrodów?

Na szczęście, prócz „zbudowanego raczej” Kołakowskiego są też i inni: Turowicz, Smolar, Borusewicz, a nade wszystko Jacek Żakowski, autor znakomitego tekstu Coś w Polsce pękło, coś się skończyło, najlepszego chyba tekstu

publicystycznego w III Rzeczypospolitej. Nic to, że zakrzyżanego przez uroczystych i wysoko postawionych kauzy-perdów w imię zasady „inaczej być nie mogło”, jak „inaczej być nie mogło” przy Okrągłym Stole i w okolicach. Nic to, że przez sztukmistrzów paradoksu opatrzonego znakiem wysokiego napięcia z napisem: „Uwaga, pułapka etosu”. Żakowski pisze: „Po latach komunizmu i bez «Solidarno-ści» wylądowaliśmy wszyscy w wielkiej czarnej dziurze, którą mogła zapełnić jakakolwiek reguła: bezwstyd, naga siła, potęga pieniądza. I tak się w jakiejś mierze stało. Władza psuje ludzi, którzy ją sprawują, i trzeba wielkiej mocy, by temu nie ulec. Władza źle zamysłona psuje ich w dwójnasób. Władza pruderyjna i pozbawiona politycznej odwagi może zepsuć państwo, bo łączy rygoryzm słów z per-misywizmem działań. Czy siekiera Wałęsy nie zginęła w Telegrafii, a pryncypialność Unii Demokratycznej w milczeniu na temat premii?”

W tę czarną dziurę wpływać będzie, wypływać z niej i znowu w nią wpływać bezkształtna magma raz takiego, a raz innego koloru; bezkształtna i niezdolna do przybrania jakiegokolwiek kształtu. Wielki Magik i Elektryk oślepiac nas będzie codziennie nowymi genialnymi pomysłami, Wielki Generał i Wallenrodyczny Kabotyn wyprawiać się wciąż będzie in partibus infidelium w asyście cywilnego adiutanta czy giermka z „Solidarności”, aby pogańskich niedowiarków przekonywać o swej śnieżnobiałej czystości Zbawcy Ojczyzny.

Niedawno przeczytałem w „Sole 24 Ore”, włoskim odpowiedniku „Financial Times”, bardzo inteligentną korespondencję z Warszawy o takiej mniej więcej konkluzji: Polska bezspornie robi postępy gospodarcze, być może nawet wybija się na pierwsze miejsce wśród byłych demokracji ludowych, lecz rozwojowi gospodarczemu towarzyszy polityczny bizantyzm. Co korespondent pisma rozumiał przez ów zagadkowy „bizantyzm”? Prawdopodobnie brak wyrazu, brak twarzy w kaście politycznych kapłanów, w „elicie” Czarnej Dziury.

Warszawa, 5-11 maja Na lotnisku, ładnym teraz i funkcjonalnym, siostra z gronem przyjaciół: Julia Hartwig i Artur Międzyrzecki, Irena i Jerzy Morawscy, Michał Komar, Beata Chmiel, Alina Kowalczykova, Piotr Brożyna, Czesław Apiecionek, Zdzisław Kudelski (jutro przyjedzie Włodzimierz Bolecki; on i Kudelski będą mi towarzyszyć w podróży po Polsce).

Tak, nawet podczas przejazdu samochodem z Okęcia do Bemowa (na powrót Boernerowa) widać gołym okiem zmiany na lepsze: ożywienie w budownictwie, dużo samochodów (novum długich zatorów), dużo szyldów firm i fabryczek prywatnych. W milczeniu słucham opowieści o odwrotnej stronie medalu: mafie, gangi, korupcja, przestępczość, kradzieże, „wszyscy biorą, tylko ryby nie biorą”. Nie pada ani jedno słowo o polityce, jakby życie polityczne toczyło się na innej planecie, niech oni się tym zajmują, jeśli koniecznie chcą, MY mamy inne, ważniejsze sprawy na głowie. W pięć lat po odzyskaniu niepodległości...

Wieczorem dziennik telewizyjny jest pokazem nieprzejrzystości informacji politycznej. Nie próbuje się niczego wyjaśnić, serwuje się zbitkę różnych osobistych deklaracji (lekkob podkadzonych), które służą do czegoś (do czego?) deklarującym, a dla słuchających są po prostu sieczką. Drobne migawki „rodzajowe” uprzytamniają

powrót nomenklatury, dygnitarskiej zachłanności, w oprawie pałacyków i domków jednorodzinnych na łonie natury. Jak niegdyś, ma to zapewne wzbudzać zaufanie rządzonych do rządzących; a wzbudza coś wręcz odwrotnego (sądząc z reakcji widzów). Głupota polityków jest nieuleczalna, niezależnie od panującego ustroju.

Na lotnisku jeden z dziennikarzy zapytał mnie, co czytałem w samolocie z Rzymu, sądząc może, że wymienię jakieś podniosłe dzieło literatury patriotyczno-nostalgiczne. A czytałem w „Corriere” artykuł o milczeniu Piusa XII, streszczenie programu telewizji francuskiej opartego na opowiadaniu Jana Karskiego. Bohaterski kurier długo zwlekał z tym wyznaniem, dobrze jednak, że je w końcu wykrztusił. (A może przegapiłem je w Story of a Secret State!) Karski przywiózł był z getta warszawskiego list skierowany do Sikorskiego, który przesłał go papieżowi 14 - Dziennik... (1993-1996)

przez ambasadora Papee. Pius XII zachnął się gniewnie: widocznie wasz generał nie przestudiował uważnie mojego ostatniego przemówienia. Zawierało ono 15-sekundowe wtrącenie ogólnikowe o „cierpieniach ludzi”, bez żadnych specyfikacji.

Druga podróż nie złagodziła bólu pierwszej w roku 1991, bólu nieodnajdywania się, zagubienia w mieście moich studiów uniwersyteckich. Tylko w niektórych, ocalałych lub wiernie odbudowanych częściach miasta nie czuję wyobcowania. Tylko tam - na Starym Mieście, na placu Zamkowym, na Krakowskim Przedmieściu, w okolicach Sejmu, w Łazienkach, do pewnego stopnia na Nowym Świecie i w Alejach - drży struna ewokacji, czasem silnie, czasem ledwie dosłyszalnie. Ulica Żelazna, gdzie mieszkałem, jest dla mnie wyłącznie tabliczką na murze. Trzy lata temu, na obiedzie u Bieleckich, podszedłem w pewnej chwili do okna: podwórko, autentyczne warszawskie podwórko, jakie na obczyźnie widywałem tylko niekiedy w starych monachijskich kamienicach, w uboższych dzielnicach miasta. Byłem tak wzruszony i pewnie blady, stojąc obok okna, że gospodarz zapytał z niepokojem, czy nie położyłbym się na chwilę (serce!). A reszta? Reszta, po wyminięciu nie istniejących rogatek miasta ocalałego lub wiernie odbudowanego, jest miastem stepowym. Szerokie drogi, rzadko pojawia się grupa przechodniów, w oddali budy czy baraki, wieczorem pustka doskonała, nie ma kogo zapytać, gdzie odpowiedni zakręt, a i zapytać niebezpiecznie, bo kto zaręczy, czy cudem napotkany nie czeka właśnie na lekkomyślnych pytających. To się długo, bardzo długo nie zmieni, stepowość wejdzie w krew młodych, którzy żadnych w ogóle wspomnień z dawnej Warszawy nie mają. Trudno się chwilami nie zastanawiać, czy Warszawa dzisiejsza nadaje się w ogóle na stolicę, z tym swoim jądrem „elity”, otoczonym Dzikimi Polami. Działanie stolicy na jej mieszkańców musi być w miarę sprawiedliwe i równo rozłożone. W przeciwnym razie rośnie, zamiast stolicy, administracyjna hybryda o cechach maskary. No, ale nie o tym zamierzałem pisać. Chciałem najprościej jęknąć cicho w najsmutniejszym dla każdego byłego emigranta momencie konfrontacji z utratą przeszłości.

Trzy imprezy pod rząd: podpisywanie książek w księgarni „Czytelnika” (prowadzonej przez Apiecionka), wieczór w Pen Clubie, promocja w „Czytelniku”

pierwszego tomu dziesięciotomowej edycji Pism zebranych i książki Boleckie-go o Innym Świecie.

Dobrze wróżyło podpisywanie książek, ciągnęło się od rana do przerwy obiadowej. (Wróżba sprawdziła się pod koniec pobytu, gdy Henryk Chłystowski oznajmił mi, że w ciągu dwóch tygodni wyczerpano początkowy nakład tomu, dziesięć tysięcy egzemplarzy).

W drugiej i trzeciej imprezie, po krótkiej lekturze Łuku Sprawiedliwości, pytania i odpowiedzi. Uderzyła mnie w nich potrzeba rozmawiania o rzeczach „drażliwych”. Pytania były ostre, pobrzmiwało w nich przeważnie echo moich dzienników, odpowiedzi równie ostre. Skąd ta gwałtowna potrzeba rozdrapywania ledwie przyschniętych ran? Rozmawia się o tym z pewnością w gronie rodziny, wśród przyjaciół, prasa jest wolna, a jednak... Podejrzewam (ale to tylko hipoteza), że działa impuls publicznego rozładowania nastrojów w dialogu z kimś, do kogo ma się (pochlebiam sobie?) pewne zaufanie. Nie jest według mnie prawdą, że nowy układ polityczny po wyborach z 19 września nie był uważany za katastrofę. Był, jakkolwiek nie zaraz i nie dość jasno w pierwszych chwilach. Nasz wybitny filozof Jaruzelski wpoił narodowi „filozofię mniejszego zła”. Formacje rodem z PRL wydały się naraz wielu ludziom mniejszym złem w porównaniu z czterema niezdarnymi rządami po upadku komunizmu. Potem nastąpiło otrzeźwienie, z towarzyszeniem uczucia, że „już za późno”, oprzytomnienie ponieważ. W zabawnej kartce przysłanej z audytorium Pawlak występuje w roli tępowatego „ekonomia folwarku”, a Kwaśniewski w roli „nowego dziedzica”, trzęsącego portkami na myśl, że mu ekonom po chłopsku ucieknie pod kuratelę Kościoła. Wyraźny ślad pozostawiła moja diatryba w dzienniku w związku ze słynnym „przepraszam” Kwaśniewskiego. Z uwagą i zdaje się, że z aprobatą słuchano moich wywodów o konieczności długiej cezury między komunistycznym ustrojem, który upadł, i jego demokratycznym następcą. Specyficznej jaskrawości nabrał ten argument na tle historycznej kampanii „Gazety Wyborczej” przeciw „neofaszystowskiej” fali we Włoszech, kampanii zgranej z „postępowymi” kołami na Zachodzie, dla których w pełni salonfdhig są autentyczni neokomunisty w cztery lata po upadku komunizmu, a nie są nimi rzekomi neofaszyści po półwiekowej kwarantannie politycznej.

(Dopisane później. Podobny charakter miały pytania i odpowiedzi w Lublinie, Wrocławiu, Gliwicach i Krakowie. W Lublinie, w największej auli UMCS, „czerwonego” niegdyś uniwersytetu, spodziewałem się kontestacji - prawdę mówiąc, chciałem jej nawet - a spotkałem się z przychylnym oddźwiękiem zarówno ze strony studentów, jak i ze strony wykładowców oraz słuchaczy ze środowisk poza-akademickich. Przewiduję więc najpierw dalszy wzrost obojętności politycznej - przypuszczalnie znaczny spadek frekwencji w wyborach samorządowych - potem zaś stopniową reorientację polityczną, która zmieni obraz obecnej peerelowskiej RP).

Artur Międzyrzecki, mój towarzysz broni z 2 Korpusu, postanowił penklubowy wieczór autorski przybysza z Neapolu połączyć z rocznicą 50-lecia bitwy pod Monte Cassi-no. Co skłoniło kilka osób do pytań o bitwę.

W ciągu półwiecza nie zmieniałem o niej zdania. Była, po Teheranie, politycznie bezużyteczna; żołnierze wiedzieli o tym lepiej od Andersa, który trzymał się kurczowo wizji trzeciej wojny światowej. Psychologicznie była nieunikniona, żołnierze pragnęli jej równie gorąco jak Anders, który ostatecznie mógł się z niej wycofać za wyrozumiałą zgodą swoich alianckich przełożonych. Przygotowywaliśmy się do niej przez lata na Bliskim Wschodzie, marzyliśmy o niej w namiotach na pustyni, pękłoby coś bardzo istotnego, gdyby została w ostatniej chwili odwołana. Była to bitwa wielka, ofiarna; jestem szczęśliwy, że los pozwolił mi w niej uczestniczyć.

Śród żołnierzy 2 Korpusu mieszkam chyba najbliższym pobojowiska i cmentarza, kiedyś (przed chorobą) wyprawiałem się tam często, sam lub z gośćmi z Kraju. Raz, przed laty, zdarzyło mi się zabrać na Monte Cassino Marię Dąbrowską i Annę Kowalską. „To jest ostatni cmentarz Rzeczypospolitej”, powiedziałem do Dąbrowskiej. Przejęta, skinęła głową i szepnęła cicho: „Ma pan rację, absolutną rację”.

W dwudziestopięciolecie bitwy, jeszcze za życia i w obecności Andersa, ostatni cmentarz Rzeczypospolitej uczcili odprawiane równocześnie między grobami nabożeństwa za dusze żołnierzy wszystkich wyznań. W czterdziestolecie bitwy poprzestano na mszy rzymskokatolickiej, celebrowanej przez kardynała Rubina. Homilię wygłosił prymas Glemp. Stał, nie wiedząc tego, na płycie grobowej Andersa, mówił na swój ulubiony temat „ani jednej kropli krwi polskiej” i dokonał cudu nie byle jakiego: zignorował nazwisko dowódcy. Dziesięć lat temu był to krasomówczy odpowiednik gestu Jaruzelskiego, odwracającego demonstracyjnie głowę od grobu Andersa, by ją pochylić w skupieniu nad sąsiednim grobem Duchy („dozwolonego”), Afront wyrządzony uczestnikom bitwy przez prymasa Glempla naprawił Jan Paweł II w polskim tekście na łamach „Osser-vatore Romano”.

Moja wypowiedź na wieczorze Pen wywołała poruszenie.

Urządnik MSZ zaalarmował swego zwierzchnika, Stefan Frankiewicz zatelefonował do nuncjusza. Ale wydawał się mało realny powrót w ciągu tygodnia zaledwie do starej tradycji nabożeństw wszystkich wyznań.

(Dopisane później. Zdołano jednak sklecić naprędce kadłubowe nabożeństwo ekumeniczne. Jedyny to jasny punkt - mam zatem prawo do dumy! - skandalicznych, błazeńskich wręcz obchodów urządzonych przez najwyższe władze RP).

Na tytułowej stronie „Życia Warszawy” Jerzy Giedroyc wyjaśnił, dlaczego odmówił przyjęcia Orderu Orła Białego. Rzecz jasna, ktoś mnie o oświadczenie Giedroycia zapytał (zdaje się, że na promocji w „Czytelniku”). Oczywiście odmówiłem wyjaśnień do wyjaśnień. Zarazem jednak, przy bardzo żywej reakcji sali, przyjrzałem się krytycznym nieco okiem liście Kawalerów Orła Białego. Na dwóch kolumnach spoczywał opór Polaków pod okupacją niemiecką: na Kościele i na Armii Krajowej; pod okupacją sowiecką sytuacja zmieniła się o tyle, że z Armii Krajowej pozostała w końcu jedynie legenda, wiadomo, o jak ogromnym znaczeniu, jak zaciekle zwalczana przez komunistów, jak przez nich zohydżana i ścigana. Słusznie, że pośmiertnym kawalerem Orła Białego został prymas Stefan Wyszyński. Czy jego

naturalnym towarzyszem nie powinien być generał Grot-Rowecki? Miałem satysfakcję, patrząc na twarze słuchających. Miałbym zapewne innego rodzaju satysfakcję, gdybym mógł zobaczyć twarze wszechwiedzących doradców Prezydenta.

Od Jerzego Morawskiego z „Życia Warszawy” dowiedziałem się, że w Krakowie odnaleziono pękaty zbiór dokumentów „poufnych”, „tajnych”, „tajnych specjalnego przeznaczenia” z lat 1980-1982, które cudem albo przez przeoczenie oszczędził szaf partyjnych piromanów. W wydaniu książkowym byłyby to trzy grube tomy (do przedsięwzięcia przymierza się już „Czytelnik”). Tymczasem do rogu sekretnej obfitości sięgają dziennikarze „Życia”, z Morawskim na czele.

Dokumenty pochodzą głównie z archiwów Rady Ocalenia Narodowego, z MON i z MSW. Wynika z nich bezspornie, że zaczęto przygotowywać „siłową” rozprawę z „Solidarnością” od sierpnia 1980. Czyli, jak zawsze sądziłem, nie mając na to dowodów, projekt „przywrócenia zagrożonego porządku” nie powstał pięć minut przed dwunastą wobec przytkniętego do generalskiej skroni pistoletu sowieckiego, lecz nazajutrz po podpisaniu umów gdańskich; chodziło nie o uratowanie kraju poprzez aplikację „mniejszego zła”, lecz o próbę ocalenia władzy komunistycznej i władców komunistycznych. Określenie „stan wojenny” pojawiło się już jesienią 1980. Odnalezione dokumenty potwierdzają w pełni wywiad z Kuklińskim w „Kulturze”. Tym bardziej należy go trzymać z dala od kraju, gdzie odbywa się właśnie rehabilitacja Jaruzelskiego i Kiszczaka w sondażach opinii publicznej oraz w prawnej „wiatrologii”. Łgarstwa i kręctwa są „wallenrodycznie” nobilitowane, przy wtórze publicystycznej paplaniny.

Znamienne, że krakowskie dokumenty ani grzeją, ani ziębią przeciętnych czytelników. Znowu bierze górę obojętność w obliczu „politycznych łamańców”, zastrzeżonych wyłącznie dla politycznej „elity”. „Niech się bawią, jeżeli im to sprawia przyjemność”. A potem ci sami ludzie, n a pozór obojętni i osowiali, rozpalają się w dyskusjach publicznych, gdy prelegent dotyka czułej struny.

„Elita” wykorzystuje tę pozorną obojętność. Widziałem w telewizji „okrągły stół” na temat lustracji. Sami przemądrzali luminarze o głośnych nazwiskach, a z ekranu lały się strugi bełkotu... O czym? Nie o państwie prawa; o jeszcze jednej „rozbicie” politycznej.

Pozory mylą, bardzo mylą. Jestem zdania, że złe, tchórzliwe, zakłamate, w najlepszym razie wymijające postawienie sprawy rozrachunku z poprzednim ustrojem pęcznieje gdzieś głęboko jak ropiejący wrzód. Który kiedyś pęknie. Chyba że - czego nie wolno wykluczać - Polacy wymykają się cichaczem, gestykulując po drodze dla fasonu, z „pułapki etosu”.

Lublin, 12-15 maja Do Lublina z Włodkiem Boleckim i Jankiem Lebensteinem. W Lublinie u miłych i gościnnych Kudelskich.

Wieczorem do Starego Miasta, starego, jakich już dziś mało, z „kocimi łbami”. Następnego dnia rano Górny Lublin, Zamek, Kaplica Świętej Trójcy, Muzeum (Makowski, Gierymski, Boznańska). Kaplica podoba mi się bardziej jeszcze niż przed trzema laty: sakralność przyziemna, dziwnie lekka przy swojej plastycznej ciężkości.



Lublin jest dla mnie zachwycającym miastem, żyje na swoją miarę, czego dziś nie można powiedzieć o wielu miastach. Spokojny, równy rytm, wschodnie podglebie, naznaczone religijną i narodową tolerancją; idealne miejsce dla takich przedsięwzięć jak „Kresy” czy działalność Jerzego Kłoczowskiego. Im więcej poznaję ludzi (redaktorzy „Kresów”, aktorzy, dziennikarze, młodzi uczeni lubelscy), tym wyraźniej czuję odruch przywiązania, skurcz gardła podobny do zakochania się w Krakowie (od pierwszego wejrzenia w czasie pierwszej podróży). Niezapomniany spacer w południe, w większym gronie, między starymi lubelskimi kościołami aż do urwiska, z którego roztacza się pusty widok: widok nie istniejącej dzielnicy żydowskiej.

W przepelnionym po brzegi Teatrze im. Osterwy miałem formalnie zamknąć lubelską sesję poświęconą „Kulturze”. Zrobiłem to (o czym dalej), ale wieczór zamienił się w obchód „z okazji moich 75 urodzin”, urządony staraniem lubelskiego oddziału ZASP. Dostałem „honorowy medal 75-lecia naszego Stowarzyszenia” (jesteśmy zatem rówieśnikami) z pięknym dyplomem, w którym zacytowano z mojego dziennika tak dla mnie ważny fragment listu Czechowa: „Artysta nie powinien wznosić się na wyżyny sędziego swoich postaci i tego, co mówią, powinien być tylko bezstronnym świadkiem. Ci, co piszą, szczególnie jeśli są artystami, muszą w końcu wyznać, że ten świat jest niepojęty. Ludziom wydaje się, że wszystko wiedzą. Im są głębsi, tym szerszy jest ich horyzont. Lecz jeśli artysta, któremu ludzie wierzą, odważy się przyznać, że nic a nic nie rozumie z tego, co widzi, będzie to wielki krok naprzód”.

Jeden z lubelskich aktorów czyta codziennie (i świetnie!) w radio mój Portret wenecki.

Zamykając lubelską sesję poświęconą „Kulturze”, chciałem odbiec od zwyczajowych kadzidlanych hołdów („Wszyscy wychowaliśmy się na «Kulturze», od Michnika do Wałęsy” - z lichymi, prawdę powiedziawszy, rezultatami). Ograniczyłem się do paru słów o Jerzym Giedroyciu, Wielkim Ogrodniku Literatury Polskiej. Podałem przykład jego wydanej świeżo korespondencji z Gombrowiczem. Tylko Wielki Ogródnik mógł się dwadzieścia lat zajmować z anielską cierpliwością podlewaniem, przycinaniem, okopywaniem, szczepieniem takiego krzewu: potwora egocentryzmu, irytującego i antypatycznego megalomana, w którego zachcianka losu lub Boga tchnęła ducha i dar Artysty.

Rektor UMCS musiał w ostatniej chwili wybraną średnią aulę zamienić na największą, taki był natłok słuchaczy. Nigdy w życiu nie stałem przed audytorium przekraczającym chyba tysiąc osób (przeważnie młodych). Pytania były jaśniej i ostrzej jeszcze sformułowane niż na poprzednich spotkaniach, jakby w ciągu kilku dni dojrzały zawarte w nich problemy; i jakby pytający postanowili naraz, korzystając ze sposobności, wypełnić pewne luki, uniki, zaniedbania czy przeoczenia w wolnej przeciw prasie. Wymiana pytań i odpowiedzi zgęstniała, nabierając chwilami trochę dramatycznego tonu. Trochę dramatyczne, na przykład, było pytanie skierowane do mnie nie po raz pierwszy, powtarzające się od początku mojej podróży: „Czuję się oszukany jako czytelnik pana książek; oszukany poparciem,

jakie pan dał Unii Pracy". Moja powielana niemal odpowiedź: „Popełniłem błąd, którego nie powtórzę. Myślałem, że Unia Pracy będzie przyzwoitą, umiarkowaną i niezależną partią socjaldemokratyczną, która nie dopuszcza nawet myśli o zbliżeniu do eks-komunistów i ich koalicyjnych współników, aby korzenie zapuścić w historii, tradycji i postawie PPS. Taka partia jest Polsce potrzebna. Unia Pracy okazała się niezdolna do odegrania podobnej roli, zabawiła się natomiast w komedijkę na nutę «i chciałabym, i boję się», godząc się na prywatny (!) udział ministra Pola w rządzie". (Dopisane po 19 czerwca. Porażka UP w wyborach samorządowych dowodzi, że jedna trzecia głosujących też miewa coś do powiedzenia).

Powrót do Warszawy z Jankiem Lebensteinem i Włodkiem Boleckim. Las, las, tyle lasu nie widuje się we Włoszech. Wtem pociemniało, spadła gwałtowna ulewa, a raczej oberwała się chmura. Jechaliśmy wolno szosą-rzeką. Warszawa ciągle dla mnie mało uchwytna, ale przynajmniej obmyta, ładna, świeża.

Warszawa, 16-17 maja Wczorajszy poranny ból serca był znakiem ostrzegawczym. Zapomniałem w rozpedzie o chorobie. Dwa dni od-sapki.

W domu list od Józefa Oleksego, Marszałka Sejmu: „Pana twórczość pisarska i publicystyczna, mimo barier, z uwagą była śledzona w Ojczyźnie i odcisnęła piętno na jej życiu kulturalnym. Oddalenie często ułatwia głębszą i szerszą ocenę zakoli historii". Odpoczywając w fotelu, zastanawiałem się, co by o tym powiedział Sławek Mrozek. Prawdopodobnie ułożyłby króciutką bajeczkę: „Krasnoludki ustawiły nocą bariery, po czym nasikały do mleka, żeby prędzej skwaśniało".

Wrocław, 18-21 maja Samolotem do Wrocławia z Boleckim i Kudelskim. Na lotnisku Bogdan Zdrojewski, prezydent miasta, dwie poetki, Urszula Koziół i Wisława Szymborska, Karol Modzelewski, redaktor „Odry” Mieczysław Orski.

Prezydent Zdrojewski jest wybornym, zdumiewającym znawcą Wrocławia, nawet szybki objazd w jego towarzystwie i z jego objaśnieniami pozwala od razu wiele zobaczyć. Miasto dziwne i w osobliwy sposób pociągające, z innego kręgu cywilizacyjnego, nie tyle „odzyskane”, co dzień po dniu „zdobywane”, także w sensie architektonicznym. Na każdym kroku reminiscencje Monachium, w jednej dzielnicy odżył po prostu Schwabing (łącznie z moimi tam nocnymi włóczęgami). W ładny, słoneczny dzień napierają ze wszystkich stron dwa żywioły: zieleń i młódzież.

Zamieszkaliśmy w przyjemnym hoteliku o miłej dla mojego ucha nazwie Zaulek. Związany z Uniwersytetem i przeznaczony dla jego gości, głównie cudzoziemców.

Wieczorem na kolacji u Urszuli Koziół i jej męża Feliksa Przybyłaka (germanisty), w mieszkaniu zavalonym na podłodze książkami, jakby należało do pary wiecznych studentów. Jest też Wisława Szymborska, która do Wrocławia przyjechała z Krakowa na kilka dni. Te dwie wybitne i urocze poetki, nie pozbawione przy tym ducha opiekuńczego, będą patronowały naszemu pobytowi we Wrocławiu.

Nazajutrz rano, w deszczową pogodę, dyrektor Adolf Juzwenko zabrał nas do Ossolineum. Oczywiście ogląda się z radością skarby biblioteki: rękopis Pana Tadeusza, rękopisy Sienkiewicza i Żeromskiego, a nade wszystko cudowny, po

mistrzowsku skomponowany zielnik Orzeszkowej (tak, zielnik może być dziełem sztuki). Ale, bez żadnej przesady, prawdziwym skarbem Ossolineum jest jego klimat: ofiarnej, pełnej zapału i oddania, źle płatnej pracy; klimat dawno minionej epoki. Dlaczego - pyta dyrektor Juzwen-ko - Lwów nie chce nam oddać kompletów międzywojennych gazet i czasopism polskich? Istotnie, dlaczego?

Podpisywanie książek w księgarni Wydawnictwa Dolnośląskiego, potem obiad u wojewody. Jakies pięć lat temu widziałem w telewizji włoskiej reportaż z Wrocławia, dość niepokojący, żeby nie powiedzieć więcej; starsi mieszkańcy miasta nie ukrywali swych obaw po tylu latach: a może nas któregoś dnia stąd wyrzucą? Wojewoda zapewnił, że lęki przesiedleńców należą już do przeszłości; młodszy i zupełnie młodzi wrastają w miasto, nawet im do głów takie myśli nie przychodzą. Mój sąsiad z prawej, Karol Modzelewski, przytakiwał energicznie.

Wieczorem na Uniwersytecie, w pięknej Aula Leopolda-na, tradycyjne już spotkanie z czytelnikami. Znowu pełno i znowu przewaga młodych twarzy. Miałem wrażenie, a może złudzenie, że jeszcze bardziej wzrosła temperatura pytań, jak gdybyśmy wchodzili w nowy wymiar niczym nie ograniczonej otwartości. Złudzenie, z pewnością złudzenie, ale przyznaję, że sprawiło mi przyjemność.

20 maja 1991, w 72 rocznicę moich urodzin, odebrałem doktorat honoris causa na UAM w Poznaniu. Dokładnie trzy lata później, 20 maja 1994, w „okrągłą” 75 rocznicę urodzin, w Sali Senatu na Uniwersytecie Wrocławskim wręczono mi nagrodę „Odry” i złoty medal Uniwersytetu. Przemówili redaktor Orski i rektor Wrzesiński; „laudację” wygłosił Bolecki.

W podziękowaniu powiedziałem o szczególnej satysfakcji, jaką dała mi nagroda właśnie „Odry”. Nawet w najgorszych latach miesięcznik wrocławski potrafił zachować atmosferę względnej (o innej nie mogło być mowy) niezależności i czystości. Czyżby działał wrocławski humus kulturalny?

Bo tutaj przecież wychodziły, krótko co prawda, „Zeszyty Wrocławskie” pod redakcją Anny Kowalskiej i Tadeusza Mikulskiego. W powojennym Londynie wyławiałem je zawsze jako pierwsze z paczki czasopism przysyłanych mi do przeglądu prasy krajowej przez Grydzewskiego. A ponieważ był to okres zwątpienia, czy na obczyźnie pisarze zdołają długo kultywować język ojczysty, mam wobec „Zeszytów Wrocławskich” pewien dług osobisty: tam mianowicie przeczytałem tekst o tym, jak Conrad z bezbłędną intuicją sugerował Leonowi Piwińskiemu poprawki w tłumaczeniu polskim noweli (neapolitańskiej zresztą!) // Confe...

Na obiedzie wydanym przez Jana Stolarczyka, dyrektora Wydawnictwa Dolnośląskiego, siedziałem między Wisławą Szymborską i wrocławskim polonistą Czesławem Herna-sem. Poznałem go wtedy, choć - jak się okazało z rozmowy - łączyły nas pewne potajemne związki w latach wszechwładzy „ludowych” cenzorów.

Następnego dnia, spełniając prośbę dyrektora Janusza Hermansdorfera, pojechałem do Muzeum Narodowego, gdzie w małej sali Lebensteina przeczytałem zwięzły o nim tekst Wieczne pogranicze Jana Lebensteina. (Po tygodniu

przeczytałem go również w warszawskiej galerii Kordegarda, jako wprowadzenie do dialogu z siedzącym obok mnie malarzem i przyjacielem, z okazji promocji jego teki gwaszów).

Gliwice, 22 maja Do Gliwic zabrał nas z Wrocławia długoletni przemysłowiec książek emigracyjnych do Polski. Jan Mazurkiewicz założył na centralnym placu gliwickim dużą kawiarnię piwniczną; kiedy się nadarzy sposobność, urządza w niej poranki czy wieczory literackie przyjezdnych pisarzy.

Mój brulion dziennika staje się odtąd dość skąpy. Lakoniczne zdania w rodzaju „dobre spotkanie z plus minus dwiema setkami czytelników”, „późne popołudnie na rynku w Gliwicach, słoneczne, łagodne”, wreszcie oderwane słowo „amnezja”. Zdaje się, że rozmawialiśmy między innymi o amnezji, a ja pamiętałem fragment czytanej właśnie wieczorami książki Jerzego Jedlickiego *Źle urodzeni*. Uderzył mnie w niej fragment: „Nie wydaje mi się godny propagowania, na użytek niewinnej młodzieży, ideał historycznej amnezji. Dzieje ludzkie są straszliwym pasmem kolektywnych, instytucjonalnych zbrodni i może nie trzeba zbyt łatwo udzielać zbiorowej absencji... Lekkość historii zdaje mi się nie mniej nieznośna niż jej upiorny czasem ciężar”. Być może mówiłem o „ciężarze historii”, dziś ochoczo rozmienianym na lekką drobnicę za zgodą wykołowanego społeczeństwa, które mruczy pod nosem tresowane przez nowych władców z „demokratycznej lewicy”: „Odpowiedzialni pomarli, nie ma ich wśród nas, więc niech już będzie między nami tak, jak gdyby nic się nigdy nie stało” (to też Jedlicki, który jest bardzo uwrażliwiony na robienie z historii narodowego kosza na odpadki).

Kraków, 23-26 maja Z Gliwic jechaliśmy do Krakowa przez Zabrze, Chorzów, Katowice. Zdziwiająco dużo lasów. Wjechaliśmy do Krakowa przed zmierzchem, wciąż jeszcze grzało mocno słońce. Jaki piękny jest Kraków, z daleka korona Wawelu, w dole niebieska żyła Wisły, przyjazne ulice, kamienice naładowane ludzkim zadomowieniem (dziwne, jak to widać po oknach).

Na Dietla, do Żuka Opalskiego, jego siostry Aleksandry i pani Marii. Ich mieszkanie - połączenie muzycznego pokoju Żuka ze swoistym gabinetem starożytności całej reszty - przypadło mi do smaku przed trzema laty, a teraz, może pod wpływem zmęczenia, podbiło mnie całkowicie. Tak mieszkać w Krakowie! W mieście drgającym wszystkimi fibrami historycznymi w życiu codziennym, wibrującym swoją nieustanną obecnością w powietrzu i w starych murach, a równocześnie sprzyjającym odosobnieniu, gdy przychodzi na nie ochota albo gdy się odczuwa jego potrzebę, po nasyceniu. (Wtrącenie późniejsze. W czerwcu źródłem analogicznych wzruszeń była dla mnie Lucca).

Z tych trzech dni przedpołudnia poświęciłem na spacer. Łażenie na luzie, zaglądnienie do kościołów, przesiadywanie na skwerach, wpatrywanie się z góry w rzekę. Przejrzysta, harmonijna delectacja.

Szara, ciężka pogoda wypadła w dniu przeznaczonym na Kazimierz. I było to jakoś w zgodzie z atmosferą dawnej, dzielnicy żydowskiej, którą Fundacja Nissenbaumów dopiero odbudowuje z nadzwyczajną szybkością i starannością. Zachwyca szczególnie synagoga-muzeum.

Publiczne spotkanie dyskusyjne w jednej z licznych piwnic krakowskich pod batutą Elżbiety Koniecznej, udane, jak sądzę, i ciekawe. I sporo zetknięć prywatnych. Wizyta w pracowni bardzo interesującego malarza Stanisława Ro-dzińskiego. Przyjacielska pogawędka z Tadeuszem Chrzanowskim. Kawa z redaktorami „Arki”. Obiad z kielecką polonistką Ireną Furnal (za tydzień trzydniowa sesja naukowa w Kielcach i Opatowie na temat „Życia i twórczości Witolda Gombrowicza” oraz „pisarstwa G.H.-G.”, pokrewieństwo wyłącznie geograficzne). Wizyta w „Tygodniku Powszechnym” i kolacja u państwa Okońskich.

W „Tygodniku” (Turowicz, Fiałkowski, Szczepański, Chrzanowski, Skwarnicki, Mamon, Romanowski) siedziałem naprzeciwko ściennego portretu Franciszka Józefa i mogłem w skrzyżowaniu opinii śledzić, jak nadal przeplata się tu śmiałość (rosnąca ostatnio, zwłaszcza w artykułach Turowicza i w wywiadach Okońskiego) z ostrożnością (często doprawdy przesadną). Na tygodnikowej pustyni (tylko „Politykę” wolno zestawiać z pismem redagowanym przez Turowicza) „Tygodnik Powszechny”, uniezależniony, o ile wiem, finansowo, nadawałby się do odegrania w peerelowskiej RP większej roli niż ta, jaką od lat w Polsce, z pochwałami i należnymi hołdami, odgrywa. Ale prócz składników, o których z podziwem wspominałem wyżej, krakowskie powietrze ma znaczną domieszkę słabości do galicyjskiego „jakkolwiek, tym niemniej”.

Na kolacji u państwa Okońskich (rodziców mojego ulubionego reportera i „wywiadowcy” Michała) brylował senator Krzysztof Kozłowski, najwyraźniej gustujący w swoim senatorskim stolcu. Dowcipny, elokwentny, stawał się „milczanowski”, ilekroć biesiadnicy z nadmiernym wścibstwem dopytywali się o jego byłe ministerstwo. Zgorzkniałym prozaikom polskim, od pięciu lat odwróconym programowo plecami od tego, co się w ich kraju dzieje, podsuwam bezpłatnie pomysł: powieść polityczną o następcach Kiszczaka, zafascynowanych nim i jego twierdzą ministerialną, pod nader skromnym tytułem MSW i okolice; coś w rodzaju współczesnego Generała Barcza.

Warszawa, 27 maja-4 czerwca Życzenia od ministra kultury i sztuki w ciepłym, serdecznym tonie. Taki był ton moich rozmów z Kazimierzem Dejmkiem w Neapolu, wkrótce po październiku 1956. W ciągu tygodnia widywaliśmy się codziennie, zgadzaliśmy się w większości pilnych wówczas kwestii, posunęliśmy się nawet do szkicowania wspólnych projektów inscenizacyjnych.

Zaszokowała mnie jego pierwsza ministerialna enuncjacja o „kabotyństwie” aktorskiego bojkotu po ogłoszeniu stanu wojennego. Jeżeli już koniecznie chcemy mówić o kabotyństwie, to kabotyński jest raczej oskarżyciel niż oskarżeni. Jak Wielkim Wallenrodycznym Kabotyńcem był (i jest nadal) ukochany przez Dejmka Generał.

Zaszokowała mnie również hojna subwencja ministra (milion dolarów) dla nowo założonego tygodnika „Wiadomości Kulturalne”, gdy robią bokami i potrzebują pomocy istniejące pisma literackie. Ma to być, jak rozumiem, ministerialny „organ” (ministrowie lubią własne „organy”). Pojawił się najpierw na murach w formie plakatu, obok głupich, smarkaczowskich plakatów „Gazety

Wyborczej". Pierwszy numer jest beztreściwą szmatką, na którą wystarcza kwadrans lektury. Z artykułem wstępnym redaktora, bezczelnym i bezwstydnym dla pamiętających jego felietonową przeszłość.

Prasa daje pojęcie o stanie politycznym „elity”. Obok fajerwerkowej (często w najgorszym stylu) „Gazety Wyborczej” poważny dziennik oficjalny (lub pół) „Rzeczpospolita”, do którego przenika już dzień po dniu „mowa rządowa”. Nie drętwa, jak za dawnych czasów, lecz nadęta, tak strasznie nadęta, że Pawlak i jego ministrowie robią wrażenie chorych na chroniczne zatwardzenie. Czas zająć się na serio nowym językiem nowej władzy, by potwierdzić słuszność uwagi Orwella: język, którym władza porozumiewa się z podwładnymi, psuje się nieuchronnie, kiedy rządzący albo nie mają nic istotnego do powiedzenia rządzonemu, albo starają się ukryć to, co myślą naprawdę. W naszym rodzimym wypadku jedno i drugie razem, ślepy trzyma się niewidomego, jak w słynnym obrazie Bruegla.

Po przeciwnej, prawej stronie konfiguracji politycznej jeszcze gorzej, walka nastroszonych kogutów o utraconą niespodzianie grzędę, która pozwalała głośniej gdakać i jeżyć zwycięsko grzebień. Unia Wolności (okropna nazwa, podobno wymyślił ją Balcerowicz, biegleszy w ekonomii niż w języku) rozbiegnie się niebawem po całym kurniku, liberałowie wrócą do zapładniania kur złotymi jajkami, najgłośniej i bez żadnych widomych rezultatów piąć będzie dalej na wszelkie możliwe nuty Kaczyński, szkoda tylko Olszewskiego, z którego bieg wypadków zrobił przysłowiową śliwkę w przysłowiowym...

15 - Dziennik... (1993-1996)

Czesław Bielecki przeniósł się z rodziną do Bartoszewki pod Warszawą, zbudował tam pomysłowy i wygodny dom, kupił kawał ziemi, codziennie dojeżdża ze wsi do swego biura architektonicznego w Warszawie. Jedziemy do niego na obiad z Boleckim. Umysł ma jak dawniej sprawny (szkoła „z celi do celi” nie poszła na marne), nie przestaje przy kierownicy perorować, ale każda jego celna uwaga upewnia mnie, że nie pasuje do niemrawego, leniwego sposobu uprawiania polityki w Polsce.

Na poobiednią kawę siostra Marii Bieleckiej, żony Czesława, przywiozła z Warszawy stryja, księdza Jana Twardowskiego. Ten niezwykły poeta i aforysta, łączący znakomicie ironiczny uśmiech z pogodą głębokiej wiary, był podczas mojego poprzedniego pobytu w Warszawie obłożnie chory, musiałem więc z prawdziwym żalem zrezygnować z odnowienia naszej przedwojennej znajomości. Odnowienia znajomości to za dużo, bo znałem go tylko z czytania. W piśmie młodzieży szkolnej „Kuznia Młodych” prowadził już jako student stały poradnik literacki, uchodził bowiem na szczyblu młodzieżowym za wielkiego i dojrzałego konesera. Miałem chyba piętnaście lat, kiedy zdecydowałem się posłać do poradnika Jana Twardowskiego moją pierwszą w życiu nowelkę. Odpowiedź pamiętam do dziś, takich rzeczy się nie zapomina: „Kompozycja bez zarzutu, ale treść słaba i banalna”. Ksiądz Twardowski z dobrotliwym uśmiechem pocieszał mnie po sześćdziesięciu latach, że odpowiedź była jak szklanka, dla niego do połowy pełna, dla mnie w połowie pusta. W rewanżu za dwa ostatnie tomiki z dedykacjami wpisałem mu

dedykację: „Księdzu Janowi Twardowskie-mu, który wprowadził mnie do literatury”.

Początek czerwca, ostatnie dni w Warszawie.

Dość dobrze pamiętam nie istniejącą już kamienicę na Królewskiej. Wchodziło się na drugie lub trzecie piętro, mosiężna tabliczka na drzwiach, cisza za drzwiami. W solidnym mieszczańskim mieszkaniu państwa Liberów wynajmował mały pokój na końcu amfilady Ludwik Fryde, nasz mistrz i nauczyciel. Przychodziliśmy do niego często - Król, Andrzejewski, Lichański, Sobierajski, ja - zażenowani, gdy wypadało przejść przez stołowy z rodziną przy kolacji. Łagodził nasze zakłopotanie Zdzisław Libera, magister polonistyki, kolega uniwersytecki Ludwika.

Zdzisław jest dziś emerytowanym profesorem polonistyki UW i prezesem Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. Z jego rąk otrzymałem, na uroczystości w Pałacu Staszica, dyplom honorowego członka Towarzystwa. O kamienicy na Królewskiej, o Ludwiku zamordowanym przez Niemców myślałem, słuchając bardzo wnikliwej i wyczerpującej prelekcji Profesora o moim pisarstwie. Odpowiedziałem garścią uniwersyteckich wspomnień polonistycznych. Przy długim stole siedzieli purpuraci warszawskiej polonistyki. Wiek wiekiem, a odruchy odruchami: trudno mi było chwilami nie widzieć w nich gremium egzaminacyjnego, tyle że z wyrazem przyjaznej życzliwości na twarzach zamiast zwykłej surowości.

Z Pałacu Staszica przeszliśmy do pobliskiej siedziby KIK na Kopernika, gdzie Paweł Kądzielą urządził promocję drugiego wydania mojego tomu Wyjścia z milczenia (Biblioteka „Więzi”). Promocja odbyła się szybko, liczni słuchacze chcieli rozmowy z autorem. Udało mi się więc wdrożyć już zamiłowanie do publicznego dialogu. Co więcej - niemal pewny byłem na podstawie pytań i sposobu ich stawiania, że uczestnicy zebrania w KIK wiedzieli sporo o moich poprzednich spotkaniach i dialog posunęli naprzód, do punktu, w którym staje się on czymś więcej niż tylko wymianą zdań.

W dwa dni później spędziłem całe przedpołudnie na rozmowie z zespołem redakcyjnym „Więzi”. Doświadczenie niezwykle, budujące w pełnym tego słowa znaczeniu. Redaktor „Więzi”, Stefan Frankiewicz, mój przyjaciel od czasów, gdy pracował w polskiej edycji „Osservatore Romano” w Rzymie, ma prawo być dumny ze swego inteligentnego i rozumnego zespołu. Miesięcznik, kiedyś zacny, lecz nudnawy, należy dziś do czołówki polskich periodyków.

Po rozmowie z redakcją „Więzi” zjadłem na Krakowskim obiad z Marysią Ofierską i Włodkiem Boleckim. Mądra i szlachetna Marysia powiedziała w pewnej chwili: „Jaka kruchość i dwuznaczność tego, co się dziś w Polsce robi”. Wiedziałem, że zapamiętam to zdanie.

W przeddzień odlotu otworzyłem wieczorem telewizję. Trafiłem akurat na rozmowę z Prezydentem RP. Wałęsa zapowiedział, że zamierza zgłosić po raz drugi swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich i z samozadowolenym uśmiechem dorzucił: „Oczywiście wygram, bo zawsze wygrywałem, ale pod warunkiem, że politycy będą mi posłuszni”. Ta przykra (i lekko komiczna zarazem) wysypka pychy budziła więcej politowania niż jakichś realnych obaw; przypominała pogroźkę szefa

bandy podwórkowej, który od swoich chłopców wymaga ślepego posłuszeństwa (polityka „podwórkowa” zresztą góruje w książce Torańskiej My). Wracalem z pociechą i nadzieją w sercu, że Wałęsa pozostanie taki do końca swojej kariery politycznej.

Błogosławiona, święta W ciągu roku moje stosunki z największą gazetą południa Włoch, „Sud”, rozszerzyły się i umocniły na tyle, by redakcję skłonić do wydobycia mnie z ciasnych ram pierwotnej „specjalności”. Moją „specjalnością”, przestrzeganą dotąd przez gazetę i jej dorywczego współpracownika, były polityczne problemy Europy Wschodniej i Rosji. I oto redaktor naczelny zaprosił mnie na kawę do swojego gabinetu, oznajmiwszy od progu: „Jest pan pisarzem, nie może pan się kisić w tej wąskiej, coraz węższej ostatnio, przegrodzie. Mam dla pana propozycję, na początek związaną częściowo przynajmniej z pana krajem ojczystym i z europejskim Wschodem”.

Położył przede mną depeszę agencyjną, po dziennikarsku związłą, z której nie skorzystały, zdaje się, inne gazety.

- Rzecz, jak pan widzi, dzieje się w miasteczku Macera, położonym wysoko nad Potenzą. Jeden tylko autobus z Potenzy obsługuje od rana Macerę, około dziesięciu kilometrów stromej i dość wyboistej drogi. Wraca po zmroku na noc do Potenzy. Wynajmiemy panu pokój w dobrym hotelu blisko przystanku autobusowego. Nie ma żadnego pośpiechu. Według mnie sprawa jest delikatna i dość nawet drażliwa, więcej w niej materiału na opowieść niż na cykl reportaży. Jeśli pana propozycja zainteresuje, to niech pan odszuka dostępne dane w Neapolu i zawiadomi nas, od kiedy zamówić hotel w Potenzy.

Nie było takie proste „odszukanie dostępnych danych w Neapolu”. Po pierwszej i jedynej próbie okazała się konieczna krótka wyprawa do Rzymu. Depesza agencyjna, którą przeczytałem wielokrotnie (w końcu znałem ją prawie na pamięć), zawierała, jak zwykle w depeszach agencyjnych, suchą relację, podobną do oskrobanego do czysta szkieletu żywego stworzenia.

Młoda dziewczyna, Marianna K., rodem z wsi podkielec-kiej, została przed wybuchem wojny domowej w Jugosławii zaproszona do Goraźde przez siostrę, która pod koniec wojny światowej wyszła za mąż za poznanego na robotach w Niemczech lekarza bośniackiego. Małżeństwo miało dwie córki bliźniaczki, znacznie starsze od Marianny. Lekarz i jego żona (również lekarka) zginęli na ulicy od kul serbskich strzelców wyborowych. Trzy dziewczyny - córki doktorowej w wieku około trzydziestu lat i jej siedemnastoletnia siostra - wpadły w ręce żołnierzy serbskich podczas „obławy etnicznej”. Więzione w baraku dla kobiet do dyspozycji żołnierzy serbskich, przez cztery miesiące były co noc gwałcone, na miejscu lub w żołnierskich kwaterach. Córki lekarza bośniackiego i jego polskiej żony zdołały odebrać sobie życie (jedna była ciężarna) natychmiast po zwolnieniu ze „służby”. Marianna była również w ciąży i postanowiła urodzić dziecko, i z własnej woli, i zaklinana przez włoskiego zakonnika katolickiego z misji w Sarajewie. Ów duchowny, z pomocą swych braci w Potenzy, załatwił jej wyjazd do Włoch. Ksiądz z miasteczka Macera nad Potenzą przyjął ją do siebie i powierzył opiece swej starej matki na plebanii.



Upór, z jakim szykowała się do urodzenia dziecka gwałtu, każdą wolną chwilę spędzając w kościele na modlitwach, zyskał jej podziw mieszkańców Macery (nie wiadomo, czy wszystkich). Jej czciciele nazywali ją Beata albo wręcz Santa.

Przydomek nie był wynalazkiem bogobojnych mieszkańców Macery. Pojawił się najpierw w bezimiennej notatce Biuletynu Biskupstwa w Potenzy; stamtąd notatka przeniknęła, w formie przedruku, na poważniejsze łamy Biuletynu Arcybiskupstwa w Neapolu. W ten sposób nabrała posmaku sugestii niemal oficjalnej, w każdym razie parafowanej przez arcybiskupa-kardynała.

Miałem w Neapolu znajomego księdza, „kawalera pióra”, jak sam siebie nazywał, czyli grafomana marzącego o druku swoich okropnych wierszy „religijnych”, ale niezdolnego do wyjścia poza opisy uroczystości kościelnych w Biuletynie Arcybiskupstwa. Po długich naleganiach zdradził „redakcyjną tajemnicę”: zarówno druk notatki w Biuletynie Biskupstwa w Potenzy, jak jej przedruk w Biuletynie Arcybiskupstwa w Neapolu był dziełem „wysokiego dostojnika” watykańskiego. Niechętnie, prosząc o zachowanie sekretu, podał mi jego nazwisko. Nie mogłem nawet marzyć o stanięciu przed surowym obliczem purpurata, ale przypadkowo dowiedziałem się, że jego sekretarz osobisty, ksiądz V., jest czytelnikiem moich książek. To uprościło sprawę. W zamian za obietnicę dedykacji zgodził się na spotkanie w kawiarni koło Bramy Świętej Anny.

Młody ksiądz V. zrobił na mnie sympatyczne wrażenie: ruchliwy, „wszechwiedzący” („za Spiżową Bramą trzeba wszystko wiedzieć”), o żywej inteligencji, prelude spotkania poświęcił interesującym uwagom o moim pisarstwie. Potem podpisał mi przyniesione książki. Wreszcie wydukałem nieśmiało: „Ja także miałbym pewną prośbę”. Z początku zmarszczył dość groźnie brwi, domyśliłem się jednak, że należy to do urzędowego rytuału. W samej rzeczy, po delikatnym naciśnięciu, otworzyły się rozmówcy krynice jego wiedzy, z niezbyt zamaskowanym zadowoleniem informatora „tak znanej i szanowanej osobistości”.

Jedno wiedział z całą pewnością: jego zwierzchnik wysłał rekomendacje do biskupa Potenzy i arcybiskupa Neapolu, zachęcony przez kogoś znacznieszego od niego w hierarchii kościelnej. Nie wiedział natomiast przez kogo, a w każdym razie zapewniał, że nie wie, zbywając urażonym lekko milczeniem moje domysły.

Przed pożegnaniem odczuł nagle potrzebę zrekompensowania mi poważnego (jak sądził) zawodu. Wiele przemawiało za tym, że w młodej ciężarnej Polsce, która postanowiła z matczyną miłością wydać na świat dziecko gwałtu, Watykan widział przykład. *Un preclaro esempio della virtù cristiana\**, dodał i podniósł się od stolika.

Ledwie wróciłem z Rzymu do Neapolu, przyjąłem propozycję redaktora „Sud” i podałem datę mojego wyjazdu do Potenzy.

Potenza jest brzydkim miastem. Ciekawe, że we Włoszech miasta średniej wielkości są albo bardzo piękne, albo bardzo brzydkie, jak gdyby natura włoskiej urody uznawała tylko ekstremy. Piękno posiada w miastach włoskich swoje wyraźne historyczne centrum i jego małe pochodne od do-okolnych dzielnic aż do peryferii. Brak historycznego centrum bądź jego nijakość banalizuje i szarością powleka resztę miasta. Chodzić po nim to tyle, co ocierać się o obrazy niewarte oglądu i pamiętania.

Atrakcją Potenzy, a raczej jej dość odległych okolic, jest postać szesnastowiecznego madrygalisty i zbrodniarza, Carlo Gesualdo, księcia Venosy. Zdaniem znawców (między innymi Aldousa Huxleya), był jednym z najświetniejszych kompozytorów madrygałów, zdaniem kryminologów mało miał sobie równych w okrucieństwie. Zaaranżowawszy podstępnie w alkowie swego pałacu neapolitańskiego zradę (od dawna podejrzaną) urodziwej i młodszej od niego żony, kazał sługom nie tylko zabić, lecz posiekać kochanków na drobne kawałki. Zbiegł poza zasięg jurysdykcji neapolitańskiej, do rodzinnego majątku Venosa na zachód od Potenzy. Książki o nim, jego podobizny, albumy Venosy, bohomyzy przedstawiające scenę zbrodni, poematy ludowych cantastorie, płyty z nagraniami madrygałów są Najjaśniejszy przykład chrześcijańskiej cnoty.

w mieście głównym artykułem turystycznym. I zapewne jedynym tytułem do chwały.

Hotel znajdował się rzeczywiście obok przystanku autobusowego, ale przyjechałem do Potenzy zbyt późno, by ryzykować przed wieczorem wyprawę do Macery. Zatelefonowałem jedynie na plebanię. Matka księdza, a potem sam ksiądz nie ukrywali zadowolenia na wiadomość, że jestem Polakiem: „Nareszcie będzie mogła rozmawiać w swoim ojczystym języku”.

Znała istotnie tylko parę zdań serbsko-chorwackich, a dwumiesięczny pobyt we Włoszech nauczył ją tej szczególnej mowy włoskiej obcokrajowców „o twardym uchu”, która jest mieszaniną zniekształconych słów i pomocniczych gestów. Jej radość na mój widok była tak niepohamowana, że chwyciła mnie za rękę, musnęła wargami mój policzek i powtarzała: „Mój Boże, dzięki Ci, Boże”, jakbym był jej krewnym. W pewnym sensie byłem. Pochodziła z tych samych stron, jej ojciec był leśniczym w rejonie Zagnańska, w połowie drogi między Kielcami i Suchedniowem.

Siedzieliśmy w dobrze ocienionej altanie obok plebanii, był koniec sierpnia, nie skończył się jeszcze żar solleone. Z początku milczała, gładziła moją rękę, co jakiś czas ocierała chusteczką oczy i wciąż szeptała swoje „Mój Boże, dzięki Ci, Boże”. Była, jak mi po przywitaniu powiedział na ucho ksiądz Piętro, w piątym miesiącu ciąży (dodał też natychmiast ciszej: „nazywamy ją Beata, Santa, ale gniewa ją ta nazwa”). Jej półgodzinne chyba milczenie pozwoliło mi ją spokojnie obejrzeć.

W twarzach Polek częstsza stosunkowo, w porównaniu z innymi kobietami, jest miła i ujmująca przeciętność. Nie są ani piękne, ani brzydkie, są - jak zwykle się mówić - przyjemne. Kto wie, czy Madonny nie powinny być wzorowane na takich właśnie twarzach, bez renesansowej nadmiernej słodyczy lub posępnej gotyckiej dramatyzacji. Gdy patrzyłem na opartą o słupek altany Mariannę (wolała stać niż usiąść na leżaku), przyszła mi na myśl Brzemenna Madonna Piera delia Francesca z kaplicy w Monterchi: starsza od niej naturalnie, ale o twarzy z chłopską przyjemną, bardzo regularną w rysach i bardzo prostą w wyrazie przenikliwych oczu. Albo może to skojarzenie wywołał fakt, że Marianna miała dokładnie tak jak w obrazie włoskiego mistrza rozpiętą na brzuchu suknię; parę luźnych guzików, podkreślających jej stan w sposób, który kazał podejrzewać bliskość rozwiązania (a wiedziałem, że jest dopiero w piątym miesiącu). W tym wizerunku pominąłem

jednak najważniejszą cechę: i w twarzy, i w figurze była ledwie wyrosniętą dziewczynką, co szczególnie uderzało w układzie jej ust, co jakiś czas, przelotnie, skrzywionych grymasem płaczu, lekkim drzeniem warg; jej oczy zasnuwała wtedy mgiełka wilgoci.

Za pierwszym razem, kiedy ochłonęła i przerwała milczenie, pograżyliśmy się bez reszty w ewokacji stron rodzinnych. Rzecz jasna, jej pamięć była żywsza, bo świeża po krótkiej rozłące: upłynęło wszystkiego półtora roku od jej wyjazdu z leśniczówki w okolicach Zagnańska. Przed moimi oczami, po tylu latach, przesuwały się obrazy za grubą zmatowiałą szybą. Ale w końcu półmartwa pamięć ożyła, dotrzymywałem coraz dzielniej kroku mojej młodziutkiej rozmówczyni. Zbieraliśmy jagody i grzyby w gęstych lasach zagnańskich, płoszyliśmy zające na polanach i w porębach, łowiliśmy kiełbie pod kamieniami w strumieniach i większe ryby w rzekach, wzdłuż toru kolejowego, żeby nie zabłądzić, szliśmy do starego i ciemnego boru w Tumlinie; znała nasz Ciemny Staw w Berezowie, bo tamtędy jeździła z matką do Michniowa i do Wzdolów, gdzie mieszkali ich krewni, również zatrudnieni w administracji Lasów Państwowych. Była tak podniecona tymi wędrówkami, taka szczęśliwa! Może to tłumaczy i częściowo usprawiedliwia mój błąd. Zapytałem mianowicie, dlaczego nie wraca do domu, by tam urodzić dziecko, zamiast korzystać z gościny zacnych na pewno, lecz obcych ludzi, z którymi w dodatku niełatwo potrafi się porozumieć. Zaczerwieniła się gwałtownie, odwróciła w bok głowę i obie ręce położyła bez słowa na brzuchu. Zrozumiałem mój karygodny doprawdy nietakt i szybko wróciłem do naszej nostalgicznej, pogodnej włóczęgi. Spojrzała na mnie ukradkiem z wdzięcznością. Jak mogłem nie odgadnąć, że jej postanowienie nie wymazało poczucia niezawinionej hańby? A hańbę, wiadomo, odczuwa się najboleśniej wśród najbliższych.

Wróciłem wieczorem do Potenzy i bez kolacji położyłem się na hotelowym łóżku, rozgryzając w myślach gorycz wstydu. Zapewne - słaba to pociecha! - zdawałem sobie podświadomie sprawę, że propozycja redaktora gazety była jednym z tych szaleństw, które odsłaniają dwuznaczność (żeby nie powiedzieć więcej) dziennikarstwa. Ale w pełni uprzytomniłem to sobie dopiero teraz. Było oczywiste, że o wszystkim mogłem mówić z moją młodą krajanką, z w y - j ą t k i e m tego, co ją spotkało w Goraźde. Musiałem moim zachowaniem odsunąć jej nieszczęście w niebyt. Musiałem być dla niej źródłem odprężenia, a nie wzmożonego napięcia. Nie wolno mi też było zdradzać, w jakim charakterze przyjechałem z Neapolu; na szczęście ksiądz Piętro przedstawił mnie jako Polaka, którego arcybiskupstwo neapolitańskie namówiło do odwiedzenia rodaczki na probostwie koło Potenzy.

Nazajutrz rano zamierzałem całą sprawę wyjaśnić w rozmowie telefonicznej z redaktorem „Sud”. Przed zaśnięciem prześladował mnie ostatni obraz wywieziony z Macery. Grupka starych ludzi (z Macery? z Potenzy?), mężczyzn 1 kobiet, przyszła do altany obok plebanii, prowadzona przez nie znanego mi, bardzo młodego księdza. Dotykali palcami brzucha Marianny, po czym całowali je i składali pobożnie dłonie. Dziewczyna uciekła, dosłownie uciekła z altany i w popłochu zapomniała pożegnać się ze mną. A ja, odruchowo, przypomniałem sobie panujący na Południu

zwyczaj dotykania palcami, i całowania ich po dotknięciu, trumny wynoszonej z kościoła do karawanu.

Zaskoczył mnie swoją wrażliwością redaktor „Sud”, którego uważałem za klasycznego dziennikarza, gotowego do polowania na każdą sensację bez jakichkolwiek moralnych skrupułów, by hook and crook, jak mówią Anglicy. Wysłuchał mnie, nie przerywając ani razu, mimo że przygotowałem sobie dość długie wyjaśnienie. Kiedy skończyłem, w telefonie zapanowała dłuższa pauza. „Rozumiem pana doskonale - powiedział wreszcie - na pana miejscu postąpiłbym dokładnie tak samo. Ale skoro zapłaciliśmy w hotelu za tydzień z góry, radzę panu wykorzystać to do końca i codziennie odwiedzać pana rodaczkę. Potrzebuje tego”. Byłem wzruszony i dałem mu to odczuć.

Ślubowałem sobie wystrzegać się wszelkich najmniejszych choćby aluzji na temat serbskich przeżyć Marianny i ignorować jej ciążę, to prawda; lecz pod tą prawdą kryła się inna, niemożliwa do opanowania ślubem: wszystkie moje myśli krążyły bez ustanku wokół rzeczy zakazanych surowo słowom. Więc patrzyłem na jej półdziecinną twarz, mówiłem aż za dużo nawet i za żartobliwie, byle tylko wywołać jej uśmiech i isierkę wesołości w jej oczach, a równocześnie myślami byłem daleko, tam. Nie było na to żadnej rady, jak nie było rady na mój wzrok, który od czasu do czasu, błyskawicznie, bezwiednie, przywierał do jej brzucha. Pocieszałem się, że nie dostrzega mojego rozdwojenia, że zdołałem jej narzucić konwencję rosnącej zażyłości i sympatii mimo jej przeszłości i jej stanu. Cieszył mnie każdy drobny znak, że nabiera do mnie zaufania i odgina się, rozpręża pod niesionym ciężarem.

Z gazet wiedziałem, że kobiety uwolnione z serbskiej niewoli „etnicznej” miały ułatwione starania o pozbycie się ciąży, jeśli tego chciały; jeśli instynkt życia był w nich dość silny, by nie pogrążyć się dzień po dniu w rojeniach samobójczych. Co przeważało u Marianny? Nabożność nabyta w domu, wpojona jej od dziecka przez rodziców? Czy nieodparty impuls macierzyński? Nieodparty wbrew okolicznościom poczucia, wbrew podeptaniu chrześcijańskiej zasady, że dziecko winno być płodem miłości, a nie nienawiści. Nie miałem nawet pewności, czy jest do nienawiści zdolna, z tą swoją dziecinną twarzyczką, z oczami przezroczytymi w swej czystości. A może nakłonił ją do macierzyństwa katolicki zakonnik z misji w Sarajewie, może wydał jej się rzecznikiem jej ojca? Może, zbyt krucha i dziecięca, nie potrafiła się oprzeć jego naleganiom? W jakim języku do niej przemawiał? Nie było odpowiedzi na te milczące pytania, które mnożyły mi się w myślach. Jedno ciągnęło za sobą następne i następne, nie było im końca, a ja brałem w dłonie jej rękę, przyciągałem ją do siebie jak skrzywdzoną i oniemiałą córkę. Robiłem to tym śmieiej, gdy raz nie pytana wyznała, że nie ma i nie chce mieć kontaktu listownego z rodzicami. Widocznie narzucone sobie sieroctwo pomagało jej znieść ciężką próbę.

Mój tydzień zbliżał się do końca, pilne obowiązki wzywały mnie do domu. Ostatniego dnia pojechałem do Macery bardzo wczesnym autobusem, żeby zdążyć na powrotny autobus o pierwszej i na pociąg do Neapolu o drugiej.

Marianna spała jeszcze w swoim małym pokoiku tuż przy altanie. Zajęła się mną matka księdza Piotra, poczęstowała mnie kawą w altanie. Jej syn, już po mszy porannej, przyjmował wiernych w stołowym na plebanii, zamienianym codziennie rano na „biuro”. Dochodziły stamtąd przytłumione głosy, proboszcz wyraźnie dbał o ciszę. Dbała o nią także jego matka, ale w szczególny sposób, typowy dla ludzi starych, z zatroskaną twarzą depozytariuszki jakiejś tajemnicy. Tajemnica, a właściwie udreka niepokoju, dotyczyła naturalnie Marianny. Zdarzało się, że - jak dzisiaj - budziła się bardzo późno, a poranne godziny snu były dziwne, Boże jak dziwne, bardziej niż do snu podobne do długiego omdlenia: nie poruszała się, była blada białością pościeli, zdawała się nie oddychać, ręce splatała na brzuchu jak umarła przygotowana do pogrzebu. „Lekarz z Potenzy rozproszył nasze, moje i syna, obawy, ale można lekarzom wierzyć? Ile się opowiada o ich błędach i omyłkach! Niech pan sam zobaczy, uchylę tylko drzwi, wystarczy szpara”.

Istotnie, w półmroku pokoju, przy zamkniętych żaluzjach, widok był niepokojący. Starłem się złowić wzrokiem minimalny bodaj ruch na szyi, drgnienie skóry lub żyły, wpatrywałem się w otwarte szeroko usta, w dłonie skrzyżowane martwo na brzuchu, w oczy zasłonięte ciężkimi powiekami. Było w tym coś ze snu bez oddechu.

Dziewczyna przysłała do altany dokładnie w południe, z wybiciem dzwonu na wieżycze kościoła. Siadła naprzeciw mnie na leżaku, wyplątywała się jeszcze ze snu. Pierwszy raz dostrzegłem w niej coś w rodzaju podwójnej reakcji. To gładziła w zadumie swój brzuch z uśmiechem szczęścia czy zadowolenia, z uśmiechem wszystkich brzemiennych matek; to prawą dłonią odpychała jak gdyby od siebie swój płód i na okamgnienie zaostrzały jej się rysy twarzy w grymasie niechęci, może nawet cierpienia.

Zostało nam mało czasu na pożegnanie. Wstała z leżaka i z najzupełniejszą swobodą, bez cienia nieśmiałości objęła mnie ze łzami w oczach i oparła głowę na moim ramieniu. „Pamiętam - pocieszałem ją - że don Piętro ma na ple-banii telefon. I że podróż z Neapolu do Potenzy trwa zaledwie cztery godziny”.

i Po dwóch krótkich rozmowach odgadłem, że nie lubi telefonu. Więcej - lęka go się z jakichś powodów. Za trzecim razem kazała matce księdza Piotra przeprosić mnie i zawiadomić, że jest zmęczona i nie czuje się na siłach podreptać do aparatu na końcu korytarza. Przerzuciłem się na listy, odpowiadała szybko i ładnie, stylem dobrej uczennicy wyćwiczonej w dodatku w klarownej kaligrafii. Każdy jej list zawierał pytanie, kiedy znowu przyjadę. „Chciałabym choć trochę porozmawiać w naszym ojczystym języku. Po włosku nie nauczę się chyba nigdy, chociaż ksiądz Piotr Scoppola i jego matka, pani Małgorzata, są cierpliwi i bardzo dla mnie dobrzy”.

W drugiej połowie października powstała dłuższa luka w moich zajęciach, mogłem więc ją łatwo wykorzystać na wizytę u Marianny i jej opiekunów. Ociągałem się jednak, odkładałem wyjazd z dnia na dzień, aż wypchnął mnie w ciągu kilku godzin z domu pakiet redaktora „Sud”. Dostałem go późnym wieczorem, zabrałem się natychmiast do lektury, a o świcie siedziałem już w pociągu do Potenzy.

Było to ustne, spisane przez członków międzynarodowej Komisji Obrony Praw Człowieka, świadectwo czterdziestoletniej Bośniaczki, bezdzietnej wdowy, która podała co prawda imię i nazwisko i swój adres w Goraźde, lecz ja wolę te dane pominąć. Odznaczała się niegdyś - informowali członkowie komisji - dużą urodą, stanęła przed nimi stara, zniszczona kobieta. Stanęła z własnej woli, przez nikogo nie zapraszana i nie zachęcana, od pierwszych zdań widać było, że chce za wszelką cenę świadczyć, i to możliwie dokładnie, bez omijania najbardziej wstydlivych szczegółów, uważając swoje zeznanie za podwójną karę: wymierzoną oprawcom i wymierzoną sobie samej za rolę bezwolnej ofiary, niezdolnej do aktu rozpacz i odwagi. To drugie było nawet w świadectwie silniejsze, wydawało się niekiedy, że autorka relacji znęca się nad sobą ze swoistą, niepohamowaną delectacją, jakby to było jedyne, co jej jeszcze w życiu zostało. Lecz - co również uderzało - zachowując chłodną i rewoltującą chwilami precyzję w opowiadaniu.

Należała do grupy stu osiemdziesięciu młodych i mniej lub więcej przystojnych kobiet, które zgarnęła w Goraźde sieć „etniczna” zarzucona przez żołnierzy serbskich. Wystarczyły związki bośniackie, także luźne lub zupełnie przypadkowe (w tym miejscu dowiedziałem się, o jaką grupę chodziło, w świadectwie mianowicie znalazłem wzmiankę o młodej Polce, która miała dwie półbośniackie siostrzenice). Celem formalnym było „poprawienie rasy”, w rzeczywistości chodziło naturalnie o stworzenie żołdackiego domu publicznego. Kobiety trzymane były najpierw w zamkniętym baraku, gdzie żołnierze przychodzili nocą, wybierali partnerki i na oczach reszty załatwiali swoje męskie potrzeby. Z początku związane to było z biciem aż do krwi opornych nałożnic. Potem opór osłabł, zastąpiła go otepiąta bierność. Można średnio przyjąć, że każda kobieta gwałcona była w ciągu nocy wielokrotnie przez trzech żołnierzy. Kolejny okres narzucił pragnienie większej „intymności”, żołnierze zabierali upatrzone kobiety do swoich koszarowych pomieszczeń. W końcu zainstalowano w baraku telefon i wybierane kobiety były wzywane i odprowadzane do „adresata” przez jednego z pięciu wartowników „służby wewnętrznej”. Po czterech miesiącach zwolniono i rozpędzono mieszkanki baraku. W tym czasie, zdaniem autorki świadectwa, jedna trzecia, a może więcej, oczekiwała dziecka. Owszem, słyszała o samobójstwach, ale nie zna ich dokładnej liczby. Przemóżny był pęd do aborcji. Ona sama, z trzymiesięczną ciążą, pierwsze kroki skierowała do znajomego ginekologa.

Świadectwo liczyło około siedemdziesięciu stron maszynopisu i przełożone było (na użytek prasy światowej) na angielski, francuski, niemiecki i włoski. Od redaktora „Sud” otrzymałem egzemplarz włoski z dopiskiem: „Zwrot do archiwum redakcyjnego”. Rzecz jasna, przemilczę tu całkowicie „szczegóły”, które tak szczerą ręką, z takim pragnieniem zadania sobie bólu, rozsiała w świadectwie jego autorka. Od dawna jestem zdania (coraz bardziej lekceważonego, a nawet wyszydzanego na świecie, zarówno w gazetach, pismach i telewizji, jak w literaturze), że istnieje pewna nieprzekraczalna granica tego, co wolno ludziom powiedzieć o ludziach.

Redaktor dokumentu, członek Komisji, któremu dano go do oszlifowania, miał widocznie dość pretensjonalne ciągoty literackie, postanowił bowiem

poprzedzić świadectwo osobliwym mottem: Para eso habeis nacido, „Po to was wydano na świat”. Był to tytuł akwaforty Goi z Los desastres de la guerra, przedstawiającej zwały partyzanckich trupów i świadka zbrodni, który przyglądając się im, nie może powstrzymać wymiotów.

Przyjechałem do Potenzy rano, sklepy i bary były już otwarte, znalazłem skromniejszy hotel, też niedaleko przystanku autobusowego do Macery. Jakiś blok psychologiczny powstrzymywał mnie od natychmiastowego wyjazdu do Macery. Pogoda była jesienna, zwykły na Południu październik, mroczny, duszny i dżdżysty. Nie było sensu powłóczyć się trochę po szpetnej łaźni tureckiej miasta. Wziąłem w hotelu nadpsuty prysznic i rozsiadłem się, zmęczony podróżą, w fotelu koło okna. Okno wychodziło na małą uliczkę, z dziwną ulgą przyglądałem się rzadkim przechodniom. Szukałem sposobu na uspokojenie nerwów, roztrzęsionych lekturą w pociągu.

Jeszcze raz przekonałem się, jak ułomne jest działanie wyobraźni. Zanim przeczytałem raport, dzięki własnym doświadczeniom życiowym i nakazowi maksymalnego realizmu, miałem jakiś obraz serbskiej „czystki etnicznej”. Był on grubo poniżej rzeczywistości.

Prawdziwy obraz czynił wręcz niewiarygodnym wizerunek Marianny. Czy to możliwe, żeby przeżywszy wszystko, co przeżyła, była taka, jaka jest, a raczej taka, jaką poznałem, dziewczynką wrośniętą mocno w swoje dzieciństwo, duchowo, zdawało się, nietkniętą? I czy potrafię moją nową i pełną wiedzę odepchnąć w niepamięć, patrząc na nią i rozmawiając z nią? Nie będzie wielkiej przesady w twierdzeniu, że lękałem się teraz spotkania z Marianną.

Zjawiłem się na plebanii w godzinach popołudniowych, wywołując radość całej trójki. W oczach księdza i jego matki dostrzegłem cień troski, w oczach Marianny czystą radość. Wybierała się właśnie na wizytę kontrolną do ambulatorium (Macera szczyliła się dobrą służbą sanitarną), bez wahania zgodziłem się towarzyszyć jej zamiast probosza<sup>16</sup> - Dziennik... (1993-1996)

cza. Miły i kulturalny lekarz, dziecko Macery, był zadowolony z wyniku oględzin. Przewidywał rozwiązanie w grudniu, ostrzegał, że niekiedy odzywa się wcześniej gorączka połogowa (Marianna, której przełożyłem jego ostrzeżenie, skinęła głową). Zalecał, prócz przepisanych już dawniej pastylek i syropów wzmacniających, co najmniej dwie godziny leżenia w ciągu dnia i spaceru. Nadarzała się właśnie okazja do spaceru. Wzięła mnie pod rękę, zawisła na niej z ufnością córki; tak zapewne widzieli nas mieszkańcy Macery, jako ojca i córkę przytulonych do siebie z rodzinną poufałością. Marianna była wciąż przedmiotem powitań i życzeń ze strony przechodniów, i może tylko to było dla niej zakłóceniem przyjemności długiej przechadzki, którą wypełniał prawie bez reszty jej głos rozgadanej jak nigdy dotąd dziewczyny. Nie dziwił ten pęd do mówienia po okresie postu konwersacyjnego. Byłem rad i dla niej, i dla siebie: dla siebie, bo rzeczy przeżywane w myślach wymagały milczenia. Wróciliśmy do domu przed zmierzchem, ksiądz i jego matka przypomnieli Mariannie obowiązek dwugodzinnego „leżenia”. Pokornie, bez sprzeciwu, weszła do swego pokoju i

zamknęła za sobą drzwi. Siedzieliśmy w trójkę w kuchni, popijając cienkie wino. Cień jakby troski dostrzeżony przeze mnie na twarzach gospodarzy zaraz po przybyciu na plebańnię miał, naturalnie, swoje źródło. Przyciszonymi głosami, nieomal szeptem, opowiedzieli mi, że ich podopieczna czasem (nie zawsze) mówi coś w trakcie popołudniowej drzemki. Mówi, rzecz jasna, w swoim języku ojczystym, którego nie rozumiem. Nie można przecież być pewnym, że są to majaczenia bez znaczenia, ot, zdania, które wypływają na powierzchnię płytkiego snu. A jeśli mówi coś, czego nie ośmiela się powiedzieć do nich na jawie? Jeśli ma jakieś życzenia? Raz ksiądz wszedł cicho do jej pokoju i przyglądał się jej od progu. Uderzyła go jej zmieniona twarz, pozbawiona zwykłej słodyczy; zastanowiło go również, że w nie znanym mu języku jej słowa brzmiały charkotliwie. Może przesadzają, może niepotrzebnie się martwią, ale chcieliby, bym ja posłuchał tego, co mówi, przy najbliższej sposobności. Bo teraz - słyszy pan, jak cicho? - nic, Bogu dzięki, nie zmacą jej spokojnej drzemki.

W dwa dni później pojawiła się owa „sposobność”. I to tak gwałtownie, że gospodarze unieśli się z krzesel, spojrzawszy na mnie błagalnie i pytająco zarazem. Wszedłem na palcach do jej pokoju (pierwszy raz!), nie puszczając naciśniętej delikatnie klamki. Pokój był przyciemniony żaluzjami, na nagiej ścianie naprzeciw drzwi, nad jej łóżkiem, wisiał portret fotograficzny papieża. Za wezglowiem łóżka stał wysoki krucyfik, a pod nim dość wysoki także klęcznik. Leżąca nie tylko mówiła, nie tylko wyrzucała z siebie jakieś słowa, ale właściwie niezbyt głośno krzyczała, jak gdyby dławiąc się w wysiłku powstrzymania wybuchu płaczu. I, sądząc po jej twarzy o ściętych ostro rysach, wybuchu furii. Na wznak, w rozpiętej całkowicie sukni, jej wzdęty brzuch wyglądał jak na chwilę przed pęknięciem. Pochyliłem się nad nią, usiłując dokładnie złowić wypowiedane przez nią słowa. Gdyby mnie ktoś zobaczył w tej pozie, zdumiałby się pewnie wyrazem mojej twarzy: jestem przekonany, że na przemian oblewała ją gęsta krew rumieńców i odpływała ustępując miejsca kredowej bladości.

„Ach, to zrozumiałe - powiedziałem gospodarzom, czekającym na mnie pod ostrożnie zamykanymi drzwiami - że miewa niekiedy nawroty bolesnych wspomnień z Jugosławii”. Gospodarze westchnęli razem jak na komendę. Nazajutrz rano wezwano mnie do Neapolu. Byłem rad z tego wezwania. Umówiłem się z gospodarzami, że przyjadę znowu około 10 grudnia, lekarz przewidywał rozwiązanie na połowę grudnia. Zaproponowali mi, żebym zamieszkał na plebanii w małej, lecz zupełnie znośnej klatce obok pokoju Marianny.

Pierwsze dni w domu, po załatwieniu pilnych spraw bieżących, były próbą ochłonięcia. Szczególnie wieczorami, wyrwawszy się z rutyny codziennej pracy, to siadałem przy stole nad notatkami przywiezionymi z Potenzy (robionymi na skrawku papieru w pociągu), to krążyłem po pokoju jak dzikie zwierzę w klatce w przystępie nagłego rozdrażnienia.

Na skrawkach papieru zanotowałem słowa, wyrażenia, okrzyki, zdania wyłuskane z półsennego bredzenia Marianny. Nie przytoczę ich tutaj, jak nie przytoczyłem wcześniej fragmentów choćby świadectwa bośniackiej wdowy,



spisanego przez członków komisji międzynarodowej. Z tych samych powodów. Istotne jednak były nie takie czy inne, rewoltujące, przyprawiające o zgrozę i mdłości, strzępy Zła, którymi lubią epatować (i zatruwać) tzw. „przeciętną publiczność” dziennikarscy i „literaccy” łowcy tzw. „nagiej rzeczywistości bez osłonek”. Istotne było zawsze i jest nadal samo Zło.

Nie pamiętam już, któremu sławnemu pisarzowi należy przypisać twierdzenie, że literatura jest bezustannym rozmyślaniem o śmierci. Dodałbym: i o potędze Zła. W jednym i drugim wypadku literatura usiłuje zrozumieć niezrozumiałe, uchwycić nieuchwytnie, rozjaśnić bodaj trochę „jądro ciemności”. Ale postępuje zazwyczaj tak, jak gdyby wyraźna linia demarkacyjna oddzielała Życie od Śmierci, Dobro od Zła. A dla mnie ważne, jakkolwiek trudne do przeniknięcia, było i jest pogranicze, ta (żeby użyć porównania) conradowska „smuga cienia”, która oznacza bezruch, martwe trwanie wśród zaczajonych żywiołów. Nie ma śmierci, niedostępnej w bezpośrednim doświadczeniu, poza granicami życia. Nie ma Zła, skradającego się podstępnie z oddali, poza granicami Dobra. Panuje tu prawo osmozy.

Panuje doprawdy, czujemy je? Na pozór tak, co więcej - wydaje nam się banalne. Ale co innego jest wiedzieć o nim, a co innego zobaczyć je. Jak ja, który pod wulgarnymi słowami i stężałym, wykrzywionym obliczem Marianny widziałem jej czystą, dziecięcą twarzyczkę.

Nawiązaliśmy ponownie korespondencję. Nie zważając na moje krótkie i, bywało, zdawkowe odpowiedzi na widokówkach neapolitańskich (od wielu lat taki znalazłem sposób na mój antytalent epistolarny), pisywała listy coraz dłuższe i z coraz większym smakiem. Postanowiła opowiedzieć mi o sobie wszystko od najwcześniejszego, zachowanego w pamięci, dzieciństwa do matury zdanej w koedukacyjnym gimnazjum w Skarżysku. Bez wątpienia, opowiadała mi to wszystko, nie żałując przesadnych i śmiesznych wręcz drobiazgów, dla ulżenia swojej samotności. Poza tym wiedziała, że jestem pisarzem, może więc jakąś zachętę stanowił i ten fakt, gdyż jej wysiłki, by pisać ładnie, były aż nadto widoczne. Na krótko przed rozwiązaniem i moim wyjazdem do Macery wspomniała mimochodem, delikatnie, chciałoby się powiedzieć: zarumieniona, o swoim „chłopcu” w skarżyskim gimnazjum. Żyła jednak w zbyt surowym domu, pod zbyt czujnym i gorliwym okiem rodziców i za-gnańskiego księdza, aby to pączkujące uczucie mogło zakwitnąć. Zresztą, po przedwczesnym i celującym zdaniu matury wysłano ją w nagrodę do starszej siostry w Bośni.

Zastanawiałem się nad źródłami mojego przywiązania do Marianny. Główna przyczyna była, jak sędzę, po prostu taka, że przykuło mnie do siebie nieszczęście Marianny. („Czy ty przypadkiem - powiedział mi kiedyś bardzo bliski przyjaciel - nie kochasz się w każdym ludzkim cierpieniu?”) Jeszcze zanim ją poznałem, z oburzeniem niemal przyjąłem apel. Kościoła do kobiet w jej położeniu, żeby zdobyły się na chrześcijańską odwagę rodzenia także dzieci gwałtu i nienawiści, tłumiąc w sobie pokusę spędzenia płodu i na przyszłość odkładając chrześcijańską, naturalną tęsknotę do dzieci miłości. Marianna, niezależnie od otaczającej ją atmosfery

„świętości”, zaaranżowanej według mnie przez kręgi kościelne, budziła mój podziw, bo była na nią niewrażliwa, obojętna, z domieszką wręcz irytacji. Czemu więc postanowiła urodzić dziecko gwałtu? Jak przemogła w sobie gniew pohańbionej, odartej z godności, sponiewieranej, bitej i lżonej, a mimo to wsłuchanej w sygnały rodzącego się życia, które rosło w niej i dojrzewało, każdym ruchem podminowując jej własne życie? To mnie fascynowało, to przyciągało mnie do niej z nieodpartą mocą. Nie, nie była dla mnie „błogosławioną, świętą”, była tworem instynktownej wielkoduszności i dobroci, zadziwiającej w jej wieku. I jeszcze jedno, czego w imię pełnej prawdy nie wolno mi ukrywać: od chwili, gdy usłyszałem jej półsenne majaczenie i zobaczyłem jej odmienioną twarz, polubiłem ją jeszcze bardziej za splot i walkę ludzkich antynomii. Nie chciałem by była oleodrukową „czystą świętą”; chciałem, by była „świętą” realną, czyli głęboko skażoną.

Dotrzymałem słowa, 10 grudnia zapukałem do drzwi plebanii. Ulokowano mnie w ciasnym pokoiku obok pokoju Marianny. Ciasnota była bez większego znaczenia, skoro od pierwszej chwili stało się jasne, że mam u siebie jedynie spać (i to gotów do zerwania się z polowego łóżeczka na każde zawołanie sąsiadki), a w dzień i gospodarze, i po cichu Marianna oczekiwali mojej stałej asysty u jej wezgłowia. Z początku nie byłem pewien, czy życzyła sobie tego także Marianna, tak delikatna, tak alergiczna na wszelkie okazywanie jej nadmiernej opieki. Potem dowiedziałem się, że był to jej pomysł, którego nie śmiała mi podsunąć wprost, obarczyła nim więc księdza Piotra i jego matkę, prosząc o zachowanie sekretu. Ogarnął ją naraz strach o krok od porodu. Cięża była ciężka, jeśli można się tak wyrazić, dziewczyna z trudem poruszała się po pokoju, z ulgą - jak do przystani - docierała do łóżka. Zestarzała się wyraźnie, poorana wąskimi zmarszczkami i bruzdami, aby niekiedy - na krótko - odzyskiwać dawną świeżość ze swoim ślicznym, dzieciennym wykrojem ust. Nie opierała się, gdy głaskałem jej dłoń, a czasem zamykałem ją w moich dłoniach, przeciwnie, uśmiechała się z wdzięcznością. Zdarzało mi się też gładzić jej twarz i całować ją lekko w policzki, zawsze wtedy wyciskając łzy z jej oczu. Pragnęła czułości, jak strudzony wędrowiec wody na pustkowiu. Rozmawialiśmy wciąż o naszych stronach rodzinnych, nigdy bym nie przypuszczał, że tyle można o nich powiedzieć, natomiast ani razu słowem nie wspomniała o pobycie w Bośni, nawet o szczęśliwych chwilach przed wybuchem wojny. Przysięgłbym, że podczas ataków gorączki połogowej lub poobiednich drzemek traciła do tego stopnia kontakt z samą sobą, że inna Marianna nie odciskała w niej najdrobniejszego śladu. Wynurzała się z brudnych i złych odmętów jak nowo narodzona, po całkowitym zrzuceniu powłoki tej metamorfozy, którą ja - patrząc i słuchając - przeżywałem z uczuciem wzburzenia.

Młody lekarz z Macery wpadał co dwa, trzy dni, spodziewał się porodu lada chwila. W ambulatorium urządził specjalną dla niej salkę, zapewnił sobie też obecność dobrego ginekologa z Potenzy, bo o zawiezieniu jej do szpitala w Potenzy wyboistą drogą nie było mowy.

Egzaltowana gadatliwość księdza Piotra, jego „religijna” aluzyjność (kalendarzowa na przykład, zbliżało się Boże Narodzenie), jego gestykulacja (wciąż składał pobożnie ręce i wznosił wzrok ku niebu) - wszystko to sprawiało, że z dnia

na dzień mnożyły się wizyty „pątników” i z Macery, i z Potenzy. Chcąc nie chcąc zacząłem odgrywać rolę dość brutalnego stróża Marianny. Nikt, prócz mnie i matki księdza, nie miał prawa przestąpić progu jej pokoju.

Bóle porodowe zaczęły się 19 grudnia przed wieczorem. Przeniesiono ją natychmiast, pod stosem koców i krzyczącą, do ambulatorium. Stamtąd słyszałem na plebanii jej krzyk, podobny do czkawki, i to była moja jedyna z nią łączność. Do ambulatorium nie wpuszczano osób postronnych, takie polecenie wydał młody lekarz miejscowy, podobno na polecenie ginekologa z Potenzy, który zapowiedział swój przyjazd za pół godziny. Piszę „podobno”, z ambulatorium bowiem ciągle ktoś przybiegał na plebanie. Podobno doktor z Potenzy przyjechał z biskupem Potenzy, witany przez księdza Piotra. Siedziałem w kuchni z matką księdza, spoglądaliśmy na siebie w milczeniu, strwożeni nasilaniem się krzyku. Ustał wreszcie o dziewiątej. W kwadrans później do kuchni wpadł ksiądz Piotr. Taglio cesareo, mamrotał przerażony, cesarskie cięcie. I wybiegł do kościoła.

Dalszy ciąg jest streszczeniem chaotycznych relacji z ulicy. Urodził się chłopiec, wyjątkowo duży, a matka zapadła w głębokie omdlenie. Nie reagowała później, o północy, na próby przystawienia jej dziecka do piersi. Księdzu zezwolono na pięciominutową wizytę w ambulatorium. Nie chciał nic o niej powiedzieć, ciągle tylko żegnał się i modlił szeptem.

Marianna umarła nazajutrz o świcie, 20 grudnia. W południe otworzono bramę kościoła. Na szczęście nie można było zbliżyć się zaledwie do zmarłej, obstawionej gęsto palisadą długich i cienkich świeczek, odpadała więc obawa, że ludzie z tłumu rzucą się do całowania trumny. Marianna miała spokojną, łagodną twarz, bardziej niż o pogrzebie kazała myśleć o Pierwszej Komunii. Między palce splecionych dłoni wetknięto jej mały krucyfiks. Między piersiami położono owalny medalion z wizerunkiem Madonny. Dziecko zabrały zakonnice z Potenzy.

Mszę żałobną odprawiał 22 grudnia biskup Potenzy w asyście księdza Piotra. On też przemawiał nad grobem, zasypanym kwiatami i wieńcami. Nie słuchałem go uważnie, rozjątrzeniem napętnił mnie główny motyw *un preclaro esempio della virtu cristiana*. Było zimno, dał wiatr, szybko spadały na wieko trumny twarde grudki ziemi, tłum rozpełzł się biegiem jak zmarznięte stado owiec. Rzuciłem moją grudkę, uściskałem księdza Piotra i jego matkę, zziębnięty powlokłem się na plebanie po moją torbę. Nieznajomy z Potenzy zabrał mnie swoim samochodem na dworzec.

W połowie kwietnia następnego roku odwiedził mnie w Neapolu młody lekarz z Macery. Uśmiechałem się mimo woli w duchu, słuchając jego opowieści. Był praprawnukiem Flaubertowskiego aptekarza Homais, antyklerykalnym „postępowcem”, tyle że inteligentnym i dowcipnym. Nie mógł zrozumieć śmierci Marianny, wszystko zostało zrobione jak należy, również szanowny kolega z Potenzy zadreślał się myślą, co powie biskupowi Potenzy (pojmuję pan?). Dziecko? Zdrowy i silny chłopiec, zgodziły się nim zająć siostry urszulanki z Avellino. Don Piętro? Ciągłe w poszukiwaniu cudów *ad maiorem Dei gloriam*, opowiada, że słyszał zaraz po pogrzebie dźwięki z grobu, jakby nie umarła ze wszystkim. Przed

miesiącem była ekshumacja w obecności watykańskiego monsignora i lekarza z Rzymu, co nasz don Piętro uznał za kolejny przepisowy krok w procesie beatyfikacji. Ale wie pan, od tygodnia zmarkotniał, nic nie mówi, widocznie ktoś z góry zahamował jego elokwencję.

Elokwentny był też doktor z Macery, odetchnąłem z ulgą, odprowadzając go do stacji metra.

Intuicja podpowiedziała mi, że powinienem zobaczyć księdza V., sekretarza wpływowego kardynała z kurii rzymskiej. Drogę do ponownego spotkania utarował mi szczęśliwy traf, mianowicie pod koniec lipca ukazała się moja nowa książka po włosku, a równocześnie katolickie wydawnictwo na Północy wydało książeczkę księdza V. o świętym Franciszku. Kupiłem ją, przeczytałem (była bardzo ładna), napisałem więc do księdza V. list z komplementami i dołączyłem go do egzemplarza mojej książki z czułą dedykacją.

Po tygodniu przyszła odpowiedź. Ksiądz V. był w siódmym niebie, nie próbował nawet ukryć swojej euforii. zaproponował spotkanie. Zaprosiłem go na obiad w miłej knajpce koło Watykanu 7 sierpnia. Przyjął zaproszenie i termin.

Z góry wiedziałem, że powodzenie mojego przedsięwzięcia zależy przede wszystkim od tego, czy potrafię być na chwilę aktorem. Skoncentrowałem się tedy od początku na jego książeczce i nie dopuszczałem do głosu jego pochlebnych uwag rewanżowych o mojej książce. Przychodziło mi to tym łatwiej, że przestudiowałem uważnie na początku roku ogromne dzieło historyczki Kościoła z uniwersytetu pizańskiego o problemie „stygmatów świętego Franciszka”, dzieło imponujące erudycją i umiejętnością wykładu. Rzecz prosta, znał je również ksiądz V., toteż nasza rozmowa, zakrapiana obficie winem, była erudycyjnym turniejem, z moimi pochwalnymi wtrętami o jego książce.

Przy kawie i koniaku zdecydowałem się obsunąć lekko maskę. Przypomniałem mu od niechcienia, en passant, naszą poprzednią rozmowę. Utkwił we mnie wzrok. Nie opuściłem oczu, wiedziałem, że mnie wypróbowuje; i że się waha. W tym pojedynku na spojrzenia, w tym skrzyżowaniu spojrzeń, które trwało nieznośnie długo, wytrzymałem jednak do końca. Wychylił jeszcze jeden kieliszek koniaku i zamyślił się, nerwowo ocierając serwetką czoło.

Muszę mu oddać sprawiedliwość. Z ożywionego i eleganckiego interlokutora przeistoczył się w okamgnieniu w człowieka głęboko i szczerze wstrząśniętego, bez cienia udawania. „To jest tragedia, straszna tragedia” - powtarzał. Widać było, jak bardzo jest przejęty, obwisły mu nagle małe otorbienia pod oczami, mimo wentylacji pot pokrył mu czoło dużymi kroplami.

Nie potrafię odtworzyć dokładnie jego opowieści (przerywanej od czasu do czasu suchym szlochem i zwrotem „wrzucam to do pana duszy jak do głębokiej studni”), z konieczności podaję reasumpcję, żałośnie suche streszczenie „strasznej tragedii”.

Ta euforyczna wiadomość księdza Piotra o dźwiękach dochodzących z grobu nazajutrz po pogrzebie, przekazana w zupełnie innej tonacji przez kurię biskupią w Potenzy, zaalarmowała odpowiednią dykasterię watykańską (dyka-sterię procesów

beatyfikacyjnych i kanonizacyjnych). Do Macery wybrał się rzymski prałat w towarzystwie lekarza na służbie Stolicy Apostolskiej. Zarządzono ekshumację, do której nie dopuszczono nikogo z wyjątkiem dwóch zaprzysiężonych grabarzy z Rzymu. Otwarte wieko trumny odsłoniło zmarłą przewróconą na bok, o twarzy przekrzywionej w grymasie przestachu, o oczach rozwartych szeroko i tak na wieki znieruchomiałych, o rozczapierzonych dłoniach, z których wypadł krucyfiks, z wciśniętym między przewrócone na bok zwłoki i ścianę trumny medalionem Madonny. Nastroszone blond włosy zdawały się dłuższe, tak samo paznokcie. Mariannę K. pochowano żywą, pogrążoną w tak głębokim śnie kataleptycznym, jaki zdarza się niezmiernie rzadko i jest nierozpoznawalny bez klucia ciała, które stosowano od średniowiecza do początków jeszcze naszego stulecia. Czym on jest spowodowany? Ksiądz V. czytał raport lekarza watykańskiego, ale techniczna terminologia medyczna czyniła go hermetycznie zamkniętym. Wypadek podobny, przez nikogo nie zawiniony i raczej jedyny niż rzadki (ksiądz V. użył włoskiego zwrotu *piu uni-co che raro*), ucina automatycznie, ma się rozumieć, przewód beatyfikacyjny. Męczeńska śmierć musi być rzeczywiście śmiercią. Chciał powiedzieć: inną śmiercią.

Sierpniowy żar bił jak z pieca hutniczego; przechodząc przez most na Tybrze, wspominałem dawne dobre czasy (powojenne), gdy rzeka nie była jeszcze zatruta i zaszczurzo-na; można było wtedy zejść na jedną z przystani i popławić się w wolno płynącej wodzie. Za Tybrem złapałem cudem taksówkę, która jechała na Termini. Nie wróciłem do Neapolu. W ostatniej chwili wepchnąłem się do pociągu z tabliczką Roma-Potenza.

Przeleżałem noc w hotelu, oddychając z trudem i wciąż obawiając się o serce. Pierwszym autobusem o szóstej rano pojechałem do Macery. Miasteczko spało jeszcze, uliczki były puste, nie zauważony mogłem przemknąć się na cmentarz. Grób Marianny zasypyany był wciąż kwiatami (przywiędłymi), sądząc z wyglądu, przybył świeży wieniec ze wstęgami, na których złotymi literami wypisano dwa zdania Jana Pawła II: „Często macierzyństwo jest aktem heroizmu” i „Matki są bohaterkami naszych czasów”. Na płycie grobowej z nowiutkiego marmuru widniało tylko imię i nazwisko Marianny z datami urodzenia i śmierci, pod nimi napis *Mądre di Jan*, niżej dużymi literami oszczędne pożegnanie *REQUIESCAT IN PACE*.

Cmentarz w miasteczku Macera ma po przeciwnej stronie bramę wyjściową, która prowadzi na dróżkę zbiegającą zakosami na robotnicze przedmieście Potenzy. Kiedyś, na jednym z naszych spacerów, stałem tam z Marianną, ale baliśmy się urwistego zejścia na dróżkę. Widać było z góry kobietę wspinającą się do Macery, z kartonowym pudłem na głowie, ciężkim widocznie, bo przystawała co parę kroków. Przypomniał mi się genialny epizod wielkiej Anny Magnani w nie skończonym filmie Rosselliniego *Stromboli*. Do górzyściej wsi rodzinnej wracała z walizką przewiązaną sznurami prostytutka z dużego miasta, po latach nieobecności. Szła bardzo wolno, przystawała, miała mokrą z wysiłku twarz, odświętna czarna suknia pokryta była plamami potu. Scena niedościgniona w całej światowej kinematografii, nowoczesna Golgota. Powiedziałem to Mariannie, zaczerwieniła się i szepnęła:

„Niech pan nie bluźni”. A potem, po paru minutach milczenia, już za bramą wejściową na cmentarz, dodała takim samym szeptem i bardziej jeszcze zarumieniona: „To piękne i prawdziwe, co pan powiedział”.

Zeskoczyłem z małego urwiska na dróżkę, zamierzałem wrócić do Potenzy pieszo. Za wzgórzem na horyzoncie czerwone jak o zmierzchu słońce, mimo upalnego sierpnia poranna świeżość zieleni, odgięte konary drzew, szarość popielata skał, na łąkach kłębki niknącej mgły nocnej, wzdłuż dróżki błyski strumyków - ach, Boże, jakie cudowne jest Twoje dzieło stworzenia! A jednak patrzyłem tylko pod nogi, schodziłem w dół jak samoosłepiony. Bywają w życiu chwile, gdy rani nas do krwi, szydzi z nas okrutnie bogata, rozrzutna Uroda Świata.

Sierpień 1994

Neapol, 7 września Lektura wydanej ostatnio w Polsce książki Calela Perechodnika Czy ja jestem mordercą! (Karta) zachęciła mnie do odczytania na nowo mojego szkicu Demon Naszych Czasów\*. Po trzydziestu przeszło latach.

*Jego tematem był „raport o banalności Zła” Hanny Arendt, zatytułowany Eichmann w Jerozolimie. Uczona niemiecko-amerykańska przysłuchiwała się procesowi jerozolimskiemu z ramienia „New Yorkera”. Napisała książkę znakomitą, najgłębiej sięgającą do istoty Zagłady. Była jednak przedmiotem gwałtownych ataków ze strony Żydów amerykańskich, którzy hańbę bezczynności i właściwie obojętności wobec Zagłady usiłovali okupić po wojnie nadgorliwością „najwyższego (samozwąnczego) trybunału sumienia”. (Charakterystyczne, że w amerykańskiej Liście Schindlera, filmie pożytecznym, lecz płytkim, hollywoodzkim, Żydzi amerykańscy nie są wspomniani; w każdym razie włoska Banalność Dobra, historia uratowania trzech tysięcy Żydów w Budapeszcie przez włoskiego faszystę, całkowicie bezinteresownego, który wywiódł w pole samego Eichmanna w końcowym stadium „ostatecznego rozwiązania”, nadawałaby się z większym pożytkiem do ekranizacji, ale także w sprawie amerykańskiego milczenia; zainteresowanych amerykańskim milczeniem odsyłam zawsze do studium pastora i profesora teologii, Davida WyZob. przedruk w 8 tomie Pism zebranych. 253*

mana, The Abandonment of the Jews - America and the Holocaust). W tych atakach jeden zarzut był słuszny, postawiłem go również autorce w moim szkicu.

Pisała: „Cała prawda była taka, że istniały organizacje gmin żydowskich i żydowskie organizacje partyjne i dobroczynne zarówno na szczeblu lokalnym, jak i międzynarodowym. Gdziekolwiek znajdowali się Żydzi, posiadali uznawanych przywódców, i ci przywódcy, nieomal bez wyjątku, współpracowali w ten czy inny sposób, z tych czy innych względów, z hitlerowcami. Cała prawda była taka, że gdyby Żydzi byli naprawdę nie zorganizowani i pozbawieni kierownictwa, chaos i nędza wzrosłyby niepomniernie, ale liczba ofiar nie osiągnęłaby cyfr od czterech i pół do sześciu milionów. Kładę nacisk na tę sprawę, której proces jerozolimski nie odsłonił przed oczami świata w jej właściwych rozmiarach, gdyż daje ona najbardziej uderzający wgląd w totalność bankructwa moralnego, spowodowanego przez hitlerowców w szanującym się społeczeństwie europejskim - nie tylko w Niemczech,

lecz we wszystkich prawie krajach, nie tylko wśród oprawców, lecz także wśród ofiar”.

Zapewne to rozumowanie za biurkiem, przy nieznajomości (na szczęście dla Hanny Arendt) mechanizmu funkcjonowania totalitarnej eksterminacji, wydaje się na pierwszy rzut oka sensowne. Ale teoria biernego oporu i nieposłuszeństwa grzeszy, w stosunku do hitlerowskiego Endlösung i sowieckiej pieriekowki społeczeństwa, intelektualną abstrakcją. Z dwóch powodów. Po pierwsze, instynkt ocalenia własnego życia za wszelką cenę jest i dominujący, i stanowi wylęgarnię złudzeń, samooszukiwania się, bezgranicznej łatwowierności. Po drugie, ofiary totalitarnej eksterminacji były obłożone podwójnie: przez oprawców i przez niechętnie (w wypadku Żydów) lub obojętne i podszyte strachem (w wypadku sowieckich „wrogów ludu”) otoczenie.

Przy pewnych drobnych i łatwych do wskazania różnicach, obie zatem maszyny totalitarne były dobrze skonstruowane i naoliwione. Wyzwanie mogły im rzucić dwie tylko rzeczy: odrzucenie względnie łatwej, hitlerowskiej śmierci masowej w imię godnej śmierci indywidualnej, z bronią w ręku (jak w powstaniu w getcie); świadomość, że istnieje coś gorszego jeszcze od śmierci, nie jedynie tortury, lecz dotknięcie absolutnego dna resztek człowieczeństwa; dna, które już nigdy, nawet w razie ocalenia, nie pozwoli wrócić do tak upragnionego życia (jak w książce Perechodnika).

Pamiętnik Perechodnika, policjanta żydowskiego w otwockim getcie, jest dotknięciem owego dna absolutnego. Człowiek kulturalny i wykształcony, inżynier rolnik po studiach we Francji, pomaga jako policjant załadować do wagonu Zagłady żonę i uwielbianą córeczkę. Byle chwilowo ocaleć. „Czy ja jestem mordercą?” - pyta. Mordercą nie, gorliwym pomocnikiem mordy tak. Gdyby rozumiał, że istnieje coś gorszego jeszcze od śmierci, pojechałby do Treblinki razem z żoną i dzieckiem. Wybrał mały, nędzny ochłap życia (na większy nie mógł liczyć). O resztkę jego życia resztkami człowieczeństwa lepiej zamilczeć. Z pobudek miłosierdzia. Opowiada o swoich dwóch „zarobionych” latach z pełną świadomością tego, co zrobił i co „zarobił”. Trzeba zadawać sobie gwałt, żeby dobrać do ostatniej strony tego pamiętnika „pokuty”, prawdziwego i równocześnie zakłamanego.

Jego otwocky krewni, towarzysze i znajomi (żydowscy) są tacy sami. Ludzie, którzy poszarpali więzy łączące ich z innymi ludźmi, dla których życie (w gruncie rzeczy wyłącznie wegetatywno-handlowe) jest wszystkim. Bezduszni, okrutni, wydrażeni. Poruszają się jak zadżumieni wśród polskich, „aryjskich” szakali, węszących, co by tu jeszcze można wyrwać zarazonym już chorobą. Jak w książce Daniela Defoe Dziennik roku dżumy.

Po wielkich dżumach były zawsze w historii dłuższe czy krótsze okresy zachwiania wszystkich wartości, zamętu, utraty równowagi. A teraz? Po dżumie totalitarnej? Niektórzy filozoficzni mentorzy, religijni kaznodzieje, polityczni szalbierze pocieszają nas, że rozwiał się już dawno w powietrzu czarny dym wypalanej zarazy totalitarnej. A ja nie wierzę. Żyjemy i żyć będziemy moralnie w

epoce napiętnowanej nią na długo, choćby nam mydlono oczy liczbami i dowodami „postępu”.

9 września Strzępy czarnego dymu, zatruwające nasze powietrze po wypaleniu zarazy totalitarnej, nie są figurą metaforyczną. Świat jest nasycony, jeśli nie wręcz przesycony, informacją i rekonstrukcją historyczną tragicznej przeszłości. W setki liczyć wypada monografie naukowe i świadectwa osobiste na temat Zagłady, obfita jest też literatura Gułagu. Usiłuje się zakorzenieć w sercach i umysłach młodzieży to, co było doświadczeniem ich dziadków i rodziców. Nie powiem, żeby rezultaty były proporcjonalne do starań. Pozostawmy na marginesie patologiczne wypadki stawiania Zagłady i Gułagu pod znakiem zapytania. Ograniczmy się do ludzi normalnych i przyzwoitych, głównie młodych, którzy „mają dosyć”. Słyszysz się: „Niczego nas nie nauczy lekcja przeszłości, niech ją rozpamiętują, dopóki żyją, starsi”. Istnieje więc zmagazynowana ogromna wiedza o totalitarnej dżumie, by z dnia na dzień ulegać, coraz jaskrawiej, odtrąceniu. Klasycznym przykładem jest moskiewskie pismo „Wola”, redagowane przez spadkobierców tiurymniej cywilizacji. Jego nakład nie przekracza tysiąca egzemplarzy. Film Spielberga miał odegrać rolę wychowawczą: widziałem młodych ludzi znudzonych i wzruszających ramionami po jego zobaczeniu.

Tak ma się sprawa książkowej „edukacji pozagładowej”. Zarazem jednak - i to jest moja fikcja - w powietrzu wiszą wciąż szczątki dymu brunatnych czy czerwonych krematoriów. To one syca powszechny wzrost gwałtu, zupełne lekceważenie życia ludzkiego, nieprzerwany pochód cynizmu, szyderczy stosunek do tzw. „zasad moralnych”, triumf odruchów irracjonalnych, uchwyconą przez Goyę groźbę: „Gdy rozum śpi, budzą się upiory”. Zaiste, nie wolno traktować lekko ostrzeżenia Hanny Arendt: „Przyczyny, które przemawiają za możliwością powtórzenia zbrodni hitlerowskich, są realne. Przerazająca zbieżność współczesnej eksplozji populacyjnej z odkryciem środków technicznych, które, poprzez automatyzację, ujawniają zbędność szerokich odłamów ludności nawet w kategoriach pracy, i które, poprzez energię nuklearną, umożliwiają uporanie się z podwójnym niebezpieczeństwem za pomocą instrumentów sprowadzających hitlerowskie urządzenia gazowe do wymiarów niezdatnych zabawek w rękach złych dzieci, powinna wystarczyć, by nas przyprawić o drżenie”.

Czarną chmurą po totalitarnej zarazie jest Bośnia. Tchórzowskie komedianstwo zachodniej Europy i Ameryki (a tak nam się śpieszy, aby tam „wejść” w charakterze świeżo „nobiletowanych”) pozwala Karadżiciowi, rzeźnikowi z wyglądu i mentalności, robić, co chce, gwizdząc sobie z narad, pertraktacji, propozycji, dyplomatycznych zabiegów „panów i władców świata”. Czy ten rzeźnik nie jest typowym pogrobowcem totalitarnej dżumy, a jego potężni zalotnicy jej zatrutymi ofiarami? Papież szykuje się do wizyty w Sarajewie. Odradzają mu ją „kompetentne organy międzynarodowe”. A Karadzić kwituje po swojemu odmowę zgody na wizytę: serbski granat zabija w Sarajewie pięcioro dzieci. Zabijanie dzieci jest przecież ulubionym zajęciem czy sportem potomków „minionej (zdawałoby się) epoki”.



*10 września Przed wojną pepeesowski poseł Klemensiewicz był szczególnie popularny i lubiany na wsi, toteż wysyłano go głównie na wiece chłopskie. Na jednym z tych wieców, po politycznym przemówieniu Klemensiewicza, wstał z ławki w ostatnich rzędach słuchacz z groźną miną i zapytał: „Czy 17 - Dziennik... (1993-1996) 257*

to prawda, panie pośle, że socjały jedzą w piątek mięso?” Klemensiewicz był z natury schlagfertig, bez chwili namysłu odparł: „Był jeden taki, ale wyrzuciliśmy go natychmiast z partii”. Huknęły brawa.

Niebawem już, dzięki przecięciu wrzodu posłanki Labu-dy wyrzuconej z Unii Wolności, Mazowiecki, Suchocka i Rokita będą należycie przygotowani do „czystego” przedwyborczego wiecowania w miastach i na wsi. „Była jedna taka...” Burnyje apłodismienty.

12 września Mój przyjaciel Francesco Cataluccio, najlepszy we Włoszech znawca spraw polskich, opublikował w znanym miesięczniku „Leggere” obszerny artykuł w pięćdziesiątą rocznicę Powstania Warszawskiego. Od razu na wstępie: „W stolicy Polski rozegrała się pierwsza akcja masowego unicestwienia w naszej epoce, rozegrało się pierwsze Sarajewo. I wtedy też, jak dziś, wypadki potoczyły się w obliczu obojętności świata, przy wtórze nie prowadzących do niczego, jałowych gier wielkich mocarstw”. Te dwa zdania warte są dla mnie więcej od przemówień, jakie wygłosili zaproszeni przez Wałęsę honorowi goście z Zachodu i ze Wschodu. Należało ich w ogóle zapraszać? Byłem, jestem i będę zdania, że nie. Powstańcza Warszawa była całkowicie opuszczona i zdradzona, w zupełnej samotności powinna więc była obchodzić swoją tragiczną rocznicę po półwieczu. Jak obchodzi się w odosobnieniu, w kole najbliższych, rocznice tragedii rodzinnych, gdy oznaką żałobnej godności jest wyłączenie udziału osób postronnych.

Ale ten płacz Antygony, Co szuka swojego brata, To jest zaiste nad miarę Wytrzymałości. A serce To kamień, w którym jak owad Zamknięta jest ciemna miłość Najnieszczęśliwszej ziemi Miłosz Słyszę, że dla inicjatorów z prezydenckiego dworu to zaproszenie miało być dowodem naszej „europejskości”, naszego wyrastania z prowincjonalizmu. A było brakiem szacunku dla gruzów miasta, dla poległych mieszkańców Warszawy i warszawskich powstańców.

Cataluccio zamyka swój szkic, cytując mój pogląd, że Powstanie Warszawskie było wpisane od początku w historię AK, podobnie jak bitwa pod Monte Cassino wpisana była od początku w dzieje 2 Korpusu; i że alternatywą w obu wypadkach stałaby się zapewne kapitulacja duchowa na długie lata. Wierzę dalej w to, co niegdyś (bardzo dawno) napisałem, ale to przekonanie zadaje mi na starość coraz większy ból.

13 września Z faksu od Jerzego Giedroycia dowiaduję się, że Popiół i diament w dalszym ciągu figuruje w lekturach szkolnych. W takim razie należy do nich czym prędzej włączyć Obywateli Kazimierza Brandysa i Słowo o Stalinie Broniewskiego. Wymieniam te trzy tylko pozycje, pomijając im pokrewne, bo tak się złożyło, że wszyscy trzej autorzy - Andrzejewski, Brandys i Broniewski - upewniali mnie słowem honoru (?), że ich utwory, choć „merytorycznie nieprawdziwe” (wyrażając

się bardzo oględnie), są „doskonale napisane”. Dla przyszłego historyka literatury polskiej smakowity przyczynek do rozdziału „Republika kolesiów-literatów”, albo „Narodowy związek zniewolonych umysłów” (pod protektoratem profesora Andrzeja Walickiego).

16 września, Ósma śmierć Maksyma Gorkiego.

W 1954 napisałem „opowieść kryminalną” Siedem śmierci Maksyma Gorkiego\*, zbudowaną niemal całkowicie na poszlakach. Po zgonie pisarza w czerwcu 1936 dwie wersje jego śmierci - śmierć naturalna, skrytobójstwo - zmieniały się na przemian sześciokrotnie aż do roku 1952. Moją hipotezę siódmej śmierci oparłem na dość drobiazgowej analizie okoliczności politycznych, jakie towarzyszyły tej huśtawce. I podparłem ją jedynym dostępnym świadectwem socjaldemokratki niemieckiej, Brigitte Gerland, którą w roku 1953 zwolniono przedterminowo z obozu w Workucie i odesłano do NRF. W organie mienszewików rosyjskich „Socjalistyczeskij Wiestnik” pani Gerland ogłosiła artykuł Kto otruił Gorkiego?, relację z rozmów w obozie ze współwięź-niem, profesorem Pletniewem, którego w ostatnim procesie moskiewskim (1938) sądzono i skazano za uczestnictwo w „spisku lekarskim” uknutym przeciwko choremu pisarzowi. Pletniew, stojąc już w Workucie nad grobem, postanowił ujawnić prawdę: Gorkiego otruto na rozkaz Stalina. Wódz wymyślił „spisek lekarski” (miał już, jak widać, wtedy pre-dylekcję do „morderców w białych kitlach”), żeby położyć kres moskiewskim plotkom o otruciu. Według mnie to właśnie (czyli dwuznaczna i zarazem rzeczywista „siódma śmierć” Gorkiego z mojego „dreszczowca”) było źródłem huśtawkowych zmian w wersjach dyktowanych przez Stalina.

Taki był stan rzeczy w próbach rozwikłania zagadki śmierci Gorkiego aż do chwili, gdy zarządzono otwarcie archiwów sowieckich; okazało się wówczas, że wbrew dawnym powszechnym obawom nie tylko nie były puste, lecz zadziwiająco bogate i bez przerwy uzupełniane. Witalij Szentalski skierował całą swoją uwagę szperacza na archiZob. przedruk w 8 tomie Pism zebranych.

wa literackie KGB. Nie wiem, czy jego pękate tomisko ukazało się w Rosji. Francuzi wydali je pod tytułem La parole ressuscitee. Włosi nazwali je trafniej może I manoscritti non bruciano, rękopisy nie płoną, nie palą się. Autor zbadał na Łubiance „teczki” Babła, Bułhakowa, o. Fłorenskiego, Pil-niaka, Mandelsztama, Klujewa, Płatonowa, Gorkiego. Ostatnia „teczka” pozwala do siedmiu śmierci Maksyma Gorkiego dołączyć ósmą.

Szentalski opisuje ją jako powolną agonię psychiczną i duchową. „Robi wrażenie ta stopniowa kapitulacja, ta skłonność do oszustwa i samooszustwa, ta transformacja autentycznej, konkretnej solidarności (ze społeczeństwem, z narodem) w patronat formalny i fałszywie opiekuńczy. Pierwsze to objawy owej choroby duchowej, która doprowadzi w końcu Gorkiego do zupełnej metamorfozy, i obrońcę prześladowanych przeobrazi w obrońcę prześladowców”. Można się bez trudu zgodzić z taką interpretacją, ostatecznie Gorki stał się w ostatnim okresie swego życia szmatą powiewającą dumnie na wietrze. Dokumentalny film Mariny Gołdowskiej Wlast' sołowieckaja pokazuje go podczas „wizytacji” obozu na

Sołówkach: pisarz, który widzi, lecz udaje, że nie widzi. A „inspekcja” Biełomorkanału w gronie znanych pisarzy sowieckich? I zbiorowa książka o tej „wspaniałej budowie socjalizmu”, za którą życiem zapłaciło ćwierć miliona więźniów? Sołżenicyn pisze słusznie z tej okazji o „sterniku literatury sowieckiej” z bezgraniczną pogardą. Bo czym innym, jak nie pogardą, należy pokwitować przemianę „ludowego bosiaka” w stalinowskiego pajaca bez krzty godności? Szentalinski przytacza z „teczki” Babla jego zeznanie na temat wizyty Malraux w ZSSR z roku 1936. Babel towarzyszył pisarzowi francuskiemu w podróży na Krym, gdzie Gorki spędzał wakacje. „Gorki budził ogromną litość. Od pierwszego dnia naszej wizyty zauważyłem atmosferę osamotnienia stworzoną wokół niego przez Kriuczkowa i Jagodę, bezlitosnych w izolowaniu go od otoczenia. Stan moralny pisarza? Wielka depresja.

W tym, co mówił, pojawiały się aluzje do faktu, że został opuszczony przez wszystkich. Starano się uniemożliwić mu powrót do Moskwy, do ulubionej pracy”.

Agonia i śmierć duchowa i psychiczna. A fizyczna? W „teczce” Gorkiego moskiewski szperacz znalazł tylko dowody bezustannych usiłowań dokonania „mordu medycznego”. Tyle ich, że zaczynają w końcu śmieszyć i spełniać rolę zasłony prawdziwej przyczyny śmierci. Wierzę przedśmiertnemu wyznaniu profesora Pletniewa. Dlaczego Stalin pośpieszył się i sięgnął po truciznę, gdy mógł spokojnie (i niedługo już) poczekać na naturalny bieg wypadków, zwłaszcza że częste kryzysy autentyczne (Górki był gruźlikiem) zapowiadały bliski koniec? Zabrzmi to pewnie zbyt literacko, ale podejrzewam, że pogromca bał się ostatniego skoku śmiertelnie zranionego zwierza. Stalin chciał pozostać, i pozostał, sam na sam ze swoim niewolnikiem i utajonym buntownikiem. Po uroczystym pogrzebie „ukochanego Ale-ksieja Maksimowicza” wymordował kolejno wszystkich chyba, którzy mu pomagali poskromić i ubezwłasnowolnić dawnego „zwiastuna burzy”.

18 września Umarł Karl Popper. Jego Społeczeństwo otwarte jest jedną z najważniejszych książek naszego stulecia. Powinna być lekturą obowiązkową zarówno w krajach demokratycznych, jak w krajach, które wydobyły się z „demokracji ludowej” i weszły na drogę demokracji bezprzymiotnikowej. Poppera wielbię też za to, że filozofię Hegla uważał za „największe oszustwo intelektualne wszystkich czasów”, a tzw. „intelektualistów” nazywał „osłami”.

Tuż przed śmiercią zdążył podyktować redaktorowi włoskiego pisma „Reset”, krótki esej o telewizji. Pod koniec życia „zła nauczycielka telewizja” zaprzętała ciągle jego myśli, budziła w nim niepokój graniczący z obsesją i paniką. Ale esej napisany jest po popperowsku, spokojnie, rzeczowo, rozumnie, z wystrzeganiem się przesady czy egzaltowanej retoryki. Przed trucizną telewizji, „szkołą gwałtu”, chciał uchronić przede wszystkim dzieci (trzeba pamiętać, że w latach 1918-1937 był w Wiedniu wychowawcą dzieci i współpracował z Alfredem Adlerem). Nie zapominał jednak o dorosłych. „Idea jest wciąż ta sama, kantowska: poszerzać do maksimum wolność każdego człowieka w granicach narzuconych przez wolność innych. Jeśli natomiast trwać będzie obecna tendencja rozwojowa,

niebawem znajdziemy się w społeczeństwie, w którym zabójstwo stanie się chlebem powszednim”.

Co proponował? Zasadę, że kto pracuje w telewizji, musi poddać się surowemu egzaminowi, zakończonemu wydaniem (lub nie) patentu, licencji. Wyjaśnił swój postulat w zakończeniu eseju: „Demokracja polega na stałej kontroli władzy politycznej. W prawdziwej demokracji nie może być mowy o jakiegokolwiek nie kontrolowanej instancji politycznej. Tymczasem telewizja posiada dziś wszelkie cechy ogromnej potęgi politycznej, potencjalnie najważniejszej ze wszystkich, jak gdyby z ekranu przemawiał sam Bóg. I tak już będzie, albo jeszcze gorzej, jeśli nie powstrzymamy nadużyć tej potęgi politycznej. Telewizja ciąży nad demokracją”.

Byłoby to wszystko bardzo słuszne i piękne, gdyby istniały czyste metody kontroli. A kontrola w złych rękach ma to do siebie, że wiadomo, jak i gdzie się zaczyna, a nie wiadomo, dokąd zmierza i gdzie się kończy. 15 września, głosami SLD i PSL, Sejm uchwalił ustawę o ochronie tajemnicy państwowej. Zakres tajemnicy państwowej i służbowej ustalać mają członkowie rządu i administracji państwowej. Nie mam wątpliwości, o co chodzi w takiej kontroli: tajemnica państwowa zastąpi zbyt brutalne nożyce cenzora. Mądry Popper, mając głównie na myśli społeczeństwa otwarte w demokracjach zachodnich, ignoruje społeczeństwa półotwarte w demokracjach rosnących (bądź karlejących) na gruzach komunizmu.

1' i 19 września j\*.1

Zaprzyjaźniona osoba z Kielc przysłała mi w upominku album Sądu Ostatecznego Hansa Memlinga. Album wyszedł już dość dawno, ofiarowany mi egzemplarz pochodzi z trzeciego wydania. Moja wina, że przeglądając książki w polskich księgarniach, nie zauważyłem słonia. Studium o gdańskim tryptyku zaczął pisać Michał Walicki. Ale nie skończył go. Zrobił to za niego Jan Białostocki.

Patrzę z podziwem na Sąd Ostateczny Memlinga, czując, że mój podziw jest „letni”, nie wychodzi poza smakowanie estetyczne, bez udziału dramatyczności tematu. A tu trzeba jak Michał Anioł, w potężnym wirze kosmicznym. Memling wydaje mi się zbyt kameralny i lustrzany (nie darmo podglądał wielkiego Jana van Eycka, twórcę Arnolfinich). Pa-nofsky (przypomina Białostocki) nazwał Memlinga „znakomitym petit-maitrem”. Walicki stawiał go wyżej. „Jest inny, ma w sobie inną wielkość, nie słodkiej harmonii, lecz dramatu, nie intymnej ciszy, lecz potężnego głosu trąby”. Czyżby? Ja tego „potężnego głosu trąby” nie słyszę. Chwilami nasuwa mi się określenie Sąd Ostateczny roślinny: małe nagie figurki potępionych i ocalonych przypominają łodyżki z szypułkami głów. Chrystus jest mniej sędzią niż znakomity komplet sędziowski Apostołów. Pamiętacie Chrystusa w Sądzie Ostatecznym Michała Anioła? Ze światem rzuconym pod nogi Sędziego, dramatycznie skłębionym? U Memlinga jest piękna, w swojej roli, tylko Matka Boska. Archanioł Michał zastępuje lustro w komnacie Arnolfinich. Jakież to piekło? Urwisko skalne, zarośnięte nagimi figurkami.

Ten zapis służy do jednego: do uprzytomnienia zgrozy, jaka łączy się dziś - po tym, co odsłoniło nam nasze stulecie - w podświadomości człowieka z obrazem Sądu Ostatecznego, choć sam obraz oglądany jest coraz częściej w Kaplicy Syks-tyńskiej z

obojętnym (jeśli nie ironicznym) uśmiechem. Z uśmiechem odcisniętym głównie na twarzach młodych.

22 września '??'?-;

Nowy, wielki album Leonor Fini Peintures z Saint-Dye-sur-Loire. Al carissimo Gustavo con molta amicizia Leonor\*. Tylko dwa razy byłem w Saint-Dye, w domu Leonor i Kota Jeleńskiego nad Loarą. Przed jego śmiercią, wtedy poszliśmy na daleki spacer brzegiem Loary, bez słowa, ale jednakowo reagując na podobieństwa: pohukiwania za rzeką, letnie prościutkie kolumny dymu na ścierniskach, wędkarze na piaszczystych łachach, rzadkie spotkania na ścieżce. Bon jour, bon jour. Siedliśmy na pochyłym brzegu, jednocześnie wyrwało nam się z głębi serc: „Mój Boże!” Ani słowa więcej. Potem Kot, przed powrotem na obiad do domu, zaprowadził mnie na wiejski cmentarzyk. „Tu będę leżał”, pokazał miejsce obok grobu Stanisłao Lepri. Drugi raz byłem w Saint-Dye wkrótce po jego śmierci. Przeglądałem całe przedpołudnie papiery w jego pokoju. Po obiedzie zamówiony przez Leonor szofer odwiózł mnie na stację.

Są w życiu człowieka rany, które się nigdy nie zagoją. W moim należy do nich śmierć Kota. Naprawdę nie zobaczę jego dobrej (dla lubianych przyjaciół) twarzy? Nie usłyszę w telefonie jego głosu z Paryża? Z początku, zaraz po jego śmierci, były przymiarki różnych autorów (Wojciech Karpiński, Piotr Kłoczowski) do książki o nim. Przycichły niebawem, ograniczyły się do przyjacielskich wspominków i westchnień. Dobrze przynajmniej, że gotowa już jest jego korespondencja z Jerzym Giedroyciem w opracowaniu Wojciecha Karpińskiego.

Podczas agonii Kota poleciałem do Paryża, ale nie chciałem zobaczyć konającego. Codziennie spędzałem wiele godzin u Leonor. To początek naszej głębokiej przyjaźni, sierocej przyjaźni. „Jak ja zdołam żyć bez Kota?” - powtarzała bez przerwy. Zdołała. Stopniowo, krok po kroku, wróciła do malarstwa. Ale już bez codziennych (natychNajdroższemu Gustawowi z wielką przyjaźnią Leonor.

II ‘

miast po powrocie z biura) uwag krytycznych, sugestii i rad Kota, w które wierzyła ślepo. Dopóki jeździłem do Maisons-Laffitte, za każdym pobytom odwiedzałem ją w pracowni, przesiadywałem tam z nią bardzo długo, oglądałem jej nowe obrazy i rysunki. Nie mogłem naturalnie zastąpić Kota. Ale te wspólne oględziny przynosiły jej wyraźną ulgę; wysychały łzy w jej pięknych oczach. Nie wiedziała, że i mnie, mocą odległych wspomnień, dawały cichą i smutną radość jako nagłe odzycie takich samych godzin, spędzanych z K. w Rzymie i w Londynie.

Od pierwszej chwili polubiłem malarstwo Leonor, może i to związało mnie z Kotem. Miał milczący żal do Czap-skiego, Józio bowiem wybrzydzał się na malarstwo Leonor, chociaż przyparty do muru nie potrafił tego nigdy sensownie wytłumaczyć, plątał się zaczerwieniony jak mało wiarygodny świadek przed sądem. Rzecz sprowadzała się do alergii; odwzajemnionej przez Leonor w stosunku do malarstwa Czapskiego. Z polskich malarzy ceniła tylko Leben-steina.

Nie bez kozery odpowiadała gniewnie, gdy ktoś nazywał ją Włoszką: „Nie jestem Włoszką, sono una Triestina”. Jest coś bardzo odrębnego, dla mnie

cudownego, w atmosferze Triestu, miasta Italo Svevo, Bobby Bazlena, Umberto Saby. Myślę, że od dziecka nasiąkała triesteńską atmosferą, obroniła ją potem w sobie podczas lat rzymskich i paryskich. W Peintures (większość obrazów reprodukowanych w albumie znam dobrze, zwłaszcza ulubiony Memoire de fragmentspasses, o którym pisałem przed laty w dzienniku\*, i bardzo byłem rad, gdy Leonor i Kot urywek mojego zapisu wykorzystali w katalogu ogromnej wystawy w Pałacu Luksemburskim), w Peintures nie ma już uczonej i błyskotliwej przedmowy Kota. Zastępują ją refleksje malarki. Ostatnia brzmi tak: „Określa się niekiedy moje malarstwo jako surrealistyczne, fantastyczne. Dla mnie rzeczywistość, Zob. Pisma zebrane t. 6, s. 57.

codziennosc mogą się okazać obce i zarazem cudowne. Wystarczy otworzyć oczy i spojrzeć uważnie na rzeczy, by znikły zjawiska zwykle czy wytłumaczalne”. Przemawia tu dawny, ginący niestety duch Triestu.

#### **5 października:**

Epilog Innego Świata zatytułowany jest Upadek Paryża. Odtąd będę do książki dołączał drugi epilog pod tytułem Upadek Innego Świata. Będzie nim pełny tekst listu (z zachowaniem pisowni autora), nadanego z Sołówek 23 sierpnia, otrzymanego przeze mnie 29 września. List napisał znany dziennikarz, Mariusz Wilk, współautor głośnej niegdyś książki Konspira, lektury dla mnie w owych latach pasjonującej.

„Szanowny panie Gustawie, piszę do Pana z Wysp Sołowieckich, które wedle Sołżenicyna są kolebką Archipelagu Gułag. Dwa lata temu kupiłem tutaj dom nad morzem i żyję, jak w celi, bieżwyjezdno. Nieco piszę, stawiam sieci na sielodkę, hoduję kartoszkę.

Piszę do Pana w związku z Jercewem. Być może pamięta Pan mój telefon z Moskwy, wiosną 1992. Zadzwoiłem wtedy świeżo pod wrażeniem kargopolskich zon. 19 stycznia 1992 roku, czyli dokładnie pół wieku od dnia, kiedy Pana zwolnili z obozu w Jercewie, ja wysiadłem na jego stacji z pociągu relacji Moskwa-Archangielsk. Zapamiętałem datę, bo to dzień moich urodzin.

Do Jercewa przyjechałem z Wołogdy, z szałamowskich cztienij, które odbywają się w każdą rocznicę śmierci Warła-ma Tichonowicza. Tam dowiedziałem się, że Jercewo jest «zamkniętym» posiołkiem, bo obóz, w którym Pana trzymali, funkcjonuje do dziś. Powiedziała mi o tym dziewczyna z domu-muzeum Szałamowa, urodzona w Jercewie, córka zakluczonej. Objasniła też, jak przejść ze stacji do baraku gostinicy dla przyjeżdżających na swidanija; przejść tak, by od razu nie podpaść.

Byłem jedynym pasażerem, wysiadającym na stacji w Jercewie. «Z pagórka w pobliżu stacji widać było obóz jak na dłoni. Z baraków unosiły się w górę pionowe słupy dymów, w oknach paliły się już światła i gdyby nie cztery sylwetki ‘bocianów’, siekące noc długimi nożami reflektorów, Jercewo mogłoby uchodzić za cichą osadę tartaczną» (fragment opisu w mojej książce - przyp. G.H.-G.). W tym miejscu przepadła granica między światem przedstawionym w Innym Świecie i światem, w rzeczy samej, pół wieku później. W detalach, czasami, pojawiała się szczelina;

szczelina jak u Szalamowa: między faktem i jego soczinieniem. Paradoks chwili zamknął się był w tym, że w Wołogdzie czytałem próbę o postrealizmie Szalamowa, a potem znalazłem się w Jercewie, jak w środku rzeczy postrealistycznej. Jeżeli, rzecz jasna, Inny Świat uznajemy za prozę realistyczną.

Innymi słowy, niektóre żony zmieniły swoje przeznaczenie. Ostrownoje obecnie to letni łagier dla pionierów. Inne zarosły trawą i zdziczałą porzeczką, jak na przykład Druga Aleksiejewka, dokąd mnie zawiózł major Gusiew. Major Gusiew jest zapalonym myśliwym. Po drodze opowiadał, że najbardziej lubi polować na zbiegłych zeków, bo to mądre żywotne i często bywa uzbrojone. Do Drugiej Aleksiejewki brodziliśmy w kopnym śniegu, na szerokich, północnych nartach. Gusiew przeczytał Inny Świat, którego kilka egzemplarzy przywiozłem do Jercewa, i żywo komentował przeczytane. Jego ojciec był nadziratem w czasach, gdy Pana trzymali, Panie Gustawie. Gusiew mówił z ironią o Innym Świecie. Sens jego słów mniej więcej taki: cóż oni mogli wiedzieć o żonie, zamknięci w niej jak króliki w klatce, brak im dystansu z zewnątrz, spojrzenia z wyszki, by objąć całość skomplikowanego mechanizmu pilnowania ludzi. Inne łagpunkty: Kruglica, Mostowica, a także żona w samym Jercewie, za owe pół wieku nie zmieniły się w ogóle.

Wtedy w styczniu, wykorzystując zaskoczenie naczalstwa obozu, dostałem do ręki na chwilę Pańską teczkę: Licznoje dielo, numer 1872. Niestety, sfotografować mi jej nie pozwolili. Dopiero w maju, po kilkumiesięcznej podróży korytarzami Ministerstwa Wnutriennych Dieł, otrzymałem zgodę na zrobienie mikrofilmów Pana teczki oraz na wejście do środka żony. Dokumenty sfotografował wnuk Borysa Pasternaka, do żony pojechałem, po raz wtóry, w białe noce.

Tym razem moją wizytę poprzedził telefon z Moskwy, z sekretariatu generała Strielkowa, Aleksandra Aleksandro-wicza. Na stacji w Jercewie czekał na mnie służbowy jeep, a potem wszystko, co chciałem. Na dreźnie przejechaliśmy wszystkie łagpunkty, prawie pod Kargopol. W tym także łagpunkt sztrafny, gdzie w latach pięćdziesiątych suczili zakonnych worów. Pokazali mi żonę pracy, kuchnię, stołówkę: spróbowałem bałandy, nie powiem, wkusna. Byłem w izolatorze, w domu swidani, w szpitalu, w baraku chudo-żestwiennoj diejatielnosti. Rozmawiałem z worami w zakonie i z mielką żulią, z nadziratem i wolnonajomnymi. Pułkownik Kuzienkow, naczelnik Uprawlenija, zaprosił mnie na kolację do siebie. Kolacja była wystawna, rzekłbym obfita: łosina duszona w liściach moroszki, pstrąg zapiekany w cieście, jarzabki z rusztu, ikra czerwona, ikra czarna, solone mleczaje, marynowane chruszcze. Do tego nastojki: na pączkach brzozy, na złotym korzeniu, na czarnej jagodzie. Pułkownik Kuzienkow z każdą butelką coraz głośniejsze mówił, że przyjdzie żonę prywatyzować i robić fuchy na indywidualne zlecenia. Obecnie zeki ciosają domy na dache i meble na wysoki połysk, a więc pokusa prywatyzacji żony może być nieodparta.

Przypadek pomógł, że spotkałem Franka, jak gdyby inny wariant Pańskiego losu. Franek wojował w lasach na Wileńszczyźnie, pod pseudonimem Żbik. Pojmali go w stodole, gdzie spali po akcji. Do Jercewa przywieźli w czterdziestym trzecim.

Odsiedział dziesięć lat, potem został, bo nie miał dokąd wrócić. Trzydzieści lat przepracował w tej samej żonie, w której siedział jako polski dywersant. Przepracował jako prorab. Franek słabo pamięta po polsku, żyje z rosyjską złodziejką, która wyszła na wolność w tym samym czasie co on. Postawili mały domek, tuż pod drewnianym zaborem żony, i żyją w jej cieniu jak u Pana Boga za piecem.

Sporo by jeszcze można o Jercewie napisać, wszak rzeczy o dzisiejszych żonach póki co nie ma. Ja pomyślałem o filmie i nawet zgodę uzyskałem na kręcenie wewnątrz żony. Niestety, dwa lata minęły, a ludzie, którzy chcieli to zrobić ze mną, nie potrafili znaleźć pieniędzy.

Ja sam, w międzyczasie, zamieszkałem na Północy, piszę o Północy, patrzę z Północy na świat. Ostatnio porządkowałem szuflady biurka i znalazłem mikrofilmy Pańskiego diela. Zacząłem dumać, co z nimi zrobić? Kwartalnik «Karta» wziąłby je z radością, Archiwum Wschodnie pewnie też. A może Pan miałby jakieś konkretne wskazania, może chciałby Pan, bym Mu przysłał Jego licznoje dieloi Pozdrawiam serdecznie. Mariusz Wilk”.

20 listopada Barbara Spinelli trafnie ustala datę narodzin współczesnych intelektualistów: sprawa Dreyfusa, której setna rocznica przypada właśnie teraz. Można tę datę jeszcze uściślić, przesuwając ją o cztery lata i pasując na ojca gatunku Emila Zole. To on w roku 1898 rzucił w twarz Władzy i jej najwyższym instytucjom swoje J'accuse. W ciągu stu lat stopniowo zmiekczano i oswajano potomków Zoli, aż udało się wyhodować (według Poppera) intelektualnych „osłów”. Występować przeciw Władzy? I to Władzy wyposażonej w Siłę, namaszczonej przez Historię na setki lat trwania? O nie! To jest zajęcie dobre dla szaleńców, których intelekt (jeżeli go w ogóle posiadali) został porażony bzikiem, a może wręcz amokiem.

Za klasyczny model nieustannej dekadencji intelektualistów, zdrady „oskarżam” sprowokowanego sprawą Dreyfusa, uważam stosunek większości intelektualistów zachodnich do Sołżenicynowskiego wyzwania pod adresem Tysiącletniej Władzy Sowieckiej. Najbardziej chyba podobał im się tytuł opowieści autobiograficznej Sołżenicyna Bodło ciełę dąb. Ten utalentowany pisarsko cielak (tego mu nie odmawiano, choć półgębkiem) ubrdał sobie naprawdę, że potrafi swoimi rogami obalić albo co najmniej nagiąć ku ziemi majestatyczny, rozłożysty Dąb. Niech bodzie, niech bodzie, zobaczymy, jak w końcu odpadną znarwionemu śmiałkowi krótkie rogi. Coś podobnego śledziło się w cieniu młodych dębów satelickich. Rozmaite Ketmany i Murti-Bingi przystrajały po prostu głębokie przekonanie, że So-wiety z Polski nie wyjdą. Długo albo - kto wie, kto wie - już nigdy. Powtarzał mi to Miłosz, powtarzał Kisielewski (z towarzyszeniem „nie wystawiaj sobie świadectwa kompromitującej naiwności”), powtarzały dziesiątki pomniejszych płotek intelektualnych.

Gdy Sołżenicyn wyrzucony z ZSSR powiedział „wróć tu”, a na wygnaniu zapewniał przy każdej sposobności „ustrój sowiecki skazany jest na całkowite bankructwo”, większość, znakomita większość intelektualistów zachodnich robiła kółka na czole; robiła jeszcze większe, gdy dawał z daleka rady rządzącym. Sam



brałem udział w dialogu publicznym, gdzie mój rozmówca, wybitny wykładowca filozofii w Rzymie, wyśmiewał Sołżenicynowski List do przywódców sowieckich; i nie oszczędzał mnie, „polskiego adwokata Proroka z Vermont”. Dziś triumf Sołżenicyna i jego powrót do ojczyzny z przekąsem przyjmują na Zachodzie adepci (ukryci bądź jawni) świata podzielonego po Jałcie. Dotykając, jako spadkobiercy powstałego przed stu laty zakonu rycerskiego, dna intelektualnej nędzy.

W maju 1994, w rozmowie z zespołem redakcyjnym „Więzi” w Warszawie, dokładnie w momencie, gdy Sołżenicyn rozpoczął od Kołomy swoją drogę powrotną do Moskwy, zapytano mnie, co sędzę o „stylu” jego podróży. Nie wierząc naturalnie zapewnieniom pisarza, że po przyjeździe do Moskwy nie zamierza zajmować się polityką, nie ukrywałem niepokoju na widok „misjonarskiego” stylu podróży Sołżenicyna. „Misjonarstwo”, obce mi z gruntu, tkwiło w „Proroku z Vermont” od dawna. Ale w nowej postaci powracającego triumfatora wydało mi się mimowolnym i niebezpiecznym ukłonem pod adresem ugrupowań skrajnie nacjonalistycznych (jakkolwiek Żyrinowskiego jeszcze za granicą nazwał „żałosną karykaturą”), dla których okazja „przypisania się” do charyzmatycznego Wodza mogła się stać nieodpartą pokusą.

Moje obawy rozwiąło wystąpienie Sołżenicyna w piątej Dumie. Spokojne, trzeźwe, skromne, może zbyt drobiazgowo w sytuacji wymagającej szerszych perspektyw, może niedostatecznie zatroskane głębokim kryzysem państwa i próżnią władzy, zanadto „stołypinowskie”, wystarczająco jednak silne w nacisku na konieczność moralnego odrodzenia po upadku komunizmu. Rzecz jasna, słuchano go z obojętnością, a niekiedy nawet wrogością; nie mogło być inaczej, posłowie do piątej Dumy są przede wszystkim graczami (jak posłowie do polskiego Sejmu), cynicznymi na ogół chytrusami z nomenklaturowej wylęgarni, nie dla nich „umoralniające kazania”, oni wiedzą, czym to (czyli ochłapy władzy) się je. Czas pokaże, że wybór Sołżenicyna był słuszny, więcej - jedyny w długiej końskiej kuracji wydobywania się z dziedzictwa sowietyzmu. Po wystąpieniu w Dumie pisarz nazwał je w jednym z wywiadów „nie politycznym, lecz obszczenrawstwieniym”. Takie musiało być. Nie trafiło do członków Dumy (którzy zapewne robili ukradkowo kółka na czołach, jak przed nimi zachodni intelektualisci), a przecież jakiś głębszy ślad pozostawiło, jeśli czytam w artykule znanego moskiewskiego publicysty Timofiejewa apel do Sołżenicyna, by zgodził się kandydować w przyszłych wyborach prezydenckich. Przykład znakomitego prezydenta czeskiego Vaclava Havla jest zachęcający. Negatywny przykład polskiego prezydenta Wałęsy wskazuje, że na gruzach komunizmu charakter i uczciwość ważą więcej od drobnej - nabytej lub instynktownej - przebiegłości politycznej.

(Dopisane 18 grudnia. Miłosz pisze w ostatnim numerze „Kultury” o książce Tony Judta *The French intellectuals 1944-1956*. Czytałem ją, utwierdziła mnie w słuszności brania w cudzysłów „intelektualistów”. Uprawiałem ten proceder dość długo, znudził mi się w chwili, gdy odkryłem, że Popper nazywał ich po prostu „osłami”. Ale nie można wciąż posługiwać się „osłami”, więc poprzestaję na umowie z czytelnikami: ilekroć piszę o intelektualistach, mam na myśli określenie Poppera).

26 listopada Na krakowskim spotkaniu z redaktorami „Tygodnika Powszechnego” Bronisław Mamon wręczył mi „mały pre-zent-niespodziankę”. Mamon zajmuje się od dawna Karolem Ludwikiem Konińskim, porządkując jego archiwum, znalazł kilka moich listów dwudziestoletniego studenta z maja, czerwca i lipca 1939 roku. Koniński nawiązał ze mną kontakt (napisał do mnie pierwszy z Lanckorony) po przeczytaniu mojego szkicu o jego Pisarzach ludowych w „Pionie” Kołowieckiego. Ostatni z moich czterech listów nosi datę 27 lipca 1939. Zaczyna się tak: „Jest mi niezmiernie przykro, że dopiero dzisiaj odpisuję na Pana kartę. W międzyczasie udało mi się jednak wyjechać na trzy tygodnie nad Jeziora Augustowskie i już nie zdążyłem Pana o tym zawiadomić. Do Suchedniowa przyjechałem przed paroma dniami i od razu zabrałem się do pracy nad studium o literaturze ludowej. Zgodnie z umową mam to studium przesłać redaktorowi «Wiedzy i Życia» 15 sierpnia. Ponieważ w przejeździe przez Warszawę rozmawiałem z Ludwikiem Fryde, który mi wspomniał o karcie, jaką od Pana otrzymał - spieszę Pana zapewnić, że moja praca o literaturze ludowej nie ma nic wspólnego z jego artykulikiem o Pisarzach ludowych i że została zamówiona już po ukazaniu się tego artykuliku w «Wiedzy i Życiu». Trudno mi teraz powiedzieć

dokładnie, na kiedy wykończę moje studium. Wypad augustowski zabrał mi wiele czasu”.

Wypad augustowski! Trzy tygodnie w namiocie z Jankiem Strzeleckim i Krysią Broniatowską (dziś Griffith-Jones). Od tragicznej śmierci Janka częściej wspominam nasze augustowskie rozmowy w trójkę i pławienie się w Jeziorze Białym (przepłynąłem je wtedy wszcz, ku przerażeniu siedzącej na brzegu Krysi). I moje powojenne spory z Jankiem, ostre niekiedy i bolesne, odpływają wyblakłe i nieważne wobec naszej młodzieńczej przyjaźni. Zastanawiam się, co by robił, gdyby dożył Niepodległości. Pewnie związałyby się z Janem Józefem Lipskim, a potem z Karolem Modzelewskim. I pisywałyby (prócz pism naukowych) do „Tygodnika Powszechnego”.

Ale wracam do Konińskiego, którego format pisarski i myślowy oceniono sprawiedliwie dopiero po wydaniu jego dziennika. W moim Wspomnieniu o K. L. Konińskim (londyńska księga zbiorowa Straty kultury polskiej i mój debiutancki tomik Żywi i umarli)\* czytam, że studium o kulturze ludowej skończyłem 20 sierpnia, czystopis wysłałem do „Wiedzy i Życia”, a brulion do Konińskiego. Prosiłem o zwrot tego brulionu, bo we wrześniu miałem wygłosić referat na krzemienieckim zjeździe polonistów. 31 sierpnia przyszła ledwie czytelna pocztówka (Koniński był od lat obłożnie chory i pisał na leżąco) z Lanckorony: „Myślę, że pora odłożyć pióra na ten czas burzliwy”. Nazajutrz spadły pierwsze bomby na pobliskie Skarżysko.

Rzym, 30 listopada Rzymski spacer, chłodno, ale słonecznie. W drodze do mojego anglo-amerykańskiego tłumacza, RONALDA STROMA (nauczył się polskiego w wojskowej szkole języków w KaliZob. przedruk w 9 tomie Pism zebranych.

fornii), który od jakiegoś czasu doskonale przekłada pisane w romanesco sonety Gioacchino Belli - jadownicie anty-klerykalne i antypapieskie, uwielbiane przez Gogola, który podczas pisania na Sistine Martwych dusz też przymierzał się do nich jako tłumacz na rosyjski w chwilach wolnych od pracy nad powieścią - po raz pierwszy stanąłem w jednym z zaułków przed kamieniczką z tablicą „tu urodził się Gioacchino Belli”. Te rzymskie kamieniczki w zaułkach! Zdawałoby się, że tylko ocalałe fasady, a przestąpiwszy próg, widzisz, jak są długie, ile mają małych podwórek; miniaturowe autonomiczne królestwa, gdzie kiedyś można było kochać rzymskie piękności i sztyletować rywali z dala od ludzkich oczu. Na Piazza Navona, wśród robotników stawiających już bożonarodzeniowe kramy, towarzyszył mi „głęboki cień” Giordana Bruna, tutaj więzionego przez Inkwizycję przed skazaniem na stos. A w miejscu stosu na Campo dei Fiori, dwa kroki od mieszkania RONALDA, pomnik spalonego heretyka na obrzeżu codziennego targu; ten obrazek jest po staroświecku piękny, jakby ożyła rzymska podkolorowana rycina z dawnych wieków.

Przyjechałem wczoraj do Rzymu na pożegnalną kolację u ambasadora Bolesława Michałka, który wkrótce wraca do Warszawy wraz ze swoim radcą, Tadeuszem Konopką (znajomym jeszcze z czasów, gdy był łącznikiem między „Solidarnością” i włoskimi związkami zawodowymi). Liczba i jakość zaproszonych gości świadczy, jak dobrze zadomowił się ambasador polski w Rzymie podczas swojej czteroletniej kadencji. Szkoda, że już się kończy, mam nadzieję, że postkomuniści (jak się piszą? z grubą kreską w środku czy bez?) i ich ludowi sojusznicy-wspólnicy nie cofną się do dawnej tradycji traktowania ambasad jako synekur dla dygnitarzy, których dla otarcia łez po wykopaniu z warszawskiej meliny rządowej wysyła się na placówki zagraniczne, choć nie mają na ogół zielonego pojęcia o krajach dyplomatycznego przeznaczenia.

Na przyjęciu u Michałka najdłużej rozmawiałem z ambasadorem szwajcarskim, moim -1 jak się okazało - czytelnikiem. Rzecz jasna, sytuacja we Włoszech. Berlusconi? Można go lubić albo nie - to mówię ja, który go nie lubię - ale sęk w tym, że nie widać dziś we Włoszech żadnej dla niego alternatywy. Byli komuniści są w ślepym zaułku, nie mają programu i ludzi pewnego kalibru, ograniczają się do zaczepek i psucia powietrza, nawet jeżeli udaje im się poprawić trochę notowania wyborcze. Katolicy? Nigdy jeszcze nie stoczyli się tak nisko. Buttiglione jest może ciekawym filozofem (nie czytałem jego książek), ale jako polityk robi wrażenie wiejskiego przygłupka. Trzydziestolecie, przemądrzała i fanatyczna panna Pivetti (eks-pani), którą wymienia się w bukietach kandydatów na premiera w razie upadku Berlusconiego, jest żywym dowodem degrengolady politycznej Włoch. Oboje, jak słyszę, są faworytami Jana Pawła II (papież nie zawsze daje dowody przenikliwości politycznej). Przeżywamy dziś - mówię ciągle ja - epidemię miernoty, nie tylko włoskiej zresztą. Clinton? Dogasający Mitterrand, niegdyś prawdziwy „florentyńczyk”? Bal-ladur? Major? No, może jedynie Kohl przypomina autentycznego męża stanu. Stosunek „bezsilnego” Zachodu do tragedii

w Bośni jest zaproszeniem do powszechnej womita-cji, połączonej z nerwowymi drgawkami.

Reakcje dyplomatów zawodowych (dla ambasadora szwajcarskiego Rzym jest jedną z kolejnych stolic, nie wyłączając Moskwy i Pekinu) można odczytywać ze sposobów ich milczenia. Powiedzmy, że milczenie mojego rozmówcy było serdeczne i pełne zrozumienia, z ledwie dostrzegalną domieszką czegoś więcej.

Martwy Chrystus Marginalia albo wióry z warsztatu. Należy je zapisać jednym tchem, bez przerywników, gwiazdek, odstępów, gdyż ich wymowa tkwi w modulacji głosu. W modulacji nie zakłóconego niczym i przez nikogo monologu.

„Barnaby Conrad - pisze do mnie wrażliwy czytelnik z Kanady - zebrał w książce Famous Last Words ostatnie słowa wypowiedziane lub zapisane tuż przed śmiercią przez różnych wybitnych ludzi. Giordano Bruno (na stosie): ((Moja dusza wzniesie się wraz z dymem do rajy». Chociaż Pan napisał o stosie Giordana Bruna, że «nie usłyszano ani słowa skargi, długo widziano jego nieruchomą, osmaloną twarz», to Pańskie zakończenie Głębokiego Cienia, ze spadającym z nieba gołębiem symbolizującym duszę Nolań-czyka, jest jakby powrotem tej duszy z rajy”.

Dowód pisarskiej intuicji, dalej podam jeszcze inne. Teraz chcę skupić uwagę na samym stosie. W swoim czasie niedyskrecje watykańskie zapowiedziały bliską „rehabilitację pośmiertną” Giordana Bruna (okres postalinowski w ZSSR zinstytucjonalizował „rehabilitacje pośmiertne”), ostatnio nastąpiła widocznie jakaś zmiana, skoro sodalis znanego publicysty katolickiego, Vittorio Messori (współautora papieskiej książki *Varcare la soglia della speranza\**), i też katolicki publicysta wystąpił z twierdzeniem: „słuszny stos” (dla Giordana Bruna). Podobno o. Bocheński, aluzyjnie i ostrożnie, coś pokrewnego wyłożył Parysowi w tomie rozmów filozoficzno-religijnych. Nie żyjemy zatem w epoPrzekroczyć próg nadziei.

ce uwolnionej całkowicie od ognia pochłaniającego „wszelkie heretyckie odstępstwa od prawdziwej wiary”. Niech dalej trwa na wieki zakapturzony i ulubiony przez gołębie pomnik na Campo dei Fiori.

Zarówno w moim szkicu Caravaggio: światło i cień, jak w moim opowiadaniu Głęboki Cień wielki malarz przygląda się z tawerny stosowi Nolańczyka. Skąd to wzięłam? - pytano. Znowu podszept intuicji. I znowu potwierdzonej przez rzeczywistość. W wydanej świeżo książce Caravaggio assassino malarski awanturnik, pasjonat, zbrodniarz i buntownik dał w Męczeństwie Mateusza stos w tle. Nie przywiązywałam do niego większej wagi podczas pierwszych oglądów obrazu. Badacze twierdzą dziś kategorycznie, że pojawił się i odcisnął swój ślad w tle Giordano Bruno jako odpowiednik świętego Mateusza. Ukryty przeciwnik kontrreformacji pasował w ten sposób heretyka na świętego męczennika.

Z mojego szkicu Caravaggio: światło i cień muszę zacytować podrozdział *Morte della Fergine*.

„Obraz wstrząsający, dla mnie jedno z głównych arcydzieł Caravaggia. Trudno jednak dziwić się zanadto, że przez zamawiających został ze zgorzeniem, jeśli nie z oburzeniem, odrzucony. Biada ołtarzowi, który miałby go prezentować wiernym!

Kobieta już niemłoda, bezgranicznie utrudzona życiem, obrzękła, z brzuchem sterczącym jak w ciąży, o ciężkich i grubych nogach robotnicy rolnej. Jej twarz nie wyraża spokoju i majestatu śmierci, raczej ulgę: jak strasznie jest zmęczona; to samo mówi jej zwisająca z barłogu lewa ręka. Cienka, delikatnie zarysowana aureola nad głową wydaje się tu czymś obcym i zarazem naturalnym. Dokoła śmiertelnego łoża płacz, zgromadzeni oplakują odjęty nareszcie ból istnienia, niektórzy zasłaniając rękami twarze. Wyzwolona Matka Boska, niech odpoczywa wiecznie.

Obrzęk ciała skłania do przypomnienia współczesnej malarzowi historii «świętej nierządnicy». Caterina Yannini, młodociana prostytutka, zapukała skruszona do bramy klasztoru w Sienie. Jako zakonnica zbliżyła się pod koniec życia do świętości, o czym przekonany był Federico Borro-meo, inicjując po jej śmierci proces beatyfikacji. Umarła w wieku czterdziestu czterech lat na puchlinę wodną. Do *Morte delia Yergine Caravaggio* przemycił puchlinę wodną sieneńskiej Katarzyny.

*Morte delia Vergine* należy oglądać równocześnie z innym płótnem Caravaggia, *Maddalena*. Śpiąca na krześle Magdalena, z rozchyłonymi ustami i nie domkniętymi oczami, z rękami splecionymi w geście znużenia, jest jakoś spokrewniona z umarłą Najświętszą Dziewicą. Łączy je ów ból istnienia, którego kolec nosił za skórą Caravaggio wraz z cierniem śmierci”.

Kolejny przykład intuicji, tym razem nie mojej wyłącznie. I tym razem częściowo przynajmniej błędnej. Prawdą było, że Caravaggio chciał celowo połączyć niepołączalne, Najświętszą Niepokalaną Dziewicę z prostytutką, aby tym donośniej przemówił jego obsesyjny motyw „ból istnienia”. Ale nie miała tu nic do rzeczy współczesna mu „święta nierządnica” ze Sieny. Świeże dociekania autorów archiwalnego kompendium *Caravaggio assassino* wprowadzają na scenę dwie prostytutki rzymskie (rodem także ze Sieny), wyłowione przez malarza w jednej z tawern i wprowadzone do pracowni jako (przede wszystkim) modelki: nazywały się Annuccia i Fillide. Annuccia pozowała mu do Skruszonej Magdaleny; i Annuccie, zmarłą podczas porodu, namalował w *Morte delia Vergine*.

Kiedy się o tym wie i rozmyśla, trudno się oprzeć pokusie ściślejszego powiązania malarza-heretyka i filozofa-heretyka, wrogów kontreformacji. Caravaggio był nie tylko przeniknięty do głębi „ból istnienia” i starał się wyrazić go w swoim malarstwie. Prawdopodobnie trafiał mu do przekonania Giordano Bruno, głoszący, że „Bóg jest istotą niepoznawalną, do której człowiek może się zbliżyć jedynie tak, jak cień zbliża się do światła”, oraz że „Bóg, czyli światło, nie może być w pełni ogarnięty, człowiek może się doń zbliżyć tylko cieniem”. Nacisk filozofa na cień („jestem głębokim cieniem”) znajdował echo w malarzu („jestem mistrzem światła i cienia”).

Patrzę na kobietę z *Morte delia Vergine*, o ciężkich, grubych nogach i chłopskich rysach twarzy, z brzuchem sterczącym jak w ciąży (okazuje się, że po porodu). I myślę o Ciężarnej Madonnie, *Madonna del Parto*, *Piera delia Francesca* w kaplicy cmentarnej wioski tokańskiej Monterchi, w pobliżu rodzinnego Borgo San Sepolcro malarza. Madonna wsparta lewą ręką w bok, prawą położyła na rozpięciu w sukni, które odsłania ciężarny brzuch. Matka malarza urodziła się w Monterchi,

długo więc sądzono, że to ją namalował wkrótce po jej śmierci, ale daty się nie zgadzają. Nie miało to w przeszłości znaczenia, wystarczyło pamiętać, że tędy zwykł przechodzić na starość ślepy Piero prowadzony za rękę przez chłopca; i że kaplica cmentarna, Madonna pod baldachimem, którego oba odchylone skraje podtrzymują dwa anioły - kaplica i ciężarna Madonna, powtarzam, starzejące się i czerniejące z upływem czasu jak przydrożny krzyż smagany wiatrami i deszczami, prażony tokańskim słońcem, stały się częścią natury i świata, na podobieństwo Narodzenia pod uciętym dachem tegoż Piera. Świata zmytyzowanego i nagle osieroconego, gdyż Ciężarną Madonnę odrestaurowano - czyli rozjaśniono - i przeniesiono obecnie z kaplicy do małego muzeum w Monterchi (dlatego użyłem wyżej określenia „w przeszłości”). Nie jestem w zasadzie przeciwnikiem restauracji (odnowiony Sąd Ostateczny Michała Anioła w Kaplicy Sykstyńskiej zdał egzamin na celująco), sądzę jednak, że nie wszystko można restaurować i przenosić. Ciemna Madonna del Parto w kaplicy cmentarnej opowiadała innym, głębszym głosem fragment wielkiego, tajemniczego „cyklu” Poczęcie-Narodzenie-Nauczanie-Ukrzyżowanie-Zmartwychwstanie.

Męka Ukrzyżowania. Sycylijski mistrz Antonello da Messina pokazał w trzech twarzach trzy warianty płaczącego Chrystusa: położył nacisk na wyraz tępego bólu, maskę fizycznego cierpienia, szloch wywołany okrucieństwem tortury. Masaccio w Ukrzyżowaniu kazał głowie Chrystusa wyrosnąć wprost z torsu, jakby przetrącono Mu kręgosłup przed przybiciem do krzyża. Niedawno w Mediolanie, w otwartych po długiej przerwie „salach napoleońskich” Galerii Brera, widziałem nareszcie w oryginale Martwego Chrystusa, Cristo Morto. Andrea Mantegna, iluminator Komnaty małżonków w Mantui, namalował go w roku 1480. Jedyne to obraz, z którym się nigdy nie rozstawał, który uważał (słusznie) za swój osobisty skarb. Obraz przejmujący, nie mający sobie równego, realistyczny i ludzki aż do skrajności (w tym bliski Morte delia Vergine Caravaggia; wiadomo, na przykład, co oznacza wzniesienie na płócienną narzucie zasłaniającej martwego od pasa w dół: erekcja jest ostatnim śladem życia u powieszonych czy ukrzyżowanych). Nazywał się kiedyś Cristo scurto, co angielscy historycy sztuki oddają słowami strongly foreshortened figurę. Względy perspektywy w figurze widzianej jakby przez twórcę klęczącego w niewielkiej odległości od stóp Chrystusa, leżącego po zdjęciu z krzyża (i oplakiwanego z boku przez Matkę i Jana Ewangelistę), nie wystarczają dla wytłumaczenia pozycji „gwałtownego skrócenia”, skurczu, przygniecenia ciała. Według mnie Mantegna w ten sposób zamierzał - z powodzeniem! - namalować Ukrzyżowanego jako kondensację cierpienia, zmartwiały kłęb ledwie wygasłego bólu.

Caravaggio i Mantegna, a do pewnego stopnia także Masaccio i Antonello da Messina, utrafili w sedno chrześcijaństwa, religii cierpienia, głębokiego związku cierpiących z Ukrzyżowanym. Niezbyt sensowne więc wydaje się pytanie Unde malumi (w Krakowie we wrześniu głowili się i mądrzyli nad nim poeta, filozof i teolog). Zło jest w naszym świecie, w nas i obok nas, w „bólu istnienia” i w cierpieniu. Można i należy z nim walczyć, nie można go definitywnie pokonać. Taki

jest świat, to czują chrześcijanie wpatrzeni w obraz Chrystusa, wierzący w Jego „cykl”, po cóż więc przypominać im, że żmijka połyka robaka, ptak połyka żmijkę, lis szykuje się do skoku na ptaka, człowiek łowi w żelazne kleszcze lisa, sam zaś dobrze wie, że na niego również ktoś lub coś zastawia sidła.

Kościół instytucjonalny rozumie to doskonale. Usiłuje wiarę zespolić z otuchą, nadzieją i odwagą. Jan Paweł II napisał po polsku swój tekst do książki *Varcare la soglia della speranza* z wyjątkiem włoskiego wezwania *non abbiate paura*, „nie bójcie się”, które otworzyło niegdyś jego pontyfikat. Irena Pivetti, zagorzała katoliczka z krzyżem *Wan-dei* na piersiach, zwana często we Włoszech „naszą Dziewicą Orleańską” albo „naszą świętą”, trzydziestotrzyletnia przewodnicząca włoskiej Izby Deputowanych (choć, prawdę mówiąc, ani nie dziewica, skoro była przez jakiś czas mężatką, ani nie przykładna katoliczka, skoro rozstała się z mężem po odmowie rodzenia dzieci), wgapiona ekstatycz - \ nie w „papieża Wojtyłę”, zaproponowała, by wezwanie papieskie uzupełnić: „Nie bójcie się Boga”. Nasz „najlepszy ze światów” zdąży jednak szybkimi krokami w kierunku, który Ojca Świętego powinien raczej skłonić do okrzyku, ile sił w piersiach, „Bójcie się Boga, bójcie się Boga!” Okrzyku może już daremnego, bo nad schyłkiem Drugiego Millennium zdaje się coraz przemożniej panować Mantegna ze swoim Umarłym Chrystusem.

Listopad 1994

Neapol, 3 grudnia '??

Nie zdarzały mi się chwile zwątpienia w wielkość pisarską Camusa, w jasną nić łączącą jego pióro równocześnie z sercem i umysłem, ale przyznaję się do obaw na wiadomość, że postanowiono wydać brulion jego nie dokończonych powieści autobiograficznej *Le premier homme*. Każdy pisarz rozumie, co to jest brulion, pełen luk, wielokropków, luźnych szkiców, o których jedynie autor wie, jak winny się rozwinąć, czym będzie ich kształt dojrzały. Mało jest pisarzy pędzących naprzód „od pierwszego rzutu”, prawie bez skreśleń i poprawek (Stendhal), nie posuwających się do przodu przed doskonałym wykończeniem poprzedniej stronicy (Flaubert), obmyślających latami powieść w milczeniu, by wreszcie wyrzucić ją z siebie gotową w ciągu kilku tygodni (Tomasi di Lampedusa). Przeważnie pracuje się z pomocą notatek, posuwając wolno książkę po szczeblach kompozycyjnej drabiny. Do tej kategorii należał Camus. Więc jak te szczeble po śmierci autora pokazać, jak przekonać czytelników (a nie badaczy) o wartości przedsięwzięcia pisarskiego in nuce! Ja przeczytałem nieomal w całości Pierwszego człowieka z zachwytem i jestem pewien, że byłaby to wielka książka, gdyby wypadek samochodowy nie przeciął życia jej autora, który jako 44-latek był już noblistą. „Nieomal” dotyczy partii refleksyjnych, filozoficznych, które wymagają naturalnie rozwinięcia i wycieniowania. Natomiast sama narracja autobiograficzna, opowieść o własnym życiu z lat dzieciństwa i chłopięctwa, jest zaskakująco dojrzała. Camus przyzwyczyił nas do rysunku figur emblematycznych, grających na scenie pewną „kwestię”, niedokrwistych zatem, bo chodziło bardziej o „kwestię” niż o postać (Obcy, adwokat z Upadku, galeria osób z Dżumy; żywą postać wprowadził jedynie w pięknym

opowiadaniu Cudzołożnica). A tutaj, w Pierwszym człowieku, Camus odsonił się nagle jako wybitny portrecista i autoportrecista: matka, cień poległego ojca, babka, wuj, nauczyciel, mały Albert i jego koledzy, wszyscy zdumiewają. Ma się poczucie, że Camus (o którym po Noblu paryscy „koledzy po piórze” przebąkali, że już się „wypisał”) w czterdziestym czwartym roku życia wchodził w nowy okres swojej twórczości.

W Notatnikach z roku 1935 pisał: „Chcę powiedzieć, że jest możliwe - bez wynaturzeń romantycznych - tęsknić do utraconej biedy. Lata przeżyte w biedzie przyczyniają się do powstania nowej wrażliwości”. Ta wrażliwość, „w połowie drogi między biedą i algierskim słońcem”, jest czystym źródłem Pierwszego człowieka.

10 grudnia Tezę książeczki znanego eseisty niemieckiego, Hansa Magnusa Enzensbergera, Aussichten auf den Biirgerkrieg\* jest zapanowanie stanu wojny domowej na całym świecie, jako głównego znamienia naszej epoki. Nie chodzi o prawdziwe wojny czy konflikty domowe (typu bośniackiego), których liczba według eseisty niemieckiego waha się od 60 do 70. Chodzi o powszechny stan wojny domowej, która jest wyrazem rosnącej agresywności bez żadnego konkretnego powodu - narodowego, społecznego, religijnego. Zgadzam się z tą tezą, jej prawdziwość obserwuję we Włoszech od dłuższego już czasu. Włosi byli kiedyś odporni na Widoki na wojnę domową.

wszelkie hasła nacjonalistyczne (Mussolini miał kłopoty z wprowadzeniem „ustaw rasowych”, zrobił to pod naciskiem Hitlera *contre coeur*), nie mogło być inaczej, zwłaszcza na Południu i na Sycylii, gdzie „czystość etniczna” jest po prostu nonsensem. A teraz widuję akty agresji (bądź czytam o nich w gazetach) przeciw „kolorowym” emigrantom, którzy w miastach są domokrażcami, a na wsi sezonowymi robotnikami rolnymi. Niech mi nikt nie mówi o motywach gospodarczych, bo nie istnieją w tym wypadku, tubylcy nie nadają się do robót wykonywanych przez przybyszów z Afryki albo nie mają ochoty na męki np. zbioru pomidorów. A jednak podpalają nędzne baraki zamieszkałe przez gente di colore, zaczepiają ulicznych sprzedawców, mają pełne gęby hasła dotychczas we Włoszech przez nikogo nie wykrzykiwanych. Enzensberger powiada, że cechą powszechnej podskórnej wojny domowej jest nieobecność jakichkolwiek „zasad ideowych” w aktach agresji. Czyli agresja dla agresji, trzeba koniecznie komuś „przywalić”, aż ręce swędzą. Hans Magnus (tak go się na ogół nazywa) ma rację, szkoda tylko, że poprzestaje na opisie zjawiska, nie próbując odpowiedzieć na pytanie, „skąd ta potrzeba gwałtu?” Zdaję sobie sprawę, że trafna i dobrze uzasadniona odpowiedź byłaby bardzo trudna, ale podejrzewam, że należy sprawę opukiwać na linii zaproponowanej tuż przed śmiercią przez Poppera: potrzeba gwałtu podsycana przez ekran telewizyjny. Podobnego zdania jest mój przyjaciel, pisarz Goffredo Fofi, który na wczorajszym obiedzie zaczął od „dobrej nowiny”, że według statystyk liczba widzów włoskich spadła w ostatnim kwartale o 700 000. A spadła, według mnie, dlatego, że nareszcie zaczęły ludzi doprowadzać do białej gorączki reklamy (zwłaszcza w kanałach prywatnych) i strumienie politycznego bełkotu, który w sytuacjach skomplikowanych (a taka panuje dziś we Włoszech) zastępuje elementarz



rozsądnego myślenia. Dzięki temu wstrętowi nie ogląda się również podrzynania gardeł, deptania słabszych (przeważnie kobiet i dzieci), stosów zderzanych celowo samochodów, tortur, wybuchów dynamitowych, jednym słowem - wojny domowej wyzbytej wszelkich „zasad ideowych”.

Jedno wydaje się pewne, a mianowicie, że telewizja nie posiada żadnych walorów wychowawczych. Jest czystym instrumentem wiecowo-agitacyjnym na gigantycznym placu w uniwersalnej wojnie domowej (z różnie dozowaną przyprawą programów rozrywkowych).

18 grudnia Maciej Żurowski w posłowniu do polskiego wydania Szkoły uczuć Flauberta (w przekładzie Anieli Micińskiej; moim zdaniem lepsza była Szkoła serc w dawnym przekładzie) cytuje fragment listu Flauberta z okresu Pani Bovary: „Jedną z moich zasad jest przekonanie, że nie wolno pisać siebie. Artysta powinien być w swoim dziele jak Bóg w świecie, który stworzył, niewidzialny i wszechmocny; trzeba odczuwać go wszędzie, ale nie można go widzieć”. Tymi słowami, przypomina Żurowski, Joyce zamknął swoje credo w Portrecie artysty.

Nie znam doskonalszego klucza sekretnego do dobrej prozy, a raczej dokładniejszego i zwięźlejszego opisu jej poetyki. Primo, nie pisać siebie, nawet opowiadając w pierwszej osobie. Secundo, być niewidzialnym, widząc w obrębie opisu wszystko. Flaubert osiągnął ten ideał bardziej w Pani Bovary niż w Szkole serc. U Joyce’a „recepta” święci triumfy nie tylko w Ulissesie, ale i w drobnych rzeczach, jak na przykład we wspaniałym opowiadaniu Umarli z Dub-lińczyków. Można ułożyć listę arcydzieł sztuki narracyjnej, posłusznych świadomie bądź nieświadomie formule Flauberta. Jaki jest szybki sprawdzian wartości opowiadania czy powieści? Gdy czytelnika trapi pytanie, czy niewidzialny autor widział jednak to, co opisał. W Szkole serc za dużo jest świadectw bezpośrednich. Pani Bovary powstała z notatki w kronice gazety: w nią, jak Bóg, Flaubert tchnął życie; zobaczył w niej, w drobnej notatce, świat do stworzenia. Ale nie mógł, by wznieść się na wyżyny powieściowego Stwórcy, pisać siebie. Zmyśleniem więc lub momentem słabości kreatora, spoglądającego z dumą na własne dzieło, jest słynne zdanie: „Pani Bovary to ja”.

26 grudnia Po raz drugi odwiedził mnie dziś Nikołaj Aleksandrowicz Żiwago z Moskwy, italianista i anglista, tłumacz literatury włoskiej na rosyjski, doradca literacki jednego z teatrów moskiewskich, z zamiłowania skrzypek (zbliża się do pięćdziesiątki). Pierwszą wizytę opisałem w dzienniku pod datą 18 lutego 1994, tam też wyjaśniłem, skąd nosiciel takiego nazwiska w Neapolu.

W lutym zgadzaliśmy się co do Jelcyna, przełknęliśmy nawet krwawe stłumienie rebelii Chasbułatow-Ruckoj. „Niestety, nie ma nikogo lepszego, każda alternatywa byłaby gorsza”. To jego słowa, z podkreślonym niestety. A teraz? „Początek wojny trzydziestoletniej mafii rosyjskiej z czeczeńską. Jelcyn jest figurantem i narzędziem w rękach mafii rosyjskiej i części wojska. Mafia rosyjska chce zniszczenia wyroju swej groźnej konkurentki, część wojska ma nadzieję wymusić zbrojnie poprawę swego katastrofalnego położenia materialnego, dmuchając w imperialne iskry w popiele. W tej konfiguracji Jelcyn idzie na dno

(pijany). Nikt poza tym nie pali się do wojny, na odwrót". Wieczorem zatelefonował Piotr Mitzner z Warszawy, właśnie wrócił z Moskwy. Jelcyn wydał zakaz zgromadzeń i manifestacji publicznych, mogą się odbywać jedynie z inicjatywy i w obecności posłów do Dumy. Odbywa się więc polowanie na współczesnych swadiebnych gienierałów, znajdziesz i namówisz któregoś (może za opłatą?), możesz do woli wiecować.

Żiwago dopiero ostatnio przeczytał przemówienie Sołżenicyna w Dumie. „Nareszcie ktoś powiedział coś rozsądnego, chociaż przemawiał do głuchych”. Dodaję, że w Dumie ten „reakcjonista” domagał się powiązania polityki z etyką, a swój „imperializm” odsłonił w tych dniach, wzywając do wycofania się z Kaukazu i spełnienia postulatów Czece-nii („jeżeli nie zdołają utrzymać niepodległości i suwerenności, wrócą dobrowolnie do nas”). Tak - zamyśla się Ni-kołaj Aleksandrowicz - Sołżenicyn wydaje się jedynym rozumnym i uczciwym człowiekiem wśród rządzącej zgrai głupców i hochsztaplerów. Z Jelcynem na czele.

Partie? Pod okiem KGB. Administracja? Pod okiem mafii. A społeczeństwo? Tęskni do wodza i do „silnej ręki”, jest faszyzujące, nie znosi zagranicznych sklepów (chętnie by je zdemolowało, skoro nie może sobie pozwolić na wejście do nich), marzy o powrocie do „dawnych dobrych czasów”, kiedy „wszyscy żyli jednakowo źle, ale jakoś wiązali koniec z końcem”. Żiwago, patrząc na mnie, opowiada mi tytułem pocieszenia, że inteligencja znowu dużo czyta (głównie klasyków), rozumie dobrze sytuację i jakby zwierza szeregi. Czyli opowiada mi o kwietnej ozdóbce w wywróconym kozuchu; takim samym jak dawniej, tyle tylko że chwilowo trochę żywszym w kolorze.

29 grudnia Według mnie Jacek Żakowski jest najlepszym dziś w Polsce publicystą. Jego artykuł Tak gnije demokracja, w pewnym sensie kontynuacja głośnego Coś pękło, coś się skończyło (charakterystyczne zdanie w nowym artykule: „Bardzo się boję, że nic się już nie stanie, nic nie pęknie i nic się nie przewróci, a jednak stopniowo, lecz nieodwołalnie, zginie sens tego, co się stało w 1989 roku”), nie stroni oczywiście chwilami od przerysowania, ale takie ma prawo (a nawet obowiązek) pióro dobrego publicysty - przeciwieństwo aptekarskiej wagi w rękach analityka - byle tylko zasadniczy rysunek był wierny. A jest. Do wyboru dano nam gombrowiczowską „ogólną gnilność” (na miejsce „ogólnej niemożności”) albo „cyrk”. Z każdym dniem zaostrzają się oba wrażenia. Kto o tym otwarcie i odważnie mówi, uważany jest za „niesprawiedliwego”.

„Niesprawiedliwy” jest także Żakowski w oczach Jedlic-kiego. Biedającym nad żalonymi „postkomunistycznymi normami demokracji” radzi do poduszki poczytać historię Watergate czy dzieje włoskiej korupcji. Rzecz w tym, że w Ameryce musiał jednak ustąpić dobry prezydent Nixon, a w Polsce lichy prezydent Wałęsa żyje od wybryku do wybryku, od „zagrywy” do „zagrywy”, a jego prawniczy sufler Falandysz już zapowiada kolejne przebiecia pokerowe swego wysokiego zwierzchnika. We Włoszech pękł ogromny wrzód korupcji, ale do jego zoperowania zabrał się ostro sędzia Di Piętro. Milczanowski odmówił wydania teczki Pyjasa (łatwo się domyślić, dlaczego), sprawa zamordowania księdza Popiełuszki

zakończyła się dwuznacznie, a czy coś podobnego można sobie wyobrazić we Włoszech po upadku faszyzmu, mianowicie ministra spraw wewnętrznych, który odmawia wydania teczek Matteottiego z archiwów OVRA (faszystowskiej bezpieki), podczas gdy sędziowie wychodzą ze skóry, by rozszedł się po kościach proces jego mordców? Wolne żarty. Chyba że ambasador Dino Grandi, który swoim wnioskiem obalił Mussoliniego na posiedzeniu Wielkiej Rady Faszystowskiej, wygrałby potem z kolegami pierwsze wolne wybory w ramach „post-faszystowskich norm demokracji” i swoją chlubną działalność zacząłby od przeproszenia rodaków za niegodziwość poprzedniego systemu... (A propos. Przegapiłem w „Polityce” rozmówkę Aleksandra Smolara z... Kwaśniewskim. Podobno Smolar uznał słynne „przepraszam” Kwaśniewskiego za pierwszy krok we właściwym kierunku. A jaki będzie drugi? „Bardzo przepraszam”. A trzeci i definitywny? „Najmocniej przepraszam”. Smolar! Taki, zdawało się, mądry człowiek).

#### **19 - Dziennik... (1993-1996) 289**

Jerzy Jedlicki zaleca „obywatelską cnotę cierpliwości”. Nader słusznie, ja też sądzę, że na pokolenia trzeba liczyć proces wychodzenia z komunizmu i dojrzewania do demokracji, ale cierpliwość nierówna. Istnieje cierpliwość rzeczywista i cierpliwość pozorna. Powszechnie znana jest dykteryjka o Angliku, który na zapytanie, jak doprowadza się trawnik do twardości i puszystości kobierca, odpowiada: „Bardzo prosto. Przez trzysta lat przycina go się i podlewa codziennie”. To jest cierpliwość rzeczywista. W pozornej wylewa się codziennie na zdziczały od lat trawnik nocne naczynia „politycznych graczy”, którzy przy zielonym stoliku zastanawiają się, czy porcja zdrowego autorytaryzmu nie okaże się aby zbawiennymi drożdżami demokracji.

31 grudnia Miłosz przytacza Wiersze o ojcu i matce Anny Świrszczyńskiej w swoim szkicu o poetce na łamach „Tygodnika Powszechnego”. Są więcej niż piękne (mówię to ja, który coraz rzadziej i niechętniej czytam poezję). Są odkrywczym w uszlachetnieniu zwykłej opisowej notatki prozą, w wydobyciu z niej maksymalnej dramatyczności poetyckiej przyciszonym, znużonym, czułym głosem. Jaka czarodziejka! Znała ją na pewno Wisława Szymborska, warszawska polonistka przed wojną, autorka Rachunku elegijnego w tomie Koniec i początek. Bo Świrszczyńską wielbiono w pewnych kołach polonistycznych, na przykład „szkołka Frydego” zaliczała ją do najlepszych poetów schyłku Dwudziestolecia. Kiedy w roku 1938 Koło Polonistów UW urządziło w Reducie sześć coniedzielnych poranków poetyckich, wśród wybranych była Świrszczyńska. Niestety, zamazują się obrazy pamięci. Pamiętam dobrze tylko własny występ, prelekcję o Miłoszu, wiersze Miłosza recytowane przez Marię Wiercińską i Jana Kreczmara, urodziwego młodego poetę w pierwszym rządzie krzesel, nastroszonego, nieufnego, jakby przyjechawszy dopiero co z Wilna obawiał się, że go „upupi Warszawka”. Nie pamiętam Świrszczyńskiej, nie pamiętam, kto o niej mówił, kto recytował jej wiersze. Z fotografii w „Tygodniku Powszechnym” wolno wnosić, że była wysoka, ja w mizernych resztkach wspomnień widzę jej figurkę średniego lub niskiego wzrostu, nieśmiałą i zastraszoną twarz, w kole wielbicieli jej talentu po poranku. Tak czy

owak, laur poetycki na czole Świrszczyńskiej nie jest zasługą Miłosza (wśród licznych jego zasług w tej dziedzinie). Przed wojną młodzi poloniści, a pewnie i doświadczeni miłośnicy poezji, stawiali ją obok Jasnorzewskiej-Pawlikowskiej.

Niebo w płomieniach, kłęby dymu, świetlne wzory i esy-floresy, złuszczone odbłaski na gładkich falach zatoki, pękające z suchym trzaskiem w powietrzu fajerwerki, petardy, race, drzenie szyb, potężniejąca z minuty na minutę kanonada, podobna do obstrzału paru pułków artylerii. Jutrzejszy komunikat doniesie, ile osób przypląciło życiem albo kalectwem powitanie Nowego Roku. Ja witam go w Neapolu czterdziesty raz. Może już dosyć? Największe tu święto (od kilku lat w minorowym raczej tonie) zaczyna mnie od niejakiego czasu przyprawiać o lekkie mdłości. Prawdopodobnie oznaka starości.

Os Os i.

'?)

## II:1

I I I Neapol, 7 stycznia - Listy ze Sztokholmu, z reprodukcjami starych obrazów. Piszą Ewelina Lipko-Lipczyńska z patriotycznej rodziny pepeesowskiej, emerytowana nauczycielka języka polskiego najpierw w Ostrowcu Kieleckim, potem w Warszawie, usunięta karnie ze szkolnictwa i „wyproszona” z Polski w roku 1968 (zapewne według formuły ubeckiej „nie podoba się?”), przed laty poznałem ją przelotnie w Sztokholmie w kręgu Norberta Żaby; oraz jej córka Wiktoria Oseka, niegdyś żona znanego krytyka sztuki Andrzeja, ją także dość dawno poznałem przelotnie w Kopenhadze na przedstawieniu Ambasadora Mrożka. Obie panie zajmują się od dłuższego czasu polowaniem na zaginione arcydzieła, w antykwariatach i na aukcjach. Oczywiście z zamiłowania, ale chyba nie tylko. Z listu pani Wiktorii: „Posyłam Panu zdjęcie portretu weneckiego, z nadzieją, że zobaczy Pan w nim Giorgiona. Prawdziwy zbieg okoliczności - Pana opowiadanie Portret wenecki („Kultura”, styczeń-luty 1994) i nasze największe znalezisko (też styczeń 1994) - skłonił nas do nawiązania kontaktu z Panem”. Pani Ewelina uzasadnia przesyłkę bezspornym faktem, że jestem pisarzem zakochanym w malarstwie i „Poszukiwaczem Historii Niezwykłych i Niepospolitych”.

To prawda, nie jestem natomiast ekspertem malarskim (zresztą ostatnio rola ekspertów malarskich zdewaluowała się bardzo, stała się po prostu transakcją handlową: ekspert o głośnym nazwisku sprzedaje je za grube pieniądze bogatemu handlarzowi obrazów, niezależnie od swojej prawdziwej nie wyznanej ekspertyzy), muszę więc ograniczyć się? skromnie do smakowania reprodukcji. Nie wiem, czy portret wenecki namalował Giorgione, wiem za to, że jest to portret piękny. To samo dotyczy Skrzypka, niegdyś przypisywanego Rafaelowi, a dopiero od stu lat wielkiemu również malarzowi Sebastiano del Piombo; jak też przypuszczalnego studium do Mężczyzny z pałającymi oczami Ty-cjana. A w ogóle jestem zdania, że istnieje mistrzostwo imitacji wielkich mistrzów. Panie ze Sztokholmu mogą się zatem już teraz uważać za posiadaczki małej skarbnicy. A kiedyś? Kiedyś oby sprawdziło się porzekadło „tut szczęścia prowadzi do pudu złota”.

Znałem taki wypadek. Nazajutrz po wojnie, w Rzymie, ksiądz prałat Meysztowicz zaprowadził mnie pewnego dnia do wspaniałego apartamentu nad Tybrem, którego właścicielem był jego dawny kolega z petersburskiego liceum, baron Basile de Lemmermann, ostatni carski ambasador w Turcji. Zorientowałem się szybko, że wizyta została zaaranżowana z inicjatywy barona, bogatego antykwariusza: miał nadzieję sprzedać 2 Korpusowi sztambuch księżnej Zinaidy Wołkońskiej, ja natomiast, według obietnic Meysztowicza, miałem ten nabytek, jako „rzeczoznawca”, polecić „gorąco” w Wydziale Kultury. Prawdę powiedziawszy, kontrahentem barona powinien być Czapski, hrabia i być może kolega barona z Korpusu Paziów, poza tym fanatyk Mickiewicza (wraz z siostrą Marynią). Ale Czapski był wtedy w rozjazdach, a chodziło o pośpiech.

Sztambuch Zinaidy Wołkońskiej był rzeczywiście drogocenny, lecz podana przez barona cena przekraczała nasze wojskowe możliwości. Mogłem za to, razem z Meysztowiczem, dokładnie go przejrzeć.

Mickiewicz bywał w salonie księżnej Zinaidy w Moskwie. Jej stosunek do poety był pełen admiracji, na szczęście bez egzaltacji Boratyńskiego, który po wysłuchaniu jednej z Mickiewiczowskich improwizacji padł na kolana i wykrzyknął: *mon Dieu, pourquoi nest-il pas Russe!*\* Zinaida była „zapadniczką” z zacięciem kosmopolitycznym, przeszła w końcu w Rzymie na katolicyzm. Wkrótce po niej przyjechał do Rzymu (18 listopada 1829) Mickiewicz z Odyńcem. Żył już wówczas w podnieceniu religijnym, na widok kopuły Świętego Piotra zdjął sam i kazał Odyńcowi zdjąć nakrycie głowy przed tą „tiarą świata”. Stał przed nim otworem rzymski salon Zinaidy, zaofiarowała mu nawet pokój, zapragnęła gwałtownie odnowić urwaną przed rokiem przyjaźń. Ale Mickiewicz był powściągliwy, sercem i myślami żył wśród ludzi poznanych w tym czasie w mieszkaniu hr. Ankwicza. To młodzianka Henrietta Ankwiczówna stanie się jego rzymskim cicerone. Mimo to, podobnie jak w moskiewskim salonie księżnej, bywał w jej salonie rzymskim.

Lemmermann otrzymał (czy kupił) część archiwum Wołkońskich od rodziny włoskiego markiza C, spokrewnionego z wnuczką Zinaidy. Otwiera sztambuch Farys po francusku, przełożony przez Mickiewicza i wpisany jego ręką na sześciu stronicach z kawałkiem. Potem, na osobnej dużej karcie, *La chambre grecque*, własnoręczny „przekład z polskiego wiersza *Na pokój grecki dla księżnej Wołkońskiej*”. Cymelium części archiwum jest pierwsze doskonale zachowane wydanie Konrada Wallenroda z roku 1828 („drukem Karola Kraya w Petersburgu”). Na stronie tytułowej dedykacja: *A Madame la Princesse Zeneide de Wołkonsky Hom-mage de la part de l'auteur*. W sztambuchu księżnej Włoso-wej, siostry Zinaidy, fragment *Odjazdu Odyńca* w przekładzie francuskim (własnoręcznie wpisanym) Mickiewicza.

Po wyjściu raz jeszcze spojrzałem z bulwaru nadtybrzańskiego na palazzo, w którym mieszkał baron Lemmermann. „Pewnie pana interesuje, jak doszedł do swojego bogactwa”, zagadnął ksiądz Meysztowicz. I to jest właśnie ilustracja porzekadła „łut szczęścia prowadzi do pudu złota”, zadedykowana paniom ze Sztokholmu.

### *Mój Boże, dlaczego nie jest Rosjaninem! 297*

Przyjechał z Turcji do Rzymu jako emigracyjny nędzarz. Znał się tylko trochę na sztuce i meblach, wegetował kupując i sprzedając z nikłym zarobkiem drobiazgi w sklepikach z rupieciami. Aż w jednym takim sklepiku koło placu Hiszpańskiego zauważył kawałek fresku na drzewie. Kupił go za grosze, czując nosem, że jest bardzo stary. W rok później przeczytał przypadkowo w międzynarodowym piśmie antykwarycznym, że jakieś muzeum amerykańskie gotowe jest zapłacić „każdą cenę” za brakujący odłamek fresku średniowiecznego. „Každą ceną” była owym pudem złota.

Na zakończenie nieoczekiwany epilog z maja 1994. Na uroczystości w Pałacu Staszica wręczono mi dyplom honorowy członka Towarzystwa Literackiego im. Adama Mickiewicza. W podziękowaniu opowiedziałem m.in. o sztambuchu Zinaidy Wołkońskiej, sądząc, że wydobywam z niepamięci rewelację na użytek gospodarzy uroczystości. Siedząca naprzeciw mnie przy długim stole Zofia Stefanow-ska, świetna polonistka i znawczyni Mickiewicza, przerwała mi cichym głosem: „Jest w Oxford” (albo w Cambridge, nie pamiętam).

A zatem powiększył się jeszcze pud złota barona Lemmer-manna bądź jego spadkobierców.

8 lutego W turyńskiej „La Stampa” ukazała się dzisiaj na pierwszej stronie, w formie jednego z artykułów wstępnych, moja nota Nie „rehabilitujcie” mnie. Warto ją przepisać w dzienniku, jest znacząca także dla czytelnika polskiego.

„Nie pamiętam, czy doskonała Barbara Spinelli posłużyła się kilka dni temu słowem «rehabilitacja», domagając się w «La Stampa» przyznania przez członków PDS (partia demokratyczna lewicy, czyli postkomuniści), że «również antykomunizm jest wartością włoskiej kultury liberalnej;

nie cały może antykomunizm, ale z pewnością ten związany z takimi nazwiskami, jak Ignazio Silone, Nicola Chiaromonte, Raymond Aron, Hanna Arendt, oraz z nazwiskami licznych innych demokratów, którymi lewica długo pogardzała lub których po prostu ignorowała». Natomiast słowo «rehabilitacja» pojawia się w tytule wczorajszego artykułu pióra Pierluigi Battista. Jestem mu wdzięczny nie tylko za to że wpisał dodatkowo moje nazwisko na listę kandydatów do «rehabilitacji», ale przede wszystkim za to, że wziął w cudzysłów okropne słowo «rehabilitacja»: Postkomuniści «rehabilitują» antykomunistów liberalnych. Słowo doprawdy okropne, pochodzenia sowieckiego, prawie Madę in So-viet Union. Po XX Zjeździe i raporcie Chruszczowa rodziny ofiar Stalina otrzymały rekompensatę w postaci krótkich listów, w których zawiadamiano je, że ich bliski, niesłusznie sądzony i rozstrzelany, został «zrehabilitowany». Naturalnie chodziło o «rehabilitację pośmiertną».

W imię ścisłości należy dodać, że słowo «rehabilitacja» używane jest także przez Kościół. Został «zrehabilitowany» Galileusz, może (nie wiadomo jeszcze) zostanie «zrehabilitowany» Giordano Bruno. W każdym razie również w wypadku czworga antykomunistów wymienionych przez Barbarę Spinelli chodzi o «rehabilitację pośmiertną». Jaka szkoda! Nie zaspokojna pozostanie nasza ciekawość,

czy «zrehabilitowani» byliby skłonni zrewanżować się za swoją «rehabilitację» aktem «rehabilitacji» wystawionym na nazwisko obecnego przywódcy PDS bądź w przeszłości, powiedzmy, na nazwisko Togliattiego. Co do mnie, zważywszy, że lista Pierluigi Battista uzupełniona jest o moje nazwisko, ja nie byłbym skłonny.

Silone powiedział mi raz, ze smutnym wyrazem twarzy, że po zerwaniu z komunizmem czuł się jak zasuspendowany ksiądz (po włosku: prete spretato). Po XX Zjeździe i raporcie Chruszczowa, czyli po skandalu wywołanym przez ówba te historyczne ewenementy, Giancarlo Pajetta (wybitny przywódca komunistyczny) otrzymał od partii polecenie stanięcia oko w oko z prasą. «Czego chcecie - usiłował uspokoić rozwrzeszczanych i agresywnych dziennikarzy - ostatecznie to nasz towarzysz Silone ujawnił pierwszy zbrodnie Stalina». Silone, tak z natury nieskory do śmiechu, opowiedział mi to śmiejąc się bez przerwy. I myślę, że gromki wybuch śmiechu jest jedyną stosowną odpowiedzią na «rehabilitację» dzisiejszych postkomunistów”.

12 lutego Przyjechał wczoraj Karol Modzelewski, urządzono mu tu odczyt w związku z wydaniem po włosku jego książki Dokąd od komunizmu? Na sali większość czterdziestolatków, to oni byli kiedyś zapalonymi czytelnikami Listu otwartego do partii Kuronia i Modzelewskiego. Zmienił się Modzelewski, zmienili się jego włoscy czytelnicy, ale mimo tych zmian gdzieś głęboko pozostało zaufanie do dawnego mentora ze zbuntowanej lewicy. Nowa książka Modzelewskiego, po wszystkim, co się stało, podtrzymuje to zaufanie. Ponieważ mówił między innymi, i to dość szczegółowo, o obecnej sytuacji w Polsce, zgłosiłem projekt uchwały (a raczej apelu) zebranych o wszczęcie w Polsce procedury impeachment wobec Prezydenta.

Modzelewski zostawił mi maszynopis swego artykułu, który za parę dni ma się ukazać w „Gazecie Wyborczej”. Artykuł przeczytałem uważnie po jego wyjeździe (był w Neapolu tylko dobie, przedtem miał podobny odczyt w rzymskim Instytucie Gramsciego).

Artykuł, spokojnie napisany, jest biciem na alarm. Modzelewski obawia się „antyparlamentarnego zamachu” amatora „wojny na górze”. „Traktuję bardzo poważnie to, co o planach Wałęsy powiedział Bogdan Borusewicz, i podzielam jego pogląd, a także opinię Jana Nowaka-Jeziorańskiego: demokracja w Polsce może nie przeżyć 1995 roku”. Dla mnie groźnym potwierdzeniem moich wrażeń z zeszłorocznej majowej (drugiej) podróży do Polski jest uwaga: „Zanik obywatelskiego stosunku do państwa i do prawa jest jednym z najtrwalszych okaleczeń kultury politycznej, pozostawionych przez imperium sowieckie”. Moje majowe spotkania i dyskusje dowodziły, że żywa jest świadomość tych okaleczeń i jeszcze żywsza potrzeba ich wygojenia.

Bardzo trudno jest pisać o Wałęsie, nie obrażając majestatu urzędu. Ale jak oprzeć się wrażeniu, że krajem rządzi linoskoczek w błazeńskiej czapeczce, któremu udaje się (według jego własnych słów) „ogrywać prawników” i „wy-kolegować prawo”. Chwilowo nie grozi mu nic, skoro w dole rozpięta jest siatka ochronna. Wstuchuje się w trzaskanie bata reżysera numeru cyrkowego, czyli ministra Wachow-skiego. Co ich naprawdę łączy, i to tak głęboko? Według mnie „hak” z

przeszłości. Widziałem już takie wypadki. Na przykład Białas z PPS zdawał się być batem dla Zygmunta Zaremby.

W artykule Modzelewskiego uderzyło mnie jedno wielkie skreślenie. Wrócił już dziś rano do Warszawy, więc nie mogę go zapytać o powód skreślenia. Chodzi o innego cyrkowca, Falandysza, specjalistę od „wykolegowania prawa”. Okazuje się, że w „okresie minionym” napisał był rozprawkę o wyższości prawa socjalistycznego nad burżuazyjnym. Czyżby Modzelewski, sam albo na czyjąś prośbę, skreślił rzeczony fragment, bo odkrycie jest autorstwa Jerzego Urbana? Tak nie można. Urban czy nie Urban (a uważam go za inteligentną kanalię), musimy wiedzieć, kto nami rządzi. Kilka dni temu odwiedził mnie znajomy z Warszawy, który uchodzi za wtajemniczonego w arkana władzy i władców RP. Rozmawialiśmy o nadchodzących wyborach prezydenckich. Nie jestem zwolennikiem kandydatury Kuronia, Przy całym dla niego szacunku. „Może profesor Strzembosz? Może Olechowski?” - powiadam. Mój znajomy uśmiechnął się z politowaniem człowieka, który wszystko wie. „Olechowski niemożliwy - odpalił z miejsca - Wachowski ma na niego teczkę”. Tak to wygląda. Zostawmy w spokoju lustrację i dekomunizację, rzecz w tym, że nie było cezury, zwykłej cezury między PRL i RP. Dzięki „okrągłemu stołowi”, który ja też pochwalam za zagadanie na śmierć nastrojów bojowych po obu stronach barykady, przeszliśmy do niepodległości mostem Jaruzelskiego. Most to nie cezura. Cezurą byłby przerwany most. Nietknięty most Jaruzelskiego będzie nas jeszcze drogo kosztował. Kosztuje już teraz, zamazując najprostsze sprawy, o ileż ostrzej zarysowane w Czechach. 9 lipca 1993 parlament czeski uchwalił „Prawo o nielegalności reżymu komunistycznego i oporze przeciw niemu”. Zapytano Aleksandra Małachowskiego, wicemarszałka Sejmu, dlaczegośmy przynajmniej nie uchwalili takiego samego prawa. Odpowiedział: „Widocznie nie mogliśmy go uchwalić”. Wiekopomne słowa, godne zaiste włączenia do aneksów w przygotowywanym podobno do druku drugim (chyba przejrzanym i uzupełnionym) wydaniu Dziejów głupoty w Polsce Aleksandra Bocheńskiego.

15 lutego Znalazłem w antykwariacie poemacik Audena Good-bye to the Mezzogiorno. Kupiony natychmiast w roku wydania 1958, zginął niepostrzeżenie w kieszeni któregoś z gości. (Nie dopuszczać gości do półek bibliotecznych!) Zapewniano mnie, że wyczerpany. I oto wyskoczył spod zakurzonych książek jeszcze jeden egzemplarz. Nie wiem nawet, czy Auden włączył ten poemacik do poezji wybranych. Ale i tak chodziło mi o piętnastostronicową edycję z roku 1958 w oryginale i w przekładzie Carlo Izzo, włoskiego tłumacza Audena.

Izzo opowiada w nocie wstępnej, jak Auden wcisnął mu w Wenecji, na placu Świętego Marka, dwa arkusze maszynopisu, prosząc o pośpiech. Mieli nazajutrz zjeść razem obiad. Izzo przyszedł o oznaczonej godzinie z gotowym przekładem.

Izzo jest mało mówny w swojej nocie. Ogranicza się do stwierdzenia (ale z zastrzeżeniem „jak się zdaje”), że Auden postanowił wynieść się do Austrii z domu w Forio d’Ischia; i przeprowadzkę przypieczętował pożegnaniem Południa Włoch. Ale wersja (albo legenda) mieszkańców wyspy w pobliżu Neapolu jest nieco szersza. Prócz ładnego domu w Forio, Auden miał na Ischii bogaty wybór ładnych chłopców.



Jego ostatni chłopiec sfalszował otrzymany czek na dziesięć dolarów tak zręcznie, że z konta Audena ubyło dziesięć tysięcy dolarów. To był jakoby kamień obrazu. Prawdziwy? Zmyślony przez plotkarzy na Ischii?

Bardzo ładny poemacik, podobają mi się w nim szczególnie dwie ostatnie strofy.

Go I must, but I go grateful (even To a certain Monte) and invoking My sacred meridian names, Pirandello Croce, Vico, Verga, Bellini.

To bless this region, its vintages and those Who cali it home: though one cannot always Remember exactly why one has been happy, There is no forgetting that one was.

„Chociaż nie zawsze pamięta się dokładnie, dlaczego było się szczęśliwym, nie zapomina się nigdy, że było się nim”. Doskonała, doskonale utrafiona fraza, oddająca uczucia znakomitej większości zagranicznych podróżników po włoskich wojażach. Zdaje się, że podobne westchnienia słychać na kartach Stendhala i Henry Jamesa. Jak gdyby sama esencja szczęścia, która odrywa się od swojej przyczyny. Włoskie wojaże, zwłaszcza w zeszłym stuleciu, były świadomym czy podświadomym pościgiem za tym uczuciem.

I i 18 lutego Współczesny przemysł tanich edycji kieszonkowych klasyków literatury musi już ostatnio polować na teksty, aby nie stanęły beczynnymi maszyny drukarskie. Wydawać tanio Oscara Wilde’a jest rzeczą naturalną; ale wydawać dzisiaj jego napisany na początku stulecia szkic *The Soul of Mart under Socialism* zakrawa na lekką przesadę. Gdyby nie pewne wzruszenie (o którym potem), czytałbym *Duszę człowieka pod panowaniem socjalizmu* śmiejąc się do rozpuku. „Prawdziwa doskonałość człowieka tkwi nie w tym, co on posiada, lecz w tym, czym jest. Własność prywatna zdruzgotała prawdziwy indywidualizm, zastąpiwszy go indywidualizmem fałszywym”. Albo: „A zatem po zniesieniu własności prywatnej posiadziemy indywidualizm prawdziwy, piękny i zdrowy. Nikt nie zmarnotrawi swego życia, gromadząc przedmioty i symbole przedmiotów. Będzie się żyło. Życie jest rzeczą najrzadszą na świecie. Większość ludzi egzystuje, to wszystko”. I tak dalej, nieprzerwane kazanie przeciw własności prywatnej, natchnione wizją socjalizmu. Wilde był podobno anarchistą i admiratorem Kropot-kina.

Wzruszenie, o którym napomknąłem, związane jest ze słowem kazanie. Ten szkic Wilde’a przypomniał mi nagle moje londyńskie włóczęgi. Właściwy Hyde Park, jego odprysk na obrzeżach Hampstead Heath, lokale sekt religijnych i peryferyjnych sekcji Labour Party. Nikt poza Anglikami nie mówi o tych sprawach w taki sposób; a może należałoby użyć czasu przeszłego, „mówił”, bo przecież dzisiejsza Anglia nie jest Anglią z tuż powojennych lat mojego pobytu w Londynie. Ten kaznodziejski ton uszczęśliwiania rodzaju ludzkiego, ta powtarzana często „dusza człowieka”, ten głos naładowany inwokacjami ostatecznymi, dramatycznymi alternatywami albo-albo, ta pozorna asceza, za którą kryje się Bóg wie co. Nie zawsze, rzecz jasna; ale przeważnie lub bardzo często. Ten ton, ten ton, nawet u autora *Ballady o więzieniu Reading* i *De profundis*.

20 lutego...-

*Wałęsa opamiętał się, czy też został opamiętany przez swoich wystraszonych doradców. Skoczył na lince w odwrotnym kierunku, ryzykując utratę równowagi, ale jakoś tyczka ekwilibrystyczna w obu rękach pozwoliła mu wykonać salto bez narażenia się na upadek. Nie zamierzam śledzić w dzienniku dalszych sztuczek cyrkowego Prezydenta, pojawienia się Oleksego w nowym numerze (dopisane później: nadzwyczajna wiadomość o wyznaczeniu Władysława Bartoszewskiego na szefa MSZ, świadcząca o sprycie, nie podwórkowym spryciku Wałęsy, lecz autentycznym sprycie Oleksego), wycofania się Falandysza z cyrkowej areny po starciu z Wachowskim. Cyrk trwa i trwać będzie dalej, aż do gwizdów i tupotu nóg na widowni (co wróżę). Ale jedno Wałęsa powinien zrozumieć, choćby to wymagało z jego strony nadmiernego może wysiłku umysłowego. Takie numery cyrkowe zostawiają ślad, jak słusznie pisze Mo-dzelewski, „państwo prawa zostało już podkopane”. Dodając, równie słusznie: „W kraju o ugruntowanej demokratycznej kulturze nie byłoby na to (co wyprawia Wałęsa) społecznego przyzwolenia... u nas jest to możliwe, gdyż takie jest dziedzictwo sowietyzacji”. Rzeczą, która mnie szczególnie drażni, jest spotykana czasem opinia (z odcieniem uznania) o „chytrości” Wałęsy. Nie, nie jest chytry, nie jest nawet sprytny, ogrywa koleśków swoją nieobliczalnością, w której nie ma żadnej wizji przyszłości, żadnej umiejętności skromnego bodaj planowania przyszłości państwa, a nie własnej jedynie kariery (która mu niby to „wisi”). Sztuka zaskakiwania i tak już dostatecznie wykołowanych, otumanionych członków rządu i posłów na Sejm - o to czego się 20 ~ Dziennik... (1993-1996) 305*

MMiczył w Belwederze. Oby wybory prezydenckie położyły Węszcie kres tej głupkowato-ponurej zabawie we Władzę.

27 lutego?, Moje opowiadanie Błogosławiona, święta wzbudziło wielkie zainteresowanie. Przedrukował je „Plus-Minus”, świetny dodatek cotygodniowy do „Rzeczpospolitej”, redagowany przez Elżbietę Sawicką, zamówiono jego tłumaczenie na włoski, angielski, francuski i czeski, zajęli się nim nawet młodzi filmowcy z Łodzi i inscenizator teatralny w Warszawie.

Czytam raport lekarki francuskiej, Catherine Bonnet, napisany natychmiast po powrocie z Ruandy do Paryża. Opisuje sumiennie i ze zgrozą to, co było bośniacką inspiracją mojego opowiadania. Catherine Bonnet nie podaje hipotetycznych cyfr, uważa to za niemożliwe. Twierdzi po prostu, na podstawie zeznań tubylczych lekarzy i ofiar, że „w praktyce każda ocalała i dojrzała płciowo kobieta została zgwałcona” przez żołnierzy Hutu i szcztuch wieśniaków zarówno Hutu, jak Tutsi. W wypadkach ciąży dziewięćdziesiąt procent zgwałconych kobiet zamierza pozbyć się płodów gwałtu. Raport określa gwałty w Ruandzie jako „czystkę etniczną”. Gwałtów (zbiorowych) dokonywano na kobietach żywych i zabitych. Zgwałcone kobiety, czy raczej dziewczyny, nie zwracały się ze wstydu do lekarzy, usiłowały spędzać płody „metodą chałupniczą” albo popełniały samobójstwo. „Podobnie jak w Bośni”, komentuje lekarka francuska. Niejednokrotnie gwałciciele zarażali swoje ofiary chorobą AIDS. Pozostałe przy życiu kobiety milczą w obawie przed represjami ze strony gwałcicieli. Rada Bezpieczeństwa ONZ, na wiadomość o masowych

gwałtach w Bośni w roku 1992, zaliczyła je do kategorii „zbrodni przeciw ludzkości”. Warto przytoczyć ostatnie słowa raportu Catherine Bonnet: „Bardzo nieliczne były wypadki ścigania odpowiedzialnych za masowe gwałty w Bośni. Tak samo będzie w Ruandzie”.

A propos. Pewien polski ksiądz z Rzymu, którego dotychczas uważałem za inteligentnego, wytyka mi z oburzeniem błędy w Błogosławionej, świętej dotyczące procedury beatyfikacji i kanonizacji. Toute proportion gardee, to tak jakby paryski purpurat karcił Gide'a za pomyłki „rzeczowe” w Lochach Watykanu.

Prochy Upadek domu Lorisów The storm was still abroad in all its wrath... The Radiance was that of the full, setting, and blood-red moon...\*

E. A. Poe: The Fall of the House of Usher I Oto mój zapis w dzienniku z czerwca-lipca 1977.

„Wyspy Eolskie koło brzegów Sycylii, czyli w języku poezji turystycznej Siedem Pereł: Stromboli, Panarea, Salina, Lipari, Vulcano, Filicudi, Alicudi. Dwa razy w tygodniu statek odpływa z Neapolu wczesnym wieczorem. Noc zapada wkrótce po wyminięciu Capri. Chwilę jeszcze w morskiej bruździe wlecze się czerwony ogon zachodu, potem pochłania go czerni czysta i absolutna.

Pierwszą wyłowioną z ciemności Perłą jest Stromboli, tuż przed świtem. Gdy statek zarzuca kotwicę, koniec nocy wygląda jak powolne odwijanie dnia z czarnych bandaży. Zwój po zwoju, łuska po łusce, gęsty mrok rozrzedza się opornie, z krateru wysuwa się i natychmiast cofa szybkim błyskiem język ognia, ogromnieją barki przewoźników, gaśnie latarnia morska na skalnym zębie obok wyspy. Teraz widać Stromboli wyraźnie. Od czarnego piasku na plaży, poprzez białe plamy domów i zieleni o niezwykłym boBurza jeszcze szalała w całej pełni... Brzask pochodził od pety księżycowej, która zachodziła, krwawo purpurowiejąc... (Tłum. Bolesła Leśmian).

W eactwie odcieni, przechodzącą miejscami w fiolet i żółć, do czarnego i łysego stożka wulkanu. Pierwsza Perła przypomina raczej wydobyty z dna morza gład, zapis drażenia, obtaczania, ciosania, szarpania, cieniowania kolorami.

Drugą jest Panarea, cel podróży. Znacznie mniejsza, trzy kilometry długości, dwa szerokości, dwie i pół setki stałych mieszkańców, krajobraz klasycznie sycylijski: brunatne piargi żużlu, szaro-zielone płyty skał i piane grasse, tłusta roślinność kaktusowa przetykana jaskrawymi, gorączkowymi wypiekami kwiatów. Jedyne metryką z przeszłości jest wioska prehistoryczna na Calaiunco, cyplu skalnym w kształcie kotwicy. Kolisty składaki z kamienia na skraju wysokiego urwiska, ziemia wypalona na proch, w dole szmaragdowe morze pokarbowane jak drżąca cynfolia, za plecami nagie różowe skały i osty o krwawnikowych kwiatkach. W przewodnikach zaleca się turystom inną osobliwość, też o ukrytym posmaku «prehistorycznym». Czym jest alba lunare, księżycowy świt, wiadomo nie tylko tutaj. Ale może tylko tutaj z taką cudowną pierwotnością błądy dzień wysnuwa się z poblądłej na niebie tarczy.

Poza sezonem życie wyspy toczy się dookoła trzech punktów: porcik-kościół-cmentarz. Na cmentarzu znalazłem nagrobek z napisem, który obejmuje pełny cykl. Panarejski rybak, «w rękach zawsze trzymał wiosło i sieć, czcił Boga, kochał życie i

morze, umarł mając sto dziesięć lato. W por-ciku ludzie czekają na statki, przed kościołem na jego otwarcie. Procesja w dniu patrona wyspy, świętego Piotra, jest pochodem garstki rozbitków.

Od wielu lat skąpa ziemia na wyspie nie jest uprawiana, Jeśli nie liczyć rzadkich ogródków warzywnych. Dawne winnice i pólka uprawne zdziczały, zarosły chwastami, nie nia się nimi kto zajmować. Bardziej przedsiębiorczy mieszkańcy uciekli, na kontynent bądź za granicę. Zostali nieza-a ni, odkładając zarobione podczas sezonu pieniądze na j ezczynną resztę roku. Wszystko sprowadza się z Sycylii z kontynentu, na wyspie wypieka się jedynie chleb. Ale i ci nawet, co pozostali, wynoszą się w większości po sezo-f nie na dorywcze sycylijskie saksy. Jesienią i zimą wyspał pustoszeje. W części, gdzie mieszkam, między cmentarzem I i wioską prehistoryczną, dwie zaledwie rodziny oczekują I cierpliwie wiosny. La vita si ferma, tira solo U vento. Życie I zamiera, dmie tylko wiatr. Eolski wiatr”.

Mieszkałem wtedy u mojego florentyńskiego znajomego, Lorisa Berardi, w jego domu Villa Toscana na niskim wzgórzu, które pozwalało z różnych okien ogarnąć całą wyspę i dokoła morze zszyte widnokręgami z wyprażonym za dnia popielatym niebem, wieczorem zaś i nocą aż do świtu powleczone czerwonawym odbłaskiem księżyca. Loris przyjechał z Florencji do swojej willi chwilowo sam, jego rosyjska żona, Marina, wybrała się z dzieckiem do rodziny w Stanach i dopiero sierpień miała spędzić na Panarei. Źle znosił samotność, stąd skierowane do mnie zaproszenie. Przyjąłem je z radością, od dawna marzyłem o urlopie na któreś z Wysp Eolskich.

Poznałem Lorisa w roku 1975. Przyjechał do Neapolu z listem rekomendacyjnym naszego wspólnego przyjaciela, Roberto, świetnego eseisty. Uderzyło mnie w tym liście jedno zdanie: „Pamiętaj, że oddawca kocha naprawdę literaturę, a to jest dziś więcej niż rzadkie; i postanowił odwiedzić Cię w Neapolu z tego właśnie powodu, obiecując sobie długą rozmowę”. Loris i Roberto zaprzyjaźnili się w Nowym Jorku, gdzie jako antyfaszystowscy emigranci spędzili siedem lat, od roku 1938 do końca wojny. Loris był moim dokładnym rówieśnikiem, skończyliśmy obaj pięćdziesiąt lat w maju 1969. Roberto był od nas starszy.

Mój gość znał słabo Neapol, pokazałem mu więc Świętą Klarę i Pinakotekę na Capodimonte, a potem zawiozłem go do Cumy. Tam, w pustej Grocie Sybilli, zaczął obszerniej opowiadać o sobie. Pochodził z zamożnej rodziny florentyńskiej, był najmłodszym synem, po śmierci ojca dziedzicem z dwoma braćmi wcale ładnej fortuny: baru w śródmieściu, ogromnej pracowni konfekcji damskiej i męskiej, domu za miastem. Konieczność zajęcia się z braćmi spadkiem odciągnęła go od ledwie zaczętych studiów na wydziale literatury. Nie miał żadnych określonych poglądów politycznych, tyle tylko, że nienawidził przemocy. I w ogóle sławionej w latach trzydziestych Siły. To zbliżyło go do antyfaszystów, w sposób powierzchowny jednak, bez żadnych powiązań organizacyjnych. I to skłoniło go w końcu do wyjazdu z Włoch, rok przed wybuchem wojny. Nie był do emigracji niczym przymuszony: ani nie angażował się politycznie, ani nie obejmowały go ogłoszone podówczas przez Mussoliniego (dość niechętnie) „ustawy rasowe”. „Właściwie - wyjaśnił,

opusciwszy oczy - zdecydowało uczucie obrzydzenia. Przechodziłem któregoś dnia w Rzymie ulicą Po, gdzie znajdowało się Ministerstwo Kultury, słynny Minculpop. Wyszedł właśnie stamtąd poeta V.C, którego znałem dobrze z Florencji (bywał często w naszym domu) i podziwiałem jako poetę. Drżącymi rękami otworzył kopertę, wyciągnął z niej czek i wyraźnie odetchnął z ulgą. Celowo stanąłem przed nim bez słowa, nie byłem nawet zdolny do wydrukowania paru powitalnych słów. Na mój widok zamachał w powietrzu czekiem i powiedział z bladym uśmiechem: «Tak, tak, Loris, zapamiętaj sobie, do czego nas zmuszają». Zapamiętałem, dobrze zapamiętałem. W dwa miesiące później, we wrześniu 1938, wsiadłem w Genui na okręt do Ameryki”.

Ta historyjka świadczyła także o jego stosunku do literatury. Miał dziewiętnaście lat, od szesnastego roku życia literatura stała się dla niego czymś w rodzaju Kościoła. Wychowany w atmosferze obojętności religijnej, odczuwał Potrzebę (jak to sam określił) „innego wymiaru”. Ulubionych pisarzy traktował trochę jak kapłanów. Nie były to najlepsze czasy dla takich jak on „wyznawców”. Wybitny poeta V.C. znalazł się tylko w długim, i wydłużającym się coraz bardziej, szeregu. Opisując młodego Lorisę dzisiaj, w roku 1994, nie potrafię opanować wzruszenia (i smutku) na myśl, że należał do ginącego plemienia czytelników. Czyli do ginącego plemienia poszukiwaczy „innego wymiaru”. Literatura przestała być przeżyciem. Książki w księgarniach są tylko towarem, który się lepiej czy gorzej sprzedaje; i o których nic nie wie księgarz, niegdyś wytrawny doradca i rozmówca zamiłowanych nabywców.

Okazało się szybko, że lubimy mniej więcej tych samych autorów i te same książki. Było coś dziwnego i równocześnie emblematycznego w scenie naszej rozmowy. Zdarzało się, że w godzinie południowej nie zaglądał nikt do Groty Sybilli, jakby turyści obawiali się instynktownie pory „magicznej”, gdy mrok ogarniający siedzibę Wieszczyki zderzał się na zewnątrz ze słonecznym szczytem. Siedzieliśmy obok siebie na kamiennej ławce na końcu podziemnego korytarza, gdzie według legendy rozlegał się najdonośniej głos sybillińskiej przepowiedni w słynnym antro, jaskini rąbanej w skale. Ilekroć tam bywałem - a na początku mojego pobytu w Neapolu przytrafiało mi się to często - ogarniał mnie niepokój, a może nawet lęk, i o mój kark ocierał się chłodny dotyk czegoś nieznanego, jak (podobno) działa nocą cmentarz na samotnych włóczęgów lub żałobników. Tym razem, gawędząc z Lorisem, nie odczuwałem tego, natomiast ktoś zdawał się tajemniczym węzłem łączyć nasze losy. I odruchowo obaj przyciszaliśmy stopniowo naszą rozmowę, nadając jej charakter prawie konspiracyjnego szeptu. „Tacy jak my - zaśmiał się - będą spychani do katakumb”. „Tacy jak my?” - odparłem echem. Ale wiedziałem naturalnie, o co mu chodzi. Świat, coraz wyraźniej, nasyczał wszystko rutyną, przyzwyczajaniem, tak że powątpiewało się niekiedy, czy przetrwa tradycyjna przyjaźń, tradycyjna miłość.

Tego dnia wieczorem wyjechał do Florencji, z krótkim postojem w Rzymie na obiad z Robertem. Wiedziałem, że weszliśmy na drogę przyjaźni: krótszą lub dłuższą, prostą lub krętą, lecz zmierzającą do upragnionego przez nas obu celu. Ach, gdybym był przeczuł, jak bolesny miał być ten cel!

Moje dwa tygodnie na Panarei w roku 1977 - ostatni tydzień czerwca, pierwszy tydzień lipca - były przed południem pławieniem się w cudownym czystym morzu, po obiedzie sjęstą z nieudanymi próbami lektury, od zmierzchu (gdy opadał upał) do północy eksploracją wysepki. Była drobnym odpryskiem świata, jej urok tkwił w tej miniaturo-wości. Gdyby powulkaniczne dno morskie zdołało kiedykolwiek wyprodukować maremoto, trzęsienie morza z falami wysokimi jak nowojorskie drapacze chmur, Panarea zginęłaby na zawsze w otchłaniach. Wraz z willą Lorisa, choć może jej wieżyczka utrzymałaby się jeszcze chwilkę nad skłębioną i kipiącą masą wód.

Wygląd Villa Toscana skojarzył mi się natychmiast, dzięki zauważonemu na nocnym stoliku Lorisa tomowi opowiadań Edgara Allana Poe, z domem Usherów, opowiadaniem tytułowym. Nie miała w sobie co prawda nic z posepnego Zamku, była jednym z owych mastodontów architektury końca zeszłego stulecia, ale jak w opowiadaniu Poe tkwiła w jej brzydkich, pretensjonalnych murach, kolumnkach i blankach dziwna zapowiedź ruiny. Założyciel rodu Berar-dich, nowobogacki tokański, po wykupieniu rozległej, lecz zadłużonej posiadłości z rąk arystokratycznego bankruta (był w niej rządcą) zbudował tę landarę nie wiadomo dlaczego akurat na dalekiej Panarei, gdzie przez długi czas nieliczni tubylcy traktowali ją niemal jak świątynię. W przewodnikach epoki wymieniano ją obok wioski prehistorycznej Calaiunco.

Loris pozwolił mi zamieszkać w wieżyczce, otoczonej tarasem; z jego tylnego skraju otwierała się trzypiętrowa Przepaść, oddzielająca dom od pionowej ściany skalnej. W godzinach południowych wieżyczka zamieniała się co prawda w rozpalony piec u piekarza, ale potem wszystkie cztery otwarte okna dawały wystarczający przewiew, a nocą wręcz przyjemny chłód. Gospodarze - Loris i Marina - mieszkali na parterze w dużym pokoju pełnym półek bibliotecznych pod ścianami, obwieszonym obrazami i reprodukcjami. Obok znajdował się pokój ich dwunastoletniej córki Iriny.

Okrażenie wysepki nie wymagało wiele czasu. Ale nasza eksploracja wzdłuż i wszerz, po dzikich przekątnych nie-; rzadko przez gęste chaszczce, z postojami nad głębokimi) lochami w ziemi, z wizytami w domkach na dalszych obrzeżach, z godzinami trawionymi na obserwacji połowów ryb? siecią i wędkami (sam wyciągnąłem z graciarni pod schodami willi dobrą jeszcze wędkę i wróciłem do namiętności mojego dzieciństwa i wczesnej młodości), nasza eksploracja, powtarzam, podobna była do wolnych wydechów ludzi zatrutych życiem w mieście. Czas włókł się w rytmie stawianych ostrożnie kroków, właściwie przestał istnieć, mierzony wyłącznie zmianami światła, nieba i kolorów w przyrodzie. Poczucie wyłączenia ze świata budziło nieustanny zachwyty, który można było wyrazić jedynie milczeniem. Milczeliśmy więc, poza zdawkowymi odżywkami, jakby niechęć do rozmów należała tu do naturalnego porządku rzeczy. Wstępowaliśmy niekiedy do ubożego baru na przystani, żeby wypić kawę i posłuchać panarejskich plotek, tak nieciekawych, że urzekały swoją nudą jako dowodem uśpienia (błogosławionego) wysepki. Jadaliśmy obiady w „restauracji” blisko plaży: przy chwiejnym stoliku

wciąż to samo, pescespada i butelka białego wina. Zachodziliśmy chętnie na cmentarz: nigdy w życiu nie widziałem cmentarza tak nasyconego atmosferą pogody i wiecznego odpoczywania.

Wieczorem zapalały się światełka w przybrzeżnych domkach, zbudowanych na ogół przez letników z kontynentu. Mijając je, widzieliśmy na stołach lampy naftowe lub lichtarze, jak w Yilla Toscana (akumulatorów używano do podtrzymywania lodówek). To letnicy, przeważnie zamożni, walczyli przeciw możliwości elektryfikacji Panarei, wywołując gorycz, a nawet gniew w sercach tubylców. Przyjeżdżali tu na lato w poszukiwaniu tej „pierwotności”, która ciążyła stałym mieszkańcom.

Wieczory, przeważnie aż do północy, spędzaliśmy wśród skał i kamiennych kopczyków Calaiunco, wioski prehistorycznej, której resztki przechowywały się raczej w umysłach archeologów niż w rzeczywistości. Stamtąd morze, lekko zaróżowione pod ogromną latarnią księżyca, wygładzone do granic martwoty, stawało się zjawiskiem, o jakim czyta się w bajkach czy w opowieściach mitologicznych.

Alba lunare, księżycowy świt, oglądałem ze statku, który miał mnie zabrać do Neapolu. Loris czekał na przystani do podniesienia kotwicy. Pozostały mu trzy samotne tygodnie do przyjazdu żony i córki. „Boże Narodzenie we Florencji!”, krzyknął. „Boże Narodzenie we Florencji!”, odkrzyknąłem jak echo. Wraciałem do domu w stanie euforii, szczęśliwego odurzenia.

II W połowie grudnia tego roku (1977) wyruszyłem, zgodnie z daną obietnicą, do Florencji. Po drodze zatrzymałem się w Rzymie i oczywiście pierwsze kroki skierowałem do mieszkania Roberta i jego żony. Łączyła nas długa przyjaźń, prawie od dnia mojego osiedlenia się we Włoszech. Przyjaźń intelektualna, chciałoby się powiedzieć, gdyby „intelektualizm” i jego pochodne nie były tak zeszmaczone i podszyte zidioceniem postępowym (przymiotnik można odnieść tyleż do paraliżu postępowego, co do „progresizmu”). Zadawałem sobie nieraz pytanie, jak Roberto zdołał zachować taką czystość i prawość myśli, serca, duszy (dziś wypychanej uporczywie z obiegu) w nierozwalnym związku z inteligencją wysokiej próby. Odpowiedzią prawdopodobnie byłby odruch, więcej nawet: natychmiastowy w każdym wypadku impuls na podobieństwo Simone Weil, ucieczki z obozu zwycięzców na stronę pokonanych. Odruch wykar-miony przez nieufność do Wielkich Systemów, Doktryn i Ideologu; i przez potrzebę „kosmicznej pietas” w obliczu metafizycznej meprzenikalności świata. Nazywał nasze czasy „epoką złej wiary”, nihilistycznej reakcji na wszelkie normy i nakazy moralne. Jeśli „dobra wiara” jest dokładnym przeciwieństwem „złej wiary”, to jego postawa była ~ otwarciem na wszystko, co oparte na jasnym i uczciwym rozumowaniu, oraz na nieustannym dążeniu do prawdy przy maksymalnej szczerości uczuć.

Uważałem go (z wzajemnością) za bardzo bliskiego przyjaciela, w naszej przyjaźni była wręcz domieszka braterstwa ale me widziałem w nim mojego mistrza. Mistrzem był dla Lorisa, który ze swoim pragnieniem wyznawstwa nadawał się na ucznia. Ja miałem już rozmaitych mistrzów w dalekiej i bliższej przeszłości.

Natomiast cieszyła mnie świadomość, że mój nowy przyjaciel był uczniem Roberta gdyż me należąc do cechu pisarskiego, miał cenną zaletę bezinteresowności i stałego dystansu. I - czemu to ukrywać? - w podświadomości, jak teraz sobie uprzytamniam, liczyłem na podzielenie się nim z Robertem; upływ lat bowiem rozbudzał i we mnie nieśmiałe aspiracje mentorskie. Przy obiadowym stole i później w fotelach przy kawie Roberto i jego amerykańska żona Ruth opowiadali mi jak poznali Lorisa i jak się z nim szybko zaprzyjaźnili. W Nowym Jorku włoscy emigranci antyfaszystowscy (włoska emigracja zarobkowa, w większości zamerykanizowana była „prorządowa”) zbierali się wieczorami w klubie amerykańskich radicals w dzielnicy Oueens. Któregoś wieczoru zjawił się tam Loris. Z początku przyglądano mu się podejrzliwie, zwłaszcza że milczał i przysłuchiwał się zbyt jakby uważnie rozmowom (a nie brakowało w Nowym Jorku agentów policji przysłanych z Rzymu), ale za drugim razem wmieszał się do dyskusji. Mówił jasno, sensownie, z przejęciem, analizował nastroje swoich rówieśników we Florencji, ostrzegał przed tworzeniem „antyfaszyzmu profesjonalnego”, kładł nacisk na naturalny opór w postępowaniu i myśleniu. Swój przyjazd do Stanów uważał za akt słabości, mógł z powodzeniem zostać i pracować we Florencji, nie mógł natomiast znieść rosnącego chamstwa faszystowskiego, epidemii wulgarności i umyślnego prostactwa. Wpatrzeni w ordynarnego (i z natury, i na pokaz) Duce oraz w jego przyboczną drużynę, Włosi snobowali się na rzekomą „ludową bezpośredniość”, nawet w zamożnych domach mieszczańskich i w arystokratycznych salonach. Pewna duchowa, instynktowna elegancja, połączona ze wstrętem do programowej i wrzaskliwej agresywności, przechowała się - częściowo przynajmniej - wśród ludzi naprawdę prostych z nizin społecznych. Ludzie subtelni ukrywali swoją subtelność, ludzie wykształceni wstydzili się swojego wykształcenia, duchowni zdawali się zapominać o swoim powołaniu. Faszystowskim „karnym szeregiem”, „oceanicznym wiecem” zalewającym place, coraz powszechniejszemu „życiu mundurowemu” towarzyszył pęd do wyłamania się z tradycyjnych reguł ludzkiego współżycia.

Loris wzbudził natychmiastową sympatię, polubili go wszyscy. Dostawał jeszcze wtedy przekazy pieniężne z domu, które urwały się niebawem z woli władz włoskich. Znalazł wymarzoną, choć kiepsko płatną posadę w międzynarodowej księgarni. Tam spotkał uroczą Marinę, z rosyjskiej rodziny, której udało się uciec za granicę po rewolucji i przez Niemcy i Francję dotrzeć do Stanów. Żyło jeszcze tylko rodzeństwo Mariny, brat w wojsku amerykańskim, siostra pielęgniarka w szpitalu w Chicago. Marina przerwała, jak Loris, studia uniwersyteckie na wydziale medycyny, nie miała ich z czego opłacać. Nauczyła się produkować wzorzyste tkaniny, malowane talerze i sztuczną biżuterię. I to było jej niezłym źródłem utrzymania. Utykała od urodzenia, co ją uchroniło od służby wojskowej po przystąpieniu Ameryki do wojny. Była i jest dalej naprawdę uroczą, powiedziała żona Roberta. Było i jest dalej przyjemnie patrzeć (dodała) na tę zakochaną parę, Lorisa i Marinę. Córeczka urodziła im się, we Florencji już, późno: mieli oboje pod pięćdziesiątkę.

Marina, żona Lorisa, była rzeczywiście uroczą. I rzeczywiście sprawiało przyjemność przyglądać się tej parze, wciąż zakochanej wzajemnie i czulej po blisko



czterdziestu latach małżeństwa. Nie dostrzegało się utykania Mariny, tyle tylko, że męczyło ją wyraźnie chodzenie i musiała często przysiądać. Twarz miała śliczną, mimo wieku świeżą, i ogromne smutne oczy, słodkie równocześnie jak w tokańskich malowidłach Madonny. Problemem była dwunastoletnia córeczka Irina, ale o tym później.

Dom rodziny Berardi, solidny chłopski dom z kawałkiem pola, sadem i małą winnicą, znajdował się za miastem na Monte Oriolo, w pobliżu Pian dei Giullari, gdzie niegdyś miał letnią rezydencję wielki historyk florenetyński, Guicciardini. Trudno było wprost uwierzyć, że wystarczyło dziesięć minut samochodem, by z zatłoczonej zawsze Florencji przeskoczyć w klasyczny krajobraz Toskanii, o łagodnych wzgórzach i drogach wysadzanych cyprysami; nasycony ciszą, zimną znieruchomiały i przezroczysty, podobny do rysunku na szkle.

Bracia Lorisa wynieśli się do miasta, stał się więc panem całego domu rodzinnego pod Florencją (bracia oddali mu również panarejską Villa Toscana). Byli oboje szczęśliwi. Loris z dumą pokazywał swoją bogatą i ciągle wzbogacaną bibliotekę. Marina w sezonie wyżywała się w sadzie i winnicy, a nawet próbowała dobierać się (z pomocą chłopów z sąsiedztwa) do kawałka uprawnej ziemi. Prócz tego w pokoju na piętrze urządziła swoją pracownię robót ręcznych. Zdawało się - i takie było moje pierwsze wrażenie po przyjeździe w wilię Bożego Narodzenia - że nie ma chmurki na rodzinnym niebie.

Była, i to bardzo ciemna, mała, lecz naładowana błyskami i gromami. Irina, córeczka Lorisa i Mariny, urodziła się z wadą słuchu. Nie była głuchoniema, procent zachowanego słuchu wystarczył, by mogła słyszeć, gdy się do niej mówiło bardzo wolno i przy świetle, dziennym lub sztucznym, pomagała sobie bowiem lekturą warg mówiącego; i by mogła sama mówić, choć głosem gardłowym, dobywającym się jakby z dna studni. Natomiast częściowe kalectwo - i to były owe błyski i gromy - utrzymywało ją w stanie ciągłego rozdrażnienia i agresywności. A jej rodziców wprawiało w stan czujności, samoobronnej i bezsilnej, pełnej lęku i poczucia winy, jakkolwiek niczego nie zawinili i kochali jedyne dziecko przesadną aż miłością. O tym wszystkim nie wiedziałem przed przyjazdem do Florencji, ani Loris na Panarei, ani Roberto i Ruth w Rzymie nie uznali za potrzebne uprzedzić mnie o niepełnosprawności dziewczynki. Która była tak śliczna, tak harmonijnie łączyła dwie urody, rosyjską i tokańską, że nie mogłem od niej długo oderwać oczu, kiedyśmy usiedli do wigilijnej kolacji. Tym bardziej szokowały mnie jej rzadkie, krótkie, trochę gniewne odzywki. W zasadzie wolała milczeć, co dowodziło, że miała głęboką, bolesną świadomość swej ułomności.

Stosunki Lorisa umożliwiły posyłanie jej do zakonnej szkoły, gdzie sadzano ją w pierwszej ławce i nie żałowano jej szczególnej, bardzo troskliwej uwagi, bez protestów ze strony koleżanek. Lubiano ją, ale niewiele to pomagało. Atmosfera we florenetyńskim domu była ciężka i wciąż napięta, dopiero późnym wieczorem, gdy Irina wносиła się do swojego pokoiku obok pracowni matki, mogliśmy w trójkę rozmawiać na dole z uczuciem odprężenia.

Znałem niezłe Florencję, ale nie uśmiechało mi się samotne łożenie po mieście, zwłaszcza w okresie świątecznym. Loris był mimo świąt zajęty, Marinę trudno było prosić o towarzyszenie, pamiętając o jej utykaniu. Postanowiłem codzienne spacerować zaproponować ich córeczce. Byli zdumieni i szczęśliwi, gdy zgodziła się bez chwili namysłu. Nie zauważyli, albo nie chcieli zauważyć, że zależało jej przede wszystkim na oderwaniu się od rodziców. Zresztą, jakież miała znaczenie prawdziwa przyczyna! W moim umyśle (i może sercu) wykluł się już zamiar zdobycia przyjaźni tej szorstkiej, opryskliwej, wiecznie najeżonej dziewczynki. Liczyłem na jej powolne odtajanie, moim punktem honoru stało się rozbicie otaczającej ją skorupy.

Loris podrzucał nas rano samochodem do śródmieścia, wieczorem miał nas zabierać do domu z umówionego miejsca, codziennie innego. Obiady przewidziane były w restauracjach.

Była łagodna zima florentyńska, nie słoneczna, lecz rozjaśniona białym, jaskrawym światłem. Chodzenie po takim mieście jak Florencja jest nieprzerwanym pasmem momentów zachwytu, pod wieczór kurczy się do minimum pojemność odbioru, i można już tylko opaść na krzesło w kawiarni i przymknąć zmęczone oczy. Każde oglądane po raz któryś miejsce - kościół, muzeum, pałac, fragment ulicy - wydaje się przez chwilę zobaczonym po raz pierwszy. I za każdym razem bije serce, jak gdy ukazuje się nagle po latach czyjaś ukochana twarz, zmieniona niby, trochę postarzała, a przecież gdzieś pod spodem znieruchomiła w swoim dawnym wyrazie, który niegdyś rozniecił miłość i może ją rozniecić na nowo. Spacerujemy nabierają w końcu charakteru brodzenia wśród rozsypanych hojną ręką skarbów. Złapaniem tchu, przemyciem wzroku są częste uskoki nad Arno. Rzeka, tak groźna w okresach powodzi bądź tylko przyboru wód, ma w sobie połyskliwą miękkość, podobną do kojącego falowania toskańskich wzgórz.

Dodatkową przyjemnością w tym włóczeniu się po mieście było to, co normalnie jest raczej odstręczające: tłumy turystów. Radość sprawiało mi przepychanie się na placach i ulicach, wspinanie się na palce w dalszych rzędach, by lepiej posmakować ołtarz czy fresk w kościele, obraz w muzeum, inkrustację starej bramy w pałacu. I podnieść do góry Irinę, by mogła obejrzeć to wszystko wraz ze mną. Kto wie, czy przełamywanie lodów w czasie spacerów z dziewczynką nie dawało mi największej satysfakcji. Bo zbliżyła się do mnie szybko, spoufaliła się nawet, szukając mnie wyciągniętą ręką w tłumie, prosząc o podniesienie przed drogocennymi zabytkami. Śmiała się niekiedy (a jej rodzice ubolewali, że nie zna i nie chce znać śmiechu), co prawda głębinowym i głośnym śmiechem, z dźwiękami przypominającymi zgrzytanie nożyka na szybie, ale dla mnie, jej towarzysza i opiekuna we florentyńskich peregrynacjach, przyjaciela jej ojca i niebawem przyjaciela jej matki, był to śmiech upragniony. Jej rodzice nie wierzyli prawie moim wieczornym sprawozdaniom ze spacerów. Gdyż - rzecz dziwna - kończyło się to wszystko po przekroczeniu progu w domu na Monte Oriolo. Irina przybierała swą postać „domową”, czyli tak przykrą, jeśli nie bolesną dla rodziców. Co więcej, zmieniała także stosunek do mnie, jak gdyby do niczego nie zobowiązywały oznaki przyjaźni za dnia w mieście. Udawałem, że tego nie dostrzegam, było mi jednak

trudno zaprzeczyć w wieczornych rozmowach z jej rodzicami, że to dla nich rezerwowała całą swoją „kolczastość” (ich określenie).

Zbliżał się koniec mojego pobytu we Florencji. Ostatniego dnia rano pojechałem z Iriną do Santa Maria del Carmine. Siedzieliśmy długo, bardzo długo, przed freskiem Ma-saccia Święty Piotr uzdrawia chorych swoim cieniem. Gdy podniosłem się do wyjścia, przytrzymała mnie ręką. I wtedy dopiero ujrzałem w jej oczach łzy. Nie, nie płakała. Wyraz twarzy był zacięty, zły, nie licował z rozmarzonymi, zażawionymi oczami. Loris, który miał blisko kościoła swoją pracownię, przyszedł po nas, jak było umówione, wkrótce po wybiciu południa przez dzwony kościołów florentyńskich. Tego dnia wróciliśmy na obiad do domu. Jej oczy obeschły, odsunęła się ode mnie na tylnym siedzeniu samochodu, nasze zbliżenie w ciągu tych dwóch tygodni wydało się naraz zwykłym urojeniem. Natychmiast po powrocie do domu odmówiła udziału w obiedzie, pobiegła do swojego pokoiku na piętrze, zamknęła się w nim na klucz, i nie pożegnaliśmy się nawet przed moim wyjazdem na dworzec.

#### *21 - Dziennik... (1993-1996) 321*

Loris dał mi na drogę prezent. Wstydził się jakby, prosił, abym go rozpakował w pociągu. I w pociągu delektowałem się piękną edycją *The Fall of the House of Usher* E. A. Poe w oryginale, w przekładzie włoskim Lorisa (tego zapewne się wstydził) i nakładem własnym Lorisa, z rysunkami nie znanego mi artysty z lat dwudziestych naszego stulecia, uderzająco zbliżonego do Kubina, autora *Die andere Seite* (podaję tytuł oryginalny, nie wiem bowiem, czy *Tamtą* stronę przełożono na polski).

III Lektura przekładu Lorisa (wzorowego!) była tylko odnowieniem w mojej pamięci *Upadku* czy *Ruiny* (włoski tytuł posłużył się słowem *La Rovina*, ruina, zamiast *La Caduta*, upadek) domu Usherów. Czytałem *Upadek* wielokrotnie w latach zafascynowania Edgarem Allanem Poe, mojej - jak żartowali przyjaciele - „poemaniu”. I uważałem go za jedno z najlepszych opowiadań wielkiego pisarza amerykańskiego. Muszę jednak przyznać, że mój zachwyty był instynktowny, nie podbudowany analizą *Domu Usherów*, był, słowem, czymś w rodzaju oceny kiper, który chwali smak wina po paru łykach, nic nie wiedząc albo wiedząc bardzo mało o sekretach jego plantacji i produkcji. Dlatego podarowany tomik zaskoczył mnie podwójnie: przekładem Lorisa i jego krótkim, trzystronicowym posłowiem.

Nie podejrzewałem takiej subtelności i wnikliwości u tego „niepiśmiennego” (jak o sobie mówił) miłośnika książek. Króciutki esej dawał zwięzły obraz pisarstwa E. A. Poe i wychodził poza, w rejony literatury, której, być może, nowelista i poeta amerykański był jednym z ojców. Najpierw skrzyżowanie, więcej: sprzężenie, precyzji opisu (tła, postaci, wypadków) z dążeniem do abstrakcyjnej wymowy utworu. „W przełożonym przeze mnie po amatorsku opowiadaniu - pisał Loris - widać na pierwszym planie nieco upiorną co prawda, lecz wyraźną konkretność osób i krajobrazu. Ale nie są one celem samym w sobie, zasłaniają swoją istotę czy swoją duchowość, nie poddającą się zwykłemu opisom realistycznym. Bohater i jego siostra bliźniaczka, dom Usherów odbity w stawie, ocierając się o kondycję ludzką,

o nieznane wyroki losu, przestają naraz należeć do rzeczywistości dotykanej, zamieniają się w zjawy samych siebie”.

Loris posuwał się dalej, odkrywał dalekie pokrewieństwo między Poe i Kafką. Czy dom Usherów nie był Zamkiem, czy Roderick i Lady Madeline nie żyli w cieniu wyroku skazującego jak K.? Loris przywiązywał wielką wagę do zdania Kafki z Procesu: „Czytał pan gdzieś pewnie, że wyrok skazujący człowieka zapada często w przypadkowym słowie wypowiedzianym przez przypadkową osobę w jakimś przypadkowym czasie”. Poe jednak miał istotnie obsesję „wyroku”, natomiast nie uznawał jego „przypadkowości”. Z drugiej strony w opowiadaniu nieobecny jest Bóg. Więc? Wyrok rośnie w człowieku z roku na rok jak dziedziczna śmiertelna choroba; choroba całego rodzaju ludzkiego. Aż do momentu, w którym wszystko się rozpada: w gruzach leży dom Usherów, Lady Madeline pociąga za sobą w agonii brata, rażonego atakiem strachu. Oboje razem umierają. Narrator opowiadania ucieka przerażony, lecz czy zdoła uciec od swego losu? Czy zdoła uciec od porywistego wiatru, złowróbnego księżyca w pełni, ruin domu pochłanianych przez dookolne bagna? Poe, według Lorisa, był poetą nieuchronnego upadku dzieł ludzkich i duchowego raka drzemiącego i potem szybko dojrzewającego w duszy człowieka. Zanadto chyba zgeneralizował przełożone przez siebie opowiadanie. W dorobku pisarza były i pokrewne, i odmienne.

Generalizując zaś zbyt Upadek domu Usherów, jak gdyby był summa twórczości E. A. Poe, w kilku zdaniach nadał opowiadaniu, w sposób dla mnie jasny, choć niełatwy do wskazania palcem, charakter niezmiernie osobisty.

Nie umiałbym powiedzieć, na czym to wrażenie polegało. Może odżyło moje skojarzenie Villi Toscana na Panarei z tomem opowiadań E. A. Poe na nocnym stoliku Lorisa? A może zarysował się teraz z większą jaskrawością majak wieczorów florentyńskich z Mariną i Lorisem; dziwne uczucie, że są bardziej rozkochanym w sobie bez granic rodzeństwem niż małżeństwem? W ich miłości, w ich wzajemnej czułości tkwiło coś specjalnego, niespotykanego w stosunkach męża i żony. Przypisywałem to ich bliźniaczemu po-; dobieństwu, nawet fizycznemu.

i IV;& W następnych trzech latach nasz kontakt urwał się prawie całkowicie. Nie wiedziałem, co było tego przyczyną. Wiedziałem tylko, że przypadkowe i krótkie spotkanie w Rzymie odsłoniło przede mną Lorisa nie znanego dotąd, zamkniętego, oschłego, nieskorego do rozmowy w dawnym duchu przyjaźni. Spieszył się, wymijająco odpowiadał na pytania, wyższy ode mnie patrzył przed siebie ponad moją głowę. To spotkanie odbyło się w kawiarni na Piazza del Popolo, pożegnał się szybko i wybiegł z niej, byłem pewien, że jego pośpiech był udawany. Nie odzywał się telefon w obu ich domach, w ciągu roku we Florencji, latem na Panarei. Oba ogłuchły i zaniemówiły. Raz zatelefonowałem do jego florentyńskiego biura. Odpowiedział i wymówił się natychmiast brakiem czasu. Roberto i Ruth mieli identyczne doświadczenia. Coś złego zaszło w życiu Lorisa i Mariny. Zachodziliśmy w głowę co.

Poznaliśmy prawdę, gdy było już za późno na jakąkolwiek przyjacielską radę, pomoc, interwencję. I poznaliśmy ją nie z jego i Mariny ust, lecz od braci Lorisa.

To oni wystąpili z inicjatywą spotkania w Rzymie u Roberta i Ruth, prosząc, żebym i ja był na nim obecny. Za zgodą Lorisa. Spotkaliśmy się w maju 1980.

Bracia Lorisa, opanowani, rzeczowi, przesadnie ugrzecz-nieni i trochę skrupowani wizytą „ludzie interesu” poza sferą zainteresowań brata, byli jednak do niego bardzo przywiązani i w jakiś sposób dumni, że miał „takie” właśnie zainteresowania i „takich” przyjaciół. Ich relacja (bo od niej zaczęli) była zwięzła, ścisła i nie wymagała stawiania po drodze pytań dodatkowych. Dopiero po jej zakończeniu otwierało się miejsce dla ewentualnej „narady”.

Stan Iriny pogorszył się wiosną 1978 do tego stopnia, że za radą włoskich lekarzy (głównie wybitnego specjalisty z Padwy) postanowili zawieźć ją do sławnego profesora w Bernie szwajcarskim. To znaczy, jej wada słuchu nie zmieniała się na gorsze, ale dziewczynka stała się absolutnie intrattabile, zarówno w domu, jak w szkole. Włoskie słowo, na które bracia Lorisa kładli nacisk, oznaczało po prostu, że z dnia na dzień rozluźniały się albo pękały nici wiążące jeszcze Irinę z otoczeniem. Zamykała się w sobie, si chiudeva in se, w szybkim tempie; istniała groźba, że całkiem zaniemówi, choć nie zmieniał się fizjologicznie procent posiadanego przez nią słuchu. Wiele wskazywało na to, że chciała, sama chciała, powodowana desperacją, odciąć się od świata; wypadek niezmiernie rzadki, w praktyce unikalny, skoro z reguły częściowo głuchoniemi robią uparte, kurczowe wręcz wysiłki zaczeplenia się o świat. Bezradni i zrozpaczeni rodzice mieli uczucie (jak Loris raz powiedział braciom) przyglądania się tonącej w wirze jedynaczce, której nie można podać ręki. Wtedy usłuchali sugestii padewskiego specjalisty: może jednak sławny szwajcarski profesor podsunie jakieś remedium. Postanowili sami dźwignąć tę sprawę, bez żadnych rodzinnych czy przyjacielskich namów lub ostrzeżeń; odcięli się od świata, jak ich córka.

Berneński profesor, najwyższy autorytet w dziedzinie chorób słuchu, poddał Irinę z pomocą swoich asystentów dwudniowym badaniom i analizom. Znosiła to posłuszna, gotowa nawet do zgody na niektóre dość bolesne zabiegi, cały czas z iskierkami nadziei w oczach, niekiedy z ujmującym i ufnym uśmiechem. Werdykt końcowy profesora, w rozmowie z rodzicami i w obecności dziewczynki (wymogła tę swoją obecność mimo protestów profesora) brzmiał następująco: tak wysokie jak u niej defekty słuchu stały się kilka lat temu przedmiotem projektów zastępowania martwych nerwów mikroskopijnymi płytkami elektronicznymi; cała trudność polegała od pierwszej chwili i polega dalej na stworzeniu instrumentów operacyjnych, precyzyjnych i niewidocznych dla gołego oka; nie udało się ich dotąd stworzyć w bezbłędnej postaci, ale są lekarze w Paryżu i w Sztokholmie gotowi do operacji już obecnie, przy dużym stopniu ryzyka; w razie niepowodzenia pacjent może stracić posiadany procent słuchu, czyli ogłuchnąć zupełnie. On, berneński profesor, nie podejmuje tego ryzyka, czeka, aż mikroskopijne narzędzia operacyjne dawać będą stuprocentową gwarancję należytego wmontowania płytki w martwy nerw. Badania i analizy uszu Iriny przeprowadził, licząc na możliwość interwencji paliatywnych, gdyby wchodziła w grę stosunkowo niska wada słuchu. Niestety, wyniki okazały się niepomysłne. Pozostaje zatem alternatywa: albo czekać - nie

wiadomo jak długo - wraz z profesorem F. na absolutnie pewną operację w Bernie, albo zaryzykować w Paryżu czy w Sztokholmie. Zapisał odpowiednie adresy w notesie Loris. Operacja w Sztokholmie nie powiodła się, Irina wyszła z niej zupełnie głucha. Nie utraciła jednak całkowicie tych umiejętności, jakie posiadała przed operacją. Więc wpatrując się w wargi mówiącego, mogła go z grubsza zrozumieć; mogła też nadal mówić sama, tyle że głosem jeszcze bardziej gardłowym i studziennym. Ale świadomie pograżyła się w całkowitej izolacji. Odmówiła dalszego chodzenia do zakonnej szkoły. Żyła (według braci Loris) z patrzącymi, lecz nie widzącymi oczami, poza wszelkimi związkami rodzinnymi. Rodzice drżeli bezustannie, że „zrobi sobie coś złego”. Postanowili na początku lipca pojechać z Iriną do panarejskiego domu. Loris, pamiętając o tym, jak w czasie krótkiego pobytu we Florencji potrafiłem nawiązać z dziewczynką pewien kontakt, choćby skromny, prosił mnie, bym w lecie spędził jakiś czas na Panarei.

„Narada” po relacji braci Loris była więc krótka. Nie było o czym dyskutować. Po paru jeszcze drobnych wyjaśnieniach zapadło smutne milczenie. Przerwałem je, obiecując, że zorganizuję sobie tak wakacje letnie, by sierpień spędzić w Villa Toscana.

Ten sierpień był dla mnie ciężką przeprawą. Początkowo Irina wychodziła ze mną rano na plażę, wynajmowaliśmy łódkę i wypływaliśmy na pełne morze. W upale należało ciągle wskakiwać z łódki do wody, żeby uniknąć udaru słonecznego. Ilekroć bardzo dobrze pływająca dziewczyna odbijała się daleko od łódki, towarzyszyłem jej jak strażnik. Bywało, że drażniła się ze mną i uciekała, na ogół jednak nie miałem z nią kłopotów. Natomiast nie było sposobu na przełamanie jej psychicznych oporów, wypadało się pożegnać z dawną florentyńską zażyłością. „Zamknęła się w sobie” także dla mnie. Rodzice przed południem zostawali w domu, wybierali się nad morze późno po południu, gdy ja i Irina spaliśmy po długiej kąpieli; ja w wieżycy, ona w swoim pokoju albo na tarasie.

Miała wtedy piętnaście lat, natura wynagrodziła jej fizyczne kalectwo. Była dorosłą już panną, bardzo przystojną i rozrośniętą jak młoda kobieta. I miała świadomość swojej urody i swojej fizycznej dojrzałości. Rozpogadzała się przelotnie, lecz bez uśmiechu na twarzy, gdy biegały za nią spojrzenia chłopców na plaży.

Szczególnie uciążliwe były wspólne wieczory. Ponieważ nie jadaliśmy obiadów, kolacyjny stół był jedyną okazją do spotkań całej czwórki. Nie wiedzieliśmy - Lorisowie i ja - jak się zachowywać. Rozmowa w trójkę, bez zwracania uwagi na Irinę, wypychała ją natychmiast po kolacji do własnego pokoju. Próby obudzenia jej ciekawości i jej współuczestnictwa, przez powolne tłumaczenie wszystkiego, o czym przy stole była mowa (celowała w tym Marina), nie tylko nie dawały rezultatów, ale powodowały jej usztywnienie: siedziała z pochyloną głową nastroszona, jakby na brzegu krzesła, jakby gotująca się już do odejścia. Prawdę powiedziawszy (choć nikt z nas nie powiedziałby jej na głos), nie byliśmy w stanie powstrzymać westchnienia ulgi na widok jej wstania od stołu po skończonej kolacji. I dopiero wtedy odczuwaliśmy sztuczność naszych rozmów w jej obecności; wybierając błogosławioną nareszcie ciszę albo słuchanie płyt do późnej nocy.

Szczyt sierpnia, tradycyjny solleone, wysuszył wysepkę falą bezwietrznego powietrza z Afryki. Nie sposób było przejść gołą nogą przez wyprażony piasek na plaży, pękały kamienie w murkach otaczających domy, poszarzało spo-pielate niebo, drzewa i krzewy (nawet piante grasse, czyli kaktusowce) utraciły swą zieleni, zwiotczały i pokrył je gorący pył zawieszony w powietrzu. Godziny kąpeli skurczyły się do wąskiego pasemka czasu po świcie (księżycowym), woda morska upodobniła się do ciepłej i lepkiej zupy. Zrezygnowaliśmy, wystraszeni, z łódki. Cały prawie dzień spędzaliśmy w domu, dopiero po zapadnięciu zmroku odważaliśmy się wyjść na taras.

Noce nie tylko przynosiły wytchnienie, swą urodą i lekkim przewiewem, swym niebem tak bogatym, że zdawało się inkrustowane, przywracały też równowagę światu. Z mojej wieżyczki zauważyłem na Calaiunco gromadkę kąpiącej się młodzieży. Odtąd po północy, gdy dom już niby spał, wychodziła z niego tylną furtką Irina i szybkim krokiem, raczej półbiegiem, spieszyła na Calaiunco. Powtarzało się to co noc, wracała przed świtem z wyrazem zachwytu na twarzy. Nie wiedziała, że ją z wieżyczki obserwuję. Nie, nie mogłem mieć wątpliwości, co dzieje się na Calaiunco między skałami przylądka, na skrawkach wybrzeża. Ale byłem tak szczęśliwy, śledząc ją spod oka nazajutrz, że machnąłem ręką na jej piętnaście lat, zachowałem sekret przed jej rodzicami, i kiedy któreś nocy przed świtem dostrzegła mnie w górze, wchodząc na palcach przez furtkę, powstało między nami współnictwo. Odżyła nasza florentyńska poufałość. Loris i Marina byli pewni, że chodziło jedynie o to, o nawrót sympatii ich córki do ich przyjaciela. I byli również szczęśliwi. Z lękiem myślałem tylko o jednym: czy ona i jej partner (bo nie wątpię, że ma na Calaiunco „stałego” chłopca) zachowują ostrożność. Pocieszałem się, że partner jest od niej starszy i wie, co robi. Natomiast byłem również, niestety, pewien, że chodzi o krótki romans wakacyjny. Istotnie, pod koniec sierpnia wróciła do domu zaraz po wyjściu; i dłońmi zasłaniała oczy, przypuszczalnie płaczące.

Na szczęście w kilka dni później wsiedliśmy wszyscy na statek do Neapolu. I pożegnaliśmy się w porcie neapolitańskim, obok taksówki, która miała ich zawieźć na pociąg do Florencji. Loris i Marina ściskali mnie i całowali na zmianę, co było rzecz jasna podziękowaniem. A Irina? Zarzuciła mi ręce na szyję, przylgnęła do mojej twarzy swoją moką twarzą.

VI Po wakacjach letnich 1980 nie miałem głowy do spraw innych poza własnymi. Trzeba było do ładu doprowadzić pewne kłopoty rodzinne; dokuczały mi okresowe bóle, o których mój przyjaciel lekarz nic jasnego nie potrafił powiedzieć i zalecał badania szpitalne, dla mnie w tym momencie nie do przyjęcia. W tym momencie, gdyż po długiej jałowej pauzie zabrałem się nareszcie znowu do pisania; nowy tekst wydawał mi się w trakcie roboty coraz ważniejszy i pochłaniał mnie bez reszty. Należę do pisarzy bardzo powolnego pióra, a w dodatku przerwy przeznaczone na odetchnięcie, na odpoczynek myśli, zwykłem z natury i cichej dyscypliny wypełniać leżącym na biurku i posuwanym stopniowo do przodu projektem pisarskim. Zdarza mi się wtedy rozmawiać pozornie z bliskimi, będąc w

rzeczywistości nieobecny, a nawet śnić nie po freudowsku „resztki dnia”, lecz strzępy rosnącego rękopisu.

Tak, byłem - jak zawsze w podobnych okolicznościach - nieobecny lub półobecny, załatwiałem machinalnie kwestie domowe, zdawkowo odpowiadałem na pytania żony i dzieci, czytywałem nieuważnie listy (nie odpisując na nie), telefony skracałem do nieodzownego minimum, zapewne zniechęcającego dla osób po tamtej stronie drutu. Bezwzględny, jeśli nie po prostu okrutny, jest egoizm tzw. „procesu twórczego”, zaskoczyłby niejednego z czytelników, gdyby mogli poznać cenę, jaką się płaci w praktyce za wyrażanie czystych uczuć.

Egoizm w cień odsunął rodzinę Berardich. Wmówiłem sobie, że latem na Panarei „zrobiłem swoje”; że nieuchronnie wybija godzina oderwania się od „cudzych dramatów”. Zbywałem więc pospiesznie telefony Lorisa, nie pamiętając po odłożeniu słuchawki, co mówił. Analogicznie traktowałem telefony Mariny. Rzec pogarszał fakt, że Roberto i Ruth wyjechali na rok do Stanów, gdzie zaproponowano mu wykłady na którymś z uniwersytetów. Czyli zamilkł Rzym, który odgrywał tak wielką rolę w trójkącie naszej przyjaźni. Myślę dziś z głębokim wstydem o moim postępowaniu. I z cieniem obrzydzenia o manowcach, zapadniach i pułapkach wybujałego „ja”.

Wytrąciła mnie z tego stanu w maju 1981 (otrzeźwieniu sprzyjało zresztą słowo „koniec” położone w rękopisie) niespodziewana wizyta najstarszego brata Lorisa, który przyjechał na parę dni do Neapolu w sprawach handlowych. Stał w wielkim hotelu na bulwarze nadmorskim i zaprosił mnie tam na kolację.

Od razu na wstępie, po wyczerpaniu konwencjonalnych grzeczności, zorientowałem się, że nic do mnie w ciągu blisko roku nie dotarło z aluzyjnych telefonów Lorisa i Mariny; aluzyjnych, bo nie chcieli (i rozumiem ich dobrze)

o rzeczach najistotniejszych, i najbardziej zarazem niepokojących, mówić wprost, i to przez telefon. Nicola, brat Lo-risa, dał mi delikatnie, z ujmującym zażenowaniem, odczuć, że moi florentyńscy przyjaciele woleli uznać mnie za nagle ogłuchłego i otępiałego, niż telefonowi powierzyć swoje „bolesne sekrety”. Owe „bolesne sekrety” polegały zaś na tym, że Irina po powrocie z wakacji do Florencji „oszałała seksualnie” (wyrażenie brata Lorisa). Jej rodzice nie wiedzieli naturalnie o inauguracji tego „szaleństwa” w sierpniu na Panarei. Tak czy owak, wybujała i ładna dziewczyna u progu szesnastego roku życia rzuciła się na głęboką wodę romansów z chłopcami. Nie wiadomo nawet, czy tylko z rówieśnikami, skoro często odwozili ją późną nocą albo ranem do domu dorośli mężczyźni. Zachowywała się wyzywająco, jakby swoje postępowanie traktowała dziecinnie jako formę zemsty na rodzicach za urodzenie z wadą słuchu. A oni bali się, najzwyczajniej bali się interweniować; ryzykowali bowiem, tak przynajmniej sądzili, że tracą ją bezpowrotnie.

Po kolacji, w majową noc, poszliśmy bulwarem w stronę Mergelliny. Było już ciepło, przystawaliśmy często oparci o murek nad głazami nadmorskimi; nie wymagała znacznej intuicji świadomość, że Nicola nie skończył swej opowieści. Istotnie, w kawiarence obok portu ślizgowców, wierząc się na krześle, dodał epilog.



Pół biedy jeszcze (mówił niemal szeptem) z tymi obudzonymi przedwcześnie apetytami seksualnymi. Ostatecznie, można w nich widzieć rekompensatę natury za kalectwo. Loris i Marina pocieszali się, że wytrąca ją to z wiecznego smutku, choć ich pocieszanie się podszyte było wyraźnym złudzeniem: Irina wyładowywała w swoich miłośkach desperację i wściekłość, przede wszystkim wściekłość. Wkrótce, kilka miesięcy temu, wpadła w sieć narkotyków. Tu już nie można było się łudzić. Bez końca wyciągała od rodziców pieniądze, niekiedy spędzała długie okresy poza domem, stała się agresywna. Aż w dniu swoich szesnastych urodzin, 23 marca 1981, spakowała po kryjomu torbę podróżną i znikła z domu. Zostawiła na nocnym stoliku krótką karteczkę: „Nie szukajcie mnie. Addio”. Loris szukał jednak i znalazł w końcu cudem jedyny trop w biurze podróży. Jej nazwisko figurowało na liście grupy osób, która wykupiła bilety lotnicze Mediolan-Delhi. Za późno było żałować, że na początku tego roku Loris uległ naleganiom córki i zgodnie z przepisami parafował jej podanie o paszport; i że nie śmiał nigdy odmawiać, gdy prosiła o pieniądze. Co ma teraz robić? Chce jechać do Indii, co jest szukaniem igły w stogu siana. Niech chociaż nie jedzie sam. Zapanowało milczenie. Wreszcie Nicola zdobył się na odwagę: „Czy to prawda, że był pan przed laty w Indiach?”

Wiedziałem, do czego zmierza, zajrzawszy mi lękliwie w oczy. Bez chwili wahania zgodziłem się jechać z nim nazajutrz do Florencji.

Miał samochód, na moją prośbę pojechaliśmy do Rzymu, gdzie zastrzegłem sobie parogodzinny postój, nie autostradą, lecz starą szosą Domiziana. Od jakiegoś czasu zaczęła mnie męczyć pustka autostrady, stara szosa przecinająca po drodze osiedla była co prawda bardziej czasochłonna, ale droga między ludźmi i domostwami wydawała się trwać krócej niż trasa na taśmie autostrady (choć było odwrotnie). Dla rozmyślających o problemie czasu mały przyczynek do fenomenu jego względności.

Przed wyjazdem z Neapolu zatelefonowałem do mojego rzymskiego przyjaciela i zaprosiłem go na obiad w okolicach placu Hiszpańskiego. Mój przyjaciel, zwany zdrobniale Giovannino, był dziennikarzem największej gazety stołecznej. Jego specjalnością były narkotyki, w kołach dziennikarskich przyklepiono mu przydomek *narcologo* lub *narcojournalista*. Był rzeczywiście specjalistą w tej dziedzinie, często wzywano go na międzynarodowe konferencje naukowe i policyjne. Niezbitym dowodem jego znawstwa były kilkakrotne na niego zamachy w ciemnych rzymskich zaułkach, spudłowane, nie pozbawione jednak walorów pogroźki, a raz nawet, słaba na szczęście, bomba podłożona w jego mieszkaniu pod pretekstem lektury licznika elektrycznego.

Zjedliśmy naprędce obiad, poważną rozmowę odłożyliśmy do kawy. Nicola słuchał bez słowa. Ja właściwie też, prosząc tylko od czasu do czasu mojego przyjaciela o drobne wyjaśnienia i zapisując je w notesie. Rzecz jasna, wypytywałem go o Indie. Od trzech lat rejon Benares czy Banaras (a ściśle mówiąc: Varanasi) stał się ulubionym miejscem narkomanów włoskich. Nie wiadomo, co było tego powodem. To prawda, że o narkotyki było tam łatwo i kosztowały taniej niż w Europie, ale płaciło się za to wysoką cenę bezdomności, ciężkich warunków

codziennego bytowania, dosyć wrogiego stosunku lokalnej ludności. Na dobrą sprawę zatem pociąg włoskich narkomanów, rosnący z miesiąca na miesiąc, jest zagadkowy. Gnieźdzą się pod gołym niebem na polach, z których przeganiają ich wciąż o świcie hinduscy chłopcy, i na długiej łasze piaszczystej nad Gangesem. Chyba że - uśmiechnął się smętnie Giovannino - pociąga ich pobliski teren, duży teren, codziennej kremacji zmarłych w okolicznych wsiach. Zmarłych narkomanów włoskich też można tam spalić, chodzi o obrządek uniwersalny, narodowość i przynależność religijna nie mają w nim znaczenia. Trzeba tylko posiadać szczapy i drzewo.

Giovannino nie wiedział, skąd te moje zainteresowania, jakkolwiek usiłował po dziennikarsku coś wywachać. Nicola zatelefonował z restauracji do Florencji. Dotarliśmy późno, blisko północy, na Monte Oriolo; czekali na nas niecierpliwie Loris i Marina.

VII Po rzymskim telefonie brata Loris zdążył już kupić dwa bilety Mediolan-Kair-Kalkuta i z powrotem. Z Kalkuty do Benares należało jechać pociągiem, linia lotnicza była zatłoczona na najbliższe tygodnie. Do Mediolanu pojechała z nami samochodem szwagra Marina, której z trudem udało się wybić z głowy podróż do Indii. Odlot był wieczorem. Na lotnisku Marina zawisła na szyi męża i rozplakała się głośno jak skrzywdzone dziecko. Wziętem pod rękę bladego Loris, nie opierał się, przeciwnie, przyłgnął do mnie i tak już pozostało, również w samolocie, również we śnie. Dzielnym, odważnym Loris nie umiał zapanować nad swoim wewnętrznym rozprężeniem. Nocna przesiadka w Kairze trochę go orzeźwiła. Na dworcu w Kalkucie zdążyliśmy zjeść obiad przed wciśnięciem się do zapchanego, aż po półki i dachy wagonów, pociągu do Benares. Pozwolono nam, pewnie jako cudzoziemcom, zająć w dwójkę jedno miejsce obok okna.

Byłem w Indiach cztery dni w roku 1952, w drodze powrotnej z Birmy do Londynu. Na Kalkutę przypadła niecała doba. Przepisuję z mojego dziennika Podróż do Burmy główne kalkuckie przeżycie: „Niedaleko od świątyni bogini Kali znajduje się za niskim murkiem otwarte krematorium. Pionowe smugi dymów wyglądają w drgającym od upału powietrzu jak rozchwiane słupy i unoszą się ku niebu z dołków różnej wielkości, w których krewni zmarłych obkładają zwłoki wiązkami drzewa i chrustu. W kilku wgłębieniach bieleją już tylko garstki popiołu, ale w wielu sterczą jeszcze spomiędzy tłących się gałęzi nie dopalone ręce i nogi. Ludzie wchodzą i wychodzą z krematorium tak obojętnie, jak gdyby brali udział w pogodnym obrzędzie ludowym. W powietrzu unosi się swąd spalonych ciał i zapach palonego drzewa; dym gryzie w oczy, żar bije od płomieni ognisk, żar leje się z nieba, obracając ziemię w brunatnożółtą skorupę. Uciekamy od niego przez bramę wejściową kilkadziesiąt metrów w dół, nad Ganges, gdzie tylko środkiem wyschniętego łożyska płynie wąska struga wody, a w podmokłym nadbrzeżnym mulu leżą bez ruchu białe krowy”.

Mijaliśmy żółte, wysuszone pola, pocętkowane strumykami i kałużami, które wysysało słońce i piła łapczywie gąbczasta ziemia. Na ścieżkach widziało się grupki półnagich i bosych mężczyzn o obwiązanych głowach, z wysokimi kijami, niekiedy

kroczących za mułem lub zbiedzonym koniem. Na horyzoncie, jak fatamorgana, rysowały się i znikały płaty zieleni. Pociąg szedł wolno, sapiąc ciężko, toteż w pobliżu małych stacji biegły za nim pod nasypem gromadki dzieci oberwańców i piskliwymi głosikami domagały się jałmużny.

Drzemaliśmy w kącie, każde ocknięcie odsłaniało dokładnie ten sam obraz. Do tego stopnia, że tylko stukot kół na szynach i sapanie lokomotywy były dowodem jazdy; sam widok za oknem świadczył o bezruchu. I ten bezruch - co pamiętałem z poprzedniej podróży - zdawał się panować wszędzie, wyrażał jakby paraliż całego kraju. Rzecz jasna, jedynie poza obrębem wielkich miast. Były one, zwłaszcza Kalkuta, ale także Delhi, frenetycznym, gorączkowym, nieprzytomnym przeciwieństwem bezruchu.

Spod oka przyglądałem się, w chwilach ocknięcia z drzemki, twarzy Lorisa. Malował się na niej lęk pomieszany z popłochem; niezmienny, powielany wciąż krajobraz musiał nie przyzwyczajonemu odbierać nadzieję znalezienia czegokolwiek lub kogokolwiek w kraju, który spał - płytkim co prawda, lecz upartym snem.

Do Benares dobrnęliśmy nocą. Rikszarz, przeplatający słowa angielskie i gesty, dowiózł nas do hotelu i obiecał nazajutrz rano zabrać nas do celu naszej podróży. Wiedział, czego szukamy, powtarzał Italian, Italian, po czym droga, droga, włoskie słowo oznaczające narkotyki.

Wątpię, czy uda mi się wiernie opisać cel naszej podróży; tak jak wątpię, czy da się ustalić prawdziwą przyczynę inwazji włoskich narkomanów na skrawek pola i plaży, odległy tysiące kilometrów od ich kraju ojczystego. Wspomniałem już, że taniość narkotyków i względna łatwość ich zdobywania są nie do zlekceważenia, ale tłumaczą niewiele. Nie do zlekceważenia też jest argument (wysunięty przez dziennikarza rzymskiego, mojego przyjaciela), że wśród młodych zwłaszcza, początkujących narkomanów dochodzi do głosu potrzeba stworzenia swoistej komuny poza zasięgiem ukradkowych choćby spojrzeń rodaków; i on tłumaczy niewiele. Trzeba zatem przyjąć, że w grę wchodzi jakiś irracjonalny pęd, którego istoty i źródeł nie pojmują sami zainteresowani.

Rikszarz podrzucił nas wąską drogą na skraj uprawnego pola i twardo oznajmił, że dalej nie pojedzie. Było jasne, czego się obawiał: rolników gniewnie spoglądających w naszą stronę, uzbrojonych w coś w rodzaju bosaków, prócz narzędzi do uprawy ziemi. Za polem ciągnęła się szeroka i długa łąka nadbrzeżna, obmywana leniwie wodami Gangesu.

Na tej łące snuły się dziesiątki, jeśli nie setki młodych ludzi, chłopców i dziewcząt; robili wrażenie lunatyków lub pijaków, zataczali się idąc, to przysiadali, to wstawali, niektórzy leżeli nieporuszeni, śpiąc prawdopodobnie. Na końcu wiejskiej dróżki znajdował się, pod dachem-parasolem chroniącym od słońca, posterunek policji hinduskiej. Jeden z trzech policjantów mówił dobrze po angielsku. Od niego, bardzo grzecznego, dowiedzieliśmy się rzeczy najważniejszych.

Ustawy i rozporządzenia nie pozwalały w Indiach na żadną interwencję. Narkotyki nie były zakazane, mógł tu przyjechać każdy zaopatrzony w ważny paszport z wizą. Nie zabraniano też nikomu mieszkać na łąkach nadrzecznych, w

kraju, w którym jedno z największych miast, Kalkuta, pobiło rekord śpiących nocą na ulicach około miliona nędzarzy. Jedynym sposobem powstrzymania fali młodych narkomanów włoskich były ewentualne restrykcje wizowe; to zrobiono, ale dopiero ostatnio. W tej chwili na plaży nad Gangesem mieszka i narkotyzuje się przeszło dwieście osób. Trzej policjanci dyżurują tu dniem i nocą, by bronić przybyszów przed atakami rolników, którzy pilnują swych pól uprawnych, niegdyś, na początku, czyli dwa lata temu, tratowanych i niszczonych nocami jako najlepsze miejsce do spania. Od pewnego czasu mnożą się wypadki śmierci narkomanów, zabijanych nadmiernymi dozami. W pobliskim krematorium wyznaczono im osiem dołków w pierwszym rzędzie równoległym do łąchy. Muszą sami zdobywać drzewo i chrust do podpałki, ale o to nietrudno. Trudno za to wyegzekwować od włoskich narkomanów obowiązek rejestracji zmarłych i spalonych. Nie palą ich, jak miejscowi Hindusi, owiniętych w białe prześcieradła, lecz w ubraniach z całym dobytkiem, a więc i z dokumentami. W ciągu dwóch lat cudem posterunek zarejestrował zaledwie dwadzieścia trzy zgony, chociaż wiadomo, że zmarło (szczególnie w ostatnich miesiącach) nieporównanie więcej. Oto kopia spisu przesłanego do konsulatu włoskiego w Delhi.

Loris zbadał listę biały jak kreda, z wysiłkiem utrzymując w palcach arkusz papieru. Po czym wśród uprawnych działek poszliśmy, w asyście uprzejmego policjanta, nad rzekę. Szybko okazało się, że indagowanie siedzących lub leżących do niczego nie prowadzi. Odpowiadały nam na pytania o Irinę błędne spojrzenia, nieobecne, zamglone, nieprzytomne. Myśmy jednak szukali żywej Iriny, więc odwracaliśmy na wznak wszystkie śpiące na brzuchu (a raczej odrętwiałe czy zaczadzone) dziewczyny. Wreszcie na samym końcu łąchy zauważyliśmy siedzącego nieco z boku, wpatzonego w wodę chłopca. Był znarkotyzowany, ale nie całkowicie, na pograniczu odurzenia i resztek jasności. Tak, przyjaźnił się z dziewczyną imieniem Irina, głuchoniemą, chociaż trochę mówiła i słyszała. „Właściwie kochałem ją - rzucił zamyślony. - Umarła przedwczoraj, wstrzyknęła sobie za dużą dozę”. Spalono ją poprzedniej nocy w trzecim dołku od lewej. Nie, on tam już nie pójdzie, nie pójdzie za żadne skarby. Chyba wróci do rodzinnej Bolonii.

*Powinienem zmienić tu rejestr opowiadania. Nie potrafię, spieszo mi do końca rozdziału. Policjant zaprowadził nas do krematorium. Trzeci dołek od lewej był wypełniony po brzegi popiołem, a więc Irina nie była jedyna. Mimo to Loris przykleknął i wsypał kilka garści popiołu do podanej 22 - Dziennik... (1993-1996)*  
337

mu przez policjanta torby celofanowej. Przed wyjazdem z Benares kupił metalową urnę z wrytym napisem Ashes for Almighty - Prochy dla Wszchemocnego. Miał suche oczy i prawie zaniemówił. Jego brat Nicola doniósł mi potem w krótkim liście, że urnę ustawiono w podziemiach Villa Toscana na Panarei.

s, VIII %

Trudno w to uwierzyć, a jednak, co teraz powiem, jest prawdą. W ciągu następnych czterech lat, do września 1985, widziałem Lorisa i jego żonę tylko jeden raz, na pogrzebie Roberta w Rzymie 18 listopada 1983. Roberto po pierwszym

zawale wiosną 1983 wrócił na tyle do zdrowia, że mógł znowu pisać, w pogodne dni chadzał z Ruth albo z przyjaciółmi (także ze mną) na spacer po Rzymie, tak równocześnie kochanym i niekochanym, nic tedy nie zapowiadało nagłego końca. Lecz nagły, niespodziany koniec jest cechą chorób sercowych. Nagrał był właśnie dyskusję w radio, pogodnie usposobiony wszedł do windy na trzecim piętrze, wdał się w żartobliwy dialog z uczestnikiem dyskusji i naraz, ledwie winda ruszyła w dół, cicho krzyknął, jakby się udławił, obsunąwszy się bezwładnie na podłogę. Śmierć była natychmiastowa, rzekłbyś: serce pęknięte lub przebite sztyletem.

Żegnaliśmy go na Verano, Ruth prowadził pod rękę brat Roberta, jego siostra szła za trumną między Lorisem i Mariną. Moje zwyczajowe uściski po pogrzebie z Lorisem i Mariną były jednymi z wielu, uderzały swoją milczącą konwen-?cjonalnością. Przed bramą cmentarza Loris przywołał tak-] sówkę i pojechał z żoną na dworzec, na najbliższy pociąg do Florencji; „nie mogli niestety” odprowadzić Ruth i ro-] dzieństwa Roberta do mieszkania zmarłego. Zrobiłem to ja. Pijąc kawę, mówiliśmy więcej o nieobecnych przyjaciółach z Florencji niż o Robercie. Ruth szepnęła: „Każdy uważa swój własny ból za najważniejszy i najgłębszy: choćby ostygł już w porównaniu ze świeżym, lecz cudzym”.

Ból rodziców po śmierci Inny nie ostygł mimo minionych dwóch lat. Wiedziałem coś o tym z krótkich i rzadkich listów brata Lorisa. W ostatnim pisał, że zamknęli się na Monte Oriolo, nikogo nie widują, Loris jeździ w dni powszednie do swojego biura nad Arno, niechętnie i zdawkowo odpowiada na telefony, jeżeli sam odpowiada pod nieobecność sekretarki, punktualnie o piątej wraca do domu. Marina nie pokazuje się w ogóle, zaniedbała wszystko, czym dotąd żyła - ogród, swoje roboty ręczne - całymi dniami słucha muzyki z płyt albo siedzi bez ruchu w pokoju córki, wpatrując się w jej fotografie na ścianach (od dzieciństwa do ucieczki z Florencji). Przestali spędzać wakacje na Panarei. „Zdaje się, że w Neapolu - kończył swój liścik Nicola - częste są wypadki wycofywania się ze świata i przeobrażania mieszkań w grobowce czy kaplice cmentarne po stracie najbliższych. Ale we Florencji?”

Wycofać się ze świata po śmierci najbliższych, mieszkanie zamienić w grobowiec żywych, było dla mnie - na podstawie obserwacji neapolitańskich - sposobem podtrzymywania związków z umarłymi. Tkwiła w tym podskórna obawa, że powrót do świata okaże się zdradą cieni, zdradą osób żyjących dalej tylko dzięki nam; i skazanych na drugą, powolną śmierć w miarę naszego zanurzania się w życiu po ich śmierci. Nigdy takiego mieszkania w Neapolu nie widziałem, wiem za to dobrze, że zjawisko zażyłości neapo-litańczyków ze śmiercią jest niezniszczalną cechą mieszkańców - może nie wszystkich - tego miasta. Wyraża się ono i w pogodnej atmosferze odwiedzin na cmentarzu, i w osobliwym traktowaniu grobów, posuwając się niekiedy aż tak daleko, jak w owym sławnym wypadku wdowca, który na dachu zamieszkanego przez siebie domu umocował lunetę, dokładnie wymierzoną w grób żony na pobliskim cmentarzu; i spędzał przy niej wiele godzin. Tak, to jest Neapol, bardzo materialny w swoim obcowaniu z umarłymi, pod tym względem Nicola miał rację. Istnieje jednak fenomen szerszy, wykraczający poza

dawne greckie Południe, a potem poza obszar Królestwa Neapolu i Obojga Sycylii, obejmujący całą Europę, jeśli nie cały Zachód. Fenomen opisany i skodyfikowany - u szczytu Oświecenia! - w książce niemieckiego mnicha Herlichera O przyzywaniu umarłych; w swego rodzaju poradniku, który żywym miał umożliwić komunie z duchami ich umarłych. Nawet we Florencji...

Latem 1984 okoliczności sprawiły, że musiałem wybrać się na tydzień na Stromboli, gdzie spędzała wakacje część mojej rodziny. Stamtąd, motorówką przyjaciół, przybiłem do pa-narejskiej przystani. Wycieczka miała nie przekraczać pół dnia, od obiadu w restauracji obok przystani do zmierzchu.

Właściciel restauracji, „plenipotent” Berardich na Pa-narei, i mój dobry w przeszłości znajomy, dał mi klucz do Villa Toscana. Nie omieszkął tonem wymówki zaznaczyć, że od pewnego czasu Loris przestał przysyłać pieniądze na utrzymanie willi w czystości i porządku. I nie odpowiada na listowne monity. Gdybym miał okazję spotkać się z nim w Rzymie lub we Florencji, czy mógłbym go ostrzec, że w pa-narejskim klimacie oznacza to skazanie willi na powolny rozkład?

Przekonałem się o prawdziwości ostrzeżenia, przestąpiwszy próg willi. Nie wietrzona, pokryła się ściennymi liszajami, spęczniały sufity, w kątach pajęczyna wzięła masę martwych, wyssanych owadów, książki na półkach przesiąk-nęły wilgocią, złowroźnie trzeszczały schody na piętro, drzwiczki do wieżyczki i do piwnicy (gdzie stała urna z prochami Iriny) zardzewiały i obsunęły się tarasując wejście, w podłogach obluzowały się i gdzieśniedzie wyskoczyły kafelki posadzki. Widok był żalony, nawet przejmujący, pamiętam, że szepnąłem cicho do siebie: „Upadek domu Lorisów”. Ledwie te słowa wyszeptałem, niewidzialna ręka popchnęła mnie w kierunku nocnego stolika obok łóżka Lorisa. Leżał tam, jak dawniej, tyle że wilgotniejszy od książek na półkach, prawie mokry i z rąbkami stronic wyżartymi przez mrówki, egzemplarz wyboru opowiadań E. A. Poe Upadek domu Usherów.

Na przystani panarejskiej funkcjonował latem mały urząd telegraficzny. Przed powrotem na Stromboli wysłałem stamtąd depeszę do Lorisa. Pozostała bez odpowiedzi. Dopiero w połowie sierpnia następnego roku przyszedł do Neapolu długi list od Lorisa. Zapoczątkowując ostatni, straszny rozdział w naszych stosunkach.

List był długi, chaotyczny, roztrzęsiony. Samą formą dawał pojęcie o nerwowym napięciu Lorisa. Treść, istotną treść, należało wyplątać z pokrętnych, urywanych często zdań, pisanych tak, jakby towarzyszył im ciągle suchy szloch. Zaczynał się od przeproszenia, dzięki Bogu związłego i utrzymanego w ryzach godności. „Zrozum mnie, historia naszej córki wpędziła mnie w chorobę psychiczną. Miałem dwóch przyjaciół, Ciebie i Roberta. Ciebie błagam o przebaczenie. Co do Roberta, pozostaje mi słaba nadzieja, że umarł czując, jak śmiertelnie zostałem ugodzony i zraniony. Teraz zwracam się do Ciebie nie tylko z prośbą o przebaczenie, lecz także z prośbą o pomoc. Od miesiąca rozpoznano raka piersi u Mariny, zoperowano ją natychmiast (za późno), zdaniem lekarzy może dożyć najwyżej do końca roku. Ale nie chce umierać we Florencji, chce zamknąć na wieki oczy na

Panarei. Ponieważ nie można jej tego w żaden sposób wyperswadować, zgodziłem się wreszcie (prawdziwe szaleństwo z różnych względów, których nie muszę Ci tłumaczyć) i wyjeżdżamy w ostatnich dniach miesiąca. Sam nie podołam, przyjeżdż we wrześniu, jeżeli uda Ci się oderwać od Twoich zajęć i od Twojej rodziny. Wiem, że proszę Cię o bardzo dużo. Nie mam innego wyjścia”.

To był jedyny jasny fragment listu. Zawiała, poplątana reszta zasługiwała na miano „kołowaniny”. Czytałem po wielekroć, z ciężkim sercem, świadectwo zamąconego umysłu mojego przyjaciela.

IX \*j Przyjechałem 10 września, wcześniej nie mogłem. Pana-rejski dom Lorisów sprzątnięto powierzchownie tylko, obecność ciężko chorej wykluczała remont generalny. Otworzono drzwi wejściowe i tylne oraz wszystkie okna, więc wrześniowe gorące jeszcze słońce wysuszyło szybko lizaje na ścianach, nie zdołało natomiast rozproszyć całkowicie stęchlizny wiszącej w powietrzu. Służąca zaangażowana przez Lorisę wymiotła pajęczkę gniazda w kątach pod sufitem, umyła dziurawe podłogi i trzeszczące schody, na dolny taras wyniosła najbardziej nadgniłe książki, instrumenty z pracowni Mariny, naczynia kuchenne. Nie udało się otworzyć zardzewiałych i obsuniętych drzwiczek do wieżyczki, takie same przeszkody stawały drzwiczki do piwnicy, aż w końcu Loris wyrąbał je siekierą i wyniósł do komórki, tak że piwnica stała się częścią parteru, oddzieloną paroma schodkami. Dom przybrał znośniejszy wygląd, jakkolwiek nie stracił oznak dawnego zapuszczenia; odnosiło się wrażenie usuniętej chwilowo, lecz ukrytej i zaczajonej w murach zgnilizny. Ponieważ wejście do wieżyczki było zablokowane, zamieszkałem w pokoju Iriny, za ścianą mając jej osieroconą chorą matkę; i oczywiście Loris, śpiącego w łóżku odsuniętym teraz lekko od łóżka Mariny.

Co dwa dni rano przyjeżdżał ze Stromboli lekarz i ewentualnie przywoził potrzebne lekarstwa. Wracał przed obiadem, który odbywał się przy łóżku Mariny. Nie mogła już wstawać, Loris mył ją i czasem prowadził ostrożnie do łazienki, a czasem obsługiwał w łóżku. Podziwiałem jego usłużność i zręczność pielęgniarza, ale cóż tu było do podziwiania, skoro robił to z wyrazem szczęścia na twarzy?

Loris i ja podzieliliśmy się dniem. On przyjmował lekarza, był przed południem na każde zawołanie Mariny, pomagał dziewczynie w kuchni. Ja wychodziłem rano i wracałem na obiad. Po obiedzie, wypchnąwszy Lorisę z domu, dyżurowałem przy chorej aż do zmierzchu. Gdy zapadał wieczór, towarzyszyliśmy obaj Marinie. Często do północy, na ogół jednak Lorisowie wysyłali mnie około dziesiątej do mojego pokoju.

Wrzesień był gorący, ale przyjemnie, aksamitnie gorący, z okresowymi podmuchami wiatru od morza. Wałęsałem się po wyspie półnagi, od czasu do czasu wskakiwałem dla ochłody do morza albo drzemałem w cieniu drzew pod murem cmentarza. Doświadczeni tubylcy zapowiadali deszczową i przykrą jesień; niektórzy szykowali się już do wcześniejszego wyjazdu na Sycylię.

Wałęsanie się po wyspie było jak podróż dookoła własnego pokoju. Była zbyt mała, by spacer posiadał swój naturalny „rozbieg”, w ciągu kwadransa pokonywałem przestrzeń od przystani do Calaiunco. Znałem każdy kamień, każdy

krzak, każdy wykrot na ścieżce. Znałem też wszystkich mieszkańców, zatrzymujących mnie nieraz na krótką pogawędkę. Co-rne sta la moglie di Loris? Speriarno. „Jak się ma żona Loris? Nie traćmy nadziei”. Po południu nie mogli zatrzymywać Loris, bo przeważnie spał w załomie skały na plaży.

Takie było nasze życie u schyłku lata. Marina czuła się wtedy nie tak jeszcze źle, napady ostrych bólów męczyły ją stosunkowo rzadko i miały po zastrzykach morfiny. Dotkliwsza była bezsenność. To jej i swoje noce bezsenne odsypiał Loris po południu na plaży.

Zastanawiałem się, dlaczego tak pragnęła wyjazdu z Florencji na Panareę, wiedząc naturalnie (studiowała przecież kiedyś medycynę), że jedzie tam, by umrzeć. Nie rozmawiałem o tym z Lorisem, w ogóle łączył nas od początku pakt milczenia o Marinie (i o Irinie). Nonsensem było przypuszczać, że pragnie umrzeć blisko urny z prochami córki, ostatecznie ta urna mogła być łatwo przewieziona do domu pod Florencją. Z wyspą wiązało ją coś bardzo osobistego i zagadkowego, coś (taki był mój mglisty, lecz najtrwalszy domysł) wyrastającego z dziejów ich miłości i ich wspólnego życia; a także - choć to już trudniej jasno wytłumaczyć - z poczucia, jakie dawała sama wyspa, poczucia chwiejnej i zamazanej (przez morze dokoła) granicy między życiem i śmiercią. Nie umiera się definitywnie, na zawsze, wpatrując się w chwili śmierci w odprysk kosmosu; przechodząc lekkim krokiem w inny wymiar. Kosmiczna pietas miała, dzięki oderwaniu mikroskopijnej wyspy od świata, siostrę: kosmiczną śmierć-nie-śmierć. Ale rozmyślając wtedy w ten sposób, wyrzucałem sobie natychmiast literacko-filozoficzną przesadę. Miała się okazać bliższa prawdy, niż sądziłem.

Po obiedzie, gdy zaczynał się mój dyżur, Marina zasypiała na bardzo krótko; ten powierzchowny, płytki sen przerywały ciche jęki wśród ciągłych zmian pozycji w łóżku. Od początku prosiła mnie, bym trzymał jej dłoń w moich. Zmieniając pozycje, pojękując, wyszarpywała ją często, ja zaś miałem wtedy wrażenie chwytania i puszczenia ręki tonącej. Loris zobaczył raz dłoń Mariny w mojej, zbladł i prędko wyszedł z pokoju.

O czwartej otrząsała się, piła przygotowaną zawczasu zimną kawę, brała przepisane pastylki, zwilżała twarz wodą kolońską i codziennie domagała się „swojej płyty”. Był nią kwintet smyczkowy Schuberta, napisany jakoby kilka godzin przed śmiercią kompozytora. Nawet nie będąc znawcą muzyki, a tylko jej miłośnikiem, chłonałem kwintet ze ścisaniem w sercu i w krtani; i z dziwną domieszką wyzwolenia. Dla mnie był genialnym utworem o agonii, zakończonej zwycięstwem nad śmiercią. „Nie ma śmierci”, jak kończy się na chwilę przed skonaniami bohatera, przy odblasku dalekiego światła, Tołstojowska nowela o Iwanie Iljiczu. Bywało, że zmęczona słuchaniem „swojej ukochanej płyty” (innych nie chciała zabrać z Florencji), zmuszała mnie do głośnego czytania poezji - mnie, pozbawionego daru dykcji. Lubiła wiersze rosyjskie, choć z domu wyniosła słabą znajomość języka rodziców. Ale jak gdyby sam ich dźwięk cofał ją do starych, zapomnianych korzeni.



Wieczorem Loris i ja prześcigaliśmy się w elokwencji, by obudzić i podtrzymać możliwie długo jej uwagę; zdając sobie sprawę z nadaremności naszych wysiłków.

Zaraz po wojnie, w Londynie, byłem świadkiem umierania bliskiej mi osoby na raka piersi z przerzutami, takiego właśnie jak rak Mariny. Któregoś dnia odwiedził ją w szpitalu dawny przyjaciel, przejazdem w Londynie, i w momencie bólu malującego się na jej twarzy położył ostrożnie i czule rozwartą szeroko dłoń w miejscu zoperowanej piersi, gestem pieczyoty, miłości do jej chorego ciała. Skurcz bólu na jej twarzy znikł, zastąpił go lekki uśmiech. Wiedziałem, że ten, kto to zrobił, osiągając tak niespodziany efekt, był niegdyś kochankiem konającej; nie mogłem tedy oczekiwać, że Marina zareaguje podobnie na moją rękę, położoną dla złagodzenia bólu w zgrubiałym od bandaży miejscu jej wyciętej piersi, jak w transie zakochanego. A jednak i ona spojrzała mi z uśmiechem wdzięczności w oczy. Loris odwrócił głowę.

Było jasne, że zaszła zmiana w jej stosunku do Lorisa. Czy po śmierci ich córki, czy po diagnozie jej choroby, tego nie wiedziałem. Widziałem tylko jego rosnące cierpienie i jej rosnącą obojętność. Być może dlatego nie chciał być z nią sam i zaklinał mnie, bym przyjechał do ich panarejskiego domu.

Od połowy października zaczęły się sprawdzać przewidywania tubylców. Lunęły ulewy, obfite, z rzadkimi przerwami w godzinach popołudniowych, podniosło się i wzburzyło morze, zalewając plaże i niektóre mostki przystani. Lekarz ze Stromboli nie był w stanie przyjeżdżać co drugi dzień, wykorzystywał okresy uspokojenia, skrócił swoje wizyty i nie ukrywał podczas nich pośpiechu, przynaglenia, niemal popłochu. Bogiem a prawdą, nie był tak bardzo potrzebny. Mieliśmy znaczne zapasy lekarstw i zastrzyków, a jego lekarskie oględziny były częścią formalnością. Marina weszła w stadium przedśmiertne: wzmagaly się bez przerwy bóle, ich oznaką były już nie dawne pojękiwania, lecz siłą powstrzymywane krzyki. Byliśmy bezradni, Loris snuł się po pokoju półprzytomny. Marina zapragnęła przestawienia łóżka wezgłowiem ku morzu. Wpatrywała się w morze intensywnie, byłem pewien, że w jego widoku miała nadzieję znaleźć równowagę dla ataków bólu. I znajdowała. Dział się jakiś dziwny cud, który potwierdzał moje dawne (przesadne, jak sobie wyrzucałem) odczucia. Marina wzrokiem sięgała jak gdyby poza morski horyzont, zdawała się płynąć tam, daleko od nas, i potem wracać do nas. Rzucała wyzwanie nadchodzącej śmierci, oswajała ją. I naprawdę nie wiedzieliśmy, czy umarła 3 listopada rano, z oczami otwartymi, dalej żywymi, przywierającymi do skłębionych fal morskich z jakąś nieludzką martwą mocą. Dopiero ta nieludzka martwa moc, ta nieruchomość spojrzenia, ostatniego spojrzenia, przekonała nas, że nie żyje. Loris zaciągnął jej powieki, uklęknął obok łóżka, położył głowę na jej piersiach i wybuchnął płaczem, chciałoby się powiedzieć płaczem płaczów, wszystkich powściąganych dotąd płaczów. Ja wziąłem w dłonie jej zwisającą z łóżka dłoń w przegubie, nie tyle powtarzając to, o co mnie kiedyś prosiła, ile powodowany potrzebą upewnienia się, że rzeczywiście umarła. Tak, tak, umarła rzeczywiście, puls przestał bić, lecz dla mnie ocalała pod powiekami resztkę

niewygasłego życia. „Wrócisz”, wyrwało mi się (prawdę mówiąc, wyrwało się czytelnikowi książki mnicha Herlichera O przyzywaniu umarłych). Powiedziałem głośno to słowo, które wytrąciło Lori-sa z jego lamentu, jak uderzenie w zgięte na klęczkach ple-cy. Wstał i spojrzał na mnie w dawny sposób, po przyjacielsku, ale z błyskiem ni to zdumienia, ni wiary, nadziei i ufności. Wtedy chyba narodziło się nasze milczące przymierze, które dla niego obróciło się najpierw w głęboką niechęć do mnie, a potem w ciężką, apatyczną depresję.

X Jedyńy na wyspie stolarz zbił prymitywną trumnę i hakami przymocował jej wieko. Loris wynajął od panarejskich rybaków motorowy stateczek z załogą, który miał go z trumną zawieźć do Messyny. Tam zamierzał załadować się na zwykły statek pasażerski do Palermo. Okazało się to zbyt kosztowne, także Messina posiadała niewielkie krematorium, po trzech dniach zjawił się w domu z urną, na której widniał napis Eterno Riposo, Wieczne Odpoczywanie. Zeszliśmy razem do piwnicy i ustawiliśmy urnę Mariny obok urny Iriny. Dał się objąć, ale czułem w nim opór, nie zwrócił uścisku i wywinął się od pocałunku. Przypuszczalnie spostrzegł ślady mojego zejścia do piwnicy w czasie jego nieobecności. Wahał się chwilę, po czym sam podszedł do mnie i oparł głowę o moje ramię, jak na początku podróży do Indii. Widocznie, po szybkim namyśle, postanowił jednak wierzyć dalej w nasze milczące przymierze.

W ciągu jego trzydniowej nieobecności panarejski dom Lorisów stał się dla mnie siedliskiem czy raczej wylęgarnią dziwów, których nie mogę pominąć w moim opowiadaniu, jeśli chcę je kontynuować, nie dbając o kryteria tzw. wiarygodności. Wiem doskonale, że pióro pisarza (z nielicznymi wyjątkami) wzdraga się przed opisem zjawisk zbyt nieuchwytnych, obawiając się ich nieuchwytności właśnie, czyli bytu (nazwijmy to tak) pozajęzykowego. A przecież nie wolno omijać czegoś, co ujawnia niekiedy przelotnie swoje istnienie.

Istniała atmosfera tak naelektryzowana po wyjeździe Loris, tak pełna niewidzialności usiłującej stać się widzialną, że dom, w którym pozostałem sam (odprawiliśmy dziewczynę do posług), narzucał mi bezruch, lecz nie bezruch dobrowolny; bezruch człowieka spętanego niedostrzegalnymi więzami. Nie mogłem wyjść z domu, mogłem tylko poruszać się z wysiłkiem w czterech ścianach pokoju Mariny i Loris. Wieczorem, jak przez kogoś pchnięty, upadłem na łóżko Mariny; i spadłem na dno snu, dno bez odbicia. We śnie widziałem Marinę za szybą okna, przez które ostatnio patrzyła na morze. Mówiła coś do mnie, lecz nic nie słyszałem prócz powtarzanego często imienia Loris. W końcu znikła, ujrzałem morze i leżącą w płytkiej przybrzeżnej wodzie Irinę, z twarzą zakopaną w piasku. Obudziłem się o północy. I znowu, jak przez kogoś popychany, zszedłem po schodkach do piwnicy. Usiadłem na krześle obok urny Iriny, zdziwiłem się, że znikł z niej napis Ashes. I zasnąłem na siedząco. Pochłonał mnie ciemny sen bez snów. Rano wyszedłem z piwnicy i dojrzałem do telefonu. Był głuchy. Wszystko było głuche. O kark ocierało mi się czyjeś do-.' tknięcie, jak w magicznych momentach Cumy. Nie słyszałem szumu morza, nie słyszałem ludzkich głosów. Miałem poczucie, że zatrzymał się

czas. Widocznie potknąłem się i upadłem na dywanik koło łóżka Mariny, bo tam obudził mnie po powrocie Loris.

Słowo „wrócisz”, rzucone do cienia Mariny natychmiast po jej zgonie, potwierdzone moimi sennymi widzeniami, napięło czujność Loris do ostatecznych granic, gdy mu zaraz po przywitaniu opowiedziałem o trzech samotnych dniach spędzonych w domu po jego wyjeździe do Messyny. Odtąd towarzyszył mi wszędzie jak wierny pies, wodził wzrokiem za moim wzrokiem, gdziekolwiek go kierowałem. W ten sposób, jak sędzę, rozumiał nasze milczące przymierze: wierzył, że wraz ze mną i dzięki mnie wejdzie w krąg zjaw, które mnie tylko udało się wywołać. Ale moje widzenia nie powtórzyły się więcej, ani we śnie, ani tym bardziej na jawie. Słyszałem jedynie co pewien czas czyjeś stąpanie! (którego on nie słyszał), dwukrotnie widziałem w drzwiach! do sąsiedniego pokoju białą postać ludzką wyrzeźbioną z mgły lub dymu (której on nie widział). Loris poczuł się okradziony, obrabowany przeze mnie ze wszystkiego, co mu było najdroższe? Prawdopodobnie, w każdym razie nasze milczące przymierze pękło, ustępując miejsca niechęci, jeśli nie uczuciu zbliżonemu do urazy. Gdybym nie obawiał się zostawić go samego w panarejskim domu, wsiadłbym na pierwszy statek do Neapolu. Niebawem wpadł w depresję i całe dni przesiadywał w piwnicy obok swoich dwóch urn. Wieczorami musiałem go stamtąd, posiniałego z zimna, dosłownie wynosić na tapczan koło zapalonego kominka. Zdawał się nie poznawać mnie, patrzył na mnie pustymi oczami.

Zatelefonowałem do Florencji. Nicola przyjechał niezwłocznie. Zamknęliśmy panarejski dom, mimo złej pogody przeprawiliśmy się z Lorisem (nie stawiającym żadnego oporu) do Messyny, tam wsiedliśmy do mediolańskiego pospiesznego. Wysiadłem w Neapolu. Nicola zamierzał przenieść się ze swoją towarzyszką życia z Florencji do domu na Monte Oriolo, dopóki Loris był w tak „opłakanym” stanie. Obiecaliśmy sobie nawzajem utrzymywanie stałego kontaktu.

XI Z tego „opłakanego” (lamentevole) stanu nie wyszedł już nigdy. Viviana (towarzyszka Nicoli) opiekowała się nim jak dzieckiem. Wybitny lekarz florentyński rozłożył bezradnie ręce: „Rzadka dosyć choroba, można ją nazwać odmową życia. Jest nieuleczalna, ale niekoniecznie kończy się samobójstwem”.

U progu wiosny Nicola i Viviana usłyszeli nocą w jego pokoju (dawnyim pokoju Iriny) bardzo głośny krzyk. Drzwi zamknięte były na klucz od wewnątrz. Wyłamanie zamku zajęło sporo czasu. Loris umarł klęcząc na dzieciennym podnóżku Iriny pod oknem, jego głowa leżała bokiem na parapecie okna, lewa ręka rozczapierzoną dłonią przytknięta była do szyby, prawa ścisnęła zakrzywionymi palcami serce. W szufladzie stolika od dawna już leżał jego zwiędły list. Prosił o spopielenie zwłok i o postawienie trzeciej urny w piwnicy panarejskiego domu. Urna produkcji florentyńskiej opatrzona była werselem po włosku: „Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”. Nicola zawiózł ją na Panareę sam, nie prosił mnie nawet o towarzyszenie.

Towarzyszyłem mu natomiast, gdy w grudniu, na alarm panarejskiego „plenipotenta” rodziny Berardich, pojechał samochodem do Messyny, tam zaś

wynajął motorówkę, gotową przedrzeć się przez burzę na wyspę. Alarm „plenipotenta” był uzasadniony. Piorun trzasnął w wieżyczkę na tarasie i obciął część ściany górnego piętra, zagrożona więc była statyczność całego domu.

Zamieszkaliśmy u „plenipotenta”, który w sezonie i poza sezonem wynajmował chętnie pokoje. Z naszego wyzębionego pokoju widać było dobrze panarejski dom. Przyjechaliśmy wieczorem, postanowiliśmy następnego dopiero dnia urządzić „wizję lokalną”. Została nam zaoszczędzona przez los.

Burza wzmagająca się bezustannie, fale morskie, nie zanad - ‘? to jeszcze groźne podczas naszego przejazdu, wykołysały w końcu małe maremoto, trzęsienie morza, uderzając naraz z hukiem w dom Lorisów. Woda wlała się do środka przez wywalone drzwi, po czym odpłynęła na chwilę, by ponowić natarcie. Skąd wziął się płomień w dolnym oknie obok drzwi? Skądkolwiek się wziął, ogarnął szybko cały parter domu Lorisów, i wygasał stopniowo zalewany przyplływami morza. Dom obsuwał się, a w górze na niebie, jak w Upadku domu Usherów, przebił się na krótko przez chmury czerwony księżyc, blood-red moon.

Styczeń-luty 1995

Neapol, 4 marca W przedmowie do książki Josepha de Maistre (brata autora Trędowatego z Aosty) o Papieżu, Du Pape, Emil Cioran twierdzi, że „właśnie cechy odpychające (odieux) jego doktryn czynią go żywym i aktualnym; gdyby nas co chwila nie irytował, zabrakłoby nam cierpliwości, by go czytać”. Tenże Cioran: „Religie umierają na zanik paradoksów, rozumiał to de Maistre i dosypał do katolicyzmu dwie szczypty, bystrości i okropności”. Na przeciwnym biegunie Baudelaire: „De Maistre i Poe nauczyli mnie rozumować”. O „podziw” dla de Maistre’a czyta się u Flauberta. Camus postawił go obok Marksa; obaj, według Camusa, usprawiedliwiali los człowieka względami wyższymi, Marks odwoływał się do Historii, de Maistre do Opatrzności. Profesor Laski, mentor labourzystów angielskich, zestawiał de Maistre<sup>^</sup> z Bismarckiem w studiach o problemach suwerenności i władzy w nowoczesnym państwie.

Sabaudzki chwalca kata i inkwizycji, ambasador króla Sardynii w Petersburgu, życzliwie do czasu wysłuchiwany przez cara Aleksandra I, Reakcjonista dużą literą, twórca obrazu Papieża nieomylnego, monarchy absolutnego, którego „supremacja jest tym, czym system kopernikański dla astronomów”, sługa Kościoła katolickiego, lecz takiego, co to „nigdy z natury swojej nie dyskutuje, opiera się na wierze bez dyskusji, albowiem wiara jest wiarą z miłości, a miłość nie potrzebuje argumentów”, nazywany często „prorokiem przeszłości”, niezłomny i nieustępliwy w sławieniu nie ograniczonej niczym mocy Papieża, tak wpatrzony w przedstawiciela Boga na ziemi, że Pius VII, obawiając się niekorzystnych reakcji, delikatnie odmówił zgody na dedykowanie mu Du Pape, otóż ten papista nad papistami nieustannie wymieniał na kartach swej książki (napisanej w Petersburgu) Boga, ani razu jednak nie wymienił Chrystusa. Chodziło mu o jedno tylko: o poddanie całej Europy (łącznie z Rosją) duchowej władzy Tronu Watykańskiego.

Nie ma racji Cioran, spiżowy pomnik wystawiony Papieżowi przez de Maistre’a wywołuje wrażenie posępnej wielkości, zniewala i oplątuje raczej, niż

odpycha. Kogo przypomina ten pisarz „uczący rozumowania”, propagator i protektor jezuitów w Rosji, pokonany w końcu i zmuszony z woli Aleksandra I do wyjazdu z Rosji? Jestem przekonany, że Du Papę czytał autor Legendy o Wielkim Inkwizytorze. A może wyważam otwarte drzwi, może zauważył to już któryś z badaczy Dostojewskiego? W każdym razie nie zdziwiłbym się wcale, gdyby staraniem patriarchatu prawosławnego książka de Maistre’a ukazała się teraz w Moskwie. Jako jezuicka wizja świata i Kościoła.

5 marca We wznowionym wydaniu włoskim, które w tych dniach) przeczytałem, książkę de Maistre’a // Papa poprzedza sło-1 wo wstępne Carlo Bo, eseisty katolickiego i rektora uniwersytetu w Urbino. „Co się spełniło ze snu de Maistre’a? Ile I z jego papieskiej inwokacji urzeczywistniło się w długim; okresie (od roku 1817)? Historia zdementowała go we wszystkich prawie punktach miłosnego wyznania pod adresem Rzymskiego Monarchy, Sommo Pontefice. Z wyjątkiem dogmatu nieomyślności, dziś zresztą usuniętego w cień”.

Spośród papieży w naszych czasach jeden tylko przechował odprysk papieskiego wizerunku de Maistre’a: Pius XII.

Wegetowała w nim resztką fiksjacji „nawrócenia Rosji” w ramach roztoczenia władzy duchowej nad całą Europą; był, jak de Maistre, zdania, że „w Kościele się nie dyskutuje”, że prawdziwa wiara, na podobieństwo miłości, odnosi się więcej niż niechętnie do „argumentów”; stąd jego wrogi, a nawet brutalny niekiedy stosunek do kościelnych, innowatorów” o ogromnej często wartości. Po śmierci Piusa XII nastąpiła seria papieży „otwartych”, całkowicie już obcych duchowi autora Du Papę. Jan XXIII, Paweł VI, Jan Paweł I, Jan Paweł II. Paweł VI, mimo rozpaczliwych wysiłków nawiązania uczuć bliskości z „ludem Bożym”, nie porafił przełamać chłodu lub co najmniej obojętności. Natomiast w pełni, w nadmiarze wręcz, udało się to Janowi XXIII. A także, choć na krótko, Janowi Pawłowi I, którego plany na przyszłość miały podobno tak daleko posunąć „otwartość”, że obecnie jeszcze spotyka się ludzi przekonanych święcie o jego „zagadkowym” zgonie. Co do Jana Pawła II, to „owczarnia” wierna pasterzowi lubi go bardzo na zasadzie „swój chłop” (przeciwstawiając go Pawłowi VI), natomiast dystans odczuwa się na ogół u części młodzieży i inteligencji wrażliwej na jego „konserwatyzm obyczajowy”.

8 marca Na początku maja tygodniowa wyprawa do Pragi, od tak dawna upragniona. Cel: przede wszystkim zobaczyć „Pragę magiczną”, ale wziąć też udział w promocji dwóch moich książek po czesku (trzecia w przygotowaniu). Więc od jakiegoś czasu wyławiam co się da na tematy czeskie. Ostatnio szkic Timothy Garton Asha Prague: Intellectuals and Politicians.

*Szkic jest zbyt rozwlekły, co można w końcu usprawiedliwić, zważywszy, że sam autor był ważnym uczestnikiem bezpośrednim „praskiego sporu”. Ale w interesie większej 23 - Dziennik...(1993-1996) 353*

przejrzystości lepiej skondensować maksymalnie polemikę w paru najistotniejszych punktach.

Prezydent Vaclav Havel zaproponował raz swemu przyjacielowi, „wspaniałemu człowiekowi i wspaniałemu pisarzowi”, pewne stanowisko

polityczne. Przyjaciel odmówił, twierdząc, że ktoś musi pozostać niezależny. Havel odpowiedział: „Jeśli wszyscy tak powiecie, może się zdarzyć, że nikt nie pozostanie niezależny, bo nie będzie nikogo gotowego pilnować i bronić owej niezależności”. Paradoks wydaje mi się mało przekonujący. Havel posunął się jeszcze dalej, proponując stworzenie światowego lobby, „trochę konspiracyjnej mafii”, z zadaniem nie tylko pisania świetnych książek, lecz wywierania wpływu na politykę. A „politycy, przynajmniej ci mądrzejsi, nie odrzucą takiej działalności, lecz przeciwnie, powitają ją z zadowoleniem”. Było jasne, że prezydent nie włączał do tych „mądrzejszych polityków” Vaclava Klause.

Według Klause, „nie ma na świecie nic gorszego niż intelektualista wygłaszający przemówienia polityczne”. Co nie przeszkadza, że premier ma sam słabość do pióra i lekko snobistyczne ciągoty do tytułu „polityka-pisarza”. Z oburzeniem przyjął uwagę Garton Asha, że rolą intelektualisty jest „poszukiwanie prawdy” („żyć w prawdzie” Havla), gdy politycy działają „w półprawdzie”.

Oksfordzki uczestnik sporu domaga się od intelektualisty, aby był przeciwnikiem (nie wrogiem) zawodowego polityka. Niezależność jest i winna być podstawowym atrybutem intelektualisty. Nie tylko pod rządami dyktatury, lecz właśnie w liberalnych, demokratycznych państwach niezależni intelektualiści są i muszą być solą ziemi.

Znany czeski pisarz Ivan Klima aplikuje szybką kurację otrzeźwiającą. Po pierwsze, wyrzucmy na śmietnik przekonanie o moralnej wyższości intelektualistów nad politykami, o tym, że posiadli Prawdę pisaną dużą literą. Dość takich bezpodstawnych uzurpacji, szczególnie w Europie Środkowowschodniej. Nie zapominajcie, ile złego zrobili intelektualiści u władzy, ile szkód wyrządzili swoimi utopiami. Czytajcie, co o nich pisze Paul Johnson w książce *Intellectuals*. Ponoszą dużą część odpowiedzialności jako projektodawcy i wykonawcy wielu najcięższych zbrodni politycznych XX stulecia. O intelektualnych poputczikach mawiał Orwell: „Żaden przeciętny człowiek nie jest i nie będzie nigdy takim durniem”. A Popper? Nazwał ich po prostu „osłami”.

A zatem? Podzielam pogląd Klimy, z jedną poprawką: w momentach rewolucyjnych, w chwilach obrachunków i buntów intelektualiści potrafią wznieść się ponad swoją nędzę, nabytą na dworach władców. Sami często, otrząsnąwszy się z durnowatego i oślego transu, wzywają do buntu i potrafią nim pokierować. Tak było w Polsce, w Czechosłowacji, na Węgrzech, w NRD.

Ale nie dajcie im to, nie powinno dawać, prawa do odcinania kuponów od swoich zasług. Ledwie upada reżym opresyjny, ledwie społeczeństwo zaczyna swobodnie oddychać, intelektualiści (jeśli chcą się na zawsze wyzwolić z cudzysłowu i oprzeć pokusom korupcyjnym władzy) muszą usunąć się na swoje naturalne miejsce. Jest nim niezależna pozycja *spectateur engage\**, bezlitosnego nawet krytyka, z zasady odmawiającego wplątania w sieć „stanowisk politycznych”. Tu trzeba przyznać stuprocentową rację historykowi i publicyście z Oxfordu.

A skoro rację ma Garton Ash, to nie ma jej Havel (którego podziwiam)? Ma ją i on, lecz w wypadkach zupełnie wyjątkowych. On sam jest takim wypadkiem,

znakomitym prezydentem, którego możemy jedynie zazdrościć Czechom. Być może takim wyjątkiem byłby w Rosji Sołżeni-cyn, jak był nim na pewno Sacharow. Albo Turowicz w Polsce. Słowem, intelektualiści o głębokich i mocnych korzeniach moralnych, intelektualiści typu Orwella, Poppera, Arona, Silonego, Hanny Arendt, którzy podejrzliwie odZaangażowanego widza.

„noszą się do... Do czego? Do własnej inteligencji, galopującej na rumakach efektownych teorii i abstrakcyjnego samo-durstwa, nie powściąganej przez sumienie, uczciwość, miarę moralną i zwykły zdrowy rozsądek.

9 marca Na listę (chudą) najważniejszych książek z okresu PRL wpisałbym bez wahania Grypsy i reminiscencje Zbigniewa Florczaka, wydane ostatnio w Londynie. Florczak to legendarny Pelikan, który swoje „grypsy” przysyłał przez wiele lat do „Kultury”, pilnując do końca z powodzeniem swej anonimowości (jedeny zamaskowany całkowicie pisarz wśród krajowych współpracowników „Kultury” w maskach mniej lub więcej obsuniętych na twarzach, śmiałków żądnych natychmiastowego rozgłosu i poklasku). Siłą jego szkiców („siłą bezsilnych”, jak to określił Havel) była kategoryczna odmowa kręactwa, tak typowego dla literatów podszytych strachem i niepewnych, jakie Historia kryje w zanadrzu wyroki. Florczak pisał bez osłonek i rezerw to, co widział i myślał, ze wstrętem do formułek połowicznych „jakkolwiek, tym niemniej”. Chwała mu za to, zasługuje na wysokie notowania na liście „rozdartych”, „osaczonych przez historyczne wątpliwości i filozoficzne dylematy”.

Pamiętał zdanie Camusa, jednego z nielicznych mistrzów naszego totalitarnego stulecia. *L'ecrivain ne peut se mettre aujourd'hui au service de ceux qui font l'histoire: il est au service de ceux qui la subissent\**. W tym zdaniu jest wszystko, także odpowiedź na pytania stawiane w „praskim sporze”. Pisarz prawdziwy, naprawdę niezależny, będzie zawsze po stronie tych, którzy są ofiarami historii. Literaci, nieśmiertelni literaci dworscy, „do usług” wobec każdego Pisarz nie może służyć tym, którzy tworzą historię; służy tym, którzy jej doświadczają (tłum. Szymon Babiński).

panującego władcy, „twórcy historii”, to właśnie owi „intelektualiści” w cudzysłowie, zgrają orwellowskich durniów czy popperowskich osłów. Florczak zrozumiał, że cichy gryps jest najlepszą i najgodniejszą formą pisarską w roz-gwarze „robienia historii”.

18 marca, =,,;??

4 kwietnia 1820 Goya bierze udział, po raz ostatni, w posiedzeniu Akademii w Madrycie. Akademyści zaprzysięgają upragnioną Konstytucję z roku 1812. Zmartwychwstała więc prawda, wraz z całym narodem. I wraz ze swoim narodem Goya żyje ulotną godziną wolności. Wystarczy spojrzeć na nazwy rysunków z tego roku: Boska wolność, Lux ex tenebris, Boski rozum. W trzy lata później armie Świętego Przymierza cofają koło historii. Ferdynand VII wgniata w ziemię resztki wolności i wprowadza biały terror. Goya ukrywa się przez trzy miesiące. 28 kwietnia 1826 Akademia, na posiedzeniu plenarnym, zaprzysięga: obronę Misterium Niepokalanego Poczęcia, wierność królowi i nowym prawom, wrogi stosunek do

tajnych stowarzyszeń i do „absurdalnej zasady, że naród władny jest zmieniać obowiązujące formy rządu”. Goya, otarłszy się przelotnie o trybunał inkwizycji, za pozwoleniem króla jedzie na leczenie do wód mineralnych w Plombières, po czym osiedla się w Bordeaux. Zbliża się do osiemdziesiątki, jest całkowicie głuchy, ale rozpieszcza go siła witalna. Wybiera się na wystawy do Paryża. Towarzyszy mu wszędzie Leocadia Zorilla, przypuszczalna matka jego dziesięcioletniej córki. Goya maluje i rysuje jak opętany, historyk sztuki nazywa go „ludzkim wulkanem”. Hiszpania śpiewa i tańczy w jego sercu, z „nieustanną hiszpańską śmiercią na karku”. Goya wyskakuje na krótko do Madrytu, załatwia swoje najpilniejsze sprawy, zabiera wnuka do Bordeaux, licząc także na wizytę syna. „Jeśli przyjedziesz - pisze do syna - moja szczęśliwość będzie pełna”. I jest doprawdy szczęśliwy: jako malarz, który „namalował wszystko”; i jako człowiek, który był kochany, kochał i wciąż jeszcze kocha.

2 kwietnia 1828 upadek ze schodów przykuwa go do łóżka. Jest połowicznie sparaliżowany. Zachowuje przytomność. Wszystkich zgromadzonych wokół jego łóżka zdumiewa niezwykły fakt: oto Goya wpatruje się bez przerwy w swoją rękę, ale nie po to, by ocenić, czy będzie po chorobie zdolna do malowania; wpatruje się w nią wzrokiem, jakim wierzący w agonii przywierają do krucyfiksu lub do świętego obrazu, a niewierzący do podobizn swoich najbliższych. Wzrokiem rozmodlonym, pełnym weneracji. Boska ręka. Poruszają się jego wargi, szepczą słowa, jakich nauczyła go w dzieciństwie matka w Fuendetodos. Goya, poróżniony z Bogiem i Jego kapłanami! Istnieje chyba Bóg, jeśli stworzył taką rękę.

Umiera w nocy z 15 na 16 kwietnia.

23 marca „Polifoniczność powieści”, którą Bachtin przyswoił badaczom literatury, stała się w pewnym momencie przedmiotem marzeń i aspiracji powieściopisarzy. W każdym niemal wywiadzie Sołżenicyn mówił, z nutą dumy w głosie, o „polifoniczności” swoich powieści. Przesadzał. „Polifoniczność” prawdziwa, a nie narzucana siłą, jest instrumentacją bardzo trudną i dochodzi do głosu (a raczej do głosów) bez świadomego wysiłku, jako przyrodzona cecha Wielkiego Pióra. Powieści Sołżenicyna nie są „polifoniczne”, są nieustannymi próbami „polifoniczności”, wymuszonymi i niezbyt udanymi. Sołżenicyn jest z natury narratorem „monofonicznym”, o czym świadczy jego arcydzieło Zagroda Matryony, dla mnie bezsporny szczyt jego twórczości. Chciałoby się powiedzieć, że pisarze rodzą się „monofoniczni”, jak mężczyźni rodzą się „monogamiczni” (ich zdrady kończą się zawsze fiaskiem).

Geniuszów „polifoniczności” jest niewielu, żaden może nie olśniewa tak jak Szekspir (choć dramaturg). Od kilku wieczorów czytam, po raz trzeci w życiu, Don Kichota Cervantesa. Z niesłabnącą rozkoszą, po trzy-cztery rozdziały, co wieczór, żeby „spowolnić” i przedłużyć delektację. Dochodzę do wniosku, że geniusz Cervantesa był „bifoniczny”. Kiedy się Don Kichota czyta za młodu, w okresie dojrzewania, zachwyca wciąż tylko komizm. A potem, stopniowo, zaczyna przeświecać w scenach komicznych coś tragicznego. Te dwa płany nakładają się na



siebie z absolutną precyzją, jakby były świadomie dopasowane. Nie są. Są spontanicznym i organicznym cudem sztuki Cervantesa.

28 marca '„

Klsazura, czyli świat odepchnięty « (wczorajszy dialog)

autor. Pomyśl, tak długo mieszkam we Włoszech, tyle mam za sobą wojażowania po waszym kraju, że mógłbym napisać grubą i wyczerpującą *Italienische Reise*, a dopiero w zeszłym roku odwiedziłem twoje miasto rodzinne. Lucca! Nawet zaraz po wojnie, kiedy żołnierze jeździli wszędzie ogarnięci gorączką podróżowania, Lucca nie pojawiła się w żadnej z moich tras. Nie umiem powiedzieć dlaczego. W czerwcu zeszłego roku, wracając z Viareggio do Neapolu, postanowiliśmy (moja żona Lidia, nasza przyjaciółka Teresa i ja) zboczyć na drogę ze strzałą Lucca. Była niedziela, bardzo wcześnie rano, sam dojazd między świeżymi mimo lata polami, w przezroczytym i lekkim powietrzu, wróżył dobrze. Dasz wiarę? Byłem zachwycony, zakocha-ny od pierwszego wejrzenia w twoim rodzinnym mieście zaraz po zaparkowaniu samochodu na pustym placu za murami. Trzeba ci wiedzieć, że osiedliwszy się w Neapolu, zawsze marzyłem o przeniesieniu się kiedyś do miasta średniej wielkości, takiego jak Parma, Siena, Werona, Ferrara,! gdzie ocalały jeszcze resztki życia na miarę ludzką, gdzie człowiek nie czuje się wiecznie zdławiony, przytłoczony,! wtopiony w masę. I oto Lucca, po trzygodzinnym zaledwie postoju (na więcej nie mieliśmy czasu), odbiła mnie swoir siostram. Odtąd ona stała się przedmiotem moich marzeń. |

luca. Dla mnie Lucca to młodość aż do matury, poter częste przyjazdy z Bolonii, mojego miasta uniwersyteckiego.! Skończyłem tam architekturę, studiując równocześnie amatorsku filozofię, ożeniłem się, założyłem rodzinę. Córa rzadziej i rzadziej wpadałem na krótko do rodziców, którzy umarli przed trzema laty w tym samym dniu: rano matka po przewlekłej chorobie, po południu zrozpaczony jej śmier-ł cią ojciec na atak serca; byłem wtedy z żoną i synem na wa-ł kacyjnej włóczędze. Mieli dwoje dzieci, mnie i moją siostrę! dużo ode mnie starszą, zakonnice w klasztorze Sakramen-ł tek w Pizie. Nie przyjeżdżała nigdy do rodziców, żyjąc bardzo surowej klauzurze; a dla nich stały się męką wizytł w Pizie, rozmawianie z córką przez tak gęstą kratę, że mogli nawet zobaczyć jej twarzy. Moja matka wyznała kiedyś: „Głos mówi mało, z każdym rokiem mniej, jak gdy-? by cichnie i zanika stopniowo, starzeje, traci odcienie. Tyl-i ko na twarzy można coś zawsze zobaczyć, miłość robi z nas malarzy portrecistów”.

autor. Lucca otoczona murami, dokoła miasta *Passeggiata delle Mura*. W środku połączenie czterech elementów: kościoły i klasztory (na ogół obrośnięte ogrodami); place i ulice, które razem robią wrażenie wielkiego salonu, cisza autonomicznego miejskiego ustronia (trudno o większy paradoks), zachowane i pielęgnowane resztki i odruchy staroświeckości. To wszystko na tle toskańskiego krajobrazu, łagodnego na pozór, niekiedy jednak udramatyzowanego jak u renesansowych mistrzów.

Każde miasto odciska się w oku, umyśle i wyobraźni podróżnika czymś niezniszczalnym do końca życia. Dla mnie był to marmurowy kościół Świętego

Michała, pizańsko-luccański, zaczęty w XII stuleciu, potem przez wieki uzupełniany, przebogaty w ornamentacjach, pełen kamiennych potworów i zwierzaków, ze statua Świętego Michała Archanioła zabijającego Smoka, z mniejszymi aniołami po obu bokach. Czy Lucca w nim posiada swój najgłębszy wyraz? Myślałem o tym, wyjeżdżając, wspominając Orazio-ne ai nobili di Lucca, którą napisał na początku XVI wieku jurysta i duchowny, Giovanni Guidiccioni, późniejszy zaufany sekretarz i przyboczny dyplomata papieża Pawła III. Chłuba waszego miasta, to on w swojej Oracji wezwał szlachtę do większego umiaru i do wyrozumiałości w obliczu rewolty miejscowych, plebejskich producentów jedwabiu.

luca. Trafnie połączyłeś. Lucca uważała Orację za swój drugi sławny monument, oprócz Świętego Michała. Przerabialiśmy to dziełko w ostatniej klasie liceum. Do dziś pamiętam koniec: „Przyjmijcie do waszego łona dwie siost-rzyce wślawione cnotami, Sprawiedliwość i Umiarkowanie, które dla starożytnych były bliźniaczym splotem Harmonii”.

Mieszkaliśmy blisko Świętego Michała, za szkolnych czasów marmurowy pogromca Smoka był dla nas (może pod wpływem katechetów) idealnym wcieleniem zwycięstwa nad Złem...

autor. Po przeciwnej stronie placu Świętego Michała przyciągnął nasz wzrok bujny ogród na wzniesieniu, ukrywający w zielonym gąszczu budynek z krzyżem na szczycie frontonu. Pociągnęliśmy za drut dzwonka koło furtki, po paru minutach w okrągłym otworze odchyliła się zastawka i ukazało się czyjeś oko. Furtian powiedział comento di dausura i natychmiast zasłonił okienko. Jestem ciekaw, czy to w tym właśnie klasztorze rozegrało się wydarzenie, które w zeszłym miesiącu wdarło się na łamy wszystkich prawie gazet włoskich.

luca. Nie, nie w tym klasztorze. W klasztorze kartuzjańskim Certosa di Farneta, od roku 1358 w ryzach żelaznej klauzury.

autor. Porównując różne artykuły i korespondencje w gazetach, można wycisnąć istotę wydarzenia. Jest bardzo późna noc, około drugiej. Zakonnik w Certosa di Farneta, od dość dawna skarżący się na sporadyczne bóle serca, alarmuje towarzysza celi. Tym razem atak bólu jest gwałtowny, twarz chorego powleka się warstwą potu, z jego otwartych ust wydobywa się cichy jęk. Przypuszczalnie stan przedzawałowy. Przeor dzwoni do nocnego pogotowia, szybko przyjeżdża ambulans z lekarzem dyżurnym. Jest nim kobieta. Przeor nie wpuszcza jej za próg klasztoru. Klauzura pozwala, w zupełnie wyjątkowych wypadkach, na wejście mężczyzny do klasztoru. Ale w żadnym wypadku nie dopuszcza obecności kobiety za murami. Lekarka próbuje perswazji, opór przeora i paru rozbudzonych zakonników jest nie do przełamania, lepiej nie tracić drogiego czasu, lekarka pędzi do ambulansu, po drodze podaje szoferowi adres znajomego lekarza, zrywa go z łóżka, wyciąga go w szlafroku z domu i wraca z nim do klasztoru. Upłynęło w sumie około pół godziny. Lekarz zdążył tylko po to, by stwierdzić zgon. Przeor wyprasza go grzecznie z klasztoru. Wybiła godzina modlitw za duszę umarłego. Rzecz jasna, w przywróconej klauzurze.

luca. Byłem w moim mieście rodzinnym wkrótce potem, miałem do załatwienia formalności spadkowe. Lucca szumiała jeszcze dyskusjami, rozmowami w mieszkaniach, w barach, na ulicach. Szczerze mówiąc, zaskoczyło mnie to podniecenie. W rozmowach i dyskusjach przewijały się dwa wątki: klauzura i modlitwa za duszę zmarłego. Czy wolno do tego stopnia odpychać świat? Czy nie ma fałszu w modlitwie za duszę umarłego, którego można było uratować, naruszając sztywne reguły klauzury? Zapewne, gdyby przysłuchiwał się temu któryś z mnichów kartuzjańskich, wzruszyłby ramionami. Odepchnięcie świata jest naszym

pra-1  
wem. Śmierć nie jest dla nas tak ważna, jak dla was; pokrywa ją żałobnym całunem modlitwa; spotkamy się niebawem z naszym bratem zakonnym w zaświatach.

autor. Nie byłyby to odpowiedzi zadowalające. Kto mówi, że klauzura jest gromadnym pustelnictwem, błądzi. Gest pustelnika jest odmową życia, wyjściem ze świata i przyjęciem samotności, przy jednoczesnym odrzuceniu myśli o samobójstwie. Określono samobójstwo jako akt miłości negatywnej, lęgnie się ono i dojrzewa w sercu człowieka zamiast miłości, lecz wcale nie musi być popełnione, bywa, że trwa latami jak stan zakochania w nicości. Czymś innym jest klasztorna klauzura, gromadne odepchnięcie świata. Choć o tym nie wie, zapuszcza korzenie w nienawiści. W nienawiści do odepchniętego świata. Syci się także pychą odtrącenia czegoś z natury gorszego. Modlitwa w klauzurze zawiera domieszkę zakłamania.

luca. Na pytania: „Jak możecie tak żyć?“, zakonnicy i zakonnice w klauzurze odpowiadają niezmiennie: „Zadajemy sobie dokładnie te same pytania: jak możecie tak żyć? Co do nas, jesteśmy szczęśliwi poza światem”.

Ale zgadzam się z tobą. Jest w tym wszystkim wiele różnych składników: i nienawiść do świata (może raczej pogarda zabarwiona lękiem); i pycha albo poczucie wyższości wobec naszej nędzy; i bezgraniczne, często zakłamane zaufanie do modlitwy, która z biegiem czasu wysycha, staje się martwym drzewem o nagich konarach.

Kiedy po śmierci rodziców zdołano mnie odnaleźć i przywieźć na pogrzeb, zawiadomiłem natychmiast siostrę. Była już wówczas przeoryszą, sama dała sobie zwolnienie z klauzury na pół dnia. Mam wciąż żywą przed oczami tę scenę. Nie uрониła ani jednej łzy. Ucałowała matkę i ojca w czoła, obwiązała ich splecione dłonie różańcami, powiedziała: „Będę się modlić za ich dusze”, i wróciła do pizańskiego klasztoru. Wsiadła do samochodu pospieszona, jakby uciekała. Widziałem ją (jeśli wolno użyć tego słowa) rok temu. Przeżywałem ciężki kryzys rodzinny, z niechęcią myślałem o wciągnięciu w te bardzo osobiste sprawy przyjaciół, więc kto mi pozostał? Pozwolono mi - meS me! - wejść do żeńskiego klasztoru z klauzurą na polecenie przeoryszy. Przyznałem rację mojej matce: najbliższa nawet osoba za gęstą kratą jest co najwyżej żywym cieniem. Zwie żalem Słę długo - była to w gruncie rzeCZY spowiedź 1 słuchała me przerywając. Sam urwałem w końcu i przv Iгнаłem niemal uchem do kraty. „Proś Boga o pomoc ja będę się za ciebie modlić”. Cień

wydłużył się, czyli wstała wszystko, co było mi potrzebne jako znak siostrzanej czułości, skupiło się w dwóch słowach Caro Luca.

autor. Zastanówmy się, czym właściwie jest modlitwa. Najczystsza modlitwą, jaką słyszałem (na kartach książki), była modlitwa trędowatego z Aosty, skazanego na wieczną samotność. Sam na sam z czymś wyższym od człowieka, w agonii lub twórczym wysiłku. Modlitwa prawdziwa modlitwa jest ekspresją sytuacji krańcowych. W kościele bez trudu odróżniam modlących się naprawdę od poruszających machinalnie wargami. Z czego zdaje się wynikać, że warunkiem autentycznej modlitwy jest stan indywidualnego odłączenia, [który zresztą możliwy jest także (choć trudniejszy) w gromadzie. Lecz nie w gromadzie tak zestrojonej we wspólnej modlitwie, jak zestrojony jest zespół ludzki wykonujący - bezmyślnie na ogół, z nabytego przyzwyczajenia - te same czynności. A modlitwy zbiorowe w klauzurze mają taki właśnie charakter.

LUCA, Nleto nawet jest najistotniejsze. Ostatecznie w klasztorach otwartych odbywa się coś podobnego. Istotne jest nasylenie modlącego się i modlitwy wieścią o świecie. Gorszą czy lepszą, głębszą czy płytszą, lecz: wiedzą o świecie, którą klauzura odpycha z zasady. Nie chce jej posiadać, uważają za zbędną w życiu duchowym człowieka wierzącego, gdy to ona nadaje życiu - gdziekolwiek ono się toczy treść egzystencjalną. A wiara oderwana od egzystencji czym jest? Zewłokiem, pustą skorupą. Wracam do epizodu moim rodzinnym miastem. Nieodpartym impulsem winno być dopomożenie cierpiącemu, przy tym impulsie reguły klauzury przestrzegane od stuleci są po prostu śmieszne, więcej - bezreligijne.

autor. Jesteśmy obaj przeciw odepchnięciu świata, uważamy je za zdradę ludzkiej wspólnoty, którą w słowach chwalili również twórcy klasztornej klauzury. Dziś klauzura ma jedną tylko zaletę, a mianowicie bywa schronieniem dla szukających anonimatu. Kto chce zniknąć ze świata, a nie potrafi podnieść ręki przeciw sobie, może bez imienia resztę życia spędzić w klasztornej klauzurze. Istnieją na ten temat liczne legendy. Na przykład, nie brak święcie przekonanych, że genialny włoski fizyk atomowy Ettore Majorana, który tuż przed wojną ulotnił się bez śladu po przepłynięciu statkiem z Neapolu do Palermo, nie popełnił samobójstwa jako człowiek trapiący co prawda wątpliwościami, lecz równocześnie wierzący, wybrał natomiast wstąpienie do sycylijskiego klasztoru z klauzurą. Posiadają one na ogół własne cmentarze w obrębie murów, gdzie groby są oznaczone jedynie przybranymi imionami zakonników. Ten przypadek odepchnięcia świata budzi sympatię i zrozumienie.

Pozegnanie przyjaciela Moskala i ja. Mogę dokładnie ustalić datę i miejsce naszego pierwszego spotkania: wrześniowe popołudnie 1974 na piątku mojej ulubionej kawiarni paryskiej Cluny. Nasza rozmowa była przeznaczona dla „Kultury”. Władimir Jemielianowicz Maksimów wyjechał z Moskwy w lutym tego roku, w dniu banicji Sołżenicyna. „Wyjechałem z jednym gwoździem w głowie: założyć pismo. Napisałem do Sołżenicyna. Odpisał mi, w którym było między innymi takie zdanie: Ja du-maju, Warn obiazatielno nado

swiazatsia s Polakami iz „Kultury”. Powstał więc „Kontynent”, do międzynarodowego komitetu redakcyjnego weszli trzej Polacy: Józef Czapski, Jerzy Giedroyc i niżej podpisany. Podczas każdego „miesiąca lafickiego” odwiedzałem Maksimowa w jego mieszkaniu lub w redakcji na Lauriston, parę kroków od Etoile i Łuku Triumfalnego. Niekiedy odwiedzaliśmy go we dwójkę, z Jerzym Giedroyciem. A raz, pamiętam, przyszliśmy „w komplecie”, w trójkę, na zaproszenie mieszkającej u Maksimowa żony Sacharowa, Jeleny Bonner.

Moim rozmówcą w Cluny był Rosjanin z gruba ciosany, otwarty, prosty, chwilami szorstki, bez żadnych „rafinacji intelektualnych”, rzeczywiście „z jednym gwoździem w głowie”, nasycony gniewem wobec „ojczyzny proletariatu światowego”, on - syn robotniczej rodziny. Jako młody chłopiec był w Komsomole, redagował tam jakieś pisemko pod nadzorem Gorbaczowa. Mówił o nim zawsze, z cichym chichotem, chitrij albo chitreńkij Miszka. Kiedy myślę o jego wczesnym i radykalnym zerwaniu z komunizmem, przypomina mi się wyznanie pisarza amerykańskiego (Murzyna), Richarda Wrighta: za młodu przyjąłem komunizm jak komunię, zaraz potem wyplułem opłatek obrzydzony jego smakiem.

Podana mi na powitanie prawa dłoń Maksimowa, trudna do uściśnięcia z braku trzech palców, mówiła coś o jego życiu. On sam milczał o przeszłości, ale od wspólnych znajomych, Rosjan, wiedziałem, że był współczesnym wcieleniem Gorkiego, samoukiem i bosakiem, wędrującym po Rosji i chwytającym się wciąż nowych zajęć. Te wędrowki pozwoliły mu napisać jedną z najlepszych porewolucyjnych powieści rosyjskich, Siedem dni Stworzenia, która odsłoniła nieznaną Rosję „głęboką”, Rosję mnożących się sekt religijnych.

W naszej rozmowie, drukowanej w październikowym numerze „Kultury”\*, uderza mnie dziś zakończenie, odpowiedź na moje pytanie o pierwsze doświadczenia na Zachodzie: „Widzi pan, to jest tak. Rozmawiam z kimś i mimochodem wtrącam, że zbliżyłem się do pewnego środowiska. Rzadka mina, grymas niesmaku: za mało na lewo. I nie wie biedaczek, że w tym środowisku tak samo wybrzydzą się na niego. Z początku znosiłem to cierpliwie, ale ostatnio wybuchnąłem: zdecydujcie się nareszcie, kto iz was lewieje. Cała ta licytacja lewicowości odbywa się pod znakiem anty-faszyzmu, pomijając na ogół równanie proste dla mnie, pisarza rosyjskiego świeżo przybyłego z Moskwy: komunizm to faszyzm”.

Z takimi poglądami nie mógł być w Paryżu nawet prima-donną jednego sezonu. I w rzeczy samej stronili od niego luminarze francuscy, których wykarmiły sartroidalne idiotyzmy i filozofijki w rodzaju Humanizmu i terroru Merleau-Ponty’ego. Do końca mógł tylko liczyć przy każdej okazji na Ionesco. Swój pamflet, który pograżył go ostatecznie w oczach paryskich „postępowców”, zatytułował Saga o Nosorożcach.

Zob. przedruk w tomie szkiców G.H.-G. Upiory rewolucji, zebrał i opracował Z. Kudelski, Lublin 1992 (wyd. rozszerzone).

Z rodakami było różnie. Unikał marksistowskiej parafii Miedwiediew-Czalidze, poróżnił się szybko z Siniauskim (mając stuprocentową rację), związał się

z Niekrasowem, Brodskim, Hellerem i Nataszą Gorbaniewską, uwielbiał Sacharowa i jego żonę. A przede wszystkim, na początku zwłaszcza, Sołżenicyna. Jak Sołżenicyn - pracując nad powieściowymi soliterami - mógł pisać ogromne listy do Maksimowa, pozostanie tajemnicą prywatnego izolatora w Vermont. Widywałem czasem te listy, kiedyśmy trochę popijali na Lauriston. W jednym była zwariowana nieco polemika z moim szkicem Jegor i Iwan Denisowicz, ogłoszonym po rosyjsku w „Kontynencie”. Jak mogłem - pieklił się wielki pisarz - porównać Sachalin Czechowa z sowieckim Gułagiem? „Wyszedł z niego Polak”, brzmiała konkluzja. Przypomniało mi się, że po Sołżenicynowskim Liście do przywódców sowieckich jeden z warszawskich literatów oznajmił triumfalnie w kawiarni: „A nie mówiłem? Wyszedł z niego w końcu Rosjanin!” Na co obecny przy stoliku Sło-nimski: „A kto miał wyjść? Holender?”

„Kontynent” był dobrym, bogatym i ciekawym pismem, redagowanym pewną ręką przez swego założyciela. Według mnie odegrał dużą rolę wśród emigrantów rosyjskich i w Rosji, gdzie jednak kapaniną docierał. Nie można go porównywać z „Kulturą”, ale z „Kulturą” nie można też porównywać „Svedectvi” Tigrida, a przecież każdy inteligentny Czech powie, że paryski periodyk Tigrida był ważniejszy od rzymskich „Listów” Pelikana.

Po raz ostatni widziałem Maksimowa na zorganizowanym przez niego sympozjone rosyjsko-francuskim w Paryżu. Na pożegnalnym drinku trącił się ze mną kielichem i pokonując przyrodzoną powściągliwość, szepnął mi prawie na ucho: „Nawet nie wiecie, wy z «Kultury», ile wam zawdzięczamy”.

Przeskoczę do listopada 1992. Maksimów ma już za sobą kilka podróży do Moskwy, tam przeniósł z Paryża „Kontynent”, oddawszy go w ręce swego przyjaciela, Winogradowa. Na zaproszenie Jerzego Giedroycia daje Nataszy Gorbaniewskiej wywiad dla „Kultury”. Czysta, stężona czerni albo „czarno na czarnym” (że zapożyczę ten zwrot od pisarza sycylijskiego Leonardo Sciascia). Rosję pod wodzą Jelcyna opanowała szajka żulików, ignorantów, oszustów; jest nawet nie na kolanach, lecz leży powalona i sparaliżowana. Biedna Natasza, tak z nim zaprzyjaźniona, tak mu wierna, próbuje łagodzić jego sądy. Ze skutkiem odwrotnym do zamierzonego. Na prośbę Jerzego napisałem krótki wstęp redakcyjny, dystansujący się w jakimś stopniu od wywiadu, podkreślający naszą rezerwę wobec tak ponurego, pesymistycznego obrazu.

W trzy lata później widać, ile miał racji, chociaż z rosyjskim „nadrywem”, rozjuszony Maksimów, pełen rozpacz i goryczy. I widać też, jak ciężki popełnił błąd przenosząc pismo do Moskwy i oddając je moskiewskiemu zespołowi. Gdyby mogło dalej bez żadnych zahamowań przemawiać z Paryża, jak to robi „Kultura”, jego głos brzmiałby inaczej; i byłby lepiej dostyszany przez czytelników rosyjskich.

Jeżeli jest prawdą, jak twierdzą onkolodzy, że w procesie rozwoju raka zapaści psychiczne pogłębiają i przyspieszają chorobę nowotworową, to w jakiś sposób Maksimów umarł także w 62 roku życia na udękę przedwczesnego rozstania ze swoim dziełem.

Marzec 1995

-4 - Dziennik... (1993-1996)

Neapol, 3 kwietnia Z zasady nie reaguję na agresywne zaczepki w prasie polskiej i włoskiej (zresztą rzadkie), chyba że posiadają ziarnko chociaż dobrej wiary albo przebiorają miarę zwykłej niestety w polemikach domieszki głupoty.

Nie czytuję „Gazety Wyborczej”, więc moja wierna znajoma z Warszawy musiała mnie telefonicznie zapoznać z agresywną zaczepką Michnika pod moim adresem. Czy przeczytała przez telefon całą zaczepkę? Nie jestem pewien. W jej głosie pojawiło się w pewnej chwili wahanie, urwała nagle w pół zdania. Ale wystarczy to, co przeczytała.

O co poszło? Zbigniew Florczak (Pelikan) postanowił w tomie zebrać swoje grypsy wysyłane z Warszawy do „Kultury” i poprosił mnie o parę słów wstępu. Zaproponowałem mu przedruk z mojego dziennika zapisu o jego pisarstwie. W tym zapisie mowa między innymi o zachowaniu się pisarzy „krajowych” po decyzji współpracy z „Kulturą” w maskach pseudonimów. Wspomniałem, że Aleksander Wat, poprzedziwszy długim esejem (pod pseudonimem) zbiór opowiadań Terca-Siniawskiego, „umierał ze strachu”. Michnik to określenie nazywa (oczywiście głęboko oburzony) „napluciem na Wata”.

Rzecz jest ciekawa psychologicznie, wskazuje bowiem, że nasz narodowy bohater (autentyczny) uważa za ciężką obrazę wskazanie w kimkolwiek uczucia strachu. To już nawet nie głupota, ale oznaka przedwczesnych procesów sklerotycznych. Pomijam fakt, że z „opłutym” przeze mnie Watem byłem w przyjaźni, kiedy Adaś i Jacuś biegali w krótkich porteczkach na zbiórki Czerwonego Harcerstwa. Istotniejsze jest to, że zaraz po bitwie pod Monte Cas-sino opisałem własny strach, spowodowany według mnie działaniem wyobraźni (zjawisko typowe dla wszystkich „inteligentów” w akcji wojennej, ludzie prości i pozbawieni wyobraźni szli do ataku jak żeńcy na wykoś zboża), za akt odwagi poczytując przezwytyczenie imaginacyjnych lęków, emocji i hamulców. Naplułem na samego siebie w tym opisie? Innego zdania byli moi dowódcy.

Bohumil Hrabal nie jest na pewno słabszym człowiekiem i pisarzem od Wata, a właśnie w listopadzie 1990 w tekście Totalne strachy przekazał potomnym poczucie wszechobecności strachu w ustroju totalitarnym. Wat „umierał ze strachu” nie tylko po napisaniu przedmowy do książki Terca. „Umierał ze strachu” po powrocie z ZSSR do PRL (dzięki apelom i staraniom Ważyka). Widziałem fotografię ze „zjazdu zjednoczeniowego” PPR i PPS: na trybunie stoją Bierut, Minc i Dzierżyńska, oklaskując gorąco wejście na salę pięcioosobowej delegacji ZLP. Wśród pięciu uśmiechnięty radośnie Wat, jakby przyszedł rzeczywiście na „zaślubiny dwóch robotniczych partii”, a nie na pogrzeb PPS (po jej uduszeniu w ślubnym uścisku). Nikt mi nie wytłumaczy, że musiał (już wtedy chory) przyłączyć się do delegacji. Chciał po prostu. Bo „umierał ze strachu”.

Dodam wreszcie, że określenie „umierał ze strachu” nie jest mojego autorstwa. Zapytany przeze mnie w Rzymie, podczas wielogodzinnej rozmowy w winiarni koło placu Hiszpańskiego, co robił we Lwowie pod okupacją sowiecką, Wat odparł bez chwili wahania i z tą typową dla niego otwartością: „umierałem ze

strachu". Musiał to być strach o bardzo wielkich oczach, skoro dowiedziałem się później (ale już nie od niego), że w jakimś moskiewskim piśmie zadeklarował się jako „pisarz sowiecki”. Trzeba raz na zawsze skończyć z głupstwem Miłosza, że „komunizm dał literaturze polskiej niebywałą szansę”, nagle bowiem „znalazła się wobec uniwersalnego tematu”. „Tylko że niewielu piszących wyciągnęło z tego wnioski”, dorzucił Miłosz. Wat, gdyśmy rozmawiali o bałamuctwie Miłosza, uśmiechnął się gorzko i powiedział: „Ja wyciągnąłem, ale za późno. Najpierw niebywałą szansę zmarnowałem, chwycony za gardło przez uniwersalny temat”. Usiłował później w Moim wieku wyrównać zaległe rachunki.

Przy sposobności słówko o jego opus magnum. Miłosz jest chyba najbardziej koleżeńskim i uczynnym pisarzem polskim, toteż należy mu się niski pokłon za wydobywanie Wata z ciężkiej zapaści psychicznej serią nagrywanych w Kalifornii rozmów. Ale posuwa się trochę za daleko, zalecając jako dzieło epokowe książkę nierówną, przegadaną, kontrowersyjną, pełną nieścisłości i z jednej strony wnikliwych refleksji, z drugiej zaś dziwacznych teorii i pomysłów interpretacyjnych Eksa (co dla czytelników z „lewicy” jest najważniejsze), któremu nad głową stuka w więzienny dach kopytkami Przemądry i Szczwany Diabeł (czy tylko mielkij bies). Odbywa się w Polsce bez przerwy obrzędowy Taniec Świętego Wata; rolę surowego i wymagającego wodzireja odgry-1 wa w nim Miłosz.

6 kwietnia Co w zapisie z 14 listopada 1991 było tylko marzeniem - podróż do Pragi - staje się „zaklepanym” już projektem: pierwszy tydzień maja, z żoną i z dziećmi, jako goście Instytutu Polskiego. Tydzień, zaledwie tydzień, to za mało, ale więcej nie można. Dobrze i to, żeby w oku i w pamięci utrwalić obraz nigdy nie widzianego i tak ciągle śnionego miasta. „Cieszysz się jak chłopczyk, któremu podarowano w końcu długo obiecywany rower”, powiedział B. Dokładnie tak.

Mój zapis z 14 listopada 1991 poświęcony jest książce zmarłego w młodym wieku bohemy. rusycysty i polonisty, Angelo Maria Ripellino, Praga magica. I osobie jej autora, wielkiego erudyty, znakomitego tłumacza i poety. Pragę magiczną mógł napisać tylko erudyta i poeta, skrzyżowani w twórczej imprezie. Każdy rozdział napęczniały jest informacjami, „profesorskimi odsyłaczami i przypisami”, a równocześnie wzrusza i zachwyca prozą lekką, przejrzystą, nabitą metaforami jak złotymi gwoździami. Jak on tę swoją „magiczną” Pragę kochał! Czasem opis maleńkiej uliczki, raczej zaułka, zamienia się w wiersz, zroszony łzami szczęścia, pełny wyczulowanych po mistrzowsku szczegółów. Potrafię i ja spojrzeć tak na Pragę, choćby na krótką chwilę?

Określenie „magiczna” nie jest tylko pomysłem Andre Bretona. Od przełomu XVI i XVII wieku, czyli od panowania przewrażliwionego, zamkniętego w sobie, podejrzliwego, melancholijnego Rudolfa II, stała się Praga grodem czarów, chiromancji, przystanią wróżbitów i alchemików, tygłem mistyki, czarnoksięstwa, domeną posiadaczy zaklęć i formuł zmieniających substancje. Przyjeżdżali ze wszystkich stron świata (był wśród nich także polski czarownik Michał Sędziwój-Sendigovius), głównie z Anglii, znajdowali posłuch i sute nagrody na królewskim dworze, zrozumienie i cehową więź ezoteryczną wśród komilitonów rodem z



Bohemii (rzecz jasna, nie bez rywalizacyjnych podstępów). Ripellino cytuje dwóch poetów współczesnych, Nezvala i noblistę Seiferta. Pierwszy: „Na złotej uliczce hradczań-skiej / czas stoi w miejscu / jeśli chcesz żyć pięćset lat / rzuć wszystko i poświęć się alchemii”. Drugi: „Alchemicy, zagotujcie wasze trucizny / wymruczcie ciemną formułę / wypiszcie znaki tajemnego alfabetu, / aby uzyskać i ukorzyć diabelską służbę”. Osobną dziedzinę, za murami getta praskiego, stanowiła magia czarodziejska uczonych rabinów. Rabin Lów stworzył Golema, którego po wiekach wskrzesił w powieści praski pisarz, Gustaw Meyrink. Golem, jak zobaczymy, żyje w różnych postaciach po dzień dzisiejszy.

Przychodzi mi do głowy, że atmosfera współczesnej literatury, wy karmionej sokami Bohemii, wiele zawdzięcza Pradze „magicznej”. No, choćby Kafka. Czy tajemnicze zaklęcie nie wisi nad Procesem, Zamkiem, wieloma opowiadaniem? Czy Metamorfoza mogłaby powstać poza „magiczną” Pragę? Kafka zdawał sobie widocznie z tego sprawę, był niewolnikiem praskiej magii, lecz niewolnikiem pragnącym wyzwolenia. Myślał przecież o podpaleniu Pragi, „szponia-stej mateczki, która nie popuszcza”.

Z gazet dowiaduję się, że najbogatsi kapitaliści prascy założyli ostatnio ekskluzywne stowarzyszenie pod nazwą „Golem”. Za panowania „socjalizmu realnego” podobne stowarzyszenie mogliby byli założyć członkowie Biura Politycznego. W ten sposób każdy antysemita miałby prawo zasadnie twierdzić, że i kapitalizm, i komunizm są dziełem praskiego rabina Lówa, żydowskim wynalazkiem...

9 kwietnia *La lenteur* jest pierwszą powieścią Kundery napisaną po francusku. Okropną powieścią, niezdatną, niewiarygodnie banalną, śmietniczką wątków czy epizodów, które łączy banalność narracji i duża szczypta świntuszenia (bez smaku i wdzięku); świntuszenie uważa Kundera, i zdaje się, że zawsze uważał, za ingrediencję niezbędną z punktu widzenia „wydawniczej kasowości”.

Można naturalnie uznać, że pisarz czeski albo przeżywa złą passę swojej twórczości, albo w ogóle zanadto zaufał przekonaniu (wielokrotnie powtarzanemu) o nieograniczonych możliwościach sztuki narracyjnej, nietkniętych przez rzekomy „kryzys powieści”. Ale to niezbyt ciekawe i kazałoby tylko odłożyć *Powolność* na półkę ze wzruszeniem ramion. Kusi inna interpretacja: kłapa książki spowodowana jest przejściem na obcy język w tak późnym wieku.

Poliglota Kot Jeleński był podobnego zdania o ryzyku przejścia z języka ojczystego na obcy, kiedy osobowość pisarska jest już uformowana. Sam swobodnie pisał po francusku, angielsku, włosku artykuły i szkice, ale do polszczyzny uciekał w rzeczach bardziej angażujących, osobistych. Jedyny wyjątek stanowi jego autobiograficzne wyznanie po włosku (nigdzie nie drukowane, nie przeznaczone do druku, mam je w rękopisie), napisane co prawda po włosku znakomicie (a musiał je po włosku napisać, bo drugim prócz mnie adresatem był Włoch), lecz z rozmachem trochę spętany, który prawdopodobnie rozwinąłby lepiej skrzydła do lotu po polsku. W ankiecie Hostowca-Stempowskiego Kot przyznaje się do przyjemności pisania po polsku dla paru przyjaciół i do obojętności towarzyszącej pisaniu w

obcych językach dla tysięcy anonimowych czytelników. Język opanowany, po mistrzowsku nawet, w późniejszym wieku, jakkolwiek na ogół z korzeniami tkwiącymi w „kindersztubie”, jest językiem innego wymiaru, komunikatywnym lub opartym na sztuce konwersacji. I ma mało wspólnego z prozą powieściową czy nowelistyczną. Widać to bardzo wyraźnie w Powolności. Są w niej fragmenty, które nie powstałyby nigdy pod czeskim piórem Kundery. A z których jest pewnie dumny, brylując w salonikach paryskich.

13 kwietnia Od pewnego czasu płaczą we Włoszech krwawymi łzami statuetki Madonny. To tu, to tam, jest w tym krwawym płaczu coś z wyścigu albo turnieju. Watykan milczy (ale prywatnie Jan Paweł II „wyraził zainteresowanie”), „Osservatore Romano” też wziął wodę w usta. Medyczne ekspertyzy ośmielają rzeczników cudu: po pierwsze, substancją łez jest rzeczywiście krew (choć męska), po drugie, głowy statuetek nie posiadają żadnych wydrzeń, które zastrzykami mogłyby prowadzić do oczu. Słodkie twarzyczki Bożych Matek są zeszpecone czerwonymi, zastygłymi kroplami. Skandal wybuchł w Civitavecchia, porcie łączącym półwysep z Sardynią, położonym w niewielkiej odległości od Rzymu (na północ). Zapłakała krwawymi łzami statueta Madonny w posiadaniu biskupa. Szczęśliwy posiadacz pokazywał swój skarb tłumom wiernych, lecz miejscowa władza sądowa obłożyła statuettę sekwestrem aż do ogłoszenia wyników badań. Rzecznikom cudu, w przytłaczającej większości, przeciwstawiają się nieliczni sceptycy. Robią to ostrożnie, żeby nie ryzykować linczu. Ten odważny sędzia może już pakować walizki, w najlepszym razie zostanie przeniesiony, w najgorszym czeka go przedwczesna emerytura. Biskup miota gromy, grozi odwołaniem do centralnego organu sędziowskiego w Rzymie. Kto natomiast ostrzy sobie zęby i zaciera ręce, to biura turystyczne, które specjalizują się w pielgrzymkach religijnych.

Francuski teolog i badacz taumatologii przypomniał, że posąg Madonny w Medjugorje zaczął płakać przed wybuchem wojny domowej w Jugosławii. Nazwał ten cud, zgodnie ze swoją klasyfikacją, „zapowiadającym”. Istnieją też? cudy „karzące”. Madonna może albo zapowiadać jutrzejsze nieszczęścia, albo karać za wczorajsze i dawniejsze jeszcze grzechy, płaczem kwitując i jedno, i drugie. Do jakiej kategorii zaliczyć Madonnę płaczącą krwawo w Civitavecchia? Znaczący przedmiot wszczęli już dyskusje. Jeśli jakaś zapowiedź, to dotycząca linii morskich na Sardynię: zderzenie statków? zatonięcie? pożar? Jeśli kara za grzechy, to zeszłoroczna hańba, mianowicie wykrycie, że trzy dziewczęta z miejscowego gimnazjum, w wieku od 12 do 13 lat, kuszowały miesiącami ze swoimi kolegami w wieku od 16 do 18 lat. Miasto portowe zatrzęsło się wówczas, ojciec jednej z dziewcząt poddał za miastem torturom (obrzydliwym) jednego z winnych chłopców. Rodziny poszkodowanych dziewcząt zamierzają wynieść się z Civitavecchia, bo są w praktyce otoczone bojkotem całego miasta. Nie dotyczy to krewkich młodzieńców, przeciwnie, na ulicach witają ich przyjazne, życzliwe uśmiechy.

W każdym prowincjonalnym mieście wychodzi w takich wypadkach z nory lokalny (i przeważnie wolnomyślny) mól książkowy, by sięgnąć dalej w przeszłość. A może Madonna roni krwawe łzy nad zesłowiecznym konsulem francuskim w

Civitavecchia, panem Henri Beyle, który tutaj właśnie, jako Stendhal, pisał swoje bezbożne powieści i na prywatnych przyjęciach obnosił się bezwstydnie ze swoim anty-klerykalizmem? Może, może... Oczekuję nowych włoskich edycji Stendhala z płaczącą Madonną na okładkach.

W każdym razie, zmieniając żartobliwy lekko ton na poważny, dostrzega się ogromną wagę Cudu w mieście błażej i dwuznacznej historii z płaczącą krwawo statuetką. Wysłannicy telewizji i gazet przepytują mieszkańców na ulicach, w sklepach. Jednobrzmiąca reakcja: władza nie ma prawa mieszać się do naszych spraw religijnych, szykowaliśmy na Wielki Piątek procesję ze statuetką, teraz musimy się zadowolić jej fotografią; wolno ateuszom nie wierzyć w Cuda, przeprowadzać analizy i badania, ale wara od tych, którzy takich głupstw nie potrzebują, gdyż wierzą; wierzą jeszcze mocniej, słysząc o krwi męskiej, skoro może to być jedynie krew Jezusa Chrystusa; nie obchodzi nas milczący Watykan, wystarczy nam nasz biskup. Cud, Cud, Cud. Ugina kolana do ukłęknięcia, układa wargi do modlitwy, pozwala z ulgą oddychać, odmienia nasze życie.

„Istnieją trzy siły, tylko trzy siły na ziemi, które mogą zjednać sumienia ludzi dla ich szczęścia. Te trzy siły - to Cud, Tajemnica i Autorytet”. Cud na czele, Wielki Inkwizytor z Braci Karamazow znał hierarchię wartości chrześcijańskich. Dla mnie nie pierwszozna. Mieszkam w mieście, które żyje corocznym cudownym upłynnieniem krwi świętego Januarego. Cud krwi, zdawałoby się, umarłej, wyschniętej i nagle przebudzonej, krwi, która ożyła, zakładu Nadziei.

18 kwietnia A dwie pozostałe, obok Cudu, kolumny chrześcijaństw i Kościoła? Tajemnica i Autorytet?

Sergio Quinzio zjawił się, nie zapowiedziany, w redakc „Tempo Presente” na Sistina (naprzeciw kamienicy, w któr rej Gogol napisał Martwe dusze) pod koniec lat pięćdziesią tych. Wszyscy podnieśliśmy ze zdumieniem głowy znad biurka. Za progiem stanął, z wyrazem onieśmielenia na twarzy, mężczyzna w mundurze kapitana Straży Celnej. Nij widywało się u nas gości mundurowych. Ale niebawem, pq dwóch kwadransach rozmowy, okazało się, że mundul okrywał (jak to się we Włoszech mówi) „studnię wiedzy”! Zapierała dech w piersiach uczoność kapitana, zwłaszcza w dziedzinie amatorskich studiów religioznawczych z zał kresu chryścianizmu i judaizmu. Nicola Chiaromonte wy! trzeszczy! oczy, ja chyba też. Ujmujące było to, że Quinzic nie popisował się swoją wiedzą, mówił nawet z pewnyr zawstydzieniem i rumieńcami na policzkach. W końcu zapyj tał, czy mógłby co jakiś czas przynosić do pisma swoje not na tematy religijne, a niekiedy także - jeśli temat będzid tego wart - krótsze lub dłuższe artykuły. Nicola bez wa-j hania skinął głową. Odtąd, do połowy lat sześćdziesiątych! widywaliśmy regularnie kapitana z rulonikiem w dłoni! Pismo pozyskało nowych czytelników, dementując opinie trybuny ateistycznej albo co najmniej agnostycznej. Przy-I ciągnęła ich problematyka poruszana, i z jasnością omawia-j na, przez nowego współpracownika, o którym mało ktc wiedział, że służy w formacji paramilitarnej.

O ile pamiętam, współpraca skończyła się na parę lali przed zamknięciem miesięcznika w roku 1968. Sergio Quin-j zio wystąpił ze służby, przywdział cywilny

garnitur i dał się szybko poznać jako badacz o wielkim prestiżu, słuchany i czytany z respektem przez oficjalnych luminarzy duchow-nych. Przestał przychodzić na Sistine, widywałem za te często jego fotografie w prasie i jego rozprawy w periody-kach specjalnych. Zapuścił długą brodę, miał w oczach coś ni to z eremity, ni z kaznodziei. Nazywano go najlepszym we Włoszech teologiem świeckim. Robiono z nim wywiady czy zapraszano go do udziału w debatach publicznych, ilekroć w życiu Kościoła zdarzały się rzeczy ważne. Widywałem na półkach księgarskich jego trudne dzieła.

Był oczywiście tzw. „wiernym synem Kościoła”, ale bardzo niezależnym, twardym w obronie swoich niekonwencjonalnych punktów widzenia. W znajomości judaistyki nie miał sobie równych we własnej ojczyźnie, a może także w Europie. Uderzyło mnie, że w jednym ze szkiców z aprobatą cytował słynne fragmenty listu Dostojewskiego do Fon-wizyny z roku 1854: „Powiem Pani, że jestem synem mojego wieku, synem niedowiarstwa i zwątpień, i nie tylko dotrwałem w tym stanie do dzisiaj, lecz takim pozostanę (wiem na pewno) aż do grobu”. „Ileż strasznych cierpień kosztowało mnie - i wciąż kosztuje - pragnienie wiary, które tym silniej opanowuje moją duszę, im większa jest moc argumentów przeciwnych”.

W tych dniach Quinzio wydał nową, niewielką objętościowo książkę, i nazwał ją „opowieścią apokaliptyczną”. Oto jej krótkie i dość niestety pobieżne streszczenie. Na opróżnionym tronie papieskim zasiada w roku 1999 kardynał pochodzenia żydowskiego. Jakie wybierze imię? Według proroctwa mnicha średniowiecznego Malachiasza, ostatni papież wybierze imię Piotr, jak pierwszy papież i budowniczy Kościoła, i w jego osobie zakończy się apokaliptyczną katastrofą historia Kościoła i świata. Nowy więc papież, Piotr II, przeniósłszy się z Watykanu do Lateranu, na Wielkanoc 1999 wydaje encyklikę *Resurrectio mortuorum*, którą chce wypróbować wrażliwość współczesnych chrześcijan. Czy wierzą jeszcze w cielesne zmartwychwstanie umarłych, czy żywa jest nadal wśród Chrystusowych wyznawców Tajemnica? Encyklika trafia w absolutną pustkę, mija nie zauważona i nie czytana. W roku 2000 Piotr II wydaje drugą encyklikę, *Mysterium iniquitatis*, w której subtelnie wywodzi, że Kościół miał być zaporą przeciw Złu, a dopuścił do przeniknięcia Zła za własne mury. Przestał tedy być Autorytetem. Encyklika kończy się uroczystym ogłoszeniem „dogmatu o klęsce chrześcijaństwa w historii świata”. Piotr II nie czeka na przyjęcie drugiej encykliki, nie zależy mu już na przekonaniu się, czy podzieliła los pierwszej. Wspina się na wewnętrzny szczyt Bazyliki Świętego Piotra i stamtąd spada (nie wiadomo, czy świadomie szukając śmierci, czy potknąwszy się przez nieuwagę) na złącze pionu i ramion Krzyża, na miejsce „fałszywych triumfów, tam gdzie pochowany jest również rybak galilejski”.

Naturalnie nie czuję się ani powołany, ani zdolny do prób wnikięcia w tragiczną, desperacką wizję włoskiego teologa świeckiego. Jeśli mój dziennik ma być (jak kiedyś wspomniałem) „portretem epoki”, to wystarczy tutaj jej odnotowanie na styku Drugiego i Trzeciego Millenium.

25 kwietnia Wciąż przygotowania do podróży praskiej. Przeczytałem tom wspomnień Aleksandra Dubczeka *Hope Dies Last* (podobno lada dzień wyjdzie w Warszawie wersja polska).

Był człowiekiem sympatycznym, uczciwym, prawdomównym i szczerym (jak na polityka „na szczycie”). Ma rację kurator tomu, nazywając go „wyznawcą fabianizmu” i „socjalistą łatwo godzącym swe przekonania z wyniesionymi z domu rodzinnego zasadami etyki luterańskiej”. Należał do skąpej liczebnie kategorii komunistów, których nie zatruł smak władzy (opisany w powieści Ladisława Mńačko), którzy pilnowali reguł zwykłej ludzkiej przyzwoitości w swoim socjalizmie brany bardzo na serio, dalekim od no-menklaturowego, żarłocznego rozwyrzenia. Byli tacy, w mniejszości, ale byli. Rozumieli dosłownie „ludzką twarz”. O żadnym z nich nie powiedziano by w Moskwie, z odcieniem pochwały, *zubastyj bolszewik*. Byli bezzębni, a raczej mieli nadal w dojrzałym wieku mleczone zęby. Na krótką metę oczekiwała ich klęska, chociaż czasem (jak w okresie praskiej wiosny) poprzedzona euforią „planu działania” i „bezkrwawej rewolucji”.

Posiadali cechę typową dla „fabianizmu”, począwszy od samych małżonków Webb, poprzez różne wcielenia Fabian Society: naiwność. Naiwność Dubczeka trwała długo, dopiero po inwazji sowieckiej z sierpnia 1968 „doświadczenia przekonały go ostatecznie”, że w osobach bliskich mu kiedyś towarzyszy sowieckich miał do czynienia z „bandą zbrojczyków”. Klasyczne jest jego zdanie: „Przyznaję, że rozumowałem naiwnie, ale wynikało to z mej dobrej woli i wiary w zasady przyzwoitości”.

Znamienne, że w swoich pamiętnikach Dubczek przemilcza dwa epizody, co do których drobiazgowi historycy praskiej wiosny nie mają wątpliwości. Pierwszym jest wizyta Tity w Pradze tuż przed inwazją, 9 sierpnia. Według Dubczeka, „Tito wyraził pełne poparcie dla naszej działalności”. W rzeczywistości zaraz po przylocie, w pierwszej rozmowie z Dubczekiem, zapytał, kiedy zostanie ogłoszona powszechna mobilizacja. Twarz Dubczeka wyrażała takie zdumienie i zgorszenie, że Tito przyspieszył odlot do Belgradu ze słowami „nie mamy tu już nic do roboty”, skierowanymi do członków jugosłowiańskiej delegacji.

Na dworcu w Czernej nad Cisą, w ostatnim spotkaniu negocjatorów z Moskwy i z Pragi w klubie kolejarzy, doszło do ostrego starcia werbalnego między Breżniewem i Dubczekiem. Dubczek usiłował złagodzić napięcie słowami: „w każdym razie, towarzyszu Breżniew, my do żołnierzy Czerwonej Armii strzelać nie będziemy”. Jest dość prawdopodobne, że w mózgu Breżniewa „zaskoczył” wówczas refleks: „Można wkraczać”.

„Dubczek (u schyłku życia) - pisze kurator książki - ubolewał nad brakiem szacunku i wdzięczności znacznej części społeczeństwa, szczególnie w Czechach, wobec tych, którzy przez wiele lat otwarcie występowali przeciw ówczes38!

nemu reżymowi, gdy większość pozostawała bierna lub kolaborowała. Uważał, że weterani praskiej wiosny zasługują na znacznie więcej szacunku i wdzięczności”. Oto jeden z tematów do opukania w Pradze.

(Dopisane po powrocie z Pragi. Moja rozmowa z czeskim socjologiem z wykształcenia, a „politologiem” z zamiłowania, rzuca na to trochę światła. Jego zdaniem w pamięci społeczeństwa odciska się i pozostaje zazwyczaj walka, z ryzykiem i ofiarami, a nie akcja manewrowa z podchodami i szachowymi zagraniami, z krokami do przodu i do tyłu, z posunięciami dosyć śmiałymi, ale z góry nastawionymi na możliwość ustępstw, cofnięć i kompromisów. A tym była praska wiosna. Pilnowano w niej przykazania: nigdy za daleko, ani jednego otwartego konfliktu, ani jednej kropli krwi. Nie można odmówić Dubczekowi i jego ekipie zręczności i dobrej wiary w tej taktyce, ale podbiłaby społeczeństwo tylko w razie ostatecznej wygranej. W podświadomości Czechów i Słowaków tkwił kompleks kapitulacji. Przywódcy sowieccy świadomie pchali przywódców „nowego kursu” do kapitulacji, zwłaszcza gdy się upewnili, że nie będzie czynnego oporu. Młodzi oficerowie czechosłowaccy to mieli za złe swym przełożonym, z senilnym generałem Svobodą na czele. Gdy wreszcie do kapitulacji doszło, odbyła się w sposób głęboko upokarzający. Dajmy spokój szczegó-łom, wszyscy je znają. Tylko Kriegel odmówił podpisania aktu kapitulacji, ale ten „galicyjski Żyd” (tak nazwał) przez Kosygina) nie liczył się i został na Kremlu szybko odizolowany od reszty towarzyszy. Dopiero na lotnisku! delegacja odlatująca do Pragi zobaczyła jego nieobecności i w szczątkowym odruchu godności zażądała od moskiew-[-skich gospodarzy jego zwolnienia; nie taka to wysoka cena I jako jedyny warunek sine qua non, Kriegel więc został do-1 stawiony do samolotu; pozwolono mu wrócić do Pragi z za- f strzeżeniem (jak się okazało), że porzuci politykę na rzecz dawnego zawodu lekarza. Nikomu w Pradze nie przyszło do głowy zignorować to zastrzeżenie. Szczytem kapitulacyjnego ponizenia była przyjęta przez Dubczeka nominacja na ambasadora w Turcji. Zabawił w Ankarze krótko jako dyplomata, ale wystarczająco długo jako smakowity kąsek dla fotografów z gazet całego świata. Zaczął odważnie praską wiosnę, a zamknął ją w roli pokazowego gwaranta „normalizacji”.

Mój rozmówca urwał. Pomilczał chwilę i zapytał, co z tego miałoby szansę przejść do tradycji i legendy otoczone uczuciami „szacunku i wdzięczności”. Mało, bardzo mało. A aksamitna rewolucja? Zaśmiał się. To co innego. Młodzi na ogół ludzie, bez obciążeń „ideologicznych”, wyleczeni z „socjalizmu o ludzkiej twarzy”, przepędzili lokalną filię „bandy zbójców”, kiedy centrala bandycka nie była już zdolna do udzielenia bratniej pomocy. „Dubczeka wyciągnięto z szafy, otrzepano z naftaliny i zafundowano nam fałszywe ogniwo między Kartą 77 i praską wiosną”).

Krótką podróż do Pragi, 30 kwietnia-7 maja Na lotnisku ambasador RP Jacek Baluch, Zbigniew Ma-chej, ciekawy poeta z Cieszyna i kierownik Instytutu Polskiego w Pradze, świetna tłumaczka (także moich książek) Helena Stachova; i Czech pochodzenia bułgarskiego Stoi-łow, właściciel i dyrektor wydawnictwa Torst, z egzemplarzami autorskimi Dziennika pisanego nocą {Inny Świat wyszedł wcześniej nakładem czasopisma „Stfedni Evropa”).

Minister Skubiszewski, z braku zawodowej kadry dyplomatycznej, bardzo długo szukał ambasadorów wśród znawców krajów przeznaczenia. Na przykład ambasadę w Rzymie objął Bolesław Michałek, ambasada w Wiedniu Przypadła

Władysławowi Bartoszewskiemu (co prawda należało mu się Bonn, ale późniejsza nominacja ministerialna rozwiązała te żale). Do Pragi przyjechał Jacek Baluch, bohemista z UJ i niegdyś student Uniwersytetu Karola, i szybko zdobył sobie wysoką pozycję w korpusie dyplomatycznym. Było dla mnie ogromną przyjemnością, nie mówiąc już o pożytku, słuchać jego objaśnień na wszelkie możliwe „tematy czeskie”. Niestety, zdaje się, że wkrótce zakończy swoją „przygodę dyplomatyczną” i wróci na UJ.

Zostawiliśmy bagaże w mieszkaniu ofiarowanym nam uprzejmie na tydzień pobytu przez Instytut Polski i pojechaliśmy na Prazsky Hrad, na Zamek Praski. Ogromny kompleks (niektórzy zestawiają go z Luwrem), architektonicznie rozrośnięty w sposób wyborny i organiczny, zrobił na mnie natychmiast osobliwe wrażenie: że jest i zarazem nie jest wyłączony z miasta, stanowi jego dzielnicę „udzielną”

1 równocześnie wspaniałe zwieńczenie. Było ciepłe popołudnie niedzielne, spacerowiczów w grupkach niezbyt dużo, co jakiś czas przechodziły oddziały straży zamkowej w mundurach zaprojektowanych przez przyjaciela Havla. Przypomnił mi się Pałac Królewski w Kopenhadze, obraz instytucjonalnego ładu i spokoju, tutaj przywrócony jakże niedawno. I już, na oko przynajmniej, solidnie zakorzeniony.

Złota Uliczka - dawna siedziba alchemików, chiroman-tów i czarowników - bajkowa trochę w grze malowanych domków, zawiera od razu u wejścia informację na tabliczce, że pracowała tu kilka miesięcy siostra Kafki; i że jej brat lubił ją odwiedzać. (Zaczyna się więc praska kalkomania na użytek turystów, sztucznie rozdęta, jeśli się wie o samotności pisarza w rodzinnym mieście, o obojętnym stosunku Czechów do autora piszącego - o zgrozo! - po niemiecku). Ale „bajkowość” Złotej Uliczki muszę zapamiętać.

Przed zmierzchem poszliśmy na most Karola, zatłoczony i podobny swoją rolą i swoim wystrojem do Ponte Vecchio we Florencji. Łazikowaliśmy na Kampie i brzegiem Weł-tawy, nieraz miałem uczucie, że ocieram się o niedzielnych mieszczan w kieleckim ogrodzie miejskim nad okrągłym stawem i w mrocznych alejkach. Tak jest wciąż żywa i świeża nasza „proustowska” błona pamięci.

Później, w powietrzu szarzącym o zmroku, ambasador Baluch zawiózł nas w miejsce, gdzie w epoce „kultu jednostki” stał wielopiętrowy posąg Wodza Ludzkości, tak ustawiony, by towarzysz Stalin mógł przytknąć Wielkie Oko do każdej w Pradze szybki okiennej. Zostało po nim rusztowanie; pomnik zwalono w roku 1962. Przechadzaliśmy się dokoła z ambasadorem w dwójkę, rozmawialiśmy o sytuacji w Polsce, miło było słyszeć z jego ust poglądy i oceny zbliżone do moich.

Pierwszomajowy dzień deszczowy, ponury, nie na wycieczki, a jednak wybraliśmy się z ambasadorem za miasto. Pusto było w porannej Pradze („niech się święci...”), pusto na drogach i w mijanych miasteczkach i wioskach, jakby ludzie zamknęli się w domach (częściowo w „chatach” należących do stołecznych amatorów spędzania dni wolnych od pracy na łonie natury). Najpierw Lany, wieś, w której znajduje się rezydencja wypoczynkowa Prezydenta Republiki. Wiejski cmentarz, duży grób Masaryków, bez żadnych nagrobków, porośnięty wysoką

trawą; leżą obok siebie Tomasz, jego żona, Jan i jego siostra. Wzruszająca jest ta skromność, trudno sobie wyobrazić podobny grób naszego Naczelnika Państwa. Czy to prawda - pytam ambasadora - że sławetny ksiądz Cybula, który tu był z Wałęsą, wahał się, czy może zmówić modlitwę za spokój duszy rodziny Masaryków, nie mając pewności, czy byli „prawdziwymi chrześcijanami”. Ambasador nie dosłyszał najwyraźniej mojego pytania, a ponieważ mżawka zamieniła się w deszcz, poszliśmy szybko do samochodu.

*Dwa zamki, Kfivoklat i Karlštejn. Oba zamknięte w święto pierwszomajowe. Karlštejn, położony wysoko, zachęcił w dole do założenia osady turystycznej, pełnej dziś Czechów i cudzoziemców na ulicach i w polnych szopach przerobionych na sklepy i bazy. A może Karlštejn jest pierwowzorem Kafkowskiego „Zamku”, z dołu wydaje się taki daleki 25 ~ Dziennik... (1993-1996) 385*

i niedosiężny, tak obwarowany, a przez to i głuchoniemy, zagadkowy? Może dzisiejszy bazar w dole był kiedyś osiedlem z tawerną? Nazajutrz, w Pradze, napomknąłem o tym w rozmowie z Heleną Stachovą. „Nie - odparła stanowczo - Karlštejn to zamek z bajki”. Ale we mnie zachodzi dość dziwny proces. Z jednej strony, schodząc w głąb Pragi, staję często przed Kafką mniej abstrakcyjnym, bardziej realnym, któregoś z następnych dni wydreptałem nawet szlak, którym przez most Karola w stronę Strahova dwaj oprawcy w cylindrach prowadzili na egzekucję Józefa K. z Procesu; z drugiej strony, nie wiem, jakim cudem pomysły Kafki wydały mi się nagle rodem z materii bajkowej (lubił zresztą czytać bajki). Ten niezwykle melanz realistyczno-bajkowy jest zapewne jednym z sekretów jego sztuki; raz zapalającą się, raz gasnącą iskrą, która na okamgnienie oświetla inny wymiar.

Wypogodziło się po południu, na Rynku Starego Miasta z ratuszem i gotyckim kościołem Tyńskim uchwyciłem cechę chyba najważniejszą tego cudownego, olśniewającego miasta. Mam na myśli współbrzmienie stylów architektonicznych, naturalne sąsiedztwo (spotykane w średnich miastach włoskich) budowli kilku stuleci. Rynkowi, oblepionemu tłumem (przechodniów i osób siedzących na ławkach, na krzesłach w pobliżu pomnika Husa), nadaje to chwilami charakter sceny w ciągłym ruchu, placu skupiającego jak soczewka życie całej Pragi. A owo współbrzmienie stylów podkreśla organiczność rozwoju miasta (przynajmniej w centrum).

Przed powrotem do domu oglądaliśmy Pragę z góry, z Hradczan. Kto widział iluminowany nocą Paryż, ten wie, czym jest dla miasta pomysłowa nocna iluminacja.

Niekiedy, podczas moich miesięcznych paryskich pobytów w „Kulturze”, zachodziłem do redakcji „Svedectvi”, pisma uważanego za skromniejszy czeski odpowiednik polskiego miesięcznika. Albo też widywałem redaktora Pavla Tigrida na poczęstunkach u Maksimowa. Dobrze pamiętam wizyty w redakcji „Svedectvi”: małe i ciasne mieszkanko, żona redaktora w kuchence, zajęta nie gotowaniem, lecz odbijaniem na cyklostylu, Tigrid tryskający zawsze dobrym humorem i optymizmem. Ostatni raz w zatłoczonym pokoiku wspominaliśmy dziennikarza Lederera.



Tigrid zaprosił nas na uroczysty obiad w restauracji na Kampie, tuż nad Wełtawą, koło starego młyna. Do zaproszonych należeli m.in. ambasador Baluch, Helena Sta-chova, Zbigniew Machej. Wzruszył mnie toast Tigrida: „Czy mogłem być w najśmielszych snach emigranta gościć w Pradze mojego polskiego przyjaciela z «Kultury»?” „I to jako minister kultury w rządzie czeskim”, wtrąciłem. Wzruszenie obróciło się w śmiech. Trudno sobie wyobrazić Tigrida bez śmiechu, żartów, wesołości.

Poważniał, powtarzając swoją ulubioną widocznie myśl: „Pamięć historyczna nie oznacza sprawiedliwości historycznej; ale jest bezwzględny warunkiem normalnego życia społecznego i narodowego”. Rozumiałem, że idzie mu o czeską „lustrację”, kulawą zapewne, ale ważną nawet w postaci bladawej ustawy z lipca 1993. Jak było we Włoszech w prawach „epuracyjnych” po upadku faszyzmu, które pogrobowców reżymu zamykały w kwarantannie politycznej (trwała pół wieku), nie wzbraniając im udziału w parlamencie. Jak nie było, i przypuszczalnie już nie będzie, w Polsce, gdzie z postkomunizmu zrobiono szachrajskie targowisko polityczne, żeglugę bez busoli.

Zbigniew Machej, dobrze zorientowany w sytuacji czeskiej, próbował ostudzić nieco moje uznanie. Być może, miał sporo racji, nie przestanę się jednak odnosić pozytywnie do czeskiego stylu przejścia z komunizmu do demokracji - z konstytucją, ustawą o obalonym ustroju, mądrym prezydentem, słabym Lewym Frontem (czeskie SLD), bez obłudy alternance democratique. Na spotkaniu z czytelnikami w Instytucie Polskim czeski słuchacz, po mojej wypowiedzi w tym duchu, nachylił się podobno do swojego polskiego sąsiada i szepnął: „Marzyciel!” No, ale ja wiem więcej od niego o m o i m kraju, więc moje „marzycielstwo” nie wisi w próżni.

Rzadko słyszy się o Grupie Wyszehradzkiej, jakby nie istniała dla opinii publicznej. Podejrzewam, że powstała po to, by każdy jej członek liczył, że to on właśnie zostanie w końcu dzięki postępom w nauce wybrany i promowany jako prymus... Moje podejrzenie dotyczy na pewno Klausea.

Zapomniałem dorzucić w nawiasie, że Instytut Polski znajduje się w gmachu dawnej praskiej filii Assicurazioni Generali z Triestu, w której blisko rok pracował Kafka. Więc może czytałem krótkie opowiadanie w miejscu, gdzie niegdyś wypełniał swoje urzędnicze papierki.

Józefów, dawna dzielnica żydowska. W jej obrębie Ži-dovske Museum, cztery synagogi i stary cmentarz żydowski, z braku miejsca zamknięty dla pogrzebów od trzystu lat. Czysto muzealny charakter ma jedna synagoga, podobna do kazimierzowskiej w Krakowie, z wyrytymi w kamiennych ścianach spisami zamordowanych Żydów. A stary cmentarz! Nagrobki jakby wypchnięte z głębi ziemi, pochylone ku sobie, w górze nieustanny złowieszczy krzyk kruków i wron. Zdają się nie wydalać poza mury cmentarza, kołują i kraczą tylko nad grobami. Wszyscy zwiedzający przystają na chwilę obok grobu rabina Lówa, twórcy Golema.

Postać z szesnastowiecznej legendy praskiej jest w istocie prorocstwem, którego prawdziwy sens pozostaje wciąż nie w pełni uchwytny. Ulepiony z gliny przez rabina Lówa dla zastraszenia Prażan napastujących mieszkańców getta, Golem

o ludzkich kształtach stawał się z biegiem czasu symboliczną zapowiedzią epoki, w której magiczna formuła pod językiem bałwana zdolna jest ożywić i wprawić w ruch nagą, ślepą, niszczycielską Siłę. Magiczna formuła kojarzy się obecnie ze współczesnymi „ideologiami”. Z tym że nie tak łatwo już dziś, w XX wieku, jak to potrafił zrobić cudotwórca żydowski w XVII stuleciu, obezwładnić i w proch obrócić glinianego potwora, wyrwawszy mu spod języka znak i iskrę zaklęcia. Golem naszych czasów siał długo grozę i śmierć milionów, zanim udało się wreszcie ugodzić go śmiertelnie i zmienić w bezkształtne, martwe usypisko, kto wie zresztą, czy martwe na zawsze.

O proroczym aspekcie Golema milczą broszury, sprzedawane w przyzwoitym kiosku.

Obiad w okazałej ambasadzie francuskiej, na zaproszenie ambasadora i jego włoskiej żony (siostrzenicy mojej żony). Zaproszono także ambasadora Balucha i Helenę Stachową.

Rozmowy przy stole i potem na tarasie ocierały się ciągle, z nielicznymi interludiami, o nadchodzącą wizytę papieską. Admiracja dla Jana Pawła II nie przeszkadzała znającym Czechy w wypowiedaniu na głos pewnych ukrytych obaw. Czy stadion na Strahovie, o pojemności dwustu tysięcy osób, nie okaże się za duży, nie odsłoni pustych plam podczas powitania? Rzecz w rosnącym indyferentyzmie religijnym Czechów, który wyraża się (według Macheja) liczbą szczęśliwych zaledwie procent ludności Pragi obecnych na nabożeństwach niedzielnych. Czy kanonizacja bł. Jana Sarkandra, gorliwego księdza kontrreformacyjnego, zamordowanego przez czeskich protestantów w czasie wojny trzydziestoletniej, nie zostanie uznana, jak to już w Polsce zapowiedział biskup Kościoła ewangelicko-augsburskiego Szarek, za pomysł „drażliwy” i „nieszczęśliwy”?

Po obiedzie pojechaliśmy na Zamek, załatwiono nam pozwolenie zajrzenia do sal niedostępnych na ogół dla turystów. Krążąc i podziwiając (jakiż widok Pragi z „okna defenestracyjnego!”), szczególnie Salę Władysławowską, naprawdę piękną, rozmiarami dostosowaną do turniejów rycerskich, znaleźliśmy się w pobliżu gabinetu Prezydenta. Pani Fialkova, niegdyś ambasador czeski w Warszawie, a teraz sekretarka Havla, przebąkiwała o możliwości zetknięcia z nim (czytał jakoby czy czyta mój dziennik po czesku). Uniemożliwiła to procesja delegacji do Prezydenta w dniu rocznicy (5 maja) Powstania Praskiego. Za to miła pani Fialkova zaprosiła nas na kawę przy okrągłym stoliku „historycznym”, gdzie Havel, Wałęsa i Antall obradowali w okresie rozwiązywania Paktu Warszawskiego.

(Dopisane 21 maja. Obawy wyrażane w ambasadzie francuskiej w Pradze znalazły potwierdzenie. Wystarczy rzucić okiem na tytuły w wielkich dziennikach. „Praga ignoruje papieża”. „Praga obojętna wobec papieża”. „Kanonizacja rozpętała bojkot”. „Wojna protestancka przeciw papieżowi”. Makabryczny reportaż z Ołomuńca, pojedynki na narzędzia tortur. W kościele katolickim wystawiono narzędzia, którymi torturowany był Jan Sarkander. Kościół protestancki odpowiedział narzędziami, którymi protestantów torturowali katolicy.

Prawdopodobnie dziennikarskie zmyślenie, dość jednak znamienne. Chciałoby się niemal krzyknąć: *se non e vero...*

Jan Paweł II, w swoim najlepszym stylu, poprosił czeskich protestantów o „przebaczenie krzywd wyrządzonych im w przeszłości”. Byłoby to wymowniejsze jako otwarcie, a nie zamknięcie podróży).

Podróżnicze doświadczenie nauczyło mnie, że każde piękne miasto posiada swój zakątek, który jest jak gdyby jego syntezą i małym zwierciadłem. W Pradze kieruje się zazwyczaj uwagę na Zamek, most Karola, Złotą Uliczkę czy plac Ratuszowy. Ale na przeszkodzie staje ich wyjątkowość, spektakularność. „Zakątek” musi być skrzyżowaniem piękna i prostoty, odpryskiem miasta na uboczu. 6 maja, w przededniu odlotu do Rzymu, straciłem już nadzieję jego odnalezienia. Miałem jednak szczęście. Za radą córki pojechaliśmy rano do klasztoru Świętej Agnieszki.

Klasztor klarysek założyła Agnieszka, siostra Wacława I. Zbudowano go w pierwszej połowie XIII wieku, w stylu gotyckim. Uległ kasacie w XVIII wieku, ryzykował całkowitą ruinę, ocalono go w naszym stuleciu. Restauracja jest majstersztykiem. Kaplica jak nietknięta, korytarze z płytami grobowymi króla i świętej, w ścianach uderzające płaskorzeźby, na piętrze galeria malarska, kwadrat wewnętrznego ogrodu. Agnieszkę kanonizowano dopiero w roku 1989, krótko przed aksamitną rewolucją.

Sam klasztor nie wystarczy jako ulubiony „zakątek”, źródłem uroku są sąsiednie uliczki. Wąskie, malownicze, ciche, żywe mimo ciszy, wyłoczone słońcem, zawieszane między sacrum i profanum. Któregoś dnia pojawiają się tu malarze ze sztalugami i Święta Agnieszka zamieni się w praski Montmartre.

W Pradze mieszka teraz stale dwadzieścia tysięcy młodych Amerykanów i Amerykanek. Żyją psim swędem, uzupełniając drobne i przypadkowe zarobki przesyłkami ze Stanów. Najłatwiej rozpoznać ich (za dnia) po butlach wody mineralnej pod pachą. Mają radosne, zadowolone twarze. Czyżby Praga przejęła rolę amerykańskiego Paryża po pierwszej wojnie światowej, „ruchomego święta” opisanego przez Hemingwaya? Zobaczmy po przyszłych książkach i obrazach obecnych włóczykijów. Ale podniecające jest samo przypuszczenie, że w grupkach amerykańskich najeźdźców (bo poruszają się przeważnie grupkami) dojrzewa praski Scott Fitzgerald.

Schodziłem z klasztornego wzniesienia w ostrym blasku południa, powtarzając w duchu westchnienie: „Wróć jeszcze kiedyś do Pragi?”

Neapol, 25 maja W „Tygodniku Powszechnym” ukazała się w połowie maja nota pod groźnym tytułem Insynuacja. Napisał ją senator Krzysztof Kozłowski, minister spraw wewnętrznych w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, polemizując zirytowanym tonem z zapisem w moim dzienniku, krytycznym wobec ministra Milczanowskiego. Odpowiedziałem w numerze z tego tygodnia możliwie spokojnym tonem, że były minister i senator nie potrafi czytać cudzych tekstów albo też nie jest w stanie zapanować nad swoimi napiętymi nerwami. Tylko część mojego zapisu dotyczyła następcy senatora na ministerialnym fotelu. Celowo nie wnikałem głębiej w meritum owej Insynuacji; wspominałem za to jej autora, gdy rok temu w

Krakowie, na prośzonej kolacji, usiłował biesiadników przekonać, tokując bez przerwy, że powinni zmienić zdanie o generale Kiszczaku, jeśli jest ono „przypadkiem” niezbyt pochlebne. Powstał nowy związek zawodowy (afiliowany do OPZZ) ministrów spraw wewnętrznych?

Dziś przyszedł list z Warszawy od mojego przyjaciela, którego bardzo wysoko cenię; i do którego mam zaufanie. Píše (przed przeczytaniem mojej odpowiedzi): „W Insynuacji Kozłowskiego odnajdziesz w stanie krystalicznym mentalność i moralność twórców «grubej kreski». Kozłowski określa tajnych współpracowników SB jako «mających luźny związek ze sprawą (Pyjasa)». Ten luźny związek dwadzieścia lat temu polegał na zamordowaniu Pyjasa, a dzisiaj z kolei polega na niemożności ujawnienia nazwisk morderców i ich mocodawców. Wielka szkoda, że nie nagrałem na kasecie rozmowy prof. Strzembosza i mec. Bednarkie-wicza, którzy mówili o przyczynach nieukarania nikogo za zbrodnie popełnione w PRL, m.in. o bezwstydnym przewlekaniu tych spraw przez niektórych sędziów, np. w wypadku zabitych górników w kopalni Wujek. Ale Kozłowski jak lew broni ich dobrego imienia”.

Nie na tym koniec - ciągnie mój korespondent. - Kto został szefem zespołu doradców Oleksego? Major SB Andrzej Anklewicz, który w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych miał wielkie i nadzwyczajne sukcesy w inwigilowaniu i tropieniu opozycji. Co na to senator Kozłowski? Będę go zawsze bronił (mówi o majorze), to wspomniały fachowiec, zweryfikowaliśmy go pozytywnie (czyli zostawiliśmy w SB po 1989) ze względu na jego zasługi”. Zasługi dla kogo?

Może już czas, żeby się nad tym wszystkim zastanowić, zamiast połykać jak głupia gęś tuczna coraz to nowe kluski ze znakiem „grubej kreski”. Nawet jeśli „ludzie mający luźny związek ze sprawą Pyjasa” oraz im podobni staną w końcu przed sądem, szkoda została już dokonana. Nawet jeśli major Anklewicz i jego podwładny Andrzej Dra-wicz („doradca premiera ds. problematyki wschodniej”) zdołają przez jakiś czas szeptać na ucho Oleksemu swoje „fachowe” rady, wśród ludzi rozumnych pozostanie uczucie, że kraj brnie w złym kierunku, że „coś pękło, coś się skończyło” (używając zwrotu Jacka Żakowskiego).

I pomyśleć: Krzysztof Kozłowski, autor Obrazu tygodnia, drugiej obok felietonu Kisiela kolumny „Tygodnika Powszechnego”.

28 maja Pamiętam rozmowę w cztery oczy z Tadeuszem Mazowieckim w czasie jego pierwszej wizyty zagranicznej w Rzymie, po nominacji na premiera. Ledwie skończyło się spotkanie w ambasadzie z polskimi mieszkańcami Włoch (gdzie znakomicie przemówił), zaprosił mnie do ambasadzkiego ogrodu. Na osobności, przez nikogo nie niepokojeni, mogliśmy pół godzinki pogwarzyć.

„Dlaczego - zapytałem między innymi - mianował pan Drawicza szefem telewizji, zamiast posłać go natychmiast do Moskwy na stanowisko attache kulturalnego? Przecież nikt tak jak Drawicz nie jest równie dobrze zadomowiony w moskiewskim środowisku kulturalnym”. Okazało się z oc powiedzi premiera, że Drawicz był dziewiątym kandyda tem na szefa telewizji, ośmiu przed nim odmówiło. Tema automatycznie upadł.

Jeszcze dziś Drawicz byłby idealnym attache kulturalnym w Moskwie. Ale doradcą premiera ds. problematyk wschodniej? Pierwszy powinien był opanować golowokruże nije ot uspiewa po usłyszaniu tej propozycji. Więc to Drawicz ma teraz pomagać w wytyczaniu polityki Polski wobec Rosji? Delikatny uśmiech Geremka w rozmowie z dziennikarzami „Tygodnika Powszechnego” jest najlepszą odpowiedzią na to pytanie. Ale Oleksy (a także, niestety, Barł toszewski) mają widocznie słabe poczucie humoru.

Przeczytałem właśnie kilka wypowiedzi Drawicza w nowej roli. Nie wychodzi w nich poza pocziwe banały, powinniśmy być wobec Rosji „racjonalni” i „czujni strachu” etc. Trudno o mglistą „racjonalność” i „czujność bez strachu” wobec perspektywy zwycięstwa w wyborach Żyrinowskiego, Ziuganowa i Ruckiego; i wobec postępów delirium tremens Jelcyna w męskim uścisku Graczowa. długim Dekalogu polsko-rosyjskim Drawicza i Popowskiego nie ma ani słowa o naszych wschodnich sąsiadach oddzielających nas od Rosji; oraz o naszych prawdziwych sprzymierzeńcach w Rosji. No, ale Drawicz uważa „ponadpartyjny sojusz ludzi rozsądnych (ach, jak partyjni, dawni lub obecni, lubią ostatnio ponadpartyjność!) za najbardziej właściwy rodzaj działalności politycznej w Polsce”. Czyli na całe szczęście będzie w praktyce „doradcą premiera ds. problematyki księżycowej”.

i 31 maja W maratonie (blisko 700 stron!) rozmów „między Panem (ksiądz Tischner) a Plebanem (Adam Michnik)”, z udziałem sprawnego moderatora Jacka Żakowskiego, jestem prawie primadonną jednego rozdziału. Zatytułowany on jest Elastyczny fundamentalizm. Na zakończenie zapisu pozwolę sobie zaproponować lepszy tytuł, ale chwilowo dam się pochłonać rozkoszom primadonny w świetle kinkietów. Pomijam pierwszą część rozdziału, w której Pan (ksiądz Tischner) roztacza przed Plebanem (Michnikiem) kuszące zestawienia z Heglem i Sokratesem oraz stara się interpretować, w duchu usprawiedliwienia i rozgrzeszenia, potknięcia czy omyłki w jego myśleniu i działaniu. Pędzę próżny do miejsca, w którym pojawia się na scenie ja. Skąd ten honor? Stąd, że zdaniem Plebana „postawiłem pod pręgierzem” Wałęsę za przemilczenie nazwiska Sacharowa w podziękowaniu za Nagrodę Nobla. „Jest bardzo wygodnie siedzieć w Neapolu i wystawiać stopnie ze sprawowania ludziom, którzy próbują przejść ponad przepaścią po naprawdę bardzo cienkiej kładce”. Dajmy spokój temu „wygodnemu siedzeniu w Neapolu”, bo tu „cios” jest nie tylko głupi, ale wręcz wulgarny, zważywszy, że moje „wygodne siedzenie w Neapolu” nieraz w przeszłości przynosiło Michnikowi i jego kolegom pewien pożytek. Przejdźmy do sedna sprawy. Wyobraźmy sobie, że w przemówieniu Wałęsy (odczytanym przez żonę) pojawiło się zdanie: „Jestem dumny, że otrzymuję nagrodę, której laureatem był profesor Andriej Sacharow”. I co się dzieje? Pęka „cienka kładka”, Wałęsa spada w przepaść, generał Jaruzelski (zacierając ręce) piętnuje ze świętym oburzeniem mieszanie się przywódcy „Solidarności” do wewnętrznych spraw naszego potężnego (i bratniego) sąsiada, Geremek i Mazowiecki (gdyż to oni od początku byli przeciwni wymienianiu Sacharowa w imię „ponawiania za wszelką cenę oferty dialogu w języku dla komunistów możliwym do przyjęcia”) zostają zawiadomieni poufnymi kanałami, że

w tej sytuacji o dialogu nie może już być nawet mowy. To jest jeden scenariusz, „etyka” króluje w nim ze szkodą dla „taktyki”. W drugim „taktyka” bierze górę nad „etyką”, elastyczny taktyk Wałęsa posuwa się ostrożnie kroczyk po kroczyku „po naprawdę cienkiej kładce ponad przepaścią” do upragnionego celu. I I dociera doń w końcu. W tym samym plus minus czasie I nieelastyczny Sacharow, pod rozwiniętym sztandarem „ety-1 ki”, wraca triumfalnie z zesłania do Moskwy i staje na czele I rosyjskiej opozycji. Gdyby nie był człowiekiem o anielskim charakterze, mógłby powiedzieć, co myślał - siedząc niezbyt wygodnie w mieście Górkki - o ozdobionej laurem I głowie Wałęsy...

Rozdział o „elastycznym fundamentalizmie” kończy się I opowieścią Michnika o spotkaniu z ukrywającym się Bujakiem. „Ty, Zbyszek - mówi - musisz siedzieć pod ziemią, ty musisz być jak skała, bo jesteś symbolem”. Czyli dzielny Bujak „skała i symbol”, a biedny Wałęsa „kładka nad skalną przepaścią” daleka od symbolu. Nazywa się to „podziałem ról”, a jest w istocie bezustannym zaprzeczaniem rze - J czom, powiedzianym za ledwie parę stron wcześniej. Celuje w tym Michnik, ksiądz profesor usiłuje ratować resztki logiki, co go często skłania do apelu, by „skończyć dyskusję”.

Podobno pewien polski psychiatra, wezwany przez sąd do postawienia diagnozy o stanie umysłowym podsądnego w wytoczonym mu procesie, orzekł po kilku badaniach: „Pomroczność jasna”. Orzeczenie uznano za dość enigmatyczne, ja natomiast uważam za nadzwyczaj trafne i wpisuję je niniejszym na listę nowych polskich cech narodowych; oraz doradzam Panu i Plebanowi jako lepszy tytuł rozdziału o „elastycznym fundamentalizmie”.

Hamlet piemoncki Telefon od piemonckich przyjaciół z miasteczka Susa koło granicy włosko-francuskiej zawierał wiadomość o śmierci Teresy Maldorno w wieku 95 lat. Zmarła w Castel Piemontese 17 kwietnia, w drugi dzień Wielkiejnocy, pogrzeb wyznaczono na 19 kwietnia po mszy żałobnej w katedrze San Giusto.

Przyjaciele pytali - pamiętając, jak bardzo pasjonowała mnie w latach pięćdziesiątych, gdy bywałem na wakacjach w Pollone, sprawa „Hamleta piemonckiego”, Amleto piemontese - czy przyjadę na pogrzeb. Akurat w telewizyjnym dzienniku wieczornym pokazano „piemoncką wiosnę na biało”, czyli cały rejon pod grubą warstwą śniegu. Co automatycznie przesądzało sprawę na „nie”. Pojechałbym, gdyby tegoroczna wiosna była ciepła i słoneczna? Nie umiałem odpowiedzieć na zadane mi w telefonie pytanie. Upłynęło tyle lat, wszystko wyblakło, zmarłą staruszkę znałem wyłącznie z widzenia, a jej syn Bruno, z którym spotykałem się i rozmawiałem w końcowej fazie „szekspirowskiej afery” (w przerwach długiego procesu), mieszkał od pewnego czasu w Castel Piemontese jak pustelnik, prawie nie pokazywał się ludziom na oczy i nikogo w swoim domu nie przyjmował. To prawda, że moi znajomi często wspominali matkę i syna w rozmowach telefonicznych, ale nie umiałem wskrzesić w sobie dawnego zainteresowania całą sprawą.

Nazajutrz w turyńskim dzienniku ukazał się krótki nekrolog: imię i nazwisko zmarłej, jej wiek, bez daty śmierci i pogrzebu, podpis Bruno Maldorno. Za to całą

„rozkładówkę” gazety zajmował ilustrowany artykuł, wyraźnie przygotowany zawczasu w redakcji. Tytuł brzmiał po włosku: E morta la madre dell'Amleto piemontese. Podtytuł: Se ne va, quasi centenaria, la Gertrude scespiriana. „Umarła matka Hamleta piemonckiego. Odchodzi, prawie stuletnia szekspirowska Gertruda”. Zbity, gęsty tekst ozdobiono czterema fotografiami: Teresy Maldorno, jej dwóch mężów i jej syna.

Kiedy opowiadający staje przed problemem, od czego zacząć swoje opowiadanie, należy mu dać dobrą radę angielską: Begin from the beginning, zacznij od początku. Na ogół jednak nie jest jasne, co można uważać za początek. Początek całej opowiadanej historii w jej rzeczywistym przebiegu? Czy początek wejścia w nią narratora przywiązanego do narracji w pierwszej osobie (a ja, z różnych względów, rzadko zdradzam pierwszą osobę)? W moim wypadku w grę wchodzi drugie rozwiązanie.

Lato 1956 spędzałem w Pollone, piemonckiej wiosce (dziś już sporym miasteczku) u stóp Przedalp. U progu czerwca przyjechała do mojej żony para jej przyjaciół z Susy, przyjaciół wczesnej młodości, kiedy letnie wakacje spędzała z rodziną w Meana di Susa. Dość znany i ceniony pisarz Volpone pochodził z Umbrii, dokładnie z cudownego Gubbio, ale ożenił się z nauczycielką szkoły średniej w Susie. Nie mieli dzieci, co zazwyczaj podsyca skłonność do życia towarzyskiego. Ponieważ Mirella (nauczycielka) odziedziczyła po rodzicach ładną willę na przedmieściach Susy, Goffredo (pisarz) przeniósł się po ślubie do żony, wychodząc ze słusznego założenia, że pisać można wszędzie (jeżeli ma się coś do powiedzenia). Moja żona była najpierw przyjaciółką Mirelli, a potem polubiła także jej męża. Przeniesienie się na lato rodziny mojej żony z Meana di Susa do Pollone nie rozluźniło tej przyjaźni, która rozwijała się i umacniała to w jednej, to w drugiej miejscowości. Czerwiec 1956, w rok blisko po osiedleniu się w Neapolu, był moim zapoznaniem się z Pollone; natychmiastowa wizyta państwa Volpone podyktowana była chęcią zapoznania się z nowym mężem ich przyjaciółki.

Zaraz po ich porannym przyjeździe poszliśmy w czwórkę na długi spacer do Bagneri. Zapropozowała go moja żona, znawczyni okolic Pollone.

Za sąsiednim Sordevolo, które co dwa lata przygotowuje widowisko pasyjne w stylu Oberammergau, otwiera się rozległa i głęboka dolina, zarośnięta na dnie zdziczałymi krzakami i chwastami; nie ośmielają się tam zejść nawet myśliwi w sezonie łowieckim. Na przeciwległym zboczu doliny widać dość niewyraźnie z daleka wieżyczkę kościelną i obok niej kilka domów. To jest Bagneri, trzy godziny marszruty zaniedbaną, słabo wydeptaną ścieżką. Mówiło się o nim nllaggio morto, martwa wieś, jedyna i osobliwa atrakcja dla letników i wycieczkowiczów w tym zakątku Piemontu.

W samej rzeczy, martwa wieś robiła wrażenie, w którym poza smutkiem i przygnębieniem rozpościerał się szczególnie lęk pustki, jak istnieje u pewnych osób lęk przestrzeni. Wszyscy mężczyźni, z wyjątkiem bardzo już starych, uciekli z Bagneri na „tamtą stronę” doliny, przeważnie do uprzemysłowionej Bielli, a czasem i dalej. Wśród siedmiu zbudowanych w jednym rzędzie domów cztery były próżne i

zapuszczone w przejmujący sposób. W pozostałych trzech, o trochę tylko porządniejszym wyglądzie, który stanowił nędzny dowód zamieszkania, gnieździło się około dziesięciu starych kobiet i trzech zupełnie zniedołężniałych starców. Nie było obór i bydła, ani też skrawka uprawnej ziemi. Z czego żyli ostatni mieszkańcy Bagneri? Drzwi zrujnowanego kościółka zaryglowano deską, zapewne ksiądz z Sordevolo zjawiał się tu (jeżeli się zjawiał) od wielkiego dzwonu; wątpliwe, czy chrzczył dzieci i grzebał umarłych. Za kościołem, aż do lekkiego wzniesienia terenu, znajdował się cmentarz; wszystkie nazwiska na nagrobkach i drewnianych krzyżach były jednobrzmiące. Bagneri stało się więc dogorywającą rodziną, gdzie niegdyś dzieci rodziły się jako płód rozmaitych form kazirodztwa.

Usiedliśmy na długiej i wąskiej ławce, pod dróżką czy uliczką wzdłuż domów. W pewnej od nas odległości siedziały dwie kobiety, na oko po siedemdziesiątce, choć okazało się, że po pięćdziesiątce, w łachmanach, straszliwie wychudzone, brudne i rozczochrane. Bez słowa i bez ruchu patrzyły na „tamtą stronę”. Nie, nie z wyrazem pragnienia, raczej z wyrazem ledwie podtrzymywanego życia. Nigdy, być może, nie widziałem oczu tak bezbarwnych, pustych, wydrażonych; nawet za kratami więzienia i za drutami obozu.

Sądziłem zawsze, że w naszym przejściu przez życie mamy do czynienia z pasmem następujących po sobie, szybko lub w czasie celowo przez los spowolnionym, bardzo różnych klimatów duchowych; i że to one nadają takie czy inne zabarwienie naszym przeżyciom i doświadczeniom. Wracając ścieżką na zboczu doliny do Sordevolo, milczeliśmy z takim uporem, jakby ktoś wydał nam zakaz posługiwania się ludzką mową. Jestem pewien, że tkwiliśmy w klimacie Bagneri, w najtrudniejszym dla ludzi klimacie otarcia się o jedną z ostatecznych granic życia. Mimo zmęczenia, szliśmy prędkim krokiem, rzekłbyś: w odruchu i pod ciągłym naciskiem ucieczki. Uciekaliśmy przed wyglądem martwej wsi i przed wzrokiem jej dwóch niedoumarłych mieszkańek. Ocknęliśmy się w szynku w Sordevolo, przed czajnikiem gorącej herbaty i przed butelką miejscowej grappy.

Tam Goffredo „zaczął od początku” opowieść o Hamlecie piemonckim. Miało to jakiś podskórny związek z naszym spacerem do Bagneri? Jestem zdania, że tak, ale nie umiałbym powiedzieć, na czym on polegał. Cechą życiowych klimatów jest niewidzialność (dla naszych oczu) łączących je nici.

W chwili wybuchu drugiej wojny światowej Bruno Mal-dorno miał dokładnie dwadzieścia lat. Studiował prawo w Turynie, ale mieszkał z rodzicami w Castel Piemontese. Jego ojciec Francesco, adwokat, kursował między rodzinną willą w Castel Piemontese i swoją kancelarią w Susie. Wyjątkowo piękna matka, Teresa, zbliżała się do czterdziestki, na oko nikt nie dałby jej więcej niż trzydzieści lat. Trzyosobowa rodzina zajmowała jedno skrzydło willi. W drugim mieszkał młodszy brat adwokata, Claudio, faszystowski podesta (burmistrz) Susy, awanturnik, pijak i kobieciarz. Ponieważ adwokat wierny pozostał liberalnym poglądom zmarłego ojca, komunikacja między dwoma skrzydłami willi sprowadzona została do absolutnego, chłodnego, z czasem wrogiego wręcz minimum.



Nie było jasne, i nie wyjaśnił tego do końca proces w roku 1943, kiedy Teresa Maldorno przełamała lodową ścieżkę i nawiązała najpierw przyjazny kontakt, a potem romans ze szwagrem. Adwokat wracał do domu późnym wieczorem, syn dwie doby w tygodniu spędzał w Turynie, zmuszony do tego przez zajęcia uniwersyteckie (zwolniono go ze służby wojskowej). Teresa i jej szwagier mieli więc dość sposobności, aby, pod jednym dachem, zapewnić sobie bezpieczną intymność swoich spotkań.

W maju 1942 rozegrał się pierwszy akt tragedii. Adwokata znalazła żona, wczesnym ranem, bez życia u stóp krętych schodów, prowadzących do wspólnego hallu willi na drugim piętrze, gdzie z korytarza wchodziło się do trzech pokoi mieszkalnych i dwóch łazienek w amfiladzie, w skrzydle rodziny adwokata. Miał głęboką, śmiertelną ranę w głowie od uderzenia w ostatni, okuty metalową listwą schodek. Był w szlafroku. Wypadek zdarzył się podczas dwóch turyńskich dób syna, zdawał się jednak na pierwszy rzut oka wypadkiem naturalnym. Przed świtem (jak sądzono) adwokat wstał, nie zapalając światła ani w sypialni, ani w korytarzu, ani w łazience, aby nie obudzić śpiącej jeszcze żony, i przypuszczalnie w drodze powrotnej do łóżka potknął się jak zaczadzony o pręt przybity do sukna na szczycie schodów. Teresa spała tak głęboko, że nie usłyszała upadku i być może krzyku spadającego.

*Pozorna naturalność wypadku nie powstrzymała syna od domagania się sekcji zwłok ojca. Wykryto obecność 26 - Dziennik... (1993-1996) 401*

‘:?’

resztek bardzo mocnego środka nasennego, który w aptekach dostępny był tylko za okazaniem recepty lekarza. W koszu na śmieci znaleziono dwa gatunki niedopałków z czerwonym śladem szminki i bez. Adwokat nie palił w ogóle; jego syn spędził ostatnie dwa dni i dwie noce w Turynie.

W lutym 1943 odbył się proces w Cuneo. Panowanie faszystów było już wtedy mocno nadszarpnięte, co wyraźnie nadwątlilo uprzywilejowaną pozycję burmistrza Susy. I on, i jego kochanka Teresa występowali z wolnej stopy. Proces był czysto poszlakowy. Oboje oskarżeni z oburzeniem odparli zarzut zbrodni. Bruno przysłuchiwał się przewodowi sądowemu w milczeniu, nie odrywając wzroku od matki. Zapytany przez sędziego, czy miałby coś do ujawnienia jako świadek, opowiedział swój trzykrotny sen: śnił mu się mianowicie aż trzy razy ojciec, powtarzając za każdym razem to samo zdanie: „Zabili mnie”. Ani słowa więcej. To wówczas właśnie gazety nazwały młodzieńca „Hamlet pie-moncki”. Oskarżonych uniewinniono z braku dowodów winy, a nie według tzw. „pełnej formuły”: przestępstwo nie miało miejsca. Burmistrz został wkrótce potem zwolniony ze swego stanowiska, a pod koniec 1943 ożenił się ze swoją szwagierką. Zamieszkali w jego skrzydle willi. Bruno pozostał sam w dawnym skrzydle rodziców i po roku, jako świeżo upieczony adwokat, zajął kancelarię ojca w Susie.

Pomyślałem, słuchając relacji pisarza Goffredo Volpo-ne przy szklance herbaty i kieliszku grappy w Sordevolo, że chyba zbierał materiał do zaplanowanej powieści i uważnie | przestudiował prasę epoki. Tak było istotnie, dodał bowiem, że wszystkich sprawozdawców sądowych uderzył sposób, w jaki Bruno wpatrywał się

w twarz matki o przymkniętych oczach: „Tak patrzy nie syn zakochany w matce, lecz mężczyzna zakochany w kobiecie”.

W styczniu 1945, podczas surowej zimy piemonckiej, rozegrał się drugi akt tragedii, który Goffredo poznał również z gazet nowej już epoki; w ogólnych zarysach, gdyż nieco dokładniej poznaliśmy go obaj w trakcie drugiego procesu w Cuneo, w połowie czerwca 1956, Kończyła się wojna, na północy Włoch, szczególnie w Lombardii i w Piemoncie, roło się od większych czy mniejszych oddziałów partyzanckich. Bruno Maldorno należał do małego oddziału działającego w okolicach Pinerolo. Znaczniejsi faszyci (szeregowych nie ruszano), jeżeli nie udało im się uciec na tereny kontrolowane przez niedobitki reżymu, ukrywali się, gdzie mogli. Przeważnie na strychach w domach przyjaciół lub krewnych, nierzadko na plebaniach.

Czas sprzyjał samowoli i samosądom. Pod pretekstem wymiaru nowej „demokratycznej” sprawiedliwości załatwiano stare porachunki rodzinne i osobiste.

Claudio ukrył się na plebanii w Saluzzo, a właściwie ukryła go tam Teresa, bratanica księdza proboszcza. Popełniła jeden błąd: co jakiś czas wyprawiała się samochodem do Saluzzo, z wizytą do drugiego męża. Prawdopodobnie jej wyjazdy zostały zauważone i naprowadziły na trop kryjówki faszystowskiego eks-burmistrza Susy, bardzo nie lubianego przez mieszkańców miasteczka.

W zimową, ciemną noc wdarła się na plebanię pięcioosobowa grupa partyzantów. Wojenny zakaz używania w nocy oświetlenia sprzyjał napastnikom. Opierającego się proboszcza, który odmawiał wskazania kryjówki, a z początku zaprzeczał nawet, że kogokolwiek ukrywa, zamknięto na klucz w jego sypialni. Partyzanci wiedzieli i tak, że należy iść do pokoiku na poddaszu. Zachowywali absolutne milczenie, tylko dowódca zaopatrzony w latarkę stawiał krótko żądania i wydawał rozkazy. Claudio wybiegł z pokoiku strzelając na oślep, miał widocznie nadzieję, że uda mu się dotrzeć do drzwi plebanii. Jeden z partyzantów skoczył za nim i zasztyletował go na podeście schodów. Po czym cała Piątka dała się pochłonać ciemnościom.

Z oskarżenia Teresy wytoczono proces jej synowi za zabójstwo jej drugiego męża. Wielokrotnie odraczany w atmosferze bezkarności, otaczającej większość samosądów na byłych hierarchach obalonego reżymu, odbył się w końcu w połowie czerwca 1956 roku w Cuneo. Na ten proces pojechałem z pisarzem Volpone (obie nasze żony odmówiły). Zamieszkaliśmy w hotelu „Savoia”, w którym (jak się okazało) stanął również odpowiadający z wolnej stopy Bruno Maldorno. Teresa przyjeżdżała codziennie rano ze swoim duchownym stryjem z Saluzzo (tam mieszkała podczas całego procesu).,?

?> t Proces trwał pięć dni, w trzecim przez godzinę rozprawa toczyła się przy drzwiach zamkniętych. Ciągłe rodziło się pytanie, na jakiej podstawie został przez Teresę Maldorno wytoczony. W gruncie rzeczy nie miała żadnych dowodów, ani nawet poważniejszych poszlak, bezustannie krążyła - ku zniecierpliwieniu sędziów i ławy przysięgłych - wokół niechętnego stosunku syna najpierw do stryja, a potem do ojczyzna (formalnie), mimo że Claudio „uwielbiał” bratanka od dzieciństwa i

zamierzał to samo uczucie okazać pasierbowi. Opowiadała szczegółowo o tej „czarnej niewdzięczności”, która w końcu przeobraziła się w „obsesyjną nienawiść”. Przerwał jej syn drwiącym chichotem, ale’ zachęcony przez sąd do zeznania, wzruszył ramionami i mruknął: „Nie warto”. Na pytanie sędziego o pożycie z pierwszym mężem, Teresa odpowiedziała: „Proszę o wysłuchanie mnie przy drzwiach zamkniętych”. Przychyłono się do jej prośby. Cuneo jest niewielkim miasteczkiem, przysięgli nie byli zbyt dyskretni, więc tego dnia wieczorem powtarzano sobie na ucho, że na kilka lat przed śmiercią pierwszego męża Teresa „przestała z nim dzielić małżeńskie łóżce”, po czym podała powody, dość intymne. Sędzia zażądał, by przeszła wreszcie do swojego oskarżenia. „Czas najwyższy, czas najwyższy”, powiedział dwukrotnie z odcieniem irytacji w głosie. Zamilkła, ale widać było z jej wyrazu twarzy, że chowa w rękawie kartę atutową. Często, nie tając oczekiwań, odwracała się na chwilę i zerknęła na drzwi sali sądowej. Tymczasem zgłosił się jako świadek oskarżenia jej stryj, proboszcz z Saluzzo. Jego długie wywody, w tonie umoralniającego kazania, utkane były jednak wyłącznie z pogłosek. W okolicach Saluzzo wiedziano o oddziale partyzanckim, wiedziano też, że należał do niego Bruno Maldorno. Czy to nie on znał dobrze rozkład plebanii z czasów, gdy w chłopięctwie przyjeżdżał z matką do jej stryja?

Znudzony monotonną nijakością rozprawy, skupiłem się na obserwacji - niekiedy spod oka, niekiedy wprost i bez zakłopotania - matki i syna. Teresa miała wtedy pięćdziesiąt sześć lat, ale zachowała dawną urodę, więcej - zdawał się służyć jej wiek matronalny. Było coś władczego w jej ruchach i sposobie mówienia. Patrzyła tylko na sędziów i na ławę przysięgłych, ani razu nie spojrzała na siedzącego z boku syna. On zaś przesunął lekko krzesło, aby móc patrzeć jedynie na nią. I rzeczywiście w jego spojrzeniu, intensywnym i nieruchomym, dostrzegano się coś dalekiego od synowskiej miłości do matki.

Kolację w hotelu jedliśmy w trójkę, Goffredo i Bruno byli przecież dobrymi znajomymi z Susy. Syn Teresy liczył sobie wtedy trzydzieści sześć-siedem lat, a zadziwiał swoją młodzieńczością. Miało się ochotę powiedzieć o nim „chłopiec”; i rzeczywiście raz wczesnym ranem zobaczyłem go w hotelowym ogrodzie pogrążonego w lekturze i równocześnie przechadzającego się między kwietnikami i drzewami; ten widok wyrwał mi natychmiast z ust Szekspirowskie zdanie „młody chłopiec z książką w ręku”. Pod młodzieńczą powłoką połączyły się w jedno powaga i smutek, z osobliwym rezultatem półobecności. Naprawdę nie wiadomo było, czy uważnie słucha tego, co się do niego mówi, jakkolwiek - z natury milkiwy - odzywał się czasem krótko całkiem do rzeczy, w sposób świadczący, że robił tylko wrażenie półobecnego, roztargnionego, myślącego o czymś innym. Proces był w naszej rozmowie tabu, za to Bruno ożywiał się nieco, gdy Goffredo poruszał tematy partyzanckie, a ja wschodnioeuropejskie. Znowu jednak nie było stuprocentowo pewne, w jakiej mierze jego wyraz twarzy odpowiada prawdziwej uwadze. W ogóle, przy doskonałej kontroli nad sobą, nie wydawał się w pełni zrównoważony. Należał do ludzi - zdarzają się tacy - których myśli chcielibyśmy odgadnąć, nie żeby się czegoś ważnego dla nas dowiedzieć, lecz by nawiązać kontakt nie tylko

powierzchnowy. Śledząc go przy kolacyjnym stole, uprzytomniłem sobie, że na tym właśnie polegało „szaleństwo” Hamleta w tragedii Szekspira: na sztuce szybkiego wywijania się z pułapki (dla niego) kontaktów z otoczeniem. Bruno był, jak królewicz duński, nieuchwytny. Co poczytywano, u Szekspira, za znaki obłądzenia a co było grą.

Niewątpliwie element gry tkwił także w piemonckim Hamlecie. Ale kto gra, nie chcąc tego pokazać w nadmiar i nie chcąc na szwank narazić swojej dumy, jest gdzieś głębo pod spodem śmiertelnie zraniony. Taka sama był; rana obu Hamletów, duńskiego i piemonckiego?

W piątym dniu rozprawy zjawiła się „karta atutowa”, a raczej rzekoma „karta atutowa” Teresy. W postaci starszego, siwego pana, kulejącego i opierającego się ciężko na lasce, który z wysiłkiem pokonał przestrzeń od drzwi sądu do stołu sędziowskiego. Skłonił się, podał rękę sędziemu i położył przed nim arkusz papieru. Rzuciłem w tej chwili okiem na matkę i syna: ona uśmiechała się, on zbladł.

Sędzia przyjął do wiadomości zaświadczenie lekarskie, które usprawiedliwiało spóźnienie świadka koronnego, przykutego okresami do łóżka na skutek ran odniesionych w partyzantce. Był majstrem-mechanikiem w Chivasso, po lądowaniu aliantów na południu Włoch zorganizował spory początkowo oddział partyzancki, przybrałszy przydomek Terrone (pochodził z Kalabrii). To on był dowódcą pięcioosobowej w końcu grupy, działającej w okolicach Pinerolo. Rozkaz „eliminacji” byłego burmistrza Susy przyszedł z dowództwa w Asti; uważano go za niebezpiecznego w razie przelotnej choćby zmiany sytuacji w rejonie. Kto konkretnie wykonał ten rozkaz po włamaniu się grupy na plebanię w Saluzzo? Zapadła długa cisza, otarłem się wzrokiem o napiętą twarz Teresy; jej syn opuścił głowę. Zabójca już nie żyje - wyjaśnił świadek - poległ krótko przed Liberazione 25 kwietnia. Teresa drgnęła, jak tknięta prądem, było aż nadto widoczne jej zaskoczenie, Bruno wstał z krzesła. „To nieprawda - powiedział spokojnym i donośnym głosem, patrząc nie na stół sędziowski, lecz na matkę - zabiłem burmistrza Susy, który zabił mojego ojca”. Na sali powstał szum, nie bez trudu opanowany przez sędziego.

Aresztowany po zamknięciu rozprawy, Bruno został odwieziony do Novary, gdzie w więzieniu miał czekać na kolejną rozprawę w tamtejszym sądzie. Czekał sześć miesięcy. Wyrok był niski i z zawieszeniem, roił się przesadnie od okoliczności łagodzących. Bruno wrócił do Susy, do rodzinnej willi, do której wróciła też z Saluzzo jego matka. Nie porozumiewali się ze sobą, jedynym ich łącznikiem była wspólna służąca. Nie widywano ich, żyli z oszczędności i ze spadku po pierwszym mężu Teresy (drugiego, pośmiertnie, pozbawiono wszystkiego, co posiadał, na mocy konfiskaty majątku). Bruno, skreślony z listy adwokackiej, prowadził w domu małe biuro porad prawnych.

Coraz rzadziej jeździłem latem do Pollone. Z początku wypoczynek u stóp Przedalp, łąki na wzgórzach pełne krzaków jeżynowych i czasem grzybów, lodowate strumienie obfite w pstrągi, mocny sen w nocy, ciężkie wino piemonckie, uładzone życie w wiosce - wszystko to działało na mnie jak prysznic obmywający czystą wodą brudne i spocone ciało. Ale z biegiem lat poznawałem Piemont ukryty, rejon ludzi

zamożnych i pracowitych, maskujących swój przyrodzony egoizm, chciwych na każdy grosz, niechętnych „intruzom” z innych stron Włoch, pozbawionych odruchowej serdeczności południowców, pod powłoką czy za fasadą schludności i uczciwości zamkniętych w swoich chorobliwych na ogół układach rodzinnych. Gdy wyostrzył się stopniowo mój węch (a także wzrok), nabawiłem się alergii posuniętej dosyć daleko, skoro unikałem wizyt u sąsiadów i niechętnie zachodziłem do sklepów i barów, wzorowych zdawałoby się pod każdym względem, zwłaszcza w porównaniu z Południem.

Jeździłem więc do Pollone rzadziej, nie mogłem jednak całkowicie z tych wyjazdów zrezygnować, opowiadając się za morzem przeciw górcom. A podczas moich pobytów wakacyjnych częściej chyba niż w Pollone przemieszkowałem u przyjaciół w Susie, sam albo z żoną. Goffredo i Mirella przyjeżdżali do nas niekiedy na dzień, lecz zrozumieli szybko, i z radością zaakceptowali, naszą (moją przede wszystkim) słabość do Susy. Która rosła wciąż, aż do punktu kulminacyjnego w życiu Hamleta piemonckiego i piemonckiej Gertrudy.

W Susie podobała mi się jej dbałość o zachowanie resztki dalekiej przeszłości. O ile w Pollone główną, nieznośną dla mnie, ozdobą były ogromne wille secesyjne na drodze do Sordevolo, budowane przed pierwszą wojną przez bogatych przemysłowców z Bielli, Susa (rzymska Segusto) mogła się poszczycić katedrą San Giusto, kościołem lombardzkim z XI wieku, z imponującą dzwonnica; rzymską bramą z V wieku, dziś zwaną Porta Savoia; łukiem Augusta z 9 roku przed Chrystusem. Obręcz surowych gór otoczyła szczątki historii. Więcej, pilnowała ich. Każdy spacer, najkrótszy nawet, umacniał we mnie to uczucie w sposób zabarwiony szczerą emocją.

Willa Teresy Maldorno i jej syna znajdowała się jakieś cztery kilometry za Susa, w Castel Piemontese, w ogrodzie zasłoniętym od drogi wysokimi drzewami tuż za murkiem. Przechodząc czy przejeżdżając, można było w szparach między drzewami zobaczyć zapuszczony ogród (dziko rozrosły się klomby, krzaki i grządki, zaniedbany był trawnik przed zajazdem). Dominowało wrażenie pustki, jakby willa nie była w ogóle zamieszkała, co podkreślały jeszcze story w oknach, nigdy nie podnoszone. „Żyją wciąż w mroku czy w półmroku”, myślałem wpatrzony w budowlę w stylu dużego angielskiego cottageu z dwiema wieżyczkami poddasza. Willa miała dwa wejścia, jedno w środku frontonu, drugie w bocznej ścianie.

Raz jeden tylko zdarzyło nam się ujrzeć Teresę Maldor-no, w gorący dzień opalała się w hamaku rozpiętym między palikami. Widocznie wyczuła cudzy wzrok w twarzach znieruchomiałych nad murkiem, bo zeskoczyła młodzieńczo z hamaku (miała wtedy sześćdziesiąt lat!), narzuciła szlafrok na kostium kąpielowy i pobiegła do natrysku w podcieniu wejścia głównego. Widzieliśmy ją dobrze, choć krótko, pod ostrą strugą wody. Była piękną, wysmukłą kobietą, nikt nie wtajemniczony nie uwierzyłby, że ma czterdziestoletniego syna.

Zależało mi w owym roku (1960) na odnowieniu przelotnej znajomości z synem. Goffredo natychmiast przekreślił pomysł zaproszenia go na herbatę: „nie udziela się”, niezmiernie rzadko spotyka go się w miasteczku, w którymś z urzędów.

Znalazłem niezły pretekst. Ponieważ moja żona zamierzała wytoczyć proces jednemu z sąsiadów w Pollone, chciałem w jej imieniu poprosić o poradę prawną cenionego niegdys adwokata.

Wybrałem się do niego sam, ale powołując się naturalnie na moich susańskich przyjaciół. Nie jestem pewien, czy pamiętał nasze spotkanie w Cuneo, więc przemilczałem je, by nie przypominać związanych z nim okoliczności. Wysłuchał mnie, zrobił parę rozsądnych uwag, polecił mi znajomego adwokata w Bielli. Zapłaciwszy honorarium, nie miałem powodu przedłużać wizyty. Wymyśliłem coś naprędce, byle nie wychodzić z jego gabinetu. Nie okazał żadnego zniecierpliwienia, przeciwnie, wydawał się zadowolony, jakby rzadko miewał klientów. A ja? Czemu było dla mnie ważne spędzenie z nim dodatkowych dwóch kwadransów? Czy rzeczywiście śledziłem nadal Hamleta piemonckiego, być może przyszłego bohatera jednego z moich opowiadań? Pewnie tak, nie znajduję bowiem innego wytłumaczenia mojej natarczywości.

Potwierdziła się cecha, którą pamiętałem z Cuneo. Trwała jego półobecność, dziwne uczucie, że słucha i nie słucha. I trwała też, mimo wieku, jego chłopięcość. Trudno było uwierzyć, że ma czterdzieści lat ten chłopiec o marzycielskim spojrzeniu, które niekiedy, na mgnienie oka, twardniało nie bez przymieszki zawziętości. Nowością było jego ciągle nasłuchiwanie: z drugiego skrzydła willi dobiegały czasem nieokreślone dźwięki, każdy działał na niego jak oparzenie przytkniętym do skóry papierosem; podrywał się z krzesła i dłońmi chwycił za krawędź biurka. Na co czekał w takim napięciu?

Ileż istnieje interpretacji Hamleta! Ilu wielkich aktorów, dla których Hamlet jest „rolą życia”, usiłujących więc odcisnąć w nim piętno swojego „niepowtarzalnego” spojrzenia na dramat królewicza duńskiego! Lista byłaby długa, wspomnę tytułem przykładu o jednej tylko interpretacji, której źródłem była książka Salvadora de Madariagi *On Hamlet*. W oczach pisarza i dyplomaty hiszpańskiego Szekspir stworzył postać renesansowego księcia, który świadomie i na zimno rozgrywał swoją walkę o tron. Widziałem w Londynie przedstawienie Hamleta, oparte na książce de Madariagi. Przebiegłego, nawykłego do dworskich intryg księcia renesansowego grał Alec Guinness z małym brzuszkiem, bródką w szpic i sztyletem przypiętym do pasa. Publiczność londyńska przeżyła szok i wygwizdała spektakl bezlitośnie, skończyło się zatem na premierze. Dla tradycyjnych admiratorów Szekspira taki Hamlet był nie do przyjęcia; tradycja przekazała różne wcielenia płomienia drżącego na wietrze, głosu nasyconego szeroką amplitudą wahań, pasji, zrywów i cofnięć. Mnie Guinness podbił sugestywnością swojej roli, podobnie jak de Madariaga finezją swojego wywodu.

W czasie jednego z pobytów u susańskich przyjaciół Goffredo wciągnął mnie w wielogodzinną rozmowę nocną o elsynorskim Hamlecie, z aluzjami do piemonckiego. Co dla mnie stanowiło dowód, że zrezygnował z projektu powieści, żaden bowiem pisarz nie wyklada tak swoich kart przed położeniem słowa „koniec” na ostatniej stronie manuskryptu. I istotnie: świtało już, gdy postanowiliśmy

zamknąć dyskusję i iść spać. Goffredo dał mi „do poduszki” (jutrzejszej, oczywiście) pękata teczkę z napisem „Materiały do Hamleta piemonckiego”.

Przewertowałem ją nazajutrz, przed obiadem i po obiedzie. Było jasne, że musiał zrezygnować z projektu powieści. Zapiski autora do planowanego dzieła mogą być na pozór chaotyczne, nie wolno im jednak tracić z oczu pewnej linii nawet w tej chaotyczności. A taki niestety był wypadek zapisków mojego przyjaciela. Goffredo zmieniał wciąż punkt widzenia, dawał się opanować pewnej wizji, aby ją szybko porzucić dla innej, osoby i wypadki szkicował chwiejną ręką, słowem - zgubił ścieżkę w lesie i błąkał się w nim bez poczucia kierunku. Nie mogła z tego powstać powieść. Lepiej było dać za wygraną, nie brnąć jeszcze głębiej w nieprzenikniony gąszcz.

Uderzał w niefortunnym rękopisie szkic o Szekspirowskim Hamlecie. On był ozdobą grubej niby, lecz w rzeczywistości chudawej teczki.

Miał prawdopodobnie być posłowiem do powieści, ale wnikliwa dysertacja krytyczna o dramacie elżbietańskim nie wiązała się (albo wiązała bardzo słabo) z dramatem współczesnym. Goffredo trzymał się konsekwentnie, bez żadnych wahań czy wątpliwości, „swojego osobistego” poglądu na Hamleta, brakowało mu jednak stanowczości w użyciu tego „klucza” do otwarcia historii Hamleta piemonckiego. Ilekroć mogło się wydawać, że powziął wreszcie decyzję, następował krok do tyłu, i to tak bojaźliwy, jakby chwyciło go za rękę groźne ryzyko własnej, nadmiernej śmiałości. Kluczył, rozsiewał po drodze aluzje, mówił i nie mówił, wykreślał hipotezy z pierwszej redakcji i wypisywał nad nimi zupełnie lub częściowo odmienne - słowem, sam siebie przekonywał stopniowo, że nie zdoła wydobyć się z pisarskiego paraliżu.

Szkic o Hamlecie (w ogólnych zarysach) wyrastał z głębokiego przeświadczenia jego autora, że załączkiem tragedii na Zamku Elsynorskim była miłość syna do matki. Ale nie miłość „synowska”.

Królowa: Jak można tak porywczo, tak okrutnie?... Hamlet: Okrutnie? Czyżby mniej okrutne było zabójstwo króla i ślub z jego bratem? Królowa: Zabójstwo króla? Hamlet: Tak, dobrze słyszałaś\*.

Jest pewne, że Gertruda wiedziała o zabójstwie króla, swego pierwszego męża. Udawała, że nie wie.

Wiele przemawia za tym, że brała nawet pośredni udział w zamachu na jego życie. Dlaczego, co ją skłoniło do uczestnictwa w mężobójstwie? Była królową, matką królewicza i następcy tronu, jakie nadzieje i pragnienia wiązała z królewskim bratem, swoim szwagrem? Syn mówi do niej:

Czy jesteś owcą, która z górskich pastwisk Bezmyślnie zbiega na grząskie mokradła? Skąd ta ślepotą? To przecież nie miłość, Bo w twoim wieku gorąca krew stygnie I serce słucha nakazów rozumu...

Ten i dalsze cytaty z Hamleta pochodzą z przekładu Stanisława I Barańczaka.

A jednak nie stygnie. Rozumie to, chcąc nie chcąc, sam Hamlet.

» Jak widać, nawet szron może zapłonąć, a rozum ' Stać się rajfurem żądy.

Królowa wybucha:

Dość, Hamlecie.

Zmuszasz mnie, abym zajrzała w głąb własnej Duszy i widzę tam szkaradne plamy:

Ich czerni nic nie zmyje.

Na Co Hamlet ze zdwojoną furią:

Tak, to brud Przepoconego, plugawego łoża, To brud zepsucia, pieaszczot na śmietniku, Miłości w chlewie...

i\*

Trudno (ciągnął Goffredo) nie zauważyć, że przez Hamleta przemawiała zazdrość seksualna, że fizycznie przeżywał jej wiarołomstwo, jakby chciał krzyknąć: „Możesz należeć tylko do mojego ojca albo do mnie!” Wraca w nim ciągle rozjątrzenie zdradzonego kochanka (a nie syna).

Pewnie król znowu zwabi cię do łóżka, Nazwie cię myszką, uszczypnie w policzek, Oślini cię obleśnym pocałunkiem Albo obmaca paluchami pierś...

Historia z Ofelią była, zdaniem Goffreda, dodatkowym dowodem erotycznego odrętwienia Hamleta wobec wszystkich kobiet, z wyjątkiem matki. Przecież nie można nie dostrzec składnika okrucieństwa, podświadomej chęci unicestwienia, zabójstwa wręcz, w stosunku Hamleta do Ofelii. Pozostaje pytanie, czy uświadamiała to sobie Gertruda. Z początku nie; potem otworzyła szeroko oczy; z przerażenia i przy wtórze gwałtownego bicia serca. „Nie jest bynajmniej wykluczone (zamknął swój szkic Goffredo), że gdyby Szekspir wyrzekł się był elżbietańskiej reguły parady trupów przed ostatecznym zapadnięciem kurtyny, Gertruda odkryłaby największą, choć grzeszną, miłość swego życia”.

Sierpień 1965 okazał się moim ostatnim miesiącem pie-monckim. Przyjechałem niechętnie, na wyraźne naleganie żony, w pociągu już przewidując stan przesylenia. Bywa tak, że niespodzianie, ale i nieodparcie zamyka się pewien rozdział naszego życia. Nie wiadomo na ogół dokładnie, z jakiej przyczyny, wiadomo tylko, że dalej ciągnąć nie można. I trzeba wtedy skapitulować, nie stawiając zbyt długo oporu.

Przyjechałem tak zmęczony wykańczaniem terminowych prac w Neapolu, że pierwszy tydzień wakacji w Pollone stał się rzadko i na krótko przerywanym snem. W drugim wybierałem się rano na kilkugodzinne wycieczki: zbrocze nad naszym domem, w drodze ku szczytowi Mucrone, obfitowało w łąki, zagajniki i, co najważniejsze, rwące strumienie, w których niekiedy powstawały skalne wanny. Tam zatrzymywałem się, to wskakując na kilka sekund do lodowatej wody, to przesiadując cierpliwie z wędką, aż jakiś nieostroż - j ny pstrąg decydował się trącić przynętę na haczyku. Od dzieciństwa byłem zafascynowany nałogiem wędkarstwa, potrafiłem godziny spędzać wpatrzony w nieruchomy spławik.

Wypoczęty wreszcie, choć znudzony i zubożnięty, postanowiłem sam odwiedzić raz jeszcze, na pożegnanie, Ba-gneri. W martwej wiosce proces dogorywania posunął się, w ciągu minionych lat, bardzo daleko ku ostatecznej śmierci.



przy życiu pozostały już tylko trzy osoby, z trzynastu, które zastaliśmy tam poprzednim razem. Siedziały na ławce pod rzędem domów, całkowicie teraz zrujnowanych. Bardzo stary chłop, który to drzemał, to otwierał zmęczone, przekrwione oczy, i dwie młodsze od niego kobiety. Moje powitanie utonęło w milczeniu. A gdy pozostanie tylko jedna? Będzie do ostatniego tchnienia wpatrywać się w „tamtą stronę”? Kto ją pochowa? Książd wyruszy z Sordevolo na cały dzień marszu? Kto go zawiadomi?

Szedłem wolno z Bagneri, planując przyspieszony wyjazd do Neapolu. Ale w domu znalazłem wiadomość, że Gof-fredo i Mirella wrócili do Susy z podróży do Hiszpanii. To była deska ratunku. Przynajmniej miła Susa...

Oboje, Goffredo i Mirella, byli podnieceni. Szczególnie Goffredo, który nie zwracając większej uwagi na nasz przyjazd, powtarzał do siebie: „Miałem rację, zabrakło mi uporów, teraz za późno na powtórny redakcję”. I do nas: „Odgrzewana potrawa zalatuje zawsze spalenizną”. Brzmiało to zagadkowo, dopiero wrzucenie teczek „Materiałów do Hamleta piemonckiego” za rząd książek na najwyższej półce biblioteki uświadomiło mi, że stało się coś nieoczekiwanego.

Teresa Maldorno i jej syn Bruno wyjechali razem z Castel Piemontese w nieznanym kierunku. Tyle tylko potrafiła odpowiedzieć na pytania ich wspólna służąca, rumieniąca się na przemian i blednąca, mówiąca naraz głosem podobnym do zająkanego bełkotu. Rzecz nabrała w Susie charakteru małej plotkarskiej sensacji. Co do nas, odłożyliśmy powrót do Pollone.

W parę dni po Ferragosto, kulminacji sierpnia, rozeszła się błyskawicznie wiadomość, że w Villa Maldorno otworzyły się rano wszystkie okna, jej właściciele zeszli w południe do ogrodu. Wypytywana znowu służąca potwierdziła, że „państwo przyjechali nocnym pociągiem”. Goffredo uśmiechał się tajemniczo, uśmiechem człowieka, który zawczasu odgadywał czy przeczuwał bieg wypadków.

Dawniej zaglądaliśmy na zamiejskich spacerach do willi, dzięki odstępom między drzewami, w sposób nie urągający regułom dyskrecji; w sposób najzupełniej naturalny, jak zagłada się mimochodem do mieszkań wietrzonych na parterach kamienic. W nowych okolicznościach zagłądanie stało się podglądaniem. Tak właśnie, w przeddzień opuszczenia Susy, staliśmy w czwórce na skraju willi w Castel Piemontese, dobrze widząc ogród, gdy mało było prawdopodobne, by nas dojrzano z ogrodu. Teresa siedziała w fotelu blisko drzwi willi. Ślady dawnej urody, ślady bogate i niezwykle w wieku sześćdziesięciu pięciu lat, kazały wierzyć z daleka, że oszczędzał ją wciąż czas. To raczej jej syn postarzał się widocznie. Pochylił nad nią siwą głowę, słuchał tego, co opowiadała, od czasu do czasu otaczał ją czule ramieniem.

Tu kończy się Hamlet piemoncki w moich wspomnieniach. Nie ulegnę pokusom rozkołysania wyobraźni na tropach tej skażonej miłości. Zrobi to może mój przyjaciel z Susy podczas kolejnego „kryzysu powieści” i jej „tematyki”.

W roku 1985 Teresa straciła władzę w nogach; aż do śmierci, w dziesięć lat później, syn popychał wolno na spacerach jej inwalidzki wózek. Wyglądali oboje (donosił w liście Goffredo) tak, jakby poznali wreszcie, po tylu złych, zatrutych

latach, sekret szczęścia doskonałego. Mogliby (wraz z autorem) powiedzieć za królewiczem duńskim w momencie agonii:

Wstrzymaj się chwilę przed bramami niebios I wciągnij w płuca jeszcze parę razy Ostre powietrze okrutnego świata... j Czerwiec 1995 \*

Dragonea, lipiec „„„„

O północy psy podwórzowe szczekają i szarpia się gwałtownie, nawet z daleka pobrzękują prawie w ich głosach łańcuchy; szczekają na spóźnionych przechodniów lub na księżyc grożący lada chwila upadkiem między dom i budę. Przed świtem szczekanie zamienia się w jękliwe, urywane ujadanie, donośne, ale podszyte lękiem. Noc odganiana przez wschodzące powoli słońce budzi widocznie zjawy, które przemykały się cicho, jak cienie, w psich snach.

Podczas pierwszego lata w Dragonei psy powiązały mnie z berezowskim chłopięctwem. Jakby odezwały się nagle, po tylu latach, by zerwać mnie na nogi i pchnąć do szybkiego marszu przez las na suchedniowską stację, na jedyny pociąg, który pozwalał z wybiciem ósmej wbiec z bładą od zziajania twarzą do szkoły w Kielcach.

*Ta dragonejska „magdalenka” zakorzeniła mnie wtedy natychmiast w świeżo kupionym domku, położonym na uboczu, lecz znanym we wsi (miasteczku?) pod nazwą Casa Rossa. Następnym etapem zakorzenienia były okresowe przyjazdy z Warszawy, na całe lato, mojej siostry i jej męża. Czerwony Dom stawał się na dwa miesiące domem polskim: nocne rozmowy na tarasie, rodzima kuchnia, wesole śmiechy, ciągła gra ech (w wypadku nas trojga „ech leśnych”). Potem los urwał te wizyty. Po śmierci mojej siostry uznałem szczęśliwy okres dragonejski za zamknięty definitywnie, choć rok wcześniej (czyli jeszcze za jej życia) miesięczny pobyt Ireny i Jerzego Morawskich zdawał się próbą odsu27 - Dziennik... (1993-1996) 417*

nięcia końca. W tym roku przyjechali na trzy tygodnie Włodzimierz Bolecki i jego żona Anna. I znowu Czerwony Dom ożył.

Włodzimierz Bolecki jest świetnym krytykiem literackim, według mnie, najlepszym dziś w Polsce, na miarę mojego mistrza Ludwika Frydego i mojego nigdy nie dość oplakiwanego przyjaciela, Kota Jeleńskiego. Anna Bolecka napisała śliczną opowieść Biały kamień i wydaje mi się ozdobą „fali” prozatorskiej z jej (plus minus) pokolenia.

Ich przyjazd nie był tylko wyprawą turystyczną i odwiedzinami przyjaciela. Z Boleckim miałem umówioną od dawna serię rozmów do książki, którą zaprojektował był Jan Chodakowski, dyrektor „Pulsu”. Nie chodziło o modne ostatnio i tak poczytne (szuszenie) relacje autobiograficzne „na cztery ręce”. Autor dwóch książek o moim pisarstwie - Ciemnego Stawu i studium o Innym Świecie - zamierzał w dialogu ze mną zanalizować i przedyskutować wszystko, co w kolejnych tomach Pism zebranych wydaje od zeszłego roku „Czytelnik” (w opracowaniu Zdzisława Kudelskiego).

Codziennie rano trzy godziny przeznaczaliśmy na nagrywaną rozmowę. Z dnia na dzień rósł mój podziw dla inteligencji, wiedzy, dla oka i słuchu mojego

rozmówcy. Przypominał mi często Kota Jeleńskiego, „chwytającego w lot” (według wyrażenia Gombrowicza) czytane teksty, wrażliwego na dalekie asocjacje, twórczego w nieustannym podsumowywaniu całości, w pilnowaniu ogólnej perspektywy. Wraz z podziwem rosła zwykła przyjemność. W każdym utworze kryje się niewidoczna, lecz dobrze wyczuwalna dla czytelnika zasada kompozycji, gra wyobraźni i praca myśli. Jedynie wytrawny i mądry krytyk wyklada od razu na stół swoje karty, oczekując partnerskiej kontrybucji ze strony autora.

Nie zaniechaliśmy wycieczek w dalsze i bliższe okolice. Któryż to raz byłem w Paestum? Przed czterdziestu laty krążyło nad świątyniami stado kruków, jakby z zeszłego stulecia przywlokły w nasze stulecie malaryczne powietrze wykopaliska i pęd zagranicznych turystów do samobójstw w romantycznych dekoracjach. Nie pamiętam, kiedy dokładnie stado kruków ulotniło się bez śladu. Od chwili ich zniknięcia zapanowały niepodzielnie nad Paestum świerszcze (latem oczywiście) i jaszczurki w rowkach greckich kolumn. Niektóre świątynie otoczono rusztowaniem, z tym-panonów sypią się kamienie. Czyżby to oznaczało, że nad Paestum zawisła groźba podobna do zagrożenia Wenecji? Turner namalował Burzę nad Paestum, cudowną akwarelę, w której światło rozjaśnia posępny krajobraz; boska siła (piszą krytycy) wzięła w obronę wystawiony na niebezpieczeństwo nawałnic i wzbierającego morza skarb z dziesiątego wieku przed Chrystusem. Teraz moje kraczące usposobienie katastroficzne każe raczej spodziewać się powrotu stada kruków.

W Amalfi, w kawiarni u stóp wysokich wzbronionych mi schodów prowadzących do katedry, czekałem na Boleckich opanowany powtórnie katastroficznymi, dość szalonymi obawami. Może dlatego, że główna ulica Amalfi, od placu Katedralnego do portu, przypominała mi do złudzenia fragment Dubrownika. A jeśli to arcydzieło inkrustowanego frontonu i kampanili na tle gór przyciągnie nowych barbarzyńców w strupieszalej, trzęsącej portkami Europie, która utraciła już nawet zdolność doświadczenia wstydu?

Neapol, 7 sierpnia „Często mówię, że Gustaw Herling-Grudziński, od tak dawna przez nas kochany, to mój przybrany syn”. Przepisuje to zdanie ze Spojrzenia wstecz Lidii Ciołkoszowej, tomu rozmów prowadzonych z wielką inteligencją, umiejętnością i znajomością rzeczy przez młodego historyka, Andrzeja Friszke (o którym myślę serdecznie, ilekroć wspominam zeszłoroczne spotkanie z redakcją „Więzi” w Warszawie). Czy przybrany syn ma prawo pisać o książce przybranej matki? Pierwszą reakcją, po pierwszej lekturze, było: nie. Potem rzuciłem w kąć konwencjonalne zahamowania, zachwycony Spojrzeniem wstecz. Stawiam je bez wahania obok Autobiografii na cztery ręce Jerzego Giedroycia. T a- k i c h autobiograficznych książek o „sprawie polskiej” jeszcze nie było i pewnie nie będzie, bo odchodzą już tacy Polacy, nic zaś nie wskazuje na to, że opróżnione miejsca zajmą ich spadkobiercy.

Stopić w jedno, w czysty stop bez fałszywych tonów, dwa wątki: raport z przeszło siedemdziesięcioletniej działalności politycznej w Polsce przed wojną i na emigracji w Londynie oraz opowieść osobistą o sobie; potrafiła to zrobić Lidia

Ciołkoszowa. A potrafiła dlatego, że oba wątki zbiegały się nieustannie, zrastały się z biegiem czasu nierozdzielnie. Precyzyjna i rzeczowa, prawdomówna i uczciwa, sprawiedliwa i mądra, Lidia żyła dzień po dniu, we wszystkim, co robiła, miłością do Adama i Andrzeja. Kiedy się siedziało i rozmawiało przy stole w kuchni na Balmuir (już po śmierci Andrzeja), mając naprzeciw Adama, a z boku Lidie, zdumiewało absolutne współbrzmienie obojga. Bywałem niekiedy sam na sam z Adamem, a gdy odszedł - sam na sam z Lidia. I widziałem, jak głęboko sięgało ich porozumienie, jak słuszne było określenie Czapińskiego: „jedno serce, jeden mózg”. W ważnych, zasadniczych kwestiach przemawiali we dwójkę jednym głosem i - co osobliwe - nie dziwiło to nikogo, było najzupełniej naturalne. Po śmierci Adama miewałem często wrażenie, że żyje w niej dalej. Spojrzenie wstecz jest pomnikiem PPS i trzech osób: pochłoniętych polityką „najlepszych rodziców” i ich apolitycznego, uroczego syna Andrzeja. Najbardziej podziwiałem w Adamie, i podziwiam wciąż w Lidii, niezwykłą, odruchową, chciałoby się powiedzieć: fizjologiczną, prostotę i autentyczność, z jaką umieli zawsze nadawać szlachetny dźwięk nadużywanemu przez społecznych fanatyków słowu „socjalizm”.

Na marginesie tej pięknej książki mam ochotę wtrącić pozorną jedynie dygresję. Lidia doktoryzowała się na UJ pracą o Żeromskim, spała w panińskim pokoju pod jego portretem. Istniał kiedyś i dogorywa stopniowo szczególny polski gatunek ludzki „żeromszczyków”. Zaliczam do nich, prócz Ciołkoszowej, Jerzego Giedroycia, Juliusza Poniato-wskiego i z młodszego pokolenia samego siebie (choćby jako urodzonego w rejonie świętokrzyskim absolwenta gimnazjum kieleckiego, do którego uczęszczał autor Syzyfowych prac). Kilka dni temu przeczytałem na nowo, po półwieczu, Przedwiośnie. Byłem przerażony histeryczną, okrutną, sadystyczną niemal demagogią uwielbianego niegdyś Baryki (jeszcze podczas wojny pochwalny szkic o Broniewskim wydrukowałem w jerozolimskim dwutygodniku Wiktora Weintrauba „W drodze” pod tytułem Powrót Cezarego Baryki). Resztki ginącego plemienia „żeromszczyków” powinny sobie nareszcie uprzytomnić, że ich prawdziwym, skromnym i rozumnym bohaterem był, z różnymi odcieniami i akcentami, Gajowiec. Zaświadczyli o tym całym swoim życiem, nierzadko jednak ulegali czarom Czarusia kosztem „szarego pocziwca”, który wiedział lepiej, jaką należy iść cierpliwie, krok po kroku, drogą.

10 sierpnia Dziennikarz włoski, któremu duża i bogata gazeta prowincjonalna powierzyła przegląd krajów Europy Środkowowschodniej „w sześć lat potem”, z Warszawy i Pragi przyjechał do Neapolu przed drugą turą Budapeszt-Buka-reszt-Sofia-była NRD. Otworzywszy gruby notatnik, zapytał mnie o główne niebezpieczeństwo wewnętrzne, stojące dziś przed Polską. Dwa, odparłem, bez chwili wahania, wypowiadając głośno moje ostatnie, milczące refleksje.

Pierwszym jest wybór prezydenta RP. Złe są obie kandydaty o największych szansach: Wałęsa i Kwaśniewski.

Wałęsa okazał się prezydentem nieudolnym, nieobliczalnym, umyślowo ograniczonym, zapatrzonym we władzę jak sroka w kość, traktującym Pałac Namiestnikowski, Rząd i Sejm jak boiska do gry w palanta czy w piłkę nożną. Za

dokonania w przeszłości zasługuje na wszelkie możliwe ordery i honorowe godności, ale nie na ważny dla nas urząd, którego istoty nie jest po prostu w stanie zrozumieć.

Kwaśniewski (cokolwiek by sam o tym mówił) należy do politycznej formacji szukającej powrotu i odzyskania w mniej lub więcej zamaskowanych postaciach. W razie jego zwycięstwa wyborczego ukoronowaniem tego procesu będzie za kilka lat wręczenie Jaruzelskiemu buławy marszałkowskiej, czyli akt ostatecznej „rehabilitacji” starego reżymu. Zmartwychwstanie pogrzebanego rzekomo trupa PRL postawi przed Polakami ostre i dramatyczne dylematy. Albo nie postawi, co stanie się także swoistą, wymowną pieczęcią...

Jeszcze większe jest drugie niebezpieczeństwo, niepojęta decyzja Kościoła przejścia od rozumiałego triumfalizmu z okresu panowania komunizmu i jego upadku do absolutnie dętego „męczeństwa”, pozy „prześladowanych” dzisiaj. Nie chodzi o płotki, o obłąkanego księdza z Gdańska czy jego towarzysza w obłądnie z Radia Maryja. Poza dotarła na szczyt nad szczytami. W Skoczowie Jan Paweł II powiedział: „Zauważa się tendencje do spychania ludzi wierzących na margines życia społecznego, ośmiesza się ich i wyszydza to, co dla nich stanowi nieraz największą świętość”. Gdzie, jak? List Jana Pawła II do Turowicza, z okazji jubileuszu „Tygodnika Powszechnego”, zranił głęboko wszystkich admiratorów jego wielkiego pontyfikatu. Opowiadano mi, że na polskiej kolacji w Watykanie biesiadnicy robili wymówki papieżowi, że ciągle czyta „Tygodnik Powszechny”. „To są moje korzenie”, uciał tytułem wyjaśnienia. Trzeba się obecnie tłumaczyć, i to na papieskim tronie, z niestosownych lektur? Trudno o jaskrawszy przykład absurdałnej sytuacji na obrzeżach „męczeństwa” i „prześladowań”.

Taka polityka przygotowuje stopniowo grunt dla psychologicznej wojny domowej, podziału Polski na dwa bloki, dwa obozy, kościelny i świecki. Ostatnia to, niebezpieczna w najwyższej mierze rzecz, na jaką Polska mogłaby sobie pozwolić nazajutrz po odzyskaniu niepodległości.

17 sierpnia \*s List z Kanady.?”Drogi Panie, znam dość dobrze pana dziennik, czytałem go regularnie i od początku, najpierw w «Kulturze», potem w wydaniach książkowych, nie rozumiem więc, jak mogłem przegapić zapis z 5 grudnia 1973. Los bywa złośliwy, bywa jednak równocześnie dobroczynny (wyjaśnię zaraz i jedno, i drugie), co jest drobnym dowodem, że Pana zmarły przyjaciel Konstanty Jeleński miał słuszość, nie wierząc w istnienie tzw. zbiegów okoliczności, które należy traktować jak niedostrzegalne czasem dla oka zgrubienia podwójnych ściegów w tkaninie naszego życia.

Króciutki zapis z 5 grudnia 1973 opowiada o pana ukrywaniu się, zimą 1940 roku, w Sokółce między Białymstokiem i Grodnem. W Grodnie (jak pana ostrzeżono) groziło panu aresztowanie, uciekł pan zatem do Sokółki, korzystając ze znajomości z tamtejszą nauczycielką szkoły powszechnej. Ulokowała pana na strychu, gdzie pan spędzał całe dni, aby po zaśnięciu jej pięcioletniego synka zejść na dół i podrzemać na siedząco przy piecu. Za dnia synek nauczycielki bawił się przed domem i niekiedy podnosił główkę ku okienku na strychu, jakby coś wiedział

lub czegoś się domyślał. Było w jego wzroku (pisze pan) coś tak przejmującego i żalnego, że wrócił pan do Grodna i ukrył się u przyjaciół na peryferiach miasta. Nauczycielka i jej synek (kończy pan) zginęli po wkroczeniu Niemców do Sokółki. Czyli latem 1941. Do tej ewokacji skłoniła pana wizyta w kościele Świętej Klary w Neapolu, gdzie na jednym z bocznych ołtarzy, nad lasem cienkich jarzących się świeczek, nad wysep-;tH światła, pojawiła się nagle twarz dziecka z Sokółki. i,\* Otóż w rok później, w lutym 1941, zjawiłem się w miasteczku położonym dość blisko Sokółki, bliżej Białegostoku niż Grodna, w identycznych okolicznościach (w miasteczku, powiedzmy, K.); trudno uwierzyć, że tak dokładnie, aż do najdrobniejszych szczegółów, mogą powtarzać się motywy i zdarzenia w różnych życiorysach. Pochodzę z Łucka, nasza grupka konspiracyjna wpadła w oko, na skutek donosu, sowieckiej policji. Jedynym ratunkiem była szybka ucieczka. Przypomniałem sobie, że moja koleżanka (i przez jakiś czas przyjaciółka) z wydziału farmacji Uniwersytetu Warszawskiego po skończeniu studiów w roku 1933 wróciła do rodzinnego K., gdzie jej ojciec miał aptekę. Wiedziałem, że wkrótce po powrocie wyszła za mąż; i że tuż przed wojną zmarł jej ojciec, a powołany do wojska mąż pozostawił ją samą z małym synkiem; i albo zginął, albo skończył wojaczkę w obozie jenieckim. Cudem udało mi się wcisnąć do nocnego pociągu, który szedł okrężną drogą do Białegostoku. Nazajutrz wieczorem, brodząc w zaspach śnieżnych, dobrnąłem do apteki w K. Znajdowała się w samodzielny i izolowany domku, w pobliżu niewielkiego placu. Drepcąc i potupując na mrozie, czekałem na wyjście ostatniego klienta. Ela rozpoznała mnie natychmiast, opanowała błysk strachu w oczach, zamknęła na klucz drzwi od ulicy i zaprowadziła mnie na strych. Jej synek spał już widocznie przy zapalonym świetle, nie słychać było żadnych odgłosów z mieszkania nad apteką. Ela wskazała mi bez słowa stos koców pod pochyłą ścianą dachu. I przyłgnęła do mnie całym ciałem ze łzami w oczach. Po czym wyszła, wciąż bez słowa. Słyszałem jej głos, dochodzący z pokoju mieszkalnego. Malec nie odpowiadał, czyli spał mocno.

Ale zapomniałem o obiecany wyjaśnieniu. Złośliwością losu było moje przeoczenie pana zapisu, tak dla mnie ważnego, przed tylu laty. Równoczesną dobroczynnością losu jest niespodziane odkrycie go, po tylu latach, i wejście w czas dzisiaj, zdawało się, na zawsze utracony i pogrzebany.

Nie zamierzam zanudzać pana szczegółami, tym więcej, że zależy mi na prędkim dobrnięciu do definitywnej kropki. Strych był niegdyś przerobiony na pokój mieszkalny dla pomocnika i subiekta ojca Eli. Zaniedbano go, gdy przejąłszy aptekę, Ela zwolniła subiekta. Ocalały rzeczy najistotniejsze - umywalnia z kranem, wygodka, piecyk elektryczny, który co jakiś czas można było włączać do kontaktu. Urządziłem sobie znośne legowisko pod jedynym okienkiem; wystarczyło unieść się trochę, by zobaczyć odcinek ulicy przed apteką. Ela zamykała aptekę o szóstej, otwierała ją (nie była już właścicielką, lecz zarządczynią) na polecenie władz jeszcze raz o ósmej dla spóźnionych lub pilnie potrzebujących klientów. Kiedy przychodziła do mnie na strych po dziesiątej, aby o świcie wrócić do swojego mieszkania, dokoła domku i w mieszkaniu na półpiętrze panowała absolutna cisza. Przynosiła mi

jedzenie na całą dobę. Czekałem cały dzień na jej przyjście, godziny są mniej puste, jeśli wypełni je oczekiwanie. Strach czy tylko stały lęk dwojga osób jest potężną podniętą miłosną. Nigdy już potem (w dwóch kolejnych małżeństwach!) nie byłem tak szczęśliwy i na nowo zakochany, jak biorąc w ramiona Elę pod kocami. Nie rozmawialiśmy, poza cichymi zaklęciami miłosnymi. Zdołałem jej jedynie szepnąć raz na ucho, że z nadejściem przedwiośnia spróbuję przemknąć się do Lwowa, miasta mojej dalszej rodziny, bądź do Warszawy, miasta moich licznych przyjaciół uniwersyteckich. Za całą odpowiedź przycisnęła się do mnie z desperacką siłą skazanej na porzucenie, na zgubę. Miała synka, co oznaczało, że nie miała swobody wyboru.

Synka widywałem często przez okienko, bawił się cierpliwie na ulicy przed apteką. Czasem mogłem zobaczyć dokładniej jego twarzyczkę, cudownie anielską, z kręconymi lokami nad czołem, pewnie dziełem i chlubą Eli. I w myślach nazywałem go Aniołek. Byłem pewien, że nic nie wie o lokatorze strychu, nigdy nie spoglądał w górę. Nigdy aż do ostatniego dnia marca. Przed apteką zatrzymali się dwaj młodzi oficerowie NKWD, jeden z nich podniósł chłopczyka i przycisnął do piersi jak własne dziecko. Aniołek poderwał główkę w stronę strychu, wyciągnął wskazujący palec rączki i coś powiedział. Na chwilę ujrzałem jego anielską twarzyczkę ze złym, zaskakującym u dziecka, starczym grymasem ust. Oficerowie wpadli na strych i sprowadzili mnie na dół z wykręconymi do tyłu rękami. W więzieniu grodzieńskim dowiedziałem się przypadkowo, że aresztowano również na krótko Elę, zamknięto i opieczętowano aptekę, ale później darowano jej winę, przywrócono posadę i zwrócono dziecko. Powędrowałem jak pan z więzienia do łagru. Nasze dalsze dzieje były podobne.

Twarzyczka Aniołka nie ukazała mi się ani razu nad świeczkami ołtarzowymi w kościele. Należał do dzieci opisanych w słynnej powieści Williama Goldinga *Lord of the Flies*. Ten list (za który raz jeszcze przepraszam) kieruję do autora *Portretu weneckiego*, widzącego niekiedy Zło im-manentne także w sferach ziemsko-niebiańskich, w domenie dziecięcej i chłopięcej niewinności. Serdecznie pozdrawiam, Z.T."

25 sierpnia Jest moim obowiązkiem przepisać w dzienniku (powiem później dlaczego) refleksję historyka francuskiego Francois Fureta z książeczki *Prawdziwy koniec Rewolucji Francuskiej*. „Piszę pod koniec wiosny 1977 roku, w okresie, kiedy krytyka sowieckiego totalitaryzmu i w ogóle wszelkiej władzy powołującej się na marksizm, przestała być monopolem lub quasi-monopolem myśli prawicowej, a stała się centralnym tematem lewicy. Jeśli już mowa o tych historycznie relatywnych grupach, jakimi są prawica i lewica, ważny jest nie fakt, że krytyka lewicy ma większy ciężar gatunkowy niż krytyka prawicy, odkąd po zakończeniu drugiej wojny światowej lewica zajmuje pozycję kulturalnie dominującą w kraju takim jak Francja. O wiele bardziej liczy się fakt, że aby krytykować ZSSR czy Chiny, prawica nie musi zmieniać żadnego elementu swego dziedzictwa: wystarczy, że pozostaje w obrębie myśli kontrrewolucyjnej. Tymczasem lewica musi zmierzyć się z danymi kompromitującymi jej system poglądów, który powstał w tej samej epoce co system

poglądów prawicy. Właśnie dlatego tak długo się przed tym wzdragala; właśnie dlatego jeszcze dzisiaj tak często woli raczej latać gmach swoich przekonań, niż stawiać historii pytania na temat swych tragedii. Ale na razie nie to jest ważne. Ważne jest to, że kiedy lewicowa kultura zgodziła się zastanowić nad faktami - to znaczy nad nieszczęściem, jakim jest doświadczenie komunistyczne XX wieku - w zestawieniu z wyznawanymi przez siebie wartościami, musi zająć krytyczne stanowisko wobec swej własnej ideologii, swoich interpretacji, swoich nadziei, swoich racjonalizacji. To w tej kulturze tworzy się dystans między historią i Rewolucją, gdy to ona wierzyła, że cała historia jest zawarta w obietnicach rewolucji”.

W dalszym ciągu Furet zauważa, że intelektualny „mechanizm zabezpieczający” lewicy zaczął się sypać po ukazaniu się Archipelagu Sołżenicyna. Kwestia Gułagu stała na forum historii jako najgłębszy cel rewolucji. „Dzisiaj Gułag zmusza do ponownego przemyślenia Terroru, którego cele mogły być identyczne”.

Nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że wieloksiąg Sołżenicyna stanie się punktem zwrotnym w dziejach zachodnioeuropejskiej lewicy. We Francji jest to wyjątkowo jaskrawe, lewica komunistyczna lub „poputczikowska”, zwłaszcza uniwersytecka, z dnia na dzień zmieniła radykalnie front; przyszli historycy inteligencji francuskiej zmuszeni będą poświęcić Sołżenicynowi osobny rozdział. We Włoszech proces potoczył się inaczej, z bardzo prostego powodu: w przeciwieństwie do komunistów i komunizantów francuskich, włoscy zignorowali Archipelag, odmówili jego czytania. A rozwiązali starą partię i założyli nową (unikając w jej nazwie słów „komunizm” czy choćby „socjalizm” na rzecz „lewicy demokratycznej”) ze względów czysto pragmatycznych: skończyły się dywidendy polityczne (i nie tylko) potężnego bloku wschodniego, sądzę nawet, że w bliskiej przyszłości zniknie nawet „lewica demokratyczna”; zastąpi ją jakaś inna, bardziej strawna nazwa bez kłopotliwej „lewicy”.

Na własnym przykładzie mógłbym pokazać „ewolucję” lewicy włoskiej, podobnie jak francuska „kulturalnie dominująca” (według wyrażenia Fureta) we własnym kraju. We Francji musiałem czekać trzydzieści lat na wydanie Innego Świata, bo największe wydawnictwa - formalnie „niezależne” - poprzetykane były lektorami z formacji „kulturalnie dominującej”. We Włoszech czteroletnia stała współpraca z największym dziennikiem „Corriere della Sera” (za redaktorstwa Spadoliniego, późniejszego premiera i potem marszałka senatu) sprawiła, że przyczepiono mi etykietkę „faszysty”: no bo jakże - emigrant z „socjalistycznego kraju”, zaproszony do „Corriere” z miesięcznika „socjal-zdrajcy” Silonego. W zeszłym roku, odbierając w Viareggio wysoką nagrodę literacką, musiałem w trakcie ceremonii podziękować uściskiem dłoni dwudziestu członkom jury. „Jeszcze kilka lat temu - pomyślałem na estradzie - osiemnastu z owej dwudziestki nie podałyby mi w ogóle ręki”. A teraz? Umizgi „demokratycznej lewicy” do tradycyjnej prawicy przyprawiają o mdłości. Wiceszef byłej partii komunistycznej, Veltroni, za swojego politycznego mentora uważa prezydenta Kennedy’ego. Szef, d’Alema, wydał



właśnie książkę Normalny kraj. Ideałem spadkobierców Rewolucji Październikowej jest „normalność”, bez zbyt wyraźnego podziału na „lewicę” i „prawicę”. W niepamięć poszła i wciąż jeszcze idzie komunistyczna szkoła draństwa politycznego, szybki kurs politycznych rzezimieszków.

Miałem powiedzieć, czemu poczucie obowiązku skłoniło mnie do przepisania w dzienniku dużego fragmentu książeczki Fureta. Prowadzi on bowiem do wniosków, które wielokrotnie podsuwałem czytelnikom mojego dziennika. Że zdechło niesławną śmiercią zwierzę zwane ideologią (no, ale to opisał pierwszy Raymond Aron). Że stopniowo znikają i w końcu znikną zupełnie „historycznie relatywne grupy prawicy i lewicy” (Furet). Czy jednak pozostanie coś po zmarłej lewicy? Czy ludzie przyzwoici będą mogli, jeśli zechcą, mówić o sobie, że mimo wszystko pozostali „lewicowi”? Ktoś zaproponował: „Jak Dostojewski twierdził, że nie można żyć bez nadziei, tak my musimy powtarzać, że nie można żyć bez utopii”. Nieśmiertelny impuls utopii miałby być wyznacznikiem „lewicowości”. Filozof ostrzega: „W dziejach ludzkości nie popełniono nigdy tak wiele Zła, jak wojując (do ostatniego kamienia) pod znakiem utopii Dobra”. A zatem?

A zatem dwa pozostaną jedynie, dwa skromne, lecz prawdziwe, wyznaczniki „lewicowości”. Pierwszy to wrażliwość społeczna, którą programowo niemal wyszydza „realistyczna, wolnorynkowa” prawica. Drugi to przyrodzona alergia wobec wszelkich form nacjonalizmu, tak chętnie i często kokietowanego przez prawicę. Mało? Dość, by mówić o lewicowej mentalności, jak niegdyś mówiło się o mentalności endeckiej (pełna formuła brzmiała wówczas: „Endecja jest mentalnością, a nie stronnictwem politycznym”).

sierpnia Olsztyńska uczona Barbara Fijałkowska wydała opracowaną solidnie, archiwalnie, książkę o dwóch braciach: Bo-rejsza i Różański. W podtytule rzecz określona jest jako „przyczynka do dziejów stalinizmu w Polsce”.

Borejsza zajmuje lwią część książki, ale ja powiem o nim niewiele. Był Mistrzem Korupcji, Arcykoruptorem. Jego stalinizm odznaczał się miękkim, bardzo miękkim podbrzu-szem, nie jest nawet pewne, czy w głębi ducha (zwłaszcza po doświadczeniach hiszpańskich) uważał się wciąż za stalini-stę. Był komunistą „oświeconym”, na powierzonym mu „odcinku literatury” widział w pisarzach raczej przekupnych (i dyspozycyjnych) literatów dworskich niż „inżynierów dusz”. W powojennej ciężkiej sytuacji materialnej jego oferty odnosiły na ogół piorunujący skutek, tym więcej, że kupował wszystkich, chętniej nawet „element wrogi nam z natury i tradycji” od „elementu bliskiego nam klasowo”. Z okazji jego wyprawy rekonesansowej do Londynu Stefania Zahorska nazwała go trafnie „łowcą dusz”. A łowił na smaczne przynęty, mało która ryba odpływała dumnie, zobaczywszy haczyk w skrawku narodowej słoninki. Jego działalność zostawiła trwałe ślady, jeśli „październikowy” Mieczysław Jastrun tłumaczył mi w Rzymie, że przywileje i korzyści materialne pisarzy są „zdobyczą socjalizmu”, której „będziemy bronić do upadłego”.

Prekursor „socjalizmu z ludzką twarzą” miał brata, policjanta rozmiłowanego w zadawaniu wymyślnych tortur uwięzionym, o skłonnościach sadystycznych, który

„stalinowską (krótszą) drogę do socjalizmu” stawiał wysoko nad „rodzimą (znacznie dłuższą)”. Fijałkowska nie stosuje wobec niego w zasadzie taryfy ulgowej, jakkolwiek przypomina często czytelnikowi o „specyfice epoki”. Powołuje się tu między innymi na Jerzego Wiatra: „Stalinizm, będąc jednym z wcieleń totalitaryzmu, różnił się jednak dość zasadniczo od hitleryzmu. Dla moralnej oceny obu tych systemów - powiada Wiatr w piśmie Rakowskiego «Dziś» w roku 1990 - szczególnie znaczenie ma fakt, że hitleryzm jawnie i otwarcie głosił idee antyhumanitarne, natomiast stalinizm maskował swój z gruntu antyhumanitarny charakter pseudohumanistyczną ideologią... O ile przekonany nazista popełniał najgorsze zbrodnie, pozostając w zgodzie z głoszona doktryną, o tyle dziesiątki lub setki przekonanych, często fanatycznych stalinowców przeżywało w jakimś momencie (bardzo późno, pięć minut przed dwunastą - przyp. niój) kryzys sumienia, gdyż zdawało sobie sprawę, że między doktryną a praktyką ma miejsce zasadniczy rozbrat”. Na pewno nie przeżywał go Różański, powtarzający z uporem w sądzie: „Teoria walki z terrorem to nie jest teoria Różańskiego. I bicia na śledztwie nie wymyślił Różański. Tak myśmy się uczyli, tak nas uczyli”. Całą prawdę powiedział Jasienica: „Nie bronię Różańskiego. Twierdzę natomiast, że nie tylko on i jemu podobni odpowiadają za stworzenie atmosfery moralnej, w której mogło rozkwitać gang-sterstwo, ubrane w pozory prawa”. Może „gangsterstwo” połączy „jawnie antyhumanitarne idee hitleryzmu” z „pseu-dohumanistyczną ideologią maskującą z gruntu antyhumanitarny charakter stalinizmu”? Może dzięki książce Fijałkowskiej, czytanej swobodniej, niż została napisana, zbliżą się do siebie, mimo głębokich różnic w postępowaniu i metodach działania, bracia Borejsza i Różański?

### *1 września,- i;*

Przedruk w „Polityce” zawdzięczam lekturę rozmowy Hansjakoba Stehle z kardynałem Königem (skończył właśnie 90 lat) w „Die Zeit” oraz wywiadu z kardynałem w „Die Presse”. Wszystkie główne problemy, które z całą pewnością staną ostro przed następcą Jana Pawła II, porusza wiedeński purpurat w sposób zdumiewająco śmiały i rozumny: celibat księży, hipokryzyjne rozróżnienie między zabronionym „sztucznym” i dozwolonym „naturalnym” zapobieganiem ciąży, dopuszczenie kobiet do sakramentu kapłaństwa i żonatych mężczyzn do stanu duchownego. Zabawne jest, że König mówi o „aparacie watykańskim” trochę takim tonem, jakim mówiłby o „wszechwładzy aparatu” dymisjonowany ze względu na podeszły wiek członek Politbiura. Nie waha się również odpowiedzieć na Pytania, dotyczące Jana Pawła II: „W rozmowach ze mną przejawiał bardzo wiele zrozumienia dla różnych poglądów jednakże raczej akceptował aspekt klerykalny”; „dla papieża z Polski niewyobrażalne jest zmienianie czegokolwiek, co od stuleci... no właśnie, nie wiem, czy się sprawdziło”. Żadne to rewelacje, ale w ustach kardynała...

Zastanawia, że obie wypowiedzi ukazały się w „Polityce”, a głucho o nich w prasie katolickiej, chociaż Kościół polski ma wobec Koniga znaczny dług wdzięczności. Zapewne w prasie katolickiej uchodzą za głędzenie Ramola

(czcigodnego niegdyś, to prawda, lecz jak wiadomo, zgrzybiałość nikomu nie daruje).

L 6 września Mój przyjaciel Sergio Romano, były ambasador włoski w Moskwie, a dziś jeden z głównych publicystów turyńskiej „La Stampa”, autor posłowania do mojej włoskiej książeczki Controluce, przysłał mi swoją nową książkę *La storia sul comodino*, którą otwiera trzystronicowy szkic Piłat pierwszy i drugi.

Piłat pierwszy jest gubernatorem kolonii, wyciska podatki, utrzymuje porządek, gasi wszelkie ogniska buntu, które mogłyby zagrozić pokojowi regionu. Wie, że Żydzi są kłótlivi, mają naturę kauzyperdów, toteż stara się nie wtrącać do ich dysput teologicznych. Z usposobienia leniwy, chciałby rządzić z umiarem, dając religijnym elitom maksimum autonomii, a sobie zostawiając upragnioną biurokratyczną rolę wysyłania co miesiąc do Rzymu woskowanej tabliczki ze słowami: nic do doniesienia. (Taką tabliczkę, dodajmy, przekazano prawdopodobnie Tyberiuszowi do pałacu imperialnego na Capri po „aferze Chrystusa”). Nie wiadomo, czy wydał sam wyrok śmierci na Jezusa, czy też po prostu „przyjął do wiadomości” wyrok Synhedrio-nu, jak zdaje się sugerować stary Talmud, znaleziony ostatnio w synagodze w ZSSR. Ale Romano bez trudu wyobraża sobie jego stan ducha w tych dniach. Nie ma oporów moralnych przeciw karze śmierci, jest jednak zbyt inteligentny, by nie wiedzieć, że ukrzyżowanie za „zbrodnię poglądów” należy stosować jak najrzadziej. Lecz Synhedrion nalega, twierdzi, że Jezus jest niebezpieczny, grozi rozruchami, prorokuje nieszczęścia. Z cierpliwością pełną rezygnacji Piłat postępuje tak, jak w zeszłym stuleciu postępowali gubernatorzy angielscy w Indiach, kiedy wybuchały zamieszki i rewolty. Jeżeli musicie strzelać - instruowali oficerów - strzelajcie natychmiast do przywódców rewolty, pozwoli nam to oszczędzić życia ludzkie i amunicję.

Piłat drugi przeżywa głęboki kryzys sumienia. Jest zafascynowany Chrystusem, węszy coś nadprzyrodzonego, wyczuwa niesprawiedliwość oskarżeń Synhedrionu. Ale wie, że nie można w Judei rządzić bez współdziałania notabli. Nie chce przejść do historii jako kat Chrystusa, lecz nie chce też narazić się na podwójne ryzyko: zagrożenia pokoju w Judei i zagrożenia własnej kariery. Po długiej walce wewnętrznej postanawia „umyc ręce”. I staje się w ten sposób symbolem hipokryzji, dwulicowości, bojaźliwości. Odtąd Piłat nie jest już imieniem osoby, lecz nazwą winy moralnej. Piłat jest tym, który stanął oko w oko z prawdą i wybrał życie w kłamstwie. Piłat jest tym, który wierzy w ocalenie własnej duszy, opuszczając oczy i udając, że nie widzi. W starożytności próbowano nawet przywrócić mu dobre imię. Tertulian uważał go za kryptochrześcijanina (pro sua conscientia Christianus\*), a kościół koptyjski kanonizował go wraz z żoną Proculą. „Nie trzeba dodawać - kończy Romano - że z dwóch Piłatów drugi nigdy nie istniał”.

Szkic Piłat pierwszy i drugi powstał dość dawno. Kilka dni temu, tuż przed lotniczymi rajdami NATO na pozycje artyleryjskie Serbów bośniackich, Romano wrócił do tematu w „La Stampa”, w artykule zatytułowanym prowokacyjnie *Chrześcijanin przez swoje sumienie*.

Pochwała Piłata. Prowokacyjnie w tym sensie, że skierowanym przeciw licznym autorom, którzy w związku z postawą Zachodu wobec jatki w Bośni zaproponowali włączenie piłatowego gestu „umycia rąk” do godła Wspólnoty Europejskiej i NATO. Romano chwali Piłata pierwszego, symbol zdrowego rozsądku i poczucia odpowiedzialności, Piłata „realistę”, świadomego zadań zleconych mu przez Imperatora, wpojonych przez tradycję rządów kolonialnych. Naturalnie gest „umycia rąk” przyjętą wypada jako przekaz dobudowany do Ewangelii, historia bowiem milczy, co zdarzyło się naprawdę w dniu zatwierdzenia wyroku. Bogata literatura o Piłacie jest tworem fantazji: od Prokuratora Judei Anatola France’a, opowiadania, w którym na starość Piłat nie pamięta w ogóle o „incydencie palestyńskim”, do błyskotliwej powieści Rogera Caillois Poncjusz Piłat, w której gubernator rzymski odwołuje ukrzyżowanie i tym samym narodziny chrześcijaństwa.

Nie to jednak jest istotne. Istotne jest, że Romano podważa legendarne (według niego) „umycie rąk” jako rzekomy symbol hipokryzji, dwulicowości, bojaźliwości i pośrednio polemizuje z uznaniem go za syndrom polityki Zachodu wobec masakry bośniackiej. Zdaje się mówić: nic innego, jeśli się jest realistą politycznym, nie można zrobić. I zapomina w krytyce paraleli Piłat-Za-i chód, że Bośnia nie jest kolonią rządzoną przez zachód-1 niego gubernatora, lecz niepodległą republiką formalnie I pod ochroną ONZ i NATO.

Przyjaźń przyjaźnią, trudno mi będzie wybaczyć byłemu ambasadorowi i publicyście włoskiemu ten artykuł. Na szczęście rajdy lotnicze NATO, rozpoczęte nazajutrz po ukazaniu się artykułu Romano (opłacone w ciągu czterech prawie lat stosami trupów w Sarajewie), łagodzą nieco symbol gestu Piłata włączonego do godła Zachodu, przyznając rację Edgarowi Morin: „Niebezpieczny nie jest atak, niebezpieczna jest bezczynność. Interwencję zbrojną uważam za grubo spóźnioną”.

Wreszcie jedno, najważniejsze dla nas: nie zapominajmy nigdy o groźbie „umycia rąk”, o Zachodzie przyrównanym do rzymskiego prokuratora Judei, przebijając niecierpliwie nogami w ogonku do zachodnich „parasoli ochronnych”.

13 września Długi wdzięczności wobec tłumaczy, jakkolwiek wciąż wątpię, czy poezja jest w ogóle przekładalna: wobec Barań-czaka za przekłady z poezji angielskiej, amerykańskiej i rosyjskiej, za przekłady Szekspira i za dobry przekład fragmentów Boskiej Komedi Dantego (po wyczynach Łubień-skiego); wobec Zygmunta Kubiaka za całego Kawafisa i za tom monograficzny o poecie aleksandryjskim.

Starsi panowie znają dobrze pytanie, zadawane sobie w duchu z melancholijnym niepokojem: „Czy się jeszcze kiedyś zakocham?” W ciągu ostatnich lat moje analogiczne pytanie dotyczyło poezji, gdy wspominałem, jak ją kiedyś kochałem; i jak stopniowo pasję zastępował chłód serca, połączony czasem z podziwem - to prawda - ale podziwem zubożniałym i ostygniętym. Coś drgnęło podczas lektury wierszy Świrszczyńskiej, a zapłonęło zimnym ogniem nad wierszami Kawafisa.

Marguerite Yourcenar pisze o „pewnego rodzaju czystym prozaizmie” w poezji Aleksandryjczyka. Nie jest entuzjastką absolutną Kawafisa, słusznie dostrzega u niego również wiersze nieudane i płaskie. Tam jednak, gdzie Kawafis jest wielki, nadaje swojej sprozaizowanej poezji (czy spoetyzowanej prozie) dźwięk o czystości niedościgłej, wydawało się, dla pióra (korzystając po polsku z idealnego ucha Kubiaka). Opowiada. Opowiada nie jak autorzy poematów opisowych lub epickich, którzy odnajdują kanon wierszowanej narracji. Opowiada esencję, nierzadko aforystyczną, dostrzegalną dla oka, lecz z pozoru niewyraźną. Nie jest Przypadkiem, że cytuje się ciągle wiersz Czekać na barbarzyńców, dopasowując go do wszystkich epok. Im częściej recytowany, tym wyraźniej odsłania swoją naturę dziejowej, nieuchwytniej esencji, towarzyszącej historii jak cień cienia. Przed laty zależało mi na napisaniu opowiadania o starych ludziach; chodził mi po głowie jeden z wierszy Kawafisa w roli nieodzownego (dla mnie) zapłonu, ale nie byłem w stanie ani go odnaleźć, ani przypomnieć go sobie w pełnym (króciutkim zresztą) brzmieniu. I oto jest w tomie Kubiaka: Dusze starych ludzi. Osiem linijek, które ja chciałem jak płomyk rozdmuchać w długim opowiadaniu. Minęło. Chwilo, nie jesteś wieczna!

Albo wiersz pod włoskim tytułem Chefece... U grań rifu-to. Dante w tych właśnie słowach napiętnował „wielką odmowę” Celestyna V, trzynastowiecznego mnicha abruzyjskiego, którego na conclave wybrano papieżem. Na dwa lata, po dwóch latach bowiem, przyjrawszy się papieskiemu Rzymowi, papa angelicus, anielski papież, dobrowolnie zrezygnował z tronu Świętego Piotra i umarł w lochach swego „światowego” następcy, Bonifacego VIII (z książęcego rodu Caetanich). Kawafis poświęcił mu wiersz jako przykładowi Nie, którego się nie żałuje i nigdy nie odwołuje. „Ale właśnie to Nie - to słuszne Nie - na całe życie grzebie”. Może jedyny raz zawiodła Aleksandryjczyka intuicja historyczna. Reakcja na piękny dramat Silonego o Celestynie V Przygoda biednego chrześcijanina była dowodem żywości owego Nie po siedmiu stuleciach.

17 września Nieraz już próbowałem rozwikłać zagadkę powodzenia dżumy jako metafory. Dlaczego jest tak często przez pisarzy przywoływana nie w celach czysto opisowych, lecz dla ukazania czegoś innego, pokrewnego? Czego? I pokrewnego w jakim stopniu, na jakim planie, w jakim wymiarze? W przedmowie do klasycznego okazu gatunku, do Dziennika roku dżumy Daniela Defoe, samo osiemnastowieczne arcydzieło uznałem za metaforyczny portret „protagonisty zbiorowego”, ciągnąc tę myśl dalej do powieści Camusa, Muru Johna Herseya, Kroniki lat wojny i okupacji Ludwika Landaua, Zapisków z getta warszawskiego Emanuela Ringelbluma, własnego Innego Świata. A przecież mógłbym być wzbogacić jeszcze listę, wpisując na nią choćby moje opowiadanie Dżuma w Neapolu. Temat każdej z wymienionych pozycji zdawał się lepiej widzialny poprzez przenośny obraz dżumy: od kroniki kryzysu społeczeństwa angielskiego, poprzez drugą wojnę światową w oczach Camusa, okupację niemiecką u Landaua, getto u Ringelbluma, sowiecki wszechświat koncentracyjny w Innym Świecie, stan wojenny w Dżumie w Neapolu.

Odpowiedź na intrygujące mnie pytania znalazłem w odczytanej na nowo wielkiej książce Tocqueville'a Dawny ustrój i rewolucja. Nadzwyczajnej przenikliwości wymagał następujący fragment: „Kiedy mieszczanin został dokładnie odcięty od szlachcica, a chłop od szlachcica i mieszczanina, kiedy analogiczne dzieło dokonało się w łonie każdej klasy i każda z nich podzieliła się na małe grupki, niemal tak samo od siebie izolowane, jak jedna klasa od drugiej - wówczas okazało się, że całość społeczeństwa stanowi już tylko jednorodną masę, ale jej części nie są już ze sobą powiązane. Żadne organizmy nie mogły już krępować rządu, ale żadne też nie mogły mu pomagać. Tak dalece, że cały gmach wielkości władców mógł od razu runąć w chwili, kiedy ruszyło się społeczeństwo stanowiące jego fundament”.

Nazwałbym to pożywką „dżumy społecznej”, w której Tocqueville widział jedną z przyczyn wybuchu Rewolucji Francuskiej, mimo że sytuacja gospodarcza kraju szła raczej ku względnej poprawie. Jeszcze lepszym, precyzyjniejszym określeniem byłby „kryzys życia zrzeszonego”, główny atrybut prawdziwej dżumy, jak wykazuje włoska jej badaczka, Giulia Calvi, porównując i analizując wszystkie kolejne epidemie w Europie. I „dżumę społeczną”, gwałtowny „kryzys życia zrzeszonego”, niosą ze sobą okresy przed-rewolucyjne, wojny, okupacje, instytucje totalitarne, stany wyjątkowe (nawet w wypadkach majstersztyków typu Jaruzelskiego). Rozkleja się stopniowo i kruszy spoiwo społeczne, pozostaje jednorodna masa złożona z izolowanych, nie powiązanych już ze sobą części. Człowiek zmuszony jest żyć osobno, unika większych wspólnot, co właśnie potrafili pokazać wymienieni przeze mnie na wstępie autorzy. Rodzi się pokusa spojrzenia z tego punktu widzenia na społeczeństwo postkomunistyczne. Zadanie dla pracowitych i bystrych socjologów, dla obserwatorów i analityków z rodu autora Dawnego ustroju i rewolucji. Moje dwie, zbyt niestety krótkie podróże do Polski, pozwoliły zakiełkować pewnym podejrzeniom, jakkolwiek niewątpliwy był postęp gospodarczy (niektórych warstw społecznych). Ale nie miałem jeszcze poczucia rozkwitu życia zrzeszonego, jednorodnej masy zmierzającej do podziału na żywe grupy społeczne, chociaż lata uniformizacji komunistycznej („dżumy społecznej”) powinny były pchnąć w tym właśnie kierunku. Przyszłość pokaże, czy „ruszy się społeczeństwo stanowiące fundament władzy”, czy zadrży „gmach wielkości władców”.

29 września Znam Irinę Aleksiejewnę Iłowajską Alberti od wielu lat. Poznałem ją w Rzymie, gdzie długo mieszkała przed wyjazdem do Paryża. Wspólnie, z jej inicjatywy i na podstawie posiadanych przez nią materiałów, rozegraliśmy i wygrali bitwę przeciw włoskiej telewizji, która ośmieliła się ocenzurować długą rozmowę z Siniawskim. Nasza akcja, nagłośniona przez prasę, oparła się o parlament włoski. Nasze zwycięstwo nie miało chyba precedensów w dziejach nadużyć, fałszerstw i chytrych włoskiego obozu „postępowego” (czyli komunistycznego lub komunizantckiego): telewizja zmuszona była nadać po raz drugi rozmowę z Siniawskim w pełnym brzmieniu, bez ani jednego cięcia. Jeszcze dzisiaj dziennikarz rzymski, odpowiedzialny za operację nożyc cenzorskich, przechodzi na drugą stronę ulicy na mój widok.

Potem Irina Aleksiejewna objęła w Paryżu redakcję tygodnika „Russkaja Mysi”. Spotykaliśmy się często, zachodziłem niekiedy do redakcji, nasza przyjaźń okazała się trwała. Z bliskich Sołżenicynowi Rosjan na emigracji była z nim najbardziej zżyta, broniła go zawzięcie i inteligentnie przed małodusznymi zaczepkami rosyjskich emigrantów, podziwiała go i czciła tak jak Jana Pawła II (to ona zresztą towarzyszyła pisarzowi podczas jego pamiętnej wizyty w Watykanie), trzy lata spędziła w Vermont jako jego sekretarka znająca świetnie liczne języki.

Z tym większą uwagą i z zaufaniem przeczytałem przedwczoraj jej artykuł w znanej gazecie włoskiej (Irina Aleksiejewna mówi i pisze bezbłędnie po włosku) na temat odebrania Sołżenicynowi stałej pogadanki w moskiewskiej telewizji. Pod jej piórem nie może wchodzić w grę żadna płaska niesprawiedliwość, tak rozpowszechniona i z taką lubością uprawiana wobec autora Archipelagu. Nie ma mowy, by jej nie wierzyć, by ją posądzać o uproszczenia, spłylenia czy zniekształcenia.

Irina Aleksiejewna potępia słusznie sposób, w jaki Ostan-kino pozbyło się Sołżenicyna; nawet zwolnionemu z pracy woźnemu okazuje się zazwyczaj więcej względów. Co nie przeszkadza, że przyjaciółka pisarza wskazuje nieustannie pogarszanie się jego wygłaszanych co dwa tygodnie piętnastominutowych pogadanek. Główne zarzuty dadzą się skondensować w czterech punktach. Po pierwsze, pogadanki Sołżenicyna zagubiły po drodze dawny ładunek profetyz-rou i wielkiego oratorstwa. Po drugie, przestały się zwracać do inteligencji rosyjskiej, którą pisarz ocenia coraz kry-ycniej, stały się natomiast naiwnymi kazaniami do tzw. A U” „^° trzeciej> jego sen o wielkiej zmartwychwstałej Kosji przesłonił mu obraz rzeczywistości rosyjskiej. Po czwarte, los mniejszości rosyjskich w niepodległych republikach (Ukraina, Kazachstan) zamazywał mu położenie i an» tyrosyjskie urazy tubylczych większości w tych republikach. Zauważono, że jego wywiady dla prasy zagranicznej pr wyższały jaskrawo to, co miał do powiedzenia Rosjanom! Ponieważ „Russkaja Mysi” drukowała regularnie ostankińskie pogadanki telewizyjne, mogę w pełni potwierdzić surc wąż, lecz przepojoną respektem (jeśli nie podziwem) opinid Iriny Aleksiejewny.

Respekt (jeśli nie podziw) - taka musi być postawa każ! dego obiektywnego sądu o Sołżenicynie. A tymczasem wej szło w modę, od chwili ciągłego wzrostu jego znaczenia i ro li, hasło „huzia na Sołżenicyna”. Nie mówię oczywiście sowieckiej nagonce propagandowej, odkąd stało się jasnej że jest „nie do złamania czy kupienia”. Ani o drobnych i zał wistnych literacikach, którzy przy byle sposobności starali się go oczerniać, a nawet znieważać. Chodzi o ludzi o dul żym, lub co najmniej znaczącym, ciężarze gatunkowym! Dwa przykłady.

Andrzej Walicki urządził sobie mały, prywatny jarmarłj próżności, ogłaszając w przekładzie na polski listy otrzymane w ciągu dwudziestu lat od Sir Isaiaha Berlina. Jest kwe-ł stią smaku, czy adresat epistoł ulepionych z lukru, miodu (z domieszką wazeliny) powinien się nimi publicznie chwa-j lić, zwłaszcza że prócz niepowstrzymanej gradacji kompł kmentów niewiele w nich ciekawego dla czytelników z zej wnątrz. Ostatecznie to sprawa niedopieczzonego wida<ł

historyka (wybitnego), która dotyczy tylko jego, Berlina i redaktora warszawskiego czasopisma. Ale przynajmniej Walicki mógł był publikację listów-laudacji ograniczyć do duserów pod jego adresem, darując czytelnikom kopniaki poniżej pasa wymierzane innym. Sir Isaiah Berlin jest jednym z moich ulubionych pisarzy, znakomitym eseistą i historykiem, trudno mi więc było powstrzymać się od rumieńca wstydu (za niego), kiedy czytałem jego na niczym nie oparte i niewiarygodnie prostackie (u pisarza tej rangi) charakterystyki Sołżenicyna i Pasternaka. Niech mi będą oszczędzone cytaty, właśnie jako admirałowi błyskotliwego, uczonego i wytwornego (zdawało się) Sira z Oxfordu.

Nowelistka rosyjska Tatiana Tołstoj, zdaje się, że dość popularna w Ameryce, postanowiła się rozprawić z dwoma esejami Sołżenicyna Jak odbudować Rosję i Rosyjska kwestia pod koniec XX stulecia. Nic w tym dziwnego, przeciwnie - nieraz wypada przyznać rację nowelistce, bystrzejszej od „myśliciela i proroka”, którego publicystyka historyczna często budziła sprzeczności. Ale ton! Począwszy od tytułu Spektakl Sołżenicyna; poprzez przyrównanie autora Archipelagu to do głupawego, starego emeryta na ławeczce w parku miejskim, to do telewizyjnego bufona. Panna Tołstoj wymienia co prawda półgębkiem zasługi i pisarskie walory Sołżenicyna, polemizuje z nim jednak (na temat owych dwóch esejów) w sposób urągający zasadom elementarnego respektu. Może wyszłoby jej na zdrowie pamiętać, że w jakimś stopniu przełom dokonany w literaturze rosyjskiej (eks-so-wieckiej) umożliwił takim jak ona swobodną produkcję no-welek. Może zrobiłoby jej dobrze cofnięcie się myślą w przeszłość, do epoki jej wielkiego przodka, czczonego przez wyznawców i szarpanego bez umiaru przez przysięgłych, zaciekłych denigratorów.

Ex voto Palazzi w swoim wielkim słowniku wyjaśnia: „Ex voto - przedmiot ofiarowany Bogu, Madonnie, świętemu, jako podzięką za otrzymaną łaskę, per grazia ricevuta”. Zanim w kaplicy (czy małym kościele) San Vincenzo obok Dragonail poznałem głębiej rolę i wymowę ex voto, szybki i powierz-1 chowny rekonesans odbył się był wiele lat wcześniej w to-1 warzystwie Kota Jeleńskiego. Nie pamiętam daty, lecz było I to na pewno wkrótce po moim osiedleniu się w Neapolu. I Kot przyjechał do nas na kilka dni. Znał miasto dobrze, spędził w nim zaraz po wojnie trzy lata z rodzicami. Znał I i uwielbiał, ulicę Tribunali uważał za najpiękniejszą na świecie. Dopiero teraz, z jego korespondencji z Jerzym Gied-1 royciem widzę, że planował napisanie książki o Neapolu.

Nazajutrz po przyjeździe, uświetnionym dwulitrową bu-1 tłą wina (Kot pił wino jak wodę), powiedział: „Chodź ze | mną jutro na Spaccanapoli, pomożesz mi wykonać polecenie Leonor”.

Spaccanapoli znaczy „ulica rozłupująca Neapol” i jest główną, najstarszą arterią miasta, równoległą do Tribunali. Rozłupuje je rzeczywiście na dwie części, biegnie od dworca do kościelnego wzgórza u stóp San Martino. Nazwa jest potoczna, ludowa, a nawet gwarowa, gdyż składa się na nią szereg krótkich odcinków różnie nazwanych, nanizanych jak kawałki mięsa na drut w szaszłyku. Kiedyś, w średniowieczu, były to uliczki cechowe, pozostał z nich tylko Święty Błażej, patron księgarzy, dawniej raj molów książkowych. Na odcinku ochrzczonym dziś



nazwiskim Crocego (bo tam właśnie mieszkał w pałacu Filomarino, dzisiaj siedzibie Instytutu Studiów Historycznych), od placu Jezusa i kościoła Świętej Klary do placu Świętego Dominika (gdzie w dawnym klasztorze dominikańskim ocalał balkonik, z którego według legendy wygłaszał do wiernych kazania święty Tomasz z Akwinu), panowali prawdopodobnie niegdyś złotnicy, czyli była to również uliczka cechowa.

Resztki złotników, jubilerów, srebrników (jeśli tak ich można nazwać) uchowały się do dzisiaj. Polecenie Leonor Fini było najłatwiejsze do wykonania w sklepikach przedmiotów srebrnych. Kot zaczął ich obchód, za każdym razem rzucając od progu słowa *ex voto*. Sklepikarz wykładał na ladzie wykute w srebrze miniatury fragmentów ciała ludzkiego: ręce, nogi, głowy, serca, wątroby, torsy, piersi, brzuchy, plecy. Kupowano je, aby w upatrzonym na ten cel miejscu w niektórych kościołach złożyć, wraz z nazwiskiem i paroma słowami ofiarodawcy, podziękę Bogu, Matce Boskiej, świętemu za cudowne uzdrowienie chorej części ciała. Czy zawsze było ono „cudowne”, nie wiem. Jak nie wiem, i nigdy nie próbowałem się dowiedzieć od Leonor w latach naszej zacieśnionej przyjaźni po śmierci Kota, do czego jej były potrzebne owe *ex vota*. W obrazach, które mi pokazywała podczas moich wizyt w jej pracowni malarskiej, szukałem jakichś drobnych choćby śladów tego tajemniczego zamiłowania. Nie znalazłem ich nigdy. Nie znalazłem ich też na stołach i stolikach, na których leżały potrzebne jej rekwizyty malarskie. Słuszne więc będzie, jeśli jej tajemnicze zamiłowanie uznam po prostu za sekret właśnie, nie do ujawnienia postronnym. Czy znał ten sekret Kot? Jedno pamiętam: wybierał srebrne drobiazgi w milczeniu, po czym zakupione *ex vota* (a było ich sporo) zamknął szczelnie w skórzanej torebce i wciąż milczący zaciągnął mnie pasażem Świętego Grzegorza Armeńskiego na swoją ukochaną ulicę Tribunali. Tam ochłonął jakby, rozmawialiśmy o wszystkim z wyjątkiem jego „spełnionej misji”.

Na dobrą sprawę kościółkowi czy kaplicy San Vincenzo\ zawdzięczałem kupno dragonejskiego domku. Byłem na niedzielnej wycieczce z przyjacielem w Vietri koło Salerno,[siedzibie przemysłu ceramicznego. Drogę wyprowadzającą! z Vietri w kierunku osiedli nad zatoką znały rozmaite! strzałki. Jedna z nich była większa od pozostałych i obwiesz-1 czała dumnie San Vincenzo XIII secolo. Nie omija się, nawet! we Włoszech, zabytków z XIII wieku. Pojechaliśmy samo-1 chodem za tą strzałką. Powtarzała się na każdym niemal[rozstaju, co miało zapewne oznaczać wagę historyczną miejsca. Przejechaliśmy obok wielkiego cmentarza na zboczu górskim, który - jak się okazało - obsługiwał cały rejon łącznie z Vietri. Potem wjechaliśmy do Dragonei. Za szka-1 radnym rynkiem miasteczka droga poderwała się do góry,j zobaczyłem z niej czerwony domek na uboczu, otoczonyj kępami drzew i krzewów. Coup defoudre: „Gdybym za mc je oszczędności miał coś kupić, to tylko ten domek”, powie-1 działem do przyjaciela. Odmruknął: „W drodze powrotnej! zatrzymamy się u faktora” (zatrzymaliśmy się istotnie, do-j mek jako leżący zbyt na uboczu, prawie na odludziu, bezj dojazdu, zaniedbany i wydzierzawiony przez właściciela z Cava dei Tirreni dragonejskiemu chłopu, który obrócił gc w oborę na dole, sianem zapelniwszy górę, domek - powta-j rzam - był na sprzedaż, i to za niską

cenę). Tymczasem jed-ż nak wspinaliśmy się dalej za wielką strzałką. W San Vincen-1 zo kończyła się droga. Była ślepa.

Zaiste, trudno tu było mówić o „historycznym zabytku”. Mały kościół (czy raczej duża kaplica) pochodził wyraźnie z zeszłego stulecia, świadczyły o tym fałszywe ozdoby barokowe, wyjątkowo brzydkie. Mur był w wielu miejscach pęknięty, szerokie rysy wskazywały bliską ruinę, jeśli nie zostanie szybko podjęta próba wzmocnienia i restauracji. Wnętrze było jeszcze brzydsze od wystroju zewnętrznego, pełen złocień zupełnie przypadkowych, jakby bezmyślnie chlapaniętych. Ale ołtarz był „czynny”, wyjaśniono nam potem, że msze odbywały się w każdą niedzielę, natomiast wrota były zawsze uchylone dla „zwiedzających” i dla okolicznych mieszkańców (przeważnie rolników) skorych do modlitwy w dzień powszedni. „Zwiedzających” w cudzysłowie, bo nic tam nie było do „zwiedzania”. Nie można było nawet powiedzieć, że kościółek stał na tej samej ziemi od XIII wieku, skoro okresowe i często katastroficzne obsuwania się ziemi z nawisłego wzgórza pokrywały miejsce coraz to nowymi warstwami. Słowem, tylko żółta tabliczka z blachy mydliła łatwowiernym oczy owym „XIII stuleciem”.

Kościółek (czy kaplica) oskrzydłony był z lewej strony niskim i dość długim budynkiem z identycznymi oknami w równym szeregu. Był to klasztor benedyktyński, a właściwie lokalny odprysk benedyktyńskiego opactwa w Cava dei Tirreni. Przeniesiono tu kilkunastu zakonników, którzy uprawiali rozległe pole tytoniowe, to znaczy dzierżawili je od monopolu państwowego i po zbiorze dojrzałych liści tytoniu otrzymywali za swój trud płacę od państwa, przekazywaną do kasy opactwa. Kiedyś na ubitym twardo placu pod kościółkiem (czy kaplicą) stały także ule, źródło słynnego miodu benedyktyńskiego, przylegające do zakonnej winnicy. Lecz skończył się niesławnie ten okres świetności i obfitości, plac przemienił się stopniowo w ogromne łożę dla przygodnych kochanków, którzy zwykli tu przyjeżdżać w sobotę i niedzielę wieczorem z Salerno i Vietri. Podczas mojej pierwszej wizyty chodziły już słuchy o zwinięciu benedyktyńskiej filii i powrocie zakonników do opactwa w Cava. Wypada dodać, że zakonnicy z San Vincenzo przychodzili tradycyjnie w niedziele na msze w kościółku (czy kaplicy), w tygodniu zaś modlili się przed własnym ołtarzem w sali rekreacyjnej za progiem klasztoru.

Kiedy osiedliłem się w dragonejskim domku, krążyły natarczywiej jeszcze pogłoski o bliskim zamknięciu klasztornego dependance w San Vincenzo i „repatriacji” zakonników do ojczystego opactwa w Cava. Nie było to widać takie j t łatwe i proste, minęły bowiem dalsze trzy lata w zawieszeniu. W trzecim roku, na początku lipca, rozeszła się wiadomość o rychłej likwidacji klasztoru i przeprowadzce zakonników w połowie sierpnia. Wraz z tą wiadomością benedyktyni od Świętego Wincentego rozesłali do miejscowości w sąsiedztwie drukowane obwieszczenia: od dwóch dziesięcioleci klasztor w San Vincenzo przyjmował i pod kluczem zabezpieczał ex vota przynoszone z okolic; teraz, opuszczając jego mury, zakonnicy postanowili urządzić w sali rekreacyjnej wystawę podziękowań za otrzymaną łaskę, składanych przez cudownie uzdrowionych u stóp

Boga, Madonny i wybranych świętych; uzdrowieni, okazawszy odpowiednie dowody złożenia niegdyś dziękczynnego pokłonu, będą mogli na własne życzenie, ku „wiecznej rodzinnej pamiętce”, odebrać swoje ex vota.

W ciągu tego sierpniowego, upalnego tygodnia codziennie, tuż przed zachodem słońca i orzeźwiającym powiewem zmięzchu, chodziłem na wystawę w sali klasztoru.

Niezapomniana wystawa! Po tylu latach pamiętam cztery ściany obwieszane srebrnymi ex voto, które niekiedy świeciły zagadkowo w blasku zachodzącego słońca, wdzierającego się do wnętrza przez dwa długie okna po obu stronach ołtarza. Każda wykuta w srebrze część ciała ludzkiego zaopatrzona była w pisemne i rysunkowe podziękowanie per grazia ricevuta, za otrzymaną łaskę. Dolcissimo Gesu, Ama-tissima Mądre di Dio, Carissimi San Yincenzo lub Sant'An-tonio (najczęściej), Warn zawdzięczamy powrót do zdrowia, modlitwami odpłacimy tę łaskę. Pod tekstami rysunki, zwłaszcza dzieci, kolorowymi kredkami, czasem nieporadne i prymitywne (lecz wzruszające w swoim prymitywizmie sztuki dziecięcej), niekiedy mozolnie wypracowane pod surowym (jak można było przypuszczać) spojrzeniem rodziców czy starszych braci i siostr. Mieniły się na ścianach srebrne wizerunki i wielobarwne laurki dla Władców Nieba; zdarzało się, że rozbrzmiewały bezgłośnie jak dziękczynny chóralny hymn. W kącie sali siedział benedyktyn przy stoliku, czekając na osoby zdecydowane odebrać swoje ex vota. Ale nikt się nie zgłaszał. Tkwiła w tym, rzecz jasna, podskórna obawa, by nie zakłócić niebiańskiej pomocy i nie spowodować nawrotu uleczonej choroby.

Wystawa otwarta była do późna, do dziesiątej, z zapadnięciem ciemności więc okna po obu stronach ołtarza sączyły nie strumień gasnącego słońca, lecz lunę pożarów. Był to rok szczególnie „piromański”, w płomieniach stały wszystkie niemal wzgórza na horyzoncie, między lasem nad Dragoneą i położonymi w dole osiedlami wzdłuż autostrady. Co jakiś czas ciszę przerywał swoim terkotem helikopter-gaśnica.

Wracalem do mojego domku po zamknięciu wystawy, oświetlając latarką dziką ścieżkę wśród krzaków i pagórków. W jedną całość łączyło się widowisko czerwonych płatów ognia w oddali i srebrnej lekcji anatomii w klasztornej sali. Z tarasu, pod okrągłą lampą księżycy, towarzyszyłem wzrokiem grupkom osób schodzących szosą z wystawy w kierunku Vietri. Noc stawała się wolno czarno-światlistym kosmosem, w którym kołatały się z brzękiem drobne, srebrzyste części ludzkich ciał.

Od pierwszej wizyty na wystawie zwróciłem uwagę na ex voto zupełnie wyjątkowe. Przede wszystkim nie towarzyszyło mu żadne piśmienne-rysunkowe podziękowanie. Okrągły srebrny medalion wisiał samotnie na srebrnym łańcuszku nad drzwiami wejściowymi. Wisiał dość wysoko, ale był tak sugestywny, że przyciągnął mój wzrok. Na srebrnym, gładkim tle główka dziewczynki, jak ucięta siekierą, z najeżonymi, sterczącymi na wszystkie strony włosami w formie loków podobnych do węży. Przywodziła na myśl głowę Meduzy, jednej z Gorgon, uciętą przez Perseusza. Twarz nie była zanadto wyrazista, ale można w niej było dostrzec

regularną urodę ledwie zakwitającej dziewczynki. Nie wolno od srebrników wymagać za dużo, wykuwają wizerunki, a nie portrety.

Trzymając się zasady *ex voto*, należało w medalionie widzieć podziękę za uleczenie głowy - jedyny na wystawie eksponat, w którym ta część ciała wyrażała wdzięczność „Bogu, Madonnie, świętemu” (żeby sięgnąć do słownika Palazziego). Poza mną nikt nie spoglądał na goły skrawek muru nad drzwiami. Raz tylko zdarzyło mi się usłyszeć strzęp rozmowy i zobaczyć palec skierowany w stronę medalionu. Clara, Clara - mówiła kobieta do swojej towarzyszki - *la maledetta di Salerno*. Klara, Klara, przeklęta z Salerno. Rozległ się chichot i w odpowiedzi zamiast słowa *maledetta* padło słowo wypowiedziane cicho i z lękiem w świętym przybytku.

Wystawa, według drukowanych obwieszczeń, miała się skończyć w sobotę wieczorem. Postanowiono jednak przedłużyć ją do porannych godzin niedzielnych, przed zwykłą cotygodniową mszą w kościółku (czy kaplicy). Przyszedłem jako jeden z pierwszych. I nie żałowałem tego. Było jeszcze pusto, ale przed drzwiami wejściowymi sali klasztornej stały trzy osoby, wpatrując się w srebrny medalion. Starszawa para i w środku trzymana pod rękę czternastoletnia może dziewczynka, w której natychmiast domyśliłem się modelu *ex voto*: te same wężowe, naelektryzowane jakby włosy, ta sama twarzyczka o regularnych rysach, osowiła jednak i bez wyrazu, żałosny cień nawet wizerunku na medalionie. Miała wzdęte nad wiek piersi i na pół spuszczone, senne oczy, więc ona jedna nie wpatrywała się w płat muru nad drzwiami. Widocznie z trudem chodziła, bo starszawa para (rodzice lub krewni) nie wypuszczała jej rączek, prawie wlokąc ją za sobą. Mężczyzna zostawił dziewczynkę z kobietą, a sam podszedł do stolika zakonnika w kącie i poprosił o zwrot *ex voto*. Zakonnik pogrzebał w papierach i na kartce wypisał coś w rodzaju pokwitowania: Clara Minor i, Salerno, Via del Duomo 7. Przeczytałem pokwitowanie, stojąc blisko z boku. Zakonnik postarał się o drabinkę i nie bez trudu zdjął z gwoździa medalion. Mężczyzna, z pomocą kobiety, włożył dziewczynce na szyję medalion, jakby chodziło o pamiątkę pierwszej komunii dużych rozmiarów. Dziewczynka stała posłusznie obojętna, nieruchoma, apatyczna, z rączkami przywartymi do ciała. Nie podniosła i teraz oczu. Na dobrą sprawę, o tym, że jest wbrew pozorom żywa, świadczyły jedynie nastroszone włosy, tak ostre i kłujące, jak gdyby w nich skupiła się cała jej wola życia. Trójka wyszła z sali klasztornej i nie czekając na mszę niedzielą w kościółku (czy kaplicy), zaczęła wolno schodzić boczną i pustą drogą do Moliny, powiązanej autobusem z Salerno.

Po dragonejskich wakacjach letnich wróciłem do Neapolu, wśród zajęć i wyjazdów za granicę wyblakł epizod *ex voto* u Świętego Wincentego. Przypomniał mi go w dwa lata później swoim opowiadaniem mój jedyny przyjaciel saler-nitański, Alfonso T.

Do Salerno mam stosunek alergicznej niechęci, to bogate miasto z brzydkim bulwarem nadmorskim, z nowoczesnymi dzielnicami zabudowanymi w pośpiechu, bez sensu i bez krzty smaku, może się pochwalić jednym tylko zakątkiem, zbyt małym i dwuznacznym w dodatku, by podróżnicy zatrzymywali się w nim dłużej w drodze do Paestum. Mam na myśli resztkę starego miasta z katedrą Świętego

Mateusza Ewangelisty. Skąd dwuznaczność? Stąd, że brudne i zaniedbane otoczenie katedry jest centralą prostytucji o tak zakorzenionych tradycjach, że jej mieszkanki nie wąż się uprawiać latem najstarszego zawodu świata na bulwarze nadmorskim, gdzie ostatecznie więcej miałyby wieczorem okazji i lepsze warunki „mieszkaniowe” na drugiej i szerokiej płachcie plaży.

*Ozdobą szpetnej dzielnicy jest sąsiednia ulica pięknych, eleganckich sklepów, coś w rodzaju rzymskiej Via Condott - Tam znajduje się największy w Salerno sklep jubilera, Jasność mojego przyjaciela, Alfonso T. Ale nie przed skle-Pem jubilera narodziła się nasza przyjaźń. Poznałem go ja-0 amatora archeologa w maleńkim muzeum prywatnym „~ Dziennik... (1993-1996) 449*

na skraju starej dzielnicy. Założył to muzeum i utrzymywał je za własne pieniądze, przy zupełnym braku zainteresowania władz miejskich. Posiadało niewiele gablot ze znaleziskami z okolic Salerno, często pięknymi i drogocennymi. Nazywano niekiedy mojego przyjaciela Pavone, Pawiem, tak bowiem dumny był ze swego muzeum, dumniejszy na pewno niż ze swego jubilerskiego sklepu, do którego zachodził rzadko i na krótko, powierzwszy bratu jego prowadzenie.

Odwiedzałem niekiedy muzeum, w którym zawsze stała na płytce maszynka gorącej i dobrej kawy. A Alfonso zaglądał chętnie do mojego dragonejskiego domku (dziesięć minut samochodem), gustując w rozmowach na tarasie przy szklance wina.

Epizod ex voto odżył, gdy mu z oburzeniem opowiadałem, jak marnieją klasztor San Vincenzo i kościółek (czy kaplica) San Fincenzo: klasztor z wyłamanymi oknami, kościółek (czy kaplica) z drzwiami, które zabito na krzyż deskami. Prosperowało jedynie w dole erotyczne klepisko, gdzie śladów nawet nie pozostawiły benedyktyńskie ule i ładna niegdyś winnica.

Wspomniałem wtedy wystawę ex voto, o której mój przy-, jaciel w ogóle nie wiedział (i zarumienił się ze wstydu). Sa-lernitańskie eksponaty - zapewnił - pochodziły prawdopodobnie z jego sklepu jubilerskiego, prowadzono tam od lat specjalny oddział srebrniczy, oparty głównie na dużym wyborze ex voto. Pamięta może dziewczęcą główkę z najeżonymi niewiarygodnie, drucianymi bez mała włosami? Naturalnie. Clara Minori mieszka z rodziną w dwuizbowej komórce na uliczce równoległej do katedralnego muru.

- Ex vota takich uleczonych części ciała, jak ręce czy nogi, klatka piersiowa czy plecy, są standardowe, jest nimi wypełniona wielka szuflada w moim sklepie jubilerskim; inaczej z dziecięcą główką. Pamiętam dobrze ten wypadek, musiałem bowiem znaleźć modelistę-rysownika i posłać go do mieszkania elektromontera portowego, ojca dziewczynki który zamówił medalion wotywny. Na podstawie rysunkowego modelu nasz argentiere, nasz srebrnik, wykuł podobiznę.

Siedzieliśmy w rogu tarasu, pod dachem z mat, w cieniu co prawda, lecz bardzo jeszcze dusznym o tej popołudniowej porze. Alfonso T., z natury salernitański Obłomow, tęgi i ociężały, nie tak skory do zainteresowania się czymkolwiek poza eksponatami w jego muzeum, podskoczył aż na leżaku i wychylił jednym haustem szklankę wina.

- Rzecz stała się małą sensacją o posmaku skandalu, nie tylko w dzielnicy dokoła katedry, także w całym mieście. Clara była wówczas ośmioletnią dziewczynką, ładną, żywą, wesołą, względnie spokojną. Naraz jakby nowy duch w nią wstąpił, zaczepny, kłótniwy, arogancki w stosunku do rówieśników i rówieśnic w zabawach na podwórku i na ulicy. Doroślała na oczach, także fizycznie. Jej częsta dokuczliwość skłoniła sąsiadów do wystosowania, gdzie trzeba, skargi. Dziewczynkę zbadano i wykryto bezsporne ślady seksualnego abusu, nadużycia. Nie ulegało wątpliwości, że jej ojciec, czterdziestoletni robotnik, gwałcił ją w wielkim rodzinnym łóżu.

- Sądząc z gazet - wtrąciłem - rozkwit pedofilii, seksualnego bezwstydu starszych wobec dzieci, zwłaszcza ojców wobec młodzieńskich córek, rośnie zastraszająco.

- Nie, nie rośnie. Zawsze istniał. I na wsi (przeważnie), i w miastach. I w rodzinach biednych, i wśród ludzi zamożnych, a nawet bogatych. Niedawno czytałem sprawozdanie z osobliwego zjazdu w Zurichu: córki znanych bankierów i przemysłowców, na ogół dziecięte mężatki, wszystkie z dyplomami fakultetów psychologii czy psychiatrii, urządziły trzydniowe sympozjum na temat własnych doświadczeń z ojcami; doświadczeń seksualnej przemocy, czy jaśniej i po prostu: gwałtu. O rodzinach biednych nie warto mówić, bo chodzi o zjawisko nagminne, zarówno na wsi, jak w miastach. Wystarczy przyjrzeć się rodzinnym łóżom w wiejskich chatach czy neapolitańskich bassi. Wszyscy śpią pokotem obok siebie, więc ojciec - słynny tyraniczny padre padrone - robi w nocy z córkami, co chce, a zniszczona matka milczy ze strachu. Boją się również synowie bądź sami przykładają rękę do zbrodni. Tyle że niegdyś nie wolno było o tym nikomu mówić, ani poszkodowanym, ani świadkom, pod grozą wścieklej reakcji ojca, pana najgłębszych sekretów rodzinnych. A dziś „patriarchalne” reguły życia docierają, przez „opiekunów społecznych” lub bezpośrednio z ust ofiar, do policji.

- Jak było z Clara?

- „Opiekunka społeczna” zaalarmowała policję. Ale sprawę zatuszowano, jak - nie wiem. Przypuszczam, że elektromonter portowy umiał zapukać, ze skutkiem, do odpowiednich drzwi. Pewnie wchodziły w grę łapówki. Dość, że pomówienia nagle ucichły, i to całkowicie, z obawy przed agresywnym, gwałtownym ojcem dziewczynki. Nie ucichła natomiast sama Clara, w wieku ośmiu czy dziewięciu lat określana była w sąsiedztwie jako pericolo pubblico, ciężkie włoskie oskarżenie rosnącego niebezpieczeństwa dla otoczenia. Robiła wrażenie małej wcielonej furii w drobnej, niedorozwiniętej jeszcze figurce, tylko włosy zdawały się w pełni wyrażać jej charakter. Nie twarz, łagodna i ładna. Rodzice nie pozwalali swoim dzieciom bawić się z nią, nawet starsi omijali ją na ulicy. Dwukrotnie usiłowała podpalić rodzinne mieszkanie, zbita do krwi przez ojca nie okazywała żadnej skruchy. Śmiała się ojcu w twarz, podpierając się rączkami w pasie, sypiąc najgorszymi rysztołowymi przekleństwami, rzekłbyś: urodzone diable. Przebrała się miarka, gdy pod chwilową nieobecność matki oraz normalną nieobecność ojca i braci zatrudnionych w porcie, w pustym mieszkaniu, udusiła w kołyszce sześciomiesięczne

niemowlę i wrzuciła je do ulicznego pojemnika na śmieci. Po powrocie matki milczała, wypytywana przez nią rozpaczliwie, z krzykiem i płaczem. Codziennie rano mój brat w naszym sklepie podawał mi najświeższe wiadomości. Mieszkał na Katedralnej, w odległości stu metrów od rodziny Minori. Tym razem, rzecz jasna, wkroczyła policja. Clare zabrano do dziecięcego szpitala.

— Odwiedzano ją w szpitalu, który dla niej był właściwie dziecięcym więzieniem?

— Nie, obowiązywał zakaz lekarzy.

Ten zakaz obowiązywał długo, parę miesięcy, tak długo jak badania i deliberacje lekarzy, miejscowych i zapraszanych na konsylia z wielkich miast. Wreszcie wezwano rodziców Clary.

Dowiedzieli się najpierw od szpitalnego personelu, w jakie „piekiełko” (zdrobnienie miało nieco osłabić siłę słowa) dziewczynka zamieniła oddział, na którym leżała. Ręka ordynatora przywróciła zniecierpliwionym, nerwowym gestem pierwotny sens wyrażenia. Z oczu wszystkich obecnych wyzierało PIEKŁO. Zdrobnienie pojawiło się jednak znowu w ogólnikowej diagnozie: E malata la sua testolina; chora jest jej główka. Można zaryzykować trudną operację, innego wyjścia nie ma. Ale wymaga ona pisemnej zgody rodziców. Bez operacyjnej próby zachowanie dziewczynki, a potem dziewczyny nie ulegnie zmianie, bo nie wymyślono jeszcze lekarstwa na takie choroby. I w najlepszym razie dziewczyna pozostanie przez całe życie sama, nie będzie żoną i matką. Natomiast zabieg operacyjny ofiarowuje pewną szansę.

Rodzice podpisali przedstawiony im formularz. Ale nie pozwolono im zajrzeć do pokoju córki. Zdaniem ordynatora, najważniejsze teraz było utrzymanie jej we względnym spokoju.

To wszystko, co Alfonso T. wiedział na pewno. Reszta była mglista, skazana na domysły. Mimo że przyjaźnił się z wieloma lekarzami salernitańskimi, nie udało mu się wycisnąć z nich bodaj kilku słów, na czym polegała ośmiogodzinna operacja. Należało przypuszczać, że była jakąś formą lobotomii. Dlaczego indagowani lekarze, przyjaciele od lat, zmieniali szybko temat rozmów? Czy oznaczało to, że ryzykowny (jak powiedział prymariusz szpitala) zabieg nie przyniósł spodziewanych rezultatów? W każdym razie po dwumiesięcznej rekonwalescencji Clara wróciła do domu. Była więcej niż uspokojona - całkowicie zgaszona. Odpowiadała mniej więcej dorzecznie, choć niechętnie, na stawiane jej pytania, ale w zasadzie wołała milczeć. Chciało jej się ciągle spać. Wstawiono jej do mieszkania osobne łóżeczko. Co rano chodziła do katedry, zapewne wpoił jej to kapelan szpitalny. Trzeba było wmuszać jej jedzenie. Matka myślała ją co jakiś czas w balii, podziwiając urodę jej ciała, które przeskoczyło jakby pięć-sześć lat w rozwoju: była młodą, rozrośniętą, przystojną kobietą o dużych piersiach i miłej twarzy. Miewała już menstruacje. Kiedy odwinęto z bandażu jej zoperowaną głowę (za zgodą ordynatora szpitala), przyciśnięte włosy odgięły się natychmiast i przybrały dawną postać wężowych drutów. To przekonało rodziców, że operacja udała się dobrze. I wtedy właśnie ojciec zaszedł do sklepu jubilera, wracając wieczorem z portu. Alfonso T. stał akurat za ladą w zastępstwie

brata. Za jego radą posłano do dziewczynki medaliera-rysownika. Wielkość medalu pozwoliła nad srebrną główką, podobną trochę do morskiej gwiazdy, wyryć słowa Santissima Mądre di Dio, a na dolnym obrzeżu Per grazia ricevuta.

Alfonso T. miał jeszcze do opowiedzenia epilog, ale słuchałem nie słysząc. Gdybym się nie obawiał, że poczuje się dotknięty, uciekłbym do domu i zostawił go na tarasie samego. Bolesne ukłucie było za trudne do zniesienia. A przecież...

Następnego lata mój salernitański przyjaciel świętował dziesięciolecie swego prywatnego muzeum. Znalazłem się wśród zaproszonych. Na stojąco, w ciasnym pomieszczeniu, wciąż uważając, by nie potraćić gablot, piliśmy szampana po powitalnych przemówieniach burmistrza i właściciela muzeum, po czym grzebaliśmy swobodnie w bajorku prowincjonalnych plotek. Przed dziewiątą pożegnałem się z zebranymi, spieszno mi było na ostatni autobus do Dragonei.

Bliska katedra romańska Świętego Mateusza Ewangelisty była pięknie oświetlona, co mnie skłoniło do zboczenia na chwilę z drogi na przystanek autobusowy. Na ostatnich dolnych stopniach wysokich schodów do katedry siedział ktoś skulony i plecami oparty o mur. Kąt był w ciemnościach, neonowe łuki tam nie sięgały, ich światło padało obok. Ale widać było, natężywszy wzrok, głowę z nastroszonymi włosami. Stałem w bramie kamienicy naprzeciw. Na pustej ulicy pojawił się od strony morza pijany wyraźnie marynarz. Nie zatrzymał się nawet koło zaciemnionego miejsca, nie powiedział ani słowa, wyciągnął tylko rękę. Dziewczyna wstała, wzięła jego rękę i razem poszli w głąb starej dzielnicy. Straciłem niebawem z oczu dwa cienie, ale gdy Clara wstała ze schodów i chwyciła podaną jej rękę, jej głowa weszła na chwilę w ostrą smugę iluminacji. Błysnęło ex voto na jej piersiach. Legenda głosi, że ucięta przez Perseusza głowa Meduzy, jednej z trzech gorgon, kamieniała, ilekroć ktoś na nią spojrzał. Należy wierzyć legendom.

Wrzesień 1995

Neapol, 1 października Za parę dni do Berlina. Przeglądam album fotograficzny Berlin 1918-1933 Thomasa Friedricha.

Berlin równocześnie grubiańsko-ludowy, podminowany rewoltami, strajkami, inflacją, bezrobociem, nędzą, i wyrafinowany, łasy na awangardowe nowinki; miasto opisane w powieści Isherwooda, rozkołysane i rozśpiewane w kabaretach, wylęgarnia pamiętnych filmów, prekursor teatralny, malarski, architektoniczny, filozoficzno-socjologiczny. Obok twarzy przyszłych wielkich aktorek gęby rysowane przez Grosza. Obok czcigodnych potomków patrycjatu mieszczańskiego wściekłe, gniewne tłumy, wyrój najpierw komunistów, potem hitlerowców. Ta barwna i wybuchowa mieszanka nadała Berlinowi charakter serca i pulsu ówczesnej Europy, usuwając chwilowo w cień inne sławne metropolie. Zapewne, Paryż w kolejnej fazie rozkwitu. Ale w Berlinie działo się coś nieokreślonego, tupotowi nóg w demonstracjach ulicznych i na estradach kabaretowych odpowiadały dziwne odgłosy podziemne. Może dlatego do Berlina tak Ignęli uciekinierzy z bolszewickiej Rosji (150 tysięcy osób!), bohaterowie znakomitego Daru Nabokowa? Berlin pokłeskowy, szumny, taneczny i zarazem ponury, zapowiadał Berlin nowej, nadchodzącej epoki - opętany wołą odwetu, dominacji, i ślepo pędzący w stronę



przepaści. Miasto rosło zachłannie na własnych gruzach jutra; bystrzy obserwatorzy i znawcy widzieli to w meandrach wyobraźni. Czy nie tu właśnie, między bladym świtem i czerwoną poświatą zmierzchu, zaczął się Untergang des Abendlandes! Ale album fotograficzny Friedricha urywa się na historycznym roku 1933. Byłem już raz w Berlinie kilka godzin w roku 1984. Pamiętam zmianę warty pod pomnikiem Czerwonej Armii, oglądaną ze skraju Tiergarten. Pamiętam Mur, paskudzony od zachodniej strony antyamerykańskimi sloganami, czyściuteńki na wschodnim odwozie (jak mówiono).;

Krótką podróż do Berlina, 4-10 października Polskie wieczory literackie w berlińskiej Akademie der Kunste: Mrozek, Herbert, ja, Różewicz (miał również być Kapuściński, ale leży w warszawskim szpitalu po wypadku samochodowym). Program opracowała DAAD, z polskiej strony jest (o ile wiem) w rękach Doroty Kerskiej. Jej mąż Basil, którego znam tylko z bardzo dobrych artykułów w „Kulturze”, przyjechał po nas na lotnisko. W drodze z lotniska do hotelu rozmowa podobna do obwąchiwania się dwóch psów. Uderza mnie jego doskonała orientacja w sprawach niemieckich (potem okazało się, że i polskich), trudno mi uwierzyć, że ma zaledwie dwadzieścia sześć lat. Jest synem irackiego lekarza (zamieszkałego obecnie w Berlinie), który studiował medycynę w Poznaniu i tam ożenił się z Polką. „Redaktor Giedroyc - powiada - bardzo lubił Mosul, pisze o tym w swojej autobiografii”. „Ja też - dorzucam - debiutowałem na obczyźnie reportażem Mosul nieznany, który wydrukowano w «Kurierze Polskim w Bag-dadzie»„. Ale pobyt wojska polskiego w Iraku pamięta dziś tylko dziadek mojego rozmówcy. Basil pracuje w berlińskim Instytucie Politologicznym oraz pisuje do spółki z żoną Dorotą (germanistką i polonistką z wykształcenia) w prasie niemieckiej. Kerscy będą odąd najbliższymi nam towarzyszami berlińskich (i okolicznych) spacerów.

W pięciolecie zjednoczenia monachijska „Suddeutsche Zeitung” postawiła diagnozę, zdaje się, że trafną: „Przez długi czas mówiono: dwa państwa, jeden naród; dziś należy mówić: jedno państwo, dwa narody”. Coś podobnego sugeruje hamburska „Die Zeit”, twierdząc, że Niemcy są dziś „zjednoczone, ale nie są razem”. Nad tym „razem” głowią się wszyscy, przekonani w większości, że skok gospodarczy (cyfry wzrostu - czy po prostu pomocy ze strony RFN - istotnie imponują) i rekonwalescencja polityczna dokonają w końcu cudu, czyli urzeczywistnią cel „jednego państwa, jednego narodu”. Nie jest to takie proste: stopniowe (nawet szybkie) wyrównywanie różnic „bytowych” i ustrojowych omija zjawisko o wielkim znaczeniu, znamienne dla byłych „demokracji ludowych”, zjawisko długotrwałej choroby sowietyzacji, które wymaga równie długotrwałej rekonwalescencji; i w którym psychologia i stan umysłu są tak samo (jeśli nie bardziej jeszcze) ważne jak poprawa podarcza i reformy polityczne. Nie, nie chodzi mi o słynną i nadużywaną kukłę homo sovieticus; chodzi mi o sowietyl zację społeczną, obyczajową i moralną (raczej amoralną) i o policyjny styl życia wdrożony i wkorzeniony znacząco odłamom ludności przez lata indoktrynacji i tresury. Wyl dobywanie się z tej choroby potrwa długo, parę pokoleń. W Bonn świętują pięciolecie zjednoczenia, w dawnej NRI pojawiają się transparenty: „Rocznica bez

święta, nie ma | dziś powodu świętować". Zjednoczenie jest małżeństwem z rozsądku, zamożny mąż utrzymuje dość ubogą żonę, zaś w osobnych pokojach. Być może, słowa z *transparenti* znajdą wyraz w przyszłych kartkach wyborczych.

W dzień po przylocie dwie panie z Instytutu Kultury Polskiej w Berlinie, Dorota Paciarelli i Anna Zinserling, zawiozły mnie, moją żonę i Mrożka do wschodniej części miasta (gdzie zresztą, na ulicy Liebknechta, znajduje się Instytut). Najpierw martwe miasto, posowieckie, pokomunistyczne, puste bloki koszarowe niekiedy tylko z otwartymi lub nie zasłoniętymi oknami. Przypuszczalnie siedziby dawnych urzędów, czekające na swoją chwilę *zuriickgebaut*, chyba po przeniesieniu stolicy z Bonn do Berlina. (Żurawie zasłaniają niebo w zachodniej części miasta, we wschodniej jest ich znacznie mniej: ale dostatecznie długo widziałem w Monachium, na początku lat pięćdziesiątych, jak Niemcy pracują, by wiedzieć, że za 10-15 lat Berlin będzie więcej niż stolicą Niemiec). Potem ładny fragment wschodniego Berlina, plac Bebla z tabliczką w miejscu, gdzie hitlerowcy palili książki (na tabliczce zdanie Heinego: „Zaczyna się od palenia książek, kończy się na paleniu ludzi”), fasada Uniwersytetu Humboldta, świeżo odnowione kościoły.

Łazikując przy sprzyjającej pogodzie („jesienna wiosna” utrzyma się do końca naszego pobytu), trafiliśmy do dawnej dzielnicy żydowskiej, którą podobno dobrze opisał starszy brat Bashevisa Singera w powieści *Rodzina Karnowskich*. Tutaj kamienice zdają się już sypać, trudności z ich odbudową polegają na tym, że spółdzielnie mieszkaniowe boją się inwestować, nie wiedząc, czy nie wyskoczy nagle skądś prawowity, cudem ocalały spadkobierca. Na jednym starym podwórku żałowałem, że kiedyś zniknie i pociągnie za sobą w przepaść świat „wczoraj”.

W drodze powrotnej do hotelu starałem się nie patrzeć na okropne ruiny, przeznaczone jakoby do konserwacji ku wiecznej pamięci: Reichstag, Brama Brandenburska. Kto patrzy na kolumnę wystawioną w roku 1871 po zwycięstwie nad Francuzami, ten przekona się, jak ociążali, bez polotu byli Niemcy nawet w momentach triumfu.

Problem przeniesienia stolicy z Bonn wymaga niby cierpliwości i stopniowości (prezydent Herzog już rezyduje w Tiergarten), dlatego głównie, że bońscy urzędnicy przywiązali się już do swoich bliskich domków zamiejskich i myślą o przeprowadzce z niechęcią. Mało jest niestety szans, by stolicę przenoszono właśnie do małych miast, pozostawiając wielkie ich przekłębieniu (coraz bardziej) losowi.

Cieszyłem się na spotkanie ze Zbyszkim Herbertem, ale nie mógł przyjechać. Jego wiersze były czytane przez niemieckie recytatorki i przez miłego Ryszarda Krynickiego (którego pamiętam z *Maisons-Laffitte* i z Poznania).

Obiad w Domu Literatury z Barbarą Richter, dyrektorką DAAD. Jej zdaniem - ma pewnie dobre źródła informacji - NRD przygotowała dokładny plan przejęcia całego Berlina w razie czerwonego pochodu na Zachód. Natomiast nikt o czymś podobnym nie myślał w RFN. Na Zachodzie nie wierzono w zjednoczenie, więcej - nie chciano go. Potwierdzają to w pełni moje nieliczne rozmowy z Niemcami w prosperującym już nieźle, więc zazdrosnym o swój rosnący dobrobyt, Monachium w

latach 1952-1955. Przesadza się z niemieckim poczuciem narodowym. Może działa w podboju, ale szybko wiotczeje na dorobku.

Kurfurstendamm w poobiednim słońcu przypomina skrawek bulwaru paryskiego. Tu gdzieś (Basil Kerski powie mi dokładnie gdzie) mieszkał przeszło dziesięć lat, od 1922 do 1933, Robert Musil i pisał drugi tom Człowieka bez właściwości. Berlin tych lat, sfotografowany przez Thomasa Friedricha, stanowił niezłą przygrywkę „rozkładową” do Kaka-nii.

Mój wieczór w Akademie der Kiinste. Wprowadzał inteligentnie Leszek Szaruga (po niemiecku), aktor ze wschód-nich Niemiec czytał w całości Srebrną Szkatułkę w przekła - i dzie (bardzo dobrym w opinii słuchaczy) Niny Kozłowskiej. i Znam niemiecki z gimnazjum, czyli ledwie, ledwie, a jednak słuchałem uważnie i z przyjemnością, co jest dowodem, że miał trochę racji Jerzy Stempowski, kiedy przy stoliku kawiarnianym w Neapolu zapewniał mnie długo, że prozę należy czytać na głos. Przekonuję się o tym po raz drugi. Pierwsza lekcja odbyła się w teatrze poznańskim, podczas lektury na dwa głosy aktorskie Oka Opatrzności (właściwie przekonuję się po raz trzeci, bo i w Lublinie była wyborna recytacja). Nawet Lidia, która nie zna przecież polskiego (choć twierdzi, że „trochę” zna), była poznańską lekturą przejęta (co prawda, czytała moje opowiadanie po włosku przed naszą podróżą do Polski).

Często teraz zdarza mi się wspominać Stempowskiego, który sporo lat przemieszkał w Berlinie jako korespondent PAT-a. Kochał literaturę i miał niezawodne ucho literackie. Lubił także prorocтва polityczne, nie zawsze jednak przewidywał trafnie bieg wypadków. Zachód 1937, owoc pobytu w Berlinie, był udaną próbą wychylenia się w przyszłość.

Rano spacer, po czym długie wysiadanie w nasłonecznionej kawiarni na Kurdam. Ciągłe obijały mi się o uszy rozmowy po rosyjsku. Ten rejon, aż do kościoła, który celowo pozostawiono w stanie półzniszczenia (zdaje się, że nosi nazwę Gedachtniskirche), uchodzi za królestwo mafii rosyjskiej. Bywa, że to władanie podkreślają nocne strzały przeciw najściom intruzów z firm konkurencyjnych. W sumie jednak, wbrew alarmistycznym reportażom w gazetach całego świata, Berlin robi wrażenie miasta zdumiewająco spokojnego.

Wieczorem spotkanie w Instytucie Kultury Polskiej. Wprowadzał obszernie i wnikliwie Włodzimierz Bolecki, zaproszony z Warszawy. Czytałem krótkie opowiadanie Pierścień. Sala była pełna, w trakcie podpisywania książek mogłem się zorientować, że stali polscy mieszkańcy Berlina stanowili mniejszość. Przeważali przyjezdni okresowi. I to oni nadawali ton po prelekcji Boleckiego i mojej lekturze. Jak w roku 1994 w Polsce, słyszałem w tych pytaniach niepokój, wyraźnie wzmożony w przededniu wyborów prezydenckich. Pytano bowiem na ogół o sprawy polityczne. Kto 0 nie z taką natarczywością pyta, jest zazwyczaj zagubiony i gorączkowo szuka wskaźników, autorytetów. Czyli dwóch rzeczy, które mają dziś w Polsce wydzźwięk farsowy.

Do późna z Włodkiem i Lidią w knajpce blisko hotelu. W przeciwieństwie do restauracji włoskich i francuskich, knajpy niemieckie wydawały mi się zawsze, od

czasów MoV - I nachim, nie tyle miejscem przyjemności gastronomicznej, co miejscem pracy w pocie czoła i reszty ciała. Chóralne śpiewy przed północą są formą zasłużonej odsapki po odpracowanej zmianie wieczornej.

Niedziela, dalej pogoda niemal wiosenna, wyprawa z Ker-skimi do Poczdamu. Po drodze las i jeziora (las „polski”, takich nie widuje się we Włoszech), nad Wannsee - przypominam sobie - popełnili samobójstwo Kleist i jego Henrietta Vogel. Wjechaliśmy na wyspę, którą należałoby nazwać Wyspą Rekinów, przez skojarzenie z Wyspą Pingwinów Anatola France'a. Tutaj, wyjaśnił Basil, pobudowali się hitlerowscy dygnitarze z Goebbelsem na czele, po klęsce ich wille i dworki zajęli magnaci komunistyczni, miłośnicy słodkich soków Kapitału, teraz w historycznej sukcesji kolej na rycerzy wolnego rynku z brelokami na brzuchach i cygarami w zębach. Już wykupują, co można. Kupi któryś z nich, a raczej: sprzedadzą mu, mały dworek myśliwski, pięknie położony, ukryty w zieleni, z dobrym dojazdem? Zaiste myśliwski: uplanowano w nim otoczenie i wybicie do nogi największej zwierzyny, milionów Żydów. Był siedzibą konferencji, poświęconej „Ostatecznemu rozwiązaniu kwestii żydowskiej”, Die Endlösung der jüdischen Frage. Patrząc z zapartym tchem, z biciem serca. Chociaż to śmieszna reakcja, jest czymś rewoltującym idylliczność, uroda miejsca. Na łonie natury („obojętnej”, jak z namaszczeniem mawiają poeci), natężwszy wzrok widzi się „planistów” przechadzających się w przerwach obrad między drzewami, wyteżywszy słuch słyszy się ich zadowolone, euforyczne głosy, wybuchy śmiechu. Majstersztyk łowiecki, takiej obławy z nagonką świat jeszcze nie widział...

W zamku Cecilienhof odbyła się konferencja poczdamska. Lubię oglądać ślady dziejów bardzo starych, które w ruch wprawiają wyobraźnię. Ale co ma do robienia wyobraźnia w tym pałacyku, gdzie z nabożeństwem snują się turyści od Sali Okrągłego Stołu do „medytacyjnych” gabinetów Trzech Wielkich? Że Churchill (a po nim Attlee) przyglądał się melancholijnie wygaszonemu w sierpniu kominkowi? Że chory Roosevelt (a po nim Truman) dusił się w małych pokojach księżnej Cecylii i księcia Wilhelma? Że Stalin obok okna wychodzącego na jezioro podliczał ciągle swoje wojenne łupy? Historyczna nuda, jak nudni byli Wielcy Kondotierzy i Pasterze Ludzkości. Na bezkresnych cmentarzach, popieliskach i gruzach zbudowali pokój, który po półwieczu też leży prawie w gruzach.

Przyjemnie jest pochodzić w ogrodach Sanssouci, wspominając filozoficzne przechadzki Fryderyka Wielkiego i Woltera, nad cudownymi kondygnacjami winnic; lub stanąć nad grobem Fryderyka i grobami jego ukochanych psów.

A jeszcze przyjemniej, czując tętno prawdziwej historii, siedzieć w słońcu na ulicy Brandenburskiej w Poczdamie, patrzeć na ładne kamieniczki niemieckie i holenderskie, zaglądać w głąb wąskich przecznic, grzać się w tłumie niedzielnych mieszczan, którzy tu od pokoleń mieszkają i znają każdy załom w murze, każde okno zasłonięte grubą storą dla stłumienia odgłosów fortepianu. Tu narasta warstwami życie, dopóki pozwalają na to Epokowe Figury w rodzaju gości zameczku księżnej Cecylii.

W przedostatnim dniu Basil Kerski zawiózł nas na Gru-newaldstrasse 13 w dzielnicy Steglitz. Niski domek, gdzie na pierwszym piętrze czy półpiętrze spędził ostatnie miesiące życia (przed przewiezieniem do sanatorium w Kierling) Kafka. Od listopada 1923 do lutego 1924 krótki przedśmiertny okres szczęścia z Dorą Dymant. Chadzał z nią do pobliskiego parku, często bawił się z dziećmi. Historyjkę o tym, jak skomponował bajeczkę dla dziewczynki zrozpaczonej zgubieniem lalki, Dora opowiedziała wielokrotnie. Nawiasem mówiąc, dowiedzieliśmy się od niej niewiele o schyłku życia Kafki. Wątpię zresztą, czy rozumiała jego pisarstwo. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, chciała go przed śmiercią skąpać w mądrości talmudycznej.

Tabliczka na fasadzie domku, wbudowana przez jakieś wiedeńskie ministerstwo, nazywa Kafkę „pisarzem austriackim”. Dlaczego? Pewnie dlatego, że urodził się i wychował w cesarstwie „miłościwie nam panującego” Franciszka Józefa. Zdaje się, że nigdy nie był w Wiedniu.

„Muszę wam jeszcze coś pokazać”, szepnął Basil. To „coś” okazało się koszarowym, brzydkim budynkiem, mieszczącym laboratoria fizyczne. Ale było niegdyś Kaiser - Wilhelm Institut für Anthropologie, główną kuźnicą teorii rasy, w której coraz dłuższe kroki stawiał doktor Mengele, pupilek dyrektora instytutu. Dyrektor ulotnił się zaraz po wojnie, dostał katedrę w Münster. Dopiero w roku 1964 przeszedł na zasłużoną emeryturę. Istnieje bezpośrednio cząca berliński Instytut Antropologii z dworkiem myślim nad Wannsee. Zapewne naukowe wprowadzenie konferencji o „ostatecznym rozwiązaniu” wygłosił sam dyrektor, z uwagi na wysoką rangę uczestników.

Przed wyjazdem do Berlina dostałem dobrze po polsku napisany list od Ludwika Melhorna, który w imieniu Akademii Ewangelickiej Berlin-Brandenburg prosił mnie o zapoznanie słuchaczy niemieckich z „Rolą «Kultury» polskiej w polskiej myśli politycznej”. Melhorn, z wykształcenia matematyk, był działaczem opozycji demokratycznej w NRD z ramienia Kościoła ewangelickiego, oraz członkiem założycielem grupy obrony praw obywatelskich Demokratie Jetzt. W roku 1992 powierzono mu kierownictwo Studium Europy Środkowej i Wschodniej w berlińskiej Akademii Ewangelickiej. Ten rozumny i inteligentny człowiek wie, co robi, do czego w swej działalności zdąża. Opo wiedziałem o „Kulturze” z pomocą Basila Kerskiego i Leszka Szarugi (Szaruga jest teraz stałym współpracownikiem najlepszego miesięcznika niemieckiego „Sinn und Form” tam ma się ukazać moja przedwczorajsza rozmowa z nim). Mówiono mi po wieczorze, że dla słuchaczy niemieckich -

zdaje się, że pochodzących głównie z NRD - dzieje „Kultury” były rewelacją, czymś w rodzaju bajki o żelaznym wilku.

Dzięki Basilowi, którego rzecz zaskoczyła nie mniej chyba niż mnie, odkryłem biograficzno-polityczny profil tłumacza na niemiecki mojego Innego Świata, hrabiego von Einsiedla.

„Kto przełożył na niemiecki Inny Świat?” zapytał któregoś dnia Basil. „Graf von Einsiedel” - odpowiedziałem, widząc na twarzy Basila zdumienie, jak gdyby

usłyszał sensacyjną informację. W pewnym sensie była sensacyjna, jak miałem się przekonać.

Utkwił mi w pamięci ten dzień w Londynie jesienią 1951, nazajutrz po ukazaniu się *A World Apart* u Heinemanna. Rano zadzwonił do drzwi na Finchley wysoki, przystojny mężczyzna w moim z grubsza wieku. Elegancko ubrany, nosił się wyraźnie jak były wojskowy, miał odruch ciągłego wyprężania się i „stukania kopytami” (tak się to potocznie nazywało wśród żołnierzy). Wywołał mnie z pokoju nasz house-keeper, poeta Tadeusz Sułkowski. Siedliśmy w dwójkę w saloniku Domu Pisarzy. „Graf von Einsiedel” - przedstawił się gość. Rozmawialiśmy po angielsku. Czytał moją książkę całą noc, chciałby ją przełożyć na niemiecki. Na początku mojej tzw. „kariery pisarskiej” myśl przetłumaczenia z angielskiego na niemiecki książki napisanej po polsku nie wydała mi się bezsensowna. Spieszyło mi się po prostu. Graf miał na oku dobrego wydawcę, prosił autora o zgodę. Zgodziłem się bez wahania. Książka ukazała się u Kiepenheuera jako *Weld ohne Erbarmen* w roku 1953, bez nazwiska tłumacza. Przełożył ją i wołał nie podpisywać? Czy też zaczął tłumaczyć, a dokończył ktoś inny? W każdym razie przekład był, zdaniem znawców, okropny. Tak okropny, że Karl Dedecius, przygotowując antologię współczesnej prozy polskiej, wołał sam przełożyć wybrany z książki rozdział.

### **30 - Dziennik... (1993-1996) 465**

„Czy pan wie, kto to jest hrabia Einsiedel?” „Powiedział mi o sobie tylko tyle, że jest antyhitlerowskim emigrantem w Londynie, co automatycznie budziło zaufanie i sympatię”. „Przyniosę panu jutro fotokopię hasła o nim w niemieckim *Who is Who* parlamentarnym, *Deutscher Bundestag*”. Wyraz zdumienia nie opuszczał twarzy Basila.

Pisarz. Mieszka w Monachium. Urodzony w Poczdamie. Żona i dwóch synów. Od roku 1939 lotnik myśliwiec. Lata 1941-1942 na froncie rosyjskim. W listopadzie 1942 wstępuje do antyfaszystowskiej grupy oficerów w sowieckim obozie jenieckim. Współtwórca Narodowego Komitetu Wolnych Niemiec i związku oficerów niemieckich. W roku 1947 wraca z niewoli w ZSSR. Po powrocie redaktor gazety sowieckiego zarządu wojskowego. W grudniu 1948 ucieczka z żony sowieckiej. Tłumacz, eseista historyczny. 1947-48 członek SED. 1957-1992 członek SPD. Poseł do Bundestagu od 1994 (z Saksonii).

Po co był w Londynie w roku 1951? Dlaczego zapalał taką miłością do Innego Świata i jak długo trwało to uczucie? Jest jednym z trzech posłów postkomunistycznych w Bundestagu, zamieszkałych w Niemczech Zachodnich. To wszystko, co o nim wiem obecnie.

Suor Strega Trudno odtworzyć życiorys osób, które nie tylko milczą o swojej przeszłości, lecz zdają się świadomie i z uporem zacierać jej ślady. Wiadomo było od niej samej, że niegdyś, przed wstąpieniem do klasztoru, nazywała się Cecilia Ongaro; i że urodziła się w apulijskiej wsi, której nazwy - czemu? - wołała nie wymieniać. Od niej również wiadano, że przywdziawszy habit zakonu karmelitanek bosych między Sieną i Volterrą (po bardzo długim i burzliwym nowicjacie), otrzymała na własną prośbę imię klasztorne Suor Caterina, przypuszczalnie na cześć świętej

Katarzyny Sieneńskiej. Nie było żadnego powodu - do czasu przynajmniej - by wyprawiać się do wsi w Apulii lub na klasztorne wzgórze w Toskanii dla ożywienia szczegółami jej skąpej biografii.

Do czasu przynajmniej... Tym czasem był dzień, w którym zbiegła z zakonu Suor Caterina, mając około trzydziestu lat, osiedliła się w Neapolu obok cmentarza Fontanelle. Zaprzyjaźniony ze mną świeżo antropolog Dagoberto pisał wówczas pracę doktorską o „duszach czyścicowych” (ich główną siedzibą jest cmentarz Fontanelle). Tam poznał byłą siostrę zakonną, która wciąż bezprawnie nosiła habit i posługiwała się klasztorным imieniem. Dyskrecja każe autorowi nie rozwodzić się zbyt nad osobistymi aspektami tej znajomości. Dość, że mój antropolog, zamiast kontynuować swoją uczoną dysertację o Kulcie Czyścica i cmentarnych szczątkach tak zwanych anime in pena w starym Neapolu, bez wiedzy siostry Katarzyny wyprawił się do Alii i Toskanii. Wrócił stamtąd nie zanadto oświecony i równocześnie zawstydzony jakby tą samowolną próbą wtargnięcia do cudzego życia.

Spędziłem z nim wieczór w winiarni wkrótce po jego powrocie. Jeśli mogłem był dawniej w duchu podejrzewać, znając już z widzenia urodziwą eks-zakonnicę, że Dagoberto doceniał w pełni jej wdzięki, to jego opowieść przy szklan-ce wina podważyła mocno moje podejrzenia. Pozostawało pytanie, po co wyrwał tydzień z gorącego okresu przedy-płomowego, ale to pytanie zdawało się nie wiązać z uczuciami mojego przyjaciela. Nikt, wracając z „rekonesansu” podyktowanego głosem czy tylko podszeptem serca, nie wtajemnicza w jego wyniki człowieka zaprzyjaźnionego co prawda, lecz w końcu postronnego. Dopiero później, za sprawą przypadku, odkryłem mój błąd: Dagoberto był już wtedy pierwszym neapolitańskim kochankiem siostry Katarzyny.

Nazwę wsi apulijskiej, gdzie się urodziła, usłyszał pewnie od niej samej w chwilach intymności: Monte Nevoso. Położona u wlotu do lesistego wąwozu, nie dostrzegana przez kartografów, liczyła bowiem zaledwie kilkaset dusz, co miała wspólnego z górą i ze śniegiem? Tyle jedynie, że w surowej porze zimowej rzadki laszek pokrywający wysoką ścianę wylotu z wąwozu zaprószony był szronem, suchą i sypką bielą. Dogoberto bez niczyjej pomocy odszukał chałupę, w której niegdyś mieszkała rodzina Ongaro; nie do końca wyskrobane nazwisko na słupku furtki było znakiem minionych lat. W istocie, starzy umarli po kolei wkrótce po wyjeździe córki, ładnej i tak pobożnej dziewczyny, że nigdy nie rozstawała się z czarną sukienką, obwieszona była medalikami i krzyżykami, a co niedzielę - niezależnie od pogody - chodziła pieszo na przełaj do kościoła w sąsiedniej, dość odległej wsi. Jej starszy brat wyemigrował do Australii. Właściwie czas wymazał niemal doszczętnie pamięć o rodzinie Ongaro, tylko niewielu mieszkańcom Monte Nevoso to nazwisko coś mówiło.

Klasztor w Toskanii (bliżej Sieny niż Volterra) rozłożył się wygodnie na odludnym płaskowyzu, ale połączony był dobrze boczną drogą ze Sieną. Nie chciano nawet wpuścić Dagoberta do środka, furtianka spojrzała nań z gniewnym warknięciem, gdy zapytał o siostrę Katarzynę. „Umarła”

\_\_wykrztusiła wreszcie i zatrzasnęła uchylone drzwi. Było już ciemnawo, więc ruszył drogą do Sieny. W pierwszej napotkanej miejscowości dano mu nocleg w niechlujnym zajeździe. I tam gospodarz opowiedział mu to, co usłyszał od odwiedzających go niekiedy karmelitanek.

Nowicjat siostry Katarzyny był burzliwy, bo wciąż usiło-wała gorliwością, żarliwością wręcz, upokorzyć swe towarzyszki, wyrzucała im „letniość”, umartwiała się z chorobliwą delektacją, opowiadała o swoich „widzeniach” i zapowiadała swoje „cudy”. Korzystała przy tym z bezkarności, będąc słodką ulubienicą powabnej jeszcze przeorowskiej. Potrafiła godzinami leżeć krzyżem u stóp wielkiego krucyfiksu na ołtarzu w przyklasztornym kościele.

Całkowita zmiana nastąpiła, gdy do klasztoru przyjechał z Florencji drugi spowiednik, młody i przystojny ksiądz. Z pobożnej dziewczyny wyszła „czarownica”, zaborcza i zuchwała. W klasztorze nazwano ją Suor Strega. Zaszła w ciążę. Uciekła z klasztoru razem ze spowiednikiem, zdaje się na Sycylię (skąd pochodził). Tu Dagoberto urwał swoją relację, więcej po prostu nie wiedział.

Po co (powtarzam) mu to było, nawet jeśli przyjąć, że jego związek z ekszakonną był czymś głębszym niż łatwy i przelotny romans? Kto jednak powiedział, że wszystkie pytania o zawilości i ciemne węzły ludzkiego losu muszą doczekać się jasnych i jednoznacznych odpowiedzi? Istnieją także pytania - być może przeważają pytania - na które brak sensownych odpowiedzi. I to moje opowiadanie, z wielkimi i częstymi przerwami toczące się od roku 1956, czyli prawie od początku mojego pobytu w Neapolu, aż do kuku ostatnich dni - jest właśnie utkane z pytań bez odpowiedzi. Pierwsze brzmiało: dlaczego kochanek chce od Początku zaraz wiedzieć dokładnie, kim jest partnerka jego miłosnej przygody? Drugie należałoby sformułować tak:

dlaczego, ledwie jego badania naukowe zostały uwieńczone doktoratem z antropologii, opuścił Neapol nie pożegnawszy się ani z przyjacielem (tzn. ze mną), ani z kochanką? Dlaczego, mówiąc otwarcie, uciekł w popłochu z Neapolu? By nigdy doń nie wrócić, chociaż tutaj się urodził i miał liczną rodzinę.

Zanim wszakże do tego wyjazdu czy do tej ucieczki doszło, zabrał mnie na cmentarz Fontanelle w roli uczonego przewodnika. Spędziliśmy tam całe popołudnie wiosenne, a o zmierzchu namówił mnie na wizytę u mieszkającej w pobliżu siostry Katarzyny. Mówił o niej na przemian Suor Caterina i Suor Strega.

W latach trzydziestych włamywacze neapolitańscy upla-nowali skomplikowany podkop, który miał ich zaprowadzić do podziemnych kas Banku Świętego Ducha (Banco di Santo Spirito). Bierze pokusa użycia zwrotu nomen omen. Kopiąc po nocach według prowizorycznych rzekomych map, włamywacze dokopali się do obszaru działania Ducha Świętego, nie był to jednak Duch Święty patronujący włoskiemu bankowi. Trafili mianowicie na długi korytarz, obelkowany na tyle, że wytrzymał - pod stałą groźbą zawalenia się - napór pokrywającej go ziemi. Usiany był, a właściwie wypełniony po brzegi, aż do połowy ścian, ludzkimi czaszkami, piszczelami, a niekiedy wręcz szkieletami, które oparły się jakoś rozpadowi na części składowe. Niedoszli włamywacze stali się więc



archeologicznymi odkrywcami. Rozpoczęte natychmiast prace odsłoniły cmentarz podziemny, którego centrum stanowił duży okrągły plac z chodnikami czy wykutymi w ziemi i skale szybami po bokach, na całym obwodzie. W owych szybach właśnie leżały czaszki i piszczele w bezładnych stosach. Także na placu walały się ludzkie kości. Nie ulegało wątpliwości, że mieszkańcy miasta ujrzeli ziemskie szczątki zmarłych na cholere podczas epidemii z roku 1836. Cmentarzowi nadano nazwę Fontanelle.

Istotą duchową cmentarza był anonimat, odkopano przecież resztki osób nieznanymi, nie posiadających imienia i nazwiska. Dusze ich zatem uznano za czyścicowe, przebywające wciąż jeszcze w czyścicu - anime in pena albo anime di purgatorio. Co z kolei pozwoliło nawiązać z nimi łączność, ustanowić dialog z umarłymi. Ustanowiwszy zaś dialog z umarłymi, z zaświatem, można było za pośrednictwem bezimiennych czaszek, dusz przebywających w czyścicu, prosić o wstawnictwo: o pomoc w przeciwnościach życiowych, w miłości, w cierpieniach czy dolegliwościach, o wsparcie niedołączonych, o ulgę w brzemieniu starości, o cudowne uleczenia z chorób, o interwencję w codziennych zmaganiach z losem, o drobne nawet fawory, jak uśmiech fortuny w grach na loterii.

Fontanelle, jeszcze w trakcie robót wykopaliskowych, stały się cmentarzem suplik - błagań głośnych i dramatycznych, próśb cichych i skromnych. By żywszy i trwalszy nawiązać kontakt z umarłymi, by zaświaty zobowiązać dotykalnie do wejścia na nowo w świat, neapolitańscy pątnicy nadziei poczęli przywłaszczać sobie bezpieczeństwa czaszki i kości. Na ogół każdy wchodzący w obręb cmentarza wiedział, gdzie ma szukać swojej upatrzonej czaszki, powłoki duszy czyścicowej, i szedł prosto do miejsca, gdzie ją poprzednio zostawił. Bywali jednak i tacy, co niezbyt ufali swej pamięci wzrokowej, i objęte w wieczne posiadanie czaszki zamykali w przyniesionych z domu gablotach szklanych, opatrzonych nazwiskiem (i adresem!) właściciela oraz zamkniętych na kluczyk. I jedni, i drudzy wizytę na cmentarzu Fontanelle zamieniali w wielogodzinne obcowanie z umarłymi przed wiekiem na cholere. Czyścili dokładnie czaszki (a czasem i piszczele), całując je co chwile; przemawiali do nich, wyliczając swoje supliki. Jak gdyby wierzyli, więcej? jak gdyby byli pewni, że dusza czyścicowa umarłego odzywa na czas krzątania się wokół czaszki oraz rozmowy z nią. W niektórych ścianach szybów powolny upływ stulecia unieruchomił całe szkielety, wmurował je tak szczelnie, że nie można ich było oderwać bez naruszenia, rozbicia, pogruchotania. One to, owe szkielety wmurowane w ściany, cieszyły się zwłaszcza upodobaniem młodych dziewcząt, wierzących pewnie, że zakłęcie miłosne, słowny lubczyk, łatwiej trafi do szkieletu postaci ludzkiej niż do samej czaszki. Dagoberto zaprowadził mnie do podziemnego chodnika, szczególnie obfitego w szkielety w ścianach. Najwięcej tam było dziewcząt, nierzadko młodzieńskich i ładnych, które wspinały się na palce, by wraz z namiętym prawie pocałunkiem naszeptać czaszce swoją sekretną prośbę.

Dagoberto doktoryzował się u znanego etnologa neapoli-tańskiego, autora książki (przełożonej na wiele języków) o magii i czarnoksięstwie na południu Włoch. Wybrał cmentarz Fontanelle jako temat swego doktoratu. Wiedział o nim wszystko,

jego komentarz towarzyszący oprowadzaniu płynął jak dobrze na pamięć wyuczona lekcja. Byłoby ponad moje siły powtórzyć wiernie wszystko, co mówił. Mógłbym czasami sięgać do jego książeczki opartej na pracy dyplomowej. Niestety, po tylu latach zapadł mi się gdzieś egzemplarz, a poszukiwania w księgarniach i na wózkach nie dały rezultatów.

Zmierzch zapadł szybko i równie szybko przechylił się w stronę wieczoru. Było ciemno, gdy zgodnie z obietnicą stanęliśmy przed bramą kamienicy w zaułku i zaczęliśmy się powoli wspinać krętymi, wąskimi, nie mytymi od wieków schodami na ostatnie, szóste piętro. Ciężki smród, docho- dzący z mieszkań w klatce schodowej, uniemożliwiał swo- J bodnę oddychanie i postoje, dla złapania tchu, na podestach Nareszcie dzwonek. Słysząc było energiczne kroki z daleka mieszkanie siostry Katarzyny, choć ciasne, wychodziło nd maleńki taras. Otworzyła nam drzwi w habicie. I w habicie ludzie widywali ją do końca, w różnych okolicznościach nie nazbyt stosownych dla takiego stroju, nie mógł to więc być ciągle ten sam habit; albo miała w szafie zapas, albo zamawiała je w razie potrzeby u krawcowej. Ciekawe, że od pierwszej chwili jej habit skojarzył mi się ze zbroją błędnych rycerzy, o których Cervantes pisze, że za dowód słabości uważali, rzadko jej ulegając, „rozpancerzanie się” przed pójściem na spoczynek.

Usadowiła nas obok siebie na wyliniałej kozetce, sama zaś usiadła na drewnianym niewygodnym zydlu obok spartańskiego (na oko) i schludnie zaślanego łóżka. Że była urodziwa, wspomniałem już po zobaczeniu jej z daleka. Słowo „urodziwa” było nijakie po zobaczeniu jej z bliska. Była piękna. Krucze, opadające na ramiona włosy były oprawą twarzy niezwykle sugestywnej, zarysowanej jak w portrecie malarskiego mistrza, o czarnych, ogromnych i przenikliwych oczach, o wysokim czole i kształtnym nosie. Kiedy stała tyłem do nas obok kuchenki w kącie, a jeszcze bardziej kiedy poruszała się zwinnie po pokoiku przygotowując dla nas poczęstunek, uderzała mimo habitu jej figura, zgrabna zarazem i muskularna. Ale największą ozdobą były oczy, przenikliwe, głębokie, ostentacyjnie śmiałe i świdrujące rozmówcę, zapalające się niekiedy zimnym płomieniem, oczy, które coś bez przerwy i stanowczo mówiły. Habit nosiła jak chlamidę czy swoisty szlafrok: u zakonnic nie widuje się przeważnie piersi, u niej tam właśnie tkwiła cała jej, nieomalże wyzywająca, fizyczność.

Nie rozmawialiśmy właściwie, wymienialiśmy strzępy uwag o cmentarzu Fontanelle, widocznym dobrze z tarasu w świetle i księżycu, i latarni ulicznych dokoła placu. Raz Suor Strega, Siostra Czarownica, mówiąc o cudownych czaszkach i czyścówych duszach, zdawała się tracić panowanie nad swoim spokojem i ulegać niespodzianej fali gwałtowności. Wpatrzony w nią wtedy, nie byłem w stanie obronić się przed napływem obrazów z Czarownicy Micheleta.

Po godzinie stało się jasne, że jestem di troppo, jak to określają Włosi, że jest „o mnie za dużo”. Zabrałem się do wyjścia. Na okamgnienie miałem pokusę przytrzymania jej dłoni dłużej. Z moim przyjacielem, nie podejrzewając tego oczywiście, zegnałem się na zawsze. Pamiętam cień lęku w jego twarzy.

Wyjazd (czy ucieczka) Dagoberta przerwał moje zainteresowanie cmentarzem Fontanelle. Jeśli mam być zupełnie szczerzy, odpychała mnie ta cudotwórcza kostnica, skoro nie oczekiwałem w moim życiu żadnych cudów i nie wierzyłem w kontakt z moimi umarłymi. Stało się natomiast po mojej wizycie na Fontanelle, coś dla mnie nieznośnego. Moich umarłych widywałem przelotnie w snach, teraz zaś wyparły ich całkowicie obrazy z cmentarza neapolitańskiego. Postanowiłem położyć temu kres, a kiedy zdarzało mi się przechodzić lub przejeżdżać koło Fontanelle, odwracałem machinalnie głowę w stronę ulicy po przeciwnej stronie. Nie było chyba kwestią przypadku, że zawsze mój wzrok zatrzymywał się na kamienicy, w której mieszkała Suor Strega. Byłem nią zafascynowany po tym jedynym spotkaniu? Czy w jakiś przedziwny sposób w jej osobie skupiła się moja wizja odkopanego przed wojną Nekropolu?

Zapewne i jedno, i drugie, ale w trzy lata później, czyli około roku 1960, obie rzeczy - Suor Strega i Nekropol neapolitański - zrosły się ze sobą tak ściśle w rzeczywistości, że podział dokonany w mojej wyobraźni okazał się bezużyteczny.

W pewnym sensie wolno powiedzieć, że była zakonnica Siostra Czarownica, zasiadła na tronie w królestwie dusz czyścowych i śladów ich pobytu na ziemi. I to właśnie usiłował łowić mową okrężną i aluzyjną - jak gdyby zabobonna ostrożność miarkowała i powściągała jego słowa - zasugerować dziennikarz naszej południowej gazety w całostronijowym reportażu ilustrowanym Fontanelle e la sua Padra na łamach kroniki miejskiej. Władczyni, Pani cmentarzowa. Na czym to polegało? Przeczytałem reportaż trzykrotnie, z wypiekami na twarzy, nie był jednak dostatecznie jasny; rzeczywiście miało się poczucie, że ręka piszącego drżała podczas pisania. W każdym razie dała się od biedy wyłuskać istota sprawy opisanej przez dziennikarza.

Suor Strega - już powszechnie tak nazywana, ale według mnie Strega oznaczała dla ludzi raczej Czarodziejkę niż Czarownicę - zadomowiła się na cmentarzu i zdołała bywalców Fontanelle przekonać, że: po pierwsze, tylko ona umie dobierać stosowne czaszki dla osób pragnących je posiadać; po drugie, tylko ona jest zdolna nawiązać dialog ze światem umarłych za pośrednictwem dusz czyścowych; po trzecie, tylko ona potrafi przekazywać prośby i życzenia pątników nadziei tak, by w większości - przynajmniej w większości - były spełniane. Reportaż nie usiłował nawet wnikać w sposoby ekszakonnicy (wciąż występowała w habicie i obecnie obwiązywała go dodatkowo sznurem, na którym wisi różaniec), istniały jednak najwidoczniej dowody jej powodzenia we wszystkich trzech punktach, skoro rosły nieustannie szeregi jej adulatorów, a próba władz usunięcia jej z cmentarza wywołała niemal „bunt wiernych”; poturbowano w nim przedstawiciela urzędu konserwacji zabytków i dwóch policjantów. Suor Strega wywalczyła sobie status nietykalności. I posunęła go niebawem (świadomie, jak sądzę) do granic fanatycznej weneracji.

Zjawisko trwało i wzrastało się dzień po dniu przez dwa lata. Kiedy zaczęło nagle wygasać - z początku stopniowo, po czym w przyspieszonym tempie - w naszej lokalnej gazecie spierano się, co było powodem tego zwrotu. Jedni

przypuszczali, że mało jej czarnoksiężskie powodzenie, budząc to niechęć, to coś więcej wśród jej zwolenników. Drudzy powoływali się na okoliczność mało znaną, na to mianowicie, że Suor Strega nocą w jednym wygodniejszym nieco cuniculum przesypiała się z wyławianymi za dnia przystojnymi mężczyznami. Nie ukrywając tego, przeciwnie, co moim zdaniem świadczyło, że miała na oku rolę raczej Czarownicy (jaką znamy z książki Micheleta) niż Czarodziejki - Natomiast jej wierni, wpatrzeni w nią z zaufaniem, ba z oddaniem, pragnęli czegoś wręcz odwrotnego; wierzyli Czarodziejce, wzdragali się na widok Czarownicy.

W każdym razie jej fama (żeby nie powiedzieć: otaczająca ją specyficzna aura świętości, z pewną domieszką akcentów demonicznych) słabła. Doszło do tego, że ją znieważano, że Wrzucano nieczystości do jej miłosnego cuniculum, że któregoś dnia kamieniami przepędzono ją z cmentarza. A najważniejsze, że całkowicie zaprzestano szukać u niej rad, i wsparcia i czarodziejskiego pośrednictwa. Czyli odebrano jej jedyne źródło dochodów (kiedyś obfitych). Miała zapewne oszczędności z okresu lat tłustych, toteż mogła jeszcze stawić czoło pierwszym latom chudym, snując się w okolicach Fontanelle, czasem ośmielając się przekroczyć bramę cmentarza, jakby liczyła na nagłe odwrócenie się losu. Rzadziej i rzadziej wspominało o niej w kronice miejskiej naszej gazety. Aż do ostatniej notatki *petitem*, z której czytelnicy dowiedzieli się, że Suor Strega, zwracając swoje mieszkanie właścicielowi kamienicy, zawiadomiła go o swoim wyjeździe na Sycylię; tam podobno miała synka.

Popłynęły lata, które jak wysoki przypyływ morza pochłonęły cmentarną wiedźmę (bo i takie znaczenie ma słowo *strega*). Cała zresztą dzielnica zmieniła swój dawny charakter. Zamknięto (wymógł to Urząd Ochrony Zabytków) Fontanelle, dopuszczając publiczność tylko raz w tygodniu na kilka godzin popołudniowych. Zamknięto, na tych samych zasadach, kościół Santa Maria delia Sanita ze schodami prowadzącymi do katakumb, gdzie również odkopano *teschi miracolosi*, cudowne czaszki zmarłych na cholere w roku 1836. Jeden z najwybitniejszych dziejopisów Neapolu wypowiedział zdanie, obecne potem na ustach licznych świątłych mieszkańców miasta: „Dajmy wreszcie spokój duszom czyścicowym i kościom naszych przodków, które kryje ziemia; do odrodzenia niech prowadzą nasze żywe dusze i nasze żywe ciała”. Kardynał arcybiskup Neapolu, proszony o skomentowanie tej maksymy, odepchnął ją wyniosłym milczeniem.

Płynęły więc lata zapomnienia, do rzadkości należały w kioskach popularne broszurki o Suor Strega. A jednak nie umarła na Sycylii jako matka, może żona i może babka. W maju zeszłego roku zobaczyłem ją obok bramy Fontanelle, siedzącą na ziemi z głową opuszczoną między kolana, w podartym habicie na skurczonym i wysuszonym ciele;

o twarzy pomarszczonej i zmiętej, o wyblakłych oczach, z uchylonymi wargami, które pozwalały dojrzeć kilka żółtych zębów; siwą swoją i skudłaną głowę podnosiła na krótko tylko wówczas, gdy o dno metalowej miseczki uderzały monety wrzucane przez przechodniów. Byłem może jedynym przechodniem, który ją rozpoznał. Wątpię jednak, czy po tylu latach, czterdziestu prawie, ona rozpoznała mnie. Coś zaświeciło się i natychmiast zgasło w jej ledwie widzących oczach,

utrzymała podniesioną głowę dłużej trochę niż zwykle, ale nie drgnęła nawet, gdy powitałem ją głośno słowami Suor Caterina, a ciszej słowami Suor Strega. Wrzuciłem do miseczki jeszcze jedną monetę. Nie podnosząc już głowy spomiędzy kolan, szepnęła: Che Dio ti benedica, niech Bóg ci pobłogosławi.

Po letnich wakacjach pojechałem celowo metrem na Fon-tanelle. Pod bramą, po obu jej stronach, siedziała para żebraków, która mimo datku nie umiała (lub nie chciała) nic powiedzieć o poprzednicze.

A przecież raz jeszcze spotkałem się z eks-zakonnicą. Mój znajomy pisarz neapolitański, obarczony liczną rodziną i na skraju nędzy, dostał od zarządu miasta synekurę w postaci dyrektorskiego stołka (i mieszkania służbowego) w przytułku dla biednych starców pod wezwaniem Świętego Januare-go. Przytułek - zbieg okoliczności! - znajdował się w połowie drogi między Fontanelle i kamienicą, w której kiedyś mieszkała Suor Strega. Przed Bożym Narodzeniem nowy gorliwy dyrektor zaprosił w odwiedziny do domu starców szereg zawodowych grup z miasta. Włączono mnie na jego życzenie - choć nie należę do neapolitańskiego syndykatu ludzi pióra - do grupy pisarzy i dziennikarzy. Obeszliśmy wiele sal na dwóch ostatnich piętrach przytułku, sal podobnych do siebie jak krople wody: gołe ściany, po dziesięć łóżek w sali, zatęchłe powietrze, owinięte z głowami postacie ludzkie pod brudnymi kołdrami albo kocami. W każdej sali, na znak dany przez dyrektora klaśnięciem w dłonie, głowy wychylały się wolno i niechętnie z nakrycia. W niektórych salach pensjonariusze siedzieli na krzeselkach pod ścianami, kiwając się bezustannie jak w żydowskich modłach, lub stali w miarę wyprostowani twarzami do ścian (wbrew uprzedniemu nakazowi dyrektora). Właśnie wtedy zobaczyłem po raz ostatni Siostrę Czarownicę, leżała na łóżku z odsłoniętą głową. Na mój widok nie drgnęła ani jedna zmarszczka na jej twarzy, tylko oczy otworzyły się szerzej. Leżała może wśród starców, kobiet i mężczyzn, którzy uwielbiali ją w dawnych latach na Fontanelle? Jeśli tak, to miała niełatwy koniec życia.

Dyrektor przytułku poprosił nas, abyśmy się wpisali do księgi pamiątkowej. Gdy przyszła kolej na mnie, bez namysłu wpisałem część nieśmiertelnego wiersza Kawafisa:

Jak im ciąży nieszczęsne życie, które wloką. Jak drżą, by go nie stracić, jakże je kochają; oszołomione, rozdwojone w sobie dusze, które siedzą - komiczne i tragiczne - w swoich skórach, łachmanach.

Sfałszowałem, wpisując po włosku strofę poety aleksandryjskiego do księgi pamiątkowej, tytuł wiersza. Zamiast Dusze starych ludzi, napisałem Dusze czyścicowe (in pena) starych ludzi.

Listopad 1995

Neapol, 4 grudnia 1995

Po wprowadzeniu stanu wojennego, a dokładniej mówiąc: po golpe generała Jaruzelskiego, wpisałem w dzienniku: „Maisons-Laffitte, 13 grudnia 1981. Ani słowa. Prócz daty, ani słowa”.

Przez chwilę miałem ochotę wpisać coś podobnego natychmiast po wiadomości o wyborze Kwaśniewskiego. W pewnym sensie byłoby to nawet

uzasadnione logicznie. Stan wojenny miał dwoje dzieci. Najpierw Okrągły Stół i wszystko, co nastąpiło po nim: czerwiec 1989, upadek komunizmu. Niedługo to trwało, wszystkiego sześć lat, dziecko zachorowało ciężko we wrześniu 1993 i umarło w listopadzie 1995. A teraz cesarskie cięcie i drugie dziecko: na pięć lat były aparatczyk i minister komunistyczny w Belwederze lub Pałacu Namiestnikowskim. Naturalnie nie grozi powrót komunizmu, dawni towarzysze zbyt zasmakowali w „socjaldemokratycznych” urokach kapitalizmu. Ale grożą inne rzeczy, nie mniej poważne od mało realnej recydywy. Kwaś-niewski postkomunista? Skądże! „Socjaldemokrata” od urodzenia, mleczny brat Gonzaleza. „Nigdy nie byłem aktywistą byłej partii ani członkiem aparatu”. Tu już nie wytrzymuje nerwowo łagodny z usposobienia, wyrozumiały, zawsze otwarty „Tygodnik Powszechny”: „To zdanie wypowiedział były minister w rządach Rakowskiego i Mes-snera”.

„rzeź pół wieku, posłuszny w zasadzie mojemu pisarskie-mu Powołaniu, bywałem też przygodnym publicystą politycznym; z poczucia służby obywatelskiej, jako polityczny emigrant. Poczuję się z tej służby zwolniony po upadku komunizmu. „Nie wytrzymasz”, ostrzegali mnie przyjaciele. Istotnie, zdarzało mi się „nie wytrzymywać”. Ale teraz wytrzymam, teraz naprawdę dość. Odświeżę w pamięci ulubioną dewizę lorda Lyttletona: „Polityka wszakże nie pochłaniała go na tyle, by odrywać jego myśli od rzeczy większej niepomiernej wagi”.

A na pożegnanie wolno mi chyba ułożyć, zamykając w formie konkluzji ostatnie polityczne zapisy Dziennika pisanego nocą, mój prywatny Dekalog 1989-1995, dekalog głupstw, błędów, grzechów, jak kto woli. Poprzedzony prologiem, zaczerpniętym z listu mojego warszawskiego przyjaciela, Włodzimierza Boleckiego, którego oceny i poglądy są tak bliskie moim, że w spojrzeniu na polską rzeczywistość stanowimy od lat osobliwą parę syjamskich braci. I zakończony krótkim epilogiem.

>v Prolog „I tak oto, 19 listopada, wielkie dzieło Adama Michnika zakończyło się historycznym sukcesem. Trudno mi powiedzieć, kiedy się zaczęło i w czym jego początki, albowiem zobaczyłem Michnika «w akcji» dość późno. Było to wiosną 1989, tuż po Okrągłym Stole, gdy objeżdżał całą Polskę w glorii niezłomnego więźnia komunistów i arcyfechmistrza polityki polskiej. Wtedy właśnie Michnik obwoził po kraju swego prywatnego pomazańca, występował z nim publicznie w aulach uniwersyteckich i dyskutował z nim - na oczach zdumionych słuchaczy - jako z tym, z kim on, A.M., chce budować nową niekomunistyczną Polskę. Tym pomazańcem był dobrze w Polsce znany młody aparatczyk, symbol pezetpeerowskiego oportunisty, Aleksander Kwaś-niewski. Był wówczas ministrem sportu w rządzie Rakow-skiego, dobrze znanym z buty i pyszałkowatości oraz z cynizmu i bezwzględności, gdy na początku lat osiemdziesiątych weryfikował w imieniu WRON-y dziennikarzy. Czyli wyrzucał z pracy ludzi przyzwoitych. Ale w 1989 roku dla Michnika był już «Olkiem». Przez następne miesiące Mich-nik, już na łamach «Gazety Wyborczej», obwieszczał, że przyszłość Polski zależy wyłącznie od porozumienia «świat-łych» komunistów (Rakowski + Jaruzelski) i «zdrowego» nurtu «Solidarności», czyli ekipy okrągłostołowej. To już wtedy zaczęła się ta moralna

erozja, której jedynym celem było zatarcie granicy między PRL a RP, partyjnymi aparatczykami a ludźmi nienawidzącymi PZPR, między PZPR a «Solidarnością». W pewnym sensie ojcem wyborczego hasła Kwaśniewskiego («Wspólna Polska») jest osobiście Michnik, który o tę wspólną Polskę z komunistami walczył zaciekle od Okrągłego Stołu... Rzecz jasna, to nie Michnik wybrał Kwaśniewskiego, lecz przeszło połowa biorących udział w wyborach Polaków. I to oni są problemem. Moja teza jest następująca: mniej więcej 20-25% to żelazna gwardia komunistów, ci którzy w każdych warunkach będą na nich głosować. Reszta to ludzie, którym tak bardzo obrzydł Wałęsa (i wszystko, co sobą reprezentuje), że woleli głosować na kogokolwiek, byle nie na niego, na «Solidarność» i na Kościół księdza Jankowskiego”.

Dekalog 1- Tadeusz Mazowiecki, pierwszy powojenny premier polski, słusznie za to szanowany, pozostanie już na zawsze wynalazcą nieszczęsnej „grubej kreski”. Twierdzi, że został źle zrozumiany, ale jeśli społeczeństwo nie zrozumiało swego premiera, to winny jest kto? Oczywiście premier. Odkreślił przeszłość, uniemożliwił konieczną lustrację i dekomunizację, przyczynił się do Zamazania. Ten inauguracyjny ciężki grzech będzie mu przez historię policzony obok licznych zasług.

3! - Dziennik... (1993-1996) 48 1

1 i 2. Zamazanie było, rzecz jasna, owocem Okrągłego Stołu. Nie kwestionuje się potrzeby Okrągłego Stołu jako instrumentu zapobieżenia przelewowi krwi, ale z normalnej procedury pertraktacji, godnej i pełnej wzajemnego dystansu, stał się szybko orgią obłapek, atmosfery „kochajmy się” czy „Polak z Polakiem”, słowem, wprowadził właśnie owo Zamazanie, które było upragnionym przez komunistów obaleniem nieodzownej Cezury i natychmiast postawiło stronę solidarnościową w roli półpetentów, drżących ze strachu, by impreza nie została „zabezpieczona”. Taki mechanizm był dla komunistów drogocenną zdobyczą.

3. Pogrzebawszy z punktu niemal dekomunizację i lustrację w skromnych choćby wymiarach czeskich, sprowokowano chcąc nie chcąc spóźnioną czkawkę w postaci groteskowej „nocy teczek”, która skompromitowała samą ideę cezury i rozliczeń.

4. Głównym rezultatem euforii Okrągłego Stołu było obranie pierwszym prezydentem RP generała Jaruzelskiego, architekta stanu wojennego. Zachowanie się „Solidarności”, która w praktyce przyczyniła się do tego wyboru, wykopało jej grób. Zaczyna ostatnio wygrzebywać się z niego i zmartwychwstawać, może dzięki częstym wizytom Krzaklewskiego w Rzymie. Ale swój wielki moment historyczny „Solidarność” roztrwonila bezpowrotnie.

5. W maju 1989 usiłowałem przekonać Geremka i Michnika (w Rzymie i w Cortonie), że Wałęsa nie nadaje się na prezydenta RP mimo ogromnych zasług w heroicznym okresie „Solidarności”. Słuchali mnie, jakbym był świętokradcą i bluźniercą, licząc naturalnie na to, że „elita” będzie wyłącznym inspiratorem i pilotem „przywódcy robotniczego z krwi i kości”. Rzekoma „marionetka” wypięła się szybko na tych, którzy zamierzali pociągać ją za sznurki. Kadencja Wałęsy była

fatalna, obniżyła znaczenie urzędu prezydenckiego, zamieniła życie polityczne w Trzeciej RP w mecz sportowy czy zawody bokserskie.

6. Pierwotne Zamazanie utorowało postkomunistom drogę do odbudowy i odmrożenia swojego organizacyjnego i finansowego kapitału. Stopniowa i, jak się zdaje, nieuchronna degrengolada opętanych stronnictw prawicowych, centrowych (wykołowana Unia Wolności) i lewicowych (niezdarna Unia Pracy, komiczna PPS) przygotowała (wraz z prezydentem RP kulejącym na „lewą nogę”) grunt pod sukces wyborczy postkomunistów i postludowców we wrześniu 1993.

7. „Bratanie się” obu stron (śmieszność „bruderszaftu” Michnika z Jaruzelskim) pogłębiło dodatkowo proces Zamazywania. Napisałem kiedyś, że dożyjemy być może chwili wręczenia buławy marszałkowskiej Jaruzelskiemu przez Kwaśniewskiego. Wielu czytelników zaśmiało się, jakby chodziło o niezły dowcip, teraz uśmiech zamarł im na ustach.

8. Formuła alternance democratiąue, użyta przez niektórych po wyborach z 1993 roku (np. przez Krzysztofa Po-miana w „Kulturze”), uczyniła implicite przełom roku 1989 nie upadkiem jednego ustroju i nadejściem innego (jak po upadku faszyzmu we Włoszech), lecz zmaganiem się dwóch politycznych stronnictw, na podobieństwo walki konserwatystów z labourzystami w Anglii. W roku 1993 wygrali nasi domorośli „labourzyści” z „polskim Gonzalezem”, czyli Kwaśniewskim, na czele. „Polski Gonzalez”, nie czując bezwstydu tego aktu, „przeprosił” rodaków za niegodziwość poprzedniego ustroju. Aleksander Smolar, doradca polityczny Unii Wolności, nagrodził „przepraszam” Kwaśniewskiego oklaskami.

9. Za „Manifest postkomunistyczny” Michnika i Cimoszewicza powinien autorom podziękować elekt 1995; równocześnie przegrany żałośnie Kuroń powinien kierować gorzkie żale do swego przyjaciela z KOR.

Jest niedorzecznością zalecać autentyczną przemianę polityczną ludzi typu Cimoszewicza czy Kwaśniewskiego, traktując ją jako rękojmię, jako swego rodzaju zabezpieczenie. Jeżeli istotnie stali się „socjaldemokratami” (w co, nawiasem mówiąc, nie wierzę), to tak czy owak są w niewoli „twardego” elektoratu komunistycznego, armii prowincjonalnych aparatczyków (Szmaciaków czy bohaterów Cu-downej meliny Orłosia); nie mogą w swojej przemianie posunąć się za daleko, bez ryzyka (parafrazując Irzykowskiego) buntu korzeni przeciw kwiatom. „Twardy” elektorat komunistyczny na prowincji nie zamierza (w duchu) za nic „przepraszać”. Przystaje w milczeniu na „przepraszam” Kwaśniewskiego, uważając ten gest za użyteczną zagrywkę taktyczną, potrzebną w polowaniu na głosy w obozie „reakcji”.

10. W turyńskim dzienniku „La Stampa” ukazał się wywiad Gawrońskiego z Kwaśniewskim. W pewnej chwili Kwaśniewski powołał się z nie ukrywaną satysfakcją na zdanie Jerzego Giedroycia, że „wszyscy Polacy są teraz postkomunistami”. I dorzucił: „Zgadzam się z nim całkowicie”.

Małe kłamstewko elekta zostanie sprostowane przez Giedroycia w grudniowym numerze „Kultury”. Zdaje się, że to Freud przypisywał kłamczuchom



pociąg do snów na jawie. O czym śnił i pewnie śni jeszcze Kwaśniewski? O przewodzeniu narodowi złożonemu z blisko czterdziestu milionów Kwaśniewskich. Niebezpieczne rojenia senne, znane już z historii naszego stulecia.

Epilog Łatwo zrozumieć, dlaczego Kwaśniewski natarczywie, obsesyjnie odwraca się od przeszłości, a zwraca całą ku przyszłości.

George Santayana, wzywający do uczenia się z doświadczeń przeszłości: „Ci, którzy nie pamiętają i nie chcą pamiętać o przeszłości, są skazani na jej powtarzanie”. O tym nie powinna zapominać druga część elektoratu Kwaśniewskiego, ta która z takich czy innych powodów przyłączyła się do postkomunistów.

Dopisane 10 grudnia Co powiedziawszy, podtrzymując mój Dekalog, stoję mocno na stanowisku, że wybór Kwaśniewskiego jest prawomocny. Wszelkie próby podważenia go, i sprowokowania nowych wyborów, narażają na niebezpieczeństwo nasze państwo, naszą młodą niepodległość, prowadzą w prostej linii do rozkołysania nastrojów, wywołując z przeszłości upiorny cień zabójstwa Narutowicza. W Londynie spotykałem się często z profesorem Stanisławem Strońskim, który w swojej „Warszawiance” rozhuśtał był niegdyś kampanię przeciw Narutowiczowi pod hasłem: „Usunąć tę zawadę”. Powiedział mi któregoś dnia: „Ten grzech nie będzie mi odpuszczony nawet na Sądzie Ostatecznym”.

Walkę z obecną prezydenturą postkomunistyczną (ściślej, z obecnym reżymem postkomunistycznym, skoro cała władza znajduje się w rękach SLD) wolno według mnie wszcząć zaraz, lecz nasilić (wciąż w granicach prawa) dopiero w momencie wygasania kadencji Kwaśniewskiego.

#### *ON O W\$y, „r, ac Neapol, 7 stycznia 1996*

Ordinary Men socjologa amerykańskiego, Christophera Browninga, Zwykli ludzie. Historia 101 rezerwowego batalionu policji, Ordnungspolizei, w trybach „ostatecznego rozwiązania” w Polsce. Przyczynek, straszny, wstrząsający i zarazem pouczający przyczynek do „banalności zła” Hanny Arendt.

W roku 1942, w chwili uformowania w Hamburgu i wyjazdu do Polski, batalion 101 liczył pięciuset żołnierzy, podoficerów i oficerów policji porządkowej. Jego pierwszym miejscem postoju był Biłgoraj na Lubelszczyźnie. Jego pierwszą akcją było oczyszczenie z Żydów (izolowanych w getcie) pobliskiego Józefowa. W batalionie, gdy był organizowany, nie wiadomo, że takie przed nim staną zadania. Składał się z ludzi niemłodych, niezdolnych do służby na froncie, nie zatrutych „ideologią” hitleryzmu, a tylko powierzchownie i w rzadkich wypadkach jego frazeologią - dobrodusznych, dalekich od fanatyzmu rzemieślników, drobnych biuralistów i małych sklepikarzy hamburskich. Hamburg nie należał do awangardy Trzeciej Rzeszy, raczej trzymał się na uboczu, wierny swoim szczególnym tradycjom.

W Józefowie dowódca batalionu, major Trapp, zarządził zbiórkę i wyjaśnił przedmiot „niezmiernie przykrej” akcji. W getcie józefowskim zamknięto tysiąc pięciuset Żydów. Młodych i zdolnych do pracy należało wyłączyć i przewieźć do specjalnego obozu. Starych, kobiety i dzieci należało wystrzelać na miejscu. Wyjaśnił to płacząc, płynęły mu z oczu duże łzy. Dodał, że jeśli któryś ze starszych żołnierzy batalionu nie czuje się na wysokości (powinien był powiedzieć: niskości) zadania,

niech wystąpi z szeregu; zostanie zwolniony i skierowany do innych funkcji. Wystąpiło dwóch czy trzech żołnierzy, oglądając się lęklonie za siebie. Batalion wykonał zadanie przed zmierzchem.

To start, dalszego ciągu aż do mety nie zamierzam relacjonować, pióro drży w sztywnych palcach. Wystarczy powiedzieć, że batalion 101 stopniowo przywykał do swoich zadań, major Trapp nie ronił więcej łez, przewrażliwieni i nadto delikatni przestali występować z szeregu. Na mecie, w roku 1944 (chyba pod koniec 1943), batalion „zwykłych ludzi” mógł się poszczycić bilansem na Lubelszczyźnie zaiste godnym pochwały w oczach Himmlera i jego sztabu: osiemdziesiąt trzy tysiące Żydów bądź zamordowanych na miejscu w różnych gettach, bądź załadowanych do wagonów z przeznaczeniem do gazu.

Przejdę do konkluzji Browninga. Od Johna Steinera pożyczam pojęcie „uśpiania” w tym sensie, że w większości „zwykłych ludzi” zło jest uśpione, a budzi się w sprzyjających okolicznościach. Ervin Straub robi następny krok: „Zło wydobywające się z normalnych myśli i popełniane przez normalne osoby jest normą, a nie wyjątkiem”. Zygmunt Bauman odrzuca steinerowskie „zło uśpione”, uznaw-szy je za „sztuczkę metafizyczną”. Według Baumana, „okrucieństwo ma źródła społeczne, a nie charakterologiczne”.

Większość socjologów dostaje gęsiej skórki na dźwięk słowa „metafizyczny”, co sprawia, że tak mało potrafią wyjaśnić, kiedy z opisu i analizy trzeba wspiąć się na wyższe piętro. Paradoksalnie, niewiele wyżej od nich wspinają się teologowie, uważając zło za wytwór człowieka, za zjawisko przygodne, częściowe i przemijające; i zwalniając Boga z odpowiedzialności za nie. Zło jest zjawiskiem metafizycznym, wiedzą o tym manichejczycy, którzy bynajmniej nie uprawiają kultu zła, lecz wzrok kierują na istnienie dobra i zła, światła i ciemności, oddzielonych od siebie raz słabszymi, raz ostrzejszymi konturami. Dwudziałowi zło i dobro towarzyszy dwudział miłość i cierpienie (powtarzam znakomitą eksplikację Krzysztofa Pomiana we wstępie do mojego dziennika). W batalionie zwykłych ludzi rośnie zwykłe uśpione w człowieku zło i dochodzi do granic krańcowych, jakby były zakreślone zaklętym kołem kredowym. Zaklętym lub metafizycznym.

8 stycznia..

W pasjonującej książce Pustelnicy i demony Ryszard Przy-bylski cytuje zdanie Jerzego Nowosielskiego: „Zawdzięczamy demonom całą świadomość metafizyczną”. Problem pierwszych anachoretów chrześcijańskich: Skąd zło, Unde malum, z „ja” czy ze świata, z „nie-ja”? wydaje się dziś prawie naiwny. I ze świata, i z „ja”. Wielką zasługą książki Hanny Arendt O banalności zła, mimo wielu jej tez dyskusyjnych, jest zbanalizowanie zła, tak typowe dla współczesności wolnej od pustynnych anachoretów. Toteż mój szkic o procesie Eichmanna opisanym przez Hannę Arendt zatytułowałem Demon Naszych Czasów. Potężny, złowrogi demon stał się w naszych czasach banalną figurką, filozofującym pocziwcem (zakochanym w filozofii Kanta) i bywalcem piwiarni niemieckich.

Dla niektórych mnichów z pierwszych wieków chrześcijaństwa (powiada Przybylski) spotkanie z demonem było czymś w rodzaju „ekstazy zła”. Bardzo dobre

określenie, które nawet w obliczu progresywnej banalizacji zła nadaje mu charakter metafizyczny, a nie „społeczny”. Pustelnik Przybylskiego „pojął, że - zgodnie z eschatologią Nowego Testamentu - dopóki na ziemi będzie istniał człowiek, do-P<sup>o</sup>ty panować będzie na niej zło”. Carl Gustav Jung nadał demonowi swoistą godność „postaci autonomicznej”, k<sup>o</sup>-reJ nie można poddać władzy boskiej.

W szkicu Martwy Chrystus (o arcydziele Mantegni) pisałem: „Caravaggio i Mantegna, a do pewnego stopnia także Masaccio i Antonello da Messina, utrafili w sedno chrześcijaństwa, religii cierpienia, głębokiego związku cierpiących z Ukrzyżowanym. Niezbyt sensownie więc brzmi pytanie Unde maluml (w Krakowie głowili się nad nim poeta, filozof i teolog). Zło jest w naszym świecie, w nas i obok nas, w bólu istnienia i w cierpieniu. Można i należy z nim walczyć, nie można go definitywnie pokonać. Taki jest świat, to czują chrześcijanie wpatrzeni w obraz Chrystusa, wierzący w jego cykl, po cóż więc przypominać im, że żmijka połyka robaka, ptak połyka żmijkę, lis szykuje się do skoku na ptaka, człowiek łowi w żelazne kleszcze lisa, sam zaś dobrze wie, że na niego również ktoś lub coś zastawia sidła”.

Czytał te słowa profesor Wiktor Szyryński z Ottawy i odgadł natychmiast, że nie mogę sobie przypomnieć wierszyka, którego w dzieciństwie uczyliśmy się wszyscy na pamięć. Przypomniał mi go w liście. „Miałem dwanaście lat - pisze - gdy Idylla maleńka taka odcisnęła mi się na zawsze w pamięci”.

Idylla maleńka taka, Wróbel połyka robaka, Wróbla kot dusi niecnota, Pies z chęcią rozdziera kota, Psa wilk z lubością pożera, Wilka zadławia pantera, Panterę lew rwie na ćwierci, Lwa - człowiek, a sam po śmierci Staje się łupem robaka, Idylla maleńka taka...

Unde maluml W swoim czasie zająłem się odnalezionym ostatnio, i wydanym przez „Kartę”, pamiętnikiem żydowskiego policjanta z otwockiego getta: Czy jestem mordercą? Autor, Perechodnik, napisał swoją książkę na krótko przed śmiercią jako spowiedź, z nadzieją, że zostanie rozgrzeszony. Jego straszna zbrodnia polegała na tym, że dla uratowania własnego życia wepchnął, na rozkaz Niemców, żonę i uwielbianą córeczkę do wagonu idącego do Trebłinki. Książka wyjdzie wkrótce po włosku, posłowie do niej napisał mój przyjaciel, Francesco Cataluccio. Rozmawialiśmy długo o tym posłowie (zresztą bardzo dobrym), które Francesco przysłał mi w maszynopisie. Mnie pamiętnik Pe-rechodnika odpychał, mój włoski przyjaciel powtarzał: „Nie mam prawa sądzić”. Szalamow twierdzi, że może tylko jeden procent więźniów przeszedł przez sowieckie łagry, broniąc z powodzeniem swego człowieczeństwa, a znakomitą większość w tym procencie stanowili wierzący (przyznawał to Szalamow, syn popa, programowy ateista). Kafka na miejsce Boga podstawiał „twarde jądro” w człowieku. Odżyło ostatnio, głównie dzięki pisarzom rosyjskim, słowo „dusza”. Perechodnik miał duszę, czy był całkowicie we władzy zła? Czym są święci chrześcijańscy i laicy, wierzący i religijnie obojętni? Posiadaczami dusz nieśmiertelnych.

10 stycznia Cnota cierpliwości jest drogocenna, ale bardzo trudna, wymaga śmiałości i całkowitego uwolnienia się od sądów bieżących. Trzeba wytrwać na

swoim niepopularnym, niekiedy nawet wydrwiwanym, stanowisku z absolutną wiarą, że czas, wypadki i nacisk prawdy przyznają nam w końcu rację. Podaje się Kutuzowa z Wojny i pokoju jako klasyczne wcielenie cnoty cierpliwości: pogrążył się jakby w niedźwiedzim śnie, czekając na przewidywaną chwilę.

W głośnym tercecie: ksiądz Tischner-Adam Michnik-Ja-cek Żakowski, redaktor „Gazety Wyborczej” dobiera się wielokrotnie do mojej skóry. Raz tak: „Herling szturczał mnie o stosunek do stalinizmu, szturczał mnie o stosunek do Jaruzelskiego. O Jaruzelskiego od dawna jest między nami poważny spór, bo Herling uważa, że w grudniu 1981 Polsce nie groziła żadna sowiecka interwencja. Moim zdaniem, dla człowieka formatu Herlinga, który bardzo dobrze wie, co to był Związek Radziecki, wygłaszanie takiego zdania jest dyskwalifikujące”.

„Dyskwalifikujące”. Mocno powiedziane, zresztą jak zwykle u Michnika, którego pewność siebie, kategoryczność graniczy na ogół z tupetem. Michnik jednak nie był w tej „dyskwalifikacji” odosobniony. Moja cnota cierpliwości została wystawiona na ciężką i dość długą próbę.

Władimir Bukowski (w tercecie Michnik pisze o nim: „Moje doświadczenie było odbiciem doświadczenia rosyjskich dysydentów, takich jak Władimir Bukowski i Andriej Sacharow”), autor słusznie cenionej - także w Polsce - książki I powraca wiatr, pracuje nad nową książką, Proces moskiewski. Pracuje nad nią między innymi podczas swoich pobytów w Moskwie (mieszka stale i jest pracownikiem uniwersyteckim w Anglii), siedząc po uszy w materiałach archiwalnych. Kolejne rozdziały Procesu ogłasza chwilowo w paryskiej „Russkoj Myśli”. Ostatni dostępny mi rozdział pochodzi z numeru datowanego 14-20 grudnia 1995 i poświęcony jest wyłącznie sprawom polskim. Bukowski pisze: „Nie wiem, czy wszystkie dokumenty sowieckiego Politbiu-ra były opublikowane w Polsce, ale te, które leżą teraz przede mną, nie pozostawiają żadnych wątpliwości: Moskwa nie przygotowywała żadnego wkroczenia do Polski i Jaruzelski wiedział o tym doskonale. Co więcej, nie dowierając zbyt wiele armii polskiej, on sam pod koniec 1981 roku nie raz prosił o wprowadzenie wojsk sowieckich do Polski, lecz spotkał się ze zdecydowaną odmową Kremla (podkreślenie Bukowskiego). I ogłosił stan wojenny, upewniwszy się, że nie może liczyć na wojskową pomoc Moskwy”.

Mocno powiedziane. Bukowski stara się więc swoje twierdzenie dobrze podeprzeć. 10 grudnia, na trzy dni przed wprowadzeniem stanu wojennego, zbiera się Politbiuro, wciąż nie mając dokładnego obrazu planów Jaruzelskiego. Dla Bukowskiego protokół tego posiedzenia jest „najciekawszym i najbardziej przekonującym dokumentem”.

Wszyscy mówcy (Rusakow, Andropow, Ustinow, Su-’ słów, Griszin, Czernienko) aż do znudzenia powtarzają formułę Gromyki: „Trzeba przytłumić (w rosyjskim oryginale «przygasić») nastroje Jaruzelskiego i innych przywódców polskich odnośnie do wprowadzenia naszych wojsk do Polski. Żadnego wprowadzenia naszych wojsk do Polski nie będzie i być nie może. Nasz ambasador w Warszawie musi to uprzytomnić Jaruzelskiemu”. Jedynym w znakomitym moskiewskim gremium dysonansem jest obietnica interwencji dana Jaruzelskiemu

przez marszałka Kulikowa (nieobecnego na posiedzeniu), ale marszałek Ustinow wyjaśnia, że Kulikow posłużył się tylko słowami Breżniewa: „Nie opuścimy naszych polskich towarzyszy w biedzie”, a Jaruzelski i spółka usłyszeli w nich więcej, niż Leonid Iljicz chciał powiedzieć.

„Zdyskwalifikowany” przedwcześnie, mogę jedynie dać skromną radę współautorowi tercetu. Nigdy nie należy spieszyć się zanadto z „braterskim” trącaniem się kieliszkami wśród uścisków i namiętnych całusów w usta (na modłę sowiecką, wpojona generałowi od wczesnej oficerskiej młodości).

### **13 stycznia \***

Kto by pomyślał, prawie nie do wiary! Jan Parandowski, jeden z klasyków współczesnej prozy polskiej, był pisarzem wykwiutnym, ukształtowanym w dużym stopniu przez świat antyczny, znawcą literatury, historii i mitologii greckiej, tłumaczem Homera, autorem Nieba w płomieniach i Króla życia, podkreślającym demonstracyjnie (i niekiedy z irytującym naciskiem), że mało go obchodzą, płaczą mu się między nogami, polityczne problemy naszych czasów. Znane jest jego pytanie, które obiegało kulturalną Warszawę i nie oszczędziło także mnie podczas jednego z naszych spotkań zagranicznych: „Kto to jest ten jakiś Chruszczyk, czy to prawda, że wygłosił w Moskwie sensacyjne przemówienie?” W jednej z takich rozmów zapewniał mnie, że nie zna rosyjskiego, tego „żargonu”, jak Stanisław Mackiewicz szczylił się nieznaną angielskiego, też „żargonu”. Nie miało większego znaczenia, że w „żargonie” rosyjskim wysławiał się Tołstoj, a w „żargonie” angielskim Szekspir. Chodziło o wielkopański gest lekceważenia.

Prawie nie do wiary jest, że leży przede mną książeczka Parandowskiego *Bolszewizm i bolszewicy w Rosji*, przysłana mi w fotokopii przez mojego przyjaciela z Wrocławia. Książeczka powstała we Lwowie w ciągu dwóch letnich miesięcy 1918 roku, a ukazała się drukiem w rok później. Mała notka informuje: „Druk Leona Stankiewicza, Stanisła-wów”. Opieczętowana jest przez wrocławską Bibliotekę Uniwersytecką, czyli ze Lwowa przywędrowała do Wrocławia. Jak to się stać mogło, że uszła uwadze nie tylko zwykłych czytelników, ale polonistycznych dłubaczy pochylonych nad twórczością Parandowskiego? Książeczka powstała we Lwowie, była jednak owocem przemyśleń i obserwacji autora w ciągu rocznego pobytu w Saratowie. Nie znam biografii Parandowskiego na tyle, by powiedzieć, co robił - on, mieszkaniec zaboru austriackiego - w Saratowie. Jednym słowem, otacza dziełko pewna aura tajemniczości. Szczytem zaś zagadkowej niespodzianki jest fakt, że twórca „jakiegoś Chruszczyka” okazuje się pierwszym polskim „sowietologiem”. I jak gdyby przeciera drogę do opus magnum Jana Kucharzewskiego *Od białego do czerwonego caratu*.

Największą może zaletą książeczki 24-letniego Parandowskiego jest jego umiejętność dostrzegania załączków tego wszystkiego, co dopiero rozwinię się nieuchronnie w prz\ - słości. Pod tym względem młody Parandowski przypomina Bertranda Russella, który w roku 1920 pojechał na sześć tygodni do Rosji sowieckiej i napisał krótkie sprawozdanie *The Practice and Theory of Bolshevism*, do dziś regularnie wydawane i warte lektury bez skreślenia ani jednego przecinka. Obu

autorów, młodego debiutanta i sławnego filozofa, łączy dar przewidywania, jakie pisklęta (a potem ptaszyska) wyklują się kiedyś z czerwonych jajeczek Rewolucji Październikowej. U Parandowskiego bywa to niekiedy - nie zawsze - uderzające.

Prócz zaskoczeń i niespodzianek, o których wspomniałem wyżej, pojawia się i niemal obsesyjnie powtarza w książeczce Parandowskiego motyw szokujący czytelników tego wytwornego iluministy, przedstawiciela najbardziej oświeconej inteligencji polskiej. Mam na myśli jego doprawdy niespodziewaną „obsesję żydowską”. Bolszewizm jest „ruchem żydowskim”, Żydzi „zrobili na rewolucji złoty interes”, „żyją szumnie i wspaniale żołnierze, chłopci, robotnicy (pogromcy burżuazji), ale naprawdę tuczą się Żydzi”. Aż do śmiesz-nego trochę obrazu biblijnego: „nad Rosją unosi się krwawy i mściwy Bóg żydowski, Jehowa”. Motyw żydowski jest w książeczce Parandowskiego na bakier z jej zasadniczą koncepcją, pożyczoną od Mereżkow-skiego i antycypującą Kucharzewskiego. Chodzi naturalnie o rewolucję tkwiącą głęboko korzeniami w rosyjskiej „niewolniczej czerni”, w „niezgłębionej i zdeprawowanej duszy. rosyjskiej”, w karykaturze lub kopii instytucji carskich. Jeśli tak, to sabat żydowskich czarownic komunistycznych niewiele mógł dodać do zasadniczego, rodzimego zrębu państwa sowieckiego. Trocki nie zanadto mógł diabelską żydowską sztuką opętać „szlachcica rosyjskiego” Lenina-Uljanowa. Żydowską szokującą obsesję w książeczce Parandowskiego wolno porównać z taką obsesją, również szokującą, w dziennikach Marii Dąbrowskiej. Widocznie część polskiego patrycjatu intelektualnego posiada tajne zakamarki, które odsłaniają się przed oczami czytelnika tylko w edycjach pośmiertnych, bądź rękopisów, bądź wznowionych bardzo starych druków.

### **32 - Dziennik... (1993-1996) 497**

W książeczce Parandowskiego znamienna jest jeszcze jedna rzecz. Pisząc o terrorze bolszewickim, wymienia on zgodnie z prawdą szereg nazwisk żydowskich oprawców-czekistów. Ale nie wymienia nazwiska rodaka, polskiego szlachcica Dzierżyńskiego. Trudno orzec, czy raczej odgadnąć, dlaczego tak skrzywdził „żelaznego Feliksa”, zwanego przez swoich towarzyszy „mieczem (karzącym) rewolucji”. Mogę jedynie, tytułem urozmaicenia, cofnąć się do moich wspomnień więziennie-oboazowych w ZSSR. Otóż zdarzało mi się często spotykać starych Polaków z Ukrainy, którzy najpierw w przypływach szczerości opowiadali o swojej młodszej służbie pod komendą Feliksa Edmundowicza, po czym mrużyli znacząco oko i szeptały na ucho: „Ale teraz wiem, że to był największy Polak w dziejach naszego narodu. Nikt nie wytlukł tyłu Ruskich, co on”. Zasługiwał z pewnością na wymienienie bodaj w książeczce obserwatora polskiego w Saratowie o przewrocie bolszewickim w Rosji.

17 stycznia Tak wspaniałej, mądrej, pisarsko niezwyklej książki, jak Listy Bolesława Micińskiego i Jerzego Stempowskiego, dawno w literaturze polskiej nie było. Mówiąc „dawno”, mam na myśli nie ostatnie dziesięciolecie, lecz okres dłuższy, sięgający do wojny, a nawet dalej wstecz. Korespondencja dwóch najwybitniejszych współczesnych eseistów polskich? Powieść epistolarna Mistrz i Uczeń? Powieść, której Mistrz zachwycony swym Uczniem stara się dać jak

najwięcej, czuły i serdeczny, a przecież po swojemu po - \ wściągliwy, rzadko przekraczający naturalne poczucie mia - i ry; w której Uczeń, skazany na przedwczesną śmierć, płonie! miłością, czeka na listy niby na cudowne leki, drży z przeje-1 cia na myśl o wizytach Mistrza jak kochanek oczekujący! nadejścia kochanki; w której prócz tych dwóch postaci centralnych mamy świetnie narysowane figury kobiece, Halinę Micińską (żonę Bolesława, po jego śmierci i powtórным zamążpójściu Kenarową), Anielę Micińską (siostrę Bolesława, zmarłą ostatnio żonę Jana Ulatowskiego), i wreszcie obecną ciągle z dziecięcą siłą Annę Ludwikę Micińską, córeczkę Haliny i Bolesława. Tak, najlepiej do Listów pasuje określenie dramatycznej powieści epistolarnej, która na tle toczącej się wojny zmierza do nieuchronnego końca, znanego dobrze wszystkim (z wyjątkiem małej Anny) i rozpaczliwie przez wszystkich odsuwanego. Gdy w maju 1943 roku Bolesław Miciński zamyka na zawsze oczy pod Gre-noblą, reszta osób powieściowych wychodzi powoli z „ognistego pieca” (jak by powiedział Dostojewski) losów tak głęboko splecionych, że w cieniu wojny, choroby i śmierci wydawały się nierozzerwalne nigdy. Jakim cudem, jakim wydarzeniem jest ta książka w naszej ubożuchnej i postnej prozie!

Stempowski i Miciński byli najwybitniejszymi współczesnymi eseistami polskimi, nikt poza nimi nie potrafił wznieść się ponad literacki artykuł czy dobrą rozprawkę. Stempowski był eseistą z urodzenia, chciałoby się powiedzieć: z domu, przechadzając się niespiesznie po świecie, pożerając książki najbardziej egzotyczne i mało czytane, rozmawiając z ludźmi wszystkich narodowości, stanów i wieków, trawiony bezustanną ciekawością intelektualną i ciągłą potrzebą obserwacji, wyrósł na potężnym pniu zwanym Montaigne. Miciński stał się świadomie eseistą, kiedy zrozumiał, że za ciasne są dlań ramy uniwersyteckich wykładów i dysertacji. Dosiadł eseistycznego konia w Podróżach do piekieł; małym arcydziełem był potem jego Portret Kanta. W Listach góruje nad nim Stempowski, śmiertelnie chory Miciński miewa częste obniżenia lotu (o czym wie); i w Stempowskiego wparzony jest wzrokiem wspinaacza wysokogórskiego, któremu obsuwa się ręka na występie skalnym. Halina Micińską, w pięknym szkicu wstępnym o Stem<sup>o</sup>wskim, przytacza jego słowa: „Instynktem wiedziony, jestem raczej przeciwny publikowaniu listów, tj. tego, co nie było do druku przeznaczone, lecz pisane pod wpływem przemijających okoliczności”. Zapewne, ale trzeba dokład-1 nie rozważyć sekrety Wielkiego Epistolografa. Lubił „czernić papier”, nie lubił jednak drukować, jeśli nie popychały go do tego względy zarobkowe. Listy do wybranych przyjaciół były dla niego czymś w rodzaju prywatnej gazetki, powielał w nich często te same rozważania cieniowane cierpliwie na spacerach, zamykając je w ramach obowiązkowych, zdawkowych serdeczności i pytań kierowanych do adresatów. Stąd nierealność projektów, jakie narodziły się natychmiast po jego śmierci; projektów wielotomowego wydania całego dorobku epistolarnego Stempowskiego. Byłyby w dużym stopniu serią bliźniaczych powtórzeń. Co innego, gdy w grę wchodził nie korespondenci zaprzyjaźnieni co prawda, lecz mniej lub więcej przypadkowi (zaliczam do nich

siebie samego); gdy w grę wchodził równorzędny partner. Takim partnerem był Miciński. Dlatego ich Listy są dla ad - j miratorów Stempowskiego ewenementem.

Miciński i prawica, tak zatytułował Czesław Miłosz swój j artykuł o Listach; i dodał podtytuł: Czy Bolesław Miciński był prawicowcem! Od takich tytułów i podtytułów (od sa-j mego na nie patrzenia) dostaje się bólu zębów albo gęsiej] skórki. Miłosz ma zupełnego bzika na punkcie „lewicy’ i „prawicy”, które dziś niewiele już znaczą lub znaczą coś I odwrotnego do pierwotnych terminów. Miciński pisywał! do „Prosto z mostu”. No i co z tego? Pisywali tam również! Straszewicz, Andrzejewski i Regamey, których trudno doprawdy nazywać „prawicowcami”. Pisali tam przeciw „Wiadomościom Literackim”, tygodnikowi Iwaszkiewicza, który (jak mi opowiadał Grydzewski) z niesmakiem i niepokojem obserwował wzrost „żydokomuny” w parafii „Mięcia”. Tenże Iwaszkiewicz wybrzydzał się na Podróże do piekieł, książkę „niemoralną”, pozbawioną „orientacji narodowej”, pełną nihilistycznych „miazmatów”. Redaktor gazety goszczącej artykuł Miłosza uważa, zdaje się, postkomunijstów z SLD za „lewicowców”. Pewnie do spółki z Miłoszem.

W recenzji z Portretu Kanta, drukowanej w roku 1948, podziwiałem arcydziełko Micińskiego, natomiast krzywiłem się lekko na trzy dołączone do Portretu eseje o wojnie\*. Teraz widzę, jak się myliłem. Miciński wyrażał w nich swój głęboki wstręt do totalitaryzmu, co jest jedynym sensownym kryterium odróżniania „lewicowości” i „prawicowo-ści”. Za to Miłosz wspomniał gdzieś, że nieco później, pod koniec wojny, podziwiał w duchu „walec idący ze Wschodu” jako ucieleśnienie potęgi, siły i „historycznej rozumności”.

Zob. przedruk w 9 tomie Pism zebranych.

mtc-rt vDon Ildebrando i Chirurg o trochę dziwnym imieniu i nazwisku Fausto Angelini (po polsku brzmiałoby to Faust Anielski) zbliża się do osiemdziesiątki i od paru lat już nie uprawia swego zawodu. Renoma jego jest jednak tak wielka, że ilekroć w grę wchodzi wyjątkowo ryzykowny zabieg operacyjny, sławny Fausto, za bardzo wysoką opłatą, wzywany jest | przez rodzinę chorego, aby tylko asystował przy operacji, służąc słowną radą młodszym od niego chirurgom. Nie | wiem, jak to się odbywa, zadaję sobie pytanie, jak znoszą j to jego koledzy, pozostaje fakt, że obecność doktora Aniel-1 skiego traktowana jest jak niezawodna gwarancja bańko - J wa lub milczący udział niedościgłego cywilisty w skompli - i kowanym procesie sądowym. Czy to możliwe, aby sama obecność odgrywała tak wielką rolę? Aby ukradkowe spojrzenia w stronę Maga wystarczyły jako pomoc czy otucha? Najwidoczniej było możliwe, żałowałem jedynie, że nie mog-j łem nawet marzyć o tym, by kiedykolwiek Fausto wyjed-j nał mi krótkie choćby spojrzenie z zewnątrz na salę opera-] cyjną.

Przestał operować w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.: Sam zauważył, że straciły naraz dawną elastyczność jegc długie palce. Miał widocznie nadzieję, że odzyska w nich dawną władzę, skoro wieczorami gimnastykował je z rem, zabawiając się w produkowanie fantazyjnych wycinaj nek z gazet. Potrafił tak wycinać godzinami przy ogromnej stole w pałacyku na granicy dolnego i górnego Neapolu.



Pochodził z Abrazzów, z wysoko położonej miejscowości Montenero, której ozdobą była nieźle zachowana katedra romańska na wąskim placu blisko urwiska. Katedra cieszyła się zasłużoną sławą jako zabytek historyczny, lecz nie wystarczyła, by tchnąć w miasteczko trochę życia. Pustka wyzierała z kilku kruchych kamienic. Fausto Angelini i jego młodsza nieco siostra Veronica byli jedynymi dziećmi znachora czy felczera, którego pamięć czczono, jakby był ojcem i panem miasteczka, ważniejszym od gospodarza katedry. Obaj dawno już nie żyli. Doktor przyjeżdżał do rodzinnego miasteczka raz do roku na jeden letni miesiąc. Witano go wtedy i żegnano z honorami, a jego zasuszona siostra nabierała ochoty do życia na kolejny rok; i codziennie o świcie, podczas wizyty brata, klęczała uśmiechnięta przed ołtarzem w katedrze.

- v -?»? II Poznałem go jako pacjent, jeszcze wówczas ostatnie miesiące operował. Zbadał mnie dokładnie i szybko, wyjaśnił, że każda zwłoka w moim wieku utrudnia zoperowanie prostaty, odrzucił z miną obrzydzenia „nowoczesną” metodę „wymrażania” powiększonego gruczołu. „Trzeba otworzyć brzuch i ciąć - powiedział krótko - nie jest to, jak się często sądzi, drobny zabieg, lecz operacja, która unieruchomi pana na dwa tygodnie w klinice i potem na miesiąc w domu”. Wciągnął mnie na listę w swojej prywatnej (drogiej) klinice. Budził sympatię i pełne zaufanie. Operacja trwała dłużej, niż przewidywałem - trzy godziny. Wytracony z uspie-nia, jakkolwiek wciąż zaczadzony, drzemałem i budziłem SI? na przemian, gdy on mówił bez przerwy i bez obsłonek, Ze smakiem, siedząc u wezglowia mojego łózka.

Pociąg do mówienia i opowiadania uderzył mnie od razu Podczas pierwszego spotkania w jego gabinecie lekarskim nad morzem. Było łatwo domyślić się przyczyny. Żył samotnie, stary bezdzietny kawaler, interesowały go rzeczy które mogły interesować mnie, pisarza, a nie jego kolegów. Łączyło nas jeszcze jedno, prócz jego słabości do mojego pisarstwa (okazało się, że był moim czytelnikiem). On, południowiec, cierpiał na osobliwą, bardzo rzadką alergię: nie mógł pić wina, ani czerwonego, ani białego. Mógł natomiast pić whisky jak wino, w dużych ilościach, bez śladu aler-j gicznej wysypki i bez przykrych skutków. Zaczęliśmy więc popijać whisky, gdy tylko zasklepiła się moja pooperacyjna! rana.

W klinice leżałem rzeczywiście dwa tygodnie. Widywałem I Don Fausto (wszyscy go tak na ogół nazywali, nie dottorl Angelini i nie dottor Fausto, ale staroświeckim Don, prze-1 żytkiem obyczajów feudalnych, oznaką respektu społecznego) podczas ранego obchodu. Kładł mi dłoń na czole, odchyłał kołdrę dla sprawdzenia opatrunku i mówił tutto va bene, ściskając mi ukradkiem rękę. Mogłem to uważać,] i uważałem, za znak rozkwitającej przyjaźni. Niewątpliwie! miał do mnie serdeczny stosunek od pierwszego (chciałoby j się powiedzieć) wejrzenia. Powierzył mnie ulubionej pielęgn-j niarce, siostrze zakonnej, która wpatrywała się w niego jak] w świętego. W dzień przed wypisaniem z kliniki przyniósł! mi przewiązaną dobrze paczkę książek. „Lektura na mie-j siąc rekonwalescencji w domu. Będziemy mieli o czym roz-j mawiać, kiedy będzie mnie pan odwiedzał w Palazzeto PaA noramico” (tak przywykło się w mieście mówić o jego pa-j łącyku na wysokim bulwarze Wiktora Emanuela, blisko) starego Hotelu Angielskiego).

Brzmi to może dziwacznie, ale w ciągu owych dwóch tygodni w klinice czułem się absolutnie szczęśliwy. Szczęście w chorobie! A przecież tak właśnie było, może przez jakieś podświadome skojarzenie z krótkim pobytem w szpitalu łagiernym nad Morzem Białym. Okno mojego pokoju wychodziło na Zatokę. Za dnia zdarzało mi się drzemać, lecz budzony przez siostrę z porcją pigułek lub w porze posiłków, wpatrywałem się w Zatokę, w statki na Wyspy, w prytne żaglówki i łodzie rybackie z takimi chyba uczuciami,? kje w młodzieńczych dziennikach opisywał Albert Camus, ełen miłości i zachwytu dla wybrzeży Morza Śródziemne-jak gdyby jedynego prawdziwego źródła życia i jedynych prawdziwych reguł życia.

Nocą zaś prawie nie spałem, bojąc się na krótko nawet stracić to, co ofiarowywała. Morze cięte co jakiś czas długimi nożami światła, promenada wysadzana storczykami lamp ulicznych, i szum fal uderzających o głązy falochronu, tak regularny, że zdawał się tykaniem zegara śródziemnomorskiego. Niebo było czyste, ciemnoniebieskie, wybuchało co pewien czas fajerwerkami niewiadomego pochodzenia albo ciążyło nad Zatoką jak gruby, wielokolorowy dywan.

Jakie to osobliwe! Nie posiadam tego, co Rosjanie określają słowami sloznyj dar, wydaje mi się niekiedy, że „swoje” wypłakałem szybko i obficie u progu dojrzałości, a jednak dławili mnie wtedy łzy jak w szpitalnym łóżku na Dalekiej Północy. Północ i Południe. Ale przed laty mój płacz nocny był i szczęśliwy, i gorzki, a teraz nad Zatoką połykałem rzadkie, przelotne łzy czystego szczęścia.

III Miesięczną rekonwalescencję w domu urozmaicały mi więc książki z paczki Don Fausto. On sam wpadał do mnie nieregularnie co parę dni, wystarczyło mu pięć minut, by ocenić (z zadowoleniem) stan pooperacyjnej rany. Co jakiś czas przyprowadzał ze sobą siostrę szpitalną (i zakonną), która zmieniała opatrunek. W jego błyskawicznych wizytach odczuwałem stały wzrost zażyłości, jeśli nie przyjaźni jeszcze; za każdym razem zerkał z uśmiechem na mój stół, gdzie rozłożyłem książki z jego paczki i notatniki.

Nicią wiążącą zestaw jego książek była iettatura, traktowana przez autorów w rozmaity sposób. Iettatura, czyli zły urok albo złe oko, malocchio, prastare wierzenie przez Rzymian nazywane fascinum, przez Greków alexiana. Nie byłem zaskoczony. Już w trakcie pierwszego spotkania, po badaniach w gabinecie lekarskim koło portu, Don Fausto do słowa iettatura dołączył określenie „główne zainteresowanie mojego życia”; i dodał śmiejąc się: „medycyna, chirurgia jest wyłącznie źródłem moich dochodów”.

Że iettatura zapuściła w Neapolu głębokie korzenie, których nikt nigdy nie próbował wykarczować, wie każdy przygodny nawet przybysz po dwóch-trzech miesiącach pobytu.

0 rodowitych neapolitańczykach szkoda nawet mówić: na dźwięk słowa iettatura lub iettatore przebiega im po krzyżu dreszcz. Wiedzą dobrze, jak się rozpoznaje działanie złego oka (bądź złego dotyku czy złego słowa), znają przynajmniej ze słyszenia nosicieli magii, starają się żyć tak, by aż do grobu przechodzić obok niebezpieczeństwa. Biada podejrzanym tylko o posiadanie cech iettatore, często brzemień samego podejrzenia przygniata ich do ziemi i zatruwa im

całą egzystencję. Jeszcze większa - rzecz jasna - biada ludziom, o których wiadomo na pewno, że ich oko, ich dotyk, ich jedno słowo potrafi ugodzić jak niespodzianie wyciągnięty sztylet - pędzą żywot zadżumionych, omijanych przez wszystkich, skazanych na posuwanie się wytkniętym wąskim korytarzem, zakreślonym jakby złowrobną kredą wyobcowania.

Iettatore powoduje nieszczęście, groźna jest sama jego obecność. Roznieca „złym okiem” pożary, doprowadza chorych do śmiertelnych ataków, wywołuje burze i katastrofy statków, uśmierca płody w brzuchach ciężarnych kobiet, odbiera dar płodności młodym dziewczynom, krzyżuje 1 wikła zabiegi na stołach operacyjnych, popycha do wypadków na równych drogach, jednym zabójczym spojrzeniem obrywa żyrandole w salach balowych, koncertowych i operowych, jednym podniesieniem wzroku sprawia obsuwanie się starych kamienic.

Istnieje bogata biblioteka historyczna, obyczajowa, anegdotyczna na temat fascinum, w zapisach tej czy innej epoki znajdują się gotowe już romanse, nowele, scenariusze o wybranych i skomponowanych odpowiednio wypadkach i sławetnych postaciach, paczka Don Fausto była zatem kamykiem za ledwie, odłupanym z wysokiej skały. Książka Du-masa o Neapolu Corricolo (z nadzwyczajną historią księcia Ventignano), historyczne studium Mayera o życiu ludowym w Neapolu w okresie romantyzmu, klasyczne dziełko osiem-nastowieczne Nicola Valletta La cicalata sulfascino volgar-mente detto iettatura (czyli Dyskurs o uroku zwanym pospo-licie iettatura), tom Crocego z rozdziałem o owym klasycznym dziełku Valletty.

Na przestrzeni wieków zły urok znalazł wiele sposobów samoobrony przeciw zauroczeniu, zarówno w ludzie, jak wśród dobrze urodzonych. Kiedy widzi się w Neapolu na ulicy człowieka w rozmowie z kimś, ukradkiem za plecami wysuwającego z dłoni dwa palce w formie rożków, można być pewnym, że ubezpiecza się przeciw domniemanemu złemu oku rozmówcy. Róg jest w ogóle podstawowym elementem asekuracji wobec iettatury - w wiejskiej chacie prawdziwy róg bawoli, w miastach małe czerwone rogi w formie wisiorów na paskach zegarków czy bransoletkach; zdarza się również zauważać podkowy w torebkach damskich. Nie stosuje się takich metod przez stulecia bez dowodów pewnej ich skuteczności. Ale wolno sprawę postawić inaczej: zakorzeniona iettatura, zakorzenione tarcze ochronne przeciw czyhającemu na każdym kroku napastnikowi; zaklęte koło, zaklęte i na zawsze zamknięte. Co do mnie, o rzeczywistym działaniu malocchio przekonują mnie najbardziej odwieczne, nigdy na serio nie podważone, odmiany broni w walce z nim.

Cicalata otwierała się inwokacją autora: „Radość intymna przenika mnie na myśl, że w naszych czasach nie tylko P»ebs ucieka na widok osób obdarzonych złym okiem, lecz wyznawcami iettatury są sędziowie w przepysznych togach, kawalerowie najwyższej rangi, biegli juryści z adwokatury, mistrzowie nauk medycznych, wytrawni matematycy i myś - \ liciele, rozliczni erudyci i luminarze kultury. Chwała nasze-i go wieku, w którym znicz nauk i sztuk pięknych świeci

jasno i wysoko, nie ustępując i tu szczęśliwej epoce Augusta, w której złe wróżby taką odgrywały rolę jak dziś iettatura”.

Nie byłby jednak Valletta dumnym chorążym Oświecenia, gdyby nie poczynił po drodze, w hymnie na cześć ietta-tury, „naukowych zastrzeżeń”. Skoro nie ma przypadków, a wszystko posiada przyczynę i skutek, iettatura jest co prawda faktem „naturalnym”, ale i zarazem „psychologicznym”. Skoro we wszechświecie każda rzecz pozornie przypadkowa wiąże się z przyczynowym prawem fizycznym, także iettatura opiera się na jakiejś przyczynie. Na jakiej? Tego nie wiemy, możemy jedynie powiedzieć, a raczej zgadywać, że w tym wypadku przyczyna jest tajemna. Dalej umysł oświeceniowy nie pozwolił posunąć się dyrygentowi Dyskursu. Podniósł do góry pałeczkę i zastygł w tej pozie. Współczesnych i potomnych pozostawiając dokładnie tym samym miejscu, w jakim już przedtem byli. Tajemnica, oto czym była od niepamiętnych czasów iettatura, oto dlaczego malocchio zdolne było rozpętać nieszczęście. I Zło. Czemu dzielny Valletta takim się cieszył autorytetem, jeśli jego myśl nie wykraczała poza „wiem, że nie wiem”? Dlatego prawdopodobnie, że w podobny sposób myśleli także wszyscy inni.

Z wyjątkiem doktora Fausto Angelini, wielkiego chirurga Don Fausto, przekonanego (jak miałem niebawem odkryć) o możliwości przeniknięcia tajemnicy. W okresie moich późniejszych wizyt w Palazzetto Panoramico wahałem się krótką chwilę, czy i w nim nie tkwił ukryty iettatore. Gdyby jednak tak było, gdyby ktokolwiek nie miał pod tym względem całkowitej pewności, nie ubiegano by się za wysokie sumy o samą tylko jego obecność na sali operacyjnej, gdy przestał sam operować (a właśnie zapowiedział był tę swoją decyzję).

IV Po kilku razach mógł się wydawać nudny rytuał wieczorów (comiesięcznych) w Palazzetto Panoramico. Przychodziłem około dziesiątej, byliśmy już obaj po kolacji - ja w domu, on w ulubionej restauracji. W głównym pokoju, rzeczywiście panoramicznym, z oknem wycelowanym na Capri, na stole leżały stopy gazet i stała duża butla whisky ze szklankami i miseczką oliwek. Pokój był z wyglądu dość ponury i umeblowany byle jak. Na głównej ścianie wisały obok siebie dwie znakomite kopie Ciężarnej Madonny Pie-ro delia Francesca i Betsabe Rembrandta, w rogu, w zwojach kotary okiennej, palił się zawsze płomyk pod ciemnym obrazkiem, którego z poczucia dyskrecji nigdy nie oglądałem.

Don Fausto zabierał się natychmiast do pracy, czyli do swoich wycinanek, zręczność i szybkość, z jaką to robił, kazała myśleć, że tak prawdopodobnie gimnastykują palce wielcy pianiści przed koncertami lub w okresach przejściowej drętwoży. Nie towarzyszyło temu milczenie, przeciwnie - wraz z wychylnymi szklankami whisky płynął potok wymowy gospodarza. Rzadko dopuszczał mnie do głosu, zdawał się przy tym przywiązywać niewielką wagę do tego, co miałem do powiedzenia. W jego elokwencji było coś z tokowania. Przywykłem do niej szybko, w całym moim ciele rozlewało się przyjemne ciepło - whisky plus wieczorna końcówka upalnych dni; słuchałem i gapiłem się na Zatokę. Ale starałem się nie uронić ani jednego słowa z jego monologów, fascynujących jak zawsze, gdy mówiący przejęty jest poruszonymi tematami i odsłania wyniki swoich długich przemysleń.

Należałoby właściwie posłużyć się liczbą pojedynczą: Don Fausto poruszał wciąż ten sam temat, a jego długie przemyślenia prowadziły zawsze do tego samego wyniku.

Znał ogromną liczbę wypadków iettatury i ludzi wsławionych złym okiem - przeważnie z historii, ale i z własnych ssa 3

doświadczeń, opowiadał o nich barwnie i niekiedy dramatycznie, czasem robił wrażenie malarza, który każde pokazywane płótno wkłada w inne ramy.

Zasadniczy motyw był niezmienny. Jak można mówić o „typowo neapolitańskim czy południowym przesądzie”, jeśli są ludzie całkowicie pozbawieni tego zgubnego często daru (padają zazwyczaj jego ofiarą), a wśród nich żyją ludzie (i to ze wszystkich stanów), u których złe oko, zły dotyk, złe słowo bywają śmiercionośną bronią, a w każdym razie są w stanie pogrążyć w nieszczęściu upatrzoną osobę. Co to znaczy, na czym to polega, jakie jest źródło tej różnicy? Dlaczego rodzi się ktoś wyposażony w instrument Zła (bo Don Fausto uważał cechę za przyrodzoną), a przedmiotem jego ataku bywa ktoś zupełnie czysty i niewinny? Ludzie, dla przykładu, rodzą się z różnymi sercami, kardiolog może jednak bez trudu ustalić, jaka jest natura i przyczyna tak zwanej malformazione cardiaca, może nawet wpływać leczeniem na poprawę wrodzonej wady. Wszystko to nie wchodzi w grę w przypadku iettatury: urodzony iettatore jest okazem niezmiennym. Czy wystarczy powiedzieć, że mamy do czynienia z cechą charakterologiczną, że po prostu jeden człowiek rodzi się dobry, a drugi zły? Nie sądzę. Znane są przypadki posiadaczy złego uroku, którzy chcą go się pozbyć, a w żaden sposób nie potrafią. Na ogół wszakże człowiek od kolebki zły nigdy nie marzy o tym, by stać się nagle dobrym; jest taki, a nie inny. Gdzie więc i jak wylęga się osobnik zwany iettatorei? Zadając to pytanie, Don Fausto spoglądał czasami przelotnie na obrazek we wnęce i kotarze okna. Raz przyszedłem przed oznaczoną godziną, służąca bez słowa wpuściła mnie do naszego pokoju i ciekawość, zwykła ciekawość, wzięła górę. Na bardzo starym, pokarbowanym i żółtym, rozpadającym się niemal sztychu pod grubym szkłem zobaczyłem twarz, która przyprawiła mnie o krótki dreszcz: twarz z przeszywającym wzrokiem, z bródką w szpic, w bardzo wysokim kapeluszu, podobnym nieco do błazeńskiego stożka. Pod spodem ledwie czytelny napis: Conte Francisco Ildes Brandes, 1401-1461.

Było już wiadomo, że gimnastyka palców dała słabe rezultaty, Don Fausto szykował się zatem do przejścia w stan półspoczynku. Obiecał sobie jako ostatnią operację wycięcie siostrze guza (przypuszczalnie złośliwego, choć brat mówił z uporem o dobrotliwym) pod lewą łopatką, przyczynę jej bezsennych nocy. Veronica, zdziwaczała i pełna urojonych lęków w Montenero, z którego nie wydalila się ani razu od urodzenia, nie chciała do Neapolu jechać sama z szoferem; Don Fausto poprosił, żebym to ja wybrał się jego samochodem do Montenero i dowiózł chorą do neapolitańskiej kliniki. Miałem parę dni wolnych, pociągała mnie też podróż do mało znanych Abruzzów.

Wyruszyliśmy w majowy poranek szosą na Avezzano, z zamiarem postoju w uroczej Sulmonie. Kraj poprzecinany gęsto rzekami i szerokimi strumieniami, o nierównym terenie, który zmuszał do ciągłego przeskakiwania z dolin na wzgórza i

do ciągłej czujności na ostrych zakrętach. Droga do Sulmony zajęła nam więcej czasu, niż przewidywał szofer. Miasto Owidiusza, urbanistyczny salonik, jak zawsze skłoniło mnie do chaotycznego spaceru (z utratą poczucia czasu), toteż dopiero późnym popołudniem szofer przypomniał mi, że czeka nas jeszcze spory szmat drogi do Montenero.

Z Sulmony droga prowadziła do Chieti, a tam należało znaleźć niezbyt uczęszczaną i dość zaniedbaną drogę boczną w kierunku Pescary, aby nie dojeżdżając do miasta D'An-nunzia, wspiąć się kilka kilometrów na szczyt wzgórza, gdzie mapa i źle widoczna strzałka wskazywały Montene-r°. Jadąc bardzo powoli, omijając liczne wyboje, mogliśmy Jak gdyby wzrokiem wkraczać stopniowo w rodzinne mury Don Fausto. Zaraz za miasteczkiem samo niebo świadczyło o pustce, była to zapewne głośna przepaść, nad którą zbudowano przed wiekami katedrę romańską. Na lewo w skos od miasteczka, w skalistej jałowej okolicy wznosił się duży zamek, niemal kopia słynnego zamku w Otranto, opisanego w powieści Horacego Walpole'a. O tym zamku nie wiedziałem, mój przyjaciel rodem z Montenero nigdy o nim nie wspomniał w swoich opowiadaniach.

Zmierzchało, gdy nasza duża maszyna wcisnęła się w \ uliczkę wjazdową na rynek Montenero. Veronica, zapewne uprzedzona przez jakiegoś obserwatora drogi wiodącej z Chieti, stała już przed rodzinną kamieniczką. Używam j zdrobnienia, bo wszystko właściwie w Montenero wymaga-! ło zdrobnienia, z wyjątkiem katedry nad przepaścią i zamku \ na wzgórzu zamiejskim. Poczawszy od naszej gospodyni, \ z głową jak suszona śliwka, osadzoną na drobnej figurce w mantylce, poprzez rynek, otoczony pierścieniem kilku zaledwie domków, do winiarni koło katedry, gdzie przy jed - j nym tylko stoliku na powietrzu siedziało czterech starych j mężczyzn, grając w karty. Miasteczko robiło wrażenie nie j zaludnionego, rynek nie miał zaplecza uliczek, jeden tylko i nędzny sklepik przylegał do dziedzińca katedralnego. Później, kiedy gospodyni rozlokowała nas w pokoiku gościnnym, postanowiłem - korzystając z resztek przedwieczornego światła - przyjrzeć się z bliska katedrze i zamkowi. Nie, nie zbudowano katedry nad przepaścią, zawisła częściowo w próżni na skutek bezustannego - w ciągu wieków! - odpadania kamieni od skalnego fundamentu. Już dawno nie posiadała gospodarza, żaden ksiądz nie chciał objąć opróżnionego miejsca, oberwany kościelny, najmłodszy chyba mieszkaniec miasteczka, jeszcze dość żywy, miał obowiązek otwierania i zamykania bramy oraz zamiatania trzech naw. Także zamek „otrancki” zdawał się podkopywany przez kruszenie się skał. W gęstej szarówce wieczoru wyglądał niesamowicie, owinięty tajemnicą jak chłop abruzyjski czy apulijski obszerną, ciemną peleryną.

Kto czytał Pustynię Tatarów (jej autor, Dino Buzzati, należał według mnie do czołowych pisarzy włoskich), kto w pamięci przechował wygląd oficerów z opuszczonego garnizonu granicznego, dookolną przestrzeń, o której nie dało się powiedzieć, czy kończy się gdzieś i dokądś zmierza, do innych po prostu miejsc zamieszkania, musiał odczuć natychmiast podobieństwo atmosfery. Na oko nie było w Mon-tenero rodzin, wszyscy wyglądali na samotnych od dawna starszych ludzi,

zbliżających się wolno do swoich grobów. Również Veronica, siostra Don Fausto. Milkliwa, podejrzliwa, jakby ciągle czymś wystraszona, przygotowała nam kolację i sama zasiadła z nami do stołu; odzywała się niechętnie, raczej słuchała z wyrazem łapczywości na twarzy. Opowiadając o mojej przyjaźni z jej bratem, nadmieniał mimochodem, o czym głównie rozmawiamy (a ściślej: o czym on mówi) podczas moich wizyt w jego pałacyku neapolitańskim. Zbladła, usłyszawszy słowo iettatura. Po czym, skarżąc się na „dolegliwości wieku”, szybkimi i drobnymi kroczkami ulotniła się za drzwiami swojego pokoju.

i VI Zgodnie z obietnicą zawieźliśmy prosto do kliniki siostrę Don Fausto, która po drodze zupełnie zaniemówiła, drzemała lub udawała, że drzemie w kącie tylnego siedzenia. Doktor zbiegł na ulicę ze swego gabinetu na potrójny dźwięk klaksonu. Rozbawiło mnie trochę i wzruszyło spotkanie rodzeństwa. Zabawny był widok brata - olbrzyma, postawnego i energicznego, i jego drobnej, kruchej siostry, Podniesionej z chodnika do pocałunku. Wzruszał ich dialog: Vera, Veruccia, sorellina mia. „Siostrzyczka” powtarzała z cichym szlochem słowo „braciszek”. Fratellino mio. Wreszcie Don Fausto, podziękowawszy mi gorąco za przy-sfagę, zaniósł prawie do kliniki w mocnych ramionach przybyłą pierwszy raz w życiu do wielkiej metropolii Veronicę.

### **33 - Dziennik... (1993-1996) 513**

Nastąpił okres milczenia mojego przyjaciela, nie śmiałem się do niego odzywać. Podzwaniałem tylko do siostry szpitalnej (i zakonnej), z którą byłem na stopie przyjaźni. Ale Suor Maddalena była skąpa w informacjach. Siostrę Don Fausto przygotowywano do operacji, jeszcze nie wiadomo, jak długo to potrwa. Raz dodała cicho: „Niebezpieczny jest jej wiek i ogólny stan wycieńczenia; serce też jest słabe”. Którógó dnia U professore (tak go nazywano w klinice) domyślił się pewnie, z kim rozmawia przez telefon Suor Maddalena, wyjął jej z rąk słuchawkę i powiedział zmienionym głosem, z nutką pewnego zniecierpliwienia: „Będziemy musieli na długo przerwać nasze spotkania, ja pierwszy zatelefonuję do pana po operacji”.

Ale zatelefonował nie on, lecz jego sekretarz z „żałobną wiadomością”. Veronica umarła o świcie tego dnia. Nie pytając o zgodę, pojechałem natychmiast do kliniki. Suor Maddalena zaprowadziła mnie do pokoju zmarłej. Veronica przykryta od stóp do głów białym prześcieradłem utonęła zupełnie na łożu śmierci, znikła po prostu pod naręczami kwiatów. Po obu stronach wezgłowia paliły się wysokie i grube gromnice. „Ach, dottore (to niby ja), caro amico, jak dziwnie operował Don Fausto, jakie miał dziwne oczy”. Szept urwał się, na twarzy mówiącej zobaczyłem przerażenie osoby, która powiedziała za dużo.

Don Fausto zawiózł zwłoki siostry w metalowej trumnie do Chieti, tam rodzina Angelini miała grób rodzinny. Nie widziałem się z nim przed jego wyjazdem. Pozostał w Mon-tenero trzy miesiące letnie, do Neapolu wrócił pod koniec sierpnia. Z enigmatycznego szeptu siostry Magdaleny zrozumiałem tyle tylko, że wielki chirurg zawiódł w tak bliskim mu wypadku; że operował „dziwnie”, czyli poniżej swego zwykłego majsterstwa. Ale ta okoliczność nie została ujawniona ani przez asystujących mu młodych lekarzy, ani przez siostry. Zachowanie tajemnicy

było milczącym hołdem, złożonym Mistrzowi. Zresztą Mistrz ogłosił natychmiast swoje rozstanie ze stołem operacyjnym, a wierne przestrzeganie tajemnicy przez wszystkich świadków niepojętego potknięcia wystarczało, by Don Fausto bywał dalej wzywany (za wysoką opłatą) jako „doradca” przez rodziny chorych w wyjątkowo trudnych operacjach. Mimo, jak sądzę, oporów i protestów ze strony chirurgów z młodszej generacji.

Zaprosił mnie do neapoliitańskiego pałacyku na początku września. Był zmieniony, do gruntu zmieniony. Z trudem panował nad swoim rozdrażnieniem, unikał mojego wzroku, nie poruszał swojego ulubionego tematu, a kiedy z moich ust padło przypadkowo słowo iettatura, spojrzął na mnie z wyrzutem i nie zareagował. Aż nadto dawał swoim zachowaniem do zrozumienia, że liczy na skrócenie mojej wizyty. Skróciłem ją z niejasnym uczuciem, że coś między nami - nie z mojej winy - pękło. Kładłem to na karb jego świeżych przeżyć. Delikatnie uprzytomnił mi, że musimy przerwać nasze spotkania. Na pożegnanie podarował mi wydaną ostatnio w Ameryce książkę Count Francisco Ildes Brandes - From the History of the Spanish Inquisition. Rzuciłem okiem na okładkę. Zdobiła ją reprodukcja sztychu, wiszącego w zwojach kotary okiennej w jego pokoju, nad wiecznym płomykiem w czerwonej lampce.

VII Książka opisywała historię tak zwanych maranos albo conversos, czyli Żydów hiszpańskich nawróconych na wiarę chrześcijańską. Autor za punkt wyjścia wziął rok 1391, rok, w którym rozpoczęły się masakry „niewiernych”, „pogan”, „bezbożników”, jak ich różnie nazywano. Wtedy ruszyła fala nawróceń, przez jednych chrześcijan, „czystych o d kolebki”, uważana za proces maskowania się dla unikni prześladowań, przez innych przyjęta życzliwie jako postawiony w dobrej wierze. Począwszy od roku 1440, wybuchały wciąż częściej konflikty i starcia, nawet fizyczne, między comersos (pomawianymi o skrytą wierność judaizmowi) i „czystymi chrześcijanami” w Toledo i innych miastach Kastylii. Pod koniec piętnastego stulecia historyk szacował liczbę szczerych comersos na sto tysięcy osób, a liczbę upartych judaizantów, którzy prześladowania lekceważyli, na osiemdziesiąt tysięcy. Na scenę weszło trzecie już pokolenie comersos, uznawanych na ogół za chrześcijan bez skazy, dopuszczanych do wysokich urzędów politycznych i królewskich w Kastylii i Aragonii. Mała stronnictwo sceptyków, niedowiarków w obliczu konwersji, lecz nie przestawało działać z rosnącą bez przerwy zajądłością. Jakkolwiek wpływowy kardynał w Rzymie i generał wielkiego zakonu w Kastylii ostentacyjnie podkreślali autentyczność chrześcijańskiej przemiany comersos, przeciwny obóz nie składał broni. Mimo zapewnień wielu rabinów (zwłaszcza w północnej Afryce), że conversos są chrześcijanami, a nie sekretnymi Żydami, mimo pełnego zaufania do maranów wśród dygnitarzy na dworze Ferdynanda i Izabeli, nadchodziła inkwizycja. Mniejsza o powody (omówione ‘obszernie w książce) zwrotu w kierunku inkwizycji, ważny w mojej lekturze był fakt, że jednym z głównych oskarżeń uczyniły trybunały inkwizycji „sekretną judaizację” comersos od paru pokoleń, ich „pozorną i fałszywą chrystianizację”.



Francisco Ildes Brandes, tytułowa postać książki, należał do trzeciego już pokolenia maranów, był chrześcijaninem żarliwym i gorliwie praktykującym, po ojcu odziedziczył tytuł hrabiego z nadania królewskiego, w wieku lat trzydziestu pięciu, jako głowa dość licznej rodziny (żona i pięcioro dzieci), został urzędnikiem rangi niemal ministerialnej w ojcystym Toledo. Cieszył się ogólnym szacunkiem, a niekiedy weneracją za głęboko zakorzenione cechy sprawiedliwości i uczciwości. Ale przeciwnicy conversos nie zasypiali gruszek w popiele. Rodziła się i z każdym dniem krzepła inkwizycja. Podsuwane jej oskarżenia dotyczyły przede wszystkim herezji, kacerstwa, bluźnierstwa, coraz częściej jednak i śmieiej obejmowały podejrzenia o sekretną „judaizację”. W roku 1459 Don (jak powszechnie nazywano hrabiego) Francisco Ildes Brandes stawiał się na wezwanie przed trybunałem inkwizycji w Toledo. Pomówienia wydawały się błahe, lecz sędziowie trybunału potrafili z błahostek robić ciężkie oskarżenia. Torturowany w ciemnicy i na sesjach procesu, wystawiony na pośmiewisko tradycyjnym, spiczastym i wysokim kapeluszem w kształcie stożka, odpierał zarzuty z odwagą i jasnością umysłu. Na przełomie roku 1460 i 1461 jego sytuację pogrzyżył naraz fakt, że w niewiadomy sposób, poprzez wiernych przyjaciół i rzeczników jego niewinności, zdołał zorganizować ucieczkę z Toledo do Wenecji żony i pięciorga dzieci. Trybunał uznał ten fakt za pośredni dowód winy, przykręcił śrubę rozprawy (to znaczy, po prostu, podwyższył przemyślność i dozę tortur), osiągnąwszy jedynie stwardnienie oskarżonego, zuchwałego naraz po ocaleniu rodziny. W kwietniu 1461, w kulminacyjnym punkcie krzyżowego ognia pytań z towarzyszeniem zadawanych cierpień fizycznych, Don Francisco wyprostował się nagle na swoim twardym zydlu, skrwawioną od ran ręką strącił z głowy błazeński kapelusz, i wpił wzrok w przewodniczącego trybunału nazwiskiem Hernandez. Stała się rzecz niepojęta. Jego przenikliwy („diabelski”, jak potem mówiono) wzrok wprawił w bezruch członków trybunału, a Hernandez zabił jak sztylet wbity między oczy. W rozgardiaszu rozkuty - jak zwykle podczas rozprawy miał ręce unieruchomione kajdanami - Don Francisco wyrwał się z inkwizycyjnej sali na ulicę. Widziano go po raz ostatni zbiegającego nad wezbrany na wiosnę Tag. Po czym znikł bez siadu. Wysłannicy policji trybunału inkwizycji nie odnaleźli go w rodzinie, która schroniła się w Wenecji. Nie pojawił się nigdy więcej, „ani żywy, ani martwy”, żeby użyć słów autora książki. Rok 1461, bez specyfikacji miesiąca i dnia, przy-It za rok jego śmierci.

v vo/. VIII „?;:;”

Odtąd, przez pół wieku, mówiło się bezustannie o mordercy uzbrojonym w „złe, zabójcze oko”. Bo rzeczywiście, asystujący przy tej scenie pamiętali straszny, bezlitosny, stalowy wzrok Don Francisco podobny do sztyletu; i byli przekonani, że ten wzrok przeniesiony na nich miałby nad ich życiem taką samą władzę, władzę zabijania. W roku 1485 sprawę podgrzało skrytobójstwo dokonane w Arago-nii na osobie inkwizytora Pedro Arbuesa. Autor książki wysuwał hipotezę, że na aragońskiego inkwizytora podnieśli rękę spiskowcy z szeregów samej inkwizycji, aby umocnić Święty Urząd w tym rejonie Hiszpanii. Prawda to czy nie, Don Francisco Ildes Brandes odżył w pamięci i wyobraźni Hiszpanów.

Czytałem książkę z wypiekami na twarzy, porzuciwszy mój zwyczaj dokładnego oglądania tomu, „obmacywania” go, i przed lekturą, i w jej trakcie. Dlatego dopiero po dobrnięciu do ostatniej stronicy, a przed zamknięciem twardej okładki, odkryłem na jej wewnętrznej stronie wklejony pod pokrywką z celofanu list. Jego autorem był Don Fausto.

Uzupełniał, nie wiem, na podstawie jakich materiałów, historię przedstawioną w książce amerykańskiego badacza. W rzeczywistości Don Francisco Ildes Brandes dotarł w przebraniu, i pod nazwiskiem Don Ferdinando Ildebrando, do Wenecji. W Toledo zdołał widocznie przed ucieczką spędzić kilka godzin, gdyż w Wenecji zjawił się z dużym trzosem złota. Urządził roztropnie rodzinę w ładnym mieszkaniu nad kanałem, który sąsiadował z rejonem najstarszego getta w Europie; wyciągnął więc należyte wnioski z doświadczeń hiszpańskich. Dzięki przekupstwu weneckich urzędników zmienił nazwisko całej rodziny na Angelin; zaś najstarszego syna zabrał ze sobą w podróż. Dokąd? D > Abruzzów, gdzie w okolicach Chieti zakupił znaczny majątek ziemski, ożenił syna z młodą i piękną Włoszką, i pomóż!

mu zamienić posiadłość ziemską w źródło znacznych dochodów, które miały służyć zarówno nowo założonej rodzinie, jak i rodzinie pozostawionej w Wenecji (z perspektywą rychłej przeprowadzki do majątku pod Chieti). Po czym ulotnił się ponownie, tym razem bez śladu i na zawsze. Zanim do tego doszło, Don Francisco (a raczej Don Ferdinando), nie tylko przebrany dla zatarcia dawnych śladów, lecz zdumiewająco zmieniony fizycznie, z twarzą, która z pogodnej i dobrotliwej stała się zła i okrutna, zanim więc doszło do ostatecznego zniknięcia Don Ildebrando, budził on postrach w Chieti i Pescarze jako uccello di malaugurio, ptak złej wróżby. Unikano, bano się jego przelotnej nawet obecności w obu tych miastach.

„Oto prawdziwy początek mego rodu we Włoszech (kończył Don Fausto swój list), dlatego posyłam Panu nieoczekiwaną dla mnie, wydaną w zeszłym roku, książkę o jego hiszpańskich korzeniach”.

IX Późna jesień (koniec września, początek października) była tak piękna, tak ciepła i słoneczna, że bezcelowe wałęsanie się po mieście, nawet godzinami, należało do rzadkich w moim wieku przyjemności. Ponieważ w Hotelu Angielskim na wysokim bulwarze Wiktora Emanuela zamieszkała para moich przyjaciół z Luksemburga, zachodziłem do nich po południu i spędzaliśmy wiele czasu w fotelach obok balkonu otwartego szeroko na Zatokę. Stamtąd (o czym nie wiedzieli moi przyjaciele) mogłem śledzić Palazzetto Don Fausto. Bardzo rzadko zdarzało mi się widzieć go, gdy wracał do Pałacyku wczesnym wieczorem. Lekko teraz przygarbiony, ociężałym krokiem, z pochyloną głową, stał czasem hgo przed drzwiami, zanim zbiegała pędem z piętra słu - Carmela. Widocznie w roztargnieniu zostawiał coraz gęściej klucze w domu. W znanym mi z moich wizyt pokoju nie otwierał okien i nie podnosił żaluzji. Siedział w nim po ciemku, tak że pałacyk wydawał się martwy., Carmela spotykała mnie niekiedy na bulwarze, pytała, dlaczego nie przychodzę jak dawniej, i dodawała patrząc na mnie uważnie: // Professore e triste di recente, Profesor jest ostatnio smutny., Don Fausto zaprosił mnie znowu do siebie w pierwszych! dniach listopada, u progu pory deszczowej.

Przyszedł, o oznaczonej godzinie, pod pachą miałem (do zwrotu) amę rykański tom Waltera Mordena. Carmela wprowadzić mnie do pokoju z zapalonym kominkiem, prosiła, żebym poczekał na profesora, który „wróci lada chwila”, ale powiedziała to z zakłopotaniem, unikając mojego wzroku.

Przysunąłem fotel do ryciny przedstawiającej Don Ilde-brando. Byłem, nie wiadomo dlaczego, przekonany, że Don Fausto jest w domu. Jak nie wiadomo dlaczego, rozboleła mnie nagle głowa, co mi się dotąd nie zdarzało nigdy, jako człowiekowi nieskłonemu do migren. I równocześnie opanował mnie gwałtowny odruch ucieczki, niemożliwej wobec nagłego zdrętwienia nóg, które zwisały z fotela jak dwie - ciężkie kłody. Udało mi się, oparłszy ręce o podłogę, odwrócić fotel od ryciny do drzwi. Przysiągłbym, że we framudze wywiercony jest dość wysoko mały otwór, przez który ktoś mnie obserwował. Ktoś... Byłem celem wymierzonego wprost na mnie oka. Oko brało mnie w swoje władze; nie, oplątywało mnie jakby i dusiło, aż ogarnęła mnie ciemność.

Kiedy w końcu (nie wiedziałem po jak długim czasie, okazało się potem, że po dwóch godzinach) ocknąłem się, stał nade mną Don Fausto ze spojrzeniem pełnym niepokoju. „Pan zemdleł. Spóźniłem się niestety na nasze spotkanie. Zaraz pana zbadam”. Nie miałem na to instynktownie ochoty, ale nie opierałem się. „Pan jest wyraźnie przepracowany. Musi pan zwolnić tempo pracy”. Co było nonsensem. Żyłem wtedy na luzie, pracowałem mało.

-i,-'- ... X Różne bywają w Neapolu pory deszczowe: stosunkowo łagodne, z deszczami przelotnymi i przeplatanymi na krótko pauzami rozjaśnienia, z wiszącą w powietrzu znośną wilgocią, nie tak zimną, ciężką i gęstą jak w okresach, gdy gwałtowne ulewy z burzami owijają miasto ciemnością, wzmagają moc uderzenia wysokich fal morskich o nadbrzeżne głązy, nasycają powietrze dotkliwym oziębieniem (pod koniec zeszłego stulecia podróżnicy rosyjscy z Syberii uskarżali się w swoich pamiętnikach na „zimno nie do wytrzymania” w nie ogrzewanych wówczas mieszkaniach neapolitańskich).

W połowie listopada nastąpiła pora deszczowa przykra, tak przykra, że starano się rzadziej wychodzić z domów, a brak własnego samochodu prawie uniemożliwił swobodne poruszanie się po mieście.

Niebawem, po ostatniej wizycie u Don Fausto i po badaniu, jakiemu mnie poddał, zachorowałem. Nie wiadomo na co, mój zwykły lekarz (i sąsiad) nie znajdował żadnych konkretnych objawów i kręcił zakłopotany głową, nie wahając się nawet delikatnie i po przyjacielsku przebąkiwać o „chorobie z urojenia”. Nie zmieniło to faktu, że czułem się tak, jakby nasycono całe moje ciało trującym rozczynem. Byłem osłabiony i wciąż senny, sen zaś nie przynosił mi odpoczynku, lecz przeciwnie - zwlekałem się z łóżka sflaczały i zacadzony. Przy tym powtarzały się często ataki nie znanej mi dotąd migreny.

Sam, bez żadnych rad rodzinnych czy medycznych, postanowiłem dokądś wyjechać, zmienić powietrze, cambiare 1 aria, według włoskiego wyrażenia należącego do spisu domowych środków leczniczych. Powstało pytanie dokąd. W połowie grudnia znalazłem w poczcie kartkę z życzeniami świątecznymi i

noworocznymi, przysyłaną nam co roku od siedmiu chyba lat przez siostry benedyktynki z umbryjskiej miejscowości Bevagna (wstawionej kazaniem świętego Vi go Franciszka do ptaków). Ależ Bevagna, oczywiście vagna, powtarzałem w duchu.

Byliśmy tam po raz pierwszy z żoną, zachęteni przez przyjaciół, osiem chyba lat temu, wiosną, która przechylała już w stronę lata. Siostry benedyktynki prowadziły (i dale prowadzą) w umbryjskim miasteczku hotel z utrzymaniem w klasztorze, traktując imprezę zarobkowo, na podobieństwo klasztorów żyjących, powiedzmy, z produkcji miodu czy likierów albo z pracy hafciarskiej. Wynajęcie pokoi było jednak niemożliwe bez rekomendacji kogokolwiek poprzednich gości; tworzył się w ten sposób przyjacielski łańcuch, przyjacielski także w stosunkach z siostrami, które re mieszkały w specjalnym, zamkniętym szczelnie skrzydle!

Bevagna, skromna i ładna w tej swojej skromności, położona jest obok Foligno, zabytkowego miasta średnio-wieczno-renesansowego i ważnego w Umbrii węzła kolejowego. Do Asyżu jedzie się stamtąd nie więcej niż kwadrans.

Wspominaliśmy zawsze krótki pobyt u sióstr benedyktynki z przyjemnością. W dzień włączenie się do najpiękniejszej dzielnicy Włoch, z częstymi odwiedzinami Asyżu; wiec- ' czorem rodzinna prawie atmosfera na wspólnej kolacji; nie- cą absolutna cisza klasztorna aż do świtu, kiedy w północy słyszało się zakonnicę sunącą na palcach, bez słowa, do du- l żej kaplicy, z której dochodził potem chóralny szept mod- l litewny. Głównie ciągnęło nas wtedy do Asyżu. I ciągnęło) mnie także teraz, w pilnej potrzebie „zmiany powietrza” A może rozsądniej było pojechać wprost do Asyżu i tam stanąć w hotelu? Zapewne tak, ale Asyż był zatkany przed Bożym Narodzeniem. Pozostawała zatem miła Bevagna jako „baza wypadowa”.

W dniu przyjazdu do klasztorowego hotelu, natychmiast po rozmowie ze znajomymi zakonnicami i po rozpakowaniu walizki w wyznaczonym mi pokoju, poczułem się lepiej. I to w sposób, który miał w sobie coś z cudowności, do- j tknięcia różdżki czarodziejkiej. Wyraźne było wrażenie wyjścia poza jakąś linię magiczną, podobne do wynurzenia!

się osłabionego nurka na powierzchnię wody. Patrzyłem ze łzami w oczach i z odrobiną euforii na dachy kamienic po przeciwnej stronie ulicy, śledziłem ruchy kobiet rozwieszających bieliznę na sznurach, wsłuchiwałem się w ich rozmowy i śmiechy, jakby to wszystko zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Jak gdybym urodził się na nowo. Nie opuściły mnie te uczucia na małym rynku, w pustej nawie kościelnej, na murku fontanny. Niektórzy przechodnie przyglądali mi się z ciekawością, widocznie osobliwy był mój wyraz twarzy. Wróciłem do klasztoru, rzuciłem się na łóżko. Spałem głęboko do wczesnego wieczoru, a raczej późnego popołudnia, do powolnego zimowego brzasku. Wstałem rano wypoczęty i rześki. Nie mogłem się obronić przed milczącą frazą: udało mi się zbiec, udało mi się zbiec. Zbiec dlaczego, z obawy przed kim?

Gotów do wycieczki, pojechałem najpierw do Spoleto. Katedra w dole, po zbiegnięciu wysokimi schodami, zachwycała mnie zawsze swoją fasadą. Wracając na dworzec, zatrzymałem się pod więziennym wzgórzem, dawniej średniowieczną

twierdzą. Na krawędzi doliny pod moimi nogami rozpiął się wachlarz umbryjskiego krajobrazu. Zima była tego roku pogodna, nasłoneczniona, ciepło-chłodnawa. Jak skutecznie i szybko ten krajobraz leczył!

W Asyżu trwały już przygotowania do świąt. Nawet na bezludnych zwykle uliczkach mijali się i potracali w biegu pośpieszeni naraz mieszkańcy, świąteczni turyści rozkładali się w słońcu na placykach przed Świętą Klarą i Świętym Franciszkiem. Rzecz jasna, przywitałem się z cyklem Giotta w górnym kościele Świętego Franciszka i z ciemnym chłodem dolnego kościoła, wpatrując się długo w nocną gwiazdę portretu Cimabue. Spieszno mi jednak było do Eremo di Porziuncola, do pustelni Świętego i jego towarzyszy. Nie do Wlary, jak czas wyłączył ten zakątek spod działania swoich Pfaw, jak Porziuncola żyła wciąż przeszłością i w przeszło-Sci. Zawsze sądziłem, że żywa przeszłość jest balsamem na ludzkie rany. Myślałem tak i wówczas, oparty na ławeczce plecami o odsłonięte, skręcone i twarde, korzenie drzewiastych krzewów, wśród których przechadzali się od wieków franciszkańscy pustelnicy, „umiłowani bracia” Świętego.

XI Jeździłem codziennie rano do Asyżu, tam jadłem obiad, przed zmierzchem miałem upatrzony pociąg do Foligno, a stamtąd autobus do Bevagni. Pierwszy wchodziłem do sali restauracyjnej na kolację, otoczony przez trzy usługujące zakonnice. Jedna z nich odnosiła się do mnie ze szczególną życzliwością i pewnego wieczoru, gdy pozostałe dwie poszły do kuchni, przysiadła się do mojego stolika. „Nie w naszym to interesie - wyszeptła - ale po co pan ma tracić czas na przejazdy. Hotele w Asyżu są pełne, to prawda, można jednak wynająć pokój prywatnie przy rodzinie”. Wcisnęła mi do ręki kartkę z adresem.

W Asyżu odnalazłem bez trudu ten adres. Jednorodzinny domek położony był nad miastem, trochę na uboczu, parę kroków od ścieżki do pustelni w Porziuncoli, co w moich oczach stanowiło zaletę. Należał do pobożnej, samotnej wdowy, która wynajmowała dwa pokoje. Oba wychodziły oknami na Bazylikę Świętego. Jeden był wolny. W drugim, jak się natychmiast dowiedziałem od właścicielki, mieszkał od miesiąca już irlandzki ksiądz o dziwnym nazwisku Ecclesiarius („nazywam go Padre Stefano”), zadomowiony w Rzymie od lat w kolegium irlandzkim. „Mówi po włosku jak my oboje. Nie będziecie sobie nawzajem przeszkadzać. Padre Stefano rano pędzi do archiwum. Wraca na kolację wieczorem”. Słowo „pędzi” świadczyło o kimś młodym i fizycznie sprawnym.

Istotnie, gdyby nie sztywny kołnierzyk clergymana w cywilnym ubraniu, mógł uchodzić za zawodowego sportowca, tak był wiecznie ruchliwy i elastyczny w ruchach. Pokonywał skokami przestrzeń od naszego domku do uliczki w dole a tam widać było, że chętnie przerzuciłby się z szybkiego kroku na jogging. Już w czasie drugiej kolacji w towarzystwie samotnej wdowy nabraliśmy do siebie wzajemnej sympatii. „Irlandczyk i Polak”, śmiał się zaraźliwie ze szklanką wina wyciągniętą do toastu. Obiady zacząłem jadać we wskazanej mi przez niego traktierni, czyli z nim, niekiedy wracaliśmy razem do domu, a po kolacji i zniknięciu gospodyni, która „chodziła spać z kurami”, siedzieliśmy do późna w pokoju jadalnym.

Miał trzydzieści lat, wyświęcono go w Rzymie w wieku dwudziestu pięciu i posłano na naukę do największego rzymskiego egzorcysty, który po przekroczeniu siedemdziesiątki wybierał się na zasłużony odpoczynek. Irlandzki ksiądz łączył zadziwiająco fizyczną sprawność z głębokim uduchowieniem. I było jasne, że jego nauczyciel Armani był dla niego wielbionym Mistrzem. Wyczuwało się od razu, że powtarza, wierząc w nie sercem i umysłem, bez żadnych zastrzeżeń, koncepty usłyszane w mieszkaniu za Tybrem od wielkiego egzorcysty lub wyczytane w jego ogromnym dziele Scienza nuova sul Diavolo. Do Asyżu przyjechał z określonym zadaniem, po krótkim pobycie wstępnym w Perugii: chodziło o poszukiwania w kościelnych archiwach materiałów satanicznych z okresu narodzin i rozkwitu zakonu franciszkanów. Mogłem go tylko słuchać i robiłem to z największym zainteresowaniem. Jego nauczyciel i mistrz był w trakcie pisania suplementu do Scienza nuova sul Diavolo, opartego na doświadczeniach ostatnich lat. Zmieniła się, wzbogaciła wiedza o Diable? Zmieniła się jego strategia. Dawniej dążył głównie do tego, by nie wierono w jego istnienie. Teraz z mroków, gdzie w naszych czasach dostrzegali go jedynie dewoci i wiejscy księża (też nie wszyscy), wyszedł na oświetlony przód sceny.

? Wystarczy patrzeć dzień w dzień dokoła siebie, czytać gazety, oglądać telewizję i filmy. Wszędzie Zło, rosnące, zaKuli) im'

chłanne, rozwydrzone, podszyte delectacja. Delectatio mor-bosa, uczucie piętnowane niegdyś przez Kościół. Zło panowało zawsze, ale nigdy tak nasycone czynnikiem gratuit, \ często bez żadnej przyczyny, Zło dla Zła. Chorobliwa staje się nie delectacja Zła, lecz tęsknota do Dobra. We Włoszech istnieje obecnie około sześciuset sekt satanicznych. W czarnym płaszczu do kostek, w spiczastym kapeluszu, w masce z otworami na oczy, wcisnąłem się kiedyś na czarną mszę w górach Castelli Romani, proszony o to przez mego nauczyciela. Znamy z Czarownicy Micheleta sataniczne obrzędy w dawnych wiekach. Były obrzędami przede wszystkim, i to prawda, że orgiastycznymi i wśród pokłonów składanych! Złu, lecz nie utożsamiały się z nim całkowicie, bez ludzkiej! skromnej choćby reszty. To, co widziałem w Castelli Roma-j ni, było nieprzytomnym i niepowstrzymanym pędem w dzie-1 le potęgowania Zła. I miłością do Zła. Poza nim - pustka. I Milczeliśmy długą chwilę, szukając wytchnienia w wido-1 ku iluminowanej nocą Bazyliki Świętego.

- Nie jest przypadkiem tłok w siedzibach egzorcystów.!, Im potężniejszy Demon, tym silniejsza potrzeba wyrwania się z jego szponów. Kościół pomaga w tym niechętnie i bez przekonania. Większość biskupów nie wierzy w Szatana. I Zdają się nie dostrzegać eksplozji niedomagań, rozstrojów nerwowych, depresji psychicznych, których źródłem jest zł; urok. Czyhają na ludzi dwie kategorie demonicznego Zła:1 infestazione diabolica, trapienie osoby przez siły zewnętrznej wobec których środki medyczne są bezsilne; possessione dia bolica (niezmiernie rzadka), zawładnięcie osobą przez De-j mona, opętanie jej od wewnątrz; tylko egzorcysta może (ale nie zawsze potrafi) przyjść tu z pomocą. W obu wypadkach zły urok działa na różne sposoby, między innymi poprzez] malocchio, diabelskie oko

zdolne pod ludzką powłoką za-j dać cios. Święty Paweł opowiada, że dręczył go nieraz Anie Szatański. Tak zresztą nazywano niegdyś Demona. Najważniejsze jest pamiętać o jednym: Demon nie jest istotą bezl osobową, złem abstrakcyjnym, lecz istotą konkretną, któl ra (jak powiada święty Piotr) „niby ryczący lew krąży po świecie w poszukiwaniu ofiary”. W Nowym Katechizmie napisano wyraźnie: „Zło nie jest abstrakcją, oznacza natomiast osobę: Szatana, Złego, Anioła w walce z Bogiem”.

Zbliżał się mój powrót do Neapolu. Ostatnia niedziela stycznia była niewiarygodnie wręcz nasłoneczniona i ciepła. Padre Stefano zaproponował mi pożegnalny spacer do Porziuncoli. Usiedliśmy na kamiennej ławeczce, wkopanej w skarpe na prawo od kapliczki.

Czytywałem wówczas w wolnych chwilach asyckich Życie świętego Franciszka Klary Frugoni, pizańskiej uczoney, nagrodzonej wraz ze mną w Viareggio.

- W roku 1226 (zacząłem) posłano Świętego do Sieny, jakkolwiek jego bracia dobrze wiedzieli, co oznaczają nieustanne krwotoki, i że nie leczy go, lecz zamęcza fizycznie przykładanie rozpalonych prętów do obolałych miejsc. Nie umarł jednak w Sienie, spełniono jego ostatnie życzenie: „Przewieźcie mnie do Porziuncoli”. Tak uczyniono. Dogorywał w swojej celi, prosił, by jego bóle uśmierzano nocą śpiewem Kantyczki Brata Słońce. Tak czyniono, przedłużając cudownie jego gasnące życie. Tuż przed śmiercią wezwał brata Angelo i brata Leone, kazał im zaśpiewać znowu Kantyczkę, lecz z nową skomponowaną właśnie strofą: „Pochwalony bądź, mój Panie, za siostrę naszą Śmierć cielesną, od której żaden żywy człowiek nie może uciec”. Uczynili to płacząc, a po kilku minutach opuścili zmarłemu powieki i przeżegnali go po wielokroć.

- W tej wiecznej i niemożliwej ucieczce od siostry naszej, Śmierci - powiedział Padre Stefano - zawarte jest wszystko, co należy wiedzieć o człowieku. Czy gdyby żył święty Franciszek, nazwałby Zło naszym bratem?

- Niewykluczone - odparłem. - Siostrę i brata łączyłoby to, że nie można od nich uciec.

XII Rytmowi opowiadanych zdarzeń powinien odpowiadać rytm narracji.

Ledwie przestąpiłem wieczorem próg domu (komplemen - i towany przez żonę za widoczne dla gołego oka dobre wyni-J ki umbryjskiej rekonwalescencji), przebudziwszy się nocą^ długo przed świtem, o czwartej godzinie, najgorszej godzi-] nie cierpiących na bezsenność, znalazłem się w strefie, któ-] rą znawcy morza określają jako martwą. Wokół umierają I nagle wszystkie wiatry, układając się na gładkiej płycie mo - j rza jak mokre płachty, ciemnieje niebo, wiotczeją żagle, za-) pada złowroga cisza. Żeglarzy przejmuje irracjonalny lęk,] że wjechali w nieodwracalną smugę bezruchu, śmiertelne-1 go bezruchu. Jeżeli trwa to „bez końca”, a czasem trwa rze-f czywiście tak, że nie widać końca, wśród żeglarzy zdarzają] się wypadki obłądu, lub co najmniej ataków histerii.

Rytm w tym rozdziale będzie więc odzwierciedleniem I owego martwego interludium, jakie czatuje na żeglarzy.] Moje zachowanie nie budziło podejrzeń, robiłem, co nale-1 ży, zabrałem się na nowo do pisania, byłem (jak mówiono)! w

„doskonałej formie”. Lecz martwy krajobraz morski! otworzył się i rozłożył w całej mojej istocie, stałem się wy-| łącznie jego ramą. Coś w moim życiu zaszło, coś niejasne-I go, i zostało naraz ucięte, ale nie stłumione. Chodziłem jaki dawniej na spacer, tyle że na spacer (jeśli wolno się taki wyrazić) opustoszałe, niewrażliwe na otoczenie i przecho-’ dzących koło mnie ludzi. Nie, nie byłem zamyślony i w tym zamyśleniu roztargniony, lecz właśnie wydrażony i czekający na wypełnienie urwaną treścią. Raz machinalnie wspiałem się na górny bulwar i przed Palazzetto Panoramico natknąłem się na Carmelę i siostrę Magdaleny, rozmawiające na ulicy. Don Fausto czy // Professore był od dość dawna w podróży, si riposa poveretto, odpoczywa biedaczek, wtrąciła służąca, nie wiadomo, kiedy wróci. Carmeli nie spieszyło się do jego powrotu, dostawała regularnie z banku swoją pensję, w pałacyku miała niewiele do roboty. Natomiast w oczach siostry Magdaleny snuł się smutek porzucenia.

Nie opisałem dotąd siostry Magdaleny. Miała zapewne około pięćdziesięciu lat i wiejską czerstwą urodę, gdyby nie habit klasztorny, nie brakłoby jej w Neapolu zalotników. Ale gdyby nie była zakonnica i nie przywędrowała jako młoda dziewczyna do neapolitańskiego klasztoru z Sardynii, byłaby w swojej wsi rodzinnej dobrą żoną i matką wielu dzieci. W czasie pobytu w klinice zauważyłem - nietrudno to było zauważyć - że jej cichą miłością był Don Fausto. Wodziła za nim wzrokiem z niemym uwielbieniem. Naturalnie klinika nie byłaby instytucją włoską, gdyby nie szeptano czasem po kątach, a nawet w rozmowach z chorymi, że przed laty była kochanką Don Fausto.

Życie moje toczyło się zatem jałowo, żyłem z opuszczoną głową, a oczy podnosiłem tylko po to, by sprawdzić, czy nie nadchodzi wiatr, czy nie marszczą się w zapowiedzi żagle.

Atak ślepej kiszki zawiódł mnie po raz drugi do kliniki Don Fausto. Szybki, udany zabieg operacyjny i znowu ten sam pokój z widokiem na Zatokę. Codziennie przed północą odwiedzała mnie siostra Magdalena. Siadała na moim łóżku i zawsze tym samym, niewinnym zupełnie gestem zamykała moją dłoń w swojej. Rozmawialiśmy o błahych rzeczach, wspominaliśmy Wielkiego Chirurga, gdy podczas mojej ostatniej nocy w klinice siostra Magdalena, zarumieniona lekko i ze spojrzeniem utkwionym w Zatoce, powiedziała: „Czy wzrokiem można zabić człowieka? Ach, jak on dziwnie patrzył, operując siostrę!” Po raz drugi pozwoliła sobie na takie niespokojne, zatrwożone westchnienie.

W domu zastałem widokówkę Don Fausto z Toledo, pracownię El Greco nad Tagiem, w której niegdyś mieściła się synagoga. Szła bardzo długo, od Bożego Narodzenia do Końca lutego. Zawierała życzenia i wiadomość, że zobaczymy się w Neapolu na początku kwietnia.

Z mojej dawnej podróży hiszpańskiej z wyjątkowym zachwytem wspominałem Toledo, i to dokładnie ten sam wi34 - Dziennik... (1993-1996) 529

doczek, który przysłał mi Don Fausto, pracownię El Greco w starej synagodze. i I XIII Nie zobaczyliśmy się w Neapolu na początku kwietnia. Dowiedziałem się potem od niego („poufnie”), że pozostał w Toledo dłużej, niż zamierzał, zakupiwszy



skrzydło starego domu, w którym (według historyków miasta) przed in-kwizycyjną tragedią mieszkali przypuszczalnie jego przodkowie. Mówił to przejętym głosem człowieka „przekupującego” jakąś tajemnicę.

Zjawił się w Neapolu w pierwszej połowie sierpnia, zmieniony prawie nie do poznania, zarośnięty, z dużą brodą, z błędnym spojrzeniem febrycznych oczu, osłabiony, na chwiejnych nogach; mówił niewyraźnie i plątał się w tym, co mówił, zachował jednak względną jasność umysłu. Z pomocą Carmeli przeniósł swoje łóżko do pokoju, w którym przedtem przyjmował (jeśli tak można nazwać nasze dawne wieczory), kazał jej też sprowadzić szybko mnie i siostrę Magdalенę. Przyjechaliśmy nazajutrz rano po jego powrocie, zasnął bowiem w ubraniu po przeniesieniu łóżka i spał całą noc mocnym snem, przeplatany ciągłymi majaczeniami (jak nam opowiedziała przestraszona i zapłakana Carmela). Siostra Magdalena zmierzyła mu gorączkę, 39 i pięć kresiek. Rozpoznał nas, wycharczał słowa powitania z niechętnym wyrazem twarzy. Jego kolega z kliniki, wezwany przez siostrę Magdalенę, nie znalazł żadnych wyraźnych objawów choroby; gorączkę przypisał skrajnemu wycieńczeniu. Wydawało się, że wystarczy mu troskliwa Carmela, ale ostrym ruchem ręki zaprotestował, kiedy szykowaliśmy się do wyjścia. Zostaliśmy więc, dyżurując na zmianę. Wypadła mi noc, gdyż siostra Magdalena miała okres nocnych dyżurów w klinice. Przyniosłem sobie z domu kilka książek i notatnik. Przypuszczam, że siostra Magdalena po nocm oracy w klinice czuwała za dnia drzemiąc w fotelu koło jego łóżka.

Czy to czuwanie, dzienne i nocne, było w ogóle potrzebne? Nie chciał być sam, to rozumieliśmy dobrze. Ale spał niemal bez przerwy, budził się rzadko i wodził wówczas zabłąkanymi oczami dokoła, po czym zasypiał na nowo. We śnie rzeczywiście majaczył, lecz poszarpane strzępy słów były niepojęte; miotał się w łóżku, niekiedy wydobywał mu się z gardła krótki krzyk; i wciąż zdzierał z siebie piżamę w sierpniowym upale. Carmela karmiła go sokami owocowymi.

W ciągu tygodnia jedynie trzy słowa wyłowilem z jego majaceń: *malefico*, *iettatore* i *sorellina*.

Sierpień za dnia zmiotł ludzi z ulic i z miasta, była pora ucieczek z rozpalonego Neapolu. Zaludniało się trochę pod wieczór. Nie na tyle jednak, bym któregoś dnia nie zwrócił zdziwiony uwagi na tłum biegnący zaułkami w stronę parku miejskiego i morza. Szedłem właśnie na noc do *Palazzetto Panoramico*, po drodze podniosłem z chodnika porzuconą lub zgubioną przez kogoś gazetę. Donosiła ogromnymi literami na pierwszej stronie, że w południe zadrzała ziemia; i że obserwatorium na *Wezuwiuszu* oczekuje podobnego (na szczęście, nie nazbyt groźnego) wstrząsu o północy albo przed świtem. Wszedłem z gazetą do pokoju. *Don Fausto* nie spał. Leżał na łóżku z szeroko otwartymi oczami. Bez słowa wyciągnął rękę, bez słowa podałem mu gazetę. Rzucił okiem na tytułową stronę, miałem wrażenie, że w gardle uwiązał mu gruzel szloch. Przewrócił się na brzuch, coś się w jego piersi głośno odzywało. Niebawem zasnął.

Równy po tygodniu wstał z łóżka bez niczyjej pomocy, Poszedł do łazienki, gdzie ogolił się i wziął prysznic, wrócił do pokoju nienagannie ubrany. Nie patrząc

na mnie, powiedział normalnym, dźwięcznym głosem: „We wrześniu, na CaH jesień, pojedę do Montenero. Chciałbym tam zabrać Pana i siostrę Magdalene, która dostanie bezterminowy urlop. Nie czuję się jeszcze na siłach stanąć oko w oko z samotnością”.

XIV - m.

Kołuje jak osa usłyszane od kogoś zdanie, nie daje się odpędzić. Im natarczywsze w swoim kołowaniu i bzyczeniu, tym bardziej drażni. „Stanać oko w oko z samotnością”, prawdopodobnie nie pierwszy raz zetknąłem się z podobnym sformułowaniem, a przecież uderzyło mnie w ustach Don Fausto. Przylgnęło do mnie na cały czas podróży do Montenero z takim uporem, że chwilami nie docierały do mnie strzępy rozmowy w samochodzie; skąpej zresztą rozmowy, którą usiłowała podtrzymać siostra Magdalena, wyciskając z doktora monosylabiczne burknięcia.

Sekrety słowa mówionego i pisanego! Nie zmienia się jego brzmienie w mowie ani układ liter na piśmie, ale obrasta natychmiast albo stopniowo w otoczki, które są dokładnie odpowiednikiem niuansów w obrazach, ich kolorach i układach figuratywnych, gdy patrzymy na nie z różnych miejsc oglądu. Cudowne jest bogactwo semantyczne tych samych słów, cudowne jak różnorodność tych samych ekspresji malarskich. Porozumiewamy się odcieniami, czasem na podobieństwo ślepców, odczytujących kształty wyczulonymi palcami, lub głuchoniemych, którzy słyszą plastyczniej od nas dzięki lekturze cudzych warg.

W Montenero mieszkańcy na rynku jak gdyby skurczyli się jeszcze bardziej od dni mojej poprzedniej wizyty, teraz wystarczyłoby włożyć im na głowy wysokie cylindry i wcisnąć do rąk króciutkie laseczki, aby wyglądali jak uciekinierzy ze świata Brunona Schulza. Identyczne kamienice na rynku i domki przy wjeździe do miasteczka. Niezmienne, lecz górujące w większym niż dotąd stopniu, pozostały jedynie katedra nad przepaścią i zamek na skalistym płaskowyżu.

Siostra Magdalena zamieszkała w pustym mieszkaniu rodzinnym Don Fausto, a my dwaj - żeby jej nie krepo wać i nie stawiać w kłopotliwej sytuacji - na zamku. ' w umeblowanej jako tako izbie na dole, koło bramy w<

ściowej; doktor w swoim zwykłym pomieszczeniu na piętrze, pod wieżą zamkową połączoną schodami z jego dużym pokojem. Posiłki przygotowywała siostra Magdalena w mieszkaniu na rynku. I tam spotykaliśmy się w trójkę.

O świcie, przed śniadaniem, siostra Magdalena wybierała się do katedry. Nie na mszę, której nie miał kto odprawiać, na modlitwę przed ołtarzem. Była jedyną osobą w katedrze, aż do godziny zamknięcia, do dwunastej w południe, nikt z mieszkańców Montenero tam nie zachodził. Po południu i wieczorem nie otwierano katedry w ogóle. Traktowano ją jak zabytek, a nie jak dom modlitwy. Mieszkańcy Montenero nie garnęli się do Boga, choć nie podkreślali ostentacyjnie swej obojętności religijnej. Po prostu żyli tak, jakby ich miasteczko było umarłe lub układało się wolno do snu śmierci. Zginali się w czołobitnych ukłonach przed swoim Guliwerem, bo tak w zestawieniu z nimi wyglądał postawny i wysoki Don Fausto. Zapewne ich przodkowie w analogiczny sposób odnosili się kiedyś do jego ojca. Za „swoją” uważali jedynie zmarłą Weronikę, skoro była im równa miniaturową

figurką. Każdy dzień pobytu w Montenero utwierdzał mnie w przekonaniu, że doktor przywiózł nas do martwego miasteczka. I sam czułem się w nim wszechwładnym panem.

Do pustej zawsze katedry wstępowałem chętnie. Resztki jej romańskości uchowały się jakoś, mimo że kruszała w oczach, ignorowana całkowicie (nie wiadomo dlaczego) przez urzędy konserwatorskie w Chieti i Pescarze, nie mówiąc o większych jeszcze miastach. Nigdy nie przestawałem być pod urokiem romańskiej surowości, zwłaszcza romańskich kolumn, masywnych, podpierających nasz ziemski świat, gdy gotyk mierzył ku niebieskiemu sklepieniu. Bólem Przejmował mnie widok dziur w kolumnach i częstszych codziennie odprysków kamiennych na podziurkowanej rów-niez Posadzce. Nie używany ołtarz obsuwał się wyraźnie do Ienu, był nagi i przebity działaniem mrocznego czasu jak Postać Chrystusa na krucyfiksie. Można było uwierzyć, dząc po katedrze, że zapowiadała śmierć religii. A ten głupawy i półniemy kościelny w łachach, który siadał na stopniach ołtarza po uprzątnięciu naw! Umiał poprawnie wymówić dwa tylko słowa, których nauczyli go z pewnością inni: Montenero cuore, Montenero umiera.

Celem przyjazdu doktora do rodzinnej siedziby było pokonanie stanu - nie wiem, jak to nazwać, on sam użył pa-rokroć słowa „depresja”, według mnie jednak chodziło o coś znacznie poważniejszego. Przewlekłe deszcze (cały tydzień!) u progu września zablokowały nas całkowicie, skazując mnie i doktora na lektury, a siostrę Magdalенę na modlitwy i próby (nie zanadto udane) nawiązania znajomości z sąsiadami na rynku. Don Fausto prawie ze mną nie rozmawiał, ożywał się lekko podczas wspólnych posiłków. Tak mieliśmy mu pomóc w „stanięciu oko w oko z samotnością”? Na szczęście, po wstępnym tygodniu deszczowym nastąpiła piękna jesień, ciepła i porażająca czystością nieba. Zaczęliśmy wychodzić na dalekie spacer, zwiedziliśmy Chieti i Pescarę, wyprawiliśmy się nawet na cały dzień do Sulmony i Aquli. Cała impreza nabrała rumieńców, Don Fausto stał się dosyć elokwentnym przewodnikiem.

Ale zbliżał się koniec września, okres, który instynktownie odpycham i we wspomnieniach, i tym bardziej w opisie. Potrafię utrzymać mocno pióro w palcach, uda mi się rozbroić niedowierzanie i nieufność czytelnika?

XV Zdaje się, że zamek zbudował dziadek Don Fausto w połowie zeszłego stulecia. I przez jakiś czas mieszkał tam stale z rodziną, goszcząc zazwyczaj latem przedstawicieli p0' pozostałych odrośli rodzinnych. Don Fausto i jego siostra Ve-ronica odziedziczyli zamek w młodości. Don Fausto, świeżo upieczony chirurg mieszkający już wtedy w Neapolu, wynajął, a potem kupił dla siostry mieszkanie w Montenero. Zamierzał odwiedzać ją możliwie często, przy czym wolał

mieszkać sam na zamku niż z nią w Montenero. Nie więcej niż kilometr z nawiązką dzielił zamek od miasteczka.

Zamek był architektonicznym szaleństwem, dziełem sprowadzonego specjalnie inżyniera hiszpańskiego. Łączył we wnętrzu karykaturalną zapowiedź secesji z zewnętrznym charakterem twierdzy. Przypuszczalnie sam fundator narzucił architektowi piętno labiryntu, który nowo przybyłym odbierał tak dalece

elementarny zmysł orientacji, że zdarzały się wypadki gości zabłąkanych późną nocą w przesmykach, tajemnych przejściach, na licznych małych platformach; i zmuszonych, jeśli pozwalała na to pora roku, do zaimprovizowania prymitywnego legowiska w którejś wnęce muru albo pod dużym okapem na którejś z platform. Szaleństwo architektoniczne nie było owocem niezrównoważonego umysłu architekta (czy fundatora), lecz wydawało się zamierzone, co być może wносиło do budowli jedyny, swoisty, a nawet zagadkowy element sztuki. W pełni uprawnione wydawało się podejrzenie, że twórcy zamku podziwiali gotyckie powieści Ann Radcliffe, zwłaszcza *The Castles of Athlin and Dunbayne* i *The Mysteries of Udolpho*. W każdym razie ja czułem się usprawiedliwiony, i odrobinę nawet dumny, że zobaczywszy z bliska, ale nie od wewnątrz zamek w czasie mojej pierwszej wizyty w Montenero, nazwałem go „otran-ckim”. Walpole był współczesnym pani Radcliffe i jego *The Castle of Otranto* skłonił wybitnego anglistę włoskiego do zestawienia tej powieści, także gotyckiej, z nowelą Henry Jamesa *The Turn of the Screw*; oraz do nadania osiemnasto-wiecznemu autorowi tytułu „kolumbowego odkrywcy lęku metafizycznego”. Walpole należał do pierwszych admiratorów Piranesiego. To też się zgadzało. Gdy zobaczyłem w burach zamku nikomu niepotrzebny most zwodzony, łączący dwie strony dziedzińca nad wykopanym specjalnie rowem (kiedyś pewnie wypełnionym wodą, teraz wyschnię<sup>TM</sup>), przyszło mi na myśl to, co Aldous Huxley napisał był ° więzieniach Piranesiego: „Wyrażają doskonałą bezce<sup>o</sup>w<sup>o</sup>ść, schody prowadzą donikąd, stropy nie podpierają niczego”. A może zamek w Montenero miał być w intencji twórców spokrewniony z więzieniem?

„Któregoś rana - pisał Walpole w liście z 1783 roku -. obudziłem się ze snu, zapamiętawszy z niego to jedynie, że znajdowałem się w starym zamku (sen całkiem naturalny dla głowy tak pełnej historii gotyckich jak moja), gdzie na najwyższej balustradzie wielkich schodów ujrzałem gigantyczną rękę w zbroi. Wieczorem zabrałem się do pisania, nie mając zielonego pojęcia, co mianowicie zamierzam opowiedzieć”. Tak poczęty został *The Castle of Otranto*.

Którejś nocy obudziłem się z twardego snu bez snów i jak popchnięty niewidzialną ręką skierowałem wzrok na balustradę niskich i drewnianych schodów, widoczną w podłużnym otworze sufitu mojej izby. Tamtędy szło się do pokoju Don Fausto lub z przeciwnej strony schodziło się, omijając moją izbę, do zamkowej bramy. W otworze zobaczyłem jakby kłęb dymu i sądziłem początkowo, że na pierwszym piętrze wybuchł pożar. Miałem już zerwać się z łóżka i zaalarmować współmieszkańca zamku, gdy kłęb dymu zaczął przybierać kształty podobne do ludzkich. Wyraźna była zwłaszcza duża głowa bez twarzy w wysokim, spiczastym nakryciu w formie stożka. Tylko ją było widać i coś w rodzaju ręki pełną na poręczy balustrady. Zjawy przesunęła się w kierunku zejścia z drugich schodów do bramy i znikła. Leżałem zdrętwiały, ścierpięty, niezdolny do poruszenia się. I wycęzałem słuch. Ale z pokoju Don Fausto nie dochodził długo żaden dźwięk. Nagle rozległ się jednak dźwięk, ledwie dosłyszalny, ni to płacz, ni suchy szloch. W szparze pod drzwiami zapaliła się listewka światła, o podłogę odbiły się ciężkie kroki, raz głośne, raz cichsze, co świadczyło, że doktor krąży po pokoju. Wreszcie listewka

światła zgasła, zamek utonął na nowo w ciszy, a ja w śnie. w którym było coś z omdlenia. Rano zabrakło mi sił, b) wstać z łóżka i pójść na śniadanie do siostry Magdaleny Miałem krótki oddech i sapałem; rozbolała mnie głowa Przed południem zdążyłem do otwartej jeszcze katedry, nie t"płem natomiast do mieszkania na rynku. Nie chcia-. nikogo widzieć. Siedziałem w ławce blisko ołtarza, trzymałem w dłoniach obolałą i zwisającą głowę, czułem potrzebę milczącej choćby modlitwy. Kościelny nie zwracał na mnie uwagi, kończył zamiatanie bocznej nawy. Ale jego podarty i wyświechtany fartuch uprzytomnił mi, przez skojarzenie, że zjawia nocna miała na sobie jakby pelerynę, całą w strzępach.

Tego dnia nie widziałem moich towarzyszy, skorzystałem z pogody i pomaszerowałem drogą w dół, pamiętając, że na rozdrożu w odległości czterech-pięciu kilometrów znajduje się wiejska karczma. Brudna, zadymiona, rozwrzeszczana, była dokładnie tym, czego wtedy potrzebowałem. Jadłem w zgiełku jedyne danie, gęstą zupę jarzynowo-mięsna, popijałem podławe wińsko i z ulgą czułem odtajenie. Mogłem teraz słuchać mówiących, czy raczej wrzeszczących. Uderzyło mnie jedno: nie wiedząc, kim jestem, wzmiankowano niekiedy Don Fausto i Montenero, jakby chodziło o czarownika i jego domenę. Pod wieczór furgonik dostawcy spożywczego zabrał mnie do Montenero. Poszedłem prosto do mojej zamkowej izby.

Nie było w zamku nikogo, Don Fausto i siostra Magdalena jedli pewnie kolację, szykowali się do partyjki karcianej czy warcabianej, być może zachodzili w głowę, gdzie się podziałem. A ja, nie zapalając światła, wspiąłem się po schodach w miękkich bezgłośnych łapciach na piętro i ostrożnie odemknąłem drzwi pokoju Don Fausto. Mimo jesiennego chłodu wieczornego okno było szeroko otwarte. Na stole leżały hałdy gazet i nożyce. Na nocnym stoliku amerykańska książka Count Francisco Ildes Brandes, z podobizną tytułowego bohatera na okładce. Drzwiczki na wąskie schody 0 wieżyczki były uchylone. Nie umiałem oprzeć się pokuje. Wieżyczka, z daleka robiąca wrażenie głównego miej-Sca ostrzału w twierdzy, była jednym obszernym pokojem 0 szczelnie zamkniętych i zakitowanych dwóch oknach. Na Scianie między oknami wielki i dobrze malowany fresk był po prostu powiększeniem inkwizycyjnego portretu Don II-debrando, lecz nie (jak w miniaturach okładki książkowej i obrazka we wnęce i kotarze pałacyku neapolitańskiego) portretem do pasa, siedzącym. Don Ildebrando - figura od podłogi do sufitu, podkolorowana przez autora fresku - stał w całej okazałości i patrzył przed siebie tym swoim strasznym okiem. Ja zaś stałem naprzeciwko niego, biło mi mocno serce, nogi moje przyrosły do ziemi. Ile upłynęło czasu? Gdy schodziłem chwiejnie w dół najpierw wąskimi schodami do pokoju doktora, potem normalnymi do mojej izby, słyszałem w oddali kroki Don Fausto na skalnym płacie, którym schodziło się do bramy zamkowej. Zdążyłem w ciemności wsunąć się ubrany pod kołdrę. Don Fausto zajrzał do mojej izby, przez chwilę wahał się, czy mnie obudzić, w końcu poszedł do siebie. Starał się omijać trzeszczące deski w drewnianych schodach.

Upłynęło kilka dni, które poprawiły nieco humory naszej trójki. Noc w noc, do późnej godziny, wpatrywałem się z łóżka w balustradę przez otwór w suficie. Ani

przez chwilę nie wątpiłem w prawdziwość mojej pierwszej wizji, sądząc z uczuciem ulgi, że była jednorazowa. W nocy z soboty na niedzielę zwykliśmy sypiać dłużej, leżałem zatem pogrążony w lekturze (której z kolei?) Mistrza i Małgorzaty Bułhakowa. Półzartobliwy ton narracji pisarza rosyjskiego miał mnie uzbroić przeciw pełzającym za skórą lękom. Przed zgaszeniem lampy na stoliku spojrzałem na zegarek: była trzecia.

Wtedy właśnie, o trzeciej w nocy, wyrwał się z pokoju Don Fausto, a właściwie z wieżyczki, rozdzierający krzyk. Nie cichy płacz czy suchy szloch, który już raz słyszałem za ścianą jego pokoju. Krzyk, połączony z jakimiś głośno powtarzanymi słowami. Może ma atak serca, może wzywa pomocy? Wskoczyłem z łóżka i boso pobiegłem na górę, wprost do wieżyczki.

Kłęczał przed freskiem, bił głową o podłogę jak rozmodlony muzułmanin, powtarzał te same wciąż słowa (po hiszpańsku): *Librame del Mai*, uwolnij mnie od Zła. Po każdym uderzeniu głową o podłogę wznosił ją ku wizerunkowi swego dalekiego przodka na ścianie. To, co powiem teraz, skłoni wielu czytelników do uśmiechu i wzruszenia ramionami. A jednak powiem, bo zanadto współczesność wpoila nam kult „zdrowego rozumu”. Oglądamy kącikami oczu zjawiska niewytłumaczalne, udajemy, żeśmy ich w ogóle nie widzieli, czytamy u śmielszych pisarzy o duchach osób umarłych, uważamy je za urojenia i płody chorej wyobraźni, byle tylko nie narazić naszego „zdrowego rozumu”, byle tylko nie dać się wepchnąć w obręb innego wymiaru, za próg „rzeczywistości sprawdzalnej i dotykanej”. Przechodzimy przez życie z jednym okiem nadmiernie aż wyostrzonym, z drugim ślepym, zaciągniętym bielmem. Wystarczy, by widzieć? Nie, nie wystarczy.

Don Ildebrando wyszedł ze swego portretu na ścianie, postawił duży krok nad kłęczącym i bijącym głową o podłogę, i postawiwszy go, nie odwracając się, do tyłu wyciągniętą nogą kopnął go tak mocno, że Don Fausto przywarł do podłogi całym rozplaszczonym ciałem i zmarł w bezruchu. Rzuciłem się do ucieczki. W moim pokoju zobaczyłem jeszcze na balustradzie odchodzącą wolno i dostojnie postać, po czym osunąłem się na ziemię zemdlony.

Ocknąłem się późnym rankiem, w pełnym świetle dnia wyplątanego z ciemności, i opanowując z trudem słabość, trzymając się oburącz poręczy, wdrapałem się na piętro. Pokój doktora był pusty. Pusta też była wieżyczka z freskiem na ścianie między oknami.

Burza Wszystkie poszukiwania spełzły na niczym. Prowadzone ty i przez policję włoską, i przez Interpol. Don Fausto znikł bez śladu. Policja włoska przetrząsnęła miejscowości, w których bywał we Włoszech. Interpol zbadał Toledo. My oboje - siostra Magdalena i ja - łaziliśmy po Neapolu jak dwa psy puszczone na trop. Rozesłano listy gończe, na murach pojawiły się plakaty z fotografią zaginionego i znaczną sumą nagrody za znalezienie lub co najmniej dobrą wskazówkę. Rzecz jasna, posypały się listy i doniesienia mitoma-nów. Nie wykluczono możliwości samobójstwa, wysondowano więc dwa jeziora położone najbliżej Montenero. Przez jakiś czas popularna była wersja jedyne go we Włoszech klasztoru sycylijskiego, gdzie obowiązywał wobec wstępujących absolutny anonim, łącznie z

cmentarzykiem klasztornym, na którym groby oznaczone były tylko imionami zakonnymi. Ktoś jednak przeciął tę nić przypomnieniem, że Don Fausto był przysięgłym bezbożnikiem.

W pół roku po jego zniknięciu sporządzono, zgodnie z przepisami prawnymi, urzędowy akt zejścia. Co pozwoliło znanemu adwokatowi neapolitańskiemu ujawnić testament Don Fausto, podyktowany w sekrecie przed ostatnim wyjazdem do Montenero. Zarówno Palazzetto Panoramico w Neapolu, jak skrzydło domu w Toledo oraz mieszkanie i zamek w Montenero zapisał Don Fausto klinice, od daw - j na już zamienionej na spółdzielnię.

W rok przeszło później, u schyłku jesieni, gazety i dzień-1 niki telewizyjne doniosły o gwałtownych ulewach w Abruz-zach. Rzecz była zaskakująca. Od mojego abruzzyskiego przyjaciela wiedziałem, że po łagodnej względnie jesieni nadchodzi w tych stronach ciężka zima, z zasypanymi wysokim śniegiem drogami, z izolowanymi całkowicie wioskami, które trzeba zaopatrywać z powietrza. Tym razem - jak podobno przed półwieczem - stało się odwrotnie: jesień smagała cały rejon deszczowymi nawałnicami i krążącymi bez przerwy burzami, zima zaś przyszła na dobre dopiero w styczniu, bez zasp i zatorów śniegu, z przygrzewającym w południe słońcem.

Burze zalewały strugami wody cały rejon Abruzzów, szczególnie jednak znęcały się nad Montenero i okolicami! nad Montenero zapomnianym przez Boga i ludzi.

Traf chciał - ale czy istnieje traf, czy nie jest tylko niepojętą i niewidzialną dla nas kompozycją zdarzeń? - „traf więc chciał, że kończyłem wtedy (jeszcze raz!) Mistrza i Małgorzatę - Gdy w telewizji nadawano częste „komunikaty specjalne” o „klęsce żywiołowej” w wielu częściach Abruz-zów, czytałem ostatnie rozdziały powieści Bułhakowa: „Tymczasem burza, o której mówił Woland (Książę Ciemności), narastała na horyzoncie. Na zachodzie zjawiała się czarna chmura, odcinając pół słońca. Potem zasłoniła je zupełnie. Pomroka, ciągnąca z zachodu, spowiła ogromne miasto. Zniknęły mosty i pałace. Wszystko przepadło w ciemnościach, jakby nigdy nie istniało. Przez całe niebo przebiegła ognista nić. Potem miastem wstrząsnął grzmot, później drugi i nadeszła burza, a w jej tumanie zniknął Woland”.

Dwa pioruny uderzyły w Montenero. Jeden w zamek, wznecając pożar, który wypalił wnętrze, przede wszystkim drewniane schody, pokoje mieszkalne i mostek zwodzony, tak że budowla upodobniła się do szkieletu. Drugi w katedrę, w brzydką wieżyczkę zegarową, wzniesioną na dachu romańskiej świątyni pod koniec zeszłego stulecia. Cios piorunowy był dostatecznie silny, by zostawić po sobie długą wyrwę trójkątną w bocznej ścianie katedry.

Ledwie umilkły burze, a raczej odplynęły, groźnie pomrukując, na północny wschód, z gór na horyzoncie runęła powódź. Zmiałała po drodze wszystko, co zbyt kruche, między innymi Montenero. Część lilipucich mieszkańców zginęła w zwałach błota, które obsuwało się wraz z wodą, część zdołała dotrzeć do rozdroża w dole, płytko pokrytego błotną lawiną.

„Wszystko przepadło w ciemnościach, jakby nigdy nie istniało”.

s'yczeń-luty 1996

Moskwa, 15 maja 2000

Od dziesięciu dni jestem „wysłannikiem specjalnym” tu-\* ryńskiej „La Stampa” w Moskwie. Tak oto urzeczywistnia się mój sen, za późno niestety, czuję na ramionach większy wciąż ciężar osiemdziesięciu lat. Ale Bogu dzięki i za to! Znałem Związek Sowiecki i później Rosję z lektur tyłkol choć obecny ambasador RP w Moskwie, Andrzej DrawiczJ był łaskaw nazwać mnie kiedyś sowietologiem i rusycystą honoris causa. No i oczywiście podczas wojny spędziłem dwa lata w stranie rabów, stranie gospod w niezbyt wygodnej dc obserwacji i nauki pozycji raba nad Morzem Białym. Lenin! grad na przykład, dziś Petersburg (a podobno wkrótce znc wu Leningrad). Jak marzyłem o jego poznaniu, o przemierz niu na wszystkie strony miasta wielkich pisarzy rosyjskii (Dostojewskiego przede wszystkim)! A widziałem go tyłkij przelotnie przez szparę czornogo worona, karetki więzień^ nej, w drodze z dworca do Pieriesyłki i z powrotem (nc oczywiście). Do Moskwy zaproszono mnie co prawda w ku 1991, na prezentację mojej książki w przekładzie rosyjl skim, ale po świeżym zawale kardiolog był takiej wyprawie\* przeciwny.

Pozostały mi więc lektury, sympozjony, spotkania, rozmowy z przybyszami stamtąd - jedyny materiał do komentarzy w dzienniku pisanym po polsku i w artykułach włoskich. Te ostatnie zachęciły redaktora gazety turyńskiej do zaproponowania mi posady „wysłannika specjalnego”-Choć niemłody (miły eufemizm), po latach życia w „futerale” (żeby posłużyć się określeniem Czechowa), poczułem się fizycznie zdolny do przyjęcia propozycji, która miała w sobie coś ze skoku do głębokiej wody człowieka odwykłego w ciągu wielu lat od pływania.

Gazeta wynajęła mi apartamencik w hotelu Sojuz na obrzeżach Krasnoj Ploszczadi, hotelu-dumie prezydenta Ziuganowa. Ogromny, wzorowany na warszawskim Mar-riotcie, tak osobliwie zbudowany, że labirynt korytarzy zdawał się przytłaczać apartamenty i pokoje. Niebawem zrozumiałem dlaczego. Korytarze były wiecznym targowiskiem żywego towaru; nigdy nie widziałem takiej masy młodych i ładnych dziewcząt, które dniem i nocą oferują klientom swoje wdzięki za bardzo duże pieniądze (w walucie). Słyszę, że rządząca partia, usiłując nawiązać do swoich tradycji purytańskich, jest w duchu bardzo niezadowolona z takiego obrotu rzeczy, lecz jedyne remedium, jakie dotychczas zdołała wymyślić, musi być skwitowane dość ironicznym uśmiechem (zwłaszcza ludzi niemłodych): dziewczęta lekkich obyczajów obowiązane są nosić lekkie i przewiewne mundurki z napisem na naramiennikach: Brygada im. Aleksandry Kołłontaj. Niepohamowana seksualnie amba-sadorsza bolszewicka doczekała się miejsca w neopanteo-nie neokomunizmu.

Przyjechałem tu 5 maja, dziś o świcie zacząłem pisać (z przyzwyczajenia) mój moskiewski dzienniczek. Wpadłem od razu w namiętny spór, o którym jednak opowiem póź-niej - Najczęściej używanym teraz słowem jest mumija, przy czym społeczeństwo podzieliło się na dwa obozy: większość niowi głośno dorogaja mumija, mniejszość nieco ciszej pro-klataja mumija.



Pierwszą wizytę, zaraz po przyjeździe, złożyłem mojemu dawnemu znajomemu, ambasadorowi Drawiczowi. Przyjął mnie grzecznie, jakkolwiek z pewnym chłodem; pamiętał Pewnie z dawnych lat kilka kąśliwych uwag na temat jego 2aWrotnej kariery politycznej. Potem, będąc z natury członkiem czystosierdiecznym (uwielbia to słowo), rozkręcił się, a nawet rozkrochmalił. Bez przerwy zalecał swoją słyń-ną teorię, a raczej doktrynę polityczną „pocałunku na mrozie”, mimo że za oknem grzało wiosenne słońeczko. Prawdziwym celem mojej wizyty była nie tyle kurtuazja obywatela RP, co określona intencja namówienia go na spacer śladami Mistrza i Małgorzaty, wspaniałej powieści Bułhako-wa, której jest tłumaczem na polski i znawcą. Odmówił, niestety, usprawiedliwiając się bliskim przyjazdem do Moskwy prezydenta Kwaśniewskiego, który wobec nadmiernego ochłodzenia stosunków na linii Moskwa-Warszawa zamierzał w rozmowach z prezydentem Ziuganowem ocieplić trochę rządową doktrynę polską „pocałunku na mrozie”; miał mu, obok premiera, towarzyszyć minister spraw zagranicznych, Lamentowicz, znajomek z Neapolu.

Wypiliśmy w ambasadorskim gabinecie pożegnalny kieliszek wybornej wódki, a dla otarcia łez dostałem od Dra-wicza parę ważnych dla mnie adresów i rekomendacji moskiewskich.

16 maja Lionello, mój poprzednik na stanowisku „wysłannika specjalnego”, wprowadził mnie naturalnie przed powrotem do Włoch we wszystkie sekrety pracy w Moskwie, otworzył przede mną i oddał do mojej dyspozycji małe archiwum w moskiewskim biurze turyńskiego dziennika oraz przedstawił mi naszą rosyjską sekretarkę, Olgę. Olga zaś, w chwilach wolnych od stukania na maszynie i obsługiwanego telefonu, usiłowała otworzyć przede mną „tajniki” stolicy.

Ponieważ mój hotel Sojuz znajdował się w pobliżu Kremla, przechodziłem codziennie po parę razy dokoła jeg<sup>o</sup> murów, wpatrzony w jego wieżyczki, baszty, budynki wewnętrzne. Ciekawe, że za każdym razem powtarzałem sobie po cichu motyw główny arcydzieła Wieniczki Jerofieje’ wa Moskwa-Pietuszki: „Wszyscy mówią Kreml, Kreffl

m ja sam Kremla nigdy nie widziałem”. I te słowa w pijacki poemacie” Wieniczki sprawiły, ciągle powtarzane, że na wzór Statku pijanego Rimbauda zagnieździł się w moim umyśle Kreml pijany. Pijani nie ludzie za jego murami, lecz piiane mury, baszty, forty, kołyszące się i chwiejące bez przerwy, jakby za chwilę miały się rozsypać w momencie trzęsienia ziemi.

Oлга pokazała mi cztery, najlepsze zdaniem Michelina, restauracje moskiewskie: Krym, Kaukaz, Wieczerna Moskwa i Spokojnoj noczi (nie bez aluzji). Wszystkie cztery były szalenie drogie, pełne po brzegi, szumiące jak ule od rozmów i śpiewów podchmielonych mężczyzn, na oko bardzo bogatych, i odrobinę mniej podchmielonych dam w pięknych toaletach, słowem śmietanki neokomunizmu Ziuga-nowa. Przed wystawami gromadzili się co jakiś czas nędzni oberwańcy, natychmiast odpędzani przez umundurowanych stróżów z pomocą milicjantów. Nie wypadało mi uciec z obrzydzeniem, więc zaprosiłem na obiad Olgę w siódmym niebie. Ceny prohibicyjne dla normalnych ludzi, ale potrawy pierwszorzędne, rzecz

jasna za ciężkie na mój stary żołądek. Olga jadła za siebie i za mnie, zupełnie się nie krępując. Odetchnąłem z ulgą po wyjściu na ulicę.

*Dzięki Oldze, która widocznie wyczytała na mojej twarzy wyraz niesmaku, pojechaliśmy metrem na przedmieścia. Dzielnica była typowo proletariacka, biedna, szara, tandetnie zabudowana. Oglądałem dzieci grzebiące w śmietnikach, rachityczne i wycieńczone kobiety, młodych jeszcze mężczyzn z kartoflanowódczanymi brzuchami. Przyglądano narn się podejrzliwie i niechętnie. Na murach oberwane były lub naderwane plakaty polityczne. Zdarzały się kulfonami wysmarowane napisy „Bij Żydów, ratuj Rosję”, „Żryjcie, gospoda, udławicie się wkrótce”, „Nadejdzie wreszcie dzień zapłaty” i zaraz obok „Panami wówczas będziem my”. Te \_owa z Międzynarodówki, pieśni uciemienionych, przypom-nty mi „męty ziemi”. Tak, tak, w okolicach przedostat-ej stacji metra mieszkały „męty ziemi”, wystające czasem ~ Oaennik... (1993-1996) 545*

w milczeniu przed szybami luksusowych restauracji, gnane kijami przez cerberów „postrewolucji”.

Była szósta, gdy Olga zawiozła mnie taksówką na Sadową do kawiarni, a w południe stołówki, Woland. Woland! Znakomity bohater znakomitej powieści Bułhakowa patronował nikczemnej norze. Wchodziło się z bramy, schodkami w dół, kropla w kroplę jak do stołówki rosyjskiej Rachmaninowa nad Sekwaną, przy Place d’Alma. I publiczność podobna: i tu w ojczyźnie, i tam na wygnaniu, n i e u d a c z - j n i c y pióra i pędzla, przedwcześni emerycy, uniwersyteccy \ alfonsi „na boczku”, strojne przed wiekiem i nadobne kra-; sawice, doraźni waluciarze, wykopani z redakcji dziennika-1 rze, eks-urzędnicy, niedokończeni prawnicy, zawodowi korepetytorzy i wsiakij chłam rezydencji w stylu Fomy Fomi-cza Opiskina ze Wsi Stiepanczikowo Dostojewskiego. Słowem „inteligenci”. Od drzwi zalatywało tanią śmierdzącą smażyną i lurowatą kawą. A na drzwiach powinien być i przybity, w przekładzie na rosyjski, wiersz Mistrza Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego.

Wciąż uciekamy. Z miasta do miasta.

Inteligenci.

Tęskniąca nacja. Giniąca klasa.

Zmarznięci.

Szarzy.

Z milionem rodzin. Z gramofonami.

Z kraju do kraju.

- Powiedzcie, gdzie jest wasza ojczyzna?

Wciąż nas pytają.

A my nie wiemy. A my płaczemy jak woda morska.

Pod sztuczną palmą listy piszemy na brudnych dworcach.

W brudnej kawiarence-knajpce pod wezwaniem diabła Wolanda było tłumno i gwarno. Już zamierz wycofać się przerażony, ale Olga wskazała mi głową odległy kąt. Rzeczywiście! Przy stoliku siedział Siniawski, co pewien czas przyjeżdżający z Paryża do Moskwy, na sąsiednim krześle usadowiła się jego Masza, a oboje otoczeni byli wianuszkami zasłuchanych osób płci obojga i w różnym wieku.

Andriej Donatowicz przestał widocznie przyszygić swoją brodę protopopa, bo sięgała mu do pasa, i cicho szepcząc, kaprawym oczkiem lustrując obecnych, mógł być wzięty za karła z diabelskiego rodu Wolandów. A Masza za towarzyszącą mu wiedźmę. Przesunąłem się bliżej jego stolika, tyłem, z odwróconymi do niego plecami, nie chciałem bowiem odnawiać w Moskwie paryskiej znajomości. Chciałem natomiast posłuchać. Z Paryża znałem jego zapewnienie, że „Soł-żenicyn nie jest żadnym pisarzem, jest wyłącznie matematykiem”. Wypowiadał je teraz głośniej, w rok po zgonie Soł-żenicyna. No i głośniej pomstował na zmarłego również Jel-cyna, „zbrodniarza wojennego zasługującego na Norymbergę”. Słuchacze kiwali miarowo głowami, całość robiła wrażenie sceny w zaświnionym odpadkami akwarium.

18 maja W ostatniej chwili, wczesnym ranem, dowiedziałem się o d Olgi, że w jednej z największych cerkwi moskiewskich zaczyna się o jedenastej nabożeństwo za duszę Sołżenicyna w pierwszą rocznicę zgonu. Olga, tak zawsze usłużna, wymówiła się pod jaskrawym pretekstem od pojechania ze n^-. Dlaczego? Dwudziestosiedmioletnia przyjemna i in-e|1gentna dziewczyna sama wyznała mi w naszej rozmowie Wstępnej, po moim przyjeździe do Moskwy, że Gułag Pochłonał jej dziadków i ojca. Czyżby ta rana zagoiła się szybko? Zdążyłem już wywąchać, że młodzi w dawnym K odnoszą się do wielkiego pisarza, i w ogóle do prze°sci, z lekko zażenowaną obojętnością. Inaczej niż młodzi Niemcy do dziedzictwa hitlerizmu; młodzi Niemcy, którzy rozczytują się w historycznych rekonstrukcjach lat hańby. Różnica powstała i utrzymuje się z tej, jak sądzę, przyczyny, że młodzi Niemcy w podróży na Zachód poddawani są ciągłym indagacjom w tonie oskarżycielskim, a młodzi Rosjanie pławią się w atmosferze „leftyzmu” zachodniego, w atmosferze „nie mówmy o tym, budowa socjalizmu była piękną ideą, niestety okazała się utopijna”.

Do cerkwi zdążyłem z niewielkim opóźnieniem. Była prawie pusta. Po prawej stronie, blisko ołtarza, stała gromada starych i starszych kobiet. Z nawyku dziennikarskiego, przechodząc obok nich, zapytałem szeptem, kto jest przedmiotem rocznicowych modłów. Kąkaj to pizuszczij, padła odpowiedź. Po lewej stronie, w ławce wysuniętej nieco do przodu, rozpoznałem bez trudu wdowę z trzema synami. Naraz usłyszałem pośpieszne kroki od drzwi, usunąłem się na stronę, aby przepuścić czarno ubraną kobietę, w czarnej woalce na twarzy. Nie przeszkodziło mi to przebić wzrokiem zasłonę. O Boże, była to Jelena Bonner, wdowa po Sacharowie. Bez wahania przyspieszyła jeszcze kroku, coś krzyknęła, i oto byłem świadkiem niezwyklej sceny: obie wdowy padły sobie w objęcia, płacząc głośno. Niezwyklej, skoro wiadomo było powszechnie, że Sacharow i Sołżenicyn nie kochali się zanadto i często polemizowali.

Odtąd czekałem na koniec nabożeństwa i okazję zbliżenia się do Jeleny Bonner. Pozna mnie, przypomni sobie nasze spotkanie w Paryżu (w mieszkaniu Maksimowa) i we Florencji? Co do Paryża, bardzo wątpię, byłem tam z Czap-skim i Giedroyciem, prawdopodobnie odcisnęliśmy się w jej pamięci w trójkę, co zawsze zamazuje rysy poszczególnych osób. Ale we Florencji odegrałem pewną rolę, której nie mogła zapomnieć. Za miastem, w willi Ołsufiewej, tłumaczki z rosyjskiego na włoski, i jej przyjaciółki, urządzono dla wybitnego „gościa stamtąd” konferencję

prasową. Moja ówczesny dziennik, „Giornale”, polecił mi być „wysłann” kiem specjalnym”. Znałem wcześniej Olsufiewą, poprosi’

łem ją w czasie spotkania z Sacharową przed konferencją. Było bardzo krótkie. Chciałem po prostu wiedzieć, czy pytanie podczas konferencji w sprawie przyznania Nagrody Pokojowej Nobla jej mężowi mogłoby mu w ówczesnej sytuacji zaszkodzić. „Ależ skąd - odpowiedziała błyskawicznie - mogłoby mu tylko pomóc, byłabym panu wdzięczna za postawienie go”. Postawiłem je pod koniec konferencji, odpowiedziała to samo. A nazajutrz ukazała się w „Giornale” moja korespondencja z Florencji, której tytuł pamiętam do dziś: Premio Nobel per Sacharov, perche no!

Takich rzeczy nie zapomina się łatwo, toteż dogoniona na ulicy w drodze do metra Jelena Bonner (na Sołżenicynów czekał samochód) rozpoznała mnie natychmiast i uściskała serdecznie. Odprowadziłem ją do stacji metra. „Cieszę się - powiedziała na pożegnanie - że Andriej Dimitriewicz umarł przed nadejściem obecnej smuty”.

19 maja Przed wyjazdem z Turynu do Moskwy zaprosił mnie na obiad w dwójkę redaktor „La Stampa”. Zanim postawiono go na redaktorskim mostku, był również - i to długo - „wysłannikiem specjalnym” w Moskwie. Znał dobrze rosyjski, może nawet lepiej ode mnie, i był otrząskany z tzw. „sowietologią” (we Włoszech zwaną la cremlinologia), tą osobliwą mieszaniną pewnej sumy wiedzy o ZSSR i znacznego tupetu w wysuwaniu hipotez, szafowaniu śmiałymi diagnozami, wrózeniu z fusów. „Sowietologów” nie zbijał mgdy z tropu inny od przewidywanego przebieg wypadków. r°gramowo parafrazowali Hegla: „Jeżeli fakty nie zgadza-J3 się z naszymi wróżbami, tym gorzej dla faktów”. Kłaniam? tu nisko ceniom mojego zmarłego przyjaciela, Leopolda abędzia, to on był ojcem „wysłanników specjalnych” róż-ych narodowości i politycznych maści. Za ojczyma uznał-^m Zbigniewa Brzezińskiego.

Siedzieliśmy w restauracji Cambio (stołował się w niej niegdyś hrabia Cavour). Mój redaktor krążył obsesyjnie prawie wokół nacjonalizmu w dawnym ZSSR. „Ma w Rosji zwłaszcza kolosalną przyszłość. Wszystko się zawaliło, zostało egzaltowane poczucie narodowe plus nostalgia imperialna. Niech pan draży w tym właśnie kierunku”.

Nie było potrzeby „drażyć”, wystarczyło zruszyć łopata wierzchnią warstwę. Rzecz była, jak mówią Rosjanie, na widu. Na każdym kroku mogłem w pełni ocenić owoce głas-nosti: moi rosyjscy rozmówcy pozbyli się wszelkich obaw i zahamowań, mówili jasno i otwarcie (przeważnie głupstwa, niestety), mimo że nie ukrywałem mojego zawodu dziennikarza i że mój rosyjski akcent wskazywał wyraźnie cudzoziemca („jak ty twardo mówisz po rosyjsku”, użalali się na - f de mną zawsze Czapski i Giedroyc; „nauczyłem się rosyjskiego w twardych okolicznościach”, odpowiadałem zawsze ze śmiechem). Co do „imperialnej nostalgii” nie było wątpliwości, odzywała się nawet w społecznych dołach, dokładnie tak jak po wojnie w Londynie słyshałem ją wyraźnie w ledwie zrozumiałej koknejkiej gadanie orwellowskich prole-sów. To była w Anglii powszechna choroba po wygranej wojnie, upadek imperium męczył całe społeczeństwo, tyle tylko że u ludzi

wykształconych gorączkę wywoływała choroba ukryta i wstydliva, o której należało milczeć, a ludzie tzw. „prości” wyrażali swoją irytację słowną biegunką przetykaną wrzaskiem.

Moskale, z którymi miałem okazję rozmawiać, zachowywali się przeważnie tak, jak ludzie „prości” w Londynie. Nie zamierzam uogólniać, staram się wystrzegać tego błędu, ale po dwóch tygodniach pobytu zaryzykowałbym twierdzenie, że nostalgia imperialna i egzaltacja narodowa to obecnie jedyne dwie struny, na których w Rosji może grać byle głupiec. Jestem więc przekonany, że mój zwierzchnik w Turynie będzie zadowolony z korespondencji swego „w słannika specjalnego”.

«. 1 C 20 maja?? v' -^>'.:v ' .>-?

Dziś rano wysłałem do Turynu moją pierwszą korespondencję, ważny według mnie wywiad. Oto jego tekst.

Po długich pertraktacjach, i oporach zainteresowanego, udało mi się wreszcie namówić na rozmowę sławnego historyka rosyjskiego, Roya Miedwiediewa. Sławnego, gdyż w dawnych sowieckich czasach znany był jako jedyny „dysydent partyjny”. To znaczy krytyczny wobec stalinowskiego dziedzictwa, lecz wierny tradycjom lenińskim, według niego zdradzonym i tępionym przez gruzińskiego tyrana. Wrogo usposobiony do prawdziwych dysydentów - ludzi w rodzaju Sacharowa i Sołżenicyna - nie został nigdy usunięty z partii, i nigdy nie oddał legitymacji partyjnej, obnosząc wszędzie tę okoliczność z nie ukrywaną dumą.

W dużym mieszkaniu wypełnionym książkami, niedaleko murów kremłowskich, przyjął mnie ze zwykłą rosyjską serdecznością, bez wódki, ale z dymiącym samowarem mocnej herbaty. „Jedyne, co mogę zrobić dla zagranicznego dziennikarza, to streścić wydarzenia od początku, unikając zbyt stronniczych komentarzy”. „Streszczajmy zatem” - powiedziałem, zachwycony samym widokiem samowara.

„A więc - jego głęboki i potężny głos zdawał się raczej otwierać wiec, niż kierować do jedynej rozmówcy. - W nocy z ostatniego dnia kwietnia na pierwszy dzień maja, w nocy poprzedzającej nasze wielkie święto państwowe, prawdopodobnie około godziny trzeciej, ulotniła się z Mauzoleum nasza droga mumia, zabalsamowane resztki naszego genialnego Władimira Iljicza. Bezcenny skarb dla każdego, kto mimo wszystko upiera się nieść wysoko Czerwony Sztandar komunizmu. Z tego właśnie powodu pierwszomajowa defilada wojskowa musiała obniżyć nieco swój pod-lebny lot przed pustym Mauzoleum, pustym, lecz tłumnym na dachu: prezydent Republiki Rosyjskiej, towarzysz Ziu-sanow, premier - towarzysz generał Lebied', wicepremier zernomyrdin i wielu, wielu innych, nawet wdowa po zmarłym niedawno Jelcynie. Wszyscy byli wyraźnie wzruszeni i zarazem przygnębieni, pozdrawiali rzadko i z brakiem zwykłego ferworu kolumny wojskowe defilady. Wolno mówić, po kradzieży drogiej mumii, o narodzie osieroconym. Czułem się i ja sierotą, ja, który co tydzień, wyposażony w specjalny bilet, odwiedzałem towarzysza Władimira Iljicza”.

Profesor Miedwiediew urwał i otarł wilgotne oczy. Skorzystałem z przerwy, żeby wtrącić: „Potem wybuchł kryzys kubański”.

„Wolno z pewnością nazwać tak - odpowiedział - odkrycie z 8 maja. Wyszło na jaw, dzięki naszym dzielnym i sprawnym służbom bezpieczeństwa, że nasza droga mumia została w tajemniczy sposób porwana przez służby bezpieczeństwa towarzysza Castro. Nazywam go wciąż towarzyszem, uważam bowiem porwanie za akt, nielegalny co prawda, międzynarodowego oddania komunistycznego zwłokom największego rewolucjonisty w dziejach ludzkości. Zręczna operacja kubańska została przeprowadzona z użyciem nowego typu minihelikoptera, który wylądował na dachu Mauzoleum (minister obrony, towarzysz marszałek Wariennikow, zapłacił za to wysoką cenę: zdegradowano go do stopnia generalskiego i z woli prezydenta Ziuganowa wyznaczono na dowódcę korpusu ekspedycyjnego, który przygotowuje się do ostatecznego uwolnienia Czeczenii). Jakkolwiek nieprzyjemny i może nawet rewoltujący, incydent wydawał się dość łatwy do zamknięcia wobec braterskich stosunków między naszą partią i partią kubańską. «Po tym wzruszającym nadmiarze miłości - daliśmy znać towarzyszowi Castro - odeślij nam drogą mumię możliwie szybko, bo nasza sieroca partia nie jest w stanie pogodzić się na długo z rozłąką». Ale towarzysz Castro udał, że nie słyszy na to ucho, popierany w tej milczącej odmowie przez inne partie, chińską przede wszystkim. Partie postkomu styczne w Europie Wschodniej usiłowały zignorować < incydent, mając na głowie większe kłopoty. Jedynie w sę były premier Oleksy ogłosił w piśmie «Trybuna» ar kuł (przedrukowany przez naszą «Prawdę») w formie «listu otwartego do towarzyszy Ziuganowa i Castro», wzywając ich do szybkiego pojednania. Jeśli chodzi o Europę Zachodnią, partia francuska przestała istnieć, a eks-partia włoska nie chciała napiętnować eks-towarzyszy kubańskich (nawiasem mówiąc, tak autodegradują się znawcy wielkiej sprawy proletariatu światowego), odezwała się tylko dość cicho Rifondazione Comunista, natychmiast wystawiona na publiczne pośmiewisko przez faszystę Fini, nowego prezydenta Republiki Włoskiej. Tylko premier Berlusconi wysłał grzeczny telegram kondolencyjny do naszego rządu, jakby chodziło nie o mumię, lecz o świeżo zmarłego kolegę”.

Zapanowała na kilka minut absolutna cisza, pochyliłiśmy się nad samowarem. Po czym Miedwiediew wyprostował się w fotelu i ciągnął dalej.

„W tym momencie sytuacja stała się poważna. Towarzysz prezydent Ziuganow postanowił wysłać eskadrę okrętów rosyjskich na Kubę, dokładnie tak jak Nikita Chruszczow zareagował na wojenne zamiary prezydenta Kennedy'ego. Posunięcie, według mnie, ryzykowne. Przekonało nas o tym zaraz zachowanie Amerykanów. Prezydent (i generał) Po-well wyraził gotowość «obrony» swego kubańskiego sąsiada, mimo że towarzysz Castro nie prosił o żadną pomoc. Także prezydent Chirac, zwęszywszy dobrą okazję do ożywienia glorii francuskiej, posłał wyrazy solidarności do towarzysza Castro. Jestem komunistą, drogi panie Herling (zdaje się, że tak brzmi pana nazwisko), ale jestem również przysięgłym pacyfistą. Mam tedy nadzieję, że po namyśle towarzysz Castro wyśle naszą drogą mumię na

spotkanie naszej eskadry, która triumfalnie zwróci ziemi ojczystej to, co dla nas droższe nad wszystko”.

uługa refleksja skłoniła waszego wysłannika do nadania rozmowy z profesorem Miedwiediewem, bez czekania na alszy rozwój kryzysu. Tak zwani „dobrze poinformowani”

Moskwie są przekonani, że w obliczu bojowej postawy merykańskiej eskadra rosyjska zmieni kurs o 180 stopni (tak jak eskadra Chruszczowa) i wróci do ojczyzny bez mumii Lenina.

55wa)624,671

181 Luciani)

30 maja Przewidywania „dobrze poinformowanych” sprawdziły się co do joty. Eskadra rosyjska wróciła z wyprawy bez skarbu. Co wprawiło tzw. „rosyjską scenę polityczną” w stan wrzenia.

Prezydent Ziuganow ogłosił w „Prawdzie” artykuł zatytułowany Policzek, gwałtownie antyamerykański w tonie i słownictwie, ale nie przekraczający przysłowiowego point ofno return. Naprężył mięśnie obu rąk na benefis narodu amerykańskiego i z zamiarem ostrzeżenia (jak myślał) amerykańskiego Białego Domu, nie zdradzał jednak ochoty puszczenia muskularnych rąk w ruch. W dwa dni później przelicytował go Żyrinowski w swoim organie „Moguczaja strana”. Jego artykuł posuwał się do przodu o ten krok, którego nie chciał postawić ostrożny Ziuganow. Wymowny był sam tytuł: Me przetrwamy bez Imperium. Szef partii liberalno-demokratycznej oszczędził „drugie mocarstwo świata”, koncentrując się na „nieodzownym przedpolu imperialnym”. „Ukraina, syn marnotrawny, musi wrócić na łono rodziny” - wołał i przeszedł szybko do Polski. „Polska jest naszym naturalnym pomostem do Niemiec, musi więc nadal odgrywać rolę młodszego brata w Imperium”. „Od tego należy zacząć, i to zaraz” - dodał groźnie. Akurat przypadał dzień comiesięcznych sondaży. Żyrinowski z 43 procent podskoczył do 67, Ziuganow z 54 spadł do 37.

Polska, wystawiona na sztych, nie zastygła w bezruchu. Minister Lamentowicz podał się nagle do dymisji z „powodów zdrowotnych”, a jego następcą, Longin Pastusiak, wY’ smażył błyskawicznie któreś z kolei memorandum, poiW wiążące prośbę Polski o przyjęcie do NATO. Rosji też należało dać odczuć, że wystąpienie Żyrinowskiego nie pozO’

h U3, 122, 1°A stało w Warszawie nie zauważone. Wyznaczona już grubo wcześniej wizyta prezydenta Kwaśniewskiego w Moskwie nie została co prawda odwołana, natomiast zredukowano jej rangę: premier Pawlak, który miał prócz ministra spraw zagranicznych towarzyszyć prezydentowi, ogłosił, że ważne czynności rządowe każą mu zrezygnować z podróży do stolicy Rosji i nie opuszczać stolicy Polski.

Ziuganow polecił znacząco przyspieszyć wielkie manewry wojskowe. Zaplanowane na późną jesień, odbędą się jednak (jak mnie poinformowano wczoraj) u schyłku lata.

Neapol, 12 marca 1996 > o (

Jorge Semprun, wybitny pisarz hiszpański, a właściwie hiszpańsko-francuski, bo przecież niektóre swoje książki napisał po francusku. Urodził się w Madrycie w roku 1923. Wyemigrował z rodziną do Paryża w czasie hiszpańskiej wojny domowej. Ojciec był dyplomata republikanem. Syn studiował filozofię na Sorbonie, wstąpił do partii komunistycznej i (w latach wojny) do francuskiego ruchu oporu. Gestapo aresztowało go w roku 1943, blisko dwa lata był więźniem Buchenwaldu. W wolnej Francji poświęcił się pisarstwu, we frankistowskiej wciąż Hiszpanii konspirował. Szczególny rozgłos zdobyły dwie jego książki: Autobiografia Jia Federico Sancheza (pseudonim partyjny) i Wielka podróż. Zerwał z partią i z komunizmem w połowie lat sześćdziesiątych. Po śmierci generała Franco żył między Paryżem i Madrytem. Był trzy lata ministrem kultury w rządzie Gonzaleza, do roku 1991.

Poznałem go na dystans, nie pamiętam dokładnie kiedy.

toś podarował mi jego francuską książkę Jaka piękna nie-z'e/a/, wskazując entuzjastyczny rozdział o moim Innym dziecie, czytany po angielsku. Entuzjazm był szczery, Oro dzięki nieustępliwym staraniom Sempruna, i z jego?Pem, moja książka, odrzucana w ciągu trzydziestu lat przez wydawców paryskich (nie pomogły nawet interwencje Camusa), ukazała się wreszcie po francusku.

Nawiązaliśmy wtedy kontakt osobisty, od czasu do czasu odwiedzałem go, przy okazji pobytów w „Kulturze”, w jego pięknym mieszkaniu koło placu Alma. Ponieważ planował wtedy trylogię o rewolucji rosyjskiej, mogłem mu być choć trochę pomocny, nie tak oczywiście jak jego (i mój) przyjaciel, Michał Heller. Odwzajemniał mi się ciekawymi, inteligentnymi uwagami na tematy hiszpańskie.

Prawdziwe zacieśnienie przyjaźni nastąpiło jednak stosunkowo niedawno, w maju zeszłego roku. Semprun, zaproszony przez Instytut Francuski w Neapolu, mówił (jak teraz widzę) o swojej nowej książce Pisanie czy życie, którą przeczytałem dopiero w tych dniach. Sala była pełna, ale po jego prelekcji słuchacze zostawili nam swobodę i w praktyce zachęcili nas, Sempruna i mnie, do publicznego dialogu. Szybko okazało się, że był to dialog pasjonujący: dialog byłego więźnia niemieckiego kacetu i byłego więźnia sowieckiego łagru. Brały w nim udział jeszcze dwie osoby nieobecne: Primo Levi, były więzień oświęcimski, autor słynnej książki Jeśli to jest człowiek, który popełnił samobójstwo w swoim rodzinnym Turynie dziesięć lat temu; i eseista francuski pochodzenia bułgarskiego, Tzvetan Todorov, autor książki o doświadczeniach łagiernych (nie swoich) W obliczu sytuacji krańcowych.

Nowa książka Sempruna jest świadomie zbudowana jako długi (300 stronic) łańcuch dygresji. Lecz ten łańcuch dygresji, nieraz znakomitych literacko, całe to „obsesyjne” kołowanie (takich jak Semprun, ja i Levi nazywa się prawie zawsze „ofiarami nieuleczalnej obsesji”) dokoła Buchenwal-du prowadzi do czego? Do jednobrzmiącej konkluzji, która mimo upływu lat jest nie tylko wciąż prawomocna; duz° więcej, wbrew pozorom, daje niekiedy znać o swoim mniej lub bardziej uśpionym trwaniu, o swoim nieustannym czy\* haniu. Semprun położył na tytułowej stronie Pisania elf. życia motto z Malraux: „Szukam najważniejszego regionl\*

duszy, w którym Zło absolutne stawia opór braterstwu”. Sam określa Buchenwald jako „przejście przez śmierć” i przejście przez Zło” (przez „Zło



radykałne", das radikal Bose, Kanta). Levi zamyka Rozejm słowami: „Nic nie było prawdziwe poza kacetem. Reszta była krótkim odpoczynkiem, złudzeniem zmysłów, snem". Todorov podkreśla, wzrost Zła" w XX wieku, nieporównywalny z ubiegłymi stuleciami. Ja bronię się desperacko w Innym Świecie przed duchowym zakażeniem, któremu ulegli Borowski i Levi, wiarą w niezniszczalność duszy w człowieku (nie każdym), tej duszy, której Szałamow nie chciał nikomu i za nic oddać; i o której mówił - on, ateista - że była przeważnie, wśród bardzo niewielu, co zdołali ją ocalić, synonimem wiary w Boga. W Boga - trzeba jednak dodać - z „odwróconym wzrokiem" (Elie Wiesel). Paradoksalnie, odwrócony wzrok Boga wzmagają wśród niektórych skazańców intensywność wiary w Niego. „Pisanie" z tytułu książki Sempru-na było próbą ocalenia; było „życiem", które zasklepia czasowo rany, ale ich nie goi. Wspominam turyńskiego ocalonego z Oświęcimia. Po tylu latach, głośny pisarz i ojciec rodziny wychodzi naraz rano na podest swego wysokiego piętra w turyńskiej kamienicy, patrzy chwilę w studnię schodów i rzuca się w dół. Zabił się - twierdzi Semprun - by zabić w sobie pamięć Zła radykałnego.

W niezwykłym, jak nigdy może dotąd tak otwartym dialogu publicznym w Instytucie Francuskim w Neapolu, powiedzieliśmy wspólnie, Semprun i ja, że świat jest dziś - po kacetach, krematoriach i Gułagu - przeniknięty do głębi, 1 \*to wie, czy nie na wieki, nieludzkim „innym światem", ragicznym westchnieniem, „jeśli to jest człowiek".

5 marca Jan Paweł II wezwał do „rozszerzenia postu na telewi-J? Czyli powtórzył laicki testament Karla Poppera, który zamiast mówić o „poście", uderzył tuż przed śmiercią w dzwon alarmowy. Wszystko zresztą jedno, jak to zostało ujęte, ważny jest sam apel, by na jakiś przynajmniej czas w ciągu dnia i nocy zgasić w milionach domów telewizory i wstrzymać straszny potok płynącej z nich trucizny. Telewizja przestała już dawno być tylko źródłem informacji i rozrywki. Podważa wszelkie elementarne wartości; niszczy wszelkie próby wychowania młodych w ramach względnej przyzwoitości i częściowego bodaj wstrętu do rozmaitych postaci gwałtu.

Niestety jednak, o ile miał prawo do takiego ostrzeżenia Popper, o tyle w papieskim wezwaniu tkwi szczypta hipokryzji. Czy to nie telewizji zawdzięcza Jan Paweł II niespotykane dotąd w historii, i upragnione, nagłośnienie pontyfikatu? Czy nie nazywają go często „papieżem telewizyjnym"? Czy jemu samemu nie zdarza się posuwać za daleko, gdy na przykład pozwala ekipie telewizyjnej uczestniczyć w jego wizycie w celi więziennej tureckiego zamachowca Alego Agcy? Czy naprawdę nie zdaje sobie sprawy, że gesty miłosierdzia i przebaczenia winny być z natury niejako prywatne? Że powinny jak ognia wystrzegać się teatralności? Tyle lat upłynęło od tej telewizyjnej sceny, a ciągle budzi we mnie odruch sprzeciwu.

20 marca W bardzo ładnej (i wzruszającej) książeczce Wojciecha Karpińskiego Portret Czapskiego uderzył mnie szczególnie jeden fragment marginalny. Karpiński wraca do Paryża z Rzymu, gdzie oglądał odrestaurowane freski Michała Anioła na sklepieniu Sykstyny (Sąd Ostateczny). Opowiada o swoim zachwycie francuskiemu przyjacielowi (zdaje się, że chodzi o Besancona). Przyjaciel zimno przerywa jego

zachwyty: „Te zabiegi restauratorskie stanowią d<sup>o\*</sup> wód zabójczej pychy. Próbuje się odwrócić rzekę czasu. To zykład hybris, za którą przyjdzie zapłacić. Wiedzieli o tym Grecy”- Karpiński zżyma się najpierw wewnątrz, potem Hnak słowa francuskiego przyjaciela dają mu do myślenia „teg<sup>o</sup> siowa dotyczyły czegoś dla mnie istotnego. Bywają takie momenty, gdy niebezpiecznie jest zawracać stru-czasu. Kiedy to następuje? Czy nam o tym sędzić?” Rozumiem i podzielam dwojaką reakcję Karpińskiego. Z jednej strony naprawdę zachwyty. Z drugiej wahania, a nawet wątpliwości. Widziałem także odnowione freski, a teraz leży na moim stole ogromny, wspaniały album La Cappella gistina - I primi restauri: la scoperta del colore. Bezsporne jest „odkrycie koloru” w odnowionych freskach Michała Anioła, odkrycie niekiedy olśniewające. Ale... Nie, nie chodzi o hybris, tylko filozof mógł od razu wskoczyć na tak wysokiego konia. Chodzi po prostu o ciężar czasu w dziele sztuki. Wolno ten ciężar czasu całkowicie wyeliminować? Wolno dzieła sztuki poddawać radykalnym zabiegom kuracji odmładzającej? Nie jestem tego pewien. Przeglądam album, powtarzając nad każdą reprodukcją: cudowne. I równocześnie czuję lekkie ukłucie serca: przecież patyna czasu stała się w ciągu wieków częścią Sądu Ostatecznego. To trochę tak, jakby na pięknej i bardzo starej twarzy kosmetyki wygładziły albo zupełnie usunęły mapę czasu, zmarszczki. (A dziś jest to możliwe). Z upływem czasu rodzi się i rozwija autonomia trwania czasu w dziele sztuki. Naruszając ją radykalnie, ryzykujemy zatarcie tego, co się potocznie nazywa „duchem czasu”.

Są restauracje i restauracje. Podobno Bernard Berenson, jako doktorant historii sztuki w Harvard, przyjechał do Włoch, kupił sobie osiołka i wędrował od kościoła do kościoła na Wybrzeżu Adriatyckim, odkrywając swoim nieomylnym okiem arcydzieła renesansowych mistrzów pod s orupą czerni. I kupując je za grosze od księży w potrze-!e;\*ziś te arcydzieła, doskonale odnowione, wiszą w gale-11 Jego imienia pod Florencją. Znam jednak wypadek (opi-m go niegdyś w dzienniku) buntu mieszkańców włoskiego miasteczka przeciw „rozjaśnieniu”, „odkryciu koloru” fresków w ich kościele; przywykli od pokoleń do fresków zaciemnionych przez „strugę czasu”.

Bliskie mi więc jest swoiste „rozdarcie” Karpińskiego. Sam miotam się między dwoma Sądami Ostatecznymi.

22 marca Elena, najstarsza z czterech córek Crocego, zmarła 20 listopada zeszłego roku, dokładnie w rocznicę zgonu ojca. Chorowała trzy lata. Jej straszna choroba, o której istnieniu dotychczas nawet nie wiedziałem, nosi imię swego odkrywcy i badacza, Alzheimerera. Widywałem co pewien czas krótko postępy choroby w rzymskim mieszkaniu Eleny, a raz spędziłem cały tydzień z nią na letnisku w Ravello. Przypadek choroby Alzheimerera posłużył mi za temat opowiadania Gorący oddech pustyni. Może ten tytuł wyraża więcej, niż jakikolwiek tytuł potrafi od razu na wstępie wyrazić.

Alzheimer jest rakiem psychiki, umysłu, uczuć, pamięci. Powolną albo szybką agonią ducha. Chory nie cierpi fizycznie, przeciwnie - zamienia się w obojętną, nieczułą roślinę. Nie poznaje, nie pamięta, nie reaguje na podniety, traci ochotę do

rozmów i lektur, prowadzony przez bliskich za ręce idzie ku śmierci pustynią smaganą gorącym wiatrem. Choroba szczególnie straszliwa u osób o bogatym życiu duchowym, obdarzonych przez los rozlicznymi talentami i wielką wiedzą. A Elena była taką osobą - świetną eseistką i tłumaczką (zwłaszcza poezji niemieckiej i hiszpańskiej), a także niekiedy dobrą narratorką (jej śliczne Wspomnienia rodzinne przełożyła na polski Rena Jeleńska). Kochała się w poezji. Jej wielka antologia *Poeti del Novecento italiani e stranieri* uchodzi słusznie we Włoszech za książkę podstawową. Miała tak wrażliwe „ucho poetyckie”, że w jednym ze swoich szkiców wysunęła kandydaturę Pasternaka do Nagrody Nobla na długo przed ukazaniem się *Doktora Żiwgo*. I to wszystko zostaje nagle zniszczone. Jak u Ciorana w ostatnich miesiącach jego życia. Pozostaje tylko i wciąż otacza chorego czyjś gorący oddech, zapowiedź śmierci.

Wczoraj przyjaciele, znajomi i czytelnicy Eleny urządzili jej całodzienny pogrzeb wspomnień w sali konferencyjnej dawnego klasztoru Sióstr Urszulanek. Przemawiałem i ja. Wspominałem pierwsze z nią spotkanie i naszą późniejszą wieloletnią przyjaźń.

Nasz pułk, zaokrętowany w Egipcie, dobił do portu w Tarento w wilię Bożego Narodzenia 1943. Wyładowano mnie na noszach, miałem przeszło 40 stopni gorączki. Ponieważ nie było jeszcze we Włoszech polskich szpitali wojskowych, odwieziono mnie do szpitala brytyjskiego pod Salerno. Leżałem tam dwa i pół miesiąca (tyfus). Przepisy angielskie nakazywały kierować żołnierzy wypisanych ze szpitala do centrów rekonwalescencji na dwa-trzy tygodnie odzyskiwania sprawności fizycznej przed wysyłką na front. Najbliższy Convalescent Depot znajdował się w Sorrento. Tam któregoś dnia dowiedziałem się, że w pięknej willi Tritone nad morzem, w willi holenderskiego kolaboracyjisty zarekwirowanej przez aliantów, mieszkał z rodziną Croce, wywieziony w ostatniej chwili z Neapolu przez majora Intelligence Service, Malcolma Munthe (syna Axela), wobec groźby uwięzienia go przez wycofujących się już Niemców w roli „drogocennego zakładnika”.

Przed wojną, jako student UJP, interesowałem się trochę filozofią Crocego, czytałem jego łatwiejsze książki, a nawet (Po klęsce wrześniowej) zacząłem, dla zajęcia czarnych myśli - „umaczyć” z niemieckiego jego piękny szkic Heinrich von Kleist. Wybrałem się więc do Tritone w towarzystwie sorrentyńskiego znajomego. Filozof przyjął mnie życzliwie, rozmawialiśmy pół godzinki trochę po włosku, a trochę po niemiecku, opowiedziałem mu o losach jego twórczości w Polsce; nie wiedział, że w Krakowie wyszła książka o nim Profesora Maurycego Manna, co dziwne; nie wiedział też, o mniej dziwne, o sporach Borowego z Elzenbergiem na 36-tych... (1993-1996) 561

Neapol, 2 kwietnia '96

„Więź” jest według mnie najlepszym, najżywszym pismem katolickim w Polsce. „Rosyjski numer” miesięcznika przeczytałem od deski do deski z wielkim pożytkiem i nadzieją, że istnieje jednak szansa narodzin nowego języka w naszym mówieniu o Rosji (po serwilistycznym języku komunistów plackiem lub na kolanach

przed Starszym Bratem). Jak dotąd (z nielicznymi wyjątkami, na przykład Skaradzińskiego) przeważają trzy modele: ukrywana pogarda, mniej ukrywane poczucie wyższości, sentymentalne harcercie „pocałunki na mrozie”. Ton rosyjskiej „Więzi” nadaje artykuł Agnieszki Magdziak-Miszewskiej, w latach 1991-1995 ministra pełnomocnego w ambasadzie RP w Moskwie (za Cioska). Autorka zwięźle i jasno opisuje kolejny zamknięty rozdział rosyjskiej historii po grudniowych wyborach do Dumy Państwowej. Opis jest słusznie pesymistyczny, ale z jednym „zadatkem na przyszłość”. Tym zadatkem są urny wyborcze, „miejsce rozładowania społecznej frustracji”. „Może jednak klęska demokratów nie jest aż tak wielka, jeśli udało im się, w tak niedługim czasie, przekonać znaczącą część społeczeństwa, że za pomocą kartki do głosowania jest w stanie zdecydować, choćby w niewielkim stopniu, o przyszłości swojej i państwa”.

W zasadzie skłonny byłbym zgodzić się całkowicie z Magdziak-Miszewską, wiedząc, że po siedemdziesięciu latach sowietyzmu proces głębokich i istotnych zmian w Rosji musi być długi; wymaga cierpliwości, na którą nie tak łatwo potrafimy (i potrafią Rosjanie) się zdobyć. Niestety, atut kartki wyborczej jest, czy może się okazać, obosieczny. W paryskiej „Russkoj Myśli” czytam zawsze stałą rubrykę Michała Hellera Głazami istorika. W odcinku zatytułowanym Grab nagrąbtennoje! Heller, zdając sobie dobrze sprawę, jak ryzykowne, a nawet niebezpieczne są historyczne analogia przypomina zdobycie władzy przez Hitlera właśnie kartką wyborczą. Okoliczności są podobne: i tu, i tam, i teraz, i wteHy fala frustracji, „weimarski” bałagan przy ogromnej roz-oietości zarobków, od pokazowego i bezwstydneho bogactwa do biedy, jeśli nie nędzy, oraz uczucia upokorzenia - Traktat Wersalski w Niemczech, koniec imperium w Rosji. Kiedy więc Ziuganow bije kartką wyborczą swych rywali, trudno ufać bezgranicznie urnom; trudno nie pamiętać o różnych postaciach „rozładowania” nagromadzonych i rosnących wciąż napięć.

5 kwietnia???

Z Wyznań świętego Augustyna (w przekładzie Zygmunta Kubiaka): „Wielka jest potęga pamięci. Trwogą przejmuje, Boże mój, to niezgłębione, nieskończone bogactwo. I to tym właśnie jest duch, tym jestem ja... Cokolwiek jest w pamięci, to jest i w duszy. Wszystkie te rzeczy (obrazy pamięci) przebiegam i przelatuję, jak zechcę, a nieraz się w nich zagłębiam, dokąd zdołam, lecz nigdzie nie znajduję dna. Taka jest siła pamięci, taka jest siła życia w człowieku żyjącym - chociaż jest on śmiertelny”.

Nikt chyba, poza świętym Augustynem, nie napisał tak pięknej i mądrej pochwały pamięci. Jest istotą, rdzeniem świadomości; jest, jak powiada Augustyn, siłą życia w człowieku śmiertelnym, rozumnym i czującym. Bez niej ludzie umierają bądź marnieją. Opisałem wyżej wypadek zniszczenia pamięci przez chorobę Alzheimera. Przed laty zanotowałem w dzienniku wyłowiony z prasy epizod, który był lekcją znaczenia pamięci w ludzkim życiu. W kobiecym domu starców wybuchł pożar, pensjonariuszki zdołano uratować, ale spłonął ich skromny dobytek: listy, pamiętki ro-Zlnne> fotografie. Wkrótce potem zaczął się pomór, do-s °wnie pomór,

wśród starych kobiet ogołoconych z resz-eK pamięci. Chciałoby się powtórzyć za Augustynem: „Co-<sup>o</sup>wiek jest w pamięci, to jest i w duszy”. A gdy dusza pustoszeje?

Nie inaczej ma się rzecz z pamięcią zbiorową, społeczną i narodową. Atrofię i później całkowitą amputację pamięci, zarówno indywidualnej, jak zbiorowej, dostrzegł genialnie Orwell w Roku 1984. Dostrzegł również, że może być groźnym instrumentem władzy; przykłady znamy ze współczesnych ustrojów totalitarnych. Postkomuniści nie uważają się już za komunistów, lecz ogarnia mnie niepokój, gdy słyszę lub czytam, jak nawołują do „nieoglądania się za siebie i patrzenia tylko w przyszłość”, do „niegrzebania się w przeszłości”, do „odwrócenia się od wczoraj w imię jutra”; i gdy augustyniańskie „niezglębione, nieskończone bogactwo pamięci” potępiają z grymasem irytacji jako „pamiętliwość”.

A kim właściwie są postkomuniści? Mieszkam we Włoszech przeszło czterdzieści lat, a więc od dawna śledzę mentalność i działania mafii sycylijskiej. Nie mogę się naturalnie równać z nieodżałowanym Leonardo Sciascia, jednym z czołowych przedstawicieli dzisiejszej literatury włoskiej, ale sporo już wiem na temat mafii. Także mafia nie lubi oglądania się w przeszłość, nie lubi ludzi obdarzonych „zbyt długą pamięcią”. O tym, co wolno pamiętać, a czego pamiętać nie należy, decyduje mafijny boss. On wie, kiedy i jak można kłamać, po jego ewentualnym aresztowaniu mafia wybiera go natychmiast na swego przywódcę in absentia, dając tym dowód „suwerennej pogardy” dla państwa (to Mussolini, umysł mafijny średnich rozmiarów, wymyślił i bardzo polubił zwrot *sovrano disprezzo*), on decyduje, kto z przeciwników zasługuje na to, by pamiętać jego nazwisko. Omerta, kamień wetknięty w usta zabitemu za karę nadmiernej pamięci i gadatliwości, stanowi podstawę mafijnego trybu, a raczej metody życia społecznego. Zanalizował to dosyć dobrze socjolog niemiecki Henner Hess, po czterech latach pobytu na Sycylii.

Na użytek rozmaitych „politologicznych” mądrali (cz) li głupków w myśl trafnej formuły Gombrowicza), któr<sup>z</sup> głowią się, czym jest postkomunizm, jak się ma do komunizmu, a jak do socjaldemokracji, czy do kapitalizmu odno;

się na serio, czy wyłącznie użytkowo, jaką rolę odgrywa w jego „postideologii” apetyt na władzę dla samej władzy, twierdząc kategorycznie, że postkomunizm jest klasyczną formacją mafijną. Sprawa na tyle ewidentna dla wszystkich obserwatorów o jako tako zdrowym rozsądku, że nie domagam się cytowania źródła.

8 kwietnia Z listu Włodzimierza Boleckiego z Warszawy: „Przeczytałem już Twój najnowszy dziennik w «Plusie Minusie». Cała opowieść o Moskwie 2000 uświadomiła mi, że chociaż pożegnałeś się co prawda z komentowaniem polityki polskiej *expressis verbis*, to jednak będziesz wracał do tematu; czy nie nadszedł więc czas, byś po prostu napisał parodystyczno-satyryczno-filozoficzną opowieść o Polsce i tych, którzy «stoją na narodu czele»? Masz przecież pazur Witkacego, a i Wienickę Jerofiejewa też mógłbyś niejednym zadziwić. Twoje dawne opowiadanie Z biografii Diego Baldassa-ra, które chyba mniej cenisz niż inne, to przecież majstersztyk!”

Nie ja mniej cenię Diego Baldassara, to inni zatykali wrażliwe nosy po jego ukazaniu się w „Kulturze”. Nasz powszechnie czczony i podziwiany (słusznie, słusznie!) Czapski, na przykład, wpadł w rzadki u niego gniew: „Smród rozsiewasz jakimś merd-artem w Świątyni Sztuki”. A czy to ja smród rozsiewałem? Ojciec merd-artu, przesławny nieżyjący już Maestro Piero Manzoni, Kreator Sztuki Nowoczesnej bez Granic (jak go nazywali krytycy w uczonych rozprawkach) sprzedawał wówczas słoiki ze swoimi kolorowymi ekskrementami po pół miliona lirów za sztukę (małą literą); dziś taki słoik, pokryty wewnątrz krostą z półtonami brunatnej Czerni, kosztuje pięć milionów. I znajduje zastępy nabywców. Więc takie w Świątyni Sztuki, co raniło naszego ubóstwianego przez wszystkich Józia, robiło się (i robi zresztą dalej) rozmaite nieprzystojności w duchu czasów. A nadworny biograf Baldassara musiał je wiernie opisywać, jak Ecker-mann zbierał dla potomności złote grudki myśli Goethego, a Boswell unieśmiertelniał genialne powiedzonka doktora Johnsona.

Obym, łaskawco, miał rzeczywiście długi i ostry pazur Witkacego oraz spirytusową lotność umysłu i dowcipu Wie-niczki Jerofiejewa! Kiedyś (co, jak widać, dobrze pamiętasz) zaryzykowałem w dzienniku taką próbkę: w galerii polskich wodzów przyprawiłem Wałęsie gębę witkacowego Kocmo-łuchowicza. I, o dziwo! czytelnicy chwycili w lot celność zabiegu. A teraz? I ja się starzeję, i epoka obrasta w latka. Byłbym jeszcze zdolny napisać Przesycenie, ciąg dalszy i uwspółcześniony Nienasycenia, w dwóch pokaźnych tomach? Kocmo-łuchowicz przegrał wybory, pokonał go zaś neo-miniony młodzian nazwiskiem (powiedzmy) Miglancowicz. Nienagannie ubrany, elokwentny, wysportowany (przewodził kiedyś, w randze ministra, postępowemu sportowi), gardzący krótkimi nogami Kocmo-łuchowicza, on, który na długich swoich i atletycznych nogach dobiegł tak szybko do upragnionej mety. Miglancowicz, biegły w mowie angielskiej, rozmawiający z królową Elżbietą bez tłumaczy, ledwie wstrzymujący pokusę pocałowania jej w usteczka po dekoracji Orderem Podwiązki (aluzyjnej), jak to drzewiej wśród zasłużonych towarzyszy bywało. On to, Miglancowicz, dla przyjaciół Olek, drwi sobie otwarcie ze zgrubiałego na prezydenckim wikcie Kocmo-łuchowicza, a jego mafijny koleżka, cwaniaczek o chytrych oczkach, spec od pokątnych przelewów dolarowych, pyta na głos w sejmowych kularach: „Kto to jest Bartoszewski?” I ja miałbym utopić u schyłku życia pióro w narodowym Przesyceniu, wpatrzony w Mistrza Witkacego? Zlituj się, mój miły warszawski druhu, żeby nam obu mafijnym sposobem nie wcisnęli nocą kamieni do ust gdzieś na wiślanym wydmuchu. Na wieczne zamilknięcie.

jO kwietnia - \*\*/,</

Zinaida, Zina, młoda i przystojna Rosjanka urodzona w Anglii, nie znająca już języka swoich rodziców, żona angielskiego architekta. Poznałem ją przed laty w Kornwalii, gdzie spędziłem jedno lato z Krystyną w domku Piotra Potworo wskiego. Zabawna była jej naturalna swoboda w opowiadaniu o swoim życiu erotycznym. Prawdopodobnie to samo opowiadała mężowi, a on jej. Była przelotną kochanką (jedną z licznych) Bertranda Russella. To ona, przeczytawszy w maszynopisie mój Inny Świat po angielsku, zawiozła po wakacjach egzemplarz filozofowi. Bez żadnych

prośb ani z mojej, ani z jej strony. Do przeczytania. A Russell odesłał mi, już na adres londyński, maszynopis ze swoją przedmową, napisaną, ot tak, spontanicznie, dlatego po prostu, że książka zrobiła na nim wrażenie.

Z kornwalijskich opowieści Ziny wyłaniał się Russell erotycznie żarłoczny, nienasycony. „Miał zawsze harem”, śmiała się jego była kochanka. Przypomniało mi się to teraz, gdy w Londynie wyszła olbrzymia biografia (700 stron) Ray Monka Bertrand Russell: the Spirit of Solitude. Duch samotności? Nawet z licznych recenzji wynika, że Russell nie był nigdy samotny. W jednej z recenzji opisano jego romans z żoną Eliota (za wiedzą poety). Bertrand miał szybko dosyć, Vivien miała ciągle za mało. I wyładowała w końcu w zakładzie psychiatrycznym. Graham Greene w rozmowie z Evelynem Waugh: „Choroba pani Eliot? Uwiódł ją i rzucił Russell”.

Któregoś dnia zatelefonowałem do Russella, żeby mu osobiście podziękować za przedmowę. Zaprosił mnie na herbatę do swojego domu w Richmond. Może już kiedyś Wspomniałem w dzienniku o tej wizycie? Jeżeli tak, to bar-20 pobieżnie. Rozmawialiśmy głównie o Conradzie, którego Russell uwielbiał. Ten złośliwiec o skrzeczącym głosie agodniał, rozmarzał się na wspomnienie Conrada. Jeździł o niego często na wieś, Conrad zaprzęgał jednokonną bryczuszkę czy linijkę i obwoził gościa po okolicy. Wykrzykiwał, powożąc, jakieś dziwne słowa do konia. Pewnie „hej-ta, wista, wio”? Tak, tak, coś w tym rodzaju. W swojej wspaniałej angielszczyźnie miał skłonności do nadużywania shall kosztem will. Gramatyka powinności, dorzucił Russell z wesołą iskierką w oczach.

Wizyta zbliżała się do końca, przed pożegnaniem filozof postanowił poddać testowi moją bystrość umysłu. Kolonia nudystów nad morzem. Przychodzi nowicjusz, wyjaśniają mu, że można się miłośnie zabawić za jednego małego, srebrzystego six-pensa. Prowadzą go do dziewczyny, oboje ustalają miejsce i godzinę, ładna rzeczywiście panienska, tyle że bez przerwy strasznie sepleni. A dlaczego sepleni? - pyta filozof z przymrużonym figlarnie okiem. Myślę, myślę i wreszcie kapituluję. Taki łatwy test, kiwa z politowaniem głową filozof, nie wymaga wyjątkowej inteligencji. Milczę zawstydzony. Russell podnosi po profesorsku palec do góry: a gdzie jak nie w ustach ta biedna nudystka miała chować zarobione pracowicie six-pensy? Współautor Podstaw matematyki lekko przesadził, ostatecznie także nudyści mają na plażach swoje kabiny. Wypadało to wytknąć filozofowi w odruchu samoobrony?

Takie oto były zabawy Lorda-Filozofa, „pogrążonego w samotności” i do późnej starości łasego na płeć nadobną.

// kwietnia Janusz Odrowąż-Pieniążek, dyrektor warszawskiego Muzeum Literatury, zasługuje na naszą głęboką wdzięczność Najpierw za wystawę poświęconą życiu i dziełu Brunona Schulza (z dwoma wspaniałymi katalogami). Teraz za To-tenmesse, Munch-Weiss-Przybyszewski (też z katalogiem, bardzo starannie opracowanym).

Totenmesse wzbogaca naszą urywkową wiedzę historyczną. A wzbogacając ją (przynajmniej w moim wypadku), wołuje mdłości. Oto malarstwo prawie stuprocentowo „literackie”. Literackie w tym sensie, że niemal wszystkie pomysły i

„ekspresje” powstały w mózgu, a nie w oczach malarza. Albo w mózgu jego „filozoficznego mentora”, którym jest tutaj Przybyszewski, uosobienie „demonicznego” śmietnika, „meteor” lub „smutny szatan” (tak siebie nazywał), „literacki burzyciel świata” (tak go nazywał Servaes), wynalazca „stanów duszy” zbyt licznych, by je jakakolwiek dusza zdolna była pomieścić („somniaambuliczno-transcendentalnych”, syconych przez „demony zmysłów”). Co widziano w Munchu, co niektórzy widzą w nim jeszcze dzisiaj. Jego sławny Krzyk jest okropny, pokazuje nędzę ekspresjonizmu, w swojej przeraźliwej banalności nie ma z malarstwem nic wspólnego. Jego Głowa mężczyzny we włosach kobiety jest po prostu śmieszna, przy pozorach „obrazoburczej śmiałości”. W zestawieniu z Munchem autentycznym malarzem staje się Wojciech Weiss. Skromnym co prawda, lecz autentycznym i niekiedy wręcz ładnym. Wystarczy porównać Autoportret pod maską kobiety Muncha z Autoportretem z maskami Weissa.

Powinniśmy to wszystko wiedzieć i widzieć, pokonując przyływy mdłości. Więc jeszcze raz podziękowanie dla dyrektora Muzeum Literatury.

12 kwietnia Po tak długim obcowaniu z Kafką, po tylu lekturach jego książek i tylu refleksjach w szkicach o nim i w zapisach dziennika, nie mogłem nigdy zrozumieć i wyjaśnić sobie Jednej rzeczy. Dowiedziałem się o niej ze zdumieniem od roda. Wierny giermek pisarza ujawnił, że podczas ulubionych recytacji fragmentów w gronie najbliższych przyjaciół afka wybuchał często śmiechem; i to tak zaraźliwym, że Przyłączali się do niego inni, nie bardzo wiedząc, dlaczego. a) Dramatyczniejsze sceny z Procesu i Zamku, historia ży55 ppe cia i śmierci Gregora Samsy w Metamorfozie z akompaniamentem śmiechu! Od biedy mogła do śmiechu pobudzać Ameryka, ale cała reszta? Pogodziłem się już z myślą, że pozostanie tajemnicą rodowód śmiechu filozoficznego Kafki. Gdy tymczasem...

W tych dniach dostałem z Gliwic, od Jana Mazurkiewicza, wydany świeżo w Polsce tom Maurice Blanchota Wokół Kafki. Tom jak tom, do francuskich literaturoznawców najlepiej pasuje okrzyk Gombrowicza: „Im mądrzej, tym głupiej!” Mądrość Blanchota zawiała jest i zaplątana, trzeba się nad nią napracować jak nad upuszczonym przez nieuwagę i zwichrzonym kłębkim wełny. Aż tu naraz... Przyznaję się, jako „kafkista”, do ciężkiego grzechu: nie przywiązuję wielkiej wagi do Dzienników Kafki, przeglądam je czasem na wrywki i bez zainteresowania, podejrzewając, że sam autor nie wyznaczył im zbyt ważnej roli w swoim pisarstwie. Krótko mówiąc, przegapiłem zapis w Dziennikach, przytoczony przez Blanchota: „W drodze powrotnej do domu powiedziałem Maxowi (Brodowi), że na łożu śmierci będę bardzo zadowolony, jeśli tylko oszczędzą mnie bóle. Zapomniałem dodać, i później nie dorzuciłem tego rozmyślnie, że najlepsze utwory, jakie napisałem, korzystają z tej właśnie zdolności - móc umrzeć z zadowoleniem... Dla mnie, który wierzę, że na łożu śmierci potrafię być zadowolony, opisy śmierci są w głębi ducha zabawą, cieszę się na umieranie w umierającym, wykorzystuję zatem z wyrachowaniem uwagę czytelnika skupiającą się na śmierci, mam o wiele jaśniejszy umysł niż on, przyjmuję bowiem, że to on będzie się skarżył na łożu śmierci, moja



zaś skarga jest możliwie doskonała, nie urywa się tak nagle jak skarga prawdziwa, lecz trwa piękna i czysta”.

Co jest w tym zapisie istotne, to świadomy stopień dystansu pisarza wobec siebie i świata; niespotykany chyba w całej literaturze, nawet u maniakalnego pod tym względem Flauberta (którego Kafka z podziwem podglądał). P<sup>o</sup> takim dystansie, przy takiej szczerzej obojętności wy\*

ostrzającej wzrok i umysł do maksimum, każdy opis staje się w głębi ducha zabawą”. Ale zabawą szczególną, skoro śmiech ma gamę odcieni bardzo szeroką. Jeden z tych odcieni łatwo wskazać: z uśmiechem opisuje Kafka pierwszy spacer rodziny Samsa po wymieceniu z pokoju martwego Gregora przemienionego w karalucha. Czy jest to uśmiech okrutny, czy Kafka czytając głośno ten opis przyjaciołom, wybuchł śmiechem szyderczym i gorzkim? Nie sądzę. Jego siła i jego absolutna wyjątkowość w literaturze polegały na tym, że tak naprawdę widział świat, życie i ludzi, a nie tylko stroił tak swoje pióro (wypadek Flauberta). Spojrzę-n i e Kafki - czyste, niczym nie zakłócone i nie zamacone, jest kamieniem węgielnym jego pisarstwa. Kto wie, że „na łożu śmierci będzie bardzo zadowolony”, ten ma prawo śmiać się z rzeczy budzących lęk czy grozę w innych.

14 kwietnia W książce Kościół po komunizmie Jarosław Gowin cytuje zdanie Tocqueville’a: „Wolność bez religii może prowadzić nie tylko do świata bez religii, ale i do świata bez wolności”. Od siebie dodaje, że to ostrzeżenie „zachowuje ważność w dzisiejszej Polsce”.

Tocqueville ma słuszość. Dziś jednak trzeba postawić dwa pytania: „Czy obecność religii w świecie rośnie, czy maleje?” „Jeśli maleje, to kto i co ponosi za to odpowiedzialność?”

Odpowiedź na pierwsze pytanie jest więcej niż trudna, w Praktyce niemożliwa. Wskazówki są prawie z reguły zawodne. Kiedyś, w okresie wzmagającej się walki z ustrojem sowieckim, mówiło się i pisało chętnie o „odrodzeniu regijnym w Rosji”, powołując się na epizody owszem znamienne, lecz dość nikle w wymiarze globalnym. W samej rzeczy, stopniowo przestano o owym rzekomym „odrodzeniu” mówić i pisać, a zjawisko sprowadzono do właściwych proporcji jednostek, małych grup, skromnych społeczności przycerkiewnych lub przykościelnych, chaotycznego wy-roju sekt bez żadnej określonej treści wyznaniowej (pouczająca była powieść Maksimowa Siedem dni stworzenia).

0 „eksplozji religijności” słyszy się nieraz dzięki pokazywanym w TV masowym ramom pielgrzymek Jana Pawła II. Ale wolno zastanawiać się, czy działa tu pokusa udziału w gigantycznych i urozmaiconych na ogół spektaklach, czy prawdziwa potrzeba wiary. Prywatne sondaże w takim kraju jak Włochy (ostatecznie siedzibie papieskiej stolicy katolicyzmu) świadczą raczej o zanikaniu religijności albo o nadawaniu jej charakteru wyłącznie rodzinnego, tradycyjnego i obrzędowego. Młodzi zwłaszcza ludzie z religijnych rodzin buntują się przeciwko ograniczeniom „obyczajowym”

1 jeśli ich jawnie nie naruszają, to żyją w podwójnym kłamstwie, wobec swych bliskich i wobec księży (w konfesjonałach). Podobny proces obserwować można

ostatnio w Polsce, nie bez konsekwencji politycznych (młodzi wyborcy Kwaśniewskiego, wbrew, a czasem „na złość” radom bądź sugestiom kościelnym).

Pytanie o odpowiedzialność dotyczy w znacznej mierze możliwości zmian. Dopóki papieżem jest Wojtyła (nawiasem mówiąc, bardzo lubiany na włoskiej prowincji, mniej w wielkich miastach), dopóty „obyczajowy” konserwatyzm nie drgnie ani o milimetr. Jego poprzednik, Luciani, Jan Paweł I, podczas swego sześciotygodniowego pontyfikatu był zdecydowany pozwolić wierzącym kobietom na używanie pigułek antykoncepcyjnych (są na to dowody). Przymuszalny następca Wojtyły, kardynał Martini, arcybiskup Mediolanu, chce podobno posunąć się dalej, rozszerzyć reformę na kwestie celibatu księży, kapłaństwa kobiet, zakazu aborcji, lecz pod warunkiem dopuszczenia prezerwatyw dla mężczyzn etc.

A zaangażowanie polityczne wiernych? Klasyczna chade-cja zdaje jak dotąd egzamin w Niemczech, natomiast zmarśmiercią po trosze naturalną, a po trosze gwałtowną we Włoszech, Z tym wszystkim można sobie darować tłumaczenie, dlaczego u schyłku wieku zdanie Tocqueville’a nie to, że „zachowuje ważność”; nabiera wagi szczególnej.

17 kwietnia Z listu Piotra Brożyny z Warszawy: „Przesyłam Ci kopię artykułu Michnika z «Gazety Wyborczej» nie dlatego, że Cię w nim cytuję, ale dlatego, że po raz pierwszy od dawna przychodzi mi zgodzić się z nim bez zastrzeżeń”.

I ja z zadowoleniem przeczytałem artykuł Michnika, co mi się od wielu już lat nie zdarzało. Nazwałbym go „rozważaniami oparzonego polityką, wycofującego się z politycznego kombatanctwa”; stan psychiczny podobny do mojego, jakkolwiek ja - w przeciwieństwie do Michnika - nigdy nie przekraczałem granic dość czujnego moralizmu politycznego na służbie bezspornych nakazów chwili, wciąż oczekując „demobilizacji” i powrotu do mojego pisarskiego powołania. Czym dla Michnika był udział w KOR i w „Solidarności”, dla mnie było uczestnictwo w pracach „Kultury”. Aż wybił rok 1989. Początek rozczarowań moralistów i marzycieli. Początek ucieczki z rozmaitych „szeregów” i od rozmaitych „linii”. I początek oddawania całego pola »czystym” politykom.

Michnik powołuje się na moje opowiadanie Książę Niezłomny\* (pierwsza rzecz, jaką napisałem na przełomie 1955- ~56, p0 osiedleniu się w Neapolu), odtwarzając bardzo do-ladnie i ściśle jego wątek narracyjny. W miarę coraz głębszego wchodzenia w rolę emigranta politycznego, postanowien (bez naruszania historycznej prawdziwości) naszkicprzedruk w 2 tomie Pism zebranych.

i.

cować na tle włoskim - faszyzmu i jego upadku - dylemat dwóch emigracji, wewnętrznej i zewnętrznej. Osoby prota-gonistów są częściowo zbitką różnych postaci, ale w zasadzie łatwo w nich dostrzec dwóch wybitnych krytyków dyktatury Mussoliniego w sporze o słuszność obranej drogi: Croce (książę Santoni, liberalny filozof) jest emigrantem wewnętrznym i walczy z faszyzmem bronią kultury; eks-komunista Silone (pisarz Battaglia) jest emigrantem zewnętrznym, z zagranicy wspiera opór (prawdę mówiąc, nikły, czego nie umiał czy nie chciał dostrzec) przeciw rządowi „czarnych koszul”. Obaj przegrywają po klęsce faszyzmu, uczucie

zwycięstwa jest krótkotrwałe i złudne. Usunięci szybko w cień przez ludzi „nowych”, przeważnie (choć nie wyłącznie) związanych kiedyś z faszyzmem i zmieniających błyskawicznie skórę w warunkach nowej krajowej rzeczywistości; tej rzeczywistości, której nie rozumiała już rzekomo para adwersarzy pochłoniętych przez wysoką falę nadchodzącej epoki, przez polityków pragmatycznych, wprawnych, pozbawionych skrupułów; to oni, ci ludzie „nowi”, na Księcia Niezłomnego i Pisarza Niezłomnego patrzą jak na przedpotopowe okazy. Santoni-Croce i Battaglia-Silone sami wybierają cień, jedyny azyl godności. W gruncie rzeczy Książę Niezłomny jest opowiadaniem o życiu zabijającym nieodzowne sny o nim.

Myślę jednak, że warto je teraz skończyć. Kiedy je pisałem, należało prawie do dobrego tonu nie czytać Crocego i Silonego, odnosić się do nich z lekceważeniem, jeśli nie z odcieniem pogardy. Jak dobry demochrześcijanin mógł szanować Crocego, starego liberała, który jako senator z nominacji królewskiej głosował przeciw konkordatowi, we ukrywał swojego antyklerykalizmu, a równocześnie napisał w szczytowym okresie faszyzmu szkic Dlaczego nie możemy nie uważać się za chrześcijan! Jak dobry komunista (a także socjalista spod znaku Nenniego) mógł szanować Silonego który w roku 1930 w Zurychu stał się „renegatem” po ze’ rwaniu z Togliattim, aby od tej chwili mówić o sobie: „Je”

stern socjalistą bez partii i chrześcijaninem bez Kościoła”? Ciągnęło się tak długo, bardzo długo. Określenie *crociano* miało posmak obelgi. Podobnie określenie *siloniano*: I naraz... Młodzi wychowankowie ludzi „nowych”, dzieci i wnuki chorążych „innej rzeczywistości postfaszystowskiej”, odkryli Crocego i Silonego. Ich książki mają obecnie wysokie nakłady. Mnożą się sympozja i prace doktorskie o nich, wiele formacji politycznych przywłaszcza sobie ich „duchowy patronat”. Obaj żyją w glorii antyfaszyzmu i antykomunizmu.

„Książę Niezłomny - powiada Michnik - jest stróżem zasad codziennie wystawianych na próbę”. Czyli jest tym, czym powinien być każdy uczciwy i autentyczny intelektualista, który dekalog etyczny łączy nierozzerwalnie z przymiotami umysłu, w polityce zanurza się tylko w okresach nieodpartej konieczności, zawsze pragnąc się z niej wynurzyć i pozostawić ją „zawodowym pływakom”. To on i tacy jak on, razem z rozumnymi przedstawicielami innych grup społecznych, tworzą ową sól ziemi, bez której nijaczej narodów. „Wy jesteście sól ziemi. Jeśli tedy sól zwietrzeje, czemże solić będą? Do niczego się już nie przyda, tylko aby była precz wyrzucona i od ludzi podeptana” (Ewangelia świętego Mateusza).

20 kwietnia Nareszcie, nareszcie: Nicola Chiaromonte po polsku. W uzymtomie Granice duszy, w bardzo dobrym wyborze eseJow opracowanym przez Stanisława Kasprzysiaka i Piotra czowskiego, w rowiue dobrym przekładzie Stanisława ^asprzysiaka. Jak by się cieszył, on, który miał wielu polj0 przyjaciół i słabość do Polaków, jak się ucieszy amey anska wdowa po nim, Miriam, której matka jako mała ewczynka była wraz z rodzicami emigrantką z Polski do ar>ow. (W tym bogatym i pięknie wydanym tomie eseisty ‘ „„„? Dze”nik... (1993-1996) 577

włoskiego nie zawadziłyby drobne polonica. Felieton o Po-! lakach z Maisons-Laffitte został już włączony przez Zdzi-! sława Kudelskiego do książeczki o „Kulturze”, ale Nicola I pisał także o Witkacym, Gombrowiczu, Mrozk, Miłoszu, 0 Szekspirze Kotta).

Napisałem o nim sporo, po polsku i po włosku, toteż niechęć do powtarzania się hamuje teraz moje pióro. Jakże jednak zbyć paroma tylko zdawkowymi słowami jego ingres do Polski? Spróbuję naszkicować syntetyczny wizerunek mojego przyjaciela.

Przyjaźniliśmy się wiele lat, nasza przyjaźń wzmacniała się z każdym rokiem. Widywaliśmy się często, potrafiliśmy dyskutować godzinami, niekiedy różniąc się serdecznie, napisaliśmy razem Dialog o Solżenicynie, pracowałem w redagowanym przez niego (współ z Silonem) miesięczniku „Tempo Presente”. Nicola, dość osamotniony we Włoszech, dzwonił czasem do Neapolu z prośbą, która nie dopuszczała odmowy: „Przyjedź do Rzymu, pomóż przyjacielowi w czarnym humorze”. Należał do kategorii ludzi spragnionych posiadania przyjaciół, choćby nielicznych, lecz prawdziwych i oddanych; sam umiał przyjaźń wzbudzać, kultywować i odwzajemniać.

Próbuję z tej masy spotkań wydobyć jedno, szczególnie ostro zarysowane i mocno odcisnięte w pamięci. Tak, to był dzień, gdy pierwszy raz miał wyjść z domu po rekonwalescencji pozawałowej. Jadłem u nich obiad, ustaliliśmy, że będę mu towarzyszył w tym spacerze z domu do redakcji miesięcznika na Sistina (naprzeciw kamienicy, w której Go-gol napisał Martwe dusze). Był słoneczny dzień późnej wiosny lub wczesnego lata. Szliśmy wolno piękną trasą, stawiał ostrożnie kroki, jak ktoś odwykły już trochę od chodzenia miał wyraz twarzy osobliwy, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałem. Jego „zwykła”, codzienna twarz była skupiona, powiedziałbym nawet: napięta, raczej smutna z domieszką goryczy; bardzo rzadko i krótko gościł na niej uśmiech. Przywykłem do tego szybko jako jego rozmówca i czytelnik: nikt ze znanych mi pisarzy nie przeżywał tak jak on procesu pisania i myślenia - z powagą, z przejęciem księdza odprawiającego mszę całą swoją istotą. A teraz uśmiechał się szczęśliwy, odprężony, roztargniony w skąpej rozmowie, przyglądał się mijanym domom, jakby nie przechodził obok nich tyle już razy w przeszłości, jakby stanowiły dla niego widok dotąd przeoczany, obojętny. Był zachwycony odkrytym na nowo Rzymem. Dziś wiem dlaczego. Po latach tak samo oglądałem neapolitański bulwar nadmorski podczas pierwszego spaceru po moim zawale. Istnieje specjalna optyka patrzenia na świat po ciężkiej chorobie. Zabarwiona euforią.

Lubił Rzym? Ja lubię bardzo zakończenie opowieści Jezuita: „Pożegnałem go i po chwili znalazłem się znowu na ulicach i placach Rzymu: znowu odczułem tę rzymską miarę przestrzeni, tak dla ludzi łaskawą, tak wyzbytą wszelkiego przymusu, która niczego człowiekowi nie wzbrania i niczego się od niego nie domaga prócz tego jednego, żeby włożył maskę i odgrywał swoją rolę całkiem się z nią utożsamiając. Aktorów tu mnóstwo, a scena została im dana raz na zawsze. Jest

na niej miejsce i dla Fanatyka, i dla Cynika. Tylko ten, kto chce zostać sobą, nie ma na nią wstępu: heretyk. Czyżbym się mylił?”

Nie mylił się w pierwszym swoim okresie rzymskim, kiedy po wojnie wrócił z Ameryki. Wtedy istotnie nie miał prawa, jako heretyk, wstępu na scenę rzymską, opanowaną Przez Fanatyków i Cyników (powie trafnie w Jezucie: „We Włoszech realizm to nic nowego, zawsze oznaczał tyle, co cynizm”). Mylił się, na szczęście, w latach przed śmiercią 1 mylił się dzisiaj, po śmierci. Heretycy stworzyli we Włoszech tę, której jednym z arcykapłanów jest właśnie Nicola.

I Wci;

eni Podziwiał dwie osoby. Pierwszą była Simone Weil. Druciąz większą znajdują przestrzeń dla siebie na „rzymskiej scenie”.

gą Andrea Caffi. O Simone Weil pisał: „Samotna herezji Simone Weil, wywodząca się z gorączkowego lęku wobec zła świata i docierająca do upartej woli czystości duchowej” Caffi nie występuje jako heretyk (był „socjalistą wolnościowym” z ledwie widoczną żyłką anarchizmu), co jednak znaczy dziś takie określenie: „Caffi to była wolność sądu i myśli, jakiej nie znalazłem u żadnego z intelektualistów naszych czasów”? Znaczą coś zbliżonego do heretyka. Jak heretykiem we Francji był Camus, a nie rozwrzeszczany Sartre, twórca, wyraziciel i władca obiegowych mód „lewicy”.

Heretycy w naszym stuleciu byli przeciw przemocy, gwałtowi, sile, władzy. Niegdyś lekceważono ich, spychano ich ze „sceny”. Teraz trzeba się z nimi przynajmniej liczyć. Nicola nie byłby teraz tak samotny. Coraz częściej spotykam młodych Włochów, którzy chcieliby się uważać za jego uczniów. Może Granice duszy wyślą podobną ścieżkę w Polsce.

19 maja Szerzy się „rewizjonizm”. Ale nie ten poczęty w łonie komunizmu, ten spoczywa dziś na „cmentarzysku idei” pod nagrobkiem ułożonym przez Kołakowskiego w myśl zasady „dla każdego coś miłego”: dla konserwatystów, dla liberałów, dla socjaldemokratów. Po latach zmartwychwstali przede wszystkim „socjaldemokraci”, mienia się nimi dumnie postkomuniści (i na Wschodzie, i na Zachodzie), dawni prześladowcy „socjaldrajców” i „socjalfaszystów”.

Szerzy się „rewizjonizm” inny, wymierzony przeciw „te” gendum” o ciosach, jakie zadał ludzkości totalitaryzm różnych maści. „Zadał rzekomo ciosy rzekome”, jak brzmiałaby poprawna formuła obecnych „rewizjonistów”.

Kapłan francuskiego marksizmu, niegdyś wyrocznia w lewicowym Paryżewie, Roger Garaudy, porzucił już dawno Nową Wiarę komunistyczną na rzecz starej wiary tnaoetańskiej. Rzecz można ostatecznie przełknąć, ekstremalkonwersje nie należą do rzadkości, jakkolwiek w tym wypadku Kapłan, zrzuciwszy kapłański strój, przywdział kolorowy strój Błazna, obszyty dzwoneczkami. I tymi dzwoneczkami potrząsa energicznie, aby ostrzec świat, że zwykłym oszukaństwem propagandowym jest Holocaust. „Trzeba radykalnie zredukować nadęte liczby ofiar Hitlera” - nawołuje. Wtóruje mu zaś świątobliwy Abbe Pierre, braciszek z zakonu żebraczego, opiekun ubogich i bogatych, rozmówca

przedśmiertny Mitteranda na tematy eschatologiczne. (Wobec skandalu wycofał się częściowo i warunkowo z poparcia dla Rogera G.).

O „zredukowaniu nadętych liczb” mówią też ostatnio „rewizjoniści” z uniwersytetów amerykańskich, dworując sobie z milionowych statystyk ofiar Gułagu. Miliony?! Krwiożerczy Stalin?! Co za nonsens! Stalin był dobrodusznym przywódcą społeczeństwa sowieckiego, liczba jego ofiar nie przekracza siedmiuset tysięcy („zaledwie”). Dwaj profesorowie biją gniewnie pięściami w pulpity swoich uniwersyteckich katedr: „Trzeba radykalnie zredukować liczby ofiar Stalina, nadęte przez antysowieckich propagandystów!”

Władimir Bukowski wydrukował ostatnio w „Le Monde” melancholijny artykuł: dysydenci ponieśli klęskę, zwyciężył „człowiek radziecki” na utrzymaniu podgniwanego i doszczętnie już skretyniałego Zachodu.

Dolary są tylko częścią owego utrzymania. Ważną rolę odgrywa też „rewizjonizm”, potrzeba oswojenia, ugłaska-nia „historii spuszczonej z łańcucha”. Nasz wiek nie był Wcale aż taki straszny, jak go opisują kronikarze i statystycy zawyżonych beczelnie ofiar. Wyolbrzymiając, dra-matyzując, podcina się szacowną ideę Postępu. „Rewidują, przywraca się Postępowi należne mu, honorowe miej-Sce - W imię „światlanej przyszłości”, na pohybel pewnym ‘-nadużyciom przeszłości”.

20 maja „Po dwudziestu latach Sołżenicyn wraca do prozy narracyjnej” - obwieszcza wydawca na okładce tomiku Ego, który zawiera dwa opowiadania, tytułowe i Na krajach. Niestety, nie wraca. Dwudziestolecie pracy nad wielotomowym Czerwonym kołem, nad zaciskaniem kolejnych „węzłów”, zabiło narratora w pisarzu rosyjskim. Prócz smutku, jaki wywołuje ta książeczka, wolno przynajmniej dla rekompensaty zastanowić się nad ograniczeniami powieści historycznej, której Sołżenicyn oddał wszystkie swoje siły, cały swój talent, w ciągu dwudziestu lat.

Jej los zależy od umiejętności zachowania równowagi. Ale od pierwszego „węzła” było jasne, że Sołżenicyn nie dba o nią, przekonany, że ważniejsza od literatury jest historia. Urzeczony posiadanymi i gromadzonymi materiałami historycznymi, pakował je do swojej epopei w surowej formie - dokumenty, protokoły - całkowicie obojętne, czy ramy kompozycyjne to zniosą, czy po prostu nie trzasną. Najważniejsze dla niego było „przywrócić prawdę”, „odkłamać zafałszowaną historię”. Takie rzeczy robi się w rozprawach historycznych, a nie w „węzłach” powieściowych. Sołżenicyn liczył prawdopodobnie na to, że czytelnik łatwiej przebrnie przez historię lekko tylko podbeletryzowaną. Mylił się. Jego Czerwone koło było na ogół kartkowane, a nie czytane. Dochodziło do komicznych absurdów: jedna z postaci, pułkownik, pozwala sobie na długi wywód historyczno-polityczny w łóżku, za słuchacza mając znużoną pewnie kochankę. Ale jaki czytelnik zaufa pułkownikowi sztabu generalnego, który gada i gada zamiast robić to, co do nie’ go w łóżku należy? W ogromnej, dwudziestoletniej harówce nad Czerwonym kołem Sołżenicyn oddychał pełną piersią? w historii, ledwie i rzadko zapiąc jako narrator. Byłoby wiel’ ką szkoda, gdyby się okazało, że przykuty do

wiosła galer\* nik Czerwonego koła przestał być pisarzem. A takie właśnie wrażenie wywołują dwa świeże opowiadania: jedno o bufl'

tach chłopów tambowskich w latach rewolucji, drugie o Żu-kowie od podoficerskiej młodości do buławy marszałkowskiej, upadku i śmierci. Czyta je się jak dwa długie odsyłacze petitem do (przypuszczalnie) dalszego czy innego ciągu Czerwonego koła. Nie ma w nich ani szczypty wrażliwości opisowej, wnikliwości psychologicznej, które podziwiał się w Dniu Iwana Denisowicza, w mistrzowskiej Zagrodzie Matriony, w takich powieściach jak Pierwszy krąg i Oddział chorych na raka, nawet w Archipelagu Gulag.

Historia i proza narracyjna to dwie różne rzeczy. Mogę się nie zgadzać (i na ogół się nie zgadzam) z koncepcjami historyczno-politycznymi Józefa Mackiewicza, ale nie mogę nie podziwiać jego daru opowiadania. Powiem nawet więcej: irytuje mnie polska gawęda ku pokrzepieniu serc, czyli trylogia Sienkiewicza (podobnie jak Olgierda Górkę), ale nie ma dwóch zdań, że był urodzonym, niezrównanym narratorem.

Może więc lepiej byłoby, gdyby autor Czerwonego koła odpoczął trochę po swym trudzie i zmył z siebie siódme poty historyka. I żeby potem napisał piękne opowiadanie, w stylu Zagrody Matriony, o swoim powrocie z zesłania do ojczyzny; nie odbyło się to przecież tak, jak pewnie myślał, a może i marzył.

maja Lucio Gambacorta, młody student polonistyki na tutejszym uniwersytecie, był jednym z moich pierwszych znajomych w Neapolu. Skończył studia, ożenił się z Bułgarką i PrZYjął posadę w telewizji włoskiej jako jej korespondent ^ Moskwie (nauczył się rosyjskiego). Widuję go często w lennikach telewizyjnych. W tych dniach przyjechał na fotki urlop w rodzinnym Neapolu, wczoraj odwiedził mnie 2<sup>o</sup>ną i z moskiewskim pisarzem Asarem Eppelem, tłumaczem literatury polskiej (jego tom Schulza po rosyjsku dostałem już dość dawno z Moskwy w opakowaniu bez na-dawcy). Asar Eppel jest nowelistą, jego zbiór opowiadań Trawianaja ulica wyjdzie wkrótce po włosku, po francusku i po polsku. Dziś rano, przed ich wizytą, dostałem numer lutowy „Inostrannoj Litieratury” z moimi trzema opowiadaniem w przekładzie i ze wstępem Siergieja Makarcewa. Eppel czytał już ten numer w Moskwie. Niegdyś jeden z największych i najpoczytniej szych tołstych żurnalów, obok „No-wogo Mira”, miał nakład ogromny. A dziś z notatki redakcyjnej dowiaduję się, że numer lutowy ukazał się w 28 tysiącach egzemplarzy, z czego dziesięć tysięcy rozesłano bezpłatnie do bibliotek na koszt hojnego Sorosa. Schulz w przekładzie Eppela ukazał się w pięciu tysiącach egzemplarzy. Nowy tom opowiadań tłumacza Schulza nie przekroczył tysiąca. Sic transit...

Rozmowa toczyła się po polsku. I Lucio, i Asar są pewni wygranej Jelcyna. Choćby dzięki „cudom nad urną”. Tego chcą zagraniczni i rosyjscy bankierzy, a postkomunistyczna nomenklatura i biurokracja wiedzą o tym dobrze. Wysokie notowania Ziuganowa były „wybuchem szczerości”, opadną przed ostateczną konfrontacją. Nie ma nikogo poza Jel-cynem, politycznie Rosja jest ziemią jałową bez znaczących indywidualności (jak w mniejszym trochę stopniu Polska). W sklepach

moskiewskich można dostać wszystko, to jest argument „za”. Zarobić też można, stolica jest oknem wystawowym dla zagranicy. A na prowincji? Przecież tam miesiącami nie wypłaca się pensji i zarobków. Z czego ludzie żyją na prowincji? „Nie wiem” - odpowiada Asar. „Nie wiadomo” - potwierdza Lucio. „Nie grozi wybuch dzikich buntów i masowych strajków?” Dominującym dziś w społeczeństwie rosyjskim uczuciem jest, według Asara, apatia i straszliwe zmęczenie; Rosjanie mają w tej dziedzinie długą zaprawę. Żyźń proklatają, żyźń zajebuszczają, słyszałeś często ciche westchnienia nie tylko w łagrze, także „na wolności” podczas kilkutygodniowej wędrówki znad Morza Białego do armii polskiej w Kazachstanie.

Ale ja nie bardzo wierzę w wieczną apatię i bezustanne zmęczenie. Komunizm się „nie sprawdził”. Kapitalizm sprawdza się” słabiutko, powoli i - co najważniejsze - nie dla wszystkich. Wojsko i policja nie są już tym, czym kiedyś były. Ludzie przestali się bać, przynajmniej mówią otwarcie to, co myślą. Więc co? Tęsknota do sowieckiej przeszłości, w której - jak trafnie zauważył Amalrik - istotne jest, podstawowe nawet, aby mojemu sąsiadowi nie powodziło się lepiej ode mnie, aby wszyscy byli równi w biedzie? Coraz częściej obija mi się po głowie rosyjski Weimar, łącznie z wodzem-demagogiem i psychopatą, wyniesionym do władzy przez morze kartek wyborczych.

25 maja ‘

Z Elżbietą Sawicką na Capri.

Przed zawałem każda moja wycieczka na Capri łączyła się z odwiedzinami czterech punktów węzłowych czy ogniskowych w mikrokosmosie Wyspy. Był to nienaruszalny rytuał, skrótowy wizerunek historii; dopiero po rannym obchodzie wybierałem się na plażę.

Najpierw podejście, dość długie i uciążliwe (to ono odpadło po zawale), na Monte Tiberio, do ruin pałacu Tybe-nusza. Patrząc, jak niegdyś Imperator, w morską przepaść z wysokiej, prostopadłej skały, wspominałem zawsze imagi-nacyjną scenę, płód wyobraźni sławnego archeologa, Ame-eo Maiuri: Tyberiusz siedzi tu właśnie, pod baldachimem chroniącym od słońca, i w roku 33 czyta uważnie raport °ncjusza Piłata, prokuratora Judei, o procesie i ukrzyżoanm niejakiego Jezusa Chrystusa. Co pewien czas, jak ja, flnosi głowę ku małym Wyspom Kogucim na hory-C1e, poddaje się niedowierzaniu i mruży coś pod nosem, ‘erwsza stacja historii. ^ rugą po zejściu na dół była Certosa, dawny klasztor ttuzów, z zachowanymi jeszcze murami. W okresie sie15 >pe 371 ani)

tyła) L35282, 431, demnasto wiecznej dżumy stanęły w tym miejscu naprzeciw siebie dwie siły: Kościół w osobach ukrytych za murami zakonników i mieszkańcy Wyspy w daremnej ucieczce przed zarazą. Dramatyczny pojedynek wygrali mieszkańcy Wyspy, zmusiwszy zakonników do wyjścia z twierdzy i podzielenia się ze wszystkimi krzyżem cierpienia.

Trzecia i czwarta stacja oznaczają przeskok do naszych już czasów. W Villa Weber powstała, za pieniądze zamożnego Gorkiego, szkoła partyjna. Tutaj zatem znakomici wykładowcy - Bogdanów, Plechanow, Łunaczarski i inni - przygotowywali się w romantycznym krajobrazie do pogrzebu starego świata i



narodzin nowego. Szkołę odwiedził raz gogolowski Rewizor partyjny, czyli Lenin, potępił jej „religianckie odchylenie” i zasłużył sobie tą inspekcją na wdzięczną pamięć komunistycznej potomności, wyrażoną w tablicy w skale: A Lenin Capri (wbrew protestom demo-chrześcijańskiej części Wyspy).

Obok stacji rewolucyjnej stacja kapitalistyczna: Via Krupp, uliczka spłacająca dług wdzięczności niemieckiemu rekinowi przemysłowemu, który w Capri utopił sporo pieniędzy. Kochał Capri bardzo, kochał również zgrabnych, opalonych chłopców capryjskich.

Jeździłem też dość często (i pojechałem dziś z panią Elżbietą) autobusikiem na Anacapri, do Villa San Michele, nigdy jednak ani słowa o tym nie napisałem. Dopiero w zeszłym roku poczułem się zwolniony z milczenia. Umarł mianowicie mój przyjaciel, Malcolm Munthe, szwedzki oficer brytyjskiego Intelligence Service, bohater wojenny, syn słynnego Axela Munthe. Stary Munthe (podobno naturalny syn królowej szwedzkiej) zjawił się we Włoszech jako młody lekarz i brał ochotniczo udział w walce z cholerą szalejącą w Neapolu i okolicach. Opisał skromnie i ładnie swoje medyczne doświadczenie w niewielkiej książce. Po czym osieo\* lił się na Anacapri, zbudował tam Villa San Michele, nap1' sał Księżę z San Michele, która pobiła wszelkie rekordy P0' czytności i przekładów (jako młody chłopiec czytałem ft 122, 215, z zachwytem po polsku). Axel jest legendą Wyspy, willę za- mienił przed śmiercią na muzeum, odwiedzane przez tłumy turystów na równi z ruinami pałacu Tyberiusza. Ale wystawione w niej eksponaty - przeważnie greckie posągi lub fragmenty posągów i amfory, znaleziska Axela w wyprawach na dno morza - budzą na ogół sceptyczny uśmiech archeologów. Natomiast, kiedy się na Capri widuje żywe posągi o wyraźnie nordyckiej proveniencji, mówi się, że szczodry Axel nie tylko rozświetlił Wyspę na całym świecie, ale przyczynił się także do jej zaludnienia.

29 maja Znany pisarz francuski, Marcel Jouhandeaux (zmarły w roku 1979), jest przez niektórych uważany za „katolickiego Gide'a”. Sądzę, że chodzi tu o poczucie zła immanentnego, przez większość „dobrych” katolików niechętnie dostrzeganego, rozwadnianego w apelach i modlitwach do Boga. Ale Bóg jest wobec niego równie bezradny, jak i ludzie opanowani przez Diabła. (Zawsze pragnąłem napisać opowiadanie o Diable; zdaje się, że Don Ildebrando w jakiejś mierze zaspokoił moje pragnienie).

Na początku lat sześćdziesiątych Jouhandeaux - który lubił uczestniczyć w rozprawach sądowych, a czasem bywał jednym z przysięgłych - wydał tomik Trois crimes rituels. Trzy straszne zbrodnie, ale dlaczego „rytualne”? Może da S1? to później wyjaśnić.

Młoda dziewczyna Denise ma dwuletnią nieślubną córeczkę. Zakochuje się bez pamięci w innym mężczyźnie, Przemądrzałym filozofie domowego chowu, rozgadany 1 mętym w tej swojej gadanie, niezrozumiałej dla Denise, ecz traktowanej przez nią z wielkim nabożeństwem jak Zródło wszelkiej mądrości. A może Jacques chce, żeby dla obra ich miłości pozbyła się swojej uwielbianej córeczki?

Wukrotnie i bezskutecznie próbuje dziewczynkę utopić, wreszcie zanurza ją głową w dół, trzymając za nóżki, w zbiorniku mydlin. Jest w tej dziewczynie coś z

Medei, zauważa autor. Podczas procesu Denise powtarza ciągle: „Jeśli zabiłam moją Kasię, to dlatego jedynie, że Jacques oczekiwał ode mnie dowodu miłości; poświęciłam dziecko dla niego”. Wyrok: dożywocie dla Denise, dwadzieścia lat ciężkiego więzienia dla jej kochanka (który z uporem twierdzi, że Denise oszalała, nie pojmując tego, co mówił).

Brzydka stara panna Simone i prowincjonalny lekarz Yves. Żonaty, ojciec dziesięcioletniej córki, ale chce się pozbyć swej (przystojnej zresztą) żony Marie-Claire. Simone, która prawdopodobnie pierwszy raz w życiu miała kochanka, staje się niewolnicą doktora, gotową jakby w transie wykonać wszystko, czego zażąda. Yves każe jej nocą wbić nóż w serce śpiącej żony. Stara panna nie waha się ani chwili, też pewnie jest przekonana, że składa kochankowi dowód swej miłości. Jak w poprzednim wypadku Denise, Simone rozdwa się: wstąpiła w nią, w łagodną i pokorną starą pannę, inna osoba. Lekarz wskazuje jej dokładnie miejsce, gdzie nóż ugodzi prosto w serce śpiącej. Ale kto zadaje śmiertelny cios? Simone, do niedawna wcielenie dobra; czy Simone, od niedawna niewolnica zła? Sąd skazuje ją na dożywocie, a nie na śmierć; okoliczność łagodzącą stanowi „diaboliczny doktor” (zmarły w więzieniu przed rozprawą sądową).

Trzecia zbrodnia jest najstraszniejsza, prawie niewiarygodna, najlepiej chyba pozwoli uchwycić sens określenia „rytualna”.

Młody ksiądz Guy jest proboszczem we wsi Uruffe. Lubi dziewczynki, ma u nich powodzenie, jedną na początku ciąży wyprawił dość daleko, załatwiwszy jej skrobanek, ale druga (imieniem Regina), w bardzo już zaawansowanej ciąży, zamierza stanowczo urodzić dziecko w rodzinnej wsi Uruffe. Ksiądz Guy, przerażony tą decyzją, jedzie z dziewczyną samochodem na pustkowie za wsią, tam obiecuje sobie z nią porozmawiać. „Mogę ci dać rozgrzeszenie” - PO' wiada. Na co Regina: „A po co mi twoje rozgrzeszenie Mam cię dosyć. Wróć do domu pieszo”. Gdy się oddala, ksiądz Guy zabija ją strzałem w plecy. Po czym otwiera jej brzuch cesarskim cięciem, wyciąga żywe dziecko bliskie już porodu, chrzci je, zniekształca mu nożem twarzyczkę: aby nikt nie dostrzegł ewentualnego podobieństwa do ojca. Najbardziej może niesamowitą cechą tej niesamowitej historii jest upór, z jakim ksiądz Guy trzyma się swego sakramentu kapłaństwa, nie wypierając się zbrodni. Co do zbrodni, to popełnił ją ukryty w nim głęboko i nagle przebudzony morderca (diabelski); co do obrony własnego kapłaństwa, to chciał przecież dać rozgrzeszenie Reginie przed zastrzeleniem jej (rogrzeszenie za grzech nieślubnego poczęcia), ochrzcił dziecko przed zamordowaniem go, nie dopuścił do siebie nigdy myśli o samobójstwie, potępionym słusznie w wierze katolickiej; procesowi zaś przysłuchiwał się, i odpowiadał zgodnie z prawdą na zadawane mu pytania, ściskając krucyfiks w splecionych dłoniach. Wyrok skazujący na dożywocie przyjął spokojnie. Po wyroku dostał list od biskupa: „Jestem i pozostanę Waszym ojcem, błogosławię Was i ściskam pogrążony w smutku”. Skazany skorzystał z ostatniego słowa: „Jestem wciąż księdzem i jako ksiądz odkupię moją zbrodnię. Polecam się Bogu, gdyż ufam Jego miłosierdziu”. Istnieją poważne poszlaki, że po dziesięciu

latach więziennej celi Kościół zdołał wyprosić u władz przeniesienie go do celi klasztornej.

Czuje się w każdym słowie autora ogromne napięcie, gdy opisuje „trzy zbrodnie rytualne”. Tak, po zamknięciu książki staje się jasne: rytualne w tym sensie, że Jouhandeaux widział w nich obrzęd zła. Aw tym obrzędzie „katolicki <Jide” ujrzał obecną zawsze, niezniszczalną strunę zła w duszy ludzkiej.

Szczyt lata Opowieść rzymska Z dziennika I ii U ii Czytam w moim Dzienniku pisanym nocą pod datą 15 sierpnia 1977: „Nazwa Ferragosto (szczyt lata 15 sierpnia) jest zbitką Feriae Augusti, ustanowionych dekretem imperialnym w 18 roku przed narodzeniem Chrystusa; sierpniowe święto pogańskie (w późniejszym kalendarzu katolickim Wniebowzięcie NMP) liczy więc sobie dwa tysiące lat.

Kto w Ferragosto patrzy na znieruchomiały Rzym z któregoś z wysokich behedere, kto w starym Rzymie zapuszcza się w uliczki ogołoczone z przechodniów i o ślepych oknach we wszystkich domach, powinien wiedzieć, że w cienistym, dusznym i lepkiem skwarze czterech ścian za żaluzjami lęgną się często w głowach nielicznych pozostałych w mieście myśli o samobójstwie. Potwierdzają to statystyki, w których mowa z pewną dramatyczną przesadą o gwałtownym, niepoohamowanym sierpniowym «paroksyzmie samozniszczenia» wśród tych, co z miasta nie chcieli czy nie mogli uciec”.

ani)

tyła) 135282, 431, Raport Kwestury W zeszłym roku, 1995, „paroksyzm samozniszczenia obrodził wyjątkowo obficie. W nocy z 15 na 16 sierpn’a dziewięć osób odebrało sobie życie. Raport rzymskiej Kwestury, sporządzony przez podoficera do specjalnych zleceń-Tarantino, i podpisany przez kapitana Flavio Carbonaflzynosił pełny spis i dość powierzchowny opis ofiar di co-desta notte maledetta, „tej przeklętej nocy”. Podoficer wyjaśnił, skąd to określenie, niezbyt stosowne w biurokratycznym języku raportów policyjnych. Temperatura przekroczyła czterdzieści stopni, w ciągu dnia było sporo wypadków „niewydolności sercowej” w szpitalach i kilka śmiertelnych zawałów w mieście.

Spis zaczynał się od samobójczej śmierci małżeństwa w starszym wieku. Villino, mały domek z ogródkiem, na skraju dzielnicy Prati (Via degli Scipioni 67). On, Ettore Palom-bini, emerytowany nauczyciel fizyki w liceum, lat 74. Żona Elwira, gospodyni domowa, lat 72. Popelnili samobójstwo w szczelnie zamkniętej kuchni, otworzywszy gaz. Zaalarmowany wyciekającym zapachem, Kwesturę zawiadomił anonimowy przechodzień poranny. Wybito szyby w oknach drążkiem znalezionym w ogródku. Zgon nastąpił około trzeciej nad ranem (podoficerowi i dwóm szeregowym towarzyszył dyżurny lekarz Kwestury). Między małżonkami na podłodze leżała zdechła papuga. Zdechła prawdopodobnie wcześniej, bo wyjęto ją z klatki. Podoficer nazwał to, co zaszło, „tragedią samotności” i dodał nawet, że być może śmierć papugi popchnęła do „desperackiego kroku” bezdzielne małżeństwo. Kapitan postawił na marginesie mały znak zapytania zwykłym ołówkiem.

Na drugim miejscu w spisie figurował Monsignor Mau-nzio Zubini, wysoki urzędnik jednej z dykasterii watykańskich, zamieszkały w dużej kamienicy

naprzeciwko Świętego Piotra (Via Porta Cavalleggeri 113). Miał 40 lat. Wczesnym ranem przybiegł do niego woźny z dykasterii watykańskiej z ważnym dokumentem do podpisania. Przestraszył go brak odpowiedzi na dzwonek u wejścia do mieszkania.

Wskazywano z urzędu watykańskiego do Kwestury.

Włożono Monsignora martwego (i nagiego) w wannie, w plastikowym balonie na głowie, zawiązanym pod szyją.

Wtedy stracił przytomność, zapewne jeszcze przed uduszeniem obsunął się w wannie napełnionej wodą, ale balon utrzymał jego głowę na powierzchni, z otwartymi szeroko oczami i strasznym grymasem na sieniej twarzy. Kamienica była całkowicie wyludniona, ekipa z Kwestury znalazła jednak w sąsiednim domu portiera z żoną w mieszkaniu w ścianie zamkniętej bramy. Tak, znali dobrze Monsignora, od jakiegoś tygodnia wracał wieczorem z urzędu watykańskiego zdenerwowany, rozdrażniony, ledwie panujący nad sobą (mimo dotychczasowej uprzejmości w stosunkach z mieszkańcami kamienicy i najbliższymi sąsiadami). Mieszkał z młodym studentem teologii imieniem Marco, swoim siostrzeńcem. Żona portiera przymrużyła znacząco oko i zaśmiała się. Jej mąż również, z towarzyszeniem wulgarnego rehotu. Dziesięć dni lub dwa tygodnie temu Marco wyjechał. Widziano go wsiadającego rano z dużą walizką do taksówki. Od tego dnia zmieniło się zachowanie Monsignora. Jego bezpośredni sąsiad w kamienicy, zamożny sklepikarz, słyszał podobno przez ścianę, w nocy przed wyjazdem nad morze, nieustanne krążenie po pokoju i częsty szloch. Zmarły nie zostawił żadnego listu. Podoficer zaryzykował podejrzenie związku homoseksualnego. I przy tym zdaniu kapitan postawił mały znak zapytania zwykłym ołówkiem.

Na Zatybrzu, na Via Anicia 15, w pobliżu Bazyliki Świętej Cecylii, znajduje się dwupiętrowy dom z tarasem za niskim murem. Taras jest dobrze widoczny z ulicy, co pozwoliło policjantowi na wczesnym porannym obchodzie ulicy zobaczyć nagie zwłoki zwisające z belkowego występu komórki na dachu, przeznaczonej do prania bielizny. Policjant usiłował dostać się na dach, ale brama domu była zamknięta. Dobijanie się do niej, choć gwałtowne, nie dało skutku. Przeskoczył więc przez niski mur do zachwaszczonego dzikiego ogródka i tam zauważył w tyle domu zewnętrzne schody zapasowe prowadzące na dach. Wspiął się nimi na taras. Nagie ciało na sznurze przytwierdzonym do występu belki należało do młodzieńca, już martwego. W kącie tarasu, obok komórki, leżały nagie zwłoki młodej dziewczyny, udu-szonej, z wyraźnymi śladami uduszenia na szyi i z językiem

wysuniętym do połowy z ust. Policjant wyszedł otwartymi drzwiami z tarasu i na półpiętrze zobaczył otwarte również drzwi do mieszkania. Wszedł do środka i stamtąd zatelefonował do Kwestury. Po czym zbiegł schodami na dół i na parterze poczuł ostry zapach gazu. Stróżówka była w ogrodzie, dobudowana do wewnętrznego muru. Udało mu się dobudzić śpiącego mocno stróża (samotnego). Po wybiciu szyb w mieszkaniu na parterze z okna wyskoczył zataczając się kot, nie wiadomo jak ocalały, w każdym razie cudem. W kuchni leżały ciała dwojga starych ludzi, już martwych. Nasza ekipa (ciągnął podoficer swój raport) przyjechała na Via

Anicia o siódmej rano. Z pomocą stróża ustalono, co następuje: para starych ludzi na parterze, emerytów, prowadziła życie odosobnione, rzadko kontaktowała się z innymi mieszkańcami domu, zajęta była wyłącznie swoim kotem. Vincenzo Bernardini, emerytowany urzędnik biura podatkowego, lat 69; jego żona Amelia Bernardini, od pięciu lat ciężko chora na rozstrój nerwowy, lat 71.1 tutaj podoficer dopisał: „tragedia samotności”. I tutaj kapitan opatrzył na marginesie to twierdzenie małym, ledwo widocznym pytajnikiem.

Amerykańska była młoda para na tarasie, Bryan Wright, lat 30, Nancy Thurston, lat 28. Lekarz orzekł, że między uduszeniem dziewczyny i samobójczą śmiercią jej przyjaciela upłynęło około sześciu godzin. Odcisnięty obok zwłok kobiety ślad w kurzu na tarasie świadczył, albo co najmniej wskazywał, że zanim się powiesił, mężczyzna długo siedział obok uduszonej. Na wewnętrznej stronie ud obojga wyraźne były plamy zaschniętej świeżo spermy. Lekarz nie miał ąpliwości, że wszystko stało się po wielokrotnym stosunku seksualnym. W mieszkaniu zmarłych podoficer znalazł a stole włoskie zaświadczenie czy pozwolenie na papierze ^cdu Ochrony Zabytków. Bryan i Nancy, historycy sztuki 2 kalifornijskiego uniwersytetu, mieszkali w Rzymie od kilku miesięcy; byli upoważnieni do badań nad freskiem avalliniego Sąd Ostateczny w Bazylice Świętej Cecylii.

„-kranik... (1993-1996) 593

I 122, 215, /1Q1\_

W raporcie podoficera widać było słabo słowa „tragedia miłości” wytarte gumką. Podoficer rzymskiej Kwestury miał, jak widać, nieodpartą potrzebę ujawniania, w biurokratycznej prozie raportu, swojej osobistej wrażliwości. Czego, jak również widać, nie pochwałał jego rzeczowy i oschły zwierzchnik.

Ósme i dziewiąte samobójstwo tej „przekłętej nocy” sierpniowej Ferragosto przekroczyło granice getta rzymskiego.

O szóstej rano (raportował podoficer Tarantino) rozległ się w pokoju dyżurnym Kwestury telefon. Trudno było zrozumieć mówiącą kobietę, tak strasznie łkała, łkaniem, które przechodziło chwilami w krzyk. Udało się jednak wyłowić z tego łkania adres. Vicolo delia Vecchia Sinagoga, przecznica Via del Porficio Ottavia, numer 13, szóste piętro. Grupa przyjechała natychmiast. Stary zrujnowany dom, cztery sklepy w dole, bez windy, klatka schodowa pełna dziur i szczerb. Na szóstym piętrze otwarte już były drzwi, w oczekiwaniu na policję. Koło łóżka samobójców siedziała, łkając bez przerwy, kobieta w średnim wieku. Rachele Viterbo, wdowa, matka dwojga dorosłych dzieci. Była siostrą samobójcy, Vittorio Ferrarese, lat 75, mechanika. Leżał spleciony na łóżku z Miriam Matera, lat 65, sprzątaczką synagogi. Otruli się dużą ilością proszków nasennych, załączone do raportu pudełka leżały na podłodze wraz z pustą butelką po winie. Z beładnego, przerywanego wciąż wybuchami płaczu opowiadania zdawało się wynikać, że świadek Rachele Viterbo czekała na samochód przyjaciół, którym miała pojechać na cały dzień do Ostii, a schodząc ze swego mieszkania na poddaszu (dzieci były na wakacjach), zapukała głośno piętro niżej do pokoju, w którym jej brat mieszkał z Miriam. Zaniepokoiła ją cisza za drzwiami. Pchnęła je całym ciałem, kruchy zamek ustąpił. Wymagało

sporego wysiłku ze strony lekarza i obu szeregowych rozczepienie pary samobójców, splątanych i zaciśniętych w ludzkim węzle - <sup>TM</sup> końcu impreza (sic!) się powiodła. Według lekarza śfflierC nastąpiła zaraz po północy. Zmarłych ułożono obok sib6

na łóżku. Mieli twarze kredowe i spokojne, na oko wyglądali na młodszych, niż byli. Przepytywanie siostry zmarłego nie dawało żadnych istotnych rezultatów. Płakała, krzyczała, wyrywała sobie włosy z głowy, to, co mówiła urywanymi słowami, było bełkotem. Trzeba przesłuchanie odłożyć na później. Chwilowo nic nie wiemy. Kapitan nareszcie przypieczętował raport wielkim znakiem zapytania, który pośrodku strony rozmazał się trochę od złego tuszowego ołówka; i wyglądał jak ptak o zakrzywionym dziobie. Pod nim, u dołu strony, kapitan dopisał drukowanymi literami: „Należy to coroczne, coraz groźniejsze zjawisko dać do analizy komisji specjalistów psychologów. Może z udziałem księży. Wykonać szybko”.

Analiza komisji psychologów Kapitan Carbonari dopiął swego, na mniejszą co prawda skalę, niż zamierzał, ale i to połechtало jego ambicję. Wniosek z Kwestury, poparty przez odnośny departament Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, doprowadził do stworzenia trzyosobowej komisji. Psychologowie z Uniwersytetu Rzymskiego, Maria Teresa Verace i Giancarlo Portella, Padre Antonio Bertoni, duchowny asystent z kolonii dla narkomanów pod Ladispoli. Kwestura ze swej strony wyznaczyła trzech młodszych podoficerów, którym zlecono zbieranie materiałów i świadectw na użytek komisji. Posiedzenia wspólne miały się odbywać raz na miesiąc w saloni-u Kwestury; i miały trwać nie dłużej niż pół roku. Swoje auzy komisja zobowiązała się dostarczać na bieżąco ka-. an°wi Carbonari. Na opracowanie konkluzji pozosta-n° komisji dwa dodatkowe miesiące. Rzecz jasna, dla n ovv komisji przeznaczono miesięczne wynagrodze-nia z budżetu MSW.

efzało zaproszenie księdza z kolonii dla narkomanów, od pierwszej chwili, że nawiązano do sta!!:?

h i rej tradycji traktowania samobójstwa jako choroby („choroba tęsknoty do śmierci lub urzeczenia śmiercią”), a po drugie (i w konsekwencji) komisja postawiła sobie za cel wykrycie, dlaczego największe natężenie choroby przypadało, i wzmagало się z każdym rokiem, w dzień szczytu lata. Osobliwe i zaskakujące, że właśnie ojciec Bertoni - narko-ksiądz, jak go nazywano żartobliwie - podważył ostrożnie takie stawianie sprawy na inauguracyjnym posiedzeniu komisji. Poparła go, też ostrożnie, profesor Maria Teresa Ve-race. Rozpoczęto analizę od samobójstwa małżeństwa Pa-lombini w villino w dzielnicy Prati. Opis tragedii, możliwie szczegółowy, przygotował profesor Giancarlo Portella na podstawie materiałów dostarczonych mu przez podoficerską trójkę z Kwestury.

Materiały, głównie fiszki z Kwestury i opowiadania sąsiadów, przedstawiały parę samobójców w dzielnicy Prati jako małżeństwo, które żyło przez kilkadziesiąt lat w tej samej rodzinnej (spadek po rodzinie męża) małej willi w prawie zupełnej izolacji. Mąż Ettore wychodził rano do pobliskiego liceum, gdzie nie miał przyjaciół w profesorskim gronie, wracał do domu na późny obiad, a od szóstej do ósmej dawał

korepetycje z fizyki w laboratorium urządzonym w wieżycze na dachu villino. Żonę Elwirę widywano jedynie w ciągu krótkich porannych zakupów, gdy obchodziła sklepy w alei Cola di Rienzo. Potem nie ruszała się już z domu. Nie wyprawiali się nigdy do centrum Rzymu ani do kin dzielnicowych. Nie mogli mieć dzieci, o czym wiadomo było w sąsiedztwie od niedyskretnego lekarza. A mimo to robili wrażenie zadowolonych z życia. Zadowolenie przeobraziło się w coś więcej, gdy około pięćdziesiątki postanowili zaadoptować trzyletnią dziewczynkę z rodzinnych stron Elwiry w Lukanii. Słowo prawie użyte wyżej, odnosi się do zmiany w ich życiu po pojawieniu się w ich domu przybranej córeczki. Zmiany niewielkiej, ale przecież zmiany-Wychodzili czasem z malutką Rosettą na spacer, kiedy zas podrosła na tyle, by można było zapisać ją do szkoły, przy”

brany ojciec, nauczyciel w liceum, porzucił korepetycje i poświęcił się całkowicie wykształceniu Rosetty; przybrana matka zajmowała się jej wychowaniem, między innymi nauką gry na fortepianie, w której niegdyś celowała jako młoda panna na wydaniu. Przejście nauczyciela w liceum na emeryturę zbiegło się z zamążpójściem Rosetty. Miała osiemnaście lat, zakochała się z wzajemnością w dużo starszym od siebie mężczyźnie, który zaraz po ślubie zabrał ją do Argentyny. Obiecano mu tam dobrze płatne zajęcie. W momencie samobójstwa przybranych rodziców Rosetta była matką trojga dzieci. I planowała latem właśnie wizytę w Rzymie, aby „wnuki” poznały swoich „dziadków”. Mogłoby się wydawać, że oczekiwanie na przyjazd gości z Argentyny stanowiło dobry okres w życiu samotnych (z papugą) mieszkańców villino w Prati. Ale były to pozory, choroba czyhała wciąż w cieniu.

Padre Bertoni zabrał głos pierwszy. Gdzież tu - zapytał z delikatnym odcieniem ironii - samobójstwo jako choroba, i to choroba tęsknoty do śmierci? W chwili szczęścia dwojga starych, samotnych ludzi - niewierzących i niepraktykujących nawiasem mówiąc, a więc tym samotniej-szych - którzy szykowali się do radykalnego pokonania swojej samotności? - przytaknęła profesor Verace. Zaproponował profesor Portella: kto wie, czy nie było tak, że tym żywiej i boleśniej odczuwali swoją samotność przed śmiercią, czekając na rodzinę nie własną, lecz przyszywaną; i to w momencie, gdy zdechło w klatce ich prawdziwe dziecko. Profesor nie przekonał księdza i swojej koleżanki, a nawet Profesor Verace wytknęła „sztuczność” jego „bardzo naciągniętej analizie interpretacyjnej”. Pozostawiono na później czynnik Ferragosto w „tragedii samotności” (a jednak Przyjęło się określenie z raportu Kwestury!); uznano natomiast za możliwe, że samobójstwo nie jest wyłącznie choro-31 że niekoniecznie wiąże się z rozpaczą (jak chciał Kierkegaard).

^d razu stało się jasne, że samobójstwo Monsignora Zubini nie upoważnia do jakichkolwiek spekulacji i hipotez z braku wiarygodnych i „obiektywnych” dowodów i świadectw. Poza tym ksiądz Bertoni z góry wyłączył się z dyskusji, co zostało uszanowane przez parę psychologów. Duchowny nie chciał wnikać w intymne sprawy duchownego Zaproponowano mu wręcz powrót do obozu pod Ladispoli, odmówił jednak i cały czas siedział przy okrągłym stoliku z opuszczoną głową. Zdawał się drzemać, lecz przekonano się parokrotnie, że słuchał uważnie.

Dykasteria watykańska, gdzie pracował Monsignor Zubi-ni, odmówiła kategorycznie wyjaśnień. Więcej - nie ukrywano tam oburzenia na widok podoficerów śledczych. Z konieczności więc oparto się na świadectwie portiera i jego żony. Potwierdzili swoje pierwsze zeznanie i mimo przyrodzonej gadatliwości, tak typowej u stróżów domowych, odmówili zagłębiania się w szczegóły. Młody Marco pochodził z Como, tamtejsza policja otrzymała zatem nakaz przesłuchania jego rodziny. Ale okazało się, że po wyjeździe z Rzymu nie pojechał do swojej rodziny w Como. Wszelki ślad po nim zaginął, przypuszczalnie uciekł za granicę, opróżniwszy kasę swego duchownego kochanka.

Za to pod lampą na nocnym stoliku Monsignora znaleziono kartkę z jednym tylko zdaniem: „Proszę Najwyższego o przebaczenie”. A spomiędzy książek na górnej półce biblioteki wypadł mały zeszyt w płóciennym oprawie. Był to notatnik intymny Monsignora, tak intymny, że podczas głośnego odczytywania jego urywków Padre Bertoni przyłożył dłonie do uszu. Na szczęście dla niego, profesorska para ograniczyła lekturę do paru próbek. Wystarczyły, by orzec, że przyczyną samobójstwa było załamanie się mężczyzny ogarniętego pasją bez hamulców. Także w wypadku gnora odłożono na później pytanie, dlaczego odebrał życie w dniu szczytu lata, chociaż jego młodociany przyja” ciel opuścił go na początku sierpnia.

Para amerykańska na Zatybrzu, na Via Anicia, wyrnaga’ ła informacji ze Stanów. Dopuszczeni na początek posiedzi? inwestygatorzy z Kwestury przedstawili, z wyraźną sa-fakcją, „kompletne dossier”. Po czym zostali poprosze-o wyjście, gdyż zasadą komisji były obrady w trójkę, bez dodatkowych uczestników.

Dossier, jakkolwiek na oko cienkie i skromne, było rzeczywiście kompletne. Obszerny list do Kwestury z ambasady amerykańskiej w Rzymie przynosił precyzyjnie ułożone i jasno sformułowane informacje ze Stanów. Bryan Wright, lat 30, i Nancy Thurston, lat 28, pochodzili z Kansas City i byli dziećmi bardzo zamożnych rodziców. Wychowywali się razem, chodzili do tej samej szkoły, uważano ich za „narzeczonych” już od wczesnej młodości (16 lat on, 14 ona). Za przyzwoleniem rodziców, mieszkających w bliskim sąsiedztwie. Razem też (on czekał na ukończenie szkoły przez nią) zapisali się w Berkeley na wydział historii sztuki i na kursy języka włoskiego. Miano „narzeczonych”, przyklejone im w Kansas City, przetrwało w Berkeley. Byli nierozłączni, wspólne było wszystko, wykłady, nauka w domu, wyjazdy na wakacje do rodziców; z wyjątkiem oddzielnych pokoiów w domach studenckich, ale i to się skończyło, gdy wynajęli mieszkanie prywatne. Uczyli się bardzo dobrze, wydział historii sztuki na uniwersytecie zaaranżował dla nich roczny pobyt we Włoszech. Po otrzymaniu dyplomów, i przed wyjazdem do Włoch, pobrali się hucznie w Kansas City. Pozostali jednak przy swoich starych nazwiskach. Piewszym etapem ich studiów włoskich był Rzym, praca badawcza w Bazylice Świętej Cecylii nad Sądem Ostatecznym Piętro Cavalliniego. Po sześciu miesiącach mieli się przenieść do Sieny.

Do listu z ambasady amerykańskiej dołączona była notatka podoficerskiej trójki po wizycie w ambulatorium amerykańskim w Rzymie, urządzonym świeżo w



jednym ze skrzy-dei szpitala Gemelli. Z tego inwestygatorzy Kwestury byli szczególnie dumni, wybrali się tam pewnego dnia na oślep, bez żadnych wskazówek. Okazało się, że Bryan i Nancy Przychodzili do ambulatorium co miesiąc. Nancy, zmartwioną faktem, że nie zachodzi w ciążę, poddawała się specjalnej kuracji ginekologicznej. Bryan, chory w chłopięctwie na gruźlicę i później całkowicie z niej wyleczony, zwykł był „sprawdzać” swój organizm u znajomego lekarza. Ostatnia wizyta odbyła się 12 lipca, tym razem Bryan poprosił o check-up. Pobrano mu krew do analizy, 13 lipca przyniósł sam do ambulatorium wyniki pozostałych analiz zrobionych w laboratorium na sąsiednim placu zatybrzańskim. Wyszedł z ambulatorium wzburzony. Notatka inwestygatorów nie pozostawiała wątpliwości: w ambulatorium powiedziano im, że Bryan Wright miał początki aids. Był przypuszczalnie biseksualny.

Ksiądz Bertoni, uważając się zapewne jako narkoksiądz za specjalistę w pokrewnej dziedzinie aids, próbował zrekonstruować bieg wypadków na Via Anicia. Posłużył się słowem „amok” na określenie stanu ducha młodego Amerykanina. Jest to stan (wyjaśnił), który zakłóca wszystkie władze umysłu i sprzyja narodzinom agresywności. Profesor Maria Teresa Verace, w zgodzie ze swoim uniwersyteckim kolegą, pokusiła się o „odmalowanie scenariusza”, rzecz jasna „hipotetycznego”. 15 sierpnia Bryan i Nancy przeleżeli w pokoju nago, biorąc na zmianę albo razem \ prysznic. Z zapadnięciem zmroku wyszli na taras z sienni - \ kami. Około dziesiątej Bryan z furją posiadł parokrotnie zaleźnioną i uległą Nancy. Około północy jeszcze raz, jak \ oszalały w nocnym upale Ferragosto, posiadł ją stawiają-; cą naraz opór. Zacisnął ręce na jej szyi. Potem, niby zacza - \ dzony, siedział sześć godzin obok jej zwłok. Otrzeźwiawszy o świcie, powiesił się.

Na tym posiedzeniu Ferragosto związało się z atakiem furii. Ksiądz Bertoni poprosił o dorzucenie słowa „amok”

Podobnie jak poprzedni wypadek „amerykański” łączył zabójstwo i samobójstwo, „tragedia samotności” na parterze domu na Via Anicia okazała się identycznym połączeniem, tyle że z odwróconymi rolami. Wykazała to sekcja zwłok, zarządzona przez podejrzliwego kapitana Carbonań yincenzo Bernardini został najpierw uśpiony przez żonę, potem zawleczony do kuchni, w której otwarty już był kurek gazu. Amelia położyła się obok niego, kota zaś wpuściła między szybę zewnętrzną i wewnętrzną. (Wstawili, na okres zimy, podwójne okna). Tym się tłumaczyło jego cudowne ocalenie.

Komisja miała ograniczone pole analizy. Chodziło o kobietę chorą na rozstrój nerwowy, można się więc było tylko zastanawiać, czy to nieznośnie upalna noc szczytu lata rozpętała w niej popęd pchający do zabójstwa. Małżeństwo, rodzice jedyne go syna zamieszkałego z rodziną i zatrudnionego w przemysłowym miasteczku piemonckim Biella, było, według dochodzeń podoficerów Kwestury (potwierdzonych przez syna), dobre aż do odezwania się i ciągłego wzrostu choroby żony. Obawiała się, w pauzach spokoju i jasności umysłu, odesłania do zakładu psychiatrycznego. Jeśli samobójstwo małżeństwa Bernardini było istotnie „tragedią

samotności", to w tym sensie, że żona nie chciała umrzeć sama i nie chciała zostawić na świecie samotnego męża, nie ufając widocznie instynktowi opiekuńczemu syna.

W każdym razie komisja nie mogła w analizie wyjść poza jeden punkt: w jakim stopniu Ferragosto odegrało rolę siły sprawczej rozstroju nerwowego, wzmożonego do granic ostatecznych. Nikomu w komisji bezpośredni związek tych dwóch czynników nie wydał się wątpliwy.

Dochodzenia, przesłuchania i luźne rozmowy w rzymskim getcie zaowocowały sprawozdaniem, które miało w so-bie coś z noweli.

Członkowie komisji nazwali tę nowelę jednogłośnie Ro-meo i JuHa czasów pogardy. Dość szalone ożenienie Szeksa z Malraux było pomysłem całej komisji. Na twarzach wszystkich trojga odmalowała się tzw. „twórcza duma”.

stotnie w pomysle było coś wyjątkowo trafnego, znamiennego dla naszej oplakanej epoki. W roku 1942 Vitto-b° Ferrarese miał lat 27, a Miriam Matera 17. Ich miłość, graniczna i zachłanna, była ozdobą getta. Nawet gdy ^p\*

rozstawali się na krótko (Vittorio wydał się z getta mimo surowych przepisów urzędowych), ich rozłąka wydawała się wieczna; i witali się jak po długim rozstaniu. Obie rodzi-ny były przeciwne temu samowolnemu narzeczeństwu. Vittorio był jedynakiem zamożnego kupca, Miriam córką o-wdowiatego tragarza, który nie wyobrażał sobie, że dziewczyna kiedyś od niego odejdzie. On zdołał jeszcze ukończyć technikum przed wprowadzeniem ustaw rasowych i w oczach mieszkańców getta uchodził za „mędrca” (to prawda, że był mołem książkowym); ona, analfabetka, od piętnastego roku życia była sprzątaczką w synagodze. Kochali się tak, jakby byli dla siebie przeznaczeni od urodzenia (przy znacznej różnicy wieku). Byli kochankami, lekceważąc tradycyjne obyczaje i reguły starszych.

Vittorio, działacz komunistyczny od dwudziestego trzeciego roku życia, w miarę zaostrzania się sytuacji był przez podziemną partię przygotowywany do ucieczki. Pod koniec 1942 przemycono go do Genui i wciśnięto na statek sowiecki. Aresztowany w Charkowie za „działalność kontrrewolucyjną”, został zesłany do Workuty. Zwolniono go w roku 1954 po „amnestii Malenkowa”. Ale do Rzymu wrócił, „zrehabilitowany”, dopiero w roku 1960.

Miriam padła ofiarą łapanki niemieckiej w getcie rzymskim 16 października 1943. Zdolnych do pracy wywieziono do Oświęcimia. Uniknęła komory gazowej, lecz do Rzymu wróciła w roku 1945. Do rodzinnego getta rzymskiego trafiła tylko dlatego, że była w grupie ocalałych, którzy się nią zaopiekowali. Nie było jasne, czy oniemiała, w każdym razie na początku, przez trzy lata, nie wymówiła ani słowa. Pamiętała jednak najwidoczniej swoje dawne życie, skoro zaraz po powrocie podjęła pracę sprzątaczką w synagodze-Żywiono ją jak żebraczkę, gdzie popadło, zamieszkała \* komórce zamordowanego ojca-tragarza. Stan zabiedzony i oniemiałej dziewczyny skłonił lekarza z getta do posłania jej na badania do szpitala na Awentynie, w którym prac°° wał dorywcz. Sprawdziły się jego najgorsze przecuci3obozie zaliczono Miriam do „królików doświadczalnych”? okaleczono trwale jej kobiecość. Zaczęła co prawda mówić ale jak gdyby nie pamiętała swego narzeczonego. A przecież rzuciła się z płaczem do jego nóg, kiedy wrócił z Ro-sji w

roku 1960 - cień samego siebie, stary już, wynędzniały i schorowany człowiek. Zamieszkali razem w jego mieszkaniu. Po śmierci ojca prowadził dalej, na mniejszą skalę, jego przedsiębiorstwo handlowe; spadkiem po ojcu podzielił się z siostrą. Miriam mogła nie pracować w synagodze, ale była głucha na wszelkie namowy swego towarzysza. Widywano ich znowu w getcie przytulonych do siebie i zawsze milczących. Przytuleni byli do siebie tak konwulsyjnie, jak gdy odnaleziono ich umarłych po samobójstwie.

Autorzy policyjnego sprawozdania wtrącili na zakończenie, przepraszając za to, kilka niezdarnych, lecz szczerych słów wzruszenia. Profesor Maria Teresa otarła chusteczką zwilgotniałe oczy. Załamał się też głos odczytującego sprawozdanie, czyli profesora Portella.

Próbie analizy rozpoczął ksiądz Bertoni od zaskakującego trochę twierdzenia, że według niego brak tu materiału do analizy. „Była to istotnie - kontynuował - przejmująca nowela, której korzenie psychologiczne tkwią w nie znanych nam rejonach. Kto z nas potrafi sobie odtworzyć czy tylko wyobrazić los komunisty z rzymskiego getta, prześladowanego w kraju, który uważał za swoją ojczyznę idealną? Kto ośmieli się odsłonić dramat młodej dziewczyny, dramat raptownego przejścia od dziewczęcej miłości do kalekiej dojrzałości?” Co doprowadziło szybko komisję do przyjęcia zasady: milczenie jest jedyną alternatywą nieprzenikalności materii i ułomności języka.

»Nie mamy jednak prawa - odezwała się cicho, prawie n'esiało, profesor Maria Teresa - zapomnieć o głównej kwestii naszych analiz. Począwszy od roku 1960, Romeo i Julia z rzymskiego getta co noc, w ciągu wielu lat, mogli Przeciąć pasmo swojej męczarni, którą nazwałabym jałową Miłością, rozpaczliwym uściskiem odepchniętego, wydrażonego życia. Dlaczego to obsunięcie się w przepaść, w sen wieczny, spowodował dopiero potrącony przez los lub Boga kamień owej przeklętej nocy z 15 na 16 sierpnia?»

Ostatnie posiedzenie komisji zamknięto decyzją, że i ten wypadek, choć bez należytej oprawy analitycznej, zostanie włączony do pracy nad konkluzjami.

Konkluzje komisji psychologów O konkluzjach komisji psychologów wolno powiedzieć, że były niestety konkluzjami tylko z nazwy. Uderzały dobre chęci członków: usiłowali coś dać Kwesturze i departamentowi MSW w zamian za łożone na nich pieniądze podatników. Niekiedy te usiłowania ocierały się o śmieszność, jak w przypadku zamówionej specjalnie u lekarzy ekspertyzy na temat zmian w organizmie pod wpływem „rosnącej krzywej upałów”. Mieli przecież opisać psychologiczne przeobrażenia osobowości ludzkiej poddanej niewidzialnemu tłokowi szczytu lata, Ferragosto, a nie znane od dawna jednostkowe ataki szału organizmów fizycznie nieodpornych na wzrost temperatury ciała (w starych kronikach rzymskich spotyka się czasem wzmianki o nagich wariatach, wybiegających w noc Ferragosto z domu i pędzących w stronę Tybru, aby nie tyle doznać ochłodzenia w płytkiej letniej wodzie rzeki, ile paść ofiarą pogryzienia przez przybrzeżne szczury; pogryzienia równoznacznego z natychmiastowym oprzytomnieniem). Psychologiczne akcenty były w konkluzjach komisji skąpe i

kruche: pustka wyludnionego miasta i wyludnionej kamienicy; odruch spojrzenia na minione życie i rozrachunku, rzadki w normalnych okolicznościach całego roku; nieokreślony strach, spowodowany nagłym osłabieniem (zwłaszcza u osób starszych); efekt „głuchego echa” własnych głosów, groźny, jeśli powstaje konieczność wzywania pomocy. Wszystkie te akcenty psychologiczne nie są pozbawione racji, lecz bardzo cząstkowe - Wciąż brak wspólnego mianownika dziewięciu tak odmiennych aktów desperacji, poza samym faktem samobójstwa. I wciąż brak odpowiedzi na główne pytanie, postawione komisji przez jej zleceniodawców: dlaczego ta eksplozja w noc szczytu lata? Na tle miałkiej i dość bezbarwnej sumy przedstawionych konkluzji zabrzmiał nadspodziewanie mocno apel księdza Bertonięgo: odnotujcie w konkluzjach, że nikt, z wyjątkiem nieszczęsnego Monsignora watykańskiego i może Miriam z rzymskiego getta, nie czuł żywego związku z Bogiem; nie wyprowadzam z tego zbyt daleko idących wniosków, myślę jednak, że wśród wszystkich waszych konkluzji moja jest bogatsza i głębiej wrosnięta w rzeczywistość ludzkiego życia.

Zleceniodawcy komisji nie ukrywali od początku, że wyniki jej pracy winny nasunąć Kwesturze, departamentowi MSW i asesorowi Rady Miejskiej przynajmniej zarys środków zapobiegawczych; że, innymi słowy, groźny fenomen towarzyszący Ferragosto okaże się dzięki badaniom komisji możliwy do zwalczenia bądź co najmniej zredukowania. Pod tym względem członkowie komisji przyznali się do zupełnej bezradności. Myśl o samobójstwie, dorzuciła od siebie profesor Verace, jest jak kwiat, który od cebulki do zakwitnięcia potrzebuje długiego czasu. Ksiądz Bertoni uzupełnił jej uwagę: zatruty kwiat duszy opuszczonej przez Boga rośnie powoli, nikt poza Bogiem nie potrafi go wykar-czować.

Z dziennika Zapis z 16 lipca 1972.

),Przed wielu laty zdarzyło mi się spędzić w nędznym rzymskim hoteliku obok dworca Termini kulminacyjny i świętowany przez Włochów dzień 15 sierpnia, Ferragosto. Miasto było wyludnione, żar niesamowity. Leżałem nago na mok - barłogu, zwlekałem się z niego czasem, by podstawić głowę pod kran i zajrzeć w ciemną studnię podwórka. Jedyne rzadki odgłos wydawała dychawiczna winda, gdy jakiś przejezdny żołdat przyprowadzał na godzinę dziewczynkę z Termini. Nawet miłość za ścianą odbywała się cicho i ospale, bez krzyków i skrzypienia sprężyn. Nie umiem już dziś odtworzyć rozklejonego i leniwego biegu moich myśli, ale pamiętam, że pełzały tam i na powrót przez obszar minionych lat, i że była w nich wzbierająca stopniowo wściekłość (według Kierkegaarda główna twarz rozpaczy). Około szóstej wieczorem wyczułem coś trudnego do określenia, dziurę w czasie, wsysającą pompę otchłani. Stałem przy oknie, z odrętwienia wyrwał mnie ból w rękach zaciśniętych kurczowo na klamkach żaluzji. Zaraz potem ulice zaszumiały krótko gwarem, miasto odżyło na chwilę, w sąsiedniej kamienicy ktoś zaśpiewał blado, lecz ile tchu w piersiach, popularną piosenkę. W północnym dzienniku radiowym podano, że alle sei delia sera circa, około szóstej wieczorem, cztery osoby odebrały sobie życie w różnych dzielnicach Rzymu”.

Niemy wszechświat Pamiętam, co stało się potem, jakkolwiek nie zapisałem tego w dzienniku.

Po północnym dzienniku radiowym zgasilem nocną lampkę ostatnim wysiłkiem woli i zasnąłem snem ciężkim jak o-mdlenie. Obudziłem się o drugiej. Cała podłoga w pokoju była czarna od karaluchów. Podobno zdarza się to często w starych kamienicach rzymskich: upał wygania karaluchy z nagranych murów, przeciskają się do pokojów szparami między listewkami i dołem ścian. Ograniczają się do podłogi, tworzą jakby czarną, drgającą gdzieniegdzie narzutę. O świcie wracają tam, skąd wypełzły, pokój zdaje się znowu względnie czysty.

Zdołałem ubrać się na łóżku w pozycji stojącej i z pomowody z karafki utorować sobie drogę do drzwi. Zbiegłem na dół i obudziłem śpiącego portiera, który niechętnie otworzył mi drzwi na ulicę. Nie pozostawało mi nic innego, iak włóczyć się bez celu po Rzymie aż do świtu.

Teraz, po drugiej w nocy, miasto było zupełnie puste. Dobrnąłem do Tybru, spodziewając się, że jakiś słaby choćby powiew wilgoci z rzeki pozwoli mi złapać oddech. I wzdłuż Tybru ruszyłem przed siebie, z przysiadaniem po drodze na murku. Aż w końcu, zmęczony, zdecydowałem się zejść schodami nad rzekę obok zamkniętej przystani. Ktoś zostawił przy wejściu na pomost przystani dziurawą łódkę. Mogłem się w niej dość wygodnie ułożyć.

Leżałem, to patrząc na niebo gwiazdziste, to na bulwar po tamtej stronie rzeki. Pusty absolutnie, nie pojawił się na nim ani jeden nocny przechodzień. Pusty i niemy, nie dochodził znikąd żaden dźwięk prócz leniwego plusku wody w wyschniętym korycie rzeki i szurczego chrobotu w nadrzecznych śmieciach.

Niemy Rzym poruszył w moich myślach „niemy wszechświat” Pascala z jego Myśli. Zawsze sądziłem, a w ową noc Ferragosto w Rzymie bardziej niż kiedykolwiek, że Pascal był jedynym filozofem, który umiał zbliżyć się do naszej nędzy i prawdy „ukrytego Boga”.

*Dwie jego myśli powtarzałem sobie w duchu stale. „Od Piekła lub nieba odgradza nas tylko życie, rzecz najkruch-sza na świecie”. Oraz: „Znajomość Boga bez znajomości własnej nędzy rodzi pychę, znajomość własnej nędzy bez znajomości Boga rodzi rozpacz. Znajomość Chrystusa jest Pośrodku, ponieważ w niej znajdujemy i Boga, i swoją nędzę”*

Ale chodzi o „Boga ukrytego”, a częściej i obsesyjnie rzecz „nieobecnego”. Za Jego „ukryciem” lub „nieobec-oscia” roztacza się „niemy wszechświat”, obojętny wobec aszego istnienia, skazujący nas na wieczną bezdomność.

A może nie „za”, lecz „przed”, skoro wszystko jest zasłoną skrywającą Boga? Tak czy owak, jesteśmy w „niemym wszechświecie” zagubieni, zdani na własne siły (bądź własną bezsilę), rzućni na „opustoszałą i straszliwą wyspę”.

Odtwarzając w pamięci Pascalowskie strzępy myśli, stawałem wciąż wobec pytania: a jeśli uczucia, które wsączają się do ludzkich serc, ulegną tak silnej kondensacji, takiemu napięciu, że zgasiwszy wszystkie światła, wtrąca ludzkie serca w nieodwracalny gąszcz ciemności? Nie potrzeba być filozofem, by podobnie, na najniższym poziomie egzystencji, myśleć i czuć. I przyszło mi wówczas do głowy, że

to właśnie odbywa się u niektórych w noc szczytu lata, gdy poraża „niemota wszechświata” i gęstnieją do maksimum zasłony skrywające Boga, podsuwając przejmujący lęk Jego nieobecności. Dlaczego w tę właśnie noc, a nie w jakąkolwiek inną? Tego nie umiem, i sądzę, że nikt nie umie, wyjaśnić. Bolały mnie jednak dalej, słabiej, lecz uporczywie, ręce, którymi opierałem się ssącej dziurze przepaści ulicznej. Ile, w tę noc, osób broniło się tak samo przed pokusą odejścia lub nagłym strachem nicości?

Usnąłem jeszcze raz u schyłku nocy rozjaśnionej już nadejściem dnia. Ocknąłem się, gdy kopnięcie poruszyło moja. łódkę. Kopnął ją, przechodząc, człowiek uzbrojony w wędkę i wiadro. Obejrzał się na mnie, zaśmiał się głośno i krzyknął: Eftnito U Ferragosto! Istotnie, wschód słońca obejmował szybko swoimi ramionami Rzym. Wyszedłem schodami z nadrzecza na bulwar i orzeźwiony, śmiejąc się cicho pod nosem, poszedłem w kierunku Piazza del Popolo. Coraz więcej ludzi wynurzało się z otwieranych bram. Na plac wjechało nawet kilka samochodów. Wspiąłem się okrężna. drogą do Pincio, gdzie było jeszcze pusto, choć wodowóz pokrapiał już aleje. Pincio, ogród narodzin mojej miłości’ Oparłem się całym ciałem o balustradę, która pozwalała n” zawsze, ilekroć bywałem w Pincio, obejmować zachwyci nym wzrokiem Rzym: plac Hiszpański, Condotti, Tybr> Święty Piotr. Słońce rozpryskiwało się jak woda z wodowozu - Ulice, bulwar i place poczerniały od przechodniów; rzadkich, ale ożywczych w bezruchu martwego miasta. Nie pretenduję do odsłonięcia sekretu Ferragosto. Pozostanie sekretem wieczystym (nieдоступnym dla władz, rojących 0 prewencji „paroksyzmu samozniszczenia”). Dla mnie szczyt lata był, jest i będzie, póki istnieje świat, porą przesilenia naszego życia z naszą śmiercią.

Kwiecień-maj 1996

jn”Dziennik... (1993-1996)

Neapol, 2 czerwca 122”215, /iei\_

Zgadzam się z komentatorami politycznymi, dla których kanclerz Kohl jest najwybitniejszym mężem stanu w Europie, wśród miernot w rodzaju Chiraca, Majora, Prodiego jedynym dalekowzrocznym po upadku Muru i w ogóle komunizmu. To znaczy jedynym świadomym, że jesteśmy na historycznym zakręcie i że dotychczasowe sztuczki tradycyjnej gry politycznej trzeba wyrzucić na śmietnik. Popełniał naturalnie błędy, ale miał i ma dalej „wytknięty kurs”. Jeśli wyjdzie obronną ręką z obecnego kryzysu niemieckiego i utrzyma się przy władzy, będzie głównym sternikiem Europy. Może to nie budzić entuzjazmu, ale musi budzić trzeźwość w spojrzeniu na jednoczone, mizerne strzępy eks-pep-ka świata, czyli Starego Kontynentu.

Poznałem Kohla (jeśli wolno to nazwać poznaniem) u progu jego kariery politycznej, kiedy nikt pewnie nie przypuszczał, że na tzw. forum niemieckie i międzynarodowe wkracza ważna figura. Zdaje się, że było to na początku lat sześćdziesiątych. Konrad Adenauer Stiftung urządziła \* Bonn debatę z udziałem grupy emigrantów ze wschodniej Europy. Byłem wśród zaproszonych wraz z Nataszą baniewską, Leopoldem Łabędziem i (o ile mnie pamięć myli) Bohdanem

Osadcukiem. Przewodniczył nieżyjący J wiceminister spraw zagranicznych, Martens, bardzo gętny i doskonale obeznany z problematyką „demokracji ludowych”. W kularach i na sali obrad pętał się dyscyjni dziennikarze z Warszawy i innych stolic „blok wciąż wężąc, czy czegoś Niemcom nie „sprzedajemy”. My zaś przepchnęliśmy w dyskusjach kilka rozsądnych i pożytecznych uchwał. Duża w tym była zasługa nieodżałowanego Leopolda Łabędzia.

W ostatnim dniu konferencji zawieziono wieczorem, na pożegnalną kolację, jej uczestników z Bonn do ładnego pałacyku myśliwskiego daleko za miastem, na leśnej polanie. Jednym z doproszonych gości był działacz chadecji Kohl. Siedział obok sławnego generała Grigorienko, „dysydenta w mundurze z pagonami”, którego antycypatorską przenikliwość w obrazie zwycięskiej i już rozkładającej się armii sowieckiej można dopiero dzisiaj w pełni ocenić (prawdopodobnie za to mieszano go w Moskwie z błotem w sposób wyjątkowo obrzydliwy). Byli głównymi mówcami wieczoru. W przemówieniu postawnego, wysokiego i tęgiego Kohla, który często pochylał się nad masywnym Grigorienką i zdawał się mówić przede wszystkim do niego, usłyszałem ton daleki od „ducha Rapallo”; ton najwyższej uwagi pod adresem i Rosji, i jej sąsiadów; wtrącił też, co wtedy było dość niezwykle, kilka rozumnych zdań o Ukrainie, ojczyźnie Grigorienki. Siedziałem obok miłej pani, jednej z organizatorek bońskiej konferencji; i szepnąłem jej na ucho parę słów pochwały Kohla. Nie była nią zachwycona, nie wypadało jej kiwnąć potakująco głową jako zwolennicze SPD.

czerwca Jakiś miesiąc temu odwiedziła mnie Teresa Torańska z mężem. Przegadaliśmy całe przedpołudnie.

^nam Teresę od lat, spotykaliśmy się w Maisons-Laffitte Podczas weekendów. Przyjeżdżała w każdą sobotę, zanua'a się w rocznikach „Kultury”, rozmawiała z domowni-ami, przymierzając się ciągle do książki o „Kulturze” z zy'egłościami. Jeżeli mam być zupełnie szczerzy, nie wiey em w powstanie tej książki. W rozmowach z Torańska!5 >pe 671 ani)

tyła) 135282, 431, 122”215, uderzyło mnie, że nie była w stanie wgrzyźć się dobrze w istotę życia i działalności na emigracji. Zęby miała ostre, tu jednak zawodziły. A jak pisać o „Kulturze”, słabo czując jej „emigracyjność” prócz jej „krajowości”?

Znałem już wtedy jej doskonałą książkę Oni. Podziwiałem zręczność autorki w udawaniu naiwnej i nieświadomej rzeczy „córusi” dla uśpienia „czujności rewolucyjnej” Gabinetu Ciemnych Figur. Pouczali ją cierpliwie, z wyjątkową niekiedy otwartością, nie podejrzewając, że paznokietki głupiutkiej i grzecznej dziewczynki zamienią się w trakcie powstawania książki w pazury urodzonej dziennikarki. Oni należą już do klasycznego repertuaru literatury o „realnym socjalizmie” w krajach Bloku nadzorowanych przez Głównego Blokowego.

Podczas neapolitańskiej wizyty Teresy nie znałem jeszcze jej drugiej książki, My. Obiecała przysłać mi ją z Rzymu. Dostałem ją przed tygodniem, wraz z listem z dalszej podróży. Teresa i jej mąż wstąpili oczywiście po drodze na Monte Cassino.

Nie mogę się oprzeć pokusie zacytowania fragmentu tego listu (bez pozwolenia autorki): „Panie Gustawie, straszna jestem. Ale muszę jeszcze o jednym szczególe. Na cmentarzu montecassińskim, po prawej stronie, są groby żydowskie. Tośmy stanęli sobie obok poobserwować. Przez ponad godzinę ani jeden rodak nie zbliżył się do nich, żeby przeczytać tablice. Jedna się zapuściła na chwilę, ale zaraz z przerażeniem uciekła. Czyli jest jak jest”.

„Jest jak jest” stanowi również dewizę Torańskiej w książce *My*. Cenię ją za całkowity brak taryfy ulgowej, ochów i achów w duchu „oni dranie, my zuchy”. Podpisuję się oburącz pod fragmentem przedmowy Torańskiej: „Nasze społeczeństwo jest chore, MY jesteśmy chorzy. Polska jest chora. MY nawet staliśmy się do ONYCH podobni. MY broniliśmy się przed ONYMI, ale do końca nie obroniliśmy się. Od nich przejęliśmy formy uprawiania polityki, definio - j wania, czym jest polityka, sposoby traktowania społeczeństwa”.

Co się stało? Dlaczego Polacy są dziś innym narodem? Oczywiście owoce prawie półwiecza sowietyzmu (nie mylić z przesadnym homo sovieticus, ulubioną formułą księdza Tischnera). Druga książka Torańskiej, która miała być przeciw wagą pierwszej, jest zbiorowym świadectwem ubóstwa. Przywódcy dawnej opozycji, dorwawszy się do władzy na gruzach komunizmu, spojrzeli na politykę dokładnie oczami swych poprzedników: polityka to nie wizje przyszłości, rozsądne programy, to lekcja manewrów i podchodów politycznych. No, ale komuniści przerabiali tę lekcję dłużej, nauczyli się jakoś rządzić, nic więc dziwnego, że przy pierwszej okazji, w roli postkomunistów, a raczej świeżo upieczonych „socjaldemokratów”, przepędzili beneficjentów upadku komunizmu i odmrozili zamrożone przezornie fundusze. Ku zachwytowi osłów (często o sławnych nazwiskach), którym w mózgach pieprzą się króliki „lewicy” i „prawicy”. Nareszcie „jednolity front lewicy” przeciw „prawicy”...

Nie ku zachwytowi inteligentnej Torańskiej. Bezlitośnie odslania nędzę demokratycznych przywódców, niezdolnych do sklecenia paru sensownych słów o prawdziwej polskiej polityce, natomiast biegłych (i czasem sprawnych) w „politycznych zagrywkach”.

Książkę otwiera (nie tylko alfabetycznie) Leszek Balcerowicz, luminarz w galerii demokratycznych przywódców. Chętnie wierzę zapewnieniom fachowców, że wybitny ekonomista, ale według mnie żałosny polityk. Torańska rozumnie zwraca mu uwagę, że „jeśli ludzie nie rozumieli reformy to trzeba im było tłumaczyć”. Wicepremier i minister ze smiechem nazywa ją „przedstawicielką takiego oświeceniowego nurtu, takiej oświeceniowej wiary (?), że ludziom?tozna tłumaczyć”. I dodaje, na użytek rozmówczyni-igno-rantki: „W polskich realiach tłumaczenie zasad reformy łąoby znaczenie marginalne, a nie zasadnicze”.

Co o tym wybuchu pychy wielkiego ekonomisty sądzą „Udzie”, dowiedzieliśmy się w roku 1993 i 1995. Mieszkam kraju, gdzie (jak zresztą na całym Zachodzie) najmniejsza reforma gospodarcza jest do znudzenia tłumaczona „ludziom”. I jakoś ten „marginalny” zabieg opłaca się rządom, cym. Ale Balcerowicz z pogardliwym odęciem warg otrząsa się z „oświeceniowych nurtów” i



„oświeceniowej wiary”. Skąd ten pogardliwy stosunek do Oświecenia u przysięgłego racjonalisty? Pasowałby chyba bardziej do umysłowego bigota. W każdym razie największa dziś w Polsce formacja opozycyjna złożyła swoje losy w ręce osobliwego, zaiste, polityka.

75 czerwca Chwalebna inicjatywa gliwicka: dwujęzyczne, polsko-niemieckie, wydanie „esejów o sąsiedztwie polsko-niemieckim” Jana Józefa Lipskiego Powiedzieć sobie wszystko. Oprócz głośnego szkicu Dwie ojczyzny - dwa patriotyzmy drobniejsze teksty wyciągnięte z szuflady autora i drukowane po raz pierwszy. Wszystkie bez wyjątku przybliżają, w pięć lat po śmierci, jednego z najczystszych i najuczciwszych pisarzy w Polsce. Jedynie pisarza? Polonistycznego wyrobnika? Nie, żołnierza, działacza politycznego, „chodzącego sumienia” (jak go ktoś nazwał). „Lipski powiedział czy napisał” znaczyło kiedyś wiele, tyle samo co „Ossowscy powiedzieli czy napisali”. Piękni Polacy, ważący słowa, sprawiedliwi, zakochani w prawdzie, brzydzący się frazeologią patriotyczną bez pokrycia, odważni, niekiedy nawet nieustraszeni. Przed laty spędziłem cały dzień z Marią Ossowską w Neapolu i okolicach; znałem ją z wykładów na UJP o „normach moralnych”. Ten dzień pamiętam do dzisiaj.

I do dzisiaj pamiętam spotkania z Lipskim w Londynie-Ilekród przyjeżdżał do swojego kardiologa, wyprawiałem się do Londynu na prośbę Giedroycia. Chodziło o wywiady <Ua „Kultury”, drukowane po każdym jego powrocie do Wał” szawy. Ale jakież to były wywiady! Sam Lipski układał z mną pytania i nazajutrz po pierwszym spotkaniu wręcza mi gotowe już rozmowy z odpowiedziami. Uzależniał je od okoliczności politycznych, przystosowywał je (zamiast bezpośrednich artykułów dla „Kultury”, starał się bowiem unikać wystąpień wprost) do bieżącej sytuacji politycznej, naciskając aktualne klawisze „kretynizmu komunistycznego”.

Ostatni raz widziałem go w Maisons-Laffitte jako senatora, wybranego w Radomiu w drugiej turze mimo protestów biskupa Materskiego („bezbożnik”, choć do chrześcijaństwa był przywiązany i Pismo Święte znał lepiej od wielu pokornych gorliwców). Był odprężony, ale smutny i przygaszony, siedząca obok niego żona przyglądała mu się z niepokojem.

Dopóki żył, można było marzyć o wskrzeszeniu prawdziwej PPS pod doświadczonego okiem honorowej przewodniczącej, Lidii Ciołkoszowej. Lipski nie żyje, Ciołkoszowa ma 96 lat, pod sztandarem PPS buszuje stado koników wywodzących się w prostej linii od wierzchowca imperatora Kali-guli, następcy Tyberiusza. Łasych na miejsce w parlamencie, obojętnych na to, że z okrytej chwałą Polskiej Partii Socjalistycznej zrobili groteskowy happening polityczny.

(Zauważam ze zgrozą, że złamałem moje ślubowanie do-śmiertnego postu komentatorskiego wobec polityki polskiej. Tak głęboko więc tkwi we mnie, od pół wieku z górą, ten bakcyl).

Albori, 10 lipca Albori, wioska u stóp góry Falerio (350 mieszkańców), nad miasteczkiem Raito, w jednej z odnóg Zatoki Salerni-tańskiej.

. amyka się zatoczone koło. W pierwszym tomie mojego lennika zapis z 11 kwietnia 1971: „Miejscowość nazywa v Albori - Świty... Wiosna ociąga się w tym

roku, noce c'iodne, dnie często pochmurne. Tuż przed świtem przeszła tędy szybka i gwałtowna burza. Obudzony piorunem który strzelił gdzieś w pobliżu, zapaliłem światło i sięgnąłem po książkę. Siekl ulewny, pośpieszny deszcz, urwał się nagle, wróciła cisza. Pojaśniały szpary w żaluzjach, pchnięte ręką okno otworzyło się na świt. Na odległym styku nieba z morzem był brudnoróżowy, wąski jak przepaska, lecz zaraz rozmazał się ciemną sangwiną i taki pozostał na dłużej. Obłoki płynęły jeszcze wolno, potem pognały za uciekającą burzą. Wypogadzało się, jak tylko w tych stronach zwykło się wypogadzać: z błyskawicznością dekoracji obrotowej. Zielone płyty morza, ślady po zmaceniu wody, zlewały się w czysty i gładki błękit. Wciąż paliła się na nocnym stoliku zapomniana lampka, a za oknami wstawał, biały i płonący, śródziemnomorski dzień Wielkanocy”.

Po dwudziestu pięciu latach pamiętam ten świt w Albori z fotograficzną prawie dokładnością; drobny dowód na istnienie proustowskiego Boga Minionego Czasu.

Albori nie zmieniło się zbyt w ciągu ćwierćwiecza. Jest dalej wioską tak gęsto i ciasno pobudowaną, że z daleka i z góry wygląda jak zlepek gniazd jaskółczych. Starzy pomarli, młodzi zdążyli się postarzeć. Nowych młodych jest mało, wczesnym ranem uciekają do pracy w okolicznych miastach, przede wszystkim w Vietri i w Salerno. Jedna niestety rzecz znikła w Albori; i zachodzę w głowę dlaczego. Kiedyś po kolacji na schodach kościółka (który króluje nad wioską) rozsiadali się starzy ludzie z butelkami wina w rękach i opowiadali przedziwne historie, przeważnie z przeszłości, a czasem - podejrzewam - po prostu zmyślane. Był to popis chłopskiej sztuki narracyjnej, podszytej niekiedy niezwykłą fantazją i pomysłowością, która szła w parze z precyzją w opisach. Moje okno wychodziło na schody kościelne, czasem więc słuchałem - nie widziany - do drugiej a nawet trzeciej w nocy, gdy lekko podchmieleni gawędziarze kończyli wieczór, przed rozejściem się do domów, starymi pieśniami, nierzadko chóralnymi. Jest jakiś smutny znak czasu w zaniechaniu tego zwyczaju.

Albori miałem przed oczami, pisząc opowiadanie Cmentarz Południa, tyle że kościółek na szczycie wioski ustąpił miejsca tytułowemu cmentarzowi. Włoska reżyserka filmowa Roberta Torre, bardzo inteligentna i subtelna, postanowiła to „opowiadanie otwarte” przenieść na ekran i zapowiedziała swoją wizytę w Albori. Po śmierci Kieślowskiego żaden w Polsce reżyser nie mógłby się na coś podobnego poważyć. Cały smak Cmentarza Południa polega na pewnej tajemniczości, a polscy reżyserzy - także ci najlepsi - mają na ogół ciężką rękę i lubią „konkrety”. Zobaczymy, czy uda się projekt ekranizacji mojego innego opowiadania, Błogosławiona, święta, które zafrapowało młodych absolwentów Łódzkiej Szkoły Filmowej.

13 lipca Dopiero z czerwcowych gazet dowiedziałem się, że w moim powojennym okresie londyńskim byłem w osobistym kontakcie z prototypem Jamesa Bonda, 007, bohatera głośnych powieści i filmów Iana Fleminga. Gdyby nie nekrologi prasowe po zgonie Fitzroya Macleana (w wieku 85 lat), nigdy podobna

myśl nie przyszłaby mi do głowy. Co dowodzi, że absolutny sekret (Secret Service!) otaczał jedno ze źródeł inspiracji Fleminga.

W służbie wojskowej, przed wojną i podczas wojny, Fitzroy Maclean dosłużył się rangi brygadiera (generała brygady), ale nie jako oficer liniowy i dowódca na froncie. Powierzano mu różne misje, głównie na Wschodzie, przypuszczalnie był ściśle związany z Intelligence Service; zabłysnął 0 attache wojskowy w Moskwie, w stopniu podpułkownik. Początkowo doniec lat trzydziestych. Ambasada brytyjska oskarżyła go na ostatni proces moskiewski Bucharina i towarzyszy, w roku 1938. Gdy go zdemobilizowano został wybrany konserwatywnym posłem do parlamentu przez jakiś czas nawet pełnił funkcje wiceministra wojny. Ciągnęło go pióro. Wydał książkę *The Eastern Approach*, pamiętnikarską, z pasjonującym rozdziałem o procesie Bucharina i towarzyszy: *Winter in Moscow*. Przełożyłem ten rozdział za zgodą autora dla londyńskich „Wiadomości”. Ponieważ wydało mi się problematyczne jego spojrzenie na postać Bucharina (według niego eks-lubimiec partii wykorzystał proces dla aluzyjnego, między wierszami, przedstawienia prawdy w ostatnim słowie oskarżonego), napisałem do niego list. Wymieniliśmy tych listów kilka. Dziś jest jasne, że miałem intuicyjną rację. Bucharin był człowiekiem złamanym, błagał Stalina (w suplikach odnalezionych obecnie w archiwach) o litość dla siebie, młodej żony i nowo narodzonego synka, proponował wierną służbę w razie uniewinnienia i posłania do Ameryki (zamierzał tam być stalinowskim propagandystą). Z pamiętników ocalałej Bucharinowej, po dwudziestu latach łagrów i zsyłki, wdowy i matki, której zabrano syna, aby go wychować pod innym nazwiskiem w domu sierot, widać, że oboje Buchari-nowie mimo wszystko pozostali oddanymi dziećmi partii. Może tylko Bucharin miał moment wahania, co opisuje kominternowiec Joseph Berger w swoich pamiętnikach, o których niegdyś wspominałem w moim dzienniku. W każdym razie nie był to Bucharin, wybielony żmudnie i rozślawiony przez amerykańskiego historyka Stephena Cohena.

Najważniejszym zadaniem Macleana w latach wojny było nawiązanie kontaktu z jugosłowiańskimi partyzantami. Stał się, w stopniu pułkownika, brytyjskim oficerem łącznikowym w kwaterze generała Mihailowicia. Lecz oto jak się podmalowuje historię. Po zgonie Macleana gazety piszą, że to on namówił Churchilla do porzucenia Mihailowicia i przejścia na stronę Tity. A tymczasem Anglicy z otoczenia Macleana opowiedzieli mi w Londynie w nieco inny sposób ten epizod. Pułkownik był dotknięty decyzją porzucenia Mihailowicia i przeprowadzki do Tity, poprosił o krótkie posłuchanie u Churchilla i przedstawił mu swój punkt widzenia. Odpowiedź premiera brytyjskiego powinna być:

wsze odcisnęła w naszych umysłach środkowoeuropejskich, zapatrzonych bez wahań w solidarność Zachodu: Mr. Maclean, do you intend per chance to settle after the war in Yugoslavia? Pułkownikowi Maclean, zamierza pan przypadkiem osiedlić się po wojnie w Jugosławii?

*16 lipca-*

Orwell był wybitnym pisarzem, obok Camusa jednym z największych w tej części naszego stulecia, którą otworzyły lata drugiej wojny światowej, aby jednak w

pełni ocenić jego wielkość, trzeba prócz dwóch arcydzieł narracyjnych - Roku 1984 i Folwarku zwierzęcego - przeczytać cztery tomy Collected Essays, Journalism and Letters oraz W hołdzie Katalonii. Był także niezrównanym eseistą, dziennikarzem i epistolografem, a książką o Katalonii wybił się na czoło memorialistów hiszpańskiej wojny domowej. Jednym słowem był pisarzem, którego ja przynajmniej mogę czytać i wielokrotnie odczytywać na nowo, nigdy nie odczuwając nudy i znużenia. Za każdym razem oglądam Orwella nowego i w poprzednich lekturach nie dość ostro dostrzeżonego. Włosi wydali ostatnio jego tom wybranych esejów, znanych mi już dobrze i od dawna w oryginałach, a przecież pochłonałem go na wakacjach jak świeżą ozdobę tzw. „półek księgarskich”.

Tym razem zwróciłem szczególną uwagę na Orwella socjalistę i Orwella między esejem i narracją.

Sylwetka Orwella socjalisty nabiera wyjątkowego znaczenia dzisiaj, gdy po upadku komunizmu zaroilo się w Euro-Ple (przede wszystkim środkowowschodniej, ale także zachodniej) od postkomunistycznych „socjaldemokratów” IPośługuję się cudzysłowem, Jerzy Turowicz woli znak za- Pytania), którzy z ogromną dezynwolturą i łatwością nakła-. }^ na swoje eks- komunistyczne twarze czy gęby, oczywiście ze względów wyłącznie i czysto taktycznych, mniej lub więcej zgrabne maseczki „socjaldemokratyczne”. Orwell, z którym można się naturalnie tu i ówdzie nie zgadzać, był socjalistą autentycznym o głębokich motywacjach. Uderza jego zdanie: „Należy dbać o utrzymanie postawy religijnej, akceptując równocześnie śmierć jako ostateczny koniec”. Jego religijne spojrzenie na socjalizm przypomina Silonego, który mawiał o sobie, że jest „chrześcijaninem bez Kościoła i socjalistą bez partii”. Niechęć prawdziwych socjalistów do wszelkich partii (i organizacji) łączyła dodatkowo obu pisarzy i - jeśli wolno tak powiedzieć - zarysowała wyraziściej ich polityczne profile. Silone mógłby powtórzyć za Or-wellem: „Uczuciowo jestem zdecydowanie lewicowy, ale uważam, że pisarz może zachować uczciwość jedynie trzymając się z dala od etykietek partyjnych”. I jeszcze mocniej: „Każdy pisarz, akceptujący całkowicie czy choćby częściowo dyscyplinę jakiejś partii, stanie prędzej czy później przed alternatywą: trzymaj się linii albo stul pysk”.

„Każda linijka mych utworów serio (podkreślał Orwell), powstałych po roku 1936, była pisana bezpośrednio lub pośrednio przeciw totalitaryzmowi i na rzecz demokratycznego socjalizmu, tak jak ja go rozumiem”. Jak go rozumiał? „Sądzę - twierdził w przedmowie do ukraińskiego tłumaczenia Folwarku zwierzęcego - że nic tak nie wpłynęło na degenerację pierwotnej idei socjalizmu jak przekonanie, że Rosja jest krajem socjalistycznym i że każde posunięcie jej władców należy usprawiedliwiać, o ile nie naśladować. Toteż od dziesięciu lat jestem przekonany, że rozbicie mitu sowieckiego jest rzeczą istotną, jeśli chcemy przywrócić do życia ruch socjalistyczny”. Niezła lekcja dla współczesnych „socjaldemokratów” proweniencji postkomunistycznej.

Orwell określał się zawsze jako ateista, chociaż w testamencie kazał się pochować w poświęconej ziemi według obrządku anglikańskiego. Wojciech

Skalmowski zauważył trafnie we wstępie do drugiego polskiego wydania Roku 1984: „Patriotyzm był dla niego przejawem naturalnego instynktu wspólnoty, wyrazem podświadomej pewności.

że jest się tylko częścią większej i trwalszej całości; większej i trwalszej, a więc w pewien sposób ważniejszej... Tę świadomość wspólnoty ludzkiej można nazwać jego przeżyciem religijnym”. W roku 1944 sformułował swoją filozofię w dwóch zdaniach felietonu na łamach socjalistycznej „Tri-bune”: „Prawdziwym problemem naszych czasów jest odnowienie poczucia absolutnego dobra i zła w sytuacji, w której podstawa tego poczucia - przeświadczenie o indywidualnej nieśmiertelności - została zniszczona. Wymaga to wiary, która jest czymś odmiennym od łatwowierności”.

W roku 1952, w trakcie tury odczytowej w Birmie, spędziłem dwa dni w południowym mieście Moulmein, gdzie niegdyś Orwell (porucznik Eric Blair) był oficerem brytyjskiej policji kolonialnej. Wspominano go z sympatią, on sam zaś rozpoczyna krótkie opowiadanie Strzelając do słonia wyznaniem: „Byłem w Moulmein znienawidzony przez wielu”. Oczywiście sympatia narodziła się później, po jego wystąpieniu w Anglii z policji kolonialnej, kiedy mógł nareszcie powiedzieć otwarcie, co myśli o imperializmie i kolonializmie. Orwell rozumiał, że zło imperializmu i kolonializmu tkwi w bezustannym kaleczeniu godności człowieka. Administracja brytyjska w Birmie była sprawna, kraj kwitł gospodarczo, a jednak dążenie do pozbycia się panowania angielskiego było powszechne. Dwa opowiadania birmańskie Orwella, Powieszony i Strzelając do słonia, uprzytamniają to z niezawodną celnością i siłą, przewyższającą znacznie jego wywody wprost (znakomite zresztą) w eseistyce i publicystyce. Orwell - rzecz nie tak częsta u wielkich pisarzy - jest przykładem narratora, który pięknie wyrósł i dojrzał na rozległym i żyznym polu swojej twórczości nie-narracyjnej.

(Dopisane później. Czytam w gazetach, że Orwell został Przez intelektualistów angielskich oskarżony o „donoszenie” służbom wywiadowczym rządu JK. Wcześniej podobne oskarżenie wysunięto - i szybko wycofano - we Włoszech pod adresem Silonego, „donosiciela” policji faszystowskiej. Inscenizatorzy historii „ponowoczesnej” [?] zabierają się już do podmalowywania odpowiedniego - korzystnego, rzecz jasna - tła dla postkomunistycznych „socjaldemokratów”).

ani)

122, 215, 4Q1\_

21 lipca Niedziela słoneczna i trochę wietrzna, święto patronki Albori, świętej Małgorzaty, procesja rusza z kościółka na szczycie, spływa szybko po schodach na główną, wąską uliczkę wioski, wśród domów-gniazd, między które palca nie włożysz, na szosę do miasteczka Raito. Na szosie wąż pochodu rozpręża się, na boki wyskakują dzieci w kolorowych ubrankach (z przewagą bieli), starsi krocą wolno i poważnie w ciemnych ubraniach, powiązani ze sobą barwnymi papierowymi wstążkami, równając krok do księdza pod baldachimem na czele procesji, tuż przed wielkim fe-retronem i posągami świętej z nogą na szyi pognębnego Szatana. Nie ma orkiestry, zastępują ją nieśmiałe próby śpiewu. Celem pochodu jest duży i ładny

pałac za Raito - kiedyś rezydencja letnia sławnego syna miasteczka, ostatniego ambasadora faszystowskiego w Madrycie, przez kilka dni ministra spraw zagranicznych z nominacji Wiktora Emanuela, królika-chomika, który faszystowskim traktem zaleszczyckim uciekał na południe, przenocował w Raito i na dłużej zatrzymał się w Ravello, w cudownym wielokondygnacyjnym zamku przeplatany ogrodami, gdzie Wagner skomponował był jeden akt Parsifala. Sławny syn Raito podarował swój pałac przed śmiercią miasteczku, powstało w nim Muzeum Ceramiki plus siedziba sympozjonów i kolokwiów. Tutaj obchodzono pięćdziesiątą rocznicę lądowania aliantów w Salerno, miałem i ja możliwość przedstawić nia polskiego udziału w kampanii włoskiej.

Więc procesja idzie powoli, zatrzymuje się co jakiś czas dla złapania oddechu, śpiewy odzywają się i milkną)&^

wygasające, syczące ognisko, polewane wodą. Coroczna procesja w dniu lokalnej świętej jest dla Albori jedyną chyba okazją poczucia się we wspólnocie, spojrzenia na siebie, w tle mając morskie zwierciadło zatoki i górskie wierzchołki nad doliną. Idziemy oboje w ogonie procesji. Przypomniał mi się nagle obraz Zygmunta Waliszewskiego, małomiasteczkowa parada czy procesja z orkiestrą strażacką. Gdzie ja go widziałem? Ładny, zabawny obraz, z pogranicza prowincjonalnej mitologii.

24 lipca Nie wyjaśniono, dlaczego Caravaggio musiał w roku 1607 uciekać z Neapolu, gdy wiadomo, że ucieczka z Rzymu rok wcześniej spowodowana była zabójstwem przeciwnika w karczemnej burdzie. Z natury porywczy, łatwo zapalny w gniewie aż do stanu furii, wkracza w ostatni okres swego życia pod znakiem ciągłego wymykania się pościgowi.

Z Neapolu uciekł na Malte, zachęcony do wyboru wyspy przez wielkiego mistrza Zakonu Kawalerów Maltańskich, Vignacourta, który marzył o posiadaniu portretu jego pędzla. Portret w zbroi wisi dziś w Luwrze, w przystępie hojności (czy wdzięczności) Caravaggio uwiecznił również twarz wielkiego mistrza w półnagim Świętym Hieronimie. A może chodziło o dwa oblicza Vignacourta, zbrojne i kontemplacyjne? Dokładnie w rok później przyjęto malarza do zakonu, dzięki papieskiej dyspensie. Swoje maltańskie arcydzieło, Dekapitację świętego Jana Chrzciciela w katedrze w La Valletta, podpisał krwią ciekącą z szyi Jana Chrzciciela „f’ (frater, a nie fecit). Ale znowu zaszło w jego życiu c°s groźnego i znowu musiał uciekać, wyrzucony z zakonu Jako membrum putridum et fetidum, członek zgniły i cuchnąy - Uciekł na Sycylię, pobyt w Syrakuzach, Messynie i Paler-^° usiał też płótnami, żadne z nich jednak nie mogło się już °Wnać z maltańską Dekapitacją. Zdawał się coraz bardziej zadyszany w swojej ucieczce, nie przestawał śnić gorączkowo o powrocie do Rzymu. Z Sycylii wyprawił się powtórnie do Neapolu, gdzie w bójce poharatano mu nożem twarz. Jak dar Nieba przyszedł nagle akt papieskiej łaski. Wolno mu było nareszcie wrócić do ukochanego Rzymu! Palpitacje gorączki i ciągłe ataki furii o byle co uczyniły zeń łatwy cel dla lipcowego słońca na plaży Porto Ercole, tak blisko Rzymu, jeszcze jeden tylko skok! 18 lipca 1610 „umarł źle, jak źle żył”, wyrokuje kronikarz.

Kto Caravaggia podziwia i ogląda z uczuciem zachłanności pomieszanej z zachwytem, decyduje się w końcu na trudny wybór. Który obraz pozostanie w oczach na zawsze, jak strzeżony zazdrośnie skarb? Dotychczas miałem w oczach zawsze dwa: Morte della Yergine, w pewnym (bardzo banalnym) sensie bluźnierczy i odrzucony przez Kościół, który go zamówił; w istocie jedna z najgłębszych i najbardziej ludzkich wizji chrześcijańskich. Oraz neapolitańskie Biczowanie (namalowane dla kościoła Świętego Dominika), intymny, osobisty obraz Caravaggia, który był z natury gwałtownikiem i miał oko wyczulone na sceny gwałtu. Teraz jednak do tej pary chcę dołączyć ogromnego Jana Chrzciciela, przywiezionego z Malty do Florencji, i jako gest wobec uczestników „szczytu” europejskiego, i po prostu w nadziei, że florentyńscy mistrzowie „kuracji” starych płócien zajmą się Dekapitacją ponownie po niezbyt udanej restauracji sprzed kilku lat.

To jest Caravaggio definitywny, jakby przeczuwający swoją bliską śmierć i przeniknięty ideą malarskiego i ludzkiego testamentu. Nie chiaroscuro, lecz płat ciemności tak gęstej, że ledwie widać dwóch więźniów patrzących z daleka, zza krat na kaźń. Ciemne tło otacza oświetloną plafflC w lewym rogu, która przykuwa widza, wciąga go i równocześnie emanuje aurę raczej transcendencji niż dotykalni plastyczności. Pólnagi, muskularny kat przyciska głów? Chrzciciela do ziemi w kałuży krwi; zadał mu już cios mie' czem, ale za plecami chowa sztylet zwany misericordicr, za chwilę wymierzy nim konającemu coup de grace i błyskawicznie odetnie mu głowę. Salome trzyma w rękach miednicę, czeka na odciętą głowę. Między Salome i nadzorcą kaźni stara kobieta, obolała, zakrywa dłońmi twarz. Scena;est i nie jest z tego świata. Caravaggio w wielu płótnach zderzał realne z irrealnym - choćby w cyklu świętego Mateusza i w Biczowaniu - ale nigdy nie udawało mu się w sposób tak przejmujący nasycić obraz własnym życiem, własnym losem. Po długim patrzeniu Dekapitacja Jana Chrzciciela odsłania swój sekret autobiograficznej metafory. Namalował ją okrutnik z nadmiaru miłości.

Caravaggio, Rembrandt, Vermeer nie dopuszczają analiz warsztatowych, laboratoryjnych, skazują przemądrzałych i przerafinowanych niby-znawców na zdawkową suchość, powierzchowność, inwentaryzację zamiast artystycznego przeżycia i czasem wstrząsu.

To samo zresztą dzieje się z wybitnymi utworami literatury, przede wszystkim poezji. Milczenie na widok bezmier-ności jest wymowniejsze od wag i miar. Kto zaś milczeć nie chce lub nie może, niech usiłuje na okamgnienie bodaj zobaczyć, i później oszczędnym słowem utrwalić, cień wielkiego artysty w jego wielkim dziele.

27 lipca? -, - Przysięgli wielbiciele Tomasz Manna (nie należę do nich) bardzo wysoko stawiają jego opowiadanie włoskie Mario 1 czarodziej, napisane w roku 1930, w zenicie rządów Mus-soliniego i trzy lata przed zdobyciem władzy przez Hitlera. Jego bohaterem jest sztukmistrz, kuglarz, hipnotyzer, popisujący się we włoskiej miejscowości letniskowej. Nie tylko Ręcznie wykonuje swoje sztuczki, ale szczyli się też swoją „ozofijką. „Istnieje wolność i wola też istnieje; ale nie ma w°lnej

woli, bo wola, która kieruje się wolnością, trafia w Pr°znię... Zdolność wyzbycia się samego siebie, stania się „~ Daennik... (1993-1996) 625

>pe 671 ani)

122, 215, L narzędziem, posłuszeństwo w najbezwzględniejszym i doskonałym sensie, prowadzi do rozumienia, że rozkazywać i słuchać to tylko jedna zasada, nierozzerwalna jedność; kto umie słuchać, umie też rozkazywać, i odwrotnie; jedna myśl jest nieodłączna od drugiej, jak nieodłączni są lud i wódz”... I tak dalej, i tak dalej. Seans włoskiego magika (w rzeczywistości wiec faszystowskiego agitatora) jest pasmem sukcesów, w osłupienie wprawia publiczność, dopiero pod koniec magiczną atmosferę burzy mimo woli i dramatycznie prosty chłopak, kelner z letniskowego hotelu. Czyli ostrożny i chwilami wręcz dwuznaczny Mann (o czym wiadomo od jego dzieci) wyprodukował letniskowo-cyrkową alegorię totalitaryzmu już w roku 1930. W jakiejś mierze prawdziwą, jakkolwiek pod piórem niemieckiego pisarza w przededniu wygnania z ojczyzny zjawisko zasługiwało może na coś więcej (nowela jest błada, mdła i słaba). Lecz pod jednym względem Mann trafił w sedno sprawy. Czyniąc mianowicie czarodzieja bohaterem opowiadania. Włoskim, faszystowskim odpowiednikiem socrealizmu był w literaturze „realizm magiczny” (Massimo Bontempelli), który Hitler miał wkrótce z aprobatą wpuścić do Niemiec. Nie wie się o tym albo zapomina. Co oznaczał politycznie literacki „realizm magiczny”? Sprzężenie władzy z formą magii na wielką skalę; dobry władca totalitarny na drodze do triumfu (wskrzeszone Imperium Rzymskie pod panowaniem faszyzmu, niebawem mit Tysiącletniej Rzeszy pod panowaniem hitleryzmu) musi umieć czarować i błyszczeć w cudotwórczym kuglarstwie, na które dają się nabierać czy w które szczerze wierzą zahipnotyzowane masy w imię zasady, że nierozzerwalne więzy łączą wodza i jego lud. Liturgia obrzędów masowych (w gruncie rzeczy seansów czarodziejskich) była w obu krajach identyczna. W stosunku do Doktora Faustusa opowiadanko Mario i czarodziej zaliczyć trzeba do lżejszego kalibru rozmyślań Manna.

Wspominam zaś w dzienniku o tym mało już dziś ważny<sup>10</sup> epizodzie prehistorycznym z dość zabawnego powodu. P°

nieszczęsnej i bezpłodnej dominacji realizmu socjalistycznego w literaturze ciągnącej soki żywotne z Nowej Wiary polscy krytycy literaccy coraz częściej równoważą, w pochwalnym sensie, grzechy przeszłości pisarzy wskazywaniem obiecujących zadatków na przyszłość w ich świeżym dorobku twórczym. Gwarancją powodzenia i cennych osiągnięć w literaturze stał się mianowicie „realizm magiczny”. Wszedł w modę. (Na czym on polega obecnie, po bankructwie komunizmu z jego pochodnymi, nie bardzo wydaje się jasne. Chyba na popularnym niegdyś „udziwnieniu” w literaturze). Co jest jeszcze jednym przykładem, że w takiej czy innej postaci nic w naturze nie ginie.

30 lipca Madame Bovary, historia poczciwego i prostodusznego rogowca i zdradzającej go egzaltowanej żony, absolutny majstersztyk sztuki pisarskiej, skazana jest na nieuchronne blaknięcie z biegiem czasu. Ostoją się, pokonają działanie zmiennego czasu Szkoła serc i Proste serce. Rosnąć będzie z roku na rok Bouvard i



Pecuchet. Pożegnalne dni wakacji siedziałem nad ostatnią książką Flauberta oniemiały z zachwyty; i oczywiście uśmiechnięty. Pomysł genialny: antologia głupoty i komunałów epoki (epoki scjentyzmu w stylu aptekarza Homais), archiwum idiotyzmów, katalog tnodnych podówczas idei w wykonaniu dwóch zapalonych 1 skromnych „pracowników na niwie”. Flaubert pisał w jed-nym z listów, że rozkwit głupoty dławi go, dusi, odbiera mu ochotę do życia. Nie skończył tej książki. Luizę Colet wtajemniczył w swój zamiar: chciał doprowadzić komizm sze-rz^cej się jak dżuma głupoty do punktu, w którym nie bu-°Z1 on już śmiechu. Końcowe zdanie (Bouvard i Pecuchet ^ znowu do pracy) urwała śmierć. Gdyby książka się dalej, ad infinitum, zrobiłaby (jak słusznie zau-Ważono) wrażenie napisanej przez kretyna.

-« Następne epoki, aż po obecną, postarały się zastąpić Flau-berta. Szerząca się głupota nie budzi już śmiechu, zdaje się czymś równie naturalnym jak niepowstrzymane zatrucie środowiska i atmosfery. Gazety, telewizja i inne media wciąż więcej i więcej miejsca poświęcają głupstwu ze wszystkich dziedzin życia, w otoczce naukowej oczywiście, otepiając stopniowo wrażliwość i zdrowy rozsądek czytelnika czy telewidza. Proces odbywa się w aurze wszechwiedzy, pełno mamy socjologów, politologów, sowietologów, seksuologów, którzy potrafią nam na przykład względnie przystępnie (jakkolwiek z użyciem języka „fachowego”) wytłumaczyć, dlaczego na przykład świat należy do postkomunizmu (bo taka jest „historyczna linia rozwoju” - Linia, Linia! upragniona zabawka strategów politycznych); albo dlaczego dwa stosunki seksualne w ciągu nocy są lepsze dla zdrowia od jednego. I słucha się tych mistrzów głupoty, których mądrości „scjencyczne” czytelnik lub telewidz łyka jak tuczna gęś kluski, otumaniony nie na tyle, by nie pamiętać ich nazwisk, głównych przecież „guru”. Wszystko idzie w tym kierunku. Kiedyś, by sięgnąć do domowego podwórka, w „Kulturze” Mieroszewski z głową na karku jasno i logicznie wyjaśniał, w czym rzecz, co jest grane i jakich szukać dróg wyjścia, dziś komentarze polityczne sławnego miesięcznika paryskiego lubują się w mętniactwie, kręactwie i zawłości. Są „politologiczne”, czyli nie przeznaczone dla „prostaczków”. Oprócz takich czy innych „logów” rozmnożyli się renomowani, wszechświatowi wróżbici z fusów, którzy na pytanie, co szykuje się jutro, odpowiadają zwykle „tak albo na odwrót, zależy od licznych scenariuszy, ale w każdym razie trzeba zachować cierpliwość i zimną krew”. I ofli też uchodzą za „guru”. Inni „guru”, juryści w mundurach wojskowych, popisują się swoją głupotą w dziedzinie pra’ wa. Przed wielu laty angielski minister John Profumo sypia’ ze śliczną dziewczyną, która - jak się okazało - sypiać równocześnie z attache wojskowym ambasady sowieckiej w Londynie. Kiedy współkuszowanie wyszło na jaw, ProfU’

uio podał się natychmiast do dymisji, zajął się działalnością filantropijną (i nie stanął, dla otarcia łez, na czele rodzimej partii konserwatywnej). Nie było w ogóle mowy o innym rozwiązaniu, ministerialny dziwkarz nie otoczył się mędrkami w perukach, jak ostatnio Oleksy chmarą pułkowników (skąd tyle pułkowników w Polsce? próbujemy, jak zawsze wierni tradycji narodowej, nawiązać do sanacyjnego

reżymu pułkownikowskiego w wersji postkomunistycznej?). Po prostu przeprosił, uderzył się w piersi i wyniósł się z rządu. Ale wtedy fala głupoty nie rozlała się jeszcze tak szeroko. O, Gustawie, Wielki Gustawie Flaubert, może lepiej, że śmierć wytrąciła ci pióro z ręki i odesłała na przedwczesną, lecz zasłużoną emeryturę panów Bouvarda i Pecucheta, zanim zdołali zarazić głupotą swego stwórcę!

Jubileusz, Rok Święty Spodziewano się co prawda, że Papież obwoła 2000 Rok Jubileuszu Rokiem Świętym, Anno Santo, ale ludzie małego ducha szerzyli wieści, że zdaniem Namiestnika Chrystusa na ziemi świat na to nie zasłużył. Wśród ludzi ufnych i pobożnych, oddanych Bogu każdym włókmem duszy, panowało odwrotne przekonanie: Świętym będzie obwołany Rok Jubileuszu właśnie dlatego, by świat odkupić, obmyć go z niegodziwości i nieprawości, pokazać jego czystą twarz w dwutysięczną rocznicę narodzenia Zbawiciela. Aby z milionów ust, w dniu Jubileuszu, dobył się okrzyk: „Chwała, Chwała, Gloria in Excelsis Deo!”

Bóg wysłuchał ufnych. W Boże Ciało 1999 Papież powiedział z okna swego pałacu do niezmiernych tłumów na placu Świętego Piotra: „Ogłaszam Rok Przyszły, Dwutysięczny, Rokiem Świętym”. Nikt nie potrafi opisać radości zebranych. Poruszyło się morze głów, jakby wiatr dojrzałe kłosa to nachylał do ziemi, to odginał; to odginał, to znowu nachylał do ziemi.

Papież był już stary i zmęczony, wierni z niepokojem trzymali na jego żywe jeszcze popiersie w ramach okienn; Dotrwa do chwili triumfu Kościoła? Gdy jednak w mil niu i długo spoglądał na ludzkie rzesze podobne do zb przed zniwami, twarz mu się naraz rozjaśniła, odmłodziła, i wstąpił na wyższy stopień podnóżka przytkniętego ściany poniżej parapetu. W ostatnich czasach nie widzi go takim, zmędziałym nagle na starość, od dawna też f spostrzegano równie pogodnego uśmiechu na jego ustt więc zerwały się i przez kilka minut nie milkły oklaski.

I ręką ^nak uciszenia, głowa opadła mu na piersi, widziano ręce podtrzymujące go z obu stron, gdy z trudem zstępował na podłogę.

Już od połowy roku 1996 wrzały (niezręczne i brzydkie, lecz właściwe słowo) przygotowania władz do Jubileuszu. Spierano się o kompetencje i kosztorysy, niekiedy wyrażano troskę o wytrzymałość Wiecznego Miasta. „Nie należy tej wieczności wystawiać na zbyt ciężką próbę”, ostrzegali sceptycy. „Bóg dopomoże”, odpowiadali przeciwnicy wahań i zwątpienia. Przewidywania (nie wiadomo, na jakich oparte obliczeniach) wywoływały drżenie; od czterdziestu do pięćdziesięciu milionów pątników. Czy Rzym zniesie taki napływ w ciągu jednego zaledwie roku? Przecież Jubileusz zacznie się 1 stycznia 2000 i skończy zaraz po Bożym Narodzeniu 2000. W każdym razie zaplanowano nowe taśmy autostrad dojazdowych, nowe linie kolejowe dla pociągów specjalnych i dodatkowe płyty na lotnisku (po rezygnacji z budowy nowego lotniska po przeciwnej stronie miasta). Zabrano się również do wznoszenia prowizorycznych osiedli satelickich (przede wszystkim hotele, sklepy i restauracje) dokoła Rzymu. W samym mieście postanowiono odciążyć ruch uliczny kilkoma przejazdami podziemnymi, z których największy, kilkutorowy miał biec pod Zamkiem Anioła. W dniu Bożego Ciała 1999 tylko niewielka część tych projektów została jako tako zrealizowana.

Toteż papieskie ogłoszenie Roku Jubileuszu Rokiem Świętym, Anno Santo, było dla władz zaskoczeniem. Należało oczekiwać pierwszej fali pielgrzymów i turystów już w Połowie roku 1999, wkrótce po Bożym Ciele. Jak dużej? Od odpowiedzi na to pytanie zależało wiele. Gdyby pierwsza fala okazała się duża, mógłby na tym ucierpieć cały rozkład i porządek Jubileuszu.

Okazała się bardzo duża. Tak duża - pomijając liczby ynikające się statystykom - że wypełniły się szybko wszystkie hotele w mieście i w jego osiedlach satelickich, Wystarczyły zaimprovizowane naprędce izby noclegowe 122, 215, 4Q1\_

we w klasztorach, a znaczny odsetek przybyszów musiał szukać schronienia i legowiska w miasteczkach położonych blisko Rzymu. Cieszyły się powodzeniem szczególnie trzy: Anagni, Tivoli i Palestrina. Ale i tam możliwości hotelowe były ograniczone, postanowiono zatem rozbijać przywiezione namioty na sąsiednich polach, budząc opór i gniew rolników. Wśród mieszkańców namiotów wybuchły nie rozpoznane choroby, w rozmiarach niemal epidemicznych. Bezradna wobec nich była służba sanitarna. Nieuchronna pro-miscuitd sprzyjała szerzeniu się chorób i pewnej rozwiąłości, w klasztornych izbach noclegowych zaś podcięła chrześcijańską surowość obyczajów, nierzadko wciągając w swoje odmęty także zakonnice. Nawykem stały się - i w Rzymie, i w małych miastach zapasowych, i w polnych obozowiskach - nocne procesje błagalne na wzór średniowiecznych pochodów disciplinati, co prawda bez wzajemnego biczowania się, lecz za to z głośnymi modlitwami, śpiewami i pochodniami. Niebawem wyszło na jaw, że w latach poprzedzających Jubileusz i Rok Święty rozmnożyły się w chrześcijańskich wspólnotach przeróżne sekty, o silnym poczuciu wewnętrznej jedności i spoistości. Trudno ułożyć kompletną listę ich nazw, najczęściej jednak słyszało się o Czystych Chrześcijanach, Wrogach Wszelkiej Władzy, Niewolnikach Miłości, Dzieciach Cęlestyna V, Krzyżowcach Ciała, Ekologach Wiary, Pogromcach Szatana. Szczególnie pęczniała ostatnio sekta Spragnionych Drugiego Przyjścia. Dodać wypada, że pierwsza fala pątników składała się z przedstawicieli wielu narodowości; zarówno Europejczyków zachodnich i wschodnich (w tym Rosjan), jak Amerykanów (północnych i południowych), mieszkańców Kanady, Australii i Nowej Zelandii. Nie brakło również, w małych jednak dozach, Japończyków, Chińczyków i Afrykańczyków.

Sekta Dzieci Cęlestyna V była włoska, z drobną domieszką francuską i holenderską. Przewodził jej aktor teatru w Aqũila (stolica Abruzzów). Rozłokowała się natychmiast w Anagni, dawnej siedzibie książąt Caetani. Miała po temu dobre powody. Dwukrotnie w ciągu dnia odgrywała scenę historyczną (bez kostiumów), w południe na schodach katedry, wczesnym wieczorem przed bramą pałacu książąt Caetani Scena była krótka, przywódca (czy arcykapłan) sekty zaczerpnął ją z dzieła nie tyle historycznego, co literackiego płodu wyobraźni wykarmionego przez historię. W Anagni w XIII wieku nowo wybrany papież, mnich abruzyjski Cęlestyn V, w przededniu swego grań rifiuto, czyli dobrowolnej rezygnacji z tronu papieskiego, rozmawia z panem pałacu, kardynałem Caetani. Papież Cęlestyn V: „Chrześcijaństwo jest rozległe, lecz składa się z dusz, a nie z rzeczy. Nie mogę

traktować chrześcijan tak, jakby byli przedmiotami czy choćby poddanymi. Najwyższą dla nich wartością są sumienia". Kardynał Caetani: „Dziwne, naprawdę dziwne. Nie przypuszczałem, że może istnieć człowiek tak niewrażliwy na poczucie władzy". Po grań rifiuto Celestyna papieżem zostaje kardynał Caetani jako Bonifacy VIII, wtrąca do lochów pałacu w Anagni swego poprzednika i poucza go: „Ważne jest ustanowienie wyższości Kościoła nad światem, jedyną rzeczywistością, jaką rozporządzamy". Więzień: „Czym stało się chrześcijaństwo, dostosowując się do świata? Przeobraziło go czy zostało przezeń skorumpowane? Zapominamy, że chrześcijaństwo urodziło się na krzyżu". Bonifacy VIII: „Chciałbyś, żeby na nim pozostało?" Więzień: „Mniejsza o to, każdy ma swoje chcenia. Ale dlaczego trwa-my przy mianie chrześcijan? Czym stał się krzyż dla dzisiejszych chrześcijan? Znakiem ornamentacyjnym. Zastana-wiam się, czy rzeczywiście wierzymy w tego samego Boga. Niekiedy nachodzą mnie wątpliwości". Bonifacy VIII: »Skoro nie da się znieść władzy politycznej, chciałbyś mo-Ze> by przeszła w ręce wrogów Kościoła? To jest istota sprawy Reszta jest czczą gadaniną". Więzień: „Dusze są czczą gadaniną?" Bonifacy VIII: „Nie smakuję w grze słów". Wię-en.: Ja również. Spróbujmy zatem, jeśli nie przekonać się awzajem, to przynajmniej zrozumieć się. Kiedy mówimy o rzeczywistości, z którą trzeba się liczyć, Ty, Ojciec Święty, masz na myśli instytucje i władzę, ja dusze". Bonifacy VIII: „Istnieje tak wyraźny podział? Dusze nie zależą od instytucji?" Więzień: „Mogą od nich zależeć, lecz zadaniem chrześcijaństwa jest wyzwolić je za pośrednictwem prawdy. Bóg stworzył dusze, nie instytucje. Nieśmiertelne są dusze, a nie instytucje, nie królestwa, nie armie, nie Kościoły, nie narody. Ojciec Święty, jeżeli wychylisz się z tego okna, zobaczysz na schodach katedry obdartą staruchę, żebraczkę, istotę bez znaczenia w życiu naszego świata: przesiaduje na schodach od rana do wieczora. Lecz za milion lat, za tysiąc milionów lat, istnieć będzie jeszcze jej dusza, gdyż Bóg stworzył ją nieśmiertelną. A tymczasem Królestwo Neapolu, królestwa Francji i Anglii i wszystkie inne, ze swoimi wojskami, trybunałami i fanfarami, obrócą się w nicość".

Thum oklaskiwał niezmiennie to widowisko i rósł z każdym dniem. Odjazd sekty Dzieci Celestyna V skwitowano w Anagni prawie żałobą miejską, lutto cittadino.

U progu jesieni 1999 gwałtowne i przewlekłe ulewy, niekiedy połączone z oberwaniem się chmur, chłostały aż do połowy listopada Rzym i okolice. Pątnicy stali się więźniami hoteli, pomieszczeń klasztornych i - co gorsza - namiotów. Pierwsza fala pątników topniała stopniowo. Dzięki regularności tego topnienia można było, z względną dokładnością, ustalić jej rozmiary. Przyjęto liczbę czterech milionów. Jeśli w Roku Jubileuszu i zarazem w Roku Świętym takie same fale napływać będą w miesięcznych odstępach czasu, liczba globalna przekroczy czterdzieści milionów i zbliży się do pięćdziesięciu. Rzym wytrzymałby ten ciężar fizycznie, niestety, wchodziły także w grę tzw. „procesy u-boczne". Pierwsza fala zamieniła Wieczne Miasto z przyleg' łościami w jeden wielki śmietnik. Nie w tym sensie jedynie, że do szczytu doszło zanieczyszczenie, wywołując bezradność asenizatorów. Epidemie i choroby lżejsze pozostawiły swój „ogon". Upadek

obyczajów sięgnął dna, albo co naj' mniej zbliżył się do dna, co obserwatorów skłoniło do sn'^

cia analogii z pozbawionymi hamulców eksplozjami średniowiecza. Grozą przejmował fakt symbiozy czy osmozy rosnącej, historycznej czasem, religijności i jak gdyby nobilitacji, egzaltacji grzechu. Obyczajność pękała przy akompaniamencie modłów w przepełnionych wszędzie kościołach. Serce Papieża krwawiło w kleszczach bólu.

Owe „ręce podtrzymujące Papieża z obu stron, gdy z trudem zstępował z wyższego stopnia podnóżka”, owa „głowa opadająca na piersi” miały głębsze przyczyny, nie tylko zmęczenie w podeszłym wieku.

Cały świat widział w telewizji tę scenę w Dzień Męki Pańskiej, prawie dokładnie dwa miesiące przed Bożym Ciałem, czyli datą ogłoszenia Roku Świętego z okazji i w ramach wielkiego Jubileuszu. Jak zwykle, od niepamiętnych czasów, na wczesną porę wieczorną wyznaczono Via Crucis. Miliony oczu w krajach wszystkich kontynentów przyłgnęły do ekranów, do ludzkich szpalerów wzdłuż Drogi Krzyżowej, które oczekiwały Papieża. Ukazał się punktualnie, z drewnianym krzyżem w zaciśniętych dłoniach. Po prawej towarzyszyła mu młoda dziewczyna; po lewej młody chłopiec starał się swój krok dostosować do ostrożnego, lecz szybkiego kroku Papieża. Naraz, między czwartą i piątą stacją Męki Pańskiej, Papież potknął się i jak gdyby przyklęknął na prawe kolano, nie wypuszczając krzyża z dłoni. Młodzi podskoczyli i podnieśli wolno, z widoczną na twarzach troską, Naśladowcę Golgoty. Na jego twarzy odmalował się skurcz Clerpienia. Wyprostował się, ścisnął mocniej krzyż w dło-niach, ruszył ku piątej stacji. Szedł jednak kusztykając, wyrżnie kulejąc; i z trudem usiłował opanować drżenie prawego policzka. Gdy dotarł wreszcie do końca Via Crucis, toczyło go natychmiast grono księży, a jeden z nich wyjął ehkatnie krzyż z jego rąk. Potem już Papieża nie widziano, Połknął go ekran telewizyjny.

Nazajutrz komunikat watykański wspomniał o „niezbyt groźnym stłuczeniu prawego kolana, uleczalnym - zdaniem lekarzy - w ciągu dwóch miesięcy”. Ale prognoza była widocznie nad miarę optymistyczna, skoro leczenie nie zostało jeszcze ukończone w dniu Bożego Ciała i ogłoszenia Roku Świętego. W samej rzeczy tegoż dnia wieczorem zawieziono Papieża, łamiąc tradycyjny kalendarz, do Castel Gandolfo.

W niedzielę w południe wtaczano Papieża na balkon pałacu letniego w fotelu na kółkach. Błogosławił zebranych na placu, mówił jednak mało i zupełnie zarzucił stary zwyczaj komentowania wydarzeń na świecie lub udzielania wiernym nauk moralnych. Kto stał bliżej balkonu, mógł dostrzec okresowe drgawki na prawym policzku, podobne do tiku nerwowego. Nogi Papieża okryte były pledem.

Niebawem i tutaj dotarły odpryski pierwszej fali przybyszów z zagranicy w poszukiwaniu pomieszczeń, do Castel Gandolfo, do Rocca di Papa i na wybrzeże jeziora Albano, do rozbitych naprędce namiotów. Nie zawsze udawało się otoczyć Papieża tak gęstym filtrem, by nie dopuścić do niego informacji o mieszaninie

pobożności i nadwątłonej obyczajności wśród pątników. Pilnowano, o ile możliwe, jego zboląłego serca.

Później niż zwykle, bo dopiero pod koniec października, Papież przyjechał z Castel Gandolfo do Watykanu. Nie goiło się potłuczone kolano. Nie reagowało na okłady, maści i lokalne zastrzyki, a lęk budziła perspektywa operacji w jego wieku. Pozostało niewiele czasu do początku Jubileuszu i Roku Świętego. Konsylium lekarskie zażądało ustawienia fotela na podwyższeniu obok okna Urbi et Orbi - L placu Świętego Piotra widoczna była jedynie głowa Papieża, lekko wychylona przez okno, na tle czerwonego oparcia fotelowego. Nie zmniejszyła się, raczej wzrosła, dokuczliwość rany w kolanie, toteż mimo protestów Papieża narzucono spotkanie z tłumem nie co niedzielę, ale tylko w pierw-niedzielę każdego miesiąca. Istniała uzasadniona obawa, że nadużycie jego osłabionej wytrzymałości fizycznej może spowodować pewnego dnia zemdlenie w wypadku szczególnie gwałtownego bólu.

Dopatrywano się boskiej interwencji w sprawności, z jaką zaraz po Bożym Narodzeniu 1999 ruszyła z całego świata forpoczta Jubileuszu i Roku Świętego. Nierealny, zdawało się, rozkład, upragniony przez organizatorów, lecz mgławicowy porządek - jedno i drugie, mimo godnych pożałowania i napiętnowania „procesów ubocznych”, stało się rzeczywistością. Wrócono więc dobrze podwójnemu Świętu, choć rozumiano jednocześnie, że Wieczne Miasto zapłaci w końcu słono za drogocenny swój przywilej. Uściślone rachunki komputerowe wskazywały, że Rzym Jubileuszowy i Święty gość będzie w ciągu roku pięćdziesiąt milionów pątników.

Pierwsza niedziela stycznia wypadła piątego, w dwa dni potem Papież miał dać sygnał Jubileuszu i Roku Świętego wyprawą do Jerozolimy, do kolebki chrześcijaństwa; wyprawą, o której śnił był od pierwszych chwil pontyfikatu. Ale 3 stycznia stała się rzecz straszna. Komando izraelskich kolonistów pod wodzą rabina wysadziło w powietrze skrzydło meczetu, niszcząc drogocenne zabytki i święte księgi oraz zabijając od 60 do 70 rozmodlonych wyznawców Proroka. Tego samego dnia nocą drużyna palestyńskich terrorystów Hezbollah zbezczeszczyła i uszkodziła w wielu miejscach Ścianę Płaczu; nie obeszło się i tutaj bez ofiar w ludziach; zginęło 13 Palestyńczyków i 7 Izraelczyków. Bóg dozwolił, by duża wnęka meczetu i kamienny chodnik przed Ścianą „łączu pokryły się strugami krwi.

Przejmujący to był obraz, Papież siedzący na podwyższeniu> nogi pod parapetem okna, ręce wbite w poręcz krzesła> jakby chciał się unieść, nie mogąc poruszyć bezwładnego ciała. Mikrofony wzmocniły tradycyjne powitanie: Fratelli e sorelle, sia lodato... Bracia i siostry, niech będzie pochwalony... Tu urwał, zdawało się, że zabrakło mu tchu w piersiach. Ale powiedział jeszcze, choć tak cicho, że nawet mikrofony nie zdołały donieść jego słów do tłumów na obrzeżach placu: Giubileo, Anno Santo, sangue, tanto sangue nella terra del Nostro Signore... Jubileusz, Rok Święty, krew, tyle krwi w ziemi naszego Pana... Gwałtowne poruszenie w różnych punktach placu wskazywało, że tu i ówdzie szlochano. Jakaś kobieta, podobno zakonnica, krzyknęła w pierwszych szeregach: Santo Padre, riposa... Ojciec Święty, odpocznij... Może usłuchał tego wezwania? Zgiął się jak ugodzony w brzuch, ręce oderwał od poręczy krzesła i bezskutecznie usiłował je podnieść w zwykłym geście

błogosławieństwa. Opuszczono krzesło i przez chwilę widoczny był tylko czubek mycki zwanej papalina. Gdy i on zniknął, tłum zaczął się powoli rozchodzić.

W lutym i marcu Papież, zgaszony i znużony, a nawet trochę śpiący (ziewnął dwukrotnie), utrzymał się w ryzach comiesięcznego błogosławieństwa. Wykrztusił parę zdań o świecie „targanym dramatami”, podniósł głos wspominając o „skarbie życia dzieci nie narodzonych”, życzył ludzkości „pokoju w miłości”, pominął milczeniem tragedię jerozolimską i uniósł na wysokość pasa ręce, rozkrzyżowane z wysiłkiem.

Tymczasem Jubileusz i Rok Święty ruszyły ostro z miej' sca. W watykańskiej Sali Nervi uczestnicy soboru biskupów z roku 1996 i częściowo 1997 wyjaśniali co tydzień publiczności przebieg i sens zgromadzenia, w wielu kościołach (przy' datnych do tego) odbywały się codziennie wieczorami k°n' certy muzyki klasycznej i sakralnej, z udziałem słynny0" dyrygentów, orkiestr, solistów i chórów. Udział w uroczy' stościach Jubileuszu i Roku Świętego traktowany był j^ punkt honoru przez wielkich muzyków ze wszystkich str°

świata. Dotyczyło to także wystaw malarskich i przedstawień teatralnych. Wszędzie - w kościołach zamienionych na sale koncertowe, w galeriach malarskich i w teatrach - wisiała kolorowa wstęga ze słynną sentencją Malraux: „Wiek XXI albo będzie religijny, albo nie będzie go w ogóle”. Wydawcy rzucali na rynek wciąż nowe książki: w większości dewocyj-ne i przywiązanie do wiary przeplatające z admiracją dla Papieża, ale nie ignorowali też dzieł poświęconych kryzysowi chrześcijaństwa, zwłaszcza że to one właśnie budziły szczególną ciekawość nabywców. Wyjątkowym powodzeniem cieszyły się książki filozofa francuskiego, Jeana Delu-meau, człowieka tyleż wierzącego, co dręczonego zwątpieniem. *Le christianisme va-t-il mourir?* - pytał z rozpaczą autor, w pewnym sensie popularniejszy od apologetów, którzy na postawione przez niego pytanie odpowiadali przecząco, dowodząc i na przykładach pokazując, że chrześcijaństwo dotknięte rzekomo kryzysem przyciąga coraz częściej naukowych agnostyków, a przed wierzącymi otwiera podniebne rejony mistycyzmu. Trudno jednak było usunąć z pamięci słowa Chrystusa w Ewangelii świętego Łukasza: „Myślicie może, że gdy Syn Człowieczy wróci do was, napotka wiarę na Ziemi? Owszem, napotka, lecz zdławioną do wątego płomyka, do małej trzódki, obok której tłum przechodzić będzie obojętny i roztargniony”. Wierze towarzyszyło więc zwątpienie, płomień Jubileuszu i Roku Świętego to wzbijał się wysoko, to pełził i kopcił blisko ziemi.

W jakiś sposób odbiciem tego były imprezy nieoficjalne, spontaniczne. Młodzi szczególnie pątnicy różnych narodowości omijali muzykujące kościoły i sami urządzali koncer-y na rzymskich placach. Navona, Campo dei Fiori i Farnese Przyciągały najbardziej młodocianych adeptów nowej mu-fy\*1- Kłaniali się po swojemu Bogu, śpiewając wniebogłosy, aszcząc i skręcając się w dziwnych tańcach, łamiąc w uścis-acn i pocałunkach wszelkie przegrody płci. Grupki star - widzów, Rzymian i pątników, niezbyt ufały takim religijnej adoracji. Ale kto wie. Gromadka angielskich dziewcząt i chłopców wkroczyła na Campo dei Fiori z transparentem: *For G. K. Chesterton Catholic Religion is a Joyful One. He was right.* Po czym puściła

się w dziki tan dokoła pomnika Giordana Bruna. Co czciła? Heretyka czy jego stos? Kronikarz opisuje ten drobny epizod, by czytelnikowi uprzytomnić, jak barwny i wieloznaczny zarazem był rzymski Jubileusz i Rok Święty 2000.

W kwietniu pierwsza niedziela miesiąca i związany z nią Angelus przypadała w trzy dni po otwarciu Wielkiego Spotkania Ekumenicznego w Asyżu, powtórzenia zlotu dostojników wszystkich religii i wyznań w tym samym grodzie świętego Franciszka kilka lat wcześniej. Inspiratorzy i organizatorzy Jubileuszu i Roku Świętego przywiązywali do owego spotkania wyjątkową wagę: właściwie, prawdę powiedziawszy, w głębi ducha mieli nadzieję, że stanie się punktem kulminacyjnym obchodów. Przyszedł im niespodzianie z pomocą Papież. Zapowiedział nie tylko swoją obecność, ale tam, na taras przed Górną Bazyliką, zamierzał wbrew wiekowym tradycjom przenieść swoje Urbi et Orbi. Kto orzekł, że Rzym miał na wieki posiadać tę wyłączność? Niech papieskie błogosławieństwo rozlega się z każdego miejsca na Ziemi. Jakież miejsce jest tego godniejsze od źródła wiary Poverello I jakąż okazja sprzyja temu bardziej od braterskiego uścisku kapłanów wszystkich wiar ludzkości?

Niestety, Wielkie Spotkanie Ekumeniczne w Asyżu od pierwszej chwili zabrzmiało przykrymi zgrzytami, nie kwapiąc się do odegrania roli szczytu w Jubileuszowym, SwiC' tym Roku 2000. Co było tego powodem, tłumaczono, z uczuciem zawodu i goryczy, na różne sposoby. Ale powód był \* gruncie rzeczy jeden, jakkolwiek dałyby się wymienić jego pochodne, istotne i drugorzędne. Powodem głównym za było takie rozpalenie uczuć nacjonalistycznych, że W zepchnięte zostały do funkcji koniecznych, lecz mało nych akcesoriów; do roli podpórek, bez których co prawda trudno się obyć, ale które wyznawanego Boga uczyniły bardziej źródłem agitacji niż źródłem wiary. Od początku niemal, czyli od inauguracji spotkania w sali pięknie ozdobionej symbolami rozmaitych religijnych dewocji, wiosennie nasłonecznione powietrze asyjskie zgęstniało aż od oratorstwa agresywnego, świadomie i celowo napastliwego. Smutek każe pominąć szczegóły krótkich i ostrych spięć. Niech wystarczy, że wychodzący wieczorem z sali obrad do hoteli nie obejmowali się jak przed laty, a nawet nie pozdrawiali się wzajemnie; twarze ich były zawzięte, taką jednak zawziętością, jaką swym przewodnikom duchowym narzuca nieustępliwy tłum wyznawców. Pod znakiem zapytania stało planowane na maj spotkanie Papieża na górze Synaj z najwyższymi dostojnikami islamu i judaizmu.

Smutek też, głęboki i desperacki, zawisł nad papieskim tronem, ustawionym obok wejścia do Górnej Bazyliki Świętego. Wypowiedział swoje uniwersalne błogosławieństwo, dołączył do niego nadspodziewanie długą alokucję, w której usiłował radosnymi słowami o związkach Ludu Bożego na całym ziemskim globie pokryć i pokonać rozczarowanie. Ale niezliczone masy zebrane na stokach i w dolinach, aż po łagodne wzgórza umbryjskie na widnokręgu, usłyszały przecież w tonie papieskiej alokucji daremnie przyciszoną nutę smutku. I odpływały jak wysoka fala morską, zahamowana nagłym podmuchem wiatru z lądu.



Wiosna była w roku 2000 kapryśna - przekładaniec pogody i krótkich, gwałtownych ulew - kapryśny też był kalendarz. Wielkanoc świętowano 23 kwietnia. W Pałacu Pa'eskim toczyły się deliberacje prałatów i lekarzy nadwornych, czy Ojciec Święty może podjąć ryzyko Via Crucis w ak zmiennych i nieobliczalnych warunkach atmosferycz-ych. Uparł się jednak sam zainteresowany. Droga Krzyżo-a> o czym wiedzieli tylko wybrani, była najbliższym mu „„„„Daennik... (1993-1996) 641

1P elementem liturgii. Nigdy, nawet w najzarliwszych modlitwach osobistych i wielkich mszach celebracyjnych w Bazylice Świętego Piotra, nie utożsamiał się tak całkowicie, bez reszty, ze swoją służbą Ukrzyżowanemu, ze swoją gorącą wiarą; każda kolejna stacja Męki Pańskiej była dla niego przeżyciem, odtwarzającym w cierpieniach duszy powolny pochód Zbawiciela na Golgotę. Bywało, że zerkał ukradkowo na oba szpalery widzów, oczekując historycznych wybuchów śmiechu i drwin, słów kolczastych jak ukłucia korony cierniowej.

Przypomniano mu, w próbach perswazji, kolano stłuczone w poprzedniej Via Crucis. Zapewniał, niezgodnie z prawdą, że podgoiło się znacznie w ostatnich czasach; i nie ukrywał swojej nadziei, że Bóg uczyni cud tam, gdzie przed rokiem spowodował upadek. Przedstawiono mu rzekomy komunikat meteorologiczny, który w godzinach wieczornych przewidywał gwałtowne, przelotne deszcze. I to nie podziałało. Znano jego przyrodzony upór, więc dano spokój i wszystkie myśli skierowano do Boskiej Protektorki na Wysokościach.

Wieczór był rześki, a nawet chłodny, niebo tchnęło ciemną czystością. Papież, w asyście młodych, ruszył, mocno trzymając krzyż z cienkich i lekkich deseczek. Nie mógł powstrzymać szybkiego spojrzenia w górę i ulotnego, ledwie zauważalnego uśmiechu zadowolenia na obolałej twarzy. Szedł wolno, ale stanowczo, starał się wyraźnie usunąć, wysiłkiem woli, kulenie w miarowym kroku. Być może (jak potem komentowano) ten nadmierny wysiłek woli sprawił, że przed czasem wyczerpał nagromadzoną energię. Dość, że między szóstą i siódmą stacją naraz przystanął. I bez wahania, bez najmniejszej chwili wahania, jakby obawiał się konsekwencji, przechylił krzyż w stronę towarzyszącego mu młodzieńca. Młodzieniec zrozumiał w lot, o co chodzi-Resztę Drogi Krzyżowej przeszedł Papież powłócząc nogami i z pustymi rękami. Nie była to, zaiste, Via Crucis godna Świętego Roku Jubileuszowego. Opowiadano później, że przez kilka dni biskup Wiecznego Miasta zjawiał się tylko w swojej prywatnej kaplicy. Był milczący i zamyślony.

pół Jubileuszowego Roku Świętego uprawniało do ocen. Były w sumie pozytywne. Utrzymano rytm napływających co miesiąc fal pątników, zdołano ustabilizować miejsca i obozowiska zamieszkania w Rzymie i okolicach, a jakkolwiek miasto płaciło dość wysoką cenę monetą zniszczeń, wolno było ufać włoskiemu darowi prac restauracyjnych po zamknięciu Jubileuszu. Atmosfera religijna, choć niekiedy pozostawiała sporo do życzenia i bigotów przyprawiała o zgorzniecie, jako całość okryła miasto białym welonem pobożności, jakby świat chrześcijański brał na nowo ślub ze swoim Panem i ze swoim przywiązaniem do Niego. W niedzielę Bożego Ciała 2000, czyli w rocznicę ogłoszenia Roku Świętego, Papież do błogosławieństwa dołączył słowo „dziękuję”.

Wspomnieliśmy o wyroju przeróżnych sekt, były one jednak wszystkie, w mniejszym lub większym stopniu, chrześcijańskie. Za chrześcijańską natomiast trudno poczytywać sektę Świadków Jehowy, której liczebność (zwłaszcza na wsiach) zdumiewała obserwatorów. Mimo zaprzeczeń ze strony przywódców czy kapłanów, ogromny zlot Świadków Jehowy ze wszystkich zakątków Włoch i z zagranicy w miejscowości Avellino miał wszelkie cechy demonstracji. Przeciw czemu i komu? Nikt nie umiał odpowiedzieć na to pytanie po kontaktach i rozmowach z dementującymi Świadkami Jehowy, czuło się przecież aż nadto jaskrawo, że ich s'owa kłamia ich myślom. Czyżby było ukrytym pragnieniem Świadków Jehowy ujawnić swój niechętny Gęśli nie Wr°gi) stosunek do Jubileuszu i Roku Świętego? Czyżby Zmierzali (może nawet w celach agitacyjnych) podkreślić 2 dumą, że ich wspólnota bliższa jest cierpiącemu człowiekowi współczesnemu?

Cierpiącemu, gdyż w gruncie rzeczy, po odsunięciu takich przykazań sekty, jak zakaz transfuzji krwi i operacji w razie ciężkiej choroby, lub przekonania, że próżna jest nasza pogoń za szczęściem, skoro szczęśliwy może być tylko człowiek, który ma odwagę wyrzec się owej pogoni w imię nieodwołalnego kresu, jaki śmierć kładzie życiu, po usunięciu więc przykazań i przekonań sekty uderzał jeden fakt bezsporny, powtarzany przez każdego Świadka Jehowy w licznych wówczas pogawędkach z natrętnymi dziennikarzami. Każdego członka zawiodło do sekty jego niepojęte cierpienie, czasem tak absurdalne, że Bóg mógł się wydawać Złośliwym Demiurgiem. Czego zatem oczekiwał Świadek Jehowy, wstępując do wspólnoty i poddając się konfirmacji? Nie że Bóg cierpiący na krzyżu oswoi i uszlachetni jego własne cierpienie, oczyści modlitwą jego własny ból, da mu bilet wstępu do swoich świątyń radości i płaczu. Sekta miała zahartować jego wytrzymałość na ciosy, jego pewność, że Jehowa jest sprawiedliwą Istotą Wyższą, daje i odbiera, leczy, gdy zechce, i zabija, gdy zechce. Nazwano raz Świadków Jehowy ludźmi twardych spojrzeń. To pewne, że nie rozczulali się nad sobą i innymi. Przyjmowali mężnie swój los. Podejrzliwie odnosili się do miłości, litości, miłosierdzia, przebaczenia. Nie jest tedy wykluczone, że około dziesięciu tysięcy przybyszów do Avellino usiłowało zbić z tropu, nie przyznając się do tego otwarcie, miliony uczestników rzymskich uroczystości.

.671

Bierze pokusa spojrzenia, podobnego do światła błyskawicy, na świat, w którym wybiła godzina dwóch tysięcy lat chrześcijaństwa.

Nie przestawał marzyć o stabilności i z każdym dniem jaśniej widział, że jest ona majakiem. Wciąż wybuchały wojny lokalne, wciąż immanentna kruchość zagrażała rządowi\* wciąż wolniej czy szybciej historia podminowywała terroryzmem wielkie wierzenia, a raczej złudzenia ludzkości. 2 wojen lokalnych niebezpieczny był napad Iranu na Irak z użyciem morderczego gazu VX, którego formułę Iran zakupił od Pakistanu. Napad miał być uczczeniem pamięci Ajatolli, ale jego świątobliwi spadkobiercy nie mieli pojęcia o operatywności irackich pocisków raketowych. Interwencja czarnego prezydenta amerykańskiego w mundurze generalskim, popartego przez komunistycznego prezydenta rosyjskiego w asyście premiera-

generała, położyła kres krótkotrwałej wojnie; obie strony walczące zakonspirowały liczby ofiar, należy je więc uważać za znaczne.

Szerzyło się jak pożar nowe zjawisko: terroryzm. Nazywano go nową, najskuteczniejszą dotąd w dziejach ludzkości, bronią.

Marudzono do tego stopnia ze zjednoczeniem Europy i wprowadzeniem wspólnego pieniądza, że cała idea stała się problematyczna, budząc popłoch i później lęk wśród państw środkowoeuropejskich, przykutych do stołków w wielkiej poczekalni. Otwarto natomiast drzwi do NATO, lecz koszt efektywnego uczestnictwa przekraczał możliwości finansowe byłych „demokracji ludowych”. Które to były „demokracje ludowe” okazały się, chcąc nie chcąc, wielkim wynalazcą politycznym: wyszło mianowicie na jaw, że zatruta niegdyś i pasożytnicza „socjaldemokracja” przyjmuje się nieźle (zwłaszcza wobec głupoty prawicy) na pniu „postkomunistycznym”. Wynalazek ukradli natychmiast Włosi, gdzie miraż stabilizacji stał się niezawodnym instrumentem w rękach dawnego działacza komunistycznego, który rozsmakował się w roli demokratycznego mentora pod nietykalnym portretem protoplasty rodu, Togliattiego. We Francji, w Niemczech i w Anglii, czyli w krajach dość postnych, jeśli chodzi o tradycje komunistyczne, zbawienny skok do królestwa „socjaldemokracji” napotykał jeszcze poważne Przeszkody.

Postęp gospodarczy w byłych „demokracjach ludowych” Cedzono na Zachodzie z uznaniem, jeśli nie podziwem, jakkolwiek sceptycy (których nigdy nie brak) porównywali je do osobników o ogromnych głowach i mizernych, zabiedzonych tułowiach. Coś analogicznego działo się w Rosji, opanowanej przy tym fikcją odbudowy Imperium. Krążyły zatem pogłoski o akumulacji kapitału społecznego niezadowolenia, które kiedyś da znać o swoim istnieniu w sposób dość radykalny, a może nawet - któż to wie? - krwawy. To prawda, że pół Roku Świętego i Jubileuszu pozwalało z satysfakcją myśleć o przyszłej roli chrześcijaństwa. Ale mądry i przenikliwy Papież dostrzegał pod pianą większej czy mniejszej euforii religijnej załazek zjawiska dla Kościoła najgroźniejszego - letniości. W samotni swego gabinetu papieskiego, rzucając niekiedy okiem na stary krucyfiks, zastanawiał się, z błyskiem udręki na zmarszczonym czole, czy ostatnie podrygi zapału religijnego nie ustępują powoli miejsca zwykłej obojętności zrzeszenia; tej wewnętrznej obojętności, która popycha ludzi do ciepła gromady, niezależnie od tego, co taka wspólnota oznacza i do czego duchowo zobowiązuje.

Państwo włoskie ciągnęło naturalnie pewne zyski z napływu pątników i turystów w Jubileuszowym Roku Świętym. Nie żałowało jednak, ze swej strony, pieniędzy na godne uczczenie Wielkiej Daty. Czuło się tedy w prawie skierować do Papieża pokorną prośbę.

W roku 2000 ruch secesjonistyczny na północy kraju przybrał rozmiary wywołujące najwyższy niepokój. Co kilka lat temu jeszcze mogło uchodzić za mieszaninę arogancji i szantażu, stosunkowo łatwą do sterowania przez centralny aparat państwowy, obecnie przeistoczyło się w bezustanną agresywność Niepodległej (z nazwy) Padanii, posuwającą się do point of no return i stawiającą

„złodziejski Rzym”, Rorna ladrona, jak stolicę określali secesjoniści na północy, w coraz kłopotliwszej sytuacji. Trzeba było brać w rachubę konieczność zbrojnej interwencji w imię nienaruszalności konstytucji; straszna perspektywa, która spędzała sen z powiek organom władzy. I wówczas to powstał pomysł złożenia supliki u stóp Papieża. Błagano go, by symbol jedności państwa włoskiego podkreślił równoczesnym prawie błogosławieństwem uniwersalnym z dwóch sławnych świątyń, na południu i na północy. Jak łuk tęczy, tłumaczono mu, jedność katolickich Włoch odciśnie się na zawsze w umysłach mieszkańców półwyspu.

Papież gotów był spełnić prośbę, więcej - widział w niej swoistą ozdobę Jubileuszowego Roku Świętego, przystąpiono więc do wyboru owych dwóch świątyń. Na południu wybór padł na wspaniały kościół Świętej Klary w Neapolu, na północy wskazano Bazylikę Świętego Marka w Wenecji (secesjonizm zapuścił był szczególnie głębokie korzenie w glebie historycznej Serenissima). Znaczący odnieśli się niechętnie do kandydatury Świętej Klary: Papież, gdy siadał w fotelu, był ludzako podobny do Pantokratora na ołtarzu kościoła neapolitańskiego, cudownej rzeźby dłuta Pisano z XIII wieku. Zdaniem znawców, lepiej było uniknąć tego podobieństwa. Na miejsce Świętej Klary weszła sycylijska katedra w Monreale. Monreale i Wenecja, oto łuk tęczy, rozpięty na niebie Zjednoczonych Włoch.

Oba błogosławieństwa papieskie nie tylko spełniły wyznaczoną im rolę. Narzuciły także obraz Papieża Triumfującego. On sam, skromny z natury, czuł, jak wkleśniętą, starczą pierś rozpięta mu duma, gdy na stojąco z wieżyczki średniowiecznego kościoła normńskiego ogarniał wzrokiem nieprzebraną rzeszę ludzką w dolinie Oretto i w Złotej Muszli; a potem z galerii na szczycie Świętego Marka, również stojąc, wypełniony po brzegi słynny plac, a raczej ogromny Salon wenecki. Był wrzesień, pogodny i dojrza-ty> nieznaczny ruch głowy Papieża rozkołysał znowu, jak w dniu ogłoszenia Roku Świętego w Boże Ciało, tłumy podobne do wiatrem naginanego i odginanego miarowo zbo-Za-1 znowu pojawił się na jego twarzy dobrotliwy, zmęczony teraz uśmiech.

tP^

Jubileuszowy Rok Święty zbliżał się do końca. Od grud-nia chwycił Rzym i okolice dojmujący chłód, niespotykany tu od lat. Wieczne Miasto pustoszało stopniowo, lotnisko i dworzec zatkałe były pasażerami w oczekiwaniu na odjazd. Ulice rzymskie, tak piękne, gdy nie są zatłoczone, wracały z każdym dniem wyraźniej w posiadanie prawowitych właścicieli. Zabłąkanych pątników i turystów zagranicznych traktowano dalej z sympatią, lecz z domieszką zniecierpliwienia. W autobusach słyszało się często: „kiedy wreszcie”... Gazety codziennie niemal drukowały prowizoryczne bilanse Jubileuszu, pozytywne, bez żadnych „ale”. Co irytowało lekko czytelników, którzy wszystkie „ale” czuli dość boleśnie pod skórą. To prawda, że Jubileuszowy Rok Święty opromienił miasto blaskiem chwały, czy jednak nie trwał trochę za długo?

Papież zjawiał się rzadko na placu Świętego Piotra, by powitać czekających na to pielgrzymów; i szybko zniknął, powłóczęc ciężko nogami. Od 15 do 17 grudnia przyjmował hołdowników, koronowane i niekoronowane głowy wielu państw,

niekoniecznie katolickich; miał to być niski pokłon z okazji kończącego się podwójnego święta chrześcijańskiego. W Rzymie nie ma i nie było nigdy tajemnic, powtarzano więc sobie, że czarny generał-prezydent amerykański i rosyjski generał-premier kozackiego pochodzenia zgięli kolana, w geście przykłonienia, przed papieskim tronem. Amerykański prezydent był szczerym demokratą, rosyjski premier czczył pamięć Katarzyny II i generała Suworowa.

W kilka dni później, dokładnie 20 grudnia, ten niezwykle i nieoczekiwany dowód czci był na ustach wszystkich Rzy' mian i na pierwszych stronicach wszystkich gazet włoskich dzięki smutnej, a nawet tragicznej okoliczności. W Rosji wielki pochód nędzarzy, nie opłacanych od lat i wygłodniałych, ruszył z Woroneża do Moskwy. Generał-premier wy\* słał przeciw niemu wojsko na przedpola stolicy, z rozkazem powstrzymania go siłą; komunikaty oficjalne nie podawały liczby zastrzelonych. W Stanach Zjednoczonych, w Północnej Karolinie, wybuchła akcja systematycznego palenia murzyńskich kościołów chrześcijańskich. Generał-prezydent kazał strzelać do białych podpalaczy, ale i amerykańskie komunikaty oficjalne omijały (chwilowo przynajmniej) liczby czarnych zabitych przez białych i białych zastrzelonych przez wielokolorowy oddział wojska ze stanowego garnizonu.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia, jak co roku, Papież składał całemu chrześcijańskiemu światu życzenia z okna Pałacu Watykańskiego. Siedział na swoim podwyższonym krześle. Zrobił najpierw słabo widoczny znak krzyża, potem nadspodziewanie długo milczał. Wreszcie powiedział głosem dźwięcznym, ale jakby do siebie: *Giubileo, Anno San-to. Gente affamata uccisa, chiese bruciate. Jubileusz, Rok Święty. Wygłodzeni ludzie zabici, kościoły spalone. Nie wiadomo, jak to się stało i kto to uczynił (wiadomo pewnie tylko władzom watykańskim), za jego plecami podniósł się drewniany krzyż z Via Crucis. Papież, nie wiedząc o tym, stanął z widocznym wysiłkiem na podnóżku krzesła i roz-krzyżował szeroko błogosławiące ręce. Z placu ujrzano go na tle wzniesionego za jego plecami krzyża. Wyglądał jak Ukrzyżowany. W Trzeciej Tysiąclecie weszliśmy z pamiętną frazą: // Papa messo in croce. Papież przybity do krzyża.*

Czerwiec-lipiec 1996

- Weapol, 2 sierpnia - i Skandal wyroku w procesie kata z Fosse Ardeatine, kapitana SS (podówczas) Priebke - winny, lecz z miejsca zwolniony - podpalił Włochy letnim, trudnym do ugaszenia pożarem. Jestem w tej sprawie dokładnie tego samego zdania, co naczelny rabin rzymski Toaff: powinien być skazany na dożywocie i w wieku 83 lat odesłany do domu, żeby umarł we własnym łóżku, a nie na pryczy więziennej. Tak samo twierdziłem, gdy chodziło o komunistycznych zbrodniarzy w krajach eks-komunistycznych: proces, wyrok skazujący i do domu. Pomawiano mnie o „odwetową krwiożer-czość”, a chodziło mi jedynie o przywrócenie rządów prawa w społeczeństwie przywykłym do bezprawia.

Rzymski wyrok wydał Trybunał Wojskowy. Sławny prawnik mediolański przypomina dziś w gazecie rzymską zasadę *Castrensis iurisdictio obtusior*, sprawiedliwość wojskowa jest zazwyczaj bardziej tępą od cywilnej. Nasi juryści w

mundurach pułkownikowskich niech się pokornie pokłonią tej starorzymskiej maksymie.

Szanowany powszechnie prawnik włoski ujawnia także rzecz, o której dotąd nie wiedziałem. Ponieważ oskarżeni w procesach takich jak kapitana Priebke (do pewnego stopnia również Eichmanna, chociaż miał on większe aspiracje „filozoficzno-intelektualne”) z reguły usprawiedliwiają swoje zbrodnie „rozkazem z góry, opartym na żelaznym przykazaniu posłuszeństwa zwierzchnikom”, artykuł przytacza zdanie marszałka Keitla: „Tragedią mojego życia jest zbyt późne uprzytomnienie sobie, że posłuszeństwo ma swoje.

granice”. ‘ - i 4 sierpnia Z orzeczenia naszego Olimpu intelektualnego (najpierw na wieczorze Pen, a potem na łamach „Kontrapunktu”, dodatku do „Tygodnika Powszechnego”) dowiedziałem się, że w dziejach „Kultury”, okrytych jakże zasłużoną chwałą, wyznaczono mi rolę orwellowskiej osoby nie-istniejącej, un-person. Nasz kulturalny Olimp złożył słuszny hołd 90-let-niemu redaktorowi „Kultury” w półwiecze założenia miesięcznika, ale z olimpijską wyniosłością strącił mnie w zewnętrzne ciemności niebytu. Dręczy mnie więc kilka pytań-wątpliwości. Czy to ja założyłem „Kulturę”, wbrew innym z początku planom wydawniczym Jerzego Giedroycia? Czy to ja uprosiłem go, żeby podpisał ze mną pierwszy rzymski numer, w celach związania go z noworodkiem wspólnym ojcostwem? Czy to ja wymyśliłem nazwę pisma? Czy to ja przepracowałem w nim przeszło czterdzieści lat? Czy to ja pojechałem, na prośbę Jerzego, do Oxfordu, aby zwerbować Leszka Kołakowskiego po jego wyjeździe z Polski? (Nawiasem mówiąc, bez powodzenia wtedy. Gdy Kołakowski odwiózł mnie na oksfordzki dworzec, powiedziałem do niego przed odjazdem pociągu do Londynu: „Traci pan niepotrzebnie czas, mogę się z panem założyć, że będzie pan pisywał w „Kulturze”). Czy to ja uparłem się wprowadzić Krzysztofa Pomiana do „Kultury”, nie zważając na nasze Pierwsze burzliwe spotkanie w Paryżu na herbacie u Aleksandra i Ireny Smolarów (burzliwe z powodu ówczesnej alergii - żeby nie powiedzieć więcej - Krzysztofa na sam dźwięk nazwy miesięcznika paryskiego), chociaż Jerzy nie tył bynajmniej entuzjastą tego pomysłu?

Wobec ogromu dokonań Jerzego Giedroycia są to drobne i błahe historycznie pytania-wątpliwości, być może jednak zainteresują historyczkę na naszym intelektualnym Olimpie, czyli panią profesor Krystynę Kersten.

7 sierpnia STARY BRULION. Z zasady nie grzebię się w moim archiwum, patrzę na nie z przestachem, obchodzę je z daleka jak złego psa na łańcuchu, ale zdarza się pod moją nieobecność w domu, że żona usiłuje je z wierzchu chociaż odkurzyć. To wówczas wyskakują z masy papieru niespodzianki. Jak ten stary brulion w ceratowej oprawie, ze stemplem Smitha, czyli kupiony w Londynie na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, zapisany niewyraźnym zielonym pismem (kochałem wtedy zielony atrament w wiecznym piórze), tak w pierwszej chwili obcy, jakby należał do innej osoby. Na pierwszej stronie tytuł: Opilki egzotyczne. Przyswoiła mi go parokrotna lektura. Po drugiej wojnie światowej, wobec jej wszechogarniającej tragedii i masakry, zanikł zwyczaj odziedziczony po

literaturze z pierwszej wojny światowej: opisywania, w przebłyskach bodaj, żołnierskiego życia. Znikły okopy, przewlekłe walki pozycyjne, więc cóż tu opisywać? A jednak... Staralem się, wbrew naszym zwykłym tonom heroicznym „z grubej rury”, na wysokim diapazynie patriotycznym, utrwalić żołdackie życie intymne. I odczytywałem po latach w brulionie te „opiłki” jak własne listy wrzucone do morza w butelkach. Odezwały się tony osobiste. Osobiste też były dwa obrazy egzotyczne - Kochanka Boga i Wróżbita w Kalkucie - w tym, że ocalały przed potopem czasu. Powiedzmy, że w Dzienniku pisanym nocą dają miej' sce paru zapisom onirycznym.

MIŁOŚĆ PUSTYNNNA. Nie tylko pustynna, także portowa, ale pustynia jest jej główną sprężyną. Opowiem o tej miłości otwarcie, świadomie przemilczając chwałę oręża polskiego w bitwach poza granicami naszego kraju, marsowe twarze w hełmach lub tropikalnych kaskach, wpatrzzone w jutrzenkę swobody (choć wszystko to było także prawdą).

jsła pustyni w Iraku, przygotowując się do przyszłych bi-teW) mogliśmy ćwiczenia wojskowe odbywać jedynie dwie godziny wczesnym ranem. Potem upał zapędzał nas do namiotów. Rozbieraliśmy się natychmiast do naga, wypijaliśmy trochę wody z brezentowych bukłaków przymocowanych do przedniego masztu namiotu, po czym pozostawało nam już tylko drzemać w półomdleniu do obiadu, wpatrując się ukradkiem nie w jutrzenkę swobody, lecz w skrajne podniecenie erotyczne mieszkańców namiotu. Dziesięciu młodych, nagich żołnierzy na siennikach, dziesięć sennych pożądań. I bezustanne, nierzadko rozpaczliwe, coraz niecierpliwsze czekanie na Wielki Dzień.

Wtrącę tu słówko o czasowej deformacji naszych pragnień naturalnych w okresie żołdackiego postu. Zjawisko typowe również (jak sądzę) w klasztorach - męskich i żeńskich - i w uniwersyteckich kolegiach. Nigdy nie odczuwałem najmniejszej pokusy homoseksualnej, przeciwnie. A przecież wtedy, w namiocie na pustyni w Iraku, byliśmy wszyscy potencjalnymi homoseksualistami. Ja osobiście wspominam zwłaszcza ślicznego Tadzia (już nie żyje), w którego wpatrywałem się z rosnącą czułością. A on, z taką samą czułością, wpatrywał się w kogoś innego.

Wielki Dzień oznaczał wyjazd całego oddziału ciężarówką pułkową do Bagdadu. Na cały dzień właśnie, od rana do wieczora. Po sześciu miesiącach pustyni. Ciężarówka zaparkowana została na peryferiach miasta, na placu zarezerwowanym dla wojska, blisko miejsca, które nasz dowódca s'erżant określił jako „burdel pod kontrolą zarządu militar-nego w Bagdadzie”. Otaczał go niski mur. Gromadka wyp°szczonych żołnierzy rzuciła się do bramy. Zmroził mnie ten widok. Idąc w stronę centrum Bagdadu, zajrzałem przez ^ do środka. Obraz jeszcze bardziej zmroził mi krew w. Spore podwórko, ogonek dwudziestu młodych i dorodnych chłopców do ni to domku, ni szałas, przed którym siedziały dwie dość stare i szpetne kobiety. Gdy jedna wchodziła do domku czy szałas z kolejnym żołnierzem druga podgrzewała swoje przyrodzenie nad trójnogiem z żarzącymi się węgielkami. Potem zmiana. Ogonek posuwał się wolno, tak wolno, że ostatni klient przestępował z nogi na nogę i starał się ukryć swoją niecierpliwość.

Poszedłem do miasta, do bajkowego Bagdadu z Tysiąca i Jednej Nocy, i w bajkowy sposób spędziłem przedpołudnie. Bajkowość opróżniła moje kieszenie ze wszystkich oszczędności żołdu, musiałem więc Bagdad zwiedzać na sucho, co nie jest przedsięwzięciem łatwym. Nie miałem nawet kilku groszy na przejazd, o wyznaczonej godzinie ósmej wieczorem, do wojskowego parkingu. Moi towarzysze spali już pokotem na podłodze ciężarówki. Po Wielkim Dniu nastąpiła pora Wielkiej Ulgi.

Na następnym etapie w Egipcie zawieziono nas z pustyni na Wielki Dzień w Kairze. Od dłuższego już czasu przyjaźniłem się z Białorusinem nazwiskiem Szypiłko, potężnym i silnym zwierzęciem o pogodnym usposobieniu, absolutnym analfabetą, który odbiór żołdu podpisywał krzyżykiem. Lubiliśmy się bardzo, a on traktował mnie trochę jak starszego brata, mądrzejszego, zasługującego na ślepą wierność i ślepe posłuszeństwo. W Rosji znalazł się na zesłaniu z rodziną („kułacką”), jako Białorusin miał ze strony władz sowieckich trudności z przypisaniem do „polskiej amnestii”, w końcu jednak udało mu się dostać do wojska. Był za to tak „wdzięczny Polsce”, że wciąż marzył o daniu dowodów swej wdzięczności, oczywiście na polu bitwy. Brał udział w kampanii włoskiej, odznaczył się pod Monte Cassino, c<sup>o</sup> uznał za prawo do biletu powrotnego do domu, za Bugiem-Nie wiem, jak potoczyły się jego losy po powrocie, dopóki służył w wojsku, byliśmy nierozłączną parą.

Wielki Dzień w Kairze obłożono obowiązkiem wstępne' go pokłonu wartościom kulturalnym. (Może była to inicjatywa Józia Czapskiego, który zajmował się kulturą w 11

Andersa?) Rzecz polegała na tym, że pierwszą godzinę Wielkiego Dnia należało poświęcić rozkoszom muzealnym, a potem, każdy na własną rękę, szukać rozkoszy innego rodzaju. Pojechaliśmy do słynnego meczetu. Oprowadzający, wśród wielu osobliwości meczetu, wskazał nam łuk, pod którym (według pradawnych wierzeń) przechodziło się z jakimś gorącym pragnieniem w sercu, spodziewając się, że zostanie wysłuchane. Szypiłko łaził pod łukiem bez przerwy. Oprowadzający, z poparciem naszego sierżanta, poprosił go w końcu o zaprzestanie tego dziwnego procederu. O ósmej wieczorem, na miejscu zbiórki, wszyscy stali już w ciężarówce gotowej do odjazdu na pustynię. Wszyscy, z wyjątkiem mojego Białorusina. Sierżant, wpatrzony w swój zegarek, podniósł już rękę do góry; punktualność była częścią składową musztry. Wreszcie zobaczyliśmy go, biegnącego z trudem, zwałistego, w przepoconych drelichach. Zdażył, ale musieliśmy wciągnąć go na ciężarówkę o zapuszczonym już motorze. Stał obok mnie, sapał ciężko, ocierał z twarzy strugi potu. Dopiero po kilku minutach, uspokojony, odezwał się do mnie: „Ależ, mileńki, ta ich religia jest dobra. Lepsza od naszej. Chodził ja pod tym łukiem i wciąż modlił się, żeby jakąś ładną dziewczuchę dorwać. I dorwał”. Czas skończyć z nieprzystojnymi aspektami mojego starego brulionu. Przepiszę jedynie rzeczową uwagę, że w stosunkach żołnierzy pustynnych z pensjonariuszkami lupa-narów wojskowych zdarzały się również niekiedy wypadki Priapizmu. Byłem świadkiem dwóch, w



Hajfie i czerwono-Morskim porcie Aden. W obu konieczna okazała się interwencja lekarzy.

ŻULIK. Był moim wojennym dzieckiem, każdy przyzwoity sąd przyznałby mi prawa ojcowskie. Podrzucili go nam ukradkiem pod jeden z namiotów, l czujność wartownika, Arabowie, zapewne przed. Dał o sobie znać piskiem, coraz głośniejszym i de-. Był jeszcze ślepy albo półślepy, wschodzące słońce zdołało go dobrze osuszyć po wyjściu z łona matki suki. Jak go karmić, jak ocalić od śmierci? Tu wkroczyłem ja w roli wynalazcy o ojcowskim sercu. Przekłułem delikatnie prezerwatywę i zrobiłem z niej smoczek, wypełniony rozrzedzonym słodkim mlekiem skondensowanym. Przyznano mi bez sporów, jako ojcu (ojciec dzięki użyciu instrumentu, który ma zapobiegać ojcostwu!), prawo nadania mu imienia. Nazwałem go Żulik, resztką słownictwa łagiernego.

Ssał świetnie i zachłannie swoje erotyczne mleczko, rósł w oczach. Gdy dorósł na tyle, by móc biegać między namiotami, merdając wesoło ogonkiem, zdradził naszą naturalną miłość, sączoną regularnie z kondoma, i zakochał się w plutonowym P. (który po wojnie zabrał go do Polski, gdzie Żulik wkrótce zdechł). Przebolełem to, chuchając na ranę w sercu. Kundelek był tak miły, wesoły, sprytny i w gruncie rzeczy do wszystkich nas przywiązany, że darowałem zdradę jemu i jego panu z wyboru. Stał się maskotką baterii. Przed wyruszeniem na kolejne pustynne miejsce postoju dowódca baterii pytał ogniomistrza-szefa: „Jest Żulik?” Odpowiadało mu chóralne: „Jest, panie poruczniku”.

Wędrowaliśmy, nie dopuszczając myśli o regulaminowych przeszkodach. Jak przysłowiowe „szydło z worka” wyszły w porcie w Aleksandrii, w trakcie ładowania polskich oddziałów na okręty do Włoch. Brytyjski oficer załadowczy wykrył Żulika w plecaku plutonowego P. Nie pomogły nasze błagania, nie pomogło wstawiennictwo naszego dowódcy. „Przepis jest przepisem”, powtarzał tępawy Anglik. Ale gdyby Żulik siedział cicho w plecaku, zamiast cicho poszczekiwać, przepis zakpiłby z wojskowych rewizorów JKM.

Więc Żulik biegał jak oszalały po przystani, to w jedną, to w drugą stronę, czekał płaczkliwie, przygotowywał się skulony do morskiego skoku. Aż jakiś angielski żołdat zarzucił mu na szyję hyclowską pętlę i powłókł go do dyżurnej komórki. I tyleśmy go widzieli ustawieni tyralierą koło bur' ty, z nieruchomymi twarzami. A może moja wysoka gorącz'

ka natychmiast po dobieciu do Taranto była czymś więcej niż początkiem tyfusu?

Żulik zjawił się, po paru miesiącach, w bazie wypadowej yenafo pod Monte Cassino, odszukał szybko naszą baterię i zamienił nas w ludzi szczęśliwych. Jak dotarł z Egiptu do Włoch, jak zwąchał Venafro, pozostanie jego psią tajemnicą, której strzępy widać było czasem na uśpionym pysku. Psy mają sny? Wątpił o tym papież z końca ubiegłego stulecia, proszony przez Lorda Russella, prezesa brytyjskiego Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami, o apel do okrutnych wobec zwierząt Włochów. „Niestety, mój synu - powiedział podobno do anglikańskiego Lorda -

zwierzęta nie mają duszy". Ta papieska brednia rozległa się w ojczyźnie świętego Franciszka z Asyżu.

Świeć, Panie, nad nie istniejącą duszą Żulika.

KOCHANKA BOGA. W Birmie, w odległości kilkunastu kilometrów od Rangun, przyciąga turystów i tubylców Leżący Budda. Ogromnych rozmiarów, jego wysokość od przegięcia w pasie do głowy należy liczyć na piętra, ma zamysłony uśmiech, otwarte szeroko oczy podobne do zgaszonych latarni morskich, kamienną przepaskę od pasa do kolan i zgiętą swobodnie rękę, o którą opiera się głowa. Nie bardzo wiadomo, kto go wyrzeźbił, przebąkuje się o setkach rzeźbiarzy. Rzeźbiono go na miejscu czy po wyrzeźbieniu został tu przewieziony i jak? Przewodniki książkowe są ską-Pe w informacjach, przewodnicy żywi nie odpowiadają na Pytania, nie zanadto ukrywając swój lęk. Jest, leży, zażywa sPokoju Nirwany, zły to i bezbożny zwyczaj puszczać wodze ciekawości w obliczu wizerunku Boga. Rozmiary posągu pozwalają tylko z jednego punktu w leśnej przecince obok głowy ogarnąć posąg w całości. W drodze leśną ścieżką umożliwiają oglądanie fragmentów, co daje poczucie swoistej nieskończoności, bezgraniczności. Rzesza wiernych sRornadzi się obok kamiennych stóp i palców na dnie doliny - 1 bije pokłony z rytmiczną dokładnością.

Dwie pomarańczowe plamy utworzyły się koło głowy „~ dziennik... (1993-1996) 657

i pasa posągu. To dwa klasztory buddyjskie, pełne mnichów w pomarańczowych sutannach. Niekiedy dochodzi z nich modlitewny zaśpiew, na ogół jednak modlitwy zmagwane są niedostłyszalnym szeptem.

Podczas mojej wycieczki do Leżącego Buddy w roku 1952 powiedziano mi, że na wysokości pasa, naprzeciwko klasztoru, czyli po przeciwnej stronie posągu, mieszka od końca wojny, we wklęśnięciu czy zagłębieniu posągu, kobieta birmańska o pomieszanych zmysłach. Była żoną birmańskiego dygnitarza. Przed kapitulacją Japończycy zabili go i gwałcili jego żonę, w kilkunastu żołnierzy, tak długo, aż można było uważać ją za martwą. Nie była martwa. Odzyskała przytomność, jeśli przytomnością wolno nazwać jej wykołowaną, zamaconą głowę. Nie było wiadomo, jak się dostała do owego wklęśnięcia czy zagłębienia w kamiennym Buddzie na wysokości pasa. Tam pozostała, uznano ją za coś w rodzaju małego zwierzątka, które zdołało wydrążyć sobie dziurę w kamieniu. Nocą mnisi z przeciwnej strony podrzucali jej miseczki z ryżem. Wychodziła rzadko na powierzchnię, zobaczenie jej przez lornetkę uważano za szczęśliwy traf. Gdy wychodziła, leżała długo na płask na kamiennej przepasce Buddy. Odważniejsi przewodnicy wyjaśniali turystom, że nikt nie zamierza usunąć stamtąd oszalałej kobiety, o której mówili (z wstydliwym uśmiechem) The Mis-tress of God.

Czy to prawda? Przewodnicy w Azji lubią fantazjować, w nadziei dodatkowego napiwku. Ale prawda czy nieprawda, opowieść wzruszyła mnie do głębi. Poczynając od określenia „Kochanka Boga”. Przyszły mi od razu na myśl wszystkie na świecie kobiety (także zakonnice), które kochają się w swoim Bogu, nie tylko w sensie mistycznym. Czy tej pasji nie czuje się, na przykład, u Katarzyny

Sieneńskiej? Wzruszyła mnie też, więcej - przejęła, historia, której bohaterką jest kobieta zgwałcona przez żołdaków, wielokrotnie pon1' żona. Gdzie ma szukać odrobiny miłości, odtrącona przez wszystkich, jak nie na miłosnym łonie swego Boga?

WRÓŻBITA W KALKUCIE. W drodze powrotnej z Birmy do Londynu zatrzymałem się na cztery dni w Indiach. W New pelhi byłem gościem małej hinduskiej grupy parlamentarnej. W Kalkucie byłem sam z moim nudnym czeskim towarzyszem, parlamentarzystą socjalistycznym w Pradze aż do komunistycznego zamachu stanu.

Marzyłem o szybkim wyrwaniu się z Kalkuty, ale bilet lotniczy z rezerwacją kazał czekać cierpliwie na dzień odlotu. Byłem w stanie ciągłego rozjątrzenia, rozdrażnienia, blokady psychicznej, pierwszy raz w życiu czułem się w wielkim mieście tak samotny i osaczony przez niewidzialne siły. Każdy nowy incydent szarpał moje odsłonięte i napięte nerwy. Wizyta w świątyni bogini Kali, w powietrzu nasyconym ciężkim zapachem krwi z ofiar zwierzęcych, składanych najpierw na pieńku, potem na ołtarzu. Obłożone drwami zwłoki zmarłych w dołkach wykopanych przez rodziny w piasku nad Gangesem, proste słupy dymu z grobów kre-matoryjnych, wrzucanie popiołów wraz z kwiatami do świętej rzeki. Wypędzenie z meczetu przez groźny i złorzeczący tłum, ponieważ zapomniałem, że należy przekroczyć próg meczetu bosu. Milion mieszkańców pogrążonych co noc we śnie na trotuarach ulic, na tyle gęsto przyciśniętych do siebie, że niemożliwe było powstrzymywanie stóp deptających po bezdomnych nędzarzach.

Ostatniego dnia wczesnym wieczorem wracałem do hotelu z jedyną myślą: jutro rano odlot do Londynu. Naraz przyczepił się do mnie osobnik w łachmanach, uzbrojony w talię kart. Był wróżbitą, mówiącym niezłe po angielsku. Przystałem w końcu (wyznając) z lęku, bojąc się, że wywoła awanturę. Poszliśmy na łączkę obok ulicy. Zadał mi kilka Pytań, rozłożył karty i długo się w nie wpatrywał. Długo też Opatrywał się w obie moje dłonie. To, co powiedział, ociekło się w sposób zadziwiający o kłopoty i obawy mojego Gdyńskiego życia. Tak zadziwiający, że wyciągnąłem na-st?pny banknot, prosząc o wyjaśnienia i kontynuację. Spoj-2ał na mnie z pogardą, wyszeptał: „Dobry wróżbita wie, kiedy się zatrzymać”, wstał z przysiadu i dał szybko nurka w uliczny tłum. Usiłowałem go dogonić, na próżno; goni-łem mój los, jakbym chciał go odwrócić. Znikł połknięty przez ulicę. Wszystkie moje kalkuckie przeżycia podbiły teraz mój stan rozjątrzenia do historycznego płaczu. Nikt z przechodniów nie zwracał najmniejszej uwagi na cudzoziemca, który mokrą od potu chusteczką wycierał bezustannie oczy. Obojętność czy po prostu przekonanie, że wyciera pot napływający do oczu z czoła?

10 sierpnia Umarł Julian Strykowski. Uważam jego Austerię za arcydzieło, za najlepszą książkę polską po drugiej wojnie światowej. Gdybym miał ułożyć listę najlepszych książek od 1945 do dzisiaj, postawiłbym Austerię na pierwszym miejscu. Coś takiego potrafi prozaik napisać raz w życiu, wszystkie strużki napływają zewsząd do jednego, krystalicznie czystego strumienia. I doświadczony pisarz wie, że cud nie powtórzy się już nigdy.

Pośmiertna beczka miodu nie obejdzie się bez łyżki dziegciu. Bieg do Fragald, napisany przez Strykowskiego, gdy urzędował w ambasadzie PRL w Rzymie, był szmirą, socrealistyczną agitką, jakkolwiek wydaje mi się grubą przesadą uznanie autora przez władze włoskie za persona non grata. Za dużo honoru. Wielki Strach, literacki akt ostatecznego zerwania z komunizmem, zrobił na mnie wrażenie książki powierzchownej i dość zakłamanej. Tylko tytuł był dobry, ale Strykowski ukradł go Włochom, którzy pod panowaniem faszyzmu ukuli określenie La Grandę Paura (uwielbiał to określenie Jerzy Stempowski).

Zetknąłem się ze Strykowskim w Rzymie pod koniec lat pięćdziesiątych, w pokoju hotelowym Aleksandra Wata-Pasjonująca trzygodzinna rozmowa w trójkę, poświęcona głównie Gogolowi, z okazji szkicu Józefa Wittlina Tragik'

nv Gogol - Jestem w posiadaniu osobliwego papierka lakmu-s0wego (posługiwałem się nim także w Rosji) wobec ludzi opanowanych niegdyś przez ciągoty komunistyczne: jeżeli stawiają Gogola nad innych wielkich pisarzy rosyjskich, wolno ich uznać za ostatecznie i na zawsze wyleczonych. Moja diagnoza pasowała do Strykowskiego i Wata. A Broniewski, tłumacz Martwych dusz? Broniewski bywał człowiekiem miłym (choć z „pańskimi” fochami w nosie jako poeta laureatus PRL), przyjemnie zapalczywym, dobrym, ale tak naprawdę był człowiekiem bardzo, bardzo głupim.

13 sierpnia Uczucie zgrozy ogarnęło mnie wiele lat temu, na prozowanej kolacji w Neapolu. Profesor Dohrn, dyrektor neapoli-tańskiego Akwarium, urządził przyjęcie na cześć czterech niecodziennych gości > czterech laureatów Nobla w dziedzinie nauk ścisłych, każdy w innej gałęzi. Przyszli z instrumentami muzycznymi, odegrali okropnie jakiś kwartet, oczekując uznania od zebranych, już choćby dlatego, że nie jest zwyczajnym zdarzeniem zobaczyć i wysłuchać muzykujących noblistów. Po koncercie zasiedliśmy do stołu biesiadnego. Nobliści, genialni zapewne w swoich specjalnościach, zabierali dość rzadko głos w rozmowie, ale za to naiwność ich opinii o problemach naszego świata szła w parze z onieśmielającym tupetem. Biesiadnicy siedzieli cicho, nie odważali się replikować czy polemizować. Wypadało potakiwać milcząco mędrcom. Zirytowany i przerażony, myślałem, że to tacy jak oni decydują nierzadko o rzeczach, które mało mają wspólnego z ich specyficzną wiedzą. Byłem świeżo Po lekturze książek na temat stosunku wynalazców energii domowej do perspektyw jej użycia. Sumienie wielkiego uczonego wystarczy... Do czego? Do decyzji o niewyobrażalnych dla niego następstwach. „Jeśli idzie o wiedzę (pisał ^), nie mam wątpliwości, że traktowanie jej jako środka do wzmożenia potęgi jest grzechem przeciwko Duchowi Świętemu”.

Motto z Poppera otwiera obszernie omówienie biografii Fritza Habera. Kim był Haber? Tytuł biografii odpowiada na to pytanie po niemiecku: Chemiker, Nobelpreistrdger, Deutscher, Jude. Najważniejszy jest tu: Niemiec i laureat Nobla. Chemik Haber, mimo żydowskiego pochodzenia, był niemieckim nacjonalistą i szowinistą. Wynalazł gaz, w pewnej postaci niezmiernie ważny i cenny w rolnictwie jako środek do Tw&lcz&rim pasożytów. Zgodził się na jego użycie, po odpowiednich modyfikacjach, w pierwszej wojnie światowej. Atak niemiecki z

użyciem gazu Habera spowodował ogromne straty po alianckiej stronie. Podczas drugiej wojny światowej pochodna gazu Habera, cyklon B, karmiła hitlerowskie komory gazowe. Autor omówienia książki ma prawo podsumować je zawodnym na ogół gdybaniem. Dobroczynny w rolnictwie w łagodnej postaci, wynalazek Habera pozwolił Niemcom dłużej przetrwać w pierwszej wojnie światowej. Bez niego wojna skończyłaby się o wiele wcześniej, miliony młodych ludzi wyszłyby z niej z życiem, Lenin nie przedostałby się może (z niemiecką pomocą) do Rosji, Hitler nie doszedłby może do władzy, Holocaust nie stałby się może upiorem drugiej wojny światowej.

Profesor Otto Hahn, współpracownik Habera, zapowiedział w roku 1939, że odbierze sobie życie, jeśli dojdzie do wynalazku bomby atomowej (już wówczas w kołach naukowców dyskutowanego). Nie zrobił tego. Zdaje się, że tylko genialny fizyk włoski, Ettore Majorana (beniaminek profesora Fermi), spełnił groźbę Hahna, popełniwszy samobójstwo w drodze z Neapolu do Palermo; albo, jak sądzą niektórzy, czekał na śmierć w niedostępnym i opartym na bezwzględnym anonimacie klasztorze sycylijskim.

Nie mogę odpędzić od siebie wspomnienia neapolitańskiej kolacji z muzykującymi noblistami; muzykujący<sup>11</sup> i święcie przekonani, że wiedzą o świecie i ludziach tyle przynajmniej, co o swoich badaniach naukowych.

19 sierpnia \*

Tezy głośnego Wiktora Suworowa, autora Łamacza lodów, że Stalin przygotowywał niespodziany atak przeciw Trzeciej Rzeszy, ale został uprzedzony przez Hitlera, i że to właśnie było przyczyną wielkich strat i klęsk sowieckich po agresji z 21 czerwca 1941, gdyż Czerwona Armia szykowała się do wojny ofensywnej, a nie obronnej, te tezy są wyssane z palca (pytanie czy brudnego). Obala je wydobyty ostatnio z archiwów sowieckich tajny доклад towarzyszcza Stalina z 19 sierpnia 1939 na posiedzeniu Politbiura. Zbieżność kalendarzowa jest przypadkowa, jakkolwiek доклад zasługiwałby na mały obchód rocznicowy wśród historyków.

Doskonale wiadomo, jak „rozumowali” durnie w szeregach partii, którzy nie mieli ani ochoty, ani odwagi zerwać z nią po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow: ZSSR, „zdradzony” przez Zachód, nie miał innego wyjścia wobec rosnącej agresywności Hitlera; musiał za wszelką cenę zyskać na czasie, a mógł to zrobić jedynie godząc się na pie-riedyszkę przed nieuniknionym w przyszłości atakiem niemieckim. 19 sierpnia 1939 towarzysz Stalin ujawnił prawdziwą przyczynę paktu. Historia nie potwierdziła w pełni rachub Nauczyciela Ludzkości, nie uszczupliła jednak zanadto (w ostatecznym rachunku) komplementu Hitlera: Stalin, ein genialer Kerl.

Gwiazda Przewodnia Wodza i Geniusza Ludzkości błyszczy z jasnością, oślepiającą członków Politbiura. Niech się Wykrwawiają (Anglia i Francja z jednej strony, Niemcy z drugiej), my przeczekamy na boku, aby wkroczyć, kiedy dojrzeje owoc wojny. Polska odgrywa w tych spekulacjach ważną rolę. Jeśli zawrzemy traktat z Francją i Anglią, Niemcy zrezygnują z Polski i postarają się o modus vivendi z Zachodem. Jeśli przyjmiemy propozycję Trzeciej Rzeszy podpisana paktu o nieagresji, Polska zostanie przez nią zaatakowana, stanie się pewna interwencja

anglo-francuska, wojna °garnie Europę Zachodnią, my pozostaniemy p o z a z nadzieją wejścia na scenę w odpowiedniej chwili. Doświadczenie uczy, że w czasie pokoju zdobycie władzy przez bolszewików nie wchodzi w grę; możliwe będzie natomiast po wielkiej wojnie. Winniśmy zatem przyjąć propozycję niemiecką i grzecznie odesłać do domu misję anglo-francuską. Pierwszym dla nas zyskiem będzie zniszczenie Polski, łącznie z galicyjską Ukrainą. Hitler daje nam też wolną rękę w krajach bałtyckich, nie sprzeciwia się powrotowi Besarabii do ZSSR, dopuszcza nasze wpływy w Rumunii, na Węgrzech, w Bułgarii i w Jugosławii.

Musimy jednak rozważyć oba scenariusze, klęskę i zwycięstwo Niemiec. W wypadku klęski nieunikniona będzie sowietyzacja Niemiec. Ale ważne jest, by klęska Niemiec była przewlekła, szybka jest dla nas groźna. A jeśli Niemcy wygrają? Będą mieli zbyt dużo kłopotów z przetrwaniem pokonanych przeciwników, aby na serio podważyć nasze plany i zaryzykować wojnę z ZSSR przynajmniej w ciągu 10 lat. W naszym więc interesie jest przyjąć propozycję niemiecką i zrobić wszystko co w naszej mocy dla przeciągnięcia wojny do maksimum.

Siekrietyj доклад towarzysza Stalina Politbiuro przyjęło z pełną aprobatą.

24 sierpnia Za włoskie wydanie tomu opowiadań Portret wenecki przyznano mi Premio Vittorini Siracusa (dwa lata temu Premio Viareggio za całokształt twórczości). Wręczenie 21 września w Syrakuzach, gdzie urodził się Elio Vittorini, wybitny pisarz włoski; w trzydziestą rocznicę jego śmierci. Na nowo przeczytałem jego *Conversazione in Sicil'a* (1939), książkę, która przyniosła mu rozgłos we Włoszech i na świecie. Na nowo, bo była jedną z moich dwóch piędzyszych lektur włoskich nazajutrz po wojnie, obok Fontami ry Silonego.

Języków uczyłem się w „wojennym marszu”. Najpierw rosyjskiego, w więzieniach i w łagrze. Słuchając rozmów, powoli wchodząc w nie, czytając w więzieniu skrawki gazet znalezione w wychodku, a w łagrze kilka książek. Pomógł mi staro-cerkiewno-słowiański, przedmiot studiów i egzaminów na polonistycę. Ale z pisaniem rosyjskim miałem trudności, gdy współwięźniom czytałem lub pisałem rodzinne listy.

Angielskiego uczono chętnych w wojsku. Z nie najgorszym wynikiem, skoro w brytyjskim szpitalu pod Salerno poczułem się nagle jak molierowski pan Jourdain, zachwycony odkryciem, że przez całe życie „mówił prozą”. Po długim tyfusie wracałem już do zdrowia, więc irlandzka pielęgniarka przyniosła mi któregoś dnia naręczę książek angielskich do wyboru. Wybrałem na chybił trafił *Pożegnanie z bronią* Hemingwaya i właśnie ta płynna lektura, bez pomocy słownika, spokrewniła mnie z panem Jourdain. Ale Hemingway szczyił się, że w pisaniu stara się zredukować do minimum Basic English.

Włoskiego zacząłem się uczyć zaraz po przeniesieniu ze szpitala do ośrodka rekonwalescentów w Sorrento, w przeddzień wyjazdu na front pod Monte Cassino. Zachwyciła mnie łatwość nauki włoskiego (według mnie, łatwość zupełnie wyjątkowa u Polaków, z Anglikami i Francuzami jest gorzej). W wyzwolonym Rzymie przeczytałem gładko dwie wymienione wyżej książki. Obaj jednak autorzy - Silone i Vittorini - też uprawiali skromne językowo ogródki Basic Italian.

Każdy z innych powodów. Silone, kiedy staliśmy się przyjaciółmi, pokonał raz swoją małomówność i opowiedział mi, Jak dojrzał powoli do swego pisarskiego powołania. Bardzo powoli i od dzieciństwa. Jako mały chłopiec codziennie ^czesnym wieczorem, w abruzyjskiej chacie wiejskiej, siadał obok matki, która w gronie kobiet puszczała w ruch Warsztat tkacki. Tkano rzeczy proste, nie pozwalano sobie na tkaniny wzorzyste, i długie wieczorne godziny urozmaicano opowiadaniem, które były czymś w rodzaju „chłopskiego dekameronu” (rzecz prosta, bez motywów nieprzy-stojnych). W ciągu lat w umyśle przyszłego pisarza te dwie czynności - surowe, gęsto zbite i proste tkactwo oraz równie prosta i surowa narracja na głosy - połączyły się w jedną całość. Tak zaczął pisać i tak pisał do końca; a komunistyczne ślubowanie kazało mu pisać tak, aby każdy jego tekst był zrozumiały dla kafona (bezrolnego chłopca) i ledwie ociosanego robotnika. W Fontamarze wznosił się najwyżej w swojej tkacko-narracyjnej robocie.

Impuls pisarski Vittoriniego zawdzięczał wiele jego znajomości literatury angielskiej i amerykańskiej, a może więcej jeszcze jego pracy tłumacza, podglądającego przekładanych autorów. Pierwsza część Rozmowy na Sycylii powstała na lekcjach w szkole Hemingwaya (znamiennie, że Hemingway poprzedził wstępem amerykańskie wydanie *Conversazione in Sicilia*). Czyli sztuka dialogu, który buduje fakturę powieści, co amerykańskiemu pisarzowi utorowało drogę do serc i piór młodych naśladowców na całym świecie (łącznie z ZSSR). Sztuka względnie dyskretna, umiejętnie dozowana i trzymana jako tako w ryzach w takich dużych powieściach jak *Pożegnanie z bronią* i *Komu bije dzwon*. Ale doprowadzona do absurdu, graniczącego z mimowolnym komizmem, w weneckiej powieści *Przez rzekę i między drzewa*. Całymi stronicami amerykański pułkownik i wenecka hrabianka prowadzą w gondoli rozmówki miłosne w stylu: „Kochasz mnie, króliczku? Kocham, a ty mnie kochasz, pułkowniczku?”, eta, etc. Hemingway sam wystawił na pośmiewisko swój słynny styl (nazwany „sentymentalnym” przez Stempowskiego). Zostawił po sobie tylko kilka dobrych, krótkich nowel i *Starego człowieka i morze*.

W pierwszej części *Rozmowy na Sycylii* Vittorini świadomie posługuje się dialogowym wzorem swego Mistrza. Brzmi to jednak zupełnie inaczej, prawdziwie i sugestywnie, gdy dialog odbywa się między sycylijską chłopką i jej synem-Nie dziwię się, że najgłośniejsza książka Yittoriniego ja od roku 1939 do dnia dzisiejszego siedemnaście wydań. Natomiast końcowe rozdziały książki, pisane w konwencji symboliczno-aluzyjnej ze względu na cenzurę faszystowską, są dziś nieczytelne. Opadają jak pożółkłe, zwiędłe liście podstępne sztuczki pisarskie, nastawione na dodatkowe ogłupienie głupiego już z natury cenzora.

9 września Pisarz portugalski Jose Saramago jest podobno najpoważniejszym kandydatem do tegorocznej nagrody literackiej Nobla. Zasługuje na nią. Przeczytałem wczoraj po włosku jego ostatnią powieść *Ślepoty* (tytuł włoski, portugalski brzmi inaczej), nadzwyczajną i wstrząsającą, zdolną wpędzić czytelnika w chorobę psychiczną.

Napisana językiem mówionym, z rzadkimi znakami przestankowymi, z dialogami wtopionymi w nurt opowiadania, stylem, który wolno nazwać „jednym tchem”, jest alegorią o wyraźnych pokrewieństwach z Dżumą Camusa. Lecz straszniejszą. Z dżumą można walczyć, Camusowi o to właśnie chodziło w alegorycznej fantazji na temat ostatniej wojny. Saramago wpadł na pomysł niesamowity: w opisanym przez niego mieście wybucha i szerzy się błyskawicznie epidemia ślepoty, „białej choroby”, gdyż dotknięci nią niewidomi mają przed oczami biel, a nie mrok. Gdybyśmy czterech ślepców ze słynnego obrazu Bruegla (w Pinakote-ce neapolitańskiej) rozmnożyli w wyobraźni do rozmiarów prawie całej ludności miasta, otrzymalibyśmy w skrócie tkankę powieści Portugalczyka. Jego alegoria jest wyższego rzędu niż w Dżumie, usiłuje narzucić obraz ogólnej kondycji ludzkiej w stanie krańcowym, gdy Camus ograniczył się tylko do wojny. Jak zachowuje się społeczeństwo ślepców? Jest nie tylko bezbronne, ale stopniowo traci wszelkie hamulce, zwierzęce, staje się społeczeństwem bez elementarnej etyki Dekalogu. Saramago koncentruje się na grupie osób, z których jedna, żona okulisty, zachowała wzrok. Jego autorskie spojrzenie jest więc rozdwojone, co pozwala mu głębiej i dokładniej uchwycić proces niepowstrzymanej degradacji. Zdziwiająco sprawny jako narrator, popycha krok po kroku oślepiłą ludność miasta na skraj przepaści. Wszystko rozpręga się i rozkłada, nabyte „cechy ludzkie” okazują się niewiarygodnie wprost kruche, pęka wiara (proboszcz kościoła, tuż przed oślepieniem, zasłania opaskami oczy figur świętych w kościele), ludzie ślepi „spoglądają” na siebie wzajemnie z rosnącą nienawiścią, z rosnącym otepieniem i zdziczeniem.

Nie ma żadnej nadziei? W alegorii Camusa krzyżują się dwie świętości, katolicka i laicka, w nadalegorii pisarza portugalskiego nikłą nadzieję reprezentuje skromna, rozumna i dobra żona okulisty. To ona zmusza swoją grupę do oporu, to ona nie ustaje w pomocy, to ona - niewierząca - przyłapuje się na tym, że grzebiąc zwłoki umarłego używa słowa „zmartwychwstanie” zamiast „ożyje”; niby dwa słowa jednoznaczne, a przecież o różnej tonacji. Świat zawisa na cieniutkiej nici.

W powieści Camusa dżuma wygasa powoli; szczury, których zagadkowe i masowe zdychanie zwiastowało niegdyś zbliżanie się zarazy, pojawiają się znowu na ulicach miasta. Saramago przywraca powoli wzrok mieszkańcom swego oślepiłego miasta. I przesłanie swojej niezwyklej doprawdy powieści (wskazującej, jak niewyczerpane są możliwości tego gatunku pisarskiego) zamyka w słowach jednej z postaci: „Według mnie, nie staliśmy się ślepi, według mnie, byliśmy i jesteśmy ślepi, ślepi, którzy widzą, ślepi, którzy widząc nie widzą”.

Syrakuzy, 20-23 września Wręczenie nagród Premio Vittorini Siracusa odbyło się w murach Castello Maniace, zamku warownego zbudowanego przez Fryderyka II w XIII stuleciu na południowym cyplu półwyspu syrakusańskiego. Zamek Fryderyka, obsadzony przez garnizon wojska i zamknięty dla publiczności, po raz pierwszy zgodził się gościć uroczystość cywilną. Przeznaczono dla niej dawną salę rycerską o bardzo pięknym sklepieniu.



Nagroda nagrodą, przyjemna oczywiście (tym więcej, że wśród trzech nagrodzonych przez jury książek mój Portret wenecki obwołany został primus inter pares w plebiscycie czytelników), ale te trzy dni były dla mnie przede wszystkim rozkoszą powrotu do cudownych Syrakuz.

Byłem w Syrakuzach trzydzieści lat temu, w okresie powolnego otrząsania się ze zniszczeń i zaniedbań. Pamiętam wysiłek przedzierania się na siłę do piękna ukrytego w skażonym obrazie. Wiedziałem, że pewnego dnia miasto odżyje, choć widok paraliżu nie nastrojał optymistycznie. Wystarczy powiedzieć, że wyschnięte było Źródło Aretuzy, z kępą wysychających papirusów w środku. Bez przerwy przesiadywałem w Duomo, w katedrze, wpatrując się we wbu-, dowane w ściany kolumny doryckie świątyni Ateny z VI wieku przed narodzeniem Chrystusa, greckiej świątyni, która posłużyła za szkielet katedry kiedyś romanizującej wewnątrz, potem barokowej na zewnątrz. W niej tkwiła rękojmia przyszłości.

A teraz! Zjawiskowe Syrakuzy, odmłodzone, wydobyte z kurzu i gruzów, zachwycające i zachwycone sobą. Źródło Aretuzy, pełne wody, ze stadkiem kaczek i srebrzącymi się co chwila rybami, z bujnie rozrośniętymi papirusami. Mit o nimfie Aretuzie, którą ściga zakochany w niej Alfeusz, Jest „miłością wód”, zakrawało więc kiedyś na profanację wyschnięte dno. Nawet grecko-chrześcijańska katedra głośnej przypomina o splotach cywilizacyjnych. Syrakuzy są dziś ozdobą Sycylii i świadectwem Europy budowanej zło-zami, warstwami, tworzącej całość (jeśli wolno tak rzecz °kreślić) polifoniczną. Historycy nazywają ją palimpsestem narodowościowo-kulturalnym.

JMUJ Stare Syrakuzy, gdzie poruszaliśmy się bezustannie, sa małą wysepką Ortigia, połączoną dwoma krótkimi mostami z nowymi dzielnicami miasta i z wielką wyspą macierzystą, czyli Sycylią. Pytałem wciąż lokalnych znajomych i przy. jaciół, jak wytłumaczyć fakt, że Ortigia jest obyczajowo i moralnie innym światem, oddzielonym nie dwoma mostami, lecz głęboką przepaścią od nowych Syrakuz, nie mówiąc już o takich metropoliach sycylijskich jak Palermo czy Katania? Dlaczego w Ortigii można całą noc objąć bezpiecznie stare bruki, zachodzić do otwartych długo kawiarni, nie obawiając się zaczepek i rabunków ulicznych (w Palermo i w Katanii scippo należy do rzeczy nieuniknionych, a samotna turystka powinna się wieczorem zamknąć na klucz w swoim pokoju)? Odpowiedzi były różne, przeważnie „socjologiczne”, ale ja - łudząc się zapewne w dużym stopniu - przypisywałem to atmosferze, którą ukształtowały wieki historii.

Przed wyjazdem dostałem faks z Warszawy. „Zazdroścę Ci - pisał Piotr Kłoczowski - że zobaczysz Pochówek świętej Łucji Caravaggia i Zwiastowanie Antonella z Mesy-ny”. Zazdrość w pełni uzasadniona. Antonello da Messina był dla mnie zawsze wspaniałym malarzem, zdumiewająco „psychologicznym” i niechętnym konwencjom (to w jego Ecce Homo widziałem płaczącego Chrystusa na krzyżu). W mocno zniszczonym niestety Zwiastowaniu w muzeum syrakuzzańskim wpatrywałem się urzeczony w twarz Madonny: żadnej słodczy niebiańskiej w stylu Beato Angelico w Cortonie, twarz zmęczonej, ciężko doświadczonej i niemłodej już chłopki, jak u ciężarnej Matki Boskiej Piera delia Francesca, a później w Morte delia

Vergine Caravaggi<sup>^</sup> Kto wie, może to właśnie skłoniło Samuela Becketta do powiedzenia w przedśmiertnym wywiadzie: nie lubię malarstwa, nudzi mnie, z wyjątkiem Zwiastowania Antonelte' Mediolański historyk sztuki, który przyjechał specjalnie na wręczenie nagród w Syrakuzach, pokazał mi w Zwiasto<sup>^</sup>O' niu dwa okna otwarte na krajobraz, twierdząc, że Antonel? zapoczątkował ten okienny precedens malarski. Nie śmiałem zaprzeczyć, jakkolwiek jestem prawie pewien, że przed Mistrzem z Mesyny i Wenecji robili to już inni malarze. A Caravaggio? Jedno z płócien namalowanych na Sycylii 0 ucieczce z Malty. Było czarne od kopających świec w kościele Świętej Łucji w Syrakuzach, udało się na szczęście oczyścić je i przenieść do muzeum. Mężczyzna (prawie nagi) kopiący grób w Pochówku przypomina układem ciała kata w Ścięciu świętego Jana Chrzciciela na Malcie. Caravaggio lubił męskie, muskularne ciała. Martwa święta Łucja na ziemi obok grobu każe myśleć o innych jego upodobaniach.

4 października Jest ciemna noc, leje deszcz, piąta rano, jeszcze dwie godziny do przejaśnienia. Leżę w łóżku i wspominam wczorajszy dzień, nieprzytomny. Zaczął się o drugiej po południu. Kolejne telefony ze wszystkich wielkich dzienników włoskich: „Pana rodaczka, nie znana nam zupełnie poetka Szymborska, dostała Nagrodę Nobla. Musi pan o niej coś powiedzieć, natychmiast, dajemy panu dwie godziny”.

Z wielkim trudem udało mi się z tych zarzuconych na mnie sieci wyplątać: „Nie umiem pisać na kolanie. I znam zbyt słabo jej twórczość”. Opory, nalegania, niemal zakłęcia, wreszcie zwycięża twarda odmowa. Potem seria telefonów z Polski. To co innego, polski czytelnik czy słuchacz zadowolony się kilkoma słowami radości i satysfakcji z ust dość znanego kolegi po piórze laureatki. Więc dwie krótkie wypowiedzi dla telewizji i „Rzeczpospolitej”. Wieczorem zatelefonowałem z Gliwic mój przyjaciel, Jan Mazurkiewicz: właś-nie w dzienniku telewizyjnym widział i słyszał mnie w migawce na temat Szymborskiej, obok Miłosza, Mrożka i Jacka Bocheńskiego.

Pamięć płata figle, bawi się w ciuciubabkę z usiłującym s<sup>o</sup>t>ie na gwałt przypomnieć. Za dnia, podczas tego telefonicznego bombardowania, krążyłem wokół mojego pierw. szego (rzekomo) spotkania z Szymborską we Wrocławiu w maju 1994. Odbierałem nagrodę „Odry”, Szymborską przyjechała z Krakowa jako laureatka nagrody „Odry” w roku 1986. Spodobała mi się jak jej wiersze, mądre, refleksyjne, mimo pozorów lekkiej „kobiecej” minoderii filozoficznej, bardzo ujmującej i równie bezpośredniej jak w poezji Anny Świrszczyńskiej. Zamieszkała u swojej przyjaciółki, poetki Urszuli Koziół, która ją ślicznie nazywała „Wiselką”. Oto fotografia z „Odry” (marzec 1996): Urszula Koziół, Włodzimierz Bolecki, ja, Feliks Przybylak, Wi-sława Szymborską, prezydent miasta Zdrojewski, redaktor miesięcznika wrocławskiego Mieczysław Orski. A gdzie Zdzisław Kudelski? Robił fotografię.

Łaziłem po mieście z Szymborską, coraz bardziej mi się podobała, leśmianowski „kwiat, który zapisuje wiersze na liściu”. Któregoś dnia zatrzymałem ją na spacerze: „Zastanawiałem się, czy pani to powiedzieć, i zdecydowałem się w

końcu. Od lat przedwojennych śledziłem uważnie twórczość krakowskiego pisarza, Kornela Filipowicza. Ceniłem go jako pisarza do tego stopnia, że po wojnie włączyłem do mojej antologii, wydanej w rzymskim Instytucie Literackim, jego opowiadanie *Krajobraz, który przeżył śmierć*. Miała łyzy w oczach: „Ach, Boże, jak mnie to wzrusza”. Filipowicz był jej towarzyszem życia aż do śmierci.

Na kolacji (podlewanej obficie wódką) w domu Urszuli Koziół i Feliksa Przybylaka, oprócz gospodarzy i „Wisła-ki”, byłem z Boleckim i Kudelskim. Czekaliśmy na Janka Lebensteina, który miał przyjechać z Warszawy w związku z prezentacją sali jego obrazów we wrocławskim Muzeum Narodowym, z moim słowem wstępnym. Nie przyjechał. Zatelefonował późnym wieczorem, że wychodząc od przyja' ciół spadł ze schodów i rozbił sobie głowę (przypuszczalnie „zawianą”).

A teraz, wylegując się jeszcze w łóżku przed świtem, z<sup>o</sup> baczyłem w grze w ciuciubabkę coś, czego nie widziałem &

dnia - Kraków, maj 1991, moja pierwsza podróż do Polski. Nasz (mój i Lidii) gospodarz, Żuk Opalski, zaprowadził nas do ładnej siedziby pisarzy krakowskich. To było moje pierwsze spotkanie z Szyborską. Pamiętam, jak usiadła na wolnym obok mnie krzesło, nachyliła się do mojego ucha i szepnęła: „A ja wolę pana dzienniki od dzienników Gombrowicza”. Jestem człowiekiem mało (stosunkowo) próżnym, jeśli pozwoliłem temu komplementowi wymknąć się z mojej pamięci. Szykowałem się do dłuższej rozmowy z Szyborską, ale „porwała mnie” Marta Wyka do sąsiedniego pokoju, gdzie mieliśmy porozmawiać przed kamerą telewizji krakowskiej. Gdy wróciłem do głównej salki, krzesło Szym-borskiej obok mojego było już znowu puste.

#### *14 października -4/*

Marcello Flores, młody historyk z Uniwersytetu Sieneńskiego, znany jest dość dobrze w warszawskich kołach naukowych po dłuższym u nas pobycie w roli łącznika między uniwersytetami włoskimi i polskimi. Wydał teraz w Bolonii niewielki tomik 1956. Przejrzysty, inteligentny, dobrze napisany. Ale niezbyt trafnie zatytułował drugi rozdział *Kryzys komunizmu*, po którym następują rozdziały *Dwudziesty Zjazd i Polski Październik*. Delikatne słowo „kryzys” jest nie na miejscu. Zaczęła się wtedy agonia komunizmu, początek jego końca; agonia niewątpliwa dla dobrych obserwatorów, chociaż ranny śmiertelnie byk to upadał na kolana, to zrywał się rozjuszony do ataku z przekrwionymi śle-Piami i rogami wycelowanymi w przeciwnika. Czułem to, a dobre uzasadnienie analityczne zawdzięczałem Alexowi Weissbergowi, fizykowi z wykształcenia, „sowietologowi” Najlepszemu, jakiego znałem) z pasji kombatanckiej (od-Płacał swoim sowieckim prześladowcom koniec trzydziestych lat w więzieniu charkowskim; zaczął tę odpłatę napiją w Londynie Wielką czystką, książką niezrównaną).

#### *„~ Dziennik... (1993-19%) 673*

W październiku 1956 przyjechał z żoną, Zofią Cybulską, do Neapolu. „Początek końca, początek końca”, powtarzał ciągle w naszych rozmowach. Radził popierać Gomułkę niezależnie od tego, co się o nim sądziło. Tak jak niegdyś radził

popierać próbę Mikołajczyka, wiedząc, że skończy się klęską. Używał argumentów, które trafiały mi do przekonania jako byłemu więźniowi sowieckiemu. Można je sprowadzić do zdania: „W tym przeklętym, zbrodniczym ustroju ważne są, życiodajne po prostu, płomyki nadziei, nawet krótkotrwałe, skazane na szybkie zdeptanie”. Rok 1956, zainaugurowany raportem Chruszczowa, był więcej niż płomykiem: rósł i szerzył się jak płomień.

W „Kulturze” Mieroszewski „dał kredyt Gomułce”. Na emigracji wyszydzano ten artykuł, poróżnił mnie on z tak bliskimi przyjaciółmi jak Lidia i Adam Ciołkoszowie. W wiele lat później, w wywiadzie danym „Aneksowi”, Jerzy Giedroyc nazwał go „moim jedynym błędem”. Usiłowałem go przekonać, że nie był to błąd, przeciwnie - bardzo mądry ruch. Błędem byłoby ostrzeżenie z Paryża przebudzonych w kraju Polaków, że nadzieja jest złudna; że Gomułka wyrzuci w końcu na „śmietnik Historii” wyciśniętą cytrynę oporu (potrzebnego mu chwilowo).

Po dwudziestu latach powstał KOR. Był w pewnym sensie dzieckiem Polskiego Października. Jak dzieckiem i KOR-u, i Polskiego Października był niezwykle fenomen „Solidarności”, roztrwoniony niestety, zmarnowany, wyjałowiony przez małe gierki i wielkie ambicje, zdeformowany karykaturalnie w niesamowitym, niewiarygodnym wręcz fackie utorowania swymi pomyłkami i fałszywymi posunięciami (mówiąc oględnie) drogi do władzy postkomunistom (świeżo upieczonym „socjaldemokratom”); czyli tym, którzy polską opozycję tępił, prześladowali, niszczyli. Dla mnie osobiście nie do przełknięcia jest wizyta Aleksandra Kwaś-niewskiego w Maisons-Laffitte. Parę lat temu odwiedził mnie w Neapolu miły historyk, Stefan Meller (nie był jeszcze wtedy ambasadorem RP w Paryżu, był, zdaje się, jednym z wiceministrów w MSZ). Po tej wizycie zapisałem sobie jedno jego zdanie: „Taki jest kierunek historii po bankructwie komunizmu”. Po raz kolejny przekonałem się, że nie należy szukać u historyków rozeznania w krętym i kapryś-, nym biegu historii (małą literą).

Drobna dygresja. Z lat powojennych pamiętam pielgrzymki Ciołkosza do Międzynarodówki Socjalistycznej, która dbała głównie o to, by nie drażnić budowniczych „socjalizmu realnego”. Uważał za swój święty obowiązek nie opuścić ani jednego zjazdu (raz nawet uciekł ze szpitala po zawale), godząc się nawet na rolę „obserwatora” lub przesiadując cierpliwie w antyszambrach obrad. Dziś w tej tchórzliwej, zgniłej do szczytu organizacji, zasługującej doprawdy na „śmietnik historii”, wiceprzewodniczącym jest były komunista włoski, Massimo d’Alema, a socjaldemokrację Królestwa Polskiego (bez Litwy) reprezentuje Oleksy. A kogo reprezentuje nasz solidarnościowy Janosik, Zbigniew Bujak? Mam nadzieję, że kiedyś „przeprosi” za to, jak za „Solidarność”. Nikt jakoś nie zauważył, że mellerowski „kierunek historii” po 1989 roku wyznaczyło w Polsce dwóch „przepraszających”, Kwaśniewski i Bujak.

15 października Przyjechał z Lublina Zdzisław Kudelski, redaktor moich Pism zebranych, skrzyżowanie inteligencji krytycznej i niezwyklej skrupulatności w robocie. „Czytelnik” wydał już sześć naszych tomów, pozostają jeszcze cztery. Musimy popracować dwa tygodnie, codziennie też nagrywamy moją powieść

autobiograficzną. Jego obecność - rozmowy z nim i spacery - uprzytamniają mi dotkliwą dziurę w moim życiu w Neapolu, brak bezpośredniego polskiego „dotyku”. Każda taka wizyta to dla mnie przeżycie; przeżyciem był zeszłoroczny letni pobyt Boleckich, który obrodził w tomem Rozmów w Dragoniei z Boleckim, a po nim krótki wypad Kerskich z Berlina i wreszcie niedawny tydzień neapolitański Elżbiety Sawickiej.

Przedwczoraj, w niedzielę, pojechaliśmy w trójkę z Lidią do starego Neapolu. Nowością, świadcząca o zmianie mojego stosunku do Neapolu, jest odcień dumy w pokazywaniu gościom naszych skarbów. Zaczęliśmy od grobu Księcia Muzyków, wielkiego madrygalisty Gesualda (o którym właśnie napisałem długie opowiadanie), w kościele Jezusa. Potem, rzecz jasna, moja ulubiona Święta Klara. I Święty Dominik z freskiem Cavalliniego, krucyfiksem wstawionym dialogami z Tomaszem z Akwinu, reprodukcją (tylko reprodukcją, i to marną) Biczowania Caravaggia w miejscu, gdzie wisiał oryginał przed przeniesieniem do Pinakoteki na Capodimonte.

19 października Przeglądając stare włoskie kroniki teatralne, znalazłem recenzję z pięcioaktowej sztuki nie znanego mi dramaturga austriackiego, Fritza Hochwaeldera, Święty eksperyment. Przedstawienie odbyło się w Rzymie tuż po wojnie w Katolickim Centrum Kulturalnym. Austriak udramatyzował słynną misję jezuicką w Paragwaju w XVII stuleciu, która pódzicznych mieszkańców kraju zamieniła w „brodate dzieci”, posłuszne i pracowite. Jasne, że podstawą sztuki było Szczęśliwe chrześcijaństwo, głośne swego czasu dzieło osieffi-nastowiecznego historyka katolickiego, Muratoriego. Recenzent podkreślał entuzjazm sali, nie kończące się oklaski-Co oklaskiwano? Mariaż totalitaryzmu katolickiego z komunistycznym (misje jezuickie były formą eksploatacyjnego komunizmu w Imię Boże). Pisałem już kiedyś w dzienniku o Szczęśliwym chrześcijaństwie. Na szczęście, jezuici nie odwoływali się w swoich misjach, w swoim utopijnym Grodzie Słońca, do przymusu i nie nawracali siłą Indian w Paragwaju. Co pozwoliło jednemu z czerwonoskórych poga\*1’

wiernych dawnym bożkom, powiedzieć: „Mówicie, że Bóg chrześcijański wie wszystko, że nic się przed nim nie ukryje, że jest wszędzie obecny, widząc każdą rzecz czynioną w każdym miejscu. Lecz my nie chcemy Boga, który rozporządza taką wszechwiedzą i ma tak wszechwidzące oczy. Pragniemy żyć w naszych lasach i w naszych pieczarach w pokoju i wolności, nie czując nad sobą stałego nadzorca i sędziego naszych uczynków”. Nie ma zapewne tej wspaniałej wypowiedzi u Hochwaeldera. Katolickie Centrum Kulturalne przeniknięte było modną po wojnie myślą o „ideologicznej konwergencji”, czyli obrazem świata w tonacji „czerwone i czarne” (kolory sprzężone ku chwale „postępu” i „szczęśliwego chrześcijaństwa”). Zamierzchna przeszłość? A może muzyka przyszłości?

20 października Artykuł Magdziak-Miszewskiej Irracjonalność Polski posierpniowej w „Więzi” (zamiast „irracjonalności” posłużyłbym się raczej słowem „głupota”, ale mniejsza o to) jest dodatkowym dowodem na słuszność twierdzenia Giedroycia, że inteligentne Polki są o wiele inteligentniejsze od inteligentnych Polaków. Pilne więc staje się dopuszczenie kobiet do sakramentu kapłaństwa, a w

konsekwencji epoka sukcesorek papieżycy Joanny, dla ocalenia słabosilnego Kościoła.

Antykomunistyczni zwolennicy obłąpek pojednawczych z postkomunistami (w imię alternance democratiguel) używają chętnie zwrotu „zagrożenie bytu państwowego”. Tymczasem zagrożony jest nie tyle „byt państwowy”, ile profil „żądnego państwa w ustroju demokratycznym o ubożającym wciąż poczuciu etyki. Przyglądam się wypadkom belgijskim, placom i ulicom pełnym zbuntowanej ludności, która ma dosyć takiej sprawiedliwości państwowej. Ktoś Porównał te masy ludzi do gigantycznego Michała Kohlhaasa z noweli Heinricha von Kleista. Współczesny „książę” (dla Gramsciego partia „robotnicza”, dla mnie hufce bojowe umstwiennych raboczych) niech zadrży w swoich snach o potędze na widok tłumu Kohlhaasów, którzy postanowili dochodzić sami swych praw, uważając „byt państwowy” za igrzyska interesów w rękach polityków powodowanych jedynie własną zachłannością i żarłocznością.

3T22

535 eppe „671 dani)

>jtyła)

1353, 282, ł, 431, 3, 122, 3,215, 9, 48123 października Drobne, ale ważne odkrycie literackie. W papierach Stendhala (czyli konsula Beyle’a z Civitavecchia), zakupionych już dość dawno przez włoski Bank Handlowy, znaleziono dopiero teraz cenny okruszek.

22 czerwca 1832 Stendhal przebywa w Rzymie. Dwa dni wcześniej zaczął Pamiętnik egotyizmu, pracuje jak szalony, ale przerywa nagle pisanie i z tym samym rozpędem przerzuca się na inny temat. Dowiedział się mianowicie, że apartament rzymski, w którym mieszka z przyjacielem, należał kiedyś do arystokratycznej rodziny Cavalieri; i że dokładnie przed trzystu laty, w czerwcu 1532, Tommaso dei Cavalieri, młodzieniec o niezwykłej urodzie, syn pana domu, otworzył drzwi Michałowi Aniołowi, który w jakiejś sprawie przyszedł do jego ojca. Malarz miał wtedy 57 lat, Tommaso około dwudziestu. Michał Anioł przeżywa coś w rodzaju miłostnego pożaru. Mógłby powtórzyć za wierszem ze swoich Rymów. „Kto mnie obroni przed twoją piękną twarzą?” Stendhal krąży po pokojach. Ciągnie go historia tej miłości. Szkicuje plan opowiadania, szybko jednak odkłada pióro. Jak opisać (myśli) uczucia w momencie ich narodzenia, gdy panuje nad nimi tumult zmysłów, jeszcze nieokreślonych, wymykających się słowom? Czy była to prawdziwa miłość Wielkiego Artysty do osoby, czy do wcielonego Pięknego? Mówiono po kątach o homoseksualizmie Michała Anioła, chociaż nie wiadano o nim nic pewnego.

A zatem, z pewnością, miłość czysto platoniczna do przedmiotu miłości, do treści snów, do ukrytych i niejasnych pragnień. Miłość do Pięknego doskonałego, do czystej Formy, do Absolutu. Nie, nie tego szukał wówczas autor Armance.

Moja intuicja podpowiada mi, że Stendhal przestraszył się takiej opowieści, zmroził go zimny powiew miłości platonicznej w odniesieniu do wielkiej postaci historycznej, Tytana (jak nazywał Michała Anioła). O podobnych przeżyciach,

niezależnie od ich zawartości i erotycznego zabarwienia, wolno pisać jedynie w kontekście osobistym.

Przemierzył jeszcze kilka razy apartament rzymski, machnął ręką i wrócił do Pamiętnika egotyizmu.

*25 października??' \**

Pełne dwa dni czytałem przysłany mi przez autora maszynopis Rozmów w Dragonei. Prowadziliśmy te rozmowy, Włodzimierz Bolecki i ja, przez blisko miesiąc latem zeszłego roku. Codziennie rano Włodek schodził z pięterka z taśmami do nagrywania i z dobrze przygotowanym planem każdej kolejnej rozmowy. Siedzieliśmy do południa obok wygasłego kominka, przy drzwiach szeroko otwartych na wawóz dragonejski i miasteczko po tamtej jego stronie. Jak w ciągu niespełna miesiąca zdołał zamknąć w naszych rozmowach wszystko, co do owej chwili napisałem: opowiadania, Inny Świat, dziennik, eseje, medaliony malarskie, nawet dorywcze interwencje publicystyczne? Już po dwóch czy trzech pierwszych rozmowach, znając przecież mojego rozmówcę od dawna, zrozumiałem, że wejść w świat własnego Pisarstwa, za przewodnika mając świetnego, urodzonego krytyka. I codziennie rosła moja przyjemność czy satysfakcja autorska, jakby mi z latarką w ręce pokazywano prze-s'epiane dotąd wyźłobienia, rysy, załomy, ostre występy w dużej i ciemnawej pieczarze skalnej.

Zanurzony dwa dni w maszynopisie, pochłaniając z wym 5 535

3, 122, 3, 215, 9 481piekarni na twarzy rozdział po rozdziale, wracałem odruchowo w lata młodsze, kiedy Ludwik Fryde uczył mnie sztuki zwanej krytyką literacką. Bolecki jest do niego po-dobny, myślę, że zajmie w końcu jego miejsce. Nieufny i wy. magający Irzykowski coraz uważniej, z coraz większym uznaniem przyglądał się Frydemu i Wyce. To była krytyka poważna, sumienna i przenikliwa wobec omawianych autorów i książek, a równocześnie gotowa zawsze wyjść poza, w rejony, które sam autor raczej przeczuwa, niż zna. Takiej krytyki dziś nie ma, tylko Jeleński, Andrzej Kijowski i niechętnie „czerniący papier” Stempowski (z młodych chyba do pewnego stopnia Burek i Jarzębski) wiedzieli, jakimi posługiwać się narzędziami i jakie obierać drogi. Krytyka „kreacyjna” (określenie Frydego) starała się zatrzeć granice między krytykiem i pisarzem. Współbrzmienie, które wciąż słyszałem w rozmowach z Boleckim.

Krytyków dzisiejszych podzieliłbym na dwie kategorie: mrówek afrykańskich i mędrków ignorujących „programowo” omawiany tekst. Mrówki afrykańskie, dużych rozmiarów, żywią się własnymi wydzielinami lub wydzielinami swoich towarzyszek (jeśli są wyjątkowo żarłoczne). Takie swoiste perpetuum mobile w obwodzie zamkniętym obowiązuje, na naszym polskim podwórku, w stosunku do patentowanych mistrzów: Miłosza i Gombrowicza. Kiedyś uczyliśmy się w gimnazjum na pamięć broszurki profesora Ignacego Chrzanowskiego Za co powinniśmy kochać „Pana Tadeusza”?, która nam na dłuższy czas obrzydziła Mickiewicza. Mrówki afrykańskie niech o tym pamiętają. Dla mędrków autor albo książka są wyłącznie pretekstem do osobistych, mądrzejszych czy głębszych (przeważnie), dywagacji.

Jaskrawo niemoc chroniczną naszej krytyki odsłoniła okolicznościowa pochwała poezji tegorocznej Laureatki: a to że „wspaniale brzmi po szwedzku”, a to że jest „P0\*” skim Kawafisem” (w spódnicy), a to wreszcie, że jej wiersze „lgną do pamięci”. Szymborska miałaby prawo pokwitO’

Wać ten wyścig banalnych i niezbyt dorzecznych pochlebców swym skromnym, lekko zakłopotanym i miłym uśmiechem.

28 października W Forli, mieście młodości Mussoliniego, wychodzi miesięcznik „Una Citta”, który powinien właściwie nazywać się „Una Interasta”, jako że wypełniają go głównie wywiady z upatrzonymi przez redakcję osobami. Na liście owych osób znalazłem się i ja, ale przed wyrażeniem zgody poprosiłem o kilka tegorocznych numerów (miesięcznika nie ma w kioskach i księgarniach, opiera się wyłącznie na prenumeratach), żeby zawczasu wiedzieć, w jakiej będę komitywie. Dobrej, okazuje się, od razu natrafiłem na obszerny wywiad z Karolem Modzelewskim pod tytułem La delusione polac-ca, „Polskie rozczarowanie”.

Lubię i cenię pana Karola, spędzone z nim w Neapolu chwile zaliczam do bardzo przyjemnych i pouczających. Jest inteligentny, ma dar analizy, a także (co ważne) poczucie humoru. Poza tym pamiętam zawsze o jego solidarnościowych zasługach, łącznie z zaprojektowaniem nazwy Związku. Ale lubić i cenić nie znaczy koniecznie przyklaskiwać. W wywiadzie w „Una Citta” powtarza się obsesyjnie myśl, którą znam z naszej ostatniej rozmowy. Wybitny mediewista i kandydat na prezydenta RP, Modzelewski i Kuroń, wysmażyli znowu wspólny tekst po słynnym Liście do partii. Tym razem nazwałbym go deklaracją Towarzystwa Opieki nad Postkomunistami alias „Socjaldemokrata-rcu”, założonego na wzór Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Dlaczego opiekować się akurat ludzkimi czworonogami, spryciarzami, którzy nudne operacje intelektualne nad Kapitałem bądź Problemami leninizmu zamienili szybko i sprawnie na udane operacje bankowe, mają prezydenta, Premiera i kupę ministrów, szarogęszą się w Sejmie, szykują się (jak widać z dość bezwstydną listą ministra Rosatie-go) do załapania wszystkiego, co się da, zanim dojdzie do ewentualnego „boju ostatniego”? Dlaczego nie roztoczyć raczej opieki nad ich osłabionymi adwersarzami? No bo po przeciwnej stronie linii podziału w „rozczarowanej Polsce” popisuje się krzykliwy Wrzodak z koleżkami, pierwsze jaskółki faszyzmu. Nie dajmy się zwieść skromnej liczebnie garstce Wrzodaków! W oddali słyhać już stukot podkutych butów w pochodzie na Pałac Namiestnikowski, prowadzonym (tropami Eligiusza Niewiadomskiego, a nie Cezarego Baryki) przez Mazowieckich, Onyszkiewiczów, Buga-jów, Hallów i Niesiołowskich. Podobają nam się „socjaldemokraci” czy nie, w ich rękach spoczywa los polskiej demokracji.

Wpadł mi do rąk pękaty numer pisma „Kuźnica”, które, jak rozumiem, zamierza dyskretnie bronić dobrego imienia PRL, nie zapędzając się chwilowo na tereny łowieckie towarzyszek Sierakowskiej i jej podobnych. „Kuźnica” przyznaje nagrody zwane poetycznie Kowadłami. Jedno takie Kowadło otrzymał Modzelewski. Kuj, drogi i miły Panie Karolu, kuj, póki sił starczy, może kiedyś posypią się z nowego Kowadła nowe jakieś, mniej zapalne i parzące Iskry.



Matera, 30-31 października Miasto na pograniczu Apulii i Lukanii (dawnej Basili-caty), na południe od Bari, na północ od Taranto. Tutaj, przeszło pół wieku temu, od października 1944 do lutego 1945, działała polska Szkoła Podchorążych Rezerwy Artylerii. Los ultimos podrygos (jak mawiał Witkacy) przed końcem wojny. Nie miałem najmniejszej ochoty rozstawać się, jako prosty żołnierz, z moimi kolegami z baterii, prostymi żołnierzami, z którymi poprzez Monte Cassino, Ankonę, Linie Gotów i przedpola Bolonii szedłem naprzód... Dokąd? Nie nęciły mnie podchorążackie obszytia i (w przyszłogCi) oficerskie gwiazdki. Ale w moim wypadku wolna wola nie odgrywała żadnej roli, wysłano mnie do Materzy rozkazem dowództwa. Nie było do pomyślenia, zdaniem moich przełożonych wojskowych, żeby Szkołę Podchorążych ominał żołnierz „z uniwersyteckim cenzusem” i, co ważniejsze jeszcze, odznaczony krzyżem Virtuti Militari w bitwie pod Monte Cassino. Żadnej dyskusji, baczność, spocznij i szykować się do odjazdu! Transport do Materzy jest już gotów.

W przeszło pół wieku później do Materzy zaprosiło mnie Centro Carlo Levi, miejska inteligencja chciałaby posłuchać wspomnień „elewa”, który przez blisko pięć miesięcy był tu z kolegami zakwaterowany w dwupiętrowym budynku szkoły powszechnej, zarekwirowanym przez wojsko i przerobionym na kadecki kurs z koszarami. Ten budynek to jedyna rzecz, jaką naprawdę pamiętam, Matera z małej, nędznej miejsciny, w której połowa mieszkańców gnieździła się w skalnych pieczarach Sassi, stała się dużym, ładnym i żywym miastem, dobrze rozplanowanym architektonicznie, kipiącym energią. Zaraz po przyjeździe stanąłem więc przed ową szkołą powszechną, zamkniętą już wczesnym wieczorem; najpierw odpowiadałem na pytania włoskiej ekipy telewizyjnej, a potem poprosiłem, żeby mnie pozostawiono samego.

Trzy baterie, nieustanny tupot nóg, ostre komendy, lekcje przy stolikach artyleryjskich, wyjazdy za miasto na ślepe strzelanie. Wszystko otoczone gęstą mgłą. Ciekawe, że najlepiej pamiętam Artura Międzyrzeckiego, żołnierza drugiej baterii na piętrze, który codziennie rano przed zbiórką 0 ósmej zbiegał na parter, aby mi wręczyć swój nowy wiersz (miał zaufanie do mojego wyczucia poetyckiego), złote jajeczko zniesione o świcie z regularnością zegarka szwajcarskiego. Czy odnajdę skromny i ciasny bar z obszerną izbą na tyłach, w której wieczorem, przed powrotem do koszar, Popijaliśmy słodkawy sikacz Marsala (nie było w Materze ^lna), przegryzany duszonymi grzybami, jedynym skarbem °kolicznych lasków i łąk? Nie odnalazłem, w zapamiętanym IL II'

i miejscu brylował szykowny, nowoczesny bar, prawie na po-ziomie Vittorio Veneto w Rzymie. A ja łudziłem się przez chwilę, że na mój widok przystojna niegdyś właścicielka, teraz stara kobieta, otworzy ramiona i zachlipie: „Tyle lat tyle lat”. Rozpoznałem tylko kościół Świętego Franciszka, do którego co niedzielę rano wojsko maszerowało z fasonem, budząc zdumienie lugańskich chłopów w czarnych pelerynach i kapeluszach.

Było jasne od pierwszej chwili, że mój absolutny antytalent matematyczny nie predestynuje mnie do rangi przyszłego oficera artylerii. Dowódca szkoły, znający

moje pierwociny pisarskie w prasie 2 Korpusu, zaproponował mi cichą umowę: do połowy kursu normalna nauka i ćwiczenia, potem Jednodniówka (marzenie wszystkich szkół wojskowych), z wyjazdami do drukarni w Rzymie, i w końcu znośna lokata tuż przed szarym końcem listy promowanych. Zaliczam tę umowę do najkorzystniejszych w moim życiu.

Wieczorem, w sali ratuszowej, zebrali się słuchacze, liczni i przeważnie młodzi. Dla takich słuchaczy wojna jest już obecnie bajką o żelaznym wilku, trudno zatem było uniknąć opowieści od września 1939, poprzez łagry sowieckie, Bliski Wschód, kampanię włoską, do wyładowania w ich rodzinnym mieście. No i trudno było uniknąć dość względnego zainteresowania, nie wiadomo, czy autentycznego, czy tylko uprzejmego wobec gościa: młodzi dziś nie lubią słuchać o „wojennych okropnościach”, jakkolwiek nie są w swym życiu pokojowym zanadto grzeczni i odporni na inne pokusy bojowe. Należało wprawić salę w lepszy nieco humor, nie opuszczając jednak materańskich reminiscencji.

Chodziliśmy tedy codziennie podczas kursu na nieszczęsną Marsalę, która w większych ilościach zastępowała od biedy wino czy wódkę. Powrót do koszar o dziewiątej, pięknie posłany siennik, mundur w kostkę, buty pod przepisowym kątem. Raz, z wyjątkowym szumem w głowie, ustawiłeś buty pod kątem urągającym dyscyplinie koszarowej. Wy! krył to nocą podoficer inspekcyjny i postawił mnie do oortu karnego. Dowódca baterii łupnął mi kilka dni aresztu wojskowego. Ale mój butelkowy znajomy, ogniomistrz zawodowy, znający na pamięć wszystkie możliwe regulaminy służby wewnętrznej, wyjaśnił mi w tajemnicy, że kawalera Virtuti można, owszem, wsadzić do kozy, ale trzeba go aż do jej drzwi odprowadzić z orkiestrą wojskową i przed wtrąceniem za kraty zdjąć mu odznaczenie, które w przeciwieństwie do odznaczonego nie może siedzieć. A (szepnął mi na ucho znawca regulaminów) najbliższa rodzima orkiestra wojskowa znajduje się w odległości pięćdziesięciu kilometrów. Wyjaśniłem z kolei ja dowódcy baterii, że jakkolwiek więzienie nie jest dla mnie nowiną, nie zamierzam obrażać najwyższego polskiego odznaczenia wojennego. Skończyło się na paru dniach ZOK, zakazu opuszczania koszar, kary dziecinnej dla wytrawnego przestępcy.

Jednodniówka była na zakończenie kursu gotowa i bardzo się wszystkim podobała, chociaż z dowódcą szkoły miałem dość ciężką przeprowadę w związku z moim artykułem wstępnym. Nazywał się Odwaga cywilna i traktował o jej wyższości nad odwagą wojskową, co dla zawodowego majora było wierutnym głupstwem i może nawet niebezpiecznym miazmatem. Wygrałem w końcu ten spór. Przeciwwagą artykułu wstępnego był wstępny wiersz obecnego prezesa Pen, Bateria, z taką (uspokajającą majora) strofą:

Działonie, stal na cel! W ciężkich dłoniach pociski /' jak śmierć niezawodne.  
Nową błyski tworzą melodię.

Ozdobą Jednodniówki był szkic o Materze pióra Władysława Jaworskiego, poety i eseisty, którego przed wojną Jeszcze czytywałem niekiedy na łamach lwowskich „Sygnałów”. Można się było z niego dowiedzieć, że po pierwsze, ^ zaraniu dziejów nędzna (wówczas) Matera była dość potężnym księstwem

rzządzonym przez ród Loffredich, a po drugie, w XV wieku stała się widownią innej odmiany Mordu w Katedrze: zakupiona przez księcia Tramontano za wór dukatów, przeobraziła się w miejsce łupiestw i ucisku książęcego tyra, którego wreszcie podwładni, podczas porannej mszy, zabili w katedrze zwykłym kołem od płotu.

Małą sensacją podczas naszego kursu był przyjazd Melchiora Wańkowicza. Moje notowania na dowódczej giełdzie podskoczyły o parę kresek, gdy okazało się, że przyjechał po mnie. Pisał swoje wielotomowe dzieło o Bitwie pod Monte Cassino, objeżdżał pracowicie uczestników i świadków. Uzyskał natychmiast zgodę majora na wypożyczenie mnie na dwa dni. Zabrał mnie łazikiem do Palagiano czy Palagianello, gdzie na chwilowym zesłaniu przebywał Jerzy Giedroyc. Spędziliśmy w trójkę noc w jego zesłańczym pokoju u włoskiej rodziny. Wielogodzinne i nudne przesłuchanie Wańkowicza odśloniło przede mną tajniki warsztatu reportera wojennego, nieustannego poszukiwacza dość tanich efektów batalistyczno-patriotycznych. Seansowi przysłuchiwał się w milczeniu, ze zwykłą lekko zde gustowaną miną, przyszedł redaktor „Kultury”.

W pięknym, siedemnastowiecznym Pałacu Lanfranchi moi gospodarze, czyli kierownicy Centro Carlo Levi, zdołali na stałe zainstalować wystawę malarza i pisarza w dwóch częściach. Pierwsza zawiera jego obrazy z okresu zesłania w okolicach Materii w latach 1935-1936. Druga - cykl wielkich malowideł Lucania 1961 z okresu społecznego wrzenia w wielu dzielnicach południowych Włoch. To była dla mnie rewelacja. Znałem tylko Leviego pisarza, z podziwem czytałem jego głośną książkę zesłańczą Chrystus zatrzymał się w Eboli, a moja znajomość jego malarstwa ograniczała się do kilku nienadzwyczajnych portretów w reprodukcjach. Bez wahania nazwę odkryciem wizytę w Pałacu Lanfranchi.

Madrygał żalobny i Może nawet podkochiwałem się lekko w Annie F., której zostałem przed laty przedstawiony na koncercie Towarzystwa Scarlatti przy Konserwatorium Neapolitańskim, gdzie od niedawna wykładała muzykologię. Była Rosjanką z ojca, Polką z matki. Jej rodzicom udało się po rewolucji uciec do Rzymu. Tam matka umarła podczas porodu Anny, a ojciec, italianista petersburski z wykształcenia, zdołał wy-kołatać na Uniwersytecie Rzymskim wykłady zlecone o literaturze rosyjskiej. Żyli z tego, mieszkali na Zatybrzu, dziewczyna natychmiast po ukończeniu szkoły średniej dostała stypendium muzykologiczne w Neapolu. Sama była niezłą pianistką. Ojciec, z niewiadomych powodów, nie chciał przyjeżdżać do Neapolu, jego córka więc spędzała punktualnie i wiernie każdy weekend w Rzymie.

Kiedyśmy się poznali, byliśmy jeszcze względnie młodzi; rówieśnicy z roku 1919. Mnie pociągała w niej, prócz przyjemnej, ale nienadzwyczajnej urody, ta szczególna kobiecość rosyjska, w której główną, niekiedy egzaltowaną nieco miłością jest sztuka (w jej wypadku przede wszystkim muzyka i, na przyprzążkę, malarstwo oraz literatura), a osoby muszą się zadowolić drugim planem. Albo, co uprzytomniłem sobie poznawszy dokładniej życie i poezję Mariny Cwietajewej, sztuka i bliscy ludzie stają się w końcu jednym, linieją jak dwa zrosnięte nierozzerwalnie organizmy. Czy Cwietajewa kochała się w Rillem i w Pasternaku? Miłość ^o ich poezji przeistoczyła się w „zakochanie” (platoniczne) w autorach. Gdy

poznałem Annę, była przyjaciółką malarza, który podobnie jak jej ojciec nie ruszał się z rodzinnego Rzymu (czyli w praktyce z malarskiej ulicy Margutta). Jeździła zatem co tydzień do Rzymu dla dwóch mężczyzn.

Użyłem we wstępnych słowach opowiadania zwrotu „pod-kochiwałem się”, bo nie znany w innych językach poza polskim, oddaje on dobrze stan trochę zwykłej serdeczności, a trochę delikatnej infatuacji, która wie, że nie stanie się niczym więcej. I myślę, że podobne było uczucie Anny od naszych pierwszych spotkań (przeważnie na koncertach, czasem w kawiarni uczęszczanej przez muzyków). Było bowiem jasne, że i ona miała do mnie słabość. Z dwóch powodów, jak sądzę. Odezwała się w niej polska matka, nie znana poza rodzinnymi fotografiami. Sprawiała jej przyjemność znajomość z pisarzem. Kazała sobie czytać na głos polskie wiersze (a jestem lichym deklamatorem). I musiałem jej dostarczyć wszystko, co udało mi się wydrukować po włosku. Znała też oczywiście rosyjski; ale wówczas rosyjski nie znał mnie pisarza.

Niewykluczone, że lektura moich książek po włosku odsłoniła przed nią moje możliwości pisarskie, które ośmieliły ją do pewnej mglistej chwilowo propozycji.

- Mówi panu coś nazwisko wielkiego madrygalisty włoskiego: Carlo Gesualdo, książę Venosy? Marzę o napisaniu monografii o nim, grubego dzieła o wszystkim, co skomponował. Naturalnie byłoby to dzieło muzykologiczne, a Gesualdo to coś więcej niż „książę muzyków”, jak go się często nazywa...

Pamięć podsunęła mi natychmiast szkic Aldousa Huxleya, czytany bardzo dawno. Huxley znał się na muzyce, ale był raczej melomanem niż poważnym badaczem. Uderzyło mnie więc, że poświęcił cały esej madrygaliście z przełomu XVI i XVII stulecia, o którym nigdy nie słyszałem, choć większą część życia spędził w Neapolu. I nie był to „maczek” kolekcjonera osobliwości artystycznych. Huxley zachwycał się księciem Venosy i wystawił mu mały pomnik.

Anny była to nowość, tom esejów Huxleya nie istniał w przekładzie na włoski.

^\_ Coś za coś - powiedziała ze śmiechem. - Ja zdobędę dla siebie angielski szkic, ktoś mi go przetłumaczy, a w zamian za ważną dla mnie informację podaruję panu trochę druków o życiu Carla Gesualdo. Dla takiego pisarza jak pan mogą być ostrogą.

Ucieszyłem się tym bardziej, że Huxley w jednym tylko, dość enigmatycznym, zdaniu napomknął o „tragedii osobistej” swojego ulubionego madrygalisty.

II Obiecane „druki” dostałem w dużym pakiecie pocztowym, Anna niebawem po naszej rozmowie objęła wakującą katedrę muzykologii w Lecce. Nie przyjeżdżała odtąd i zamilkła (jak się potem okazało, przeżywała dość ciężko rozstanie ze swoim przyjacielem malarzem), zapewne też omijała Neapol w swoich cotygodniowych wyprawach do ojca w Rzymie.

Urwanie naszej znajomości, a właściwie zakwitającej przyjaźni, zniechęciło mnie do studiowania zawartości pakietu. Rzuciłem go na półkę.

Dopiero w roku 1985 (za Gorbaczowa) wiadomość o wyjeździe Anny z ojcem do Petersburga - podówczas jeszcze Leningradu - zelektryzowała mnie na tyle, że „ekshumowałem” księcia Venosy. List Anny, pisany w Rzymie na kolanie tuż przed

wyjazdem, donosił, że jej postarzały i schorowany ojciec chce umrzeć i być pochowany w swoim rodzinnym mieście. Córka próbowała mu przypomnieć, że miejsce wiecznego spoczynku kupili niegdyś oboje na międzynarodowym cmentarzu rzymskim obok grobu jego żony i jej matki. „Uparł się z gwałtownością, jakiej nigdy u niego nie widziałam ani nie przeczuwałam. Miałam przykre wrażenie, że porzuca moją matkę”. Uznała, że nie wolno jej puszczać go samego w tym wieku i w tym stanie zdrowia do dalekiej ojczyzny, po tylu latach emigracji. „Czy się jeszcze zobaczymy? Życie miewa niespodziane zakręty. Jedyłą pociechą jest walizka materiałów do mojej monografii. Niech pan, w imię naszej przyjaźni, nie przestaje współżyć w wyobraźni z księciem Venosy”. Ta prośba skłoniła mnie do sięgnięcia na półkę. Kilka wieczorów wertowałem dostępne, skąpe „gesualdiana”. Owocem tych wieczorów jest zapis w moim dzienniku pod datą 10 lutego 1985.

III Księciem madrygalistą zajmowano się wielokrotnie. Dla historyków muzyki i muzykologów był przede wszystkim „odnowicielem gatunku” pod koniec XVI stulecia i na początku XVII; z obowiązku wspominali, że był również mordercą. Autorzy smakujący w „historiach skandalicznych” na odwrót: ledwie napomykali o jego madrygałach, aby całą uwagę skupić na morderstwie. Istnieje więc Carlo Gesualdo, książę Venosy, jako marmurowe popiersie w panteonie muzyki włoskiej. I Carlo Gesualdo, książę Venosy, jako bohater szesnastowiecznej „czarnej kroniki”, zabójca żony i jej kochanka. W *Les dames galantes* Brantôme’a występuje w rozdziale *Sur les dames qui font l’amour et leurs maris cocus\** (w roli rogowca oczywiście). W Anglii wyszła o nim w latach dwudziestych naszego wieku książka *Musicians and Murderer*, w której podobno granica między artystą i zbrodniarzem została świadomie zatarta. Niełatwo dziś o egzemplarz. (Dopisane w roku 1996. Werner Herzog nakręcił ostatnio film *Gesualdo - Death for Five Voices*, niezbyt udany poza partiami muzycznymi).

W tłum. Tadeusza Boya-Żeleńskiego rozdział ten w *Żywotach* p”n swawolnych zatytułowany jest: *O białych głowach, które paraią się postronem miłowaniem y małżonki swe kładą pomiędzy rogale*.

Carlo Gesualdo pochodził ze znakomitego rodu neapoli-kańskiego, tytułem książęcym związany z posiadłościami i zamkami w okolicach Venosy, na granicy Apulii i Lukacji; dziedziczne feudum rodzinne znajdowało się w miejscowości Gesualdo w Irpinii, na wschód od Avellino. Przez matkę książę był spokrewniony z papieżem Piusem VI i ze świętym Karolem Boromeuszem. Ożenił się z Marią d’Avalos, z nie mniej świetnego rodu neapolitańskiego. Był trzecim mężem Marii. Dwóch poprzednich wyprawiła szybko na tamten świat, zasłużony na przydomek „pożeraczki mężczyzn”. Uchodziła za najpiękniejszą kobietę w Neapolu; i za wcielenie zmysłowości. Miała dwadzieścia dwa lata, gdy poślubiła słynnego już madrygalistę, po raz pierwszy wyszła za mąż w wieku lat piętnastu.

Książę Venosy był od niej starszy. Miał dwie namiętności, muzykę i polowania. Ówczesni kronikarze podkreślają zwłaszcza pierwszą. Spędzał dnie i noce w swojej „pracowni muzycznej”, w neapolitańskim pałacu koło San Domenico

Carlo Gesualdo był od niej starszy. Miał dwie namiętności, muzykę i polowania. Ówczesni kronikarze podkreślają zwłaszcza pierwszą. Spędzał dnie i noce w swojej „pracowni muzycznej”, w neapolitańskim pałacu koło San Domenico

Maggiore, placu Świętego Dominika (sławnego, fama głosi, że z zachowanego jeszcze balkonu dawnego klasztoru dominikańskiego dał się poznać jako kaznodzieja święty Tomasz z Akwinu). Wiele madrygałów skomponował do słów Torquato Tasso, poety, z którym był zaprzyjaźniony. Zdaniem kronikarzy, popełnił błąd, żeniąc się z kobietą tak piękną i pełną temperamentu, skoro naprawdę był zdolny do jednej tylko miłości: do Muzyki. Bywało, że długimi okresami nie zaglądał nawet do małżeńskiej alkowy, gdy Maria - samotna i trawiona gniewem - słuchała dochodzących z „pracowni” dźwięków instrumentów i słów pieśni - Traktował ją jak narzędzie rzadkich „zachcianek” i dyfrakcji seksualnych.

*Za najpiękniejszą kobietę w Neapolu uważano Marię d'Avalos, za najpiękniejszego mężczyznę, „archanioła”, abrycego Carafa, księcia Andrii. Ich romans zamienił się błyskawicznie w pasję pozbawioną wszelkich hamulców, lekroć książę madrygalista wyprawiał się na polowania, ~ 691*

książę „archanioł” (żonaty) spędzał całe noce w sypialni Marii. Zdawali się oboje nie widzieć grozy sytuacji, szczególnie Maria. Trwało to długo, dopóki pogrążony w swoich madrygałach książę żył z zamkniętymi oczami. Otworzył je w roku 1590. Upozorował 16 października wyprawę na polowanie, aby w kilka godzin po wyjeździe wrócić o północy do pałacu. Wtargnął z sekretarzem i trzema służącymi do sypialni Marii. Z zeznań świadków wynika, że po zamordowaniu obojga kochanków przez księcia i jego eskortę zdradzony mąż cofnął się jeszcze od progu do sypialni i z okrzykiem Non credo esser morta!, „Nie wierzę, że jest umarła!”, rozplatał zwłoki wiarołomnej żony krótkim mieczem, od krocza do szyi. Kronikarze piszą o podwójnej zapamiętałości. O zapamiętałości zdradzonego męża, który znęca się nad trupem żony. I o zapamiętałości obojga kochanków, którzy tej nocy wiedzieli ponoć z absolutną pewnością, co ich czeka, i na śmierć gotowali się w „uścisku miłosnym”.

Sprawę szybko umorzono. Carlo Gesualdo uciekł z Neapolu na zamek w Gesualdo, w obawie przed zemstą rodziny d'Avalos i rodziny książąt Andrii. Po roku samotności w zamku warownym, roku wyjątkowo bogatym w twórczość kompozytorską, wyjechał na książęcy dwór d'Este w Ferrarze. Ożenił się tam powtórnie z Eleonorą d'Este, bogobojną i pokorną niewiastą, i zabrał ją do swojej Venosy. Zginął w wypadku jego dorosły syn z pierwszego małżeństwa z Marią d'Avalos, a przedtem umarł niebawem po urodzeniu synek z drugiego małżeństwa z Eleonorą d'Este. Żył dalej, mimo powtórnego małżeństwa, samotnie ze swoją jedyną prawdziwą kochanką, Muzyką, coraz płodniejszy jako madrygalista. Umarł w roku 1613. Eleonora, wkrótce po jego śmierci, wstąpiła do klasztoru.

W trzy dni po tym zapisie powstał w moim dzienniku następny. Okazuje się w dalszym ciągu opowiadania na tyle istotny, że muszę go tutaj również przytoczyć.

IV Co tu ukrywać: o księciu Venosy myślałem jako wielbiciel Kronik włoskich Stendhala. Znał tę historię? Prawdopodobnie nie, bo gdyby ją był znał, jego pióro nie oparłoby się takiemu tematowi. Nie ze względu na postać księcia Venosy, który przemawia do mojej wyobraźni. Stendhal byłby zafascynowany Marią d'Avalos - zuchwałą, opętaną, nie liczącą się z niczym miłością kobiety; namiętnością, która

rzuca wyzwanie śmierci, a nawet rozkwita bujniej jeszcze w cieniu śmierci. Mniejsza o to, czy prawdziwy jest stary zapis kronikarski o parze kochanków oczekujących egzekucji „w uścisku miłosnym”. Pewne jest jedno: to Fabrycy Carafa, „archanioł”, miał instynktowny odruch cofnięcia się, gdy kochankowie uprzytomnili sobie, że książę Venosy wpadł na tropy ich związku; i to Maria d’Avalos oskarżyła go o „bojaźliwą przezorność”, jakby upatrując w ryzyku właśnie zwielokrotnioną stymulację miłosną. Zrozumiałby ją, ba - zachwyciłby się nią, twórca Matyldy de la Mole, który (jeśli mnie pamięć nie myli) napisał gdzieś, że „miłość jest wrogiem rozwagi”. Vanina Vanini z cudownej noweli pod tym tytułem nie znosi myśli, że Ojczyzna jest jej rywalką w sercu młodego karbonariusza. Księżna Campobasso z San Francesco a Ripa każe zabić swego rozważnego i „zbyt wyrachowanego” kochanka francuskiego (aby zresztą później zażywać w Rzymie czci jako „wzór wszelkich cnót”). Stendhal, jak to potrafił tylko on, skierowałby w kilkunastu niezrównanie celnych zdaniach całe światło na „oszałałą” Marię d’Avalos, księcia madrygalistę sprowadzając do roli okrutnego i tępego rogacza, a księciu „archaniołowi” wyznaczając rolę kochanka z gatunku povero diavolo.

Zdumiewa mnie, że przeszło dziesięć lat temu z takim Poczuciem miary i proporcji, dzięki kontrapunktowi Stendhala, dojrzałem jądro neapolitańskiej tragedii. Carlo Gesualdo, zbrodniarz, który „przemawia do mojej wyobraźni”, z uszczerbkiem dla niezwyklej zresztą postaci Marii d’Avalos, ofiary zbrodni. Temu pozostałem wierny do końca - ja, przysięgły stendhalista. Prawdziwą ofiarę zbrodni widziałem w księciu Venosy, a Marię d’Avalos oskarżałem o to, że go zabiła na dwadzieścia trzy lata życia wyzutego z życia.

I w tym duchu napisałem obszerny list do Petersburga. Anna odpisała mi natychmiast. Ach, jak trudno mi oddać jej radość, drżenie jej pióra! Czułem jej bliskość prawie fizyczną, nie miałem wątpliwości, że bohater jej monografii połączył nas na zawsze więzami amitie amoureuse (w naszym wieku!). Broniła zapamiętałe zbrodniarza, posunęła się wręcz do twierdzenia, że „ktoś popchnął go do zbrodni”, wcisnął miecz do ręki zakochanego - mimo zdrady, wbrew nawet zdradzie! - kompozytora, odnowiciela gatunku madrygałów miłosnych lub pobożnych. Uważano go za „muzycznego petrarkistę”, był nim do ostatniego tchnienia, choć z żalobną twarzą zranionego śmiertelnie zabójcy. „Za cud poczytuję - kończyła Anna swój list - to nasze, pana i moje, duchowe braterstwo, przymierze serc. Pragnąc go, nie wierzyłam, że kiedykolwiek nadejdzie”.

535 eppe ^ 671 ciani)

pjtyła)

135-3 282, I, 431, 3, 122, 3, 215, 9 481 Tak narodziła się, i nabrała regularności, nasza korespondencja. Co miesiąc dostawałem list z Petersburga. I tegoż dnia pisałem i wysyłałem odpowiedź. Ponieważ Anna była w stałym kontakcie ze swoimi przyjaciółmi neapolitański-mi ze środowiska muzycznego, mogłem śmiało skreślić w moich listach Neapol. Natomiast jej listy były połączeniem dialogu o „księciu muzyków” i długich partii petersburskich. Wyznaję, że byłem ich szczególnie spragniony. Chciałem wiedzieć, jak urządziła sobie życie z ojcem w jego mieście

rodzinnym. I zależało mi na poznaniu nowego życia w Sowietach po (w praktyce) upadku komunizmu w opisach bliskiej mi osoby i - co, mimo wszystkich zmian, pozostało ważne - w obcym dla cenzorów języku; każdy niuans językowy, zrozumiały dla nas obojga, umykał topornej kontroli.

Początki były trudne, Anna zamieszkała z ojcem w obskurnej klitce, wyczerpując przywiezione z Włoch oszczędności. Łagodził nieco sytuację stan ducha ojca: bardzo już stary, robił wrażenie przeżywającego na nowo, w stałej euforii, całe swoje petersburskie życie, od dzieciństwa do studiów uniwersyteckich i rewolucji. Oszczędzony przez męczarnie „lat przełomu”, miał właściwie wspomnienia dość pogodne. Zapewne, nie mógł nie widzieć ran zadanych miastu przez wojnę, zwłaszcza oblężenie, ale takie rzeczy zablźniają się dość szybko. Był wiecznie w ruchu ze swoim starczym kosturem, odnajdywał jednak dawnych, cudem ocalałych przyjaciół; wódka z natury swojej skłania do pławienia się we wspólnej przeszłości. Znalazł nawet brata swojej żony Wandy, cała reszta rodziny zginęła w łagrach. Męczyła go tylko klitka, którą musiał dzielić z córką. W Rzymie przywykł był do własnego pokoju, a wiadomo, czym jest własny pokój. A Room of One's Own, powtarzał często z tęsknotą tytuł książki Virginii Woolf, nie pamiętając zresztą, o co w niej chodzi.

W każdym razie dla Anny nastrój ojca był wielką ulgą, uprzytomniła sobie też (w jej zdaniu wyczuwało się cień melancholijnego zamyślenia), że on, który przyjechał do Petersburga umrzeć, zdawał się stopniowo w nim odżywać. Ona zaś, znając co prawda dzięki ojcu język rosyjski i częściowo kulturę rosyjską (muzykę i literaturę), była w istocie dzieckiem Włoch. Nawet okres faszyzmu, przypadający na lata jej wczesnej młodości, nawet los desastros de la guerra w końcowym okresie wojny nie odebrały jej tego specyficznego smaku życia, który w nieszczęściu nawet jest częścią włoskiej egzystencji. I który, nawiasem mówiąc, w osobliwy i niewytłumaczalny sposób rozjątrzał zawsze jej ojca. Dla niego jedynym narodem poważnym byli Rosjanie.

Szczyśliwy zwrot nastąpił po roku, w połowie 1986. Annie udało się zamieścić obszerny szkic o włoskim „księciu madrygalistycznym” w petersburskim kwartalniku muzycznym, wydawanym z przerwami przez Akademię Muzyczną. Carlo Gesualdo był znany wśród muzyków w Rosji (w roku 1960 Strawiński poświęcił mu krótki utwór Monumentum ad Ca-rolum Gesualdum), ale bardzo powierzchownie. Dano jej w Akademii lichą posadkę i nie ogrzewany nigdy pokój na bibliotekę madrygalistyczną. Uważała to za szczyt spełnionych marzeń. Prawie równocześnie związała się z nauczycielem licealnym, wdowcem i posiadaczem dwupokojowego mieszkania. Jej ojciec pozostał nareszcie sam w dawnej klitce. „Jesteśmy - pisała o sobie i swoim towarzysz (nie wzięli ślubu) - w tym samym wieku. Czyli w pana wieku. Dymitr lubi muzykę”. Do listu dołączona była fotografia. Jego surowa twarz o zgaszonym wzroku kontrastowała z jej twarzą, wciąż ładną, żywą i szlachetną, podobną trochę do twarzy Achmatowej po sześćdziesiątce.

VI Antykwariaty neapolitańskie! Świat zamknięty, króle-’stwo erudyków owiane zapachem stęchłego lub wysuszonego do cna papieru. Kto kocha stare druki,



kto lubi polować na rękopisy zagrzebane pod stosami książek, kto wierzy po cichu w swoją szczęśliwą gwiazdę odkrywcy, niech nigdy nie wychodzi z antykwariatu, mrużąc pod nosem: „Znowu nic”. Antykwariaty żyją z codziennych dostaw, jak sklepy spożywcze. Wczoraj wyszedłeś z pustymi rękami, dzisiaj błysnęło ci wśród szpargałów jak klejnot dziełko, którego od dawna szukałeś, z każdym dniem bardziej zawiedziony i zrezygnowany.

Ulica rozłupująca Neapol, czyli Spaccanapoli, dzieli się na wiele odcinków o własnych nazwach. Odcinek, nad którym od wieków unosi się duch świętego Błażeja Opiekuna Księgarzy, jest najbogatszą domeną antykwariatów. Znając ich właścicieli, można liczyć na świeże informacje, cenne, nawet nieodzowne, wobec lichego poziomu katalogów, przeważnie nie uzupełnianych od momentu wydania.

Mój antykwariusz („mój” oznacza stopień zażyłości) wiedział już od pewnego czasu, że szukam tropów „księcia muzyków”. Było coś urzekającego i intrygującego w tym, że trzy pokoiki w amfiladzie, wypełnione aż do sufitu zwałami papieru, znajdowały się w niewielkiej odległości od Palazzo di Torre Maggiore, pałacu książąt Gesualdo koło placu Świętego Dominika. Wolno było marzyć (a mól książkowy bez marzeń jest półmartwy, ledwie porusza skrzydełkami), że podziemnymi przejściami piwnicznymi druki zwane „białymi krukami” przedzierają się z pałacu do antykwariatu. W samej rzeczy któregoś dnia zatelefonował do mnie mój antykwariusz. Nie chciał przez telefon zdradzić, o co chodzi, jak gdyby obawiał się odsłonięcia tajemnicy bankowej przed włamywaczami na podsłuchu, ale poprosił, żebym przyszedł wieczorem, dodając: „Nie pożałuje pan”.

Istotnie nie pożałowałem. Otrzepana z kurzu broszurka dwudziestostronicowa, z datą wydania 1620, czyli w siedem lat po śmierci Carla Gesualdo, nosiła tytuł *La verita sulprin-cipe assassino*, „Prawda o księciu zabójcy”. Jako autor figurował Duca Federico Ignotus, więc wyraźnie autor w masce. Bez targów zapłaciłem dosyć słoną cenę. I niosłem broszurkę do domu na piersi, pod koszulą, chociaż wiedziałem dobrze, że nie takie skarby budzą apetyt złodziejasków ulicznych.

Nie było całkiem jasne, czy autor miał prawo nazywać się diukiem zaprzyjaźnionym z „księciem muzyków” (jak twierdził, bez ostentacji zresztą) i czy wyłożone przez niego w druku informacje pochodziły z pierwszej ręki, a nie z wybującego gąszczu „rzeczy zasłyszanych”. W końcu jednak zdecydowałem się przyjąć je za dobrą monetę. Ostatecznie nie byłem historycznym szperaczem, lecz kimś z zewnątrz, ^Plątany w całą tę sprawę przez zaprzyjaźnioną panią doktor muzykologii. Należało zatem jej przekazywać wszystkie znaleziska, abftoiMksataa orzekła, co jest, a co nie jest warte uwagi. Fotokopię broszurki posłałem do Petersburga. »^

VII kii Nie mogłem jednak oprzeć się pokusie dołączenia własnego komentarza listownego do twierdzeń Diuka Fryderyka Nieznanego. Ostatecznie jego twierdzenia dotyczyły psycho-logiczno-obyczajowego podłoża zbrodni, bez wdawania się jednym choćby zdaniem w dziedzinę sztuki madrygału (zdaje się, że równie mu obcą jak mnie).

Największe zaufanie budziły jego związki z ekskluzywnym światem arystokracji neapolitańskiej, czy to bezpośrednio rodzinne, czy tylko towarzyskie. Pisał o wysoko urodzonych z taką swobodą, z taką dezynwolturą, że niepodobna było węszyć w tym strojenie się w cudze piórka. Kilkakrotnie zrobił delikatną aluzję, że pseudonim Duca Ignotus został przez wiele osób z jego sfery natychmiast rozszyfrowany, lecz autor pozostał przy nim w następnych edycjach broszurki ze względów prawnych (niezbyt dla mnie uchwytnych). Wątek neapolitańskich karmazynów uprzytomnił mi (i z pewnością uprzytomnił po otrzymaniu mojego listu Annie, jeśli się tego nie domyślała), że sytuacja madrygali-sty-rogacza była powszechnie znana; i to nie jedynie równym mu rangą społeczną; także ludek wokół Palazzo Gesualdo wiedział (zapewne od służby pałacowej), co się dzieje w trójkącie „księcia muzyków”, pięknej Marii d’Avalos i księcia Andrii.

Ta konstatacja autora broszury pociągała za sobą inną, bardziej rewelacyjną. Środowisko arystokratyczne oczekiwało od zdradzonego męża zmycia hańby. I to całe środowisko, nie wyłączając rodziny kochanka. Takie były wtedy normy postępowania wśród wysoko urodzonych, w gruncie rzeczy nie różniły się od nich zanuci co poglądy plebejskie. Zniewaga, jaką para Maria d’Avalos-Fabrycy Carafa okryła księcia Gesualdo i Venosy, była afrontem krwawym; wymagała więc także krwi w odpłacie. Powtarzam, taki był wspólny sąd utytułowanych i nędzarzy. Duca Ignotus podkreślał to w swojej broszurze z wyjątkowym naciskiem, by czytelnik nie zapomniał ani na chwilę, że przed „księciem muzyków” otworzyło się jedyne wyjście: czy chciał, czy nie chciał. Oznaczało to, że mógł nie chcieć? Duca Ignotus, choć ostrożnie, nie wykluczał takiej ewentualności, zważywszy, że Carlo Gesualdo uchodził bardziej za muzyka niż za księcia; miał większe zrozumienie dla nut niż dla rodowych tradycji honoru.

W wywodzie Diuka Nieznanego brakowało jednej rzeczy, którą poruszył i przedstawił czytelnikowi dopiero na ostatniej stronicy broszury. Był to krótki i przejmujący list książęcego uciekiniera, napisany za murami warownego zamku w Gesualdo do autora broszury, w siedem lat po ucieczce z Neapolu. Autentyczny? Zmyślony? Tekst skłaniał mnie do przekonania o autentyczności. Najpierw wykropkowana linijka, zawierająca prawdopodobnie prawdziwe nazwisko i pełny tytuł adresata. Potem: „Mówiono, że kochałem bardziej muzykę od Marii; i że to stało się przyczyną tragedii. Zaprzeczam z całej siły mojego zbołałego (addolorato) serca. Nikogo i niczego w życiu nie kochałem tak, jak od pierwszego spotkania pokochałem Marię. Jestem teraz nie tylko zabójcą żony i jej kochanka. Jestem wdowcem, skazanym na egzystencję (oby krótką) żywego trupa. Wszystko, co we mnie było, umarło 16 października 1590 roku (dzień zabójstwa). Oby Bóg zlitował się choć trochę, uproszony przez świętego Karola Boromeusza, nad udręczoną duszą człowieka, który (przyznaję to) wahał się, czy straszna cena zdrady małżeńskiej nie jest warta zapłacenia za ocalenie ukochanej nad wszystko kobiety”.

Krótki przypis drobnymi literami w broszurze wyjaśniał, dlaczego „książę muzyków” okrążył rok oczekiwał w zamku Gesualdo najazdu zbrojnych mężczyzn i krwawej zemsty? J! książąt Andrii z rodziny zamordowanego Fabrycego Cara fy,

jakkolwiek dobrze było wiadomo, że i oni, jak cała aryj stokracja neapolitańska, uważali uniewinnienie zbrodni rza, podpisane nazajutrz przez sędziów i parafowane przez hiszpańskiego wicekróla, za słuszne i zgodne z rycerskimi regułami. Rzecz w tym, pisał autor broszury, że Carlo Gesualdo nie zabił żony i jej kochanka własnoręcznie, lecz z pomocą swoich pachołków. Poczucie obelgi mogły wywoływać ciosy, zadawane księciu Andrii plebejskimi rękami.

I t VIII Czują odpowiedź Anny z Petersburga była dowodem jej zadowolenia; więcej - jej radości. Dziękowała wylewnie za fotokopię broszury Diuka Nieznanego, wyrażając „absolutną pewność”, że jest autentyczna, usiłując nawet odgadnąć tożsamość autora. Wzięła się już do przekładu broszury na rosyjski, podpisała bowiem umowę z petersburskim Wydawnictwem Muzycznym na równoczesną rosyjską edycję dzieła o wielkim madrygaliście włoskim (od dawna już wydawca neapolitański czekał na oryginał). Ton listu sprawił mi przyjemność. Amitie amoureuse bardzo często rodzi się z więzów wspólnego przedsięwzięcia, które wciąż mocniej i intymniej łączą dwie osoby. Był to, zdaje się, nasz przypadek. Chociaż nie byliśmy już młodzi, Anna miała towarzysza życia w Petersburgu, a ja byłem żonaty w Neapolu.

Kilkakrotna uważna lektura listu uprzytomniła mi, co było powodem radości Anny. Pisząc dzieło o „księciu muzyków”, o jego twórczym dorobku (a znała wszystkie madrygały Carla Gesualdo), nie mogła naturalnie pominąć jego życia, w pierwszym rzędzie jego tragedii osobistej. Wyrobiła sobie o niej pogląd jeszcze w Neapolu, na początku pracy, ale wśród znajomych muzykologów trafiała zawsze na opory i sceptycyzm. I oto broszura wygrzebana przeze mnie w antykwariacie była poważnym argumentem, rzuconym na jej pustawą dotąd szalę. Gdyż Anna z intuicyjnym uporem twierdziła, że Carlo Gesualdo zamordował wiarołomną żonę i jej kochanka contre coeur, pchnięty do zbrodni przez środowisko, zakochany mimo wszystko w Marii d’Avalos. Obiecywała sobie pokazać to ostrożnie w trakcie muzykologicznej analizy madrygałów artysty, ale było zrozumiałe, że szukała również podpórki w dociekaniach biograficznych. Broszurka Diuka Nieznanego miała wszelkie cechy takiej podpórki.

Omijała jednak newralgiczny punkt zbrodni, który dla Anny był główną przeszkodą w jej czysto intuicyjnych domysłach. Jeśli przyjąć pogląd Anny i częściowo autora broszury, to skąd ten atak szału u zbrodniarza, ten jego powrót do alkowy z okrzykiem „Nie wierzę, że jest umarła!” i to jego straszne cięcie od rozkrocz do szyi?

Anna z nutką triumfu w głosie (zbyt pośpiesznego, według mnie) doniosła mi w następnym liście, napisanym w kilka dni po poprzednim, że odwiedziła przyjaciela swego ojca z czasów uniwersyteckich, profesora (emeryta) psychologii Litajewa, uważanego za wielkiego specjalistę zarówno w rodzinnym Petersburgu, jak i na wielu uniwersytetach zachodnich. Po długiej rozmowie z żywym i bystrym ciągle starszym, którego bardzo zainteresowała historia szesnastowiecznej zbrodni w Neapolu, Anna przytoczyła w skrócie konkluzję jego wywodów. Nie wolno wykluczać, że Carlo Gesualdo jak gdyby zabijał samego siebie, popełniał z

rozpaczy samobójstwo, znęcając się z taką zapamiętałością i z takim okrucieństwem nad swoją dogorywającą albo martwą już żoną. Rzadko, lecz bywają podobne wypadki (twierdził petersburski profesor) w splątanych labiryntach ludzkiej psychologii; wypadki, które można określić mianem „samobójstwa poprzez zabójstwo”.

Anna była olśniona konkluzją, a raczej hipotezą (skoro chodziło o wypadek tak odległy w czasie i przestrzeni) petersburskiego luminarza. Czy mógłbym (prosiła) odwiedzić w Neapolu, na Piazza Gesu, jej znajomego profesora psychologii, Marconiego, z którym nieraz rozmawiała o wiekowej tragedii neapolitańskiej na pobliskiej Piazza San Donie-nico, aby przedstawić mu ostrożną diagnozę jego petersburskiego kolegi? Nie mogłem się tu nie uśmiechnąć. Anna dobrze wiedziała, że odnosiłem się zawsze z nieufnością do tajemnej wiedzy psychologicznej.

IX Wszystko odbywało się w promieniu kilkuset metrów. Z placu Świętego Dominika, gdzie niegdyś znajdował się pałac rodziny Gesualdo, przeszedłem krótkim odcinkiem Spaccanapoli, nie wstępując po drodze do ulubionego kościoła Świętej Klary, na Piazza Gesu, plac Jezusa, i zajrzałem dość niechętnie do Chiesa Gesu, kościoła Jezusa. Niechętnie, bo za oryginalną fasadą dawnego pałacu renesansowego krył się ociężały, przeładowany wystrój barokowy. Ale jednak stanąłem na chwilę przed bocznym ołtarzem poświęconym świętemu Ignacemu Loyoli. U jego stóp pochowano zaraz po śmierci w Gesualdo „księcia muzyków”, nie trafiając - o dziwo! - na żadne przeszkody ze strony władz kościelnych. Wielki madrygalista był także zbrodniarzem, to prawda, ale spowinowaconym z kardynałami, papieżami, a nawet świętym.

Dokładnie naprzeciwko kościoła Jezusa, po tamtej stronie placu za centralną kolumną barokową, stała kilkupiętrowa, obdrapana i w wielu miejscach podziurawiona kamienica, o której zawsze - ilekroć przechodziłem placem do Świętej Klary - myślałem nie wiadomo dlaczego, że jest kopią petersburskiego domu czynszowego, w którym Ras-kolnikow zabił lichwiarke i jej siostrę. Zniszczony fronton nie przeszkadzał, że wewnątrz powstały piękne, wytworne mieszkania. W jednym z tych apartamentów mieszkał profesor Marconi.

Znał w dawnych latach Annę, więc z cierpliwym i życzliwym uśmiechem wysłuchał mojej relacji o broszurze Diuka Nieznanego, hipotezie petersburskiego psychologa Litajewa i nadziejach Anny, że ją potwierdzi.

- Nie mogę jej potwierdzić - roześmiał się głośno - gdyż ja i profesor Litajew, którego dwie czy trzy rozprawki czytałem w zachodnich annałach psychologii, należymy do różnych szkół badawczych. Całkowicie, biegunowo odmiennych. Dla mnie niedorzeczna jest koncepcja samobójstwa w postaci zabójstwa, odebranie sobie życia za pośrednictwem innej, zabitej osoby. Kiedy Anna mieszkała jeszcze w Neapolu, przychodziła tu do mnie czasem, słuchaliśmy razem muzyki (jestem trochę melomanem) i zawsze doradzałem jej, żeby dała spokój dochodzeniom psychologicznym i ograniczyła się do analizy dzieła. Artysta to przede wszystkim jego utwory, bałamuctwem jest grzebanie się w jego biografii. Prawda tkwi w madrygałach, a nie w zabójstwie żony i jej kochanka. Nie wątpię, że Carlo Gesualdo

zmienił się dosyć radykalnie po tej swojej krwawej aferze, jestem wszakże pewien, że zmiany odcisnęły się w jego twórczości; i tam trzeba ich szukać. Nic tu po intuicji Anny i naciągniętej bzdurnie hipotezie Litajewa. Niech pan jej to powie otwarcie w liście.

Wykonałem polecenie Marconiego. Długo nie nadchodziła odpowiedź, podejrzewałem, że poczuła się dotknięta. Powody milczenia były inne. Umarł wreszcie jej stary, ale wciąż jary ojciec (spadł ze schodów po pijanemu), a towarzyszy jej życia zmuszony był zabrać od rodziców w Charkowie swego synka z pierwszego małżeństwa. Po osieroceniu Anna stała się matką; list dowodził, że jakaś nowa i przyjemna struna drgnęła w jej sercu. Kiedyś byłem pewien, że Po śmierci ojca wróci do Włoch. Nie wchodziło to już w grę, skoro nawet swój paszport włoski zamieniła na rosyjski. Jej ojciec byłby rad, ale jej polska matka leżała ostatecznie osamotniona na rzymskim cmentarzu międzynarodowym.

W tym samym liście niektóre zdania świadczyły, że załśniła się jeszcze bardziej nasza „miłosna przyjaźń”. Anna, nie bez pewnego talentu poetyckiego, zrobiła to tak, jakby naśladowała (nie znając ich chyba) listy wiecznie kochliwej Mariny Cwietajewej, pisane często do spotkanych przypadkowo mężczyzn, pospolitszych z pewnością od Paster-naka i Rilkego (jeden taki list, do bardzo miernego i tępawego poety rosyjskiego, czytałem przed laty w Monachium dzięki samochwalczej uprzejmości adresata).

List wreszcie zawierał początek poważnego wykładu u-czonej o linii rozwojowej madrygałów „księcia muzyków”; choć nie wymieniła profesora Marconiego, i nawet słowem nie wspomniała o mojej relacji z wizyty u niego, było jasne, że posłuchała jego rady.

X Przez cały ten czas, czyli od chwili poznania Anny i wchodzenia w krąg jej zamiłowań, zbierałem systematycznie płyty z madrygałami „księcia muzyków”. Stałem się regularnym odbiorcą, zarekomendowanym przez Annę, niemiec-\* kiej firmy dyskograficznej w Kolonii, dla której Carlo Ge-sualdo był przedmiotem kultu (i podobno źródłem znacznych dochodów jako mistrz modnej naraz madrygalistyki).

Nie jestem znawcą muzyki, jestem jej miłośnikiem. I to wystarczyło, bym słuchając wieczorem płyt z mojej bogatej już kolekcji, ulegał coraz bardziej urokowi madrygałów. Krótkie utwory na pięć lub sześć głosów, przyrośniętych do tła muzycznego (głównie harfa i lutnia), na zmianę to pobożne, to miłosne, to dramatyczne, to lekkie i niemal wesołe, zachwycały mnie wciąż bardziej transpozycją poezji na język muzyki. Nie w tym rzecz, że słowa dostarczali poeci (Torquato Tasso, na przykład, był stałym dostawcą bohatera naszej opowieści), lecz w tym, że sztuka madrygału (o ile pamiętam, zauważył to właśnie Huxley) przybrała charakter sztuki muzycznych wierszy lirycznych. Zakochani w poezji wiedzą, że nawet najpiękniejszy wiersz liryczny nie potrafi przekroczyć granic słowa, że jest dzieckiem i niewolnikiem języka; w madrygałach muzyka wyzwalała go cudownie, nie naruszając jego źródła językowego. To po pierwsze. A po drugie, najwięksi nawet poeci nie są w stanie uniknąć pewnej lirycznej monotonii, która w

madrygałach rozkwita niespodzianą rozmaitością. Ile Carlo Gesualdo potrafił wydobyć z wiersza Petrarcki!

Nastrój, modulacja, styl pozwalają podzielić twórczość każdego dobrego madrygalisty na odrębne bloki czy okresy. Podobnie jak w poezji: mówimy o wielkim poecie „wczesny” lub „późny”, a czasem wprowadzamy także periodyzację geograficzną (gdzie jakie utwory powstały). Pierwszy wykład listowny Anny zalecał mi lekturę odnośnego fragmentu w *Breve storia della musica* autorstwa najwybitniejszego muzykologa włoskiego, Massimo Mila. Mój czysto amatorski stosunek do muzyki każe mi sąd uczonego znawcy wiernie zacytować: „Neapolitańczyk Carlo Gesualdo, księżę Venosy, protagonista posępnej tragedii małżeńskiej i zabójca z zazdrości, zdaje się wnosić do nienasyconej gorączki chromatycznej swojej muzyki bezmierny chaos swoich namiętności. Od Marenzia do Gesualda śledzi się przejście od uładowanej harmonii Renesansu do konwulsyjnej interioryzacji Baroku. Nadmiar dysonansów, nadużycie chromatyzmu, kaprysy harmoniczne prowadzą do pełnej anarchii tonalnej, zwierciadła duchowej udręki, kierując myśl słuchacza do romantyzmu *avant la lettre* Caravaggia”.

Nawet bez ostrzeżenia Anny mój muzykologiczny dy-letantyzm zmusiłby mnie do wyciśnięcia z przytoczonego fragmentu myśli dla mnie najistotniejszych. Mila celnie zauważył „gorączkę” i „konwulsyjność” madrygałów Gesualda - To spokrewniało jego muzykę z podobnymi cechami Malarstwa Caravaggia; uwaga niezwykle inteligentna. Ale Anna domagała się z kategorycznym naciskiem, bym pamiętał, że ten opis przylega dokładnie do madrygałów neapolitańskich przed tragedią. Wbrew obiegowym opiniom towarzyskim, Carlo Gesualdo był w uczuciach gwałtowny 4S - Dziennik... (1993-1996) 705

i łatwo ulegał pasjom. Jak Caravaggio. Lecz „konwulsyjna gorączka” malarza stale wzrastała, pchała go do zbrodni, zawiodła go na szlak tułaczki i w końcu śmiertelnie powaliła z pomocą malarii i udaru słonecznego. Natomiast Księżę Muzyków apogeum swojej „konwulsyjnej gorączki”, swojej gwałtowności, osiągnął 16 października 1590 roku, w dniu zabójstwa żony i jej kochanka; potem linia miała tendencję do opadania, żeby nie powiedzieć więcej.

Jakkolwiek nie byłem o tym stuprocentowo przekonany, przyjąłem punkt widzenia Anny. W madrygałach wczesnego Gesualda słyszało się istotnie grę namiętności, podobną do ciągłej burzy w sercu Caravaggia.

XI t i Nie byłem stuprocentowo przekonany, punkt widzenia Anny wydawał się trochę naciągany, a jednak częste słuchanie płyt z madrygałami mordercy, z madrygałami komponowanymi w latach wdowieństwa i nawet ponownego małżeństwa, czyli w drugiej połowie życia Księcia Muzyków, płyta po płycie, madrygał po madrygale, słuchanie to wciągało mnie w atmosferę, której przedtem nie zauważałem. Mam tu ochotę, a właściwie potrzebę, posłużyć się opisem metaforycznym. Jak gdyby głosy i dźwięki niósł wiatr wciskający się otworami w szybie okiennej; jak gdyby te głosy i dźwięki obijały się o ściany z przedziwnym, ledwie uchwytnym jękiem; co najważniejsze zaś, z chłodem, strasznym chłodem. Rzeczywiście, poczułem nareszcie, może nie w tak silnym stopniu jak Anna,

przedział między ukrytym pasjonatem z okresu szczęśliwej i gwałtownej młodości, a późniejszym samotnikiem wśród ludzi, szukającym bezskutecznie dla siebie miejsca w opustoszałym naraz świecie. Nie ważę się naturalnie (zwłaszcza jako amator dyletant) na oceny artystyczne, nie stawiam pierwszego okresu wyżej od drugiego albo na odwrót. Choć miłośnik ciągłej burzy w sercu Caravaggia, a więc według analogii malarsko-tmuzycznej profesora Mila skłonny do podziwiania raczej wczesnego Carla Gesualdo, byłem - przeciwnie - administratorem jego późnych madrygałów. I czasem wręcz usiłowałem sobie wyobrazić, zapłodniony subtelnym zestawieniem muzykologa, „uspokojonego” Caravaggia. Malarza, który po wszystkim, co przeżył był w młodości, po krwawych przygodach, namiętnościach i ucieczkach, wrócił w końcu do ukochanego Rzymu i swojej rozdygotanej niegdyś sztuce malarskiej nadał klasyczną równowagę spokoju i samotności.

Było rzeczą zaiste niezwykłą, że ja, mieszkając w niewielkiej stosunkowo odległości od zamku w Gesualdo, zostałem zawiadomiony przez Annę listem z Petersburga, że 16 października 1990 roku, w czterechsetną dokładnie rocznicę neapolitańskiego mordu, rodowa miejscowość Księcia Muzyków postanowiła urządzić święto. Zaproszono na nie badaczy sławnego madrygalisty z całego świata. Rzecz jasna, nazwisko Anny otwierało listę zaproszonych; było przecież wiadomo w kołach wiernych muzykowi z XVI-XVII wieku, że Anna od dość dawna pracuje nad wielką o nim książką. Przejazd Anny pokryły wspólnie Petersburskie Towarzystwo Muzyczne i Societa Carlo Gesualdo w Avellino, mieście położonym blisko zamku madrygalisty. List Anny był zawiadomieniem i prośbą, żebym przyjechał; prośbą tak czułą i przyjazną, że nie wahałem się ani chwili.

Wjechawszy około południa do miasteczka przepelnionego kolorowym tłumem, natknąłem się po paru minutach na Annę przy stoliku kawiarni w pobliżu kościoła oo. Kapucynów Santa Maria delie Grazie. Na krześle obok niej leżał stos gazet włoskich. Nie od razu zobaczyłem twarz zasłoniętą gazetą, mogłem tylko spojrzeć na jej figurę: moja rówieśnica, mimo siedemdziesięciu lat, była wciąż smukła i zgrabna jak za dawnych włoskich czasów, nikt z pewnością na oko nie odgadłby jej wieku. Miała w swojej figurze, chociaż obleczony tanimi i lichymi łańskami, coś wielkopańskiego: nieprzejrzały owoc nauk jej ojca, który snobował się na szlacheckie pochodzenie. Stałem koło niej, pochłoniętej lekturą, tak blisko, że moje kolana dotknęły jej kolan. Dopiero wtedy podniosła głowę i jej twarz, też młoda jeszcze, prawie bez zmarszczek, zamieniła się w jeden wielki i radosny uśmiech. Zerwała się ze swojego krzesła, padliśmy sobie w ramiona, całowaliśmy się jak małżeństwo po długiej rozłące. Mieszała teraz języki - dorogoj, caro - i wydało mi się, że mówi swobodniej po rosyjsku, ze szkodą dla sztywnego nieco włoskiego. Utorowaliśmy sobie, nie bez trudu, drogę przez tłum do kościoła, też wypchanego po brzegi, szumiącego jak ul z niekościelną doprawdy dezynwolturą. Na szczęście poznał Annę znajomy konserwator z Neapolu. Dzięki jego wstawiennictwu dopuszczono nas do Malowidła. Piszę to słowo dużą literą, bo było jedynym widzialnym i dotykającym dziedzictwem „muzyka i mordercy”, żeby posłużyć się tytułem angielskiej książki o nim. Prawie nie do wiary. Anna widziała je po raz

pierwszy (nie licząc reprodukcji) i pierwszy raz była w Gesualdo; ja także, co bardziej zrozumiałe. Kościół i przyległy klasztor Carlo Gesualdo kazał zbudować w roku 1592. W szesnastu lat po jego śmierci klasztor i kościół zostały rozszerzone na zlecenie siostrzeńca papieża Grzegorza XV, który poślubił był siostrzenicę Księcia Muzyków. Malowidło jest tu w istocie „perłą”, dla której zrobiono kościelną „muszlę”. Nazywa się // *perdono di Carlo Gesualdo*, wiadomo, że Książę Muzyków zamówił je u malarza florentyńskiego (nienadzwyczajnego) nazwiskiem Balducci, ale nie wiadomo, kiedy je zamówił i kiedy malarz wykonał zamówienie. Jak nie wiadomo, kto komu „przebacza”. Z nazwy zdaje się wynikać, że „przebacza” Carlo Gesualdo, czyli wiarołomnej żonie i jej kochankowi. Ale pewne szczegóły Malowidła wskazują, że to on właśnie prosi o „przebaczenie” za zabójstwo pary kochanków. Być może, dwuznaczność Malowidła była intencją madrygalisty. Nie wolno zapominać, że jego pierwszy madrygał, skomponowany w wieku młodzieńczym, nazywał się *Delicta nostra ne reminiscaris, Domine*, „Nie pamiętaj nam naszych grzechów (czy zbrodni), Panie”.

Anna przywarła wzrokiem, zamglonym czy nagle zmatowiałym, do lewego dolnego rogu Malowidła. Carlo Gesualdo na klęczkach, ze złożonymi do modlitwy dłońmi, w czarnej pelerynie z kryzowym kołnierzem; obok na stojąco jego krewny, święty Karol Boromeusz, z prawą dłonią na jego plecach, w geście rekomendacji i supliki skierowanej do Matki Boskiej, grona świętych i Odkupiciela w górnej i środkowej części Malowidła. W prawym dolnym rogu Eleonora d'Este w takim samym stroju i w takiej samej pozycji jak jej mąż. Między nimi płomienie czyścicowe, w których widać nagą parę kochanków oraz grupę aniołów ciągnących ku górze figury grzeszników. Odkupiciel na obłoku między N. M. Panną i świętym Michałem Archaniołem.

Jakim wzrokiem przylgnęła Anna do swojego Księcia Muzyków! Przesadzę mówiąc: „zakochanym”? Jego twarz, nadmiernie przez malarza wydłużona i zanadto w kolorze pożółkła, nie była z pewnością piękna. Łączyła jednak męską szlachetność wyrazu i subtelność artysty, który ofiarowuje swój dar Bogu, prosząc o przebaczenie pod opiekuńczymi skrzydłami świętego. Więc to on jednak prosił o przebaczenie, przebacząc równocześnie Marii d'Avalos i Fabrycemu Carafa w ogniu ni to przedpiekła, ni namiętności? Kiedy nareszcie Anna podniosła się z kolan i ukradkowo otarła chusteczką mokre oczy, jej uśmiech był przeznaczony dla mnie.

Zjedliśmy obiad w restauracji, której okna wychodziły na zamek w Gesualdo. Trzęsienie ziemi w roku 1980, dziesięć lat przed świętem, podkruszyło jego fasadę i zostawiło pęknięcia w murach, zwłaszcza w behedere baszty, w izolowanym od reszty zamku gabinecie muzycznym i mieszkaniu madrygalisty. Cały rejon zamkowy otoczony był z przodu i z tyłu zagrodą z cienkich deseczek, a w paru punktach t ogrodzenia wbite tabliczki ostrzegawcze: *Pericolo! Ingresso severamente vietato*.

Nie mogłem mieć żalu do Anny, że wpatrzona w basztę zamkową, nie zwracała uwagi na moje pytania o jej życie w Petersburgu. Może ich nawet nie słyszała. A może dawała mi w ten sposób do zrozumienia, że n i e chce mówić o



swojej ojczyźnie, niby to prawdziwej, a w gruncie rzeczy przybranej pod przymusem po powrocie z Włoch. To drugie wydawało mi się bardziej prawdopodobne. Znałem już niezłe reakcje innych rosyjskich wozwraszczeńców. Nie chodziło w nich o spuściznę ustroju ani o trudności akomoda-cyjne. Sowietyzm stworzył inną Rosję, nad którą zawisło inne powietrze. Uciążliwe do oddychania dla przybyszów z Zachodu.

Tymczasem rocznicowe święto wzmagało swoje rytmy, nabierało rozmachu i intensywności, jak we wszystkich włoskich świętach, zmierzających stopniowo do wieczornego apogeum. Ulicą z kościoła Santa Maria delie Grazie nadchodziła w takt orkiestry procesja i zbliżała się do naszej restauracji z zamiarem (jak nam wyjaśniono) obejścia dokoła Castello Gesualdo. Pod czerwonym baldachimem burmistrz miasteczka prowadził pod ręce biskupa Avellino i intendenta z urzędu ochrony zabytków w Neapolu. Pękały już pierwsze race, właściwa burza fajerwerków i strzałów z fuzji myśliwskich przeznaczona była na godziny od zapadnięcia ciemności do północy. Gdy milkła orkiestra, odzywały się chóry szkolne. Biskup Avellino błogosławił gapiom po obu stronach ulicy. Nie taił przy tym zadowolenia, jakby święto było obchodem triumfu Kościoła.

A przecież - co zakrawało na swoiste szaleństwo - obchodzono uroczyscie czterechsetną rocznicę mordu, krwi przelanej w pałacu neapolitańskim przez zdradzonego męża. Wystarczyło, że był arystokratycznym karmazynem, bliskim krewnym świętego i wielu purpuratów uważanych za papabili, protagonistów przyszłych conclave"ł XII \*?

Pogoda październikowa sprzyjała, słońce przygrzewało jak latem, łaziliśmy po Gesualdo bez celu, trzymając się za ręce, przystając koło odpustowych kramów, zerkając co jakiś czas w stronę widocznego zewsząd zamku. Słowa „pod-kochiwałem się lekko w Annie” były wciąż aktualne, wiek nie miał w tym żadnego znaczenia. Owo „podkochiwanie się” oznaczało nieprzerwany strumień czułości.

Zjedliśmy kolację w tej samej restauracji. Zapadły gęste ciemności, zamek znikł na chwilę, zaraz jednak zapaliły się wycelowane nań reflektory. Anna poszła do łazienki. Nie wracała tak długo, że zapukałem do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zaniepokojony, odszukałem na parkingu za kościołem samochód z tabliczką CD; samochód wypożyczony jej przez ambasadę rosyjską w Rzymie na przejazd do Gesualdo. Był zamknięty. Tknięty niejasnym przecuciem, wróciłem do naszej restauracji. Siedziałem przy stoliku do pierwszej po północy, do chwili kiedy zgasły reflektory oświetlające zamek. Dano mi grzecznie do zrozumienia opuszczeniem żaluzji w oknach, że kelnerzy czekają, aż wreszcie uwolnię ich od mojej obecności. Wyszedłem i siadłem na obrzeżu pięknej fontanny, którą Carlo Gesualdo kazał być zbudować w roku 1605. Noc pochłonęła miasteczko i jego święto.

Moje niejasne przecucie okazało się uzasadnione. W baszcie, w oknie pod behedere błysnęło i szybko zgasło światelko albo latarki kieszonkowej, albo najzwyczajniej zapałki. Dookolna pustka ośmieliła mnie, podszedłem cicho, na palcach, do ogrodzenia z desek. Było łatwo przekroczyć je, trudności zaczynały się dalej, na zamkowym zboczach pokrytym gruzami. A jednak udało mi się, stawiając

ostrożnie kroki i nieraz obsuwając się na kolana, dotrzeć do otworu jak gdyby korytarza. Był to istotnie korytarz, zasypyany kamieniami, ale możliwy do powolnego przejścia. Po jego drugiej stronie świeciło piwniczne wyjście. Gdy usiłowałem nim wyjść, nie bez lęku na dźwięk spadających kamieni, zobaczyłem nad sobą Annę. Pochyliła się i podała mi rękę.

Duża izba, zagracona i zapyłona, z chwiejnym stołem, fotelem o trzech nogach, szafą pełną papierowego śmiecia, z oknami zasłoniętymi płótnem workowym, z dużym pogruchotanym łóżem, była przypuszczalnie pracownią i sypialnią Księcia Muzyków. Anna zdołała rozpaścić mały ogień we wnęce podobnej do kominka. Rozłożyła przed nim swój ciężki płaszcz (wyglądał jak przerobiony z szynelu wojskowego) i kazała mi usiąść obok siebie.

- Tutaj - mówiła cicho, niemal szeptem - dosięgnął go cios, śmiertelny cios. Została mu właściwie jedna tylko bliska osoba na świecie, Emmanuele, syn z pierwszego małżeństwa z Marią d'Avalos. Drugą żonę, Eleonorę d'Este, która urodziła mu synka Alfonsino, niebawem zmarłego, ledwie tolerował; drażniła go jej pokorna i przesadna pobożność. Emmanuele wiązał go z jedyną ukochaną kobietą. Wyrósł na energicznego młodzieńca, ożenił się w Czechach, miał już córeczkę i oczekiwał następnego dziecka. 20 sierpnia 1613, podczas polowania, spadł z galopującego konia i zabił się na miejscu. Jego ojciec wezwał do siebie cztery osoby, sporządził i uwierzytelniał ich podpisami nowy testament, po czym zamknął się w swoim pokoju. Odmawiał przyjmowania posiłków. Postanowił w ten sposób popełnić samobójstwo. W ciągu osiemnastu przedśmiertnych dni napisał ostatni madrygał na pięć głosów, do niedawna zupełnie nie znany. Nadał mu tytuł Śmierć: upragniona, błogosławiona. Umarł 8 września wieczorem.

Urwała i odwróciła twarz w stronę ściany. Siedzieliśmy tak dość długo w milczeniu, usiłowałem podtrzymać mały ogień we wnęce podobnej do kominka. W końcu Anna wstała i z kąta izby przyniosła torbę podróżną, wydobyła zapewne z samochodu przed próbą wdarcia się do baszty zamkowej. W torbie miała mały nowoczesny aparat kompaktowy. Umieściła go ostrożnie na stabilniejszej stronie

stołu. Rozległy się dźwięki ostatniego madrygału Księcia Muzyków.

W tytule opowiadania nazwałem go „żałobnym”. Był i nie był żałobny, oddech nadchodzącej śmierci przeplatał się w nim z radosnymi przyzywami. Słowo „witaj” w głosach powtarzało się bardzo często. Ale towarzyszyła mu zawsze, jak lodowaty powiew, fraza ze słowami delicta nos-tra, nasze zbrodnie. Madrygał był przejmujący i w sumie jednak żałobny, odruchowo pomyślałem o kwartecie Schuberta napisanym kilka godzin przed śmiercią. Gdy się słucha podobnych utworów, rośnie wiara w istnienie zaświatów, które rzadko, ale przecież z dostateczną wyrazistością wsączają swą aurę w dusze umierających. Ach Boże, Boże artystów i wiernych o czystych duszach, jak wspaniale potrafisz w godzinie śmierci uchylić rąbek Swej obecności! I jak wytrwale artysta musi pracować, aby dostąpić tego przywileju przed odejściem z naszej gorzkiej i jałowej ziemi.

Anna, bez żadnych już hamulców, płakała wsłuchana w madrygał żałobny. Patrzyłem w jej zaszklone oczy i w myślach powtarzałem jedno zdanie: „Podkochiwałeś się w kobiecie zakochanej od początku w kimś innym”. Zakochanej w madrygaliście, który dziś właśnie jako zbrodniarz skończył czterysta lat? Tak, było właśnie tak. Rzadko los pozwala nam oglądać (lub przeżywać) miłość do osób umarłych. Śmiertelni są ludzie, nieśmiertelne uczucia do nich. A czy Marina Cwietajewa, rodaczka Anny, nie napisała kiedyś, że od panieńskich lat, poprzez wszystkie lata dojrzałe i wiodące do starości, kochała się i w poecie, i w mężczyźnie Puszkynie? Zdradzała go z żywymi, ale przelotnie.

Przed świtem zaczęliśmy schodzić w szarówce, pomagając sobie światłem mojej latarki, z baszty zamkowej. Za wcześnie jeszcze było na robotników restaurujących zamek. Pusto, z wyjątkiem lampy zapalanej w narożnym barze. Wypiliśmy tam kawę i poszliśmy na parking. Annie spieszyło się do Rzymu, samolot do Petersburga (z przesiadką w Moskwie) odlatywał w porze obiadowej. Uściskaliśmy się, szepnęła mi na ucho: „Nigdy cię nie zapomnę”, najpierw po włosku, potem po rosyjsku. Co oznaczało także, że jej nigdy więcej nie zobaczę. Patrzyłem na czerwone światelko jej znikającego za zakrętem szosy samochodu. Po czym zabrałem się do rozgrzewania motoru w moim samochodzie.

Trzymam teraz w rękach włoskie wydanie książki Anny Fiedotowej, duży tom bogato ilustrowany zdjęciami i nutami. Wzrusza mnie, że w Epilogu opisała nasze wspólne zejście z góry zamkowej. Zatytułowała swoją książkę Księżę Muzyków, a pod tytułem dała małymi literkami, w formie motto, napis: *Nobilissimus Carolus Gesualdus, Princeps Ve-nusinus, nostrae tempestatis Musicorum, ac Melopaeorum Princeps. Najszlachetniejszy Carlo Gesualdo, księżę Veno-sy, w naszej epoce Księżę Muzyków i Śpiewaków.*

Tak określono go w bolońskim słowniku Blancanusa w roku 1615, w dwa lata po jego śmierci.

Wrzesień-październik 1996

Neapol, 3 listopada ' ' i >\*'-'->'>

- k< n. r i Pożytek z tej wystawy jest taki, że pozwala ona lepiej zobaczyć obrzydliwe kłamstwo socrealizmu malarskiego. Można być realistą, jest nim Carlo Levi, unikając za wszelką cenę pułapki retorycznego schematu. Twarze ludzkie, zwłaszcza w tłumie (nie mówię więc oczywiście o portretach i autoportretach), ocierają się niejako z natury o schemat. A cóż dopiero, jeśli malarz jest „ideologicznie” napompowany! „Typowy” górnik, „typowy” udarnik pracy, „typowy” chłop, „typowy” żołnierz ludowego wojska. Jak stemple. Znika twarz własna, indywidualna. Coś podobnego dzieje się w socrealistycznej literaturze. Ideałem rozmaitych ciot od „sztuki postępowej” była właśnie typowość. Chodziło o to, by żadna twarz nie wyróżniała się zanadto, by widz rozpoznał od razu na bohomasie twarze wzorowych kołchoźników czy świadomych klasowo „robociarzy”. Jedną z wielu zasług Płatonowa, i przyczyn jego nękania przez żandarmów partyjnych, była cudowna swoboda w rysunku postaci.

Levi jest zadeklarowanym realistą, o tyle wybitniejszym od przereklamowanego Guttuso, że pociąga go wielka rozmaitość twarzy chłopów lukańskich, ich kobiet i dzieci. Figury ludzkie i zwierzęta malarza są częścią kamiennego pejzażu lukańskiego. Wystrzega się - co niełatwe - schematyzmu i retoryki w obrazach nędzy i opuszczenia. Kto posiedział, że bieda jest jednostajna? Każdy umiera po swojemu, każdy bieduje po swojemu. Cykl Lucania 61 w galerii materańskiej wydaje się, po długim patrzeniu, malarską wersją drugiej, nie napisanej książki Leviego, Chrystus zabłądził w drodze do Lukanii.

?>[22 5

535:ppe dani)

Wtyła) [135-3, 282, 1, 431, 3, 122, 3, 215, 9, 48119 listopada Na 22 listopada zapowiedział się redaktor wydawanego w Forli miesięcznika „Una Citta”, który specjalizuje się głównie w wywiadach z wybranymi osobami. Teraz wybór padł na mnie, moim polskim poprzednikiem był Karol Modzelewski. Krzywiłem się już na zapas, że rozmówca z Forli wciągnie mnie w dość jałowe i coraz nudniejsze dyskusje na polskie tematy polityczne, poruszone przez Modzelewskiego; gdy ja z każdym dniem bardziej skłonny jestem uważać ekipę postkomunistyczną i postludowcową za dosyć obrotną spółkę akcyjną (z bardzo ograniczoną odpowiedzialnością), którą trzyma mocno w garści, za plecami figurantów o znośnej aparycji, wytrawny i szczwany boss partyjny, Leszek Miller; jak niegdyś (co się w dużej mierze sprawdziło) widziałem w komunistach bez przedrostka „post” świadomych czy mimowolnych naśladowców mafii sycylijskiej. Ostatnim Ojcem Chrzestnym komunistycznej onorata so-cietd był generał w ciemnych okularach.

Ale na szczęście redaktor z Forli zatelefonował wczoraj, proponując jako przedmiot rozmowy Zło, zjawisko Zła. Przeczytał kilka moich książek po włosku i doszedł do słusznego wniosku, że więcej będzie pożytku z tego tematu niż z politycznej gadaniny po prózniczy. Zgodziłem się bez wahania. Tym więcej, że przygotowuję się do długiej rozmowy, na początku przyszłego roku, z pisarką francuską Edith de la Heronniere, która miałaby ochotę zanalizować przy pomocy autora moje opowiadanie Don Ildebrando, znane jej dzięki przekładowi Teresy Dzieduszyckiej.

Zło wciąż mocniej i mocniej przykuwa naszą uwagę. Wyższe Seminarium Duchowne w Pelplinie wydaje mały dwumiesięcznik, redagowany całkowicie przez alumnów, „Spojrzenia”. Jeden z członków kolegium redakcyjnego, Wawrzyniec Ciesielski, odwiedził mnie latem w Neapolu. Sprawozdanie z naszego spotkania otwiera ostatni numer pisma. „Czy zgadza się pan z poglądem - pyta alumn z Pelplina - że Zło jest brakiem Dobra, że jest pewnym nieporządkiem, że powstaje wskutek niewłaściwych relacji między elementami Dobra?” Na co ja: „Polemizuję z pojęciem, że Zło jest nieobecnością Dobra. Uważam, że Zło istnieje im-manentnie, jako zjawisko specjalne, osobne... Czasy, w których żyjemy, olbrzymi wzrost Zła we wszystkich możliwych postaciach - chyba jeszcze nie było takiego wzrostu Zła jak dzisiaj - są świadectwem...”

Świadectwem czego? Trafności tytułu, jaki Krzysztof Po-mian nadał niegdyś swej przedmowie do francuskiego wyboru mojego dziennika: *Un manicheisme a l'usage de notre temps*. „Wrażliwość autora dziennika jest manichejska i taka też jest ukryta metafizyka jego dzieła. Manicheizm nie jest jednak kultem Zła. Zakłada istnienie dwóch ostro oddzielonych zasad, których zderzenie wypełnia historię świata: Dobra i Zła, światła i ciemności”.

22 listopada tbnh Bystry i inteligentny ten redaktor miesięcznika „Una Cit-ta”, a poza tym (co najważniejsze u „wywiadowców”) umie słuchać. Wystarczyła nam godzina rozmowy, zresztą uprzedziłem go, że więcej czasu nie mam. W tej godzinie udało się zmieścić wszystko, co chciałem w dziennikarskim skrócie powiedzieć na temat Zła.

Z widocznymi wyraźnie oporami przełknął moje twierdzenie, że Zło nie jest nieobecnością Dobra, lecz czynnikiem samoistnym i absolutnie autonomicznym. „Przekona pana o tym - dodałem - każdy egzorcysta po kilkudziesięciu latach praktyki, przed upragnionym przejściem w stan spoczynku”. Dlaczego „upragnionym”? Bo Diabeł jest męczący i niezmordowany, nie popuszcza ani na chwilę. Kiedyś stosował taktykę zapewniania na rozmaite sposoby, że w ogóle nie istnieje, że jest zmyśleniem duchownych (czasem nawet papieży, jak Pawła VI). Teraz zmienił radykalnie dawną taktykę: nie tylko istnieje, ale panuje, wciąż rozszerza granice swego władania. Czemu przypisać zmianę diabelskiej taktyki? Wzmagającej się do tego stopnia dominacji Zła w świecie, że rośnie diabelska pokusa ulegania podszeptom pychy. Nie ma już potrzeby skradać się potajemnie, przybierać różne twarze, stroić odpowiednio tonację głosu, wcielać się w innych z pozoru, udawać pocziwca, słowem - grać demoniczną komedię. Nadszedł czas, zdaniem wielkiego egzorcysty od niedawna na emeryturze, podniesienia przyłbicy.

Jak wytłumaczyć tę transformację, czy można w ogóle zaryzykować jej wytłumaczenie? Mój rozmówca napiął uwagę i powtórzył odruchowo: „Można?”

Tak, można. I będzie to mój wkład oryginalny do naszej rozmowy, skoro komunały na temat Zła jako nieobecności Dobra wolno oddać na własność wieczystą księżom, nawykłym do klepania zarówno pacierzy, jak wyuczonych za młodu formułek.

Zależy mi na podkreśleniu tłustym drukiem dwóch zjawisk. Zło, z którym stykamy się codziennie, które rozpycha się coraz bardziej i coraz zuchwalej, istniało oczywiście, choć w mniejszych rozmiarach, także w przeszłości. Lecz (by podać jeden tylko przykład Zła powszedniego jak chleb) ojciec gwałcący na oczach matki w rodzinnym łóżu nieletnią córeczkę był wtedy padre-padrone, czyli nikt z rodziny nie ośmieliłby się donieść o fakcie policji lub proboszczowi. Dziś, w większości wypadków, zanikający strach wytracił mu z ręki główną broń bezkarnej przemocy.

Drugim zjawiskiem jest po prostu przeoczone często nasze dziedzictwo drugiej wojny światowej. Jakkolwiek minęło już tyle lat od jej zakończenia, w naszej podświadomości, i nawet w podświadomości młodych, którzy wojny nie przeżyli, zagnieździło się przekonanie (od wieków szczyt marzeń Księcia Ciemności) o „banalności Zła” (już samo to określenie, użyte w tytule książki o procesie

Eichmanna, stawia Hanne Arendt w czołówce myślicieli naszego stulecia). Czytał pan wydaną także po włosku książkę Browninga Ordinary People! Trudno chyba o lepszy przykład „banalności Zła”. Niemiecki batalion policji posiłkowej, złożony ze starszawych mieszkańców Hamburga (rzemieślników, drobnych biuralistów, sklepikarzy), otrzymuje rozkaz oczyszczenia Lubelszczyzny z Żydów. Zaczyna się od psychicznego wstrząsu żołnierzy, od płaczu dowódcy batalionu po odczytaniu rozkazu przed frontem oddziału, a kończy liczbą zgładzonych Żydów w ciągu dwuletniej, ciężkiej, lecz coraz „normalniejszej” i „banalniejszej” pracy. Przeszło dwa miliony. Z jaką dumą i delectacją omawiano dorobek hamburskich „zwykłych ludzi” w Diabelskim Wydziale Analiz!

Spojrzałem na zegarek, minęła już wyznaczona godzina, redaktor miesięcznika „Una Citta” zgasił maszynkę do nagrywania. Odprowadziłem go do bramy. Wydawało mi się tylko, czy naprawdę jego ręka drżała nerwowo w pożegnalnym uścisku?

26 listopada Dwie opowieści diabelskie powstały prawie równocześnie: jedna, Czarny kot, w Ameryce (1842); druga, Czarny pajak, w Szwajcarii (1840). Autorem pierwszej był wielki pisarz, Edgar Allan Poe. Autorem drugiej pisarz dość przeciętny (choć ulubieniec Canettiego), Jeremias Gotthelf. Łączy je nie tylko czerń w tytułach. Kot i Pajak są instrumentami Zła, które załęga się w podświadomości. Wyraźnie w noweli pisarza amerykańskiego: narrator jest jak gdyby sprawcą i reżyserem własnej zguby, to on rozpętał per-Wersyjnie (Poe przywiązywał wyjątkową wagę do tego słowa, pisanego w tekście dużymi literami) diabelską serię wydarzeń za pośrednictwem Czarnego Kota („najciemniejsze, złe myśli opanowały moją istotę”). Mniej wyraźnie u pogodnego z natury pisarza szwajcarskiego, który poprzestaje na podświadomym pakcie z Diabłem, Królem Trujących Pajaków. Ale i w jednym, i w drugim wypadku Zło staje się czymś w rodzaju nowotworu; wyrósł w chorym człowieku, aby w końcu usamodzielnąć się całkowicie w procesie zabijania człowieka. Dla obu opowiadań typowe jest przekonanie, że Zło nosimy w sobie. Gotthelf w Czarnym pajaku szuka pomocy u Boga, jak przystoi pisarzowi o takim literackim pseudonimie (nazywał się w rzeczywistości Albert Bitzius). Poe w Czarnym kocie sam pomaga niszczycielskim siłom szatańskim. Dla pisarzy jego pokroju Zło jest niepohamowaną namiętnością.

Rzym, 28-30 listopada Polski Instytut Kultury w Rzymie prowadzi teraz Elżbieta Jogała, to ona poprosiła mnie o spotkanie z czytelnikami, proponując bardzo luźny program. Wielka i ładna sala nabita, zdumiewająco dużo młodych twarzy, sporo Włochów, więc wieczór toczył się po włosku. Najpierw Andrzej Litwornia, polonista z uniwersytetu w Udine, przeczytał moje krótkie opowiadanie Łuk Sprawiedliwości; potem pytania z widowni i moje odpowiedzi; i wreszcie godzina chyba podpisywania książek, polskich i w przekładach na włoski.

Jedno z pytań trafiło w mój od dawna odsłonięty nerw. Jak w epoce komunistycznej przyjezdni z kraju traktowali emigrantów? Wspominam moich gości w Neapolu (często „kolegów po piórze”), lekko załęcznionych, plotących niebywałe głupstwa o emigracji. W najlepszym razie słowa sympatii dla „żywego

nieboszczyka". Przeważnie mętna paplanina, z której miało wynikać, że ja i moi towarzysze jesteśmy po prostu dezertkami, renegatami, jeśli nie zwyczajnymi zdrajcami. Skąd ci szlachetni i uduchowieni spadkobiercy Wielkiej Emigracji brali taki ładunek pogardy, historycznej ignorancji, a nawet źle ukrywanej nienawiści? Jak człowiek pokroju powiedzmy Stefana Kisielewskiego, niezwykle zasłużonego felietonisty, potrafił ze swojego mózgu wyciskać podobne brednie (których się później wstydził). Byłem i jestem nadal zdania, że na tym odcinku sowietyzacja „zniewolonych umysłów” dała najlepsze wyniki. Nasi intelektualni luminarze, łudząc się pewnie w duchu, że uprawiają wyrafinowaną, „ketmańską” grę, poddawali się stopniowo procesowi „odhistorycznienia”. Stało się to w pewnej chwili tak przykre i upokarzające, że zacząłem wykręcać się od wizyt pod rozmaitymi pretekstami.

Użyłem słowa „sowietyzacja”. Ale przecież to samo odbywało się we Włoszech pod panowaniem faszyzmu. Równie bogata tradycja emigracyjna z zeszłego stulecia (Mazzi-ni, Foscolo) i równie niechętny lub wrogi błysk w oczach na wspomnienie współczesnych fuorusciti antyfaszystowskich. A zatem? Nie ma innego wytłumaczenia: ustroje totalitarne przywłaszczają sobie obywateli (tak w przypływie euforii sławionych przez Brandysa). Możesz wierzyć lub nie w ich „ideowe dekalogi”, ale o jednym pamiętaj: trwać będą wiecznie, czyli szkoda wierzyć na ościeniu. A my, emigranci polscy, drażniliśmy i jątrzyliśmy przyjezdnych z kraju tym uporczywym i bezmyślnym (dla uczestników „prawdziwej Historii”) wierzeniem na ościeniu.

*Nazajutrz w Akademii Świętego Łukasza celebrowano w całodziennym sympozjum czterdziestolecie założenia „Tempo Presente” (1956-1968). Poproszono mnie o przewodniczenie, należę bowiem do nielicznych żyjących jeszcze współpracowników miesięcznika założonego przez parę Silone-Chiaromonte. Najlepszego, według mnie, miesięcznika w powojennych Włoszech, o ogromnych zasługach mimo dwunastoletniego zaledwie żywota. Bliskiego mi szcze46 - Dziennik... (1993-1996) 721*

5y3, 122, 3, 215, 9, 481gólnie, gdyż dzięki niemu przestałem być na krótko trędowaty w kraju pod kulturalną kuratelą komunistyczną czy komunizantką (recepta Togliattiego, „zręcznego adwokata włoskiego”, jak go nazywał Mikojan). Nie pomagały skierowane przeciwko mnie naciski włoskich i polskich (Iwaszkiewicz) „progresistów”. Ale o moim długu wdzięczności wobec „Tempo Presente” pisałem już w dzienniku wielokrotnie. Wspomniałem o nim jedynie przelotnie w przemówieniu inauguracyjnym, koncentrując się na zasługach pary redaktorów.

Na pierwszym miejscu postawiłbym ostrą krytykę „ideologii” wszelkich maści, odpowiedzialnych za wymordowanie milionów ludzi w naszym stuleciu. Szkic Silonego Ideologie i rzeczywistość społeczna otwierał pierwszy numer miesięcznika. W tymże numerze Nicola Chiaromonte zaatakował zjawisko „umasowienia” (na wzór Ortegii y Gassetta) kultury, polityki, społeczeństwa, ze szkodą dla „walorów szlacheckich”. Przypomniawszy, że „z pieczary Platona nie wychodzi się w masie, lecz pojedynczo”; mógłby przypomnieć zdanie Schopenhauera, wybrane przez Hofmannsthalera do Księgi przyjaciół, o jednostce

dźwigającej kształt historii uniwersalnej. Nie znaczy to jednak, że był radykalnym indywidualistą w duchu Maxa Stirnera; cenił „życie zrzeszone” w małych grupach (dlatego zakochał się w „Kulturze” po wizycie w Maisons-Laffitte).

Nicola też, wychodząc najpierw z Wojny i pokoju Tołstoja, a potem z Doktora Żiwago Pasternaka, postawił bardzo wówczas potrzebny znak zapytania nad „racjonalną historią heglowską”. W procesie demontażu „ideologii komunistycznej” duet redaktorów włączył ją (rzecz we Włoszech lat pięćdziesiątych niebywała!) do bloku totalitarnego; gwiazdą przewodnią miesięcznika była wielka książka Hanny Arendt.

Pismo wypowiedziało wojnę włoskiemu prowincjonalizmowi (chętnie podsycanemu przez komunistów), związało się z pokrewnymi periodykami europejskimi i amerykańskimi oraz przekopało sobie kanał na Wschód (w znacznym stopniu moje zadanie) dysydencki, nonkonformistyczny, całkowicie ignorowany w „szkole” Togliattiego i jego następców.

Silone, przede wszystkim świetny narrator (za jego arcydzieło uważam dziś nie tyle Fontamarę i Chleb i wino, ile udratyzowaną Przygodę biednego chrześcijanina), miał w miesięczniku stałą, choć nieregularną rubrykę Agenda, niezrównane, niekiedy prorocze, obserwatorium polityczno-społeczne. Tak, prorocze. Na początku lat sześćdziesiątych powiedział mi i potem napisał w swojej rubryce: „Masowość współczesnych partii, opłacanie ogromnych aparatów partyjnych to prosta droga do gigantycznych kradzieży i afer korupcyjnych”. I rzeczywiście. Od kilku lat Włochy żyją w ponurym cieniu Tangentopoli, republiki, która częściej ociera się o urzędy prokuratorskie i sądy niż o parlament.

Nicola rośnie z każdym rokiem w cenie jako eseista. W moim wprowadzeniu mówiłem o jego eseju o Malraux, trochę dlatego, że popioły autora Doli człowieczej zostały właśnie przeniesione do Panteonu. Rzecz prosta, Nicola cenił wysoko jego powieści i rozważania o malarstwie, nie mógł również zapomnieć, że służył pod jego rozkazami w republikańskiej eskadrze lotniczej podczas hiszpańskiej wojny domowej. Ale w eseju Malraux i demon działania wytknął jasno swojemu ulubionemu pisarzowi i dowódcy nieuleczalny kult siły. Nie znał, zdaje się, charakterystycznego epizodu, opowiedzianego mi przez Michała Hellera, który przyjaźnił się z Borysem Suwarinem. Suwarin, Francuz z urodzenia, Rosjanin z pseudonimu i moskiewskiego komunizmu za młodo, napisał po powrocie do Paryża prawdziwą monografię Stalina, dziś uważaną za dzieło klasyczne. Maszynopis zaniósł do Gallimarda, gdzie lektorem był wtedy Malraux. Po jakimś czasie lektor zwrócił autorowi książkę ze słowami: „Na pewno pan i pana przyjaciele macie rację, Stalina jednak będziemy mogli wydać, gdy staniecie się silniejsi”. Tak we Francji traktowano wszystkich „słabych”, między innymi autora Innego Świata, który na wydanie swej książki czekał trzydzieści lat. Ma tę chociaż satysfakcję, że na starość stał się trochę „silniejszy”; i za trochę „silniejszego” uchodzi na Zachodzie.

5 grudnia W długiej rozmowie dziennikarzy „Rzeczpospolitej” z prezydentem RP Kwaśniewskim pada ze strony najwyższego dostojnika państwowego postulat: „Patrząc zimno i realnie, okazuje się, że pozostaje tylko droga współpracy i sporu o



to, co naprawdę dzisiaj określa Polskę i jej przyszłość. Politycy nie powinni zajmować się historią, bo niczego dobrego z tego nie zrobią. Więcej, dziennikarze i intelektualiści też są bezradni wobec historii". Dziennikarze „Rzeczpospolitej” w lot zrozumieli istotę tego postulatu i całej rozmowie nadali tytuł Politycy nie powinni zajmować się historią. Gdyby urządzano u nas regularnie konkursy na największe bałamuctwo roku, osobliwy prezydencki apel Polski „bezhistorycznej” (jak by powiedział Norwid) ozdobiłby Głowę Państwa wawrzynem zwycięzcy za rok 1996.

Bez wdawania się w jakiegokolwiek ryzykowne i zwodnicze analogie, czy można sobie wyobrazić, że po upadku faszyzmu we Włoszech prezydent De Nicola i premier De Gasperi wzywają swoich rodaków do odwrócenia się od przeszłości (wstydlivej) w imię przyszłości (godniejszej)? Albo że de Gaulle ulega zakłębom polityków pokroju Mitteranda i zamyka niegodziwości Vichy w rządowej kasie ogniotrwa-łej? Albo wreszcie, że kanclerz Adenauer przemilcza na we4 wnątrz zbrodnie Trzeciej Rzeszy w interesie szybszej nie-l mieckiej rekonwalescencji? Posypywanie przeszłości naftali-l ną, a przyszłości różnymi płatkami jest specjalnością post-komunizmu (z częściowym wyjątkiem Czechów).

Bezhistoryczność ma w sobie coś z zakaźnego procesu chorobowego amnezji. Spadkobiercy okrytej chwałą „Solidarności” postanowili przygotować się do wejścia w szranki wyborcze, Krzaklewski pielgrzymuje często do Rzymu i kokietuje Wielkiego Elektora, wyniki operacji są już w sondażach wyraźne. Ale czy ewentualni przyszli wyborcy zażądają od „Solidarności”, żeby uderzyła się w piersi za decydującą pomoc w przepchaniu Jaruzelskiego na stolec pierwszego prezydenta RP i za spowodowanie (do spółki z SLD i PSL) upadku rządu Suchockiej? Nie, bo zapewne już nie pamiętają, pamięć historyczną określają z przekąsem mianem „pamiętliwości”, historię uważają za kulę u nogi, odnajdują się w apelach swego bezhistorycznego prezydenta. Być może, ockną się kiedyś i spróbują pokonać chorobę. Nie jest bynajmniej pewne, że zdołają łatwo odzyskać to, co nazywamy „historycznością narodu”.

6 grudnia '???????

Dałoby się pokazać, że bezhistoryczność tkwi u źródeł komunizmu. W roku 1917 rozpoczęła się całkowicie nowa epoka, przeszłość liczyła się tylko wybiórczo dla celów agitacji politycznej, rugowano „wczoraj”, życie rozpięte było między „dzis” i „jutro”. Utopijne korzenie komunizmu syciły przede wszystkim przyszłość, stąd tytuł ironicznej powieści Zinowiewa Swietłoje buduszczeje - Świetlana przyszłość. Ale prawdziwsza i po jakimś sprawiedliwsza od współczesnej nam powieści Zinowiewa (z czasów „kryzysu komunizmu”) była nie skończona powieść pisarza utopijnego (czy antyutopijnego), Andrieja Płatonowa, Szczęśliwa Moskwa z roku 1933. Młoda bohaterka, Moskwa Iwanow-na Czestnowa, jest trochę starsza od Rewolucji Październikowej; ze swoimi sowieckimi rówieśnikami należy do świata bez historii, żyje wyłącznie, podtrzymywana przez abstrakcyjną siłę utopii, terażniejszością (w codziennej praktyce) i przyszłością (w „ideologicznej” teorii). Brodski, który był przysięgłym admiratorem Płatonowa, ukuł bardzo trafne określenie „eschatologia rewolucyjna”. Skończyła się ona prawie w latach

trzydziestych, lecz nawet w apogeum stalinowskiej rzeczywistości zachowała szczątki bezhistoryczności. I, jak sądzę, także postkomuniści z ukrywaną obecnie pogardą, nie mówiąc o zwykłej ignorancji, odnoszą się do epoki przedpotopowej (czytaj: przedrewolucyjnej).

Genialny Orwell wyczuł to intuicją, a raczej znakomitą inteligencją. W życiu Winstona Smitha z Roku 1984 przełomem jest odnajdywanie staroci, wpatrywanie się w dziury w zakopanym niedoskonale jeszcze strumieniu historii.

Mediolan, 7-14 grudnia Tydzień w Mediolanie, w gościnie u rodziny Cataluccio. On, Francesco, „dyrektor wydawniczy”, najlepszy we Włoszech znawca spraw polskich i literatury polskiej; ona, Pat-rizia, spędziła w Polsce pół roku i też nieźle mówi po polsku; trzyletnia córeczka Bianca, urocze i inteligentne dziecko, powtarza dobrze za ojcem polskie słowa.

Z wyjątkiem dni przylotu i odlotu oraz krótkich przejażdżeń, lało i było zimno. Warunki prohibicyjne dla mnie „sercowca”, więc przeważnie siedziałem w domu, czekając na powrót moich gospodarzy z pracy. Ale kilka ważnych spraw udało mi się załatwić. Najważniejsza była wizyta mojego mediolańskiego wydawcy, Feltrinello, który przyjął mój kolejny, tym razem „mieszany” tom Dziennik i no\ we opowiadania.

Odnowiłem znajomość z Enrico Deaglio, autorem nie-1 zwykłej książki Banalność Dobra (historia włoskiego handlarza bydła, faszysty, uczestnika hiszpańskiej wojny domowej po stronie generała Franco, który znalazł się w Budapeszcie w końcowej fazie wojny - wraz z Eichmannem wy-1 kańczającym właśnie „rozwiązanie ostateczne” na odcinku węgierskim - zajął miejsce nieobecnego konsula hiszpańskiego i uratował życie trzem tysiącom Żydów przeznaczo-

nych do gazu), od niedawna redaktorem „Diario”, tygodniowego dodatku do „Unita”, byłego organu włoskiej partii komunistycznej, obecnie codziennego pisma włoskich postkomunistów, czyli „socjaldemokratów”. Deaglio jest panem na swoim folwarku, za zgodą mocodawców drukuje, co chce. Zachciało mu się zaproponować mi drukowanie raz na miesiąc fragmentów mojego dziennika z „Rzeczpospolitej” (czytał pierwszy włoski tom mojego dziennika w wydaniu Feltrinello). „Przecież pan zna moje poglądy, rzadko się pan z nimi zgadza”. „Co nie przeszkadza, że nie ruszę w tekście ani jednego przecinka”. Uwidim, skazał slepoj.

Skarbem wywiezionym z Mediolanu była otwarta ostatnio „wystawa arcydzieł sztuki europejskiej” z Muzeum Narodowego w Bukareszcie Da Antonello da Messina a Rem-brandt.

Przede wszystkim sam Antonello, mój podziwiany Mistrz. Widziałem wielokrotnie w reprodukcjach jego Ukrzyżowanie, zawsze z melancholią patrząc na podpis: Muzeum Sztuki w Bukareszcie. Mogłem marzyć o wyjeździe do Bukaresztu tylko tak, jak przed wielu laty wyjechałem do Pragi Fran-za Kafki, to znaczy w wyobraźni. I oto nareszcie ten niewielki obraz i wielkie, wielkie arcydzieło w mediolańskiej galerii. Biło mi serce, oparłem się o występ ściany.

Kompozycja taka sama jak w Ukrzyżowaniu Masaccia z neapolitańskiej Pinakoteki, jestem pewien, że Antonello widział płótno swego poprzednika. Tyle że

u Masaccia Chrystus jest samotny, z przetraconym kręgosłupem i płaczącymi kobietami u stóp Krzyża, a Antonello domalował jeszcze dwóch zbirów po bokach, każąc wzrok zatrzymać na ich przegiętych łukowato ciałach; i że nie odmówił sobie tła, Zatoki Messyńskiej z Wyspami Eolskimi na horyzoncie. Kompozycja jest taka sama w obrazie płaczących kobiet. Jak u Masaccia, który w tym obrazie skupił główny akcent kolorystyczny. Naśladował go Antonello (urodzony dwa lata po śmierci Masaccia). Pozostał tej kompozycji wierny w Ukrzyżowaniu antwerpskim, zmienił jedynie układ kobiet i zmniejszył ich liczbę. Wpatrując się w klejnot kolekcji rumuńskiej, myślałem, jak ogromną siłę posiada motyw ukrzyżowania w trwaniu chrześcijaństwa.

Nigdy bym nie uwierzył, że zbiory bukareszteńskie są tak bogate: Rembrandt, Tintoretto, Bruegel, Cranach, Zurbarán, Murillo, Lotto, El Greco, Luca Giordano. Lekkie krę-4 żenie głowy od nadmiaru. Rembrandt w urzekającej wersji malarstwa „nocnego”: Aman prosi Esterę o przebaczenie! To nie ciemności, to głęboka noc wyzłocona szatą Estery. Czerwona w rogu, w postaci klęczącego Amana. El Greco w Męczeństwie świętego Maurycego i w Zareczynach Dzieł wicy jest malarzem figur jak podłużnych płomieni, ale nie-[wykluczone, że z niego wyrósł po wiekach Giacometti. Al Bruegel? Jego Rzeź niewiniątek, bez kropli krwi na śniegu, prawie wesoła jak ślizgawka.

Cała sala malarstwa holenderskiego z XVII wieku. Przy-1 zwyczajono nas do zachwyty nad Holendrami, a obfitości malarska stulecia wydała na świat dużo „knotów”. Przy-1 ciągnęła mnie Kuchnia Ryckaerta, z diabłem przy bocznym stoliku. Była zapewne przypomnieniem grzechu obżarstwa.

18 grudnia Tylko ja i Turowicz nie ukrywaliśmy sceptycyzmu w obliczu cudu, który postkomunistów przemienił w ciągu nocy w „socjaldemokratów”. Ja - biorąc to słowo zawsze w cudzysłów, Turowicz - stawiając przy nim znak zapytania. Przybył nam ostatnio trzeci sceptyk, i to dużego kalibru. Włoski postkomunista i wicepremier w obecnym rządzie, Walter Veltroni. Ponieważ wódz włoskich postkomunistów, Massimo d'Alema, postanowił stworzyć wielką partię „socjaldemokratyczną”, do której spłynęłyby jak do wielkiej rzeki drobne strumyki lewicowe, jego zastępca, Veltroni, oświadczył trafnie i uczciwie: „Byłaby to operacja niewiarygodna. My, komuniści mieliśmy tylko jedną okazję wiarygodnego przedzierzgnięcia się w socjaldemokratów, mianowicie w roku 1956, po raporcie Chruszczowa, po polskim Październiku i po stłumieniu Powstania Węgierskiego; nie zrobiliśmy tego, przeciwnie - zaakceptowaliśmy «nieod-zowne ruchy Historii» i «konieczną interwencję zbrojną ZSSR» na Węgrzech. Więc dajmy teraz spokój. Nikt rozsądny nie uwierzy dziś w naszą «socjaldemokratyczność»,.. Polecam tę refleksję, podobną do mojego aktu nieufności i do rezerwy Turowicza, prezydentowi Kwaśniewskiemu, przywódcy Socjaldemokracji RP, i Naczelnemu Reżyserowi operacji, Leszkowi Millerowi.

20 grudnia W okresie ucieczki przed aresztowaniem Osip Mandel-sztam krążył z żoną Nadieżdą dokoła Moskwy w dozwolonym promieniu stu kilometrów. Zmieniał codziennie miejscowości i kwatery. Raz spędzili noc w rodzinie robotniczej.

Gospodarz nie taił swojej niechęci do Stalina, ale oczywiście zdradzał ją bardzo ostrożnie aluzjami i mimiką. Przy śniadaniu Mandelsztam zagłębił się w lekturze „Prawdy”. Tego dnia artykuł wstępny wynosił pod niebiosa „humanizm sowiecki”. Mandelsztam odłożył gazetę i powiedział do żony, nie odrywając wzroku od gospodarza. „Okazuje się, Nadieńka, że jesteśmy w łapach humanistów”.

Z „odami do Stalina” bywało różnie, także w krajach podsowieckich, pozbawionych tak silnego jak w Rosji „instynktu państwowego”. Ale nienawiść do Stalina przenikała Mandelsztama do głębi (pod tym względem rzekomy „wierszyk satyryczny”, za który usiłował przeprosić „oda”, znaczy i waży więcej od aktu ukorzenia się przed tyranem). Dzielił ją z Achmatową, też autorką „ody” in extremis (myślała wciąż o ocaleniu uwięzionego syna).

Czapski opowiadał mi o spotkaniu z nią w pokoju hotelowym w Paryżu. Wracła z Taorminy, gdzie wręczono jej nagrodę poetycką. Pamiętała pierwsze wojenne spotkanie z Czapskim w Taszkencie. W rozmowie paryskiej zdarzało jej się dotknąć niekiedy „tematu drażliwego”, otrzeć się o cień zmarłego już Stalina, i wówczas szybko zapisywała i podawała rozmówcy karteczkę. Po czym odbierała ją i darła na drobne strzępki.

W pokoju siedzieli również dwaj starzy biali emigranci rosyjscy i przyglądali się temu procederowi ze zdziwieniem, zważywszy rok, w którym się odbywał. Wywidite - szepnęła Achmatowa do Czapskiego - pośle mnogich let czuż-biny oni uże niczego nie ponimajut.

Mandelsztam z opowiadania Szałamowa Cherry brane dogorywający na deskach władystockiego obozu trar zytowego, nie umierał pewnie z imieniem Stalina (Opok Państwa) na ustach. Zresztą, kto wie? Był już przecież obłął kany.

Sam Szałamow, u progu śmierci, marzył o jednym: „Bi<l każdym napisanym słowem w Stalina”.

23 grudnia Ogromne wzruszenie. Żeby je wyjaśnić, muszę najpierw przytoczyć fragment mojego szkicu Godzina cieni (1963).

„Władze sowieckie niższych szczebli nie ukrywały swej I słabości do chudoźników i pisatieli. Istniał już we Lwowie oficjalny Związek Pisarzy Zachodniej Ukrainy kierowany przez niejakiego Pancza, «męża zaufania» z Kijowa. Należała do niego znakomita większość bywalców kawiarni Szkoc-kiej, przede wszystkim (gdy nie chodziło o komunistów) ze względu na nieodzowny ordier na kwartiru. Ostap Ortwin znalazł na to radę. W klitce dawnego ZLP na Ossolińskich zaczął wystawiać ordiery na kwartiru, opiewające po rosyjsku na nazwiska zgłaszających się amatorów. Widniało w nich oczywiście magiczne słowo pisatiel, bez bliższej specyfikacji. Wkrótce przynależność do jednego z dwóch konkurencyjnych związków stała się czymś w rodzaju złożonej implicite deklaracji politycznej. Mówiło się znacząco: należy do Pancza; albo: należy do Ortwina; o niektórych zaś, sceptyczniejszych w obliczu krętego biegu Historii i ostrożniej-szych w przewidywaniach na przyszłość, wiedziało się w małym gronie wtajemniczonych, że należą i do Pancza, i do Ortwina. Zanim procedura ulicy Ossolińskich została oceniona, gdzie trzeba i jak trzeba, po mieście krążyły dziesiątki Ortwinowskich asygnat

mieszkańcowych, wystarczających, dzięki samemu tylko słowu pisateli, do zamydlenia oczu pomniejszym urzędnikom biur kwaterunkowych. Nie byłem wtedy pisarzem, miałem za sobą ledwie parę studenckich próbek ogłoszonych drukiem w czasopiśmie, ale Ortwin potraktował z olimpijskim spokojem mój status «terminatora» i zgodził się przyjąć mnie do «cechu», żądając jedynie dwóch rekomendacyjnych podpisów na podaniu. Złożyli je łaskawie Maria Dąbrowska i Juliusz Kleiner. Otrzymałem mój ordier na kwartiru z rąk Parnickiego: był zapewne jednym z ostatnich, bo nazajutrz autora Aecjusza aresztowano”.

Przedwczoraj otrzymałem z Warszawy list od pani Janiny Hery, przejęty i wzruszony czytałem go kilkakrotnie. Autorka była świeżo we Lwowie, gdzie zbierała materiały do książki o losach aktorów w czasie wojny i tuż po wojnie. „W czasie swego pobytu we Lwowie, w Bibliotece im. Ossolińskich (obecnie Stefanyka), w zespole dokumentów i listów Ostapa Ortwinia znalazłam Pana list do Ortwinia. Przesyłam fotokopię”.

List nie posiada daty, napisałem go zapewne w obozie jercewskim na początku zimy 1940, zaraz po przyjeździe do łagru, gdy przez jakiś czas żyłem obsesją nawiązania kontaktu ze światem zewnętrznym, wyciągnięcia do kogoś ręki przez druty. Słyszałem od polskich współwięźniów, że mimo ówczesnej idylli sowiecko-nazistowskiej nie dochodzą listy adresowane pod okupację niemiecką. Odpadała więc rodzina. Napisałem i wysłałem dwa listy do Lwowa, do Kleinerera i Ortwinia. Kleiner odpowiedział serdecznym uściśnięciem wyciągniętej do niego ręki. Milczał Ortwin, choć wtedy jeszcze żył, Niemcy zastrzelili go po wkroczeniu do Lwowa, latem 1941.

Pisałem do Ortwinia: „Łaskawy Panie, obiecywałem sc bie po przyjeździe do Grodna napisać do Pana. Nie tylkjc dlatego, żeby Panu serdecznie podziękować za to wszystkc co Pan dla mnie zrobił we Lwowie; ale i po to, żeby z Paner na odległość porozmawiać o poezji. Wiem, jak bardzo mi] łośnicy poezji cenią sobie te rozmowy. Nic też dziwnego, pokusa była niemała. Niestety, los zrządził inaczej. W pierw-j szych dniach kwietnia zostałem aresztowany. Z więzienia pisać nie mogłem. Dopiero teraz, kiedy już dźwigam brze mię wyroku i siedzę w obozie, mogę od czasu do czasu, ciężkiej pracy - pisząc do znajomych - stwarzać sobie złu-l dzenie obcowania z niektórymi ludźmi. Jest to jeden z obo-l zowych nałogów i ja również szybko mu uległem. I proszę się nie dziwić, że jeszcze teraz, w niecodziennych trochę wa-[runkach, odczuwam chęć odejścia od wielu otaczających! i niepokojących mnie zagadnień i ludzi, rozmawiając i roz-[myślając o poezji. Nie wiem, czy nie będzie to śmieszne, ro-1 bię to nieśmiało i niepewnie - proponuję Panu wymianę zdań na temat rozmaitych zagadnień zawartych w Pana artykule o liryce i wartościach lirycznych. Gdyby tylko Pan I mógł przysłać mi odbitkę tego artykułu! Byłaby to ogrom-1 na radość. Jest to ostatecznie jedyny sposób zachowania czy uchronienia w sobie tego wszystkiego, co tu w obozie atakowane codziennie broni się coraz rozpaczliwiej. Proszę mi pomóc w tym niełatwym przedsięwzięciu”.

Ledwie pełnoletni więzień (skończyłem dwadzieścia jeden lat w maju 1940 w więzieniu grodzieńskim) szukał ratunku w poezji.

Posłowie Ostatni, najobszerniejszy tom Pism zebranych Gustawa Herlinga-Grudzińskiego obejmuje dziennik z lat 1993-1996. Co się działo z pisarzem w tym czasie? W Posłowie do 7 tomu Pism wspominałem, że na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ilość znaczących publikacji poświęconych Herlingowi była w kraju oszałamiająca. W latach późniejszych (do 1997 roku) nadal można było zauważyć duże zainteresowanie czytelników i krytyków twórczością autora *Innego Świata*. Z pewnością - oprócz wydań książkowych - przyczyniły się do tego dwie podróże pisarza do Polski. Przypadły na okres dla niego przełomowy: po blisko półwieczu współpracy z paryską „Kulturą” drogi Herlinga-Grudzińskiego i redaktora Jerzego Giedroycia rozeszły się. Dla wielu czytelników było to zdumiewające, obaj bowiem - i Herling, i Giedroyc - są postaciami symbolicznymi, uosabiają emigrację walczącą.

Zapowiedzi tej dramatycznej decyzji dostrzec można już wcześniej. W wydanej w 1994 roku Autobiografii na cztery ręce Jerzy Giedroyc napisał m.in.\*: „Zdarzały się nam niekiedy rozbieżności w sprawie jakiejś prozy, gdyż u Gustawa odgrywają dużą rolę antagonizmy osobiste. (...) Gustaw stosuje w tych przypadkach kryteria skrajne, które nie zawsze mi odpowiadają.

Zawsze mówiłem, że gdyby przykładać do pisarzy bezwzględne miary polityczne i moralne, literatura polska przestałaby istnieć. Dlatego uważam, że należy odróżniać autora od jego dzieła i osądzać dzieło osobno. Inaczej będziemy mieli nieustającą sprawę Brzozowskiego. Co do mnie, oceniam to, co ktoś napisał, nie wchodząc w to, kim on był czy jest. Podejście Gustawa jest zbyt purytańskie. I nie chodzi tu tylko o naturalną różnicę postaw między pisarzem, który ma prawo do jednostronności, a wydawcą, który musi być eklektyczny. Jest to u mnie nastawienie ogólne. Przyznaję pierwszeństwo dziełu. (...)

J. Giedroyc, Autobiografia na cztery ręce, oprac. K. Pomian, Warszawa 1994, s. 207-208.

Gustaw był dla mnie również partnerem w dyskusjach politycz-[nych, choć nasze wymiany poglądów na te tematy nie były takie! jak z Mieroszewskim. Mieroszewski reprezentował moje stanowisko. Gustaw ma inny punkt widzenia. Nie jest chłodnym analitykiem - jest pełen pasji. I jest nie tyle politykiem, ile moralistą. [Może właśnie dlatego częste dyskusje między nami na tematy polityczne były dla mnie bardzo ważne. Były ważne również dla «Kultury»...]

„Teraz, co mnie trochę irytuje, Gustaw ustawia się na pozycji doradcy czy współpracownika, który jednak nie bierze odpowiedzialności za linię «Kultury»...”

Różnice pogłębiły się po drugiej podróży Herlinga do Polski (maj 1994). Jerzy Giedroyc zamieszczając relację z niej w „Kulturze” (zob. przedruk w niniejszym tomie) w tym samym numerze dodał swój komentarz, dystansując się wobec wielu poruszonych przez pisarza spraw, zwłaszcza oceny sytuacji w Polsce. Dodał, że rażą go w Dzienniku Herlinga „uwagi o ludziach, zaopatrywane często w niepotrzebne brutalne przymiotniki na zasadzie czarno-białe, głoszone ex cathedra”.

„Wygląda na to, że pokłóciliście się, panowie, na stare lata o Polskę...” - powiedziała w rozmowie z Herlingiem w lutym 1995 roku Elżbieta Sawicka.

Grudziński wówczas odpowiadał: „To nie jest spór pomiędzy dwiema stronami - to jest różnica dwóch osobowości. Jerzy Giedroyc jest (...) zwierzęciem politycznym, najbardziej go to pasjonuje. Ja jestem przede wszystkim pisarzem, a polityką zajmowałem się przez pół wieku na emigracji dlatego, że uważałem to za pewnego rodzaju służbę. Natomiast w gruncie rzeczy mam inne zainteresowania i dosyć ostre zacięcie moralne. Różniliśmy się w ocenie tego, co się w Polsce stało. Na tym polegał ten cały spór...” I dalej stwierdzał: „Ta moja brutalność ograniczała się głównie do jednej osoby. Wybór generała Jaruzelskiego na prezydenta uważałem za straszny błąd. (...) stan wojenny był [według mnie] czymś bardzo ciężkim, uderzającym niesłychanie głęboko. (...) Jaruzelski nie tyle ocalił Polskę, ile próbował ocalić władzę komunistyczną i siebie. Stąd moja pewna brutalność”\*.

4 grudnia 1995 roku Herling umieścił w Dzienniku tzw. Dekalog - opis sytuacji w Polsce po 1989 roku w 10 punktach, w których w gorzkich słowach oskarżył Tadeusza Mazowieckiego jako „wyE. Sawicka, Widok z wieży. Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Warszawa 1997, s. 25-27.

nalazcę nieszczęsnej «grubej kreski», o to, że „odkreślił przeszłość, uniemożliwił konieczną lustrację i dekomunizację, przyczynił się do Zamazania”. Elity solidarnościowe zaś obarczył odpowiedzialnością m.in. za obranie pierwszym prezydentem RP „architekta stanu wojennego”, generała Jaruzelskiego, oraz o bezpowrotne roztrwonienie wielkości „Solidarności” i utorowanie drogi do sukcesu postkomunistom i postludowcom.

Zapis ten ostatecznie przypieczętował odejście Herlinga-Grudzińskiego z „Kultury”. Jerzy Giedroyc nie zgodził się na wydrukowanie go (nawet z komentarzem), Herling uznał, że sprawa jest zasadnicza i nie może przystać na skreślenia. Współpracował z redaktorem „Kultury” od 1945 roku. W Rzymie to Jerzy Giedroyc wydał wówczas debiut książkowy Herlinga, książeczkę *Żywi i umarli*. Od 1946 roku pisarz współpracował z Instytutem Literackim, a rok później razem z Giedroyciem założył „Kulturę”. Przez wiele lat był włoskim korespondentem pisma, a podczas miesięcznych pobytów w Maisons-Laffitte (przypadających co dwa miesiące) uczestniczył w pracach redakcyjnych. Do 1988 roku niemal wszystkie książkowe wydania utworów Herlinga ukazywały się w Instytucie Literackim. Rozstanie to było dla pisarza bardzo bolesne. Od marca 1996 roku fragmenty Dziennika i opowiadania ukazują się w cotygodniowym dodatku do dziennika „Rzeczpospolita” - „Plus Minus”.

W rok po odejściu z „Kultury” Herling-Grudziński powiedział: „Nadal pozostaję admiratorem zasług Giedroycia, uważam go za postać absolutnie najwybitniejszą na emigracji. Szanuję to, czego dokonał, i jestem dumny, że brałem w tym częściowo udział. Pamięć o tym wszystkim zostaje we mnie, ale odczuwam osobisty żal. Jestem pełen zdziwienia, że człowiek takiej klasy nie szukał sposobów kompromisowego wyjścia z konfliktu”\*.

Po raz trzeci Herling-Grudziński przyjechał do kraju w maju 1997 roku. Zadzemonował się już wówczas w „Rzeczpospolitej”. Mimo że po odejściu z „Kultury” bywał przez niektórych dziennikarzy przedstawiany jako doktryner „manipulowany

przez prawicowych krytyków literackich" (sic!), stale rosła jego pozycja jako pisarza. Punktem kulminacyjnym pobytu w Polsce była uroczystość wręczenia autorowi Dziennika doktoratu honoris causa przez senat Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie. Towarzyszyły jej książkowe wydania utworów Herlinga oraz szkiców Tamże, s. 133-134.

jemu poświęconych\*. Dziennikarze podkreślali znaczenie tekstów pisarza, bez względu na własne sympatie polityczne. W „Gazecie Wyborczej”, w której w latach wcześniejszych próżno by szukać rzetelnego omówienia twórczości Grudzińskiego, teraz ukazał się artykuł Aleksandra Kaczorowskiego poświęcony legendzie Herlinga\*\* i książkom wówczas wydanym. „(...) nikt inny - pisał autor - nie zdołał w sposób równie sugestywny sformułować w dziele literackim najważniejszego być może problemu, przed jakim stoją dziś społeczeństwa postkomunistycznej Europy: kwestii pamięci o jej przeszłych cierpieniach dla ich przyszłości. (...) A także problemu, przed którym stoi każdy z nas, w pojedynkę: czy jesteśmy gotowi na przyjęcie cierpienia, które przecież prędzej czy później pod taką czy inną postacią - przyjdzie.

Połączenie tych dwu perspektyw - społecznej i indywidualnej - czyni tę książkę [Gorący oddech pustyni] najważniejszą wypowiedzią prozatorską od czasu (i na temat) wyjścia Polski z komunizmu”.

Inny krytyk - Andrzej Horubała w dzienniku „Życie” - stwierdzał: „Mijający rok był z pewnością w literaturze polskiej rokiem Herlinga-Grudzińskiego. Kolejnym rokiem jego spokojnego powrotu, rokiem coraz bardziej oczywistego triumfu Herlinga, triumfu jego strategii. Strategii prymusa. (...) Herling to przypadek szczególnie drażliwy. Kłopotliwy prymus. Doskonale zapowiada-’ jacy się student Uniwersytetu Warszawskiego, który celująco zdał; egzamin życiowy osadzony w sowieckim łagrze, i który finałem Innego Świata rzucił wyzwanie całej polskiej literaturze, pragnącej zrelatywizować moralność, znaleźć wytłumaczenia hańby własnej i całych rzesz intelektualistów XX wieku. Prymus, który - kuszony przez środowisko - do dziś dnia - osamotniony, wyśmiewany, traktowany jak dziwak, pozostaje obrońcą honoru i nieugiętości literatury polskiej”\*\*\*.

Spierać się można, czy słowo prymus rzeczywiście przystaje do postawy Grudzińskiego. W obiegowym znaczeniu prymus to ktoś, W 1997 roku ukazały się 7 tom Pism zebranych, zbiory nowych opowiadań Gorący oddech pustyni, Warszawa, „Czytelnik”, i Don Ilde-brando. Opowiadania, Warszawa, „Presspublica”; dwa tomy rozmów z autorem - wspomniany Widok z wieży E. Sawickiej, i W. Boleckiego Rozmowy w Dragoniei (piszę o nich dalej) - oraz Herling-Grudziński i krytycy. Antologia tekstów, wybór i opracowanie Z. Kudelski, Lublin, „Presspublica” i Wydawnictwo UMCS.

\*\* A. Kaczorowski, Legenda Herlinga, „Gazeta Wyborcza”, 20 V 1997. \*\*\* A. Horubała, Herling-Grudziński - kłopotliwy prymus. „Życie”, 24-26 XII 1997.

H<sup>^</sup>wiU, kto budzi często negatywne odczucia, kogo się nie znosi. Herling, obok wytrwałych polemistów (nieraz dawnych przyjaciół) czy wrogów, ma rzesze czytelników, a wśród nich wielu admiratorów. Ważne jest jednak, że obydwaj



artykuły, wybrane spośród wielu innych, akcentowały rosnące znaczenie dorobku Grudzińskiego.

Wydane w 1995 roku (w ramach Pism zebranych) Skrzydła ołtarza oraz książki następne - Portret wenecki. Trzy opowiadania (1995), Błogosławiona, święta (1996) czy wspomniane dwa tomy zbiorowe - Gorący oddech pustyni i Don Ildebrando (1997) potwierdzały, że w potocznej świadomości Grudziński nie był już tylko twórcą Innego Świata czy pełnym pasji publicystą i eseistą, ale również - a dla niektórych przede wszystkim - autorem intrygujących, zmuszających do własnego odczytania i dialogu, opowiadań. Jak ważna, z biegiem czasu coraz ważniejsza, jest to dla pisarza forma wypowiedzi, świadczy chociażby sam fakt, że w niniejszym tomie autor zamieścił aż czternaście tekstów narracyjnych. Ich wcześniejsze wydania budziły zainteresowanie również krytyków literackich.

W 1995 roku Arkadiusz Bałajewski pisał, że nowe opowiadania Herlinga z tomiku Portret wenecki „można czytać w kilku porządkach - jako kontynuację znanej od Wieży metody pisarskiej, dopełnienie pojawiających się wcześniej w pisarstwie Herlinga tematów egzystencjalnych, wreszcie - co wydaje się szczególnie intrygujące - w perspektywie narastającego wątku metafizycznego. (...) «Ciemność» w nas i wokół nas... To wielki temat Herlinga. W nowych opowiadaniach drażony jest - obecny od początków tej twórczości - temat tragicznej samotności, zła, które kusi i unieście, ale które fascynuje. Wyostrzeniu ulega tu tonacja «ciemna». (...) Mimo ujawniającej się rozpacz, poczucia egzystencjalnej klęski, chwil, kiedy się wydaje, że Boga nie ma i niebo jest puste, pojawia się ów wyższy porządek rzeczy”. Jak go odnaleźć i czy można go odnaleźć „w świecie zła i «ciemności»? Wydaje się to niemożliwe, o ile nie została nam dana łaska iluminacji. Zza pojedynczych znaków istnienia wyższego porządku rzeczy prześwituje niepewna, bo ciągle jakby poddawana weryfikacji, kropla ledwie metafizycznego sensu - po długich, pustych, beznadziejnych chwilach oczekiwania...”\*

Przemysław Czapliński, próbując opisać osobliwości i odrębność Bałajewskiego, Ciemność nas otacza... „Kresy” 1995, nr 24, s. 219-221.

47 - Dziennik... (1993-1996) 737

Ważność opowiadań Herlinga, nazwał je „kryminalnymi opowieściami metafizycznymi”. Opowieściami, gdyż cechuje je zwartość budowy, niewielka objętość, jednowątkowość; narracja wyłania się z monologu, jest „zakotwiczona w osobie opowiadacza”. „Konwencjonalna czy też staroświecka faktura opowieści - pisał Czapliński - jest bowiem u Herlinga przełamywana postawą narratora: jego uparte drażnienie tematu, powaga komentarza, szacunek dla przedstawianych postaci sprawiają, że konwencjonalna forma - dawno temu zawłaszczona przez obieg popularny - nabiera głębi, otwiera się na filozofowanie i poczyna odgrywać archaiczną rolę literatury jako domeny wzniosłości. Wydaje się więc, że Herling obrał sobie formę zupełnie jawnie konwencjonalną przynajmniej z dwóch powodów. Po pierwsze, by mogła ona - niejako na przekór wszelkim kryzysom powieści - odnowić tradycyjne przymierze ze światem, odpowiadając podstawowym potrzebom, które kierują nas ku literaturze. Po drugie, by swoją konwencjonalnością

mogła sygnalizować, że nie o samą literaturę tu chodzi, lecz o jej przekroczenie, o dotknięcie istoty rzeczy, która nie należy do języka (...)”.

Opowiadania Herlinga są kryminalne, dotyczą bowiem często dramatycznych wydarzeń, „w dziesięciu opowiadaniach na jedenaście [w tomie *Gorący oddech pustyni*] główni bohaterowie giną śmiercią nagłą, nienaturalną, tragiczną”. Czapliński jednak podkreślał, że utwory Grudzińskiego są kryminalne w podstawowym znaczeniu słowa *crimen* - nie tym, które odsyła do „osobowego sprawcy śmierci”, lecz do sensu, który objawia się w zbrodni. „Opowieść kryminalna odpowiada (...) głęboko ludzkiej potrzebie traktowania życia jako zagadki, potrzebie zgłębiania tej zagadki, a zarazem łączenia zagadkowości z powagą. (...) Próby odpowiedzi na (...) pytania [ostateczne] stanowią w pisarstwie Herlinga poszukiwanie ładu cierpienia, i to właśnie uznać można za najgłębszą warstwę jego opowiadań, za ich najistotniejszy - metafizyczny - aspekt, służący (...) szczególnej i rozwijanej przez pisarza od początku filozofii nadziei [podkr. ZK]. Jeśli w tytułowym opowiadaniu nadzieja zostaje określona jako «bezsil-ny bunt przeciw rozpaczycy», to wyrazem owego buntu jest właśnie szukanie jednostkowego porządku nadającego cierpieniu sens”\*

I P. Czapliński, *Kryminalne opowieści metafizyczne*, „*Kresy*” 1997, nr 31, s. 146-150. - Z innych omówień i recenzji zob.: M. Jentys, *Anima Mundi*, „*Twórczość*” 1997, nr 9(620), s. 104-107; A. Franaszek, *Obręcz*. O prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, „*Tygodnik Powszechny*” 1997, nr 42(2519), s. 8-9; A. Libera, *Odwaga*, prawda fikcji i sztuka opowiadania, Przystawienie akcentów w odczytywaniu utworów Herlinga, bogactwo podejmowanych tematów, stawianie istotnych pytań dotyczących kondycji człowieka, konsekwentne drażnienie pewnych problemów jest widoczne w tomie *Rozmowy w Dragonei*, które z pisarzem przeprowadził Włodzimierz Bolecki\*.

Tajemnicą interlokutora jest to, jak udało mu się nakłonić Herlinga-Grudzińskiego do wspólnego cyklu rozmów. Jeszcze kilka lat wcześniej autor *Wieży* wykpiłby podobny pomysł, nieufnie odnosząc się do wszelkich „wywiadów z pisarzami” interpretującymi swoje utwory. Mając przed sobą dociekliwego rozmówcę i in-terpretatora, autor docenił tę formę autoprezentacji i tym chętniej mówił o własnej twórczości.

Bolecki w istocie zaproponował całościowe odczytanie twórczości Herlinga. Z dwudziestu sześciu rozmów dwadzieścia dwie dotyczą opowiadań. Utwory, przez niektórych czytelników traktowane jako margines pisarstwa Herlinga, tu zostały docenione, pokazano, jak istotną rolę odgrywają w całości. Oto bowiem Bolecki proponuje odczytanie tematyczne, niektóre teksty łączy ze sobą (np. opowiadania o władzy: *Cud*, *Dżuma w Neapolu*, *Książę Mediolanu*, czy cykl opowiadań nazwanych tu „nekrologami filozofów”). Wszystkie one - jak stara się dowieść prowadzący wywiad - stanowią pretekst do poruszania przez autora ważnych wątków, jak doświadczenie emigracji, programowy sceptycyzm wobec filozofów i intelektualistów, totalitaryzmy w XX wieku, chrześcijaństwo jako religia cierpienia,

nieufność wobec Kościoła instytucjonalnego, mroki natury ludzkiej, tajemnica zła (wymieniam tylko niektóre).

Czytelnik Dziennika mógł wielokrotnie obserwować, jak pisarz panuje nad swoim „pisarskim podziemiem”. Mimo to przy lekturze Rozmów w Dragonei wciąż zaskakuje samowiedza Herlinga jako pisarza. Zdumiewa, jak niepodzielnym władcą jest w królestwie swoich utworów, jak rozmaite ich elementy (np. kreacja narratora, wprowadzane motywy i wątki, poruszane problemy, formy wypowiedzi) są wynikiem świadomego wyboru autora.

Wspomniany już Przemysław Czapliński nazwał Rozmowy w Dragonei „przewodnikiem po Herlingu”. „O niecodzienności tej książki - pisał - decyduje chyba właśnie to, że Bolecki przystąpił do druku W. Bolecki, Warszawa 1997, nr 22(229), s. 2; S. Sterna-Wachowiak, Sekrety i szept naszego „innego świata”, „Nowe Książki” 1997, nr 8, s. 21-22.

G. Herling-Grudziński, W. Bolecki, Rozmowy w Dragonei, rozmowy przeprowadził, opracował i przygotował do druku W. Bolecki, Warszawa 1997, Wydawnictwo Szpak, s. 382.

pił do rozmów, mając w głowie prywatny projekt ładu, koncepcję uporządkowania twórczości Herlinga w zgodzie z problematyką światopoglądową. Dlatego książka, która powstała, fascynuje jako rozmowa o historii i współczesności, o polityce i dziejach emigracji<sup>1</sup>. Elżbieta Morawiec zaś stwierdzała, że Rozmowy w Dragonei są dla niej „przede wszystkim książką o zbrodniach i kłamstwie XX wieku. Kroniką spisana przez Księcia Niezłomnego współczesnej literatury polskiej, zawsze wiernego pryncypiom podstawowym - prawdzie i empatii z cierpieniem<sup>2</sup>”.

Podczas lubelskiej uroczystości w laudacji prof. Jerzy Świąch mówił m.in., że „Najbardziej oryginalną formą i gatunkiem pisarstwa Herlinga jest ogłaszany od roku 1971 (...) Dziennik pisany nocą, utwór jako typ kompozycji literackiej wciąż niedostatecznie znany i niedoceniany, jako formuła dziennika - całkowicie nowy i własny, jako kronika współczesności - zupełnie wyjątkowy. Żadne z obiegowych określeń nie jest w stanie wyczerpać zawartości i formy dziennika, w którym prawda miesza się z fikcją, zapisy i komentarze na temat chwili bieżącej z esejami o sztuce, terażniejszość z przeszłością, polityka z filozofią, literatura z religią, lektury z realnymi wydarzeniami. A jednak dla nikogo czytającego dziennik nie ulega wątpliwości, że tej nieprzebranej wręcz wielości przyświeca trudna częstokroć do uchwycenia, zwłaszcza przy wrywkowej lekturze - jedność, że zamiar pisarski Herlinga obejmuje dzieło będące czymś w rodzaju powieści, komponowanej przez lata na tej samej zasadzie, co wielkie dzieła prozy XX-wiecznej, jako metaforyczny i uniwersalny zapis doświadczeń naszego czasu<sup>3</sup>”.

Sam pisarz zaś podczas tej samej uroczystości powiedział: „Mój Dziennik pisany nocą liczy już sobie przeszło dwadzieścia pięć lat życia (...). Jest to dziennik o tyle oryginalny, że unika normalnej w dziennikach nuty osobistej czy nawet intymnej, dąży natomiast do odmalowania, a raczej uchwycenia, ułamkowego bodaj wizerunku epoki. I w takim właśnie dążeniu, usilnym i upartym, jest P. Czapliński, Przewodnik po Herlingu, „Megaron” 1997, nr 33, s. 11.

\*\* E. Morawiec, Kronika Księcia Niezłomnego, „Nowe Książki” 1997, nr 8, s. 18 - Zob. również: H. Gosk, Próba dotarcia do Prawdy, tamże, s. 19-20 [także o rozmowach z Elżbietą Sawicką]; Z. Florczak, Rozmowa o rozmowach w Dragonei, „Plus Minus” 1997, nr 41(248), s. 15.

\*\*\* J. Święch, Laudatio [w:] Gustaw Herling-Grudziński. Doktor Honoris Causa Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej, Lublin 1997, s. 46.

niewątpliwie dziełem autora, który ma za sobą, i nigdy o nich nie zapomina, totalitarne doświadczenia naszych czasów.

Nazwałem go, nie bez powodu oczywiście, dziennikiem pisanym nocą; ktoś inny nazwał go dziennikiem pisanym pod wulkanem, robiąc aluzję i do mojego miejsca zamieszkania, i do mojego duchowego poczucia zagrożenia. Moje duchowe poczucie zagrożenia mógłbym określić krócej jednym słowem: Zło. Zło rosnące i panoszące się w wymiarach dotąd niespotykanych. I to nie Zło, o którym tradycja kościelna każe mówić jako o «nieobecności Dobra». Zło coraz częściej opatrzone słowem «tajemnica». (...)

We wstępie do francuskiego wydania mojego Dziennika pisanego nocą Krzysztof Pomian napisał: «Wrażliwość autora tego dziennika jest manichejska i taka też jest ukryta metafizyka jego dzieła. Manicheizm nie jest jednak kultem Zła. Zakłada istnienie dwóch ostro oddzielonych zasad, których zderzenie wypełnia historię świata: Dobra i Zła, światła i ciemności». Odnajduję się w tych zdaniach. I jako autor całego dziennika; i, a może przede wszystkim, jako autor opowiadań przeplatających dziennik”

Twórczość Herlinga-Grudzińskiego jest tak bogata i inspirująca, że w obecnym Posłowniu nie sposób choćby tylko wymienić najważniejszych problemów, napomknę zatem o jednym. Dzisiaj mówienie o nurcie religijnym czy szerzej - metafizycznym, ukrytym, ale bardzo istotnym w utworach Grudzińskiego, jest czymś oczywistym wśród badaczy literatury. Przypomnieć jednak warto, że jeszcze pod koniec lat osiemdziesiątych niektórzy krytycy, skupieni przede wszystkim na politycznych wypowiedziach pisarza, uznawali to za nadużycie. Chcąc dotrzeć do najgłębszych i najbardziej ważkich zagadnień i pytań stawianych przez Herlinga, niepodobna tych spraw pominąć. Jakże naiwne wydają się dziś posądzenia Grudzińskiego o zupełną niemal niewrażliwość na ów wymiar metafizyczny. Nieufność pisarza wobec Kościoła instytucjonalnego nie zmienia faktu, że fascynuje go chrześcijaństwo jako religia cierpienia i miłości. I wielokrotnie w sposób przejmujący daje temu wyraz. Zagadnienie to jest tak obszerne i ciekawe, że zasługuje na odrębne omówienie, przekraczające ramy tego Posłowia.

Gdy mowa o metafizycznym wymiarze w twórczości Herlinga, przywołać warto słowa Zofii Mocarskiej-Tycowej, która tak o nim G. Herling-Grudziński, *Lectio doctoris* [w:] Gustaw Herling-Grudziński. Doktor Honoris Causa, s. 12-13; zob. przedruk pt. Być. I pisać w 9 tomie *Pism zebranych*.

napisała: „Obcując (...) z księgą jego twórczości znajdujemy, że opowiada ona o tym, co w symbolicznym skrócie ukazują sceny dwóch skrzydeł ołtarza: jedna stronica tej twórczości zapisuje ból i głód, lęk, cierpienie, łaknienie i śmierć; druga

zaś nadzieję, ocalenie, życie i pełnię. Z tą różnicą, że ta druga stronica zapisywana jest niejako techniką negatywu. Pisarz bowiem intensyfikuje i zagęszcza obszary ciemności i mroku, by w nich mogło objawić się wątłe światełko nadziei, przedstawia stany pokusy i uwiedzenia otchłanią, stany upadku, by przez nie pokazać pożądanie nieskończoności i ocalenia; negację Boga, by przez nią wyrazić głód Jego obecności, desperackie Jego przyzywanie”\*

W Posłowiach do kolejnych tomów Pism zebranych, omawiając głosy krytyków na obczyźnie i w kraju, starałem się pokazać, jak odkrywano różne wymiary pisarstwa Grudzińskiego\*\*. Uwalnianie się autora Wieży od stereotypu „pisarza politycznego” wydaje mi się najciekawsze w jego recepcji. Ale czytając głosy różnych krytyków, często pełne admiracji, warto pamiętać, że żaden z pisarzy emigracyjnych w tak krótkim czasie nie spotkał się z równie namiętnymi wyrazami nienawiści i uwielbienia. Warto wówczas mieć w pamięci słowa Marka Zielirskiego, który w 1991 roku napisał:

„Pimko, który do tej pory lekceważył pisarza z Neapolu, teraz zsiadł z konia i próbuje przycupnąć obok autora Innego Świata. Deklaruje miłość, klęka z pokorą, unosi się z zachwytu. Ta adoracja niewiele ma wspólnego z prawdziwym uczuciem. Raczej oczyszcza brudne sumienia i zgodnie z zasadami hipokryzji chce połączyć emigrację z krajem, pisarzy niezależnych z konformistami artystycznymi, sztukę literacką z deklaracją pisarską. Konsekwencją jest unieważnienie wartości i dalsze podtrzymywanie nieładu i bezformia, których początki sięgają czasów wprowadzenia dyktatury komunistycznej do Polski.

Dlatego moja odpowiedź jest krótka. Miłość do Herlinga zostawmy jego dawnym wrogom i prześmiewcom. (...) Herling nie Z. Mocarska-Tycowa, O tajemnicy cierpienia w prozie Gustawa Herlinga-Grudzińskiego, „W drodze” 1991, nr 4(212), s. 45; przedruk w: Herling-Grudziński i krytycy, s. 111.

\*\* W Posłowiach wykorzystałem informacje z obszernego opracowania recepcji twórczości G.H.-G., które razem z bibliografią (podmiotową i przedmiotową) ukaże się w br. w Lublinie, w moim tomie Studia o Herlingu-Grudzińskim (Towarzystwo Naukowe KUL).

\i\'.X:

jest do kochania, ale do czytania i sporu. Jest artystą chorym na Polskę, wiecznie nieukojonym w tęsknocie do wielkości polskiego ducha, który uwięziony w rubasznym czerepie wciąż nie może wybić się na niepodległość. Herling rozbija ten czerep. (...)

Miłość jest dla pisarzy tej rangi co Herling-Grudziński zabójcza. Obsypuje ich lukrem i pozostawia niestrawnymi dla czytelników. (...) Czy [Herling] nie roztopi się w ogniu pochwał, pochlebstw i minoderii? Czy nie zapomni, jacy naprawdę jesteśmy? Contra spem spero. Wierzę w Herlinga”\*

Pani Halinie Kosienkowskiej serdecznie dziękuję za pomoc przy redagowaniu obecnego tomu.

Zdzisław Kudelski Lublin, luty 1998

M. Zieliński, [Odpowiedź na ankietę:] Za co winniśmy kochać Herlinga-Grudzińskiego?, „Tygodnik Literacki” 1991, nr 21(36), s. 4.

lit.

Nota bibliograficzna Z, 1. Pierwodruki poszczególnych fragmentów vs Dziennika 1001, a W Paryskiej „Kulturze”

1993, nr 6(549), s. 26-39 [zapisy z 18 111-20 IV 1993]

- nr 9(552), s. 12-27 [zapisy z 3 V-6 VI 1993]

- nr 11(554), s. 18-31 [zapisy z 18 VIII-20 IX 1993]

- nr 12(555), s. 8-18 [zapisy z 6-25 X 1993]

, nr 3(558), s. 23-36 [zapisy z 5-30 XII 1993]

- nr 5(560), s. 27-40 [zapisy z 10 II-3 III 1994]

s. 113-131 [zapisy z 3 V] - 25~39 [zapisy z 7 IX-5 X 1994]

nr M3 S' 26~40 [zapisy z 20 XI-31 XII 1994- 7 I 1995]

- nr 5(572), s. 3-17 [zapisy z 8 11-23 III 1995] J - nr 6(573), s. 29^3 [zapisy z 28 111-18 IV 1995]

- nr 9(576), s. 31-41 [zapisy z 25 IV-7 V 1995]

~ Dr f?^!7) s - 122-131 [zapisy z 25 V-10 VIII 1995]

- nr 1(578), s. 15-28 [zapisy z 17 VIII-17 IX 1995]

S nr 1(580)-2(581), s. 29-41 [zapisy z 29 IX-10 X 1995]

1996 nr YonS\* n „^eczP°sPolitej” ~ ^^ Minus”

nr JSriS' ll~ S fPISy Z 4 XH 1995~17

- nr 12(166), s. 13-15 [Moskwa 15-30 V 2000]

- nr 16(170), s. 13-15 [zapisy z 12 III-5 IV 1996]

- nr 21(175), s. 1-3 [zapisy z 8-20 IV 1996]

- nr 34(188), s. 13-15 [zapisy z 19 V-15 VI 1996] ~ „U ĆS' S' 15~17 [zapisy z 10 V11”4 VI« 1996]

~ 2!s-13~16tzapjsyz7vm^x 1996]

7 ^ So? S - 13”15 [Zapisy z 14 X~3 XI 1996] nr 5(212), s. 15-17 [zapisy z 19 XI-23 XII 1996]

2. Pierwodruki opowiadań i esejów umieszczonych, w książkowym wydaniu Dziennika a. W paryskiej „Kulturze”

Gojący oddech pustyni, 1993, nr 7(550)-8(551), s. 48-65 [luty 1993] Portret wenecki, 1994, nr 1(556)-2(557), s. 30-53 [czerwiec 1993] Łuk Sprawiedliwości, 1994, nr 6(561), s. 12-17 [listopad 1993] Głęboki Cień, 1994, nr 7(562)-8(563), s. 36-53 [styczeń 1994] Błogosławiona, święta, 1994, nr 11(566), s. 30-49 [sierpień 1994] Martwy Chrystus, 1995, nr 1(568)-2(569), s. 58-62 [listopad 1994] Prochy. Upadek domu Lorisów, 1995, nr 7(574)-8(575), s. 53-90

[styczeń-luty 1995]

Pożegnanie przyjaciela Moskala, 1995, nr 5(572), s. 129-132 [marzec 1995] Hamlet piemoncki, 1995, nr 12(579), s. 17-34 [czerwiec 1995]

b. W dodatku do „Rzeczpospolitej” - „Plus Minus”

Ex voto, 1996, nr 14(168), s. III [wrzesień 1995] Sour Strega, 1996, nr 18(172), s. III [listopad 1995] Don Ildebrando, 1996, nr 27(181), s. 13; nr 28(182), s. 14-15 [styczeń-

lutu 1996] Szczyt lata. Opowieść rzymska, 1996, nr 52(206), s. X-XI [kwiecień-maj 1996] Jubileusz, Rok Święty, 1996, nr 44(198), s. I, III [czerwiec-lipiec 1996]

Madrygał żałobny, 1997, nr 8(215), s. 15; nr 9(216), s. 15 [wrzesień-październik 1996]

c. W dodatku do „Polityki” - „Polityka-Kultura”

Rosyjski Niedźwiedź. Divertimento narracyjne, prwdr. pt. Rosyjski Niedźwiedź. Słowo o triumfie Igora, 1993, nr 12(26), s. I-III [Dragonea, lipiec 1993]

3. Książkowe wydania opowiadań Błogosławiona, święta, Lublin 1996, Wydawnictwo UMCS, s. 35, seria: Współczesne Opowiadania Polskie Don Ildebrando. Opowiadania, ilustracje Jan Lebenstein, Warszawa 1997, „Presspublica”, s. 138 [Ex Voto, Sour Strega, Don Ildebrando, Szczyt lata, Jubileusz, Rok Święty, Madrygał żałobny]

Gorący oddech pustyni, Warszawa 1997, „Czytelnik”, s. 304 [Gorący oddech pustyni, Portret wenecki, Łuk Sprawiedliwości, Głęboki Cień, Błogosławiona, święta, Martwy? Jhrystus, Prochy, Hamlet piemoncki, Rosyjski Niedźwiedź] ‘ „

f? 4. Przedruki -&\*

\fa. Dziennika Z „Dziennika pisanego nocą, „Znak” 1993, nr 458(7), s. 143-146 [zapisy z 18 i 20 III 1996]

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1994, nr 14(2334), s. 8-9 [zapisy z 5-30 XII 1993]

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1994, nr 22(2342), s. 8-9 [zapisy z 10 II-3 III 1994]

Druga podróż do Polski. Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1994, nr 40(2360), s. 8-9

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1995, 4(2376), s. 8-9 [zapisy z 7 IX-5 X 1994]

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1995, nr 19(2391), s. 8-9 [zapisy z 20 XI 1994-7 I 1995]

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1995, nr 26(2398), s. 8-9 [zapisy z 8 11-23 III 1995]

Z dziennika pisanego nocą, „Tygodnik Powszechny” 1995, nr\* 43(2415), s. 7 [zapisy z 25 IV-7 V 1995]

Zamiast wstępu (z „Dziennika pisanego nocą”) [w:] Zbigniew Florczak, Grypsy i reminiscencje (1968-1993), Londyn 1995, „Aneks”, s. 3-4 [zapis z 17 II 1994]

Dekalog [w:] Elżbieta Sawicka, Widok z wieży. Rozmowy z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim, Warszawa 1997, Oficyna Wydawnicza „Most”, s. 121-123 [zapis z 4 XII 1995]

Posłowie [w:] Elena Croce, Wspomnienia rodzinne, przeł. Teresa Jeleńska, Lublin 1997, Wydawnictwo UMCS, s. 69-71 [zapis z 22 III 1996].

b. Opowiadań i esejów Gorący oddech pustyni, „Odra” 1993, nr 10(383), s. 71-80 Łuk Sprawiedliwości, „Odra” 1994, nr 9(394), s. 59-61 Portret wenecki, „Odra” 1994, nr 4(389), s. 55-69 Głęboki Cień, „Kresy” 1994, nr 19, s. 5-15 Błogosławiona, święta, „Plus Minus” 1995, nr 4(106), s. 13-16 Martwy Chrystus, „Tygodnik

Powszechny" 1995, nr 8(2380), s. 10 Prochy. Upadek domu Lorisów, „Tygodnik Powszechny" 1995, nr 37(2409), s. 8-9; nr 38(2410), s. 7

?. v fovrsN\*oimr 5. Tłumaczenia - w a. W wydaniach książkowych angielskie: Volcano and Miracle. A selection of fiction and nonfiction from The Journal Written at Night, selected and translated by Ronald Strom, New York 1996, Viking Penguin, s. 271 A Venetian Portrait [Portret wenecki]

francuskie: Le portrait venetien et autres recits, traduit du polonais par Therese Douchy [Teresa Dzieduszycka], Paris 1995, Editions Gallimard-L'Arpenteur, s. 259 Le Portrait venetien [Portret wenecki]

niemieckie: Das venezianische Portrat. Erzählungen, Ausgewählt und aus dem Polnischen übersetzt von Nina Kozłowski, München-Wien 1996, Carl Hanser Verlag, s. 300 Der haifie Atem der Wüste [Gorący oddech pustyni], Das venezianische Portrat [Portret wenecki], Selige, Heilige [Błogosławiona, święta]

włoskie: Ritratto Veneziano, traduzione di Mauro Martini e Donatella Tozetti, Milano 1995, Feltrinelli Editore, s. 313 Ritratto veneziano [Portret wenecki]; Beata, Santa [Błogosławiona, święta]: L'Arco della giustizia [Łuk Sprawiedliwości]; Il respiro caldo del deserto [Gorący oddech pustyni] Le perle di Vermeer, introduzione di Francesco M. Cataluccio, traduzione di Laura Quercioli Mincer e Piero Di Nepi, Roma 1997, Fazi Editore, s. 85 Cristo Morto [Martwy Chrystus]

b. W prasie czeskie: Blahoslavena, svata [Błogosławiona, święta], z polstiny pfołożila Petruška Šustrova, „Revolver Revue" [Praž] 1995, nr 28, s. 235-246; tłumaczenie drugie: pfołożila Helena Stachova, „Střední Evropa" 1995, nr 47, s. 100-112 Deník psany v noci, pfołożila Helena Stachova, „Střední Evropa" 1995, nr 49, s. 92-102 [zapisy z 20 XI 1994-7 II 1995]; nr 51, s. 73-82 [zapisy z 8 II-23 III 1995]; 1996, nr 56, s. 91-100 [zapisy z 17 VIII-17 IX 1995]

francuskie: Beata, Santa [Błogosławiona, święta], traduction de Therese Douchy [Teresa Dzieduszycka], „Legendes" [Paris] 1996, nr 6, s. 98-122

Teksty do obecnego tomu oparto na pierwodrukach z paryskiej „Kultury" (z naniesionymi poprawkami autora), a także - w przypadku zapisów dziennika i opowiadań drukowanych w dodatku do „Rzeczpospolitej", „Plus Minus", dzięki uprzejmości red. Elżbiety Sawickiej - na autorskich maszynopisach.

Informacje zawarte w notach bibliograficznych w tomach 1-10 podawałem na podstawie opracowanej przeze mnie bibliografii twórczości G.H.-G. Mogłem ją uzupełnić w archiwum pisarza w Neapolu oraz, za zgodą Jerzego Giedroycia, w archiwum Instytutu Literackiego w Paryżu, za co serdecznie dziękuję.

Zdzisław Kudelski ty-fti.

Nota o autorze Gustaw Herling-Grudziński urodził się 20 maja 1919 r. w Kielcach, debiutował w „Kuźni Młodych" w 1935 roku. Po ukończeniu kieleckiego gimnazjum, w latach 1937-1939 studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Józefa Piłsudskiego w Warszawie. Związany był wówczas z Ludwikiem Fryde i prowadzoną przez niego szkołą teoretycznoliteracką oraz pismem „Orka na Ugorze", w którym redagował dział literacki.



Po kampanii wrześniowej był współzałożycielem i szefem sztabu konspiracyjnej Polskiej Ludowej Akcji Niepodległościowej (PLAN). Aresztowany w marcu 1940 r. przez NKWD koło Grodna, został skazany na pięć lat obozu pracy pod Archangielskiem. Po układzie Sikorski-Majski zwolniony w styczniu 1942 r., wstąpił do powstającej w Kazachstanie Armii Polskiej, a po przejściu przez Bliski Wschód walczył w kampanii włoskiej. Za udział w bitwie o Monte Cassino odznaczony krzyżem *Virtuti Militari*. W latach 1945-1946 kierował działem literackim tygodnika 2 Korpusu „Orzeł Biały”.

Debiutował w Rzymie tomem szkiców *Żywi i umarli* z przedmową Józefa Czapskiego (1945). Współpracował krótko z rzymskim Instytutem Literackim, w którym wydał m.in. antologię *W oczach pisarzy* (1947); razem z Jerzym Giedroyciem założył kwartalnik „Kultura”. Poślubił malarkę Krystynę Domańską (z domu Stojanowska), z którą przeniósł się do Londynu. Tam kontynuował nawiązaną wcześniej współpracę z tygodnikiem „Wiadomości”. W Londynie ukazały się wspomnienia obozowe Herlinga *Inny Świat*, najpierw w tłumaczeniu na angielski Andrzeja Ciołkosza (1951; 1952), później w innych językach i polskim oryginale (Londyn 1953, wyd. paryskie 1965).

Po śmierci żony w 1952 r. przebywał w Monachium i pracował w rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa. Od 1955 mieszka w Neapolu, nawiązał przerwana współpracę z paryską „Kulturą” (której był do początku 1996 r. najbliższym współpracownikiem) i pismami włoskimi (m.in. „Tempo Presente”, „II Giornale”, „Corriere della Sera”) - Poślubił Lidię Croce, córkę i współpracowniczkę Benedetto Crocego.

W Instytucie Literackim wydał tom opowiadań *Skrzydła ołta-i rza* (1960), *Drugie Przyjście* oraz inne opowiadania i szkice (1963), [tom esejów o literaturze rosyjskiej i sowieckiej *Upiory rewolucji* (1969), cztery tomy *Dziennika pisanego nocą* (1973, 1980, 1984, 1989) oraz wielokrotnie wznowienia *Innego Świata*, w londyńskim „Pulsie” zaś dziennik z 1952 r. *Podróż do Burmy* (1983).

Przez wiele lat Herling był w Polsce autorem zakazanym. Po powstaniu „drugiego obiegu” poza cenzurą przedrukowane zo-j stały niemal wszystkie utwory pisarza (*Inny Świat* co najmniej! dziesięć razy). Dopiero w 1988 r. Herling-Grudziński „debiutował” oficjalnie tomem *Wieża i inne opowiadania* (poznane wy-j dawnictwo „W drodze”), a w rok później „Czytelnik” opubliko-j wał *Inny Świat*, dotąd piętnastokrotnie wznowiony. W 1990 r. [w wydawnictwie „Res Publica” ukazały się trzy tomy *Dziennika pisanego nocą*, w „Plejadzie” tom czwarty, a w wydawnictwie „W drodze” *Opowiadania zebrane* (wyd. 2 poszerzone: 1991). Rok później „Znak” wydał obszerny wybór esejów Herlinga *Godzina cieni* (wyd. 2: 1996), a lubelski FIS debiutancki tomik *Żywi i umarli* oraz bibliofilską edycję *Dwóch opowiadań z ilustracjami Jana Le-bensteina*.

W maju 1991 r., po 52 latach życia na obczyźnie, Gustaw Her-ling-Grudziński odwiedził Polskę. W dniu 72 urodzin pisarza, 20 maja senat UAM w Poznaniu nadał autorowi *Innego Świata* tytuł doktora honoris causa.

Triumfalnemu powrotowi Herlinga do kraju towarzyszy odkrywanie jego twórczości w innych krajach. W 1985 r. *Inny Świat* ukazał się w tłumaczeniu na język francuski (nagroda Pen Clubu, wyd. 2: 1995), później pojawiły się wznowienia angielskiego przekładu w Londynie i USA (1986 - dwa wyd.; 1987, 1996), tłumaczenie rosyjskie (Londyn 1989, Moskwa 1991) i czeskie (Praga 1994).

Dobre przyjęcie *Innego Świata* wzbudziło zainteresowanie innymi utworami Grudzińskiego. We Francji ukazał się wybór z *Dziennika pisanego nocą* (1989) i dwa tomy jego opowiadań (1992, 1995); w Anglii również tom opowiadań (1990), a w USA fragmenty z *Dziennika z lat 1970-1993* (1996). Przekłady opowiadań wydane zostały również w USA (1993) i w Niemczech (1994, 1996), a w Czechach *Dziennik z lat 1989-1992* (1995).

Obok Polski twórczość Grudzińskiego z największym zainteresowaniem spotyka się we Włoszech, gdzie przez wiele lat pisarz żył niemal na marginesie oficjalnego życia kulturalnego. W 1990 r.

ukazał się tomik opowiadań, w 1992 wybór z *Dziennika*, w 1994 nowe wydanie *Innego Świata* i zbiór esejów *Upiory rewolucji*, a w 1995 cykl rozmów przeprowadzonych przez Titti Marrone *Contro-luce*. Jednocześnie pisarz otrzymał prestiżową nagrodę *Premio Viareggio* (1994). W 1996 roku wydany rok wcześniej zbiór opowiadań *Ritratto Yeneziano* uhonorowany został w Syrakuzach podwójną nagrodą krytyków i czytelników *Superpremio Yittori-ni*, a w 1997 ukazał się tom esejów o sztuce *Perły Vermeera*.

W ostatnich latach w kraju ukazało się znacznie poszerzone wydanie *Upiorów rewolucji* (FIS 1992), w Bibliotece „Więzi” tom szkiców o sprawach polskich, głównie literaturze, *Wyjścia z milczenia* (1993), a w „Czytelniku” piąty tom *Dziennika pisanego nocą* (1993) i zbiór esejów o sztuce *Sześć medalionów i Srebrna Szkatułka* (1994). Z okazji 60 rocznicy debiutu literackiego pisarza Wydawnictwo UMCS w Lublinie opublikowało w 1995 *Portret wenecki. Trzy opowiadania*.

Pierwszy tom *Pism zebranych* wydany został w maju 1994 r., podczas drugiej podróży Herlinga-Grudzińskiego do Polski.

W maju 1997 r. pisarz po raz trzeci przyjechał do kraju. Z tej okazji wydano m.in. dwa tomy jego opowiadań: *Gorący oddech pustyni* („Czytelnik”) i *Don Ildebrando* („Presspublica”) oraz rozmowy - z Elżbietą Sawicką *Widok z wieży* („Most”) i z Włodzimierzem Boleckim *Rozmowy w Dragonei* („Szpak”).

21 maja Gustaw Herling-Grudziński otrzymał doktorat *honoris causa* Uniwersytetu im. Marii Curie Skłodowskiej w Lublinie.

Z.K.

Nota o redaktorze Pism zebranych Zdzisław Kudelski urodził się 29 stycznia 1957 r. w Jeleniej Górze. Po zdaniu matury w Liceum Elektromechanicznym i odbyciu służby wojskowej, w 1985 roku ukończył polonistykę w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i obronił, pisaną u prof. Stefana Sawickiego, pracę magisterską o Dzienniku pisanym nocą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego. Od 1988 roku jest „kuratorem” krajowych wydań utworów Herlinga-Grudzińskiego. Opracował i wydał m.in. tomy: Wieża i inne opowiadania (1988), Opowiadania zebrane (1990, 1991), Godzina cieni (1991, 1996), Upiory rewolucji (wyd. rozszerzone, 1992), Wyjścia z milczenia (1993). Od 1994 roku jest redaktorem Pism zebranych autora Innego Świata. Wydał również tom szkiców o Herlingu Pielgrzym Świętokrzyski (1991), zbiorową antologię Herling-Grudziński i krytycy (1997) oraz materiały z lubelskiej sesji Spotkania z paryską „Kulturą” (1995).

Mieszka w Lublinie i pracuje w Katedrze Literatury Współczesnej KUL. Jest również współredaktorem opracowywanego w Towarzystwie Naukowym KUL Leksykonu kultury polskiej poza krajem po 1939 roku, stale współpracuje z lubelskim kwartalnikiem literackim „Kresy”.

Autor Pism zebranych odczuwa potrzebę i ma prawo dołączyć (do tej suchej noty o ich redaktorze kilka słów od siebie.

Zdzisław Kudelski okazał się znakomitym redaktorem moich I Pism zebranych: wnikliwym, sumiennym, skrupulatnym. Zawdzięczam mu bardzo wiele i chcę tę wdzięczność tutaj wyrazić z całą serdecznością, na jaką mnie stać. Gdyśmy się przed laty poznali, nie mogłem przypuszczać, że nasza współpraca i rosnąca z roku na rok przyjaźń przyniesie takie owoce.

Marii Mireckiej z wydawnictwa „Czytelnik” dziękuję z całego serca za czujną uwagę, z jaką towarzyszyła Zdzisławowi Kudelskiemu w jego wieloletniej pracy.

**G.H.-G.**